

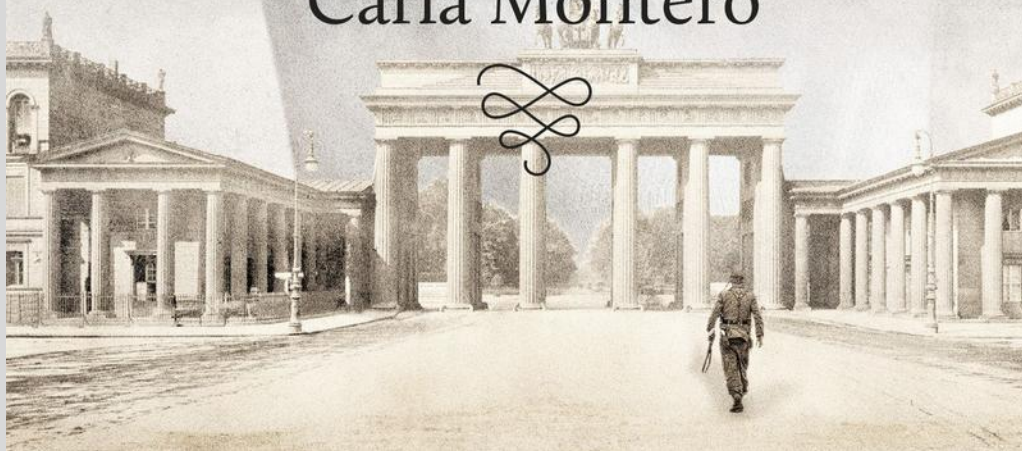
A close-up, profile view of a woman with dark hair pulled back, wearing a light blue beret and a white collared shirt. She is looking towards the right of the frame.

∞

OGNISTY MEDALION

Kontynuacja bestsellerowej *Szmaragdowej Tablicy*

Carla Montero



Carla Montero
**OGNISTY
MEDALION**



Przełożył
Wojciech Charchalis



DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

CHOMIKO_WARNIA

Okładka
Strona tytułowa
Dedykacja
Motto
Prolog
Czego może chcieć ode mnie Martin Lohse?
To człowiek enigma
Już nie chcę być twoim cieniem
Zupełnie niespodziewana propozycja
To nie jest gra dla moli książkowych
Od Medyceuszów do Romanowów
Wolę, żebyś mi to opowiedziała osobiście
Jego wyraz twarzy jest... niepokojący
Kwiecień 1945
Nie nienawidzę cię, przykro mi
Kwiecień 1945
Po to mnie zatrudniłeś
Dość intryg i gier
Wszystko jest możliwe, dopóki nie ma na nic dowodów
Kwiecień 1945
Ledwie się znamy, Herr Lohse
Zawsze prawda, Martinie
Kwiecień 1945
On jest teraz tutaj, w Petersburgu
Kwiecień 1945
Kurwa, ale mnie wystraszyłeś!
Kwiecień 1945
Już nie gramy w tej samej drużynie
Maj 1945
Nie musisz się mną opiekować
Maj 1945
Ty masz swoje życie, a ja swoje
Maj 1945
Tak na nowo pojawił się Martin Lohse
Maj 1945
Katia żyje?
Nie chcę innej, chcę ciebie
Maj 1945
Znalazłam syna Corneliusa Althanna
Strzelec wyborowa, nie inaczej
Maj 1945
Ja w to wchodzę
Maj 1945

Coś musiało pójść źle
Maj 1945
To nie wobec mnie powinnaś być nieufna
Maj 1945
Gdzie ja jestem?
Maj 1945
Wszystko zamazane. Ciągle zamazane
Maj 1945
Usłyszałam jego głos i się rozsypałam
Maj 1945
Przestań mówić za mnie!
Maj 1945
Chyba zostawię to śledztwo
Maj 1945
Nie zadawaj mi tego pytania
Maj 1945
Martin, jadę do Asturii
Maj 1945
Bardziej bałam się tego, co mogę znaleźć
Nadszedł czas na powrót do domu
Miałam wyjechać z pustymi rękami
To była pułapka
Historia o ludziach
To, co przeczytałam, sprawiło, że zapomniałam o wszystkim innym
Maj 1945
Pozwól, że opowiem ci swoją historię
Carowa to ty
Przeklęty medalion
Epilog
Podziękowania
Polecamy
Strona redakcyjna

Tym,

którzy mają odwagę

kierować swoim życiem

Nie piszę o wojnie, tylko o człowieku podczas wojny. Nie piszę historii wojny, tylko historię uczuć.

Jestem historyczką duszy.

Sądzę, że w każdym z nas jest kawałeczek historii.

SWIETŁANA ALEKSIJEWICZ

PROLOG

Cremona

5 lutego 1486

Dla Wawrzyńca Medyceusza nawet śmierć nie była przeszkodą.

Spowity mrokiem nocy, rozedrganym w świetle oliwnych lamp, podszedł kilka kroków i wbił wzrok w wielką kamienną płytę nagrobną w posadzce krużganka klasztoru Augustianów. Stwierdził, że jest skromniejsza, niż się spodziewał. Zaskoczyło go, że to nie bogato zdobiony grobowiec z rzeźbami, kolumnami i kapitelami, umieszczony z czcią w jednej z bocznych kaplic. Tę płytę opatrzone zaledwie kilkoma motywami roślinnymi na brzegach oraz imieniem nieboszczyka pod krzyżem łacińskim. Kyriacus Anconitanus.

Wawrzyńcowi nie było dane poznać Cyriaka z Ankony, niemniej wiedział, że jego dziadek, Kosma Medyceusz, opłacił kilka podróży tego awanturnika po Morzu Egejskim i reszcie wschodniej części Morza Śródziemnego, a także nabył do własnej kolekcji starożytności немало przywiezionych przez niego darów: monet, klejnotów, statuetek... Nic dziwnego, że Cyriak, znawca dziedzictwa przodków i człowiek biegły w zagadkach dawnych cywilizacji, jeden z sekretów zabrał ze sobą do grobu.

Powiew lodowatego wiatru ze śnieżnym pyłem wpadł pod łuki krużganka i przebił się przez ciężkie szaty Wawrzyńca. Florentczyk, wytrącony z zamyślenia zimnym dreszczem, rozejrzał się wokoło. Wszyscy biorący udział w tej operacji obserwowali go w oczekiwaniu, zniecierpliwieni na skutek nieubłaganej pogody.

Opat wiercił się niespokojnie, stojąc w oddaleniu, jakby uciekał w mrok od wszelkiej odpowiedzialności w sprawie, która od pierwszej chwili wzbudzała jego niechęć: propozycja była sprzeczna z prawem boskim i ludzkim, a on deklarował wierność zarówno Bogu, Panu naszemu, jak i Ludwikowi Sforzy, władcy Cremony. Medyceusze i Sforzowie żyli ze sobą w zgodzie, utrzymując kruchą równowagę władzy nad terytorium Italii, i opat nie chciał brać udziału w niczym, co mogłoby ich poróżnić. Niemniej pieniądze Medyceuszów z łatwością kupowały to, na czym im zależało. I teraz stary, truchlejąc pod spojrzeniem Wawrzyńca, targany niezdrową ciekawością, nie chciał stracić widowiska, chociaż drżał pod peleryną, chowając zaczerwieniony, szpiczasty jak ptasi dziób nos w jej kołnierzu, skamieniały może bardziej z zimna niż niepokoju czy wyrzutów sumienia.

Po bokach opata stali grabarze. Ojciec i syn. Żyłaści i krępi, nie za mądrzy, łatwi do zastraszenia. Ich też Wawrzyniec kupił za kilka monet i co najważniejsze, zamknął im usta groźbą śmierci, a przecież nikt nie ośmieliłby się zlekceważyć jego ostrzeżenia.

Było tam też dwóch zaufanych ludzi Wawrzyńca, doradców i przyjaciół, współników w tym przedsięwzięciu, bez których wsparcia i przewodnictwa nigdy by się go nie podjął: mądry Marsilio Ficino, dla niego niemal jak ojciec, oraz Giovanni Pico della Mirandola, młody hrabia o żywym, przenikliwym umyśle, zawsze okazujący mu wierność. W jakiś sposób obaj w swoim niezamordowanym poszukiwaniu wiedzy przywiedli Wawrzyńca aż tutaj. Obaj spędzili ostatnie lata, przeczesując słowo po słowie ogromną bibliotekę Niccolò Niccoliego, także miłośnika staro-

żytności, jednego z największych w Europie kolekcjonerów greckich i łacińskich manuskryptów, który ustępował pod tym względem jedynie Kosmie Medyceuszowi. Rzecz w tym, że ta pasja kosztowała Niccoliego fortunę, więc odszedł z tego świata zrujnowany. Patriarsze Medyceuszów nie umknęła nadarzająca się wówczas okazja: zapłacił za pogrzeb Niccoliego w zamian za przejęcie jego wspaniałej biblioteki, którą umieścił pod czujnym okiem dominikanów w klasztorze San Marco we Florencji.

W niej to Marsilio i Pico natrafili na *Manuskrypt templariusza*. Zwój w archaicznej hebrajszczyźnie pochodzący z wybrzeża Morza Martwego, jak oznajmiały notatki podpisane przez Medarda z Sens, członka Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, datowane na czasy drugiej wyprawy krzyżowej. Strawili lata, by z pomocą Eliasza Delmedigo, także filozofa i humanisty, odczytać zdumiewającą zawartość rękopisu. Jednakże ta intrygująca sprawa nabrała pełnego znaczenia wraz z odkryciem korespondencji między Niccolò Niccolim a Cyriakiem z Ankony.

Wawrzyniec wierzył, że po całej tej przeprawie już za chwilę jedna z wielkich tajemnic starożytności zostanie wyjaśniona. Poczul ukłucie niepokoju.

– Śmiało! – rozkazał głosem mocnym i zdecydowanym.

Grabarze natychmiast zabrali się do pracy. Uderzenia ich narzędzi w nieskończoność niosły się aż po najdalsze zakamarki krużganka. Nikomu nie drgnął choćby jeden mięsień, nikt nie wypowiedział ani słowa. Zakłócanie spokoju zmarłym warzyło im nastrój, oczekiwanie nie pozwalało się odezwać, zimno przeszywało ciała.

Dopiero kiedy płyta puściła i grabarze mieli ją podważyć, opat zawołał zaniepokojony:

– Ostrożnie, żeby nie pękła!

Wawrzyńcowi ten prozaiczny krzyk wydał się obrazą owej mistycznej chwili.

Przesuwany kamień zazgrzytał donośnie, a potem ukazała się ciemna otchłań grobowca. Wystarczyło odrzucić kilka metrów ziemi, żeby pojawiła się trumna. Grabarze wyciągnęli ją za pomocą lin, dysząc i pojękując z wysiłku; bardzo ostrożnie, aby zawilgocone drewno się nie połamało, postawili ją na posadzce. Wawrzyniec podszedł pierwszy; Pico i Marsilio ruszyli za nim gnani ciekawością. W kącie opat pośpiesznie mamrotał psalmy i modlitwy.

Podważane wieko trzeszczało przeszywająco. Przy każdym ruchu zdawało się, że trumna pójdzie w drzazgi. Wreszcie wieko zostało uwolnione. Grabarze spojrzeli na Wawrzyńca, a ten skinął głową, żeby je zdjąć.

Florentczyk nieświadomie zaciskał zęby. To nie śmierć szarpała mu nerwy; tak wiele razy był jej świadkiem, że już nie wzbudzała w nim emocji. Niepokoiło go tylko to, co mógł znaleźć w trumnie, a nawet bardziej to, że mógł nie znaleźć tego, czego szukał. I upływ czasu: ponad trzydzieści lat minęło, odkąd Cyriak z Ankony zstąpił do ziemi. Jak zgnilizna potraktowała ciało tego zasuszonego za życia archeologa?

Grabarze odłożyli wieko trumny na bok i odsunęli się, ustępując miejsca Medyceuszowi. Wawrzyniec przysunął lampę oliwną i zajrzał do środka. Zaduch o dziwnej nucie uderzył go w twarz. Nie był to odrażający smród, przypominał raczej zapach starej skóry i pleśni, taki jaki wydają z siebie od dawna zamknięte kufry. Było w nim jednak coś szczególnego: chodziło z całą pewnością o woń śmierci. Kruki na dziedzińcu zakrakały, jakby chciały go przestrzec, ale Wawrzyniec ich nie usłyszał. Ostrożnie wyciągnął rękę w rękawiczce, aby rozsunąć jutowy całun, delikatny i kruchy w dotyku.

Cyriak z Ankony był obecnie czaszką pokrytą ciemnymi plamami i zapleśniałymi włosami wystającymi spod czerwonego filcowego biretu. Wielkie oczodoły i otwór nosowy, i bezzębna luźna żuchwa nadawały jej niesamowity wyraz, na poły komiczny, na poły przerażający. Przyglądając się czaszce, Wawrzyniec odnosił dziwne wrażenie, że widzi siebie samego i nie-

ubłaganą przyszłość. Przeszył go dreszcz, który z całych sił spróbował ukryć.

– Oto ja wskrzeszam zmarłych z tamtego świata – zadeklamował po łacinie Marsilio Ficino, parafrazując słowa nieboszczyka.

Przytoczenie owej maksymy mogło się wydawać niestosowne, bo wybrzmiewała w tej sytuacji ironicznie, ale Wawrzyniec zrozumiał, że chodziło o przywołanie celu tego wcale nie zabawnego przedsięwzięcia.

Po długim badaniu jego korespondencji Ficino doszedł do przekonania, że Cyriak należał do pewnego bractwa, neopogańskiej, ezoterycznej sekty założonej w greckim mieście Mistra przez Jerzego Gemista, posługującego się pseudonimem Pleton, wielkiego erudyty i filozofa, który bardzo inspirował samego Marsilia, gdy pod patronatem Medyceuszów zakładał Akademię Florencką. Mówiło się, że w bractwie z Mistry niewielka grupa wybranych zgłębia wiedzę tajemną: kabałę, alchemię, hermetyzm, zaświaty i wieczność świata... Jaką wiedzę zdołał osiąść Cyriak? Jaką posiadał moc?

Odpowiedź być może znajduje się w układance, którą Wawrzyniec Medyceusz, Pico della Mirandola i Marsilio Ficino stworzyli za pomocą *Manuskryptu templariusza*, korespondencji między Cyriakiem a Niccolim i tego, co ich skłoniło do ekshumacji ciała.

Wawrzyniec oddał lampę Pico della Mirandoli i kucnął przy trumnie. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł tego, czego szukał, w każdym razie tego, czego sądził, że szuka.

– Widzisz go? Może jest ukryty w ubraniach – zasugerował szeptem młody hrabia. Z jego głosu można było wyczuć, że sam nie chce grzebać we wnętrzu trumny.

Wawrzyniec przebiegł wzrokiem po kłębowisku zakurzonych tkanin: jutowy całun, płaszcz z czerwonego aksamitu ze złotym haftem, żółtawy kołnierz lnianej koszuli... Ręce trupa były skrzyżowane. Pierścień z pieczęcią zsunął się i zatrzymał na paliczku palca serdecznego. Medyceusz obmacał ostrożnie sflaczałe, pomarszczone ubrania i wyczuł pod nimi kości. Pociągnął lekko za guziki, lecz materiał puścił szybciej niż one. Rozchylił koszulę i pokazały się obojczyki i żebra, wszystkie w doskonałym porządku.

– Poświęć mi tutaj – poprosił.

W świetle lampy Wawrzyniec przejrzał zakamarki trumny. I wtedy dostrzegł cienki sznurek między kośćmi. Pociągnąwszy go, zobaczył, że pod jednym z żeber spoczywa obły przedmiot. Sięgnął po ów przedmiot i wyciągnął go łąpczywie, choć ostrożnie, ale część szczątków i tak się przemieściła, wzbijając kurz i wydając odgłos, który w ciszy krużganka zdał im się dudnieniem. Jakby trup nagle odzyskał życie, czaszka opadła na bok, a żuchwa oddzieliła się od niej. Wszystkich przebiegł dreszcz.

– Matko Przenajświętsza! – zawołał przerażony opat.

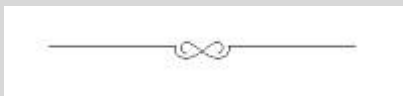
Nawet Giovanni Pico krzyknął cicho i niemal wypuścił z rąk lampę.

Wawrzyniec westchnął i natychmiast doszedł do siebie. Posłał ganiące spojrzenie tym, którzy go przestraszyli swoim brakiem wyczucia. Otworzył dłoń, którą instynktownie zacisnął, i przyjrzał się przedmiotowi, czyszcząc go z kurzu opuszkami palców. Natychmiast można było dostrzec zielonkawy błysk klejnotu i relief przedstawiający chyba smoka. Otaczały go symbole albo pismo, którego nie rozpoznał.

Wawrzyniec uniósł głowę i jego oczy natrafiły na wpatrującego się w klejnot Marsilia Ficina. Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Mamy to – stwierdził triumfalnie Wawrzyniec. – Cholera, Ciriaco de' Pizzicolti, zabrałeś go do grobu, stary lisie, ale mamy go. Mamy Ognisty Medalion!

Mentor Medyceusza, targnięty tą samą rozkoszą, odwzajemnił uśmiech.



Jekaterynburg

17 lipca 1918

Grigorij Nikulin odstawił pusty kieliszek, chwycił butelkę wódki i szczerze sobie nalał, po czym golił raz jeszcze. Nie był pijakiem, przynajmniej nie takim jak większość jego towarzyszy, którzy w dzień wypłaty upijali się do nieprzytomności. Grigorij uważał siebie za rozsądnego, mimo że miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Syn ceglarza z Kijowa wiedział, że aby się człowiekowi wiodło, lepiej zawsze być trzeźwym, uważnym, kontrolować sytuację.

W tamtej chwili musiał się jednak napić. Potrzebował odrobiny animuszu i ciepła, zarówno dla ciała, jak duszy. Czuł się wyczerpany po tej całej nieprzespanej nocy, przybity tym, czego się naoglądał. „To cena rewolucji – powtarzano. – To tyrani zmusili nas do zrobienia tych rzeczy”.

W pokoju panował gorąc. Na zewnątrz trwało lato w pełni, pogoda zrobiła się przyjemna po srogiej zimie, ogród kwitł, powietrze było przejrzyste i pełne aromatów; tyle że ani krztyna letniego nastroju nie wpadała przez zamalowane wapnem okna do wnętrza tego domu więzienia. Wszystko tam było ciemne: ostentacyjne meble, masywne lampy, tapety, ciężkie zasłony... Wszystko przytłaczające i pozbawione barw.

Potarł oczy i znowu spojrzał na leżące na stole klejnoty, niektóre w etui, inne rozrzucone po obrusie. Diamenty, brylanty, szafiry, rubiny, szmaragdy, perły... Ich blask w tym mrocznym pomieszczeniu wydawał się nie na miejscu. Znaleźli je, obszukując ciała po egzekucji; jak naiwni byli, sądząc, że uda im się ukryć je pod ubraniem, że tam są bezpieczne. To zaledwie minimalna częśćka przeogromnego bogactwa zebranego przez Romanowów kosztem głodu i nieszczęść ludu, przypomniał sobie Grigorij, sortując i chowając pudełka. Pomagał mu w tym zadaniu towarzysz Miedwiediew. Obaj milczeli, ponurzy, nawet na siebie nie patrzyli.

Dwóch litewskich strażników, zmęczonych egzekucją, chrapało w kącie na pryczach wielkich księżnych, które sami wnieśli tu z parteru. Odmówili spania na dole; koszmarna piwniczna scena była zbyt świeża nawet dla najbardziej bezwzględnych ludzi. Grigorij nie mógł ich winić.

Joy, kiedyś radosny spaniel carewicza, położył się na podłodze, przy zamkniętych drzwiach prowadzących do pokoi rodziny. Od czasu do czasu popiskiwał. I na najcichszy szmer nadstawiał z nadzieją uszy. Chociaż z tamtej strony drzwi nie dobiegał już żaden odgłos; ani kroków, ani głosów, ani śmiechu. W domu Ipatiewa po Romanowach został jedynie smród ich krwi. Nie pomogło to, że sam Miedwiediew, Litwini i kilku rosyjskich strażników godzinami szorowali szczotkami, szmatami i piaskiem pomieszczenie, w którym odbyła się egzekucja. Fetor przeszedł wszystko. Wchodził nawet do mózgu, metaliczny i lepki. Także zapach prochu.

Ten zapach sprawiał, że nie sposób było odrzucić od siebie te obrazy. Nie, Grigorij Nikulin nie chciał pójść spać, bo gdy tylko zamykał oczy...

Nie uważał siebie za człowieka miękkiego. Jego rewolucyjny pseudonim brzmiał Akuła, Rekin. Zwierzę przebiegłe i krwiożercze. I nie pierwszy to już raz zabijał. Nie dalej jak tydzień

wcześniej celnym strzałem zlikwidował księcia Wasilija Dołgorukowa. Chodziło o wymierzenie sprawiedliwości, wykonanie wyroku za spiskowanie w celu uwolnienia Romanowów. Ręka nawet mu nie zadrżała.

Egzekucja, w której właśnie wziął udział, była jednak zupełnie inna. „Z rozkazu Rady Obwodu Uralskiego należy zabić cara”, poinformowano go. Niech tak się stanie. Car jest wrogiem ludu.

Kiedy jednak nad ranem wszedł do tego klaustrofobicznego pomieszczenia w piwnicy i spojrzął na scenerię – wszyscy ustawieni jak do fotografii: wielkie księżne, tak młode i tak piękne; carowa siedząca z powodu bólów, które nie pozwalały jej ustać; carewicz, ledwie dziecko, mizerne i chore; pokojówka, lokaj, kucharz i lekarz – zdumiał się. Czy oni też byli wrogami ludu?

Mieszkał z Romanowami w domu Ipatiewa. Od pierwszej chwili przyjął na siebie obowiązek pilnowania ich klejnotów. Rodzina skarżyła się, że poprzedni strażnicy próbowali im je ukraść. „Ty wydajesz się uczciwym człowiekiem”, miło powiedziała mu carowa. Jako uczciwy człowiek ograniczył się do skonfiskowania wszelkich cennych przedmiotów; teraz należały do ludu. Dziewczyny były wesołe, często śpiewały. Pozwolił im zatrzymać złote bransoletki, które dostały w prezencie od rodziców, kiedy były małe. Carewiczowi zostawił zegarek; patrzenie, jak mijają godziny, było jedną z nielicznych rozrywek tego słabowitego dzieciaka. Grigorij przeklinał pod nosem za każdym razem, gdy z zaskoczeniem zauważał, że się rozczuła w myślach nad chłopakiem, który czasem za bardzo przypominał mu jego samego. Chudy, kościsty młodzieniec, jakim się teraz stał, był kiedyś równie chorowitym, rachitycznym dzieckiem.

Obecnie już nic z tego nie miało sensu. Wszyscy byli martwi. Dzika strzelanina ciągle dudniła mu w uszach. Dwunastu pijanych przemocą mężczyzn opróżniło magazynki karabinów, strzelając do rodziny i służących jej ludzi. Rozbrzmiewały krzyki zabijanych, którzy zupełnie bezsensownie próbowali osłonić się przed kulami. On wycelowwał w carewicza. Jurowski rozkazał mu zabić dziecko, a on nie chciał rozczarować swojego dowódcy. Zamierzał to zrobić jednym strzałem, ale mały przeżył. Widział go, jak leży w kałuży krwi obok ciał rodziców i sióstr, unosząc błagalnie rękę pośród dymu wypełniającego pomieszczenie. Grigorij dobił go kilkoma strzałami, podczas gdy pozostali bagnietami kłuli innych, którzy przeżyli; wyszedł stamtąd z uczuciem obrzydzenia.

Grigorij Nikulin utkwiał wzrok w zawieszce, którą trzymał w rękach. Szafir wielkości paznokcia lśnił w jej środku. Taki klejnot wystarczyłby, żeby wykarmić całą jego wioskę przez kilka miesięcy. Włożył go do torby wraz z pozostałymi.

To tyrani zmusili ich do zrobienia tych rzeczy.

Powrót do domu Ipatiewa zajął Jurowskiemu ponad dwa dni. Wszedł do środka blady z wyczerpania, chociaż napięcie wciąż napełniało go energią. Przeszedł przez pokój jak podmuch wiatru, krzykiem stawiając do pionu tych, którzy pogrążyli się w apatii.

– Naprzód, towarzysze! Legion Czechosłowacki jest o kilka wiorst od miasta! Zaraz spadnie na nas biała armia! Bierzcie wszystko! Trzeba się stąd wynosić!

Grigorij Nikulin wziął go na stronę.

– Co zrobiliście z ciałami, towarzyszu dowódco?

Jurowski ściągnął czapkę i otarł nią pot z czoła, dysząc ciężko.

– To była cała odyseja. Zabraliśmy ich do starej kopalni złota. Ciężarówka ciągle grzęzła w błocie w tym lesie. Już dniało, kiedy udało nam się dojechać na miejsce. Tam ich rozebraliśmy, spaliliśmy ubrania, a ciała wrzuciliśmy do szybu. Chciałem posłać za nimi wiązkę granatów, żeby wybuchem zatrzeć ślady. Ale okazało się, że ci durnie z fabryki, ci goście, których

przyprowadził Jermakow, żeby nam pomogli, puścili farbę i o sprawie wiedziała już cała wioska. Wszystko spierdolili! No więc musieliśmy wyciągnąć ciała z tego szybu, żeby zabrać je w inne miejsce. Mówili, że jest jakaś jeszcze głębsza kopalnia o kilka wiorst stamtąd. Ciężarówka już się do niczego nie nadawała. Udało się załatwić dwa inne pojazdy, ale zakopały się na leśnym dukcie. W końcu wzięliśmy zwykłe wozy. Położyliśmy ciała na noszach skleconych z gałęzi i przykryliśmy brezentem. I w drogę. Tyle że tej cholernej kopalni nigdzie nie było. Nagle wszyscy zapomnieli, gdzie ona, kurwa, jest! Powiedziałem: „Dobra, nie będę się dalej błąkał. Zostawimy ich tutaj, trzeba ich spalić albo zakopać”. Jeden z tych pomocników z fabryki połał dwa ciała benzyną i podpalił, ale zwiął w połowie roboty. To było dziecko i pokojówka. Miałem tego dosyć. Już drugi dzień pętałem się po lesie z tymi cholernymi trupami! Spalenie ciała zajmuje dużo czasu, wiedziałeś o tym? „Do kurwy nędzy! Zakopmy wreszcie tę resztę!” – rozkazałem. Wykopaliliśmy dół. Wystarczająco głęboki, żeby wszystkich pomieścić. Przed zasypaniem polaliśmy ciała kwasem siarkowym. Jeśli ktoś ich znajdzie, i tak nie rozpozna. Zapisalem sobie, gdzie to jest. – Dla potwierdzenia tych słów położył dłoń na kieszeni kurtki. – W Koptiakach, jakieś osiemnaście wiorst na północny zachód stąd. Można poznać po torach kolejowych. Mam to dokładnie zapisane.

Grigorij skinął głową w milczeniu. Nagle Jurowski mocno klepnął go po plecach. Chłopak aż się przestraszył i ugiął pod tym gestem silnego, postawnego mężczyzny, który z jakiegoś powodu go polubił i traktował jak syna.

– Chodź! Nie mamy zbyt wiele czasu. Zebrałeś wszystko, tak jak ci powiedziałem?

Oczywiście, że wypełnił skrupulatnie rozkaz towarzysza dowódcy. Przyjrzał się każdemu przedmiotowi, który należał do Romanowów, i spakował to, co mogło się okazać cenne, nawet sukienki i buty kobiet. Nic już nie wisiało na wieszakach w szafach, nie ostał się nawet złamany grzebyk ani pusty flakonik po lekarstwach, resztę papierów i wózek inwalidzki Aleksandry Fiodorowny spalili w kominku. Siedem dużych skrzyń i zapieczętowana woskiem aktówka z dokumentami czekały w holu.

– Słuchaj – ciągnął Jurowski – zajmiesz się przewiezieniem tego wszystkiego do Moskwy. Rada przysłała te rozkazy. – Podał mu wypisany odręcznie dokument. – W pociągu z Permu są przygotowane dwa wagony. Co do klejnotów, lepiej, żebyś miał je przy sobie. Rozumiesz, bez zwracania na siebie uwagi. Nie możesz wyglądać na rewolucjonistę. – Jego śmiech zadudnił w pomieszczeniu. – Oczywiście zebrałem wszystko, co dziewczyny ukryły pod ubraniem. Ludzie Jermakowa rzucali się na każdą błyskotkę jak cholerne sroki, musiałem im to wyrwać z rąk. Grigorij – chwycił go za ramię i wytrzeszczył oczy, jakby zaskoczony – to, co znaleźliśmy przy nich w noc egzekucji, to jeszcze nic. Te kobiety były nafaszerowane biżuterią! W ich gorsetach znaleźliśmy dziewięć czy dziesięć kilo diamentów. Nic dziwnego, że kule się od nich odbijały! Ukryłem wszystko w piwnicy szkoły w Ałapajewsku, kiedyś je odzyskamy. Ach! – Włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął garść splątanych sznureczków. Położył je na stole. – Matka i córki miały to na szyjach. Zdjęcie świętoszka Rasputina, każde z nie wiem iloma pieprzonymi modlitwami. Ci ludzie mieli coś z głową! Wariaci! – Postukał się palcem w skroń. – Spal to razem z ikonami.

Pośród relikwiarzy szalonego mnicha Grigorij zauważył coś, co się od nich odróżniało. Wziął to do rąk. Zielony kamień, niepozorny, w kształcie medalionu, trochę większy niż srebrny rubel.

– A to? – zapytał Jurowskiego.

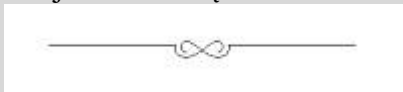
Dowódca wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Wisiało na szyi Fiodorowny. To pewnie jeden z amuletów, w których wszystkie tak gustowały. Weź go sobie, jeśli chcesz. Może tobie przyniesie szczęście!

– Odkasznął, po czym zaczął krążyć po pomieszczeniu, wykrzykując rozkazy na prawo i lewo.

Grigorij dokładnie obejrzał medalion, jakby się zastanawiał, czy warto go zatrzymać. Był na nim wyryty jakiś wizerunek. W tym słabym świetle nie mógł się zorientować, co przedstawia, ale wyglądało to na jakieś stworzenie... może smoka? Nie udało mu się przeczytać inskrypcji biegnącej wokoło. Nie była napisana cyrylicą ani żadnym innym alfabetem, który by rozpoznał.

Przez jego ręce przeszły różne klejnoty Romanowów, każdy z nich był znacznie cenniejszy i robił dużo większe wrażenie niż ten stary wisior. Jaką wartość mógł mieć dla nich, ludzi, którzy posiadali największe bogactwa świata? Po co im była taka zwykła błyskotka? Weźmie to sobie jako relikwię? Jako trofeum? Co może zrobić szczyry bolszewik z medalionem carowej?



Stambuł

14 kwietnia 1933

Walther Hanke zapalił zapalniczkę i przybliżył płomień do papierosa. Ręka lekko mu drżała. Był zdenerwowany. Pierwsze zaciągnięcie się, długie i głębokie, trochę go uspokoiło. Oparł się o balustradę balkonu i rozejrzał, by zapamiętać z detalami tę piękną noc, kiedy podjął próbę naprawienia wszystkiego: chłodny wiaterek niosący ze sobą zapach bzu i ziół, blask światła na spokojnych wodach Bosforu, zarysy tego rozedrganego miasta odcinające się na czarnym, bezgwiezdnym niebie.

Podobał mu się Stambuł. Miasto było takie jak on: wchłonęło największe kultury, niosło je we krwi, stały się one częścią jego tożsamości. W Stambule czuł się dobrze, dom jego przyjaciela Rudolfa Glauera okazał się też domem dla niego, spędził tu wiele miłych chwil.

Walther nie był złodziejem. Nie chciał też myśleć, że jest zdrajcą, a przynajmniej nie, że zdradza Rudolfa. To cholerne okoliczności popychały go do tego, co właśnie miał zamiar zrobić. Jego przyjaciel nie był tak zaślepiiony...

Ich przyjaźń trwała już trzydzieści lat. Poznali się w Egipcie, kiedy obaj pracowali w niemieckiej firmie kolejowej. Natychmiast zbliżyło ich do siebie zainteresowanie cywilizacją faraonów, chociaż niebawem zdali sobie sprawę, że łączy ich znacznie więcej: filozofia, astrologia, okultyzm... Krótco potem wstąpili do masonerii, do egipskiego rytu Memphis-Misraim, i to wtedy stali się badaczami hermetyzmu.

Życie Walthera jako inżyniera kolejowego upływało na podróżach: Imperium Rosyjskie, Bałkany, Imperium Osmańskie... W ich trakcie poznawał różne kultury i języki, uczył się różnych sposobów myślenia, tradycji, rytuałów, przesądów i tajemnic. Został kolekcjonerem starych książek, osobliwości i antycznych artefaktów; także legend przekazywanych poprzez wieki.

Rudolf dla odmiany pędził bardziej osiadły tryb życia, dzieląc je między Niemcy a Turcję. Został nawet obywatelem osmańskim, po tym jak adoptował go pochodzący z Niemiec baron Heinrich von Sebottendorf, i odtąd sam przedstawiał się jako baron Rudolf von Sebottendorf. Rudy... zawsze miał manię wielkości. Trzeba jednak przyznać, że świetnie sobie radził. Posiadał liczne nieruchomości w Niemczech i Turcji, między innymi tę yalı – piękną willę nad brzegiem Bosforu, na której balkonie stał teraz Walther. Był związany z elitą polityczną, kulturalną i inte-

lekturalną obu krajów. Potrafił swobodnie się poruszać wśród kręgów zbliżonych do władzy. Walther nigdy nie był tak ambitny. Wolał pozostawać w cieniu, oddawać się studiom, badaniom, poszukiwaniom... Był mistykiem, intelektualistą.

Często żałował, że dał się namówić Rudolfowi na wstąpienie do Towarzystwa Thule. Przyjaciel przekonywał go, że obaj mają zbyt dużą wiedzę i nie mogą być po prostu kolejnymi numerami na listach innych bractw; ich przeznaczeniem było zostać przywódcami, pociągać za sznurki świata. Oczywiście nowy baron von Sebottendorf, który zmienił dogorywający Germanenorden, Zakon Germanów, i jego wątpliwej jakości studia nad magiczną mocą runów w prężne i atrakcyjne Towarzystwo Thule, mówił o własnych interesach. Problem w tym, że w Towarzystwie Thule Rudolf dał schronienie wszystkim teoriom broniącym aryjskiej supremacji i podsycającym rasistowskie, nacjonalistyczne i imperialistyczne aspiracje ich wyznawców. Odszedł od tego, co powinno być celem prawdziwego bractwa: od podsycaenia ducha krytycznego, wzbogacania myśli poprzez dialektykę i chronienia dziedzictwa właśnie przed tymi, którzy pragną wykorzystać je na własny użytek. Od samego początku Rudolf zadawał się z najważniejszymi ludźmi z partii nazistowskiej: Hitlerem, Himmlerem, Rosenbergiem, Hessem, Göringiem... Było w tych ludziach coś takiego, co się Waltherowi głęboko nie podobało. Ich przemowy były bezkompromisowe, ekstremistyczne, czasem wręcz paranoiczne. On nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z takimi ludźmi. No i, u diabła, teraz przejęli rządy w Niemczech! Czyste szaleństwo...

Günter Kirch też był jednym z nich. Zaczął jako felietonista od krótkich tekstów o ezoteryce, teraz był deputowanym do Reichstagu reprezentującym Bawarię. Walther musiał przyznać, że kiedy Rudolf go przedstawił – chciał zatrudnić Güntera jako redaktora w gazecie, którą kupił wtedy w Monachium – wydał mu się człowiekiem sympatycznym: ot, uśmiechnięty gruby Bawarczyk. Na początku robił na nim wrażenie autentycznego masona, bezinteresownego ducha, wolnomyśliciela, niespokojnego umysłu łaknącego poznania. Wierzył, że może go uznawać za przyjaciela, że może mu ufać. We trzech założyli Towarzystwo Thule i Rudolf z Waltherem podzielili się z nim swoim największym sekretem. Kiedy jednak Günter wstąpił do NSDAP, jego poglądy i zainteresowania zmieniły się radykalnie, być może uwiodła go retoryka władzy.

Walther nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak doszło do tego, że Günter został nazistowskim fanatykiem i że Rudolf podporządkował się jego planom. Bronił się przed tą oczywistością jeszcze kilka godzin wcześniej, kiedy podczas kolacji Bawarczyk wyłuszczał swoje zamiary, a Rudolf mu wtórował. Aż w końcu dotarło do Walthera, że ten, którego uważał za przyjaciela, nie tylko rozbił jego relacje z Rudolfem, ale też przywłaszczył sobie jego odkrycie i jest gotowy oddać je w ręce nazistów.

Walther nie miał jednak zamiaru tak zwyczajnie się poddać. To była zbyt poważna sprawa, zbyt niebezpieczna. A on mógł zagrać jeszcze jedną kartą.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem i zgasił go na balustradzie, po czym wrócił do pokoju. Rzucił okiem na zegarek; o tej porze mieszkańcy domu już pewnie od jakiegoś czasu śpią. Popił z kieliszka, który zostawił na toalecie, i unosząc wzrok, zobaczył swoje odbicie w lustrze. Pomarszczona twarz i rzadkie siwe włosy przypomniały mu, że nie jest już młodzieniaszkiem. Czy warto zrobić to, co zamierza? Mógł zwyczajnie stąd odejść. Wyjechać i spokojnie dożyć swoich dni, a świat niech dalej podąża tym obłąkańczym kursem. Taka postawa bardziej by do niego pasowała.

Pewne jednak było, że już za głęboko w to zabrnął. Nigdy nie zazna spokoju, jeśli zostawi sprawę tak, jak się mają. Nie zastanawiając się dłużej i wracając do swojego planu, sięgnął po aparat fotograficzny i wyszedł na pusty, ciemny korytarz.

Piętro niżej znajdowała się biblioteka Rudolfa, wspaniałe pomieszczenie, wypełnione książkami od podłogi do sufitu – tysiące egzemplarzy gromadzonych przez lata, niektóre o wiel-

kiej historycznej wartości, jak kolekcja średniowiecznych grymuarów. W tej bibliotece Walther i Rudolf spędzili szczęśliwe chwile, pogrążeni w dyskusjach, które trwały dni i noce, w studiach i badaniach. Chwile pachnące tytoniem, alkoholem i miętową herbatą, starym papierem i kurzem. Tam dokonali swojego wielkiego odkrycia.

Walther zapalił lampkę na stole. Dość, żeby zyskać odrobinę światła, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Skierował się do półek ze zbiorem starego Termudiego.

Rodzina Termudich, Żydów pochodzących z Salonik, należała do najważniejszych w Bursie, gdzie Rudolf mieszkał przez swoje pierwsze lata w Turcji. Handlowali jedwabiem i byli bankierami. Patriarcha rodu ostatnie lata życia spędził na studiowaniu kabały i zdołał zgromadzić wielki zbiór tekstów alchemicznych. Termudi byli masonami; wprowadzili do rytu Memphis-Misraim młodego podówczas Rudolfa Glauera, który z kolei polecił Walthera. Patriarcha polubił Rudolfa. Do tego stopnia, że na łożu śmierci podarował mu swoją bibliotekę ksiąg ezoterycznych, hermetycznych, alchemicznych... niektóre miały po kilka wieków. Rudolf i Walther spędzili całe godziny pośród tej spuścizny. I tam je znaleźli.

Rudolf trzymał listy w zamkniętej na klucz skrzynce, ukrytej w schowku za półką u dołu regału. Walther wyjął skrzynkę i otworzył ją swoim kluczem. Tylko oni dwaj mieli dostęp do tych dokumentów.

Z wielką ostrożnością wyciągnął kilka plików grubego pożółkłego papieru i rozłożył je na stole, pod lampą. Listy filozofa humanisty Pico della Mirandoli do żydowskiego myśliciela Eliasza Delmedigo. Potwierdzały istnienie dwóch skarbów należących do Wawrzyńca Medyceusza. Tajemniczego obrazu *Astrolog*, który rzekomo skrywał sekret Szmaragdowej Tablicy, i tego, co dla Walthera jako masona obeznanego z tradycją i legendą założycielską było znacznie ważniejsze: Ognistego Medalionu.

Walther sfotografował listy, ponownie złożył i schował do skrzynki. Przygnębiony rzucił na nie okiem po raz ostatni.

Renesansowi humaniści w swej niezmierzonej mądrości zrozumieli konieczność przechowania w ukryciu wielkiej tajemnicy, której ujawnienie mogło mieć nieprzewidywalne dla ludzkości konsekwencje. Przez prawie pięćset lat ich plan działał, a teraz Günter Kirch i Rudolf von Sebottendorf zaślepieni ambicją zamierzali go zrujnować, wręczając listy nazistom. Miał szczerą ochotę natychmiast je spalić. Jednak na nic by się to nie zdało, skoro ich zawartość już wyszła na światło dzienne. Spalenie ich tylko by go zdradziło.

Potrzebował jedynie fotografii jako dowodu, aby przeprowadzić swój plan, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Plan, który zasadzał się na czymś, co odkrył po latach badań na własną rękę. To była ta karta, którą mógł jeszcze zagrać, i chociaż miał nad nimi sporą przewagę, musiał działać szybko, żeby zwyciężyć w tej grze.

Walther Hanke wiedział bowiem coś, czego pozostali nie wiedzieli. Walther Hanke wiedział, gdzie znaleźć Ognisty Medalion.



CZEGO MOŻE CHCIEĆ ODE MNIE MARTIN LOHSE?

Nigdy nie byłam jakoś szczególnie usportowiona. Kiedyś zapisałam się na siłownię. Teo przekonał mnie do tego. Wytrzymałam pewnie z miesiąc, aż udałam, że mam zapalenie ścięgna, i się wypisałam. Przy innej okazji Teo wpadło do głowy ćwiczyć bikram jogę i namówił mnie, żebym z nim chodziła na te treningi do sali podgrzanej do czterdziestu stopni i o czterdziestu procentach wilgotności. Zostałam to po trzecim razie, kiedy przy powitaniu słońca kilka razy zostałam spryskana potem gościa z maty obok. Zostałam też kick boxing, bachatę, pilates i pływanie. Aż wreszcie pokonana przez umiłowanie siedzącego trybu życia, przestałam towarzyszyć Teo w jego sportowych przygodach.

Jednak od powrotu do Madrytu zaczęłam biegać. Nie uprawiać jogging, nie, po prostu biegać. Bo nie chodziło mi o dyscyplinę sportową, podniesioną do tej kategorii przez anglicyzm i stosowny strój, ale o niemal pierwotne wyżycie się, coś na kształt ucieczki jaskiniowców przed mamutem. Takie miałam odczucia. I pasowało mi to.

Tak więc któregoś wieczoru, spocona i zdyszana, jakby mnie po bulwarach paseo de la Castellana mamut gonił przez pół godziny, bo maksymalnie tyle wytrzymuję, nim padnę, wróciłam do domu. Przypuszczam, że pokonanie pięciu pięter bez windy do mojej mansardy też może zostać uznane za sport; jedyny, który rzeczywiście zawsze regularnie uprawiałam.

Zgodnie ze swym najnowszym zwyczajem poszłam prosto do łazienki, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Czysta, świeża, w piżamie, nawet wyczyszczone do połysku wcześniej zaparowane i upstrzone kropelkami potu szkła okularów, postanowiłam przygotować sobie coś na kolację, bo uciekanie przed mamutem wywołuje konkretny głód.

Prześmieszne: gdy otworzyłam lodówkę i spotkałam się z chłodnym powitaniem jogurtu, przeterminowanego, trzech saszetek keczupu od zamówionego kilka dni wcześniej hamburgera, cytryny, której zakupu nie pamiętam, bo do czego mogłabym potrzebować cytryny, oraz butelki z resztką gazpacho, której nie wystarczyłoby nawet na pół kubeczka, zdałam sobie sprawę, że już samo wejście do kuchni było absurdalnym pomysłem.

– Jutro. Jutro bez gadania idę do supermarketu. Obiecuję – powiedziałam głośno, wiedząc, że najprawdopodobniej sama siebie oszukuję.

Sięgnęłam po telefon, żeby zamówić na przykład sushi. Dokładnie w tej chwili w oknie aplikacji do zamawiania jedzenia żywo wykwitło połączenie od mojej mamy.

– *Salut, maman* – odebrałam po francusku, w jej języku, bez zbytniego entuzjazmu, bo wiedziałam, że odbędziemy tę samą codzienną rozmowę.

– Cześć, kochanie. Zjadłaś już kolację?

– Właśnie miałam...

– Ana, ty musisz jeść. Strasznie jesteś chuda.

– Mamo, jem. Tyle że teraz uprawiam sport i...

– Twój ojciec mi powiedział, że w południe zjadłaś tylko kanapkę.

Mój ojciec jest kapusiem.

– To była gigantyczna kanapka, mamo. Trzypiętrowa. Może nawet cztero.

– Posłuchaj mnie, córeczko, to oczywiste, że jesteś smutna.

– Nie jestem smutna. Co to za mania...

– Ale nie możesz spędzać życia na pławieniu się w smutku. Musisz wyjść z domu, spotkać się z ludźmi. Jest piątek wieczór! Dlaczego siedzisz w domu? Czy ty nie masz przyjaciół?

– Mam przyjaciół.

– Mówię ci to i powtarzam: nie jest dobrze mieszkać w pojedynkę. Teraz, kiedy Teo i Toni się wyprowadzili, zostałam kompletnie sama. To nawet jest niebezpieczne. Ilu ludzi mieszka w tym budynku? Pani Carmen, ta z trzeciego? Ta z brzydkim psem, wiesz, którym, prawda? Czy umarła? Mogą cię napaść, zgwałcić albo zabić i nawet nikt się nie dowie.

– Na miłość boską, mamó, mieszkam w samym środku dystryktu Chamberí. Dookoła są tysiące ludzi.

– Powinnaś wrócić do domu. Przynajmniej na jakiś czas, aż życie ci się ułoży.

Moje życie już było ułożone. Mniej więcej. Ale dla mojej matki nie będzie, dopóki powtórnie nie wyjdę za mąż: małżeństwo to dla niej jedyny sposób na ułożenie sobie życia. I w tym sensie okazałam się dla niej całkowitym rozczarowaniem.

Puściłam to mimo uszu. Po kilku identycznych rozmowach doszłam do wniosku, że nie ma sensu klócić się z matką. Wbiła sobie do głowy, że jestem smutna, że prowadzę bezsensowne życie w pustym domu, gdzie któregoś dnia spotka mnie gwałtowna śmierć. Tak więc pozwoliłam się jej wygadać, jak co wieczór i jak w każdą niedzielę przy obiedzie u nich w domu.

Kiedy wreszcie udało mi się skończyć tę rozmowę, złożyłam zamówienie i wyszłam na chwilę na taras. Najpierw jednak postanowiłam dobrze wykorzystać tę cytrynę i dodałam kilka jej plasterków do szklanki wody; z pewnością kupiłam ją właśnie po to.

Było bardzo gorąco jak na końcówkę września, więc nieliczne rośliny, którym udało się jakoś przetrwać, mimo że wciąż o nich zapominałam, teraz marniały. Popiłam łyk wody i resztą je podlałam. Kiedy przyszło mi do głowy, że być może cytryna nie jest najlepsza dla kwiatów, było już za późno.

Oparłam się o balustradę. Z ulicy docierał zgiełk typowy dla początku weekendu. Wszystkie stoliki w restauracyjnym ogródku były zajęte. Na placu zabaw zostało jeszcze kilkoro dzieci. W altanie grupka dość głośnych dziewczyn i chłopaków paliła i piła. A! I na ławce na uboczu całowała się para nastolatków. Tych samych co każdego wieczoru. Błogosławiony młodzieńczy żar.

Ale rzeczywiście mój budynek, wbity w kąt placu, był ciemny i cichy.

Włączyłam muzykę. Playlistę jazzową. Zgoda, nie jest to coś najbardziej żywego, ale w sumie jaką imprezę mogłam sobie sama rozkręcić? Poza tym nie chciałam niepokoić pani Carmen, sąsiadki z trzeciego piętra, tej od brzydkiego psa, a właśnie, oboje żyją, ona i pies. Biedny Bubu, nie jest wcale taki brzydki, mama przesadza.

Spojrzałam w lewo. W stronę domu Teo i Toniego. Światła zgaszone, meble poskładane, kwiaty... Już nie było kwiatów. Toni miał dobrą rękę do kwiatów i innych roślin, zrobił z tarasu prawdziwy ogród. Latem zbierał nawet pomidory. To on zajmował się moimi roślinami. Teraz jednak były zwiędłe albo w ogóle ich nie było.

Mama miała rację: tęskniłam za Teo i Tonim. Gdyby jeszcze byli moimi sąsiadami, właśnie jedlibyśmy razem kolację na ich pełnym roślin tarasie, jakieś przesmaczne danie ugotowane przez Toniego; na samą myśl o tym pociekła mi ślinka i serce zmiękło jak gąbka. Ja śmiałybym się z Teo. Już bym nie płakała, nie, tę fazę miałam za sobą. Teraz płakałam znacznie mniej. Szczerze mówiąc, wcześniej płakałam za dużo. Już nie. Dojrzałam. Dojrzeć to nie tylko postarzyć się, to żyć. I ja dużo żyłam przez te ostatnie cztery lata.

Stałam się trochę mądrzejsza, trochę silniejsza, trochę bardziej niezależna. Nie oszukiwałam mamy, kiedy mówiłam jej, że nie jestem smutna. Tęsknić to nie znaczy być smutnym. To docenić, co się miało, i używać tego jako paliwa, żeby kontynuować podróż.

Dla mamy było błędem to, że postanowiłam stawić czoło nowemu etapowi mojego życia sama, w tym domu, daleko od wszystkich, którzy mogli mi być oparciem. Ona jednak nie rozumiała, że moja mała mansarda, pokręcona i ciasna, jest dokładnie tym miejscem – z wszystkich

możliwych – w którym czuję się najlepiej; jest częścią mojej tożsamości, czymś najbardziej autentycznym; najlepszym punktem wyjścia do osobistej odbudowy. Wróciłam do domu i wszystko miało się ułożyć.

Mansarda była pracownią mojego dziadka, malarza. Kochałam dziadka, łączyła mnie z nim specjalna więź. Podziwiałam go jako osobę, jako artystę i jako dziadka. Nie tylko zaszczytał mi miłość do sztuki, ale też znacząco przyczynił się do tego, kim jestem. Przez całe życie ledwie świadomie opowiadałam mu o wszystkich swoich sukcesach i porażkach. Czy byłby ze mnie dumny? Czy go zawiodłam?... Poczułam się samotna, kiedy umarł, trochę też zagubiona; odszedł, zostawiając niedokończzone dzieła, mnie zostawiając niedokończoną, wciąż ze zbyt wieloma pytaniami, zbyt wieloma wątpliwościami, zbyt wieloma strachami.

Ojciec uznał, że powinnam zatrzymać pracownię. Zrobiłam z tej otwartej przestrzeni swój dom: mały salon, sypialnia, łazienka, kuchnia... wszystko małe. Ale moje. Pełne pamiątek, chwil, rozmów. Zachowałam drewniane podium z kropeczkami farby i szkice, które w twórczym szale zrobił ołówkiem na pobielonych ścianach, i stary kominek, który od dawna nie ciągnął, więc wypełniłam go świecami. Zachowałam jego książki i kolekcję szklanych butelek, które wykorzystywał jako wazoniki, i sztalugi, na których zawieszałam koce albo płaszcze w zimie i kapelusze w lecie. Także jego plakaty z targów sztuki – zajęły miejsce nad kanapą. Przechowywałam jak skarb słoiczki z zaschniętymi pędzlami rozstawione między szafką nocną a regałem i poobijane fajansowe filiżanki, z których w niedzielę jadaliśmy czekoladę z churros...

Poruszona nostalgią, jaką wywołała ta niespodziewana lawina wspomnień, pod wpływem impulsu wróciłam do salonu i chwyciłam album z fotografiami. Album dziadka, o grubych okładkach ze skóry i pożółkłych stronach chronionych bibułkami. Niektóre zdjęcia ciągle się odklejały, a ja przyklejałam je na nowo. Skuliłam się na kanapie i po raz nie wiem który zaczęłam przeglądać album. Był tam młody dziadek na początku, na biało-czarnych zdjęciach; wizerunki ludzi, których nigdy nie poznałam. Potem pojawiała się babcia, która zmarła na krótko przed moimi narodzinami. I tata, od niemowlaka aż do dorosłości. Nagle zaczęłyśmy się pojawiać siostra i ja. I zdjęcia stały się kolorowe. Ja sama pozowałam z dziadkiem przez całe moje życie. Ostatnie zdjęcie zrobiono nam, gdy już był staruszkciem, w dniu mojego absolutorium na uniwersytecie. Dziadek obejmował mnie, a ja z dumą pokazywałam dyplom; z taką samą dumą, z jaką on na mnie patrzył. Zdjęć mojej mamy prawie nie było. Utrzymywali dość serdeczne stosunki, ale nigdy się nie dogadywali: byli zbyt różni. Mama zawsze miała pstro w głowie; dziadek dla odmiany zawsze twardo stał na ziemi.

„Najważniejsze jest to, kim jesteś i kim chcesz być, a nie to, czego inni od ciebie oczekują”, mawiał. Obym nigdy nie zapomniała tego zdania.

Co by o mnie pomyślał, gdyby mnie teraz zobaczył? Może byłby dumny. Ale ja bym mu powiedziała, że w sumie nie wiem, co zrobić z życiem; miałam prawie trzydzieści pięć lat i żadnego planu, projektu. Ledwie wiedziałam, kim jestem, i zupełnie nie widziałam, kim chcę być, bo zbyt wiele czasu byłam kimś, kim inni chcieli, żebym była.

Sygnal wiadomości przerwał muzykę w telefonie oraz moje rozważania. Nie powiem, że rzuciłam się, żeby na nią spojrzeć, ale prawie. Tęsknota oznacza także nieustanne patrzanie na telefon. Na wszelki wypadek.

Przez chwilę myślałam, że to esemes zawiadamiający, że sushi już jest w drodze. Ale to był e-mail. E-mail od Martina Lohsego?

Martin Lohse... Zmarszczyłam brwi. Od czasu *Astrologa* prawie nic o nim nie słyszałam. Czego może chcieć ode mnie Martin Lohse? Temat zawierał tylko suche „cześć” po francusku. Może to jedna z tych forwardowanych wiadomości wysłanych do wszystkich z listy kontaktów. „Tak, na pewno o to chodzi”, myślałam, jednocześnie ją otwierając.

Od: mlohse@hmail.com

Do: agbrest@hmail.com

Temat: Cześć

Droga Ano,

mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Wolałbym zadzwonić, ale nie wiedzieć czemu, mam zły numer. Jak dzwonię, zgłasza się skrzynka pocztowa niejakiego Alfreda. Mam nadzieję, że z Twoją skrzynką mailową nie będzie tak samo.

Bardzo chciałbym Cię zobaczyć i porozmawiać o sprawie związanej z wiadomością, którą załączam. Nie wiem, czy już o tym słyszałaś.

Proszę, zadzwoń do mnie. Mój numer +41 570 984 284.

Pozdrawiam

Martin

Nie zagłębiając się w krótką, tajemniczą i zaskakującą wiadomość Lohsego, od razu przeszłam do załącznika. Był to wycinek z włoskiej gazety „La Nazione di Firenze” ze zwięzłą informacją. Nie wiem, z jakiego powodu Lohse uważał, że mówię po włosku, bo nie mówię. Na szczęście artykuł nie był po chińsku, więc coś tam zdołałam zrozumieć. Nie bez powodu przez pół mojego zawodowego życia czytałam włoskie teksty, nie mówiąc w tym języku.

Znaleziono ciało przedsiębiorcy Giancarla Bonattiego, nosiło ślady przemocy

Florencja, 5 sierpnia

Karabinierzy z komendy w Orbetello badają sprawę śmierci Giancarla Bonattiego. Ciało znanego przedsiębiorcy znalazł w jego rezydencji Monte Argentario w poniedziałek z samego rana członek personelu domowego. W oczekiwaniu na wyniki autopsji śledczy pracują nad hipotezą brutalnej zbrodni, której najbardziej prawdopodobnym motywem była kradzież. Sędzia nadzorujący śledztwo utajnił postępowanie.

Bonatti (67 lat) znajdował się na liście 20 najbogatszych ludzi we Włoszech i był mężem Angeliki Sordi. Para rozwiodła się przed dwoma laty. Od tego czasu magnat żył z dala od światła reflektorów jako mecenas sztuki i filantrop. Poprzez swoją fundację, Arte per Tutti, sponsorował wiele włoskich muzeów, między innymi Galleria degli Uffizi we Florencji, Muzeum Egipskie w Turynie i Muzeum Archeologiczne w Neapolu.

Przeczytałam to kilka razy, żeby nic mi nie umknęło. Zupełnie jednak nie rozumiałam, co wspólnego może mieć ta informacja prasowa ze mną albo z Martinem Lohsem. Przyszedł mi do głowy tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Wybrałam numer telefonu i odczekałam kilka sygnałów.

– Martin, tu Ana. Ana García-Brest.



TO CZŁOWIEK ENIGMA

Zadałam sobie pytanie, czy Martin Lohse ma stały adres, jak każdy normalny człowiek. Był Niemcem, a przynajmniej tak sądziłam. Poznałam go na Majorce, w pięknym domu na brzegu morza, niedaleko Deià. Jednak to nie była jego rezydencja. Wcześniej wpadłam na niego w Petersburgu i w Fontainebleau, zupełnie przypadkiem. A ostatni numer, z którego próbował mnie zlokalizować, miał kierunkowy Szwajcarii. To mu nie przeszkodziło umówić się ze mną na następny dzień na obiad w centrum Madrytu.

Przyszedłam wcześniej do ogródka tajskiej restauracji, przyjemnego miejsca jak na te ostatnie dni lata, z bulgoczącym stawkiem kolorowych rybek i tropikalną roślinnością. Usiadłam, żeby poczekać na Martina, przy stoliku w cieniu bananowca i przejrząwszy kartę, zamówiłam wyszukany koktajl, który smakował przede wszystkim ananasem i imbirem.

Pojawił się po dziesięciu minutach i zaczął usprawiedliwiać swoje spóźnienie, chociaż tak naprawdę to on przyszedł punktualnie, a ja przed czasem. Był mężczyzną niebywale szarmanckim i dobrze wychowanym, trochę starej daty, co kontrastowało z jego wyglądem studenta i kapitana drużyny rugby dowolnego uniwersytetu należącego do Ivy League. Wysoki, dobrze zbudowany, jasnowłosy, wielkie, przejrzyście niebieskie oczy, długie rzęsy, opalona dziecięca twarz (w moich wspomnieniach był bledszy, może właśnie wrócił z wakacji). Miał niemal kobiecą urodę, więc próbował podkreślać męskość poprzez rozczochranie rzadkich włosów i dwudniowy jasny zarost, z tych, które nigdy nie zamieniają się w brodę. Na pierwszy rzut oka wyglądał na zdrowego, prostego faceta. To mnie zawsze zbijało z tropu. Kiedy miałam z nim do czynienia za pierwszym razem, w bardzo dziwnych okolicznościach, nawet zanim poznałam jego imię, Martin Lohse zachował się mniej więcej jak Ethan Hunt z *Mission Impossible*, Madelman z twarzą wymazaną na czarno, zdecydowanie i skutecznie, dzięki czemu uratował mi życie.

Od tego czasu minęły cztery lata i poza krótkim spotkaniem w Deià więcej się nie widzieliśmy. Oczywiście rozmawialiśmy kilka razy przez telefon i pisaliśmy do siebie e-maile, kiedy prosiłam go o pomoc w sprawie jakichś kolekcji, które badaliśmy, ale nasza relacja ograniczała się do tego i trudno by ją uznać za zawodową. Dlatego teraz byłam i rozkojarzona, i zaintrygowana.

Początek obiadu minął w niezwykle normalnej atmosferze, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy spotykają się po długim czasie niewidzenia i opowiadają sobie, co u nich słychać. Kilka ładnych kelnerek ubranych w tradycyjne tajske stroje podawało nam to, co wspólnie zamówiliśmy: satay, pad thai, massaman thai, khao pad... Banalność rozmowy podkreślała sztuczność sytuacji, żadne z nas nie wchodziło w nic głębszego. I ja ciągle o Martinie Lohsem wiedziałam tylko tyle, że zajmuje się tym czy owym, tu czy tam i że wszystko ma związek ze światem sztuki.

Kiedy mówił, po francusku, z tym swoim szczególnym akcentem, zaskakująco delikatnym jak na to, że miał być Niemcem, dokładnie mu się przyglądałam, analizując detale, by go rozszyfrować. Ten swój zdrowy i prosty wygląd, o którym wspomniałam, podkreślał pewną niedbałość: koszula wyrzucona na spodnie, bose stopy w butach, mały tatuaż po wewnętrznej stronie nadgarstka, skórzane bransoletki... Jednak na ręce miał zegarek Louis Moinet, model Jules Verne, tytan i stal; dyskretny, na który większość ludzi raczej nie zwróciłaby uwagi, ale który kosztował około piętnastu tysięcy euro. Znałam jego cenę, bo to był jeden z ulubionych zegarków Konrada.

Martin należał do tych osób, które nie wysilając się za bardzo, zawsze trafiają w sedno.

Ucieszyłam się, że po prawie roku poszłam do fryzjera i ogólnie doprowadziłam się do ładu, i chociaż miałam na sobie prostą sukienkę z wyprzedaży, było mi w niej dobrze. Nawet założyłam szkła kontaktowe, czego od dawna nie chciało mi się robić, i trochę mi teraz przeszkadzały.

„Dziewczyno, jak się ma takie ładne oczy, szkoda chować je za okularami” – powtarzała mi mama w przyływach miłości, choć moje oczy, prawdę mówiąc, są całkiem zwyczajne. Ani za duże, ani za małe, ani za wąsko osadzone, ani za szeroko, mają kolor piwny, jak oczy większości światowej populacji. Podobnie zwyczajne są moje włosy, choć wtedy akurat lśniły jaśniej, niż chciała to sprawić fryzjerka. Musiałam przyznać, że wyglądały całkiem ładnie. Miałam też na sobie sandały na obcasie, a przecież nienawidzę obcasów, bo po kilku krokach robią mi się na stopach pęcherze. Kiedy jednak czuję się wysoka, czuję się też ważna. Martin jest dość wysoki, ma pewnie około metra dziewięćdziesięciu, więc ucieszyłam się, że włożyłam te sandały, bo w ten sposób nasze moce jakby się wyrównały. Czasem przychodzą mi do głowy dziwne rzeczy...

– Nie pytam, czy chcesz deser, bo widziałem, że zaczęłaś czytać kartę od końca – zauważył.

Jedną z moich słabości jest jedzenie, konkretnie słodczy; kręcą mnie cukier i tłuszcz, a zmieszane wydają mi się cudowne. Na szczęście z natury jestem szczupła, ale nie mam nadprzyrodzonych mocy i jeśli jem, tyję, jak niemal wszyscy. To jednak cena, którą zawsze jestem gotowa zapłacić za dobry deser. Wyrównam to odrobiną ćwiczeń, nawet jeśli nigdy nie mam na nie ochoty.

– Przejrzałeś mnie – przyznałam z uśmiechem.

– Black Orchid brzmi dobrze. Jest czekoladowy...

– No to nie ma co gadać. Ale na pół, bo jestem najedzona. – Kłamstwo. Mogłabym zjeść swój deser i jego, tyle że nie chciałam go wystraszyć.

Martin wezwał kelnerkę, złożył zamówienie i skupił się na ostatnim łyku wina. Poszłam w jego ślady.

Na chwilę zaległa cisza, absurdalna i niepotrzebna, bo wciąż jeszcze nie poruszyliśmy tematu, który nas tam sprowadził.

– Ładnie wyglądasz – zauważył nagle.

Znowu dopadło mnie uczucie, które pojawiło się już kilka razy podczas obiadu: że jest doskonale zorientowany w ostatnich zmianach w moim życiu. Ale to było niemożliwe, skąd niby miał wiedzieć? Chociaż skoro chodziło o Martina Lohsego... To człowiek enigma.

– Mam się dobrze – powiedziałam i zmęczona tym, że wszystko wygląda na to, czym nie jest, zagadałam bez ogródek: – Martin, doszliśmy już do deseru, a ty nawet słowem nie nawiązałeś do swojego wczorajszego e-maila.

Uśmiechnął się szelmowsko, przymrużył oczy, co sprawiło, że wyglądał jeszcze bardziej dziecięco.

– To prawda. Chciałem się tylko upewnić, że jest szansa, że zaakceptujesz to, co mam zamiar ci zaproponować.

– Proszę... Mówisz to, bo nie mam stałej pracy ani żadnego innego rodzaju... więzów? To niczego nie gwarantuje, ale przyznam, że twoja wiadomość szczerze mnie zaintrygowała.

– Przekonasz się, jak ci opowiem resztę. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Nie mogę się doczekać. Choć istnieje ryzyko, że czekolada zupełnie odwróci moją uwagę – zażartowałam, kiedy podawali nam spektakularny deser pełen kwiatów, owoców i smakowitych aromatów, w którym natychmiast zanurzyłam łyżeczkę.

Martin wiedział jednak, jak sprawić, żeby to się nie stało.

– Słyszałaś kiedyś o Ognistym Medalionie?

Łyżeczka z czekoladą zawisała w powietrzu, zanim dotarła do moich ust, otwartych nie tylko po to, żeby ją pochłonąć. Tak, oczywiście, że słyszałam o Ognistym Medalionie.

– To legenda – zakończyłam, pozwalając, żeby łyżeczka dotarła do miejsca swojego przeznaczenia.

– Tak samo jak *Astrolog* był legendą?

Touchée. Uśmiechnęłam się, smakując czekoladę.

– Dobrze. Co takiego wiesz, czego ja nie wiem? Albo inaczej: dlaczego jesteś gotowy mi to opowiedzieć?

– Bo chcę, żebyś pomogła mi go znaleźć.

– Przychodzi mi do głowy nieskończenie wiele powodów, żeby tego nie robić, ale zacznijmy od początku: dlaczego ja?

– Odnalazłaś *Astrologa*. To mi wystarczy. Między jednym a drugim jest wiele związków.

– Pomiędzy *Astrologiem* i Ognistym Medalionem? Boże... Myślałam, że ta historia już się skończyła.

– Historie się nie kończą, Ano. I ty to wiesz. Właśnie to jest piękne w naszej robocie.

Rozbawił mnie: „Nasza robota”. Do jakiej roboty konkretnie się odnosił? Czym, u diabła, zajmował się Martin Lohse? Tropieniem legend? I ja też się stałam kimś takim? Tropicielką legend?

Przez chwilę bawiłam się łyżeczką, rozprawdzając czekoladę po talerzu, jakbym malowała. Wspomnienie *Astrologa* poruszyło zbyt wiele strun i nasunęło mi myśl, że być może Martin jest tylko posłańcem. Chciałam mieć co do tego pewność.

– A oni? – zapytałam, odnosząc się do bractwa, do którego Martin należał. – Mają z tym coś wspólnego?

– Misja jest grupowa – potwierdził. – Ja wykonuję pracę w terenie. To powinno być dla ciebie gwarancją. Nie chodzi o żadne moje szaleństwo, to nic podejrzanego.

– Jak to nic podejrzanego? Wy jesteście podejrzeni! Nie zaprzeczysz temu.

– Wiesz, jaki jest nasz cel: jesteśmy strażnikami, chcemy, żeby legendy pozostały legendami i żeby w żadnym razie nie wpadły w niepowołane ręce.

To prawda. Wiedziałam o tym. To była ta mała część, o której wiedziałam. Poza tym bractwo było ciałem nader tajemniczym, bardziej jeszcze niż Martin, jego jedyny znany mi członek. W sumie to ja nazywałam ich bractwem, żeby w ogóle jakoś nazywać, ale tak naprawdę nie miałam pojęcia, czym są, bo tych kilka razy, kiedy o nich mówił, posługiwał się niejasnym terminem „oni”. Jednak wbrew wszelkiej logice musiałam przyznać Martinowi rację: fakt, że za tym wszystkim kryje się bractwo, wzbudzał moją dziwną ufność.

– Wiem to od Alaina – dodał.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – Chciałam udąć obojętność. – Na pewno zrobiliście dokładny wywiad, zanim się ze mną skontaktowaliście. Gdybym nie była sama, nawet byście nie próbowali.

– Przypominam ci, że to nie my go odrzuciliśmy, wręcz przeciwnie.

Pokręciłam głową. Nie chciałam o tym rozmawiać. Co było, to było, i nie warto do tego wracać.

– Co z tym wszystkim ma wspólnego Giancarlo Bonatti? – zapytałam, starając się skupić na temacie, żeby nie rozmawiać o tamtym.

– Znałaś go?

– Ze słyszenia i z tego, co przeczytałam w tym wycinku, który mi przysłałeś.

– To był facet z pieniędzmi, wpływowy. Zarobił fortunę na operacjach finansowych, przede wszystkim. W wieku trochę ponad dwudziestu pięciu lat założył firmę z ryzykownym

kapitałem, którą dziesięć lat później sprzedał Lehman Brothers za ponad potrójną wartość jej akcji. Od tamtego momentu dywersyfikował swoje inwestycje, aż stał się jednym z najbogatszych ludzi we Włoszech. Poza tym był też prawdziwą osobistością w świecie sztuki. Pośrednio albo bezpośrednio wspierał różne fundacje, stowarzyszenia i patronaty artystyczne. Kolekcjoner, antykwariusz i zapalony archeolog. Finansował nawet jakieś wykopaliska w Syrii, zanim zaczęła się wojna. Dobrze się poruszał także na czarnym rynku. Robił to poprzez jakąś sieć, która kupowała i sprzedawała w jego imieniu.

– Mafia?

Martin wzruszył ramionami: skoro chcę nazwać tak coś, co jest ewidentnie zwyczajne w tym świecie, to śmiało.

– Był też masonem – ciągnął. – Członkiem Starożytnego i Pierwotnego Rytu Egipskiego Wschodniego Memphis-Misraim. Bardzo możliwe, że był Wielkim Hierofantem, czyli wielkim mistrzem, jednej z jego odnóg. Ale bardziej interesujące od tego, kim był Bonatti, jest to, jak został zamordowany.

Uniosłam pytająco brwi. Wiadomość nie mówiła nic o tym, w jaki sposób zginął Giancarlo Bonatti, tyle tylko, że śmierć była brutalna.

– Musisz zobaczyć zdjęcia – stwierdził Martin, wyciągając telefon.

– Masz zdjęcia z miejsca zbrodni? – zapytałam zdumiona. – Jak to możliwe?

– Poproszono mnie, żebym wziął udział w śledztwie – wyjaśnił, jakby to było coś najnormalniejszego pod słońcem.

Martin Lohse komandos? Martin Lohse poszukiwacz skarbów? Martin Lohse detektyw? Kim, do diabła, jest Martin Lohse?

Przerwał ten potok pytań, które zadawałam sobie w duchu, podając mi telefon i zapraszając do przejrzania zdjęć na ekranie.

To nie była kolekcja dla wrażliwych żołądków. Przeklełam go, że mi to zrobił przy deserze; chociaż dobrze się zastanowiwszy, musiałam mu podziękować, że zczekał tak długo. Uznanie śmierci Giancarla Bonattiego za brutalną to eufemizm. Ta śmierć była krwawa, makabryczna, przerażająca. I teatralna.

– Poznajesz coś?

Przytaknęłam głową, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęć. Pierwsze prezentowało z detalami poderżnięte gardło Bonattiego, czyste cięcie otoczone zaschniętą krwią, która wcześniej wypłynęła gwałtownym strumieniem, zalewając ubrania ofiary. Przy końcu rozcięcia była wbita metalowa ekierka z końcówkami zaostrzonymi jak żyłki. Na drugim zdjęciu znalazły się część woskowej twarzy nieboszczyka i jego lewe ramię, z którego wystawała wbita do połowy metalowa linijka o długości około trzydziestu centymetrów. Trzecie przedstawiało na pierwszym planie głowę, czoło dosłownie spłaszczone i sine wokół otwartej rany, z której wystawały drzazgi kości i kawałki mózgu. Na kolejnym można było zobaczyć leżący przy ciele młotek, którym zadano ten brutalny cios.

Następne zdjęcia pokazywały pod różnymi kątami ciało pośrodku kałuży krwi; kolejne – pomieszczenie wyglądające na gabinet, w którym wszystko wydawało się zaskakująco uporządkowane; i jeszcze jedno: otwarty sejf zawierający stos dokumentów, na którym leżała gałązka drzewa, coś niemal czulego i całkowicie nie na miejscu. I ostatnie, podkreślające makabryczność miejsca zbrodni: narysowany krwią na białej marmurowej podłodze wielki klucz w okręgu.

– Ekierka, linijka i młotek – podsumowałam, odpowiadając na jego pytanie. – Nie jestem policjantką, ale powiedziałabym, że ktoś, kto zabił tego człowieka, zadał sobie wiele trudu, żeby odtworzyć legendę o śmierci Hirama Abifa, architekta Świątyni Salomona, który zginął z rąk

trzech niezadowolonych czeladników, Jubeli, Jubela i Jubeluma, ludzi o imionach nieprzystających do bezwzględnych i kreatywnych morderców. Ekierka ma tu pewnie symbolizować węgielnicę, linijka poziomicę, no i mamy młotek – narzędzia, których użyli.

Choć tę ostatnią uwagę wygłosiłam żartem, oddając Martinowi telefon, wciąż czułam supeł w żołądku.

– W tej notatce prasowej wspomniano wprawdzie, że motywem mogła być kradzież, ale to wszystko jest zbyt wystudiowane jak na zwykły napad rabunkowy – zauważyłam.

Martin uśmiechnął się do mnie zadowolony, jakby był nauczycielem, a ja jedną z jego pilnych uczennic.

– Dokładnie tak! Bo najważniejsza tutaj nie jest kradzież, tylko samo zabójstwo, inscenizacja w jednym celu: dać ostrzeżenie komuś, kto potrafi je odczytać.

– I ty je odczytałeś?

Spoważniał i pochylił się nad stołem, żeby powiedzieć szeptem:

– Od kilku miesięcy światek sztuki jest wzburzony. Istnieją przesłanki, by sądzić, że Ognisty Medalion mógł gdzieś wypłynąć. I wszystko wskazuje na to, że Bonatti coś odkrył. Jego zabójstwo, to zabójstwo, jest swego rodzaju obwieszczeniem: zaczęło się poszukiwanie medalionu, który należał do Hirma Abifa.



JUŻ NIE CHCĘ BYĆ TWOIM CIENIEM

Teo wziął mnie w niedźwiedzi uścisk, w którym się skryłam na kilka chwil, ale odsunęłam się od niego, bo zaczęłam się bać, że zaraz rozczulę się nad sobą i wpadnę w melancholię. A on wykorzystał tę sytuację, żeby przyjrzeć mi się od góry do dołu, z rękami na moich ramionach.

– Mauretańska królowno, jesteś... wow! Zrobiłaś sobie włosy?

Kokieteryjnie pogładziłam grzywkę.

– W sobotę. Miałam spotkanie. Ale nie takie, jak ci się wydaje – szybko dodałam, widząc, że jego twarz wykrzywia się z podniecenia.

– Podoba mi się, że się robisz na bóstwo. I że masz spotkania, które nie są takie, jak mi się wydaje. Kim jest ten szczęśliwiec?

– Martin Lohse. Interesy. Słuchaj, właśnie zwolnił się stolik. Wejdźmy, zanim ktoś go zajmie.

Umówiliśmy się z Teo na ten poniedziałek rano na śniadanie, nie za wcześnie, bo to by nie przystawało do naszych wolnych zawodów i ducha cyganerii mającej alergię na wczesne wstawanie. Wybraliśmy kawiarenkę w dzielnicy Malasaña, hipsterską, organiczną i niewegańską, z ceglanyimi ścianami, roślinami w wiszących doniczkach i czterema stolikami na krzyż z żelaznymi nogami i drewnianymi blatami z recyklingu. Kawę podawali tam doskonałą, a ich ciasto marchewkowe było wręcz grzechem cielesnym, jak powiedział Teo. Rzucając się na jedno i drugie, streściłam z grubsza mojemu przyjacielowi spotkanie z Martinem Lohsem, aż doszłam do tematu Ognistego Medalionu.

– A to co takiego?

– Zasadniczo chodzi o legendę.

– Czy to tylko historyjki, czy jakaś konkretna rzecz? Musi być coś konkretnego, żeby można to było znaleźć. Jakiś klejnot? Uczyni cię bogatą czy okaże się tylko ładnym wisiorkiem?

– Jeśli istnieje, to tak, jest to konkretna rzecz: kamienny medalion, jedni mówią, że to turmalin, inni, że jadeit, a jeszcze inni, że jest szmaragdowy...

– Szmaragdowy, jak Szmaragdowa Tablica? Staaaara... No już to widzę... – Pokręcił dwoma palcami w powietrzu, żeby podkreślić swój dedukcyjny talent. – I też jest magiczny i bardzo potężny? Jest narzędziem, dzięki któremu łotry opanują świat?

– Ha, ha. Jak się będziesz nabijał, więcej ci nie opowiem.

– Nie nabijam się, złotko. Ale czy coś z tego, co powiedziałem, nie jest prawdą?

– Chodzi o twój ton.

– No kurczę, innego nie mam. Już powinnaś to wiedzieć! – Teo uniósł głos, nawet zapisał, i kelner spojrzał na nas zza baru. – Dasz mi jeszcze jeden kawałek ciasta, śliczny? – zagadał Teo, puszczając oko do chłopaka, który rzeczywiście był śliczny.

– Jasne, słońce. Duży. – Feli już nas znał i lubił zaczepki Teo.

Tymczasem ja miałam chwilę, żeby się zastanowić. Teo był moim najlepszym przyjacielem od nie pamiętam już ilu lat i miał umiejętność, może nieuświadomioną, otwierania mi oczu.

– No masz rację. To wszystko brzmi tak, jakby ktoś sobie robił jaja. Powinam się opamiętać i zacząć robić w życiu coś poważnego.

– Nie, nie, nie, nie. Nie zaczynaj, bo się pogubisz. Mylisz poważne z nudnym. To jest poważne: mamy tu przecież trupa z powbijanymi pomocami naukowymi i mnóstwem krwi. Opowiadaj mi tu zaraz wszystko. Obiecuję, że nie będę się śmiał.

– Sama też za wiele nie wiem. Ale znam legendę Hirama, bo to jedna z najważniejszych legend masonerii...

– Kręcą mnie masoni. – Nie sposób było powiedzieć dwóch słów, żeby Teo nie przerwał. – To bogaci i tajemniczy goście. Kręci mnie ich klub. Chciałbym do niego należeć i spotykać się z innymi facetami ubranymi w smokingi, i popijać whisky, i palić hawańskie cygara w bardzo eleganckich i wyszukanych okolicznościach. Klasa... Dobra. Przepraszam. Mów dalej.

– Dziękuję. – Wypiłam łyk kawy, zlizalam piankę z ust i wróciłam do skróconej wersji legendy Hirama. – Hiram Abif albo Habib był Fenicjaninem z wyspy Tyr. Król wysłał go do Jerozolimy jako głównego architekta świątyni, którą Bóg nakazał zbudować Salomonowi, żeby umieścić w niej Arkę Przymierza. Tak, tę z *Indiany Jonesa*, nie przerywaj mi. Hiram Abif znał geometrię, był wybitnym kamieniarzem i doskonałym odlewnikiem. Ponadto znakomitym szefem i prawdziwym mistrzem, bo potrafił zorganizować wszystko i kierować wszystkimi: rzemieślnikami, nadzorcami, murarzami, robotnikami... Dowodził istną armią trzech tysięcy nadzorców, trzydziestu tysięcy robotników, siedemdziesięciu tysięcy tragarzy i osiemdziesięciu tysięcy kamieniarzy, którzy pochodzili z różnych miast i plemion i między którymi często wybuchaly spory. Ale ponieważ Hiram był prawdziwym profesjonalistą, prace przy monumentalnym kompleksie odbywały się bez problemów niemal do końca, pozostało tylko odlać gigantyczne kolumny, które miały ozdobić tabernakulum Arki. Aby wykonać to, co uważano za ostatnie i najbardziej skomplikowane zadanie z całego procesu budowy, przygotowano wielką ceremonię, również na cześć królowej Saby, która przebywała w Jerozolimie z wizytą i której legendarnemu urokowi ulegli zarówno Salomon, jak Hiram. Przygotowano więc spektakl światła i ognia, który miał się odbyć po zmroku ku uciesze całego ludu Izraela. Kiedy wszystko już było związane na ostatni guzik, pomocnik Hirama zauważył, jak kilku niezadowolonych robotników niszczy formy przygotowane do odlania kolumn. Udał się z tą wiadomością do Salomona, a ten, zamiast powiedzieć o wszystkim Hiramowi, przemilczał to jak...

– Dziwka.

– Właśnie. W ramach zemsty, bo obaj zabiegali o względy królowej Saby i najwyraźniej Hiram miał większe szanse.

– Ach, te kobiety. Zawsze jesteście winne całego zła.

– Tak, zwłaszcza w Starym Testamencie. W każdym razie Hiram, nie wiedząc nic o spisku, przystąpił do ceremonii na oczach królów, urzędników i ludu Izraela. Kiedy uruchomił mechanizm, żeby wlać w formy tony płynnego metalu, wszystko się rozpadło, a metal rozlał się dookoła jak wulkaniczna lava, wzbudzając panikę wśród pospólstwa. Tymczasem pomocnik Hirama, przerażony skutkami nielojalności wobec swego mistrza, rzucił się w rzekę ognia, żeby skończyć z życiem. Po tych tragicznych wydarzeniach Hiram został sam i przestraszony lamentował nad własną hańbą i nieszczęściem. Wyobraź sobie: ludzie wrócili do domów przerażeni i rozczarowani, budowla była zrujnowana, zapadła ciemność i cisza, i wśród tego siedzi pokonany, zmęczony do granic Hiram. Wtedy spośród zniszczeń wyłoniła się spowita światłem postać, ukończona srebrną mitrą i trzymająca młot kowalski, po czym przemówiła do Hirama, przypuszczam, że bardzo niskim głosem, prosząc, żeby udał się z nią w mistyczną podróż do najdalszego miejsca jej duszy, gdzie znajduje się dom Enocha. Enocha, czyli – podkreśliłam – Hermesa Trismegistosa dla Egipcjan.

– Tego od Szmaragdowej Tablicy!

– Tego samego.

– To istota, która poświęciła się rozrzucaniu skarbów po całym świecie – zauważył Teo z ustami pełnymi marchewkowego ciasta.

– Na to wygląda.

– Świetlisty typ z mitrą?

– Nie. Świetlisty typ z mitrą to Tubal-Kain, pierwszy kowal, ojciec metalurgii. Podczas tej mistycznej podróży Tubal-Kain wyjawiał Hiramowi największe tajemnice architektury i budownictwa. Ponadto zszedł z nim do wnętrza Ziemi, gdzie stapia się wszelka materia, i stamtąd, z oceanów ognia, wyciągnął kamień i wyrzeźbił medalion, w którym zawarł klucz do tradycji lucyferskiej.

– No to mamy diabła. Nie jest dobrze.

– Tak i nie. To prawda, że Lucyfer według doktryny chrześcijańskiej jest upadłym aniołem, który zmienia się w Szatana, ucieleśnienie zła. Jednak imię Lucyfer pochodzi od łacińskiego *lux*, światło, i *ferre*, nieść. A zatem oznacza niosącego światło. Dla niektórych nurtów ezoterycznych Lucyfer i Szatan nie są tożsami, bo Lucyfer jest bogiem światła. Nawet templariusze czcili go jako archanioła. Dla innych podstawa lucyferyzmu jest czysto humanistyczna, w takim sensie, że człowiek nie potrzebuje żadnego bóstwa, by odróżnić dobro od zła – to zależy wyłącznie od jego woli i rozumu. Niektóre loże masońskie są lucyferskie.

– Super. Teraz przejdźmy do tego, co nas interesuje: nie chcę nic mówić, ale odnoszę wrażenie, że ten Hiram lubił grzybki halucynogenne. Chodzi mi o to, że pytanie brzmi: to całe gówno jest legendą czy nie?

Wzruszyłam ramionami.

– Wydaje mi się, że jeśli czegoś się nauczyłam, to że w pewnym momencie nie ma to już żadnego znaczenia. Problem polega na tym, że może pojawić się ktoś, kto wierzy w te legendy, i przez to ludzie zaczynają się zabijać.

– Zabijanie to poważna sprawa. I niebezpieczna – stwierdził z nietypową dla niego powagą. – A ty nie jesteś ani policją, ani złodziejką, ani nikim podobnym. Jeszcze dwa dni temu byłaś normalną osobą z normalnym życiem, z normalną pracą, nie uprawiałaś sportu nawet za karę, a twoją największą przygodą było zabranie samochodu na przegląd techniczny... Jak to robisz, że ostatnio ledwie wychodzisz z jednych tarapatów, a już wpadasz w drugie?

– Przypomnę, że to ty mnie zawsze podpuszczałaś, żebym wpadała w tarapaty!

– To było kiedyś. Teraz będę ojcem i nabrałem rozumu. A jeśli ja nabrałem rozumu, ty też powinnaś, solidarnie.

Teo przerwał sam sobie. Machnął ręką i z przesadnym rozmachem założył nogę na nogę.

– Ale jazda! Chodzi o to, że ci zazdrościsz, stara. Stara! Pamiętasz nasze przygody w Paryżu? Ale było fajnie... Powiedz mi, że natychmiast w to wchodzisz, że nie będziesz się wygłupiać i nie stracisz tej odrobiny żyłki detektywistycznej, którą ode mnie przejęłaś. Powiedz mi, że przyznałaś: „Tak, *Martinielohse!*, jestem twoją dziewczyną!”

Chwyciłam go za ręce, którymi wymachiwał już tak, że przyciągał uwagę innych gości kawiarenki, i uśmiechając się nieco nerwowo, wyszeptalam:

– Przystań gadać głupoty... Jeszcze mu nic nie odpowiedziałam. Martin dał mi tydzień na podjęcie decyzji.

– Przynajmniej ci zapłaci?

Wbiłam widelczyk w aromatyczne ciasto, którego prawie nie spróbowałam. Nie udało mi się pohamować kolejnego uśmiechu.

– Bardzo dużą kwotę.

– Widzisz? Będziesz mogła założyć własną galerię.

– Tak... Własną galerię...

Mój powrót do Madrytu wyglądał raczej jak ucieczka. Nie liczyłam na nic innego niż wylizanie ran w znajomym i bezpiecznym schronieniu. Jedynym marzeniem, które przy całym moim smutku nabrało kształtów, było założenie galerii sztuki, odkrywanie nowych talentów

i zostanie marszandką. Taki egzotyczny pomysł wymagał kapitału, a ponieważ nie miałam kapitału, więc do głowy przychodziły mi tylko dwie legalne opcje, by go zdobyć. Jedną było odzyskanie pracy w zespole kustoszów muzealnych. Tyle że straciłam swoje stanowisko w Prado, zatem mogłam wylądować w dowolnym muzeum na terenie Hiszpanii; a ja nie miałam ochoty znowu się przeprowadzać. Drugą opcją był biznes mojego ojca, właściciela galerii i marszanda. Ojciec sugerował wprawdzie, że planuje przejść na emeryturę i że byłoby dobrze, gdybym mu podała pomocną dłoń, a ostatecznie przejęła interes, ale znałam mojego ojca: nigdy nie przejdzie na emeryturę, umrze w biegu, oby za wiele lat. Wiedziałam, że to się skończy straszną kłótnią, bo mój ojciec jako ojciec jest wspaniały, ale jako szef będzie nie do zniesienia: że nie pozwoli mi podejmować żadnych ważnych decyzji ani nie będzie brał pod uwagę moich opinii. Wiedziałam, że do tego włączy się mama, która przez cały czas chce wszystko kontrolować, i siostra, żeby nie być gorsza, chociaż jej wiedza na temat sztuki ogranicza się do malowania pamiątek pierwszej komunii. Wiedziałam, że interes rodzinny w naszym wydaniu będzie koszmarem. A jednak wbrew wszelkiemu rozsądkowi osiadłam w galerii ojca, przynajmniej tymczasowo – chciałam w to wierzyć – gdzie jednocześnie nabierałam doświadczenia i nie robiłam zupełnie nic. Oczywiście, że gdyby zniecka spadło mi z nieba dużo pieniędzy i mogłabym założyć własną galerię...

– Ale zgodzisz się nie tylko przez wzgląd na pieniądze... – Teo ściągnął mnie z powrotem na ziemię.

– Zgodzę się?

– Oczywiście, że tak! Nie chcesz spędzić życia, gapiąc się na faktury i żądając zapłaty, jakbyś była księgową w firmie swojego ojca, ani marnując talent, ani użalając się nad sobą z powodu tego, co miałaś i co straciłaś. A ponieważ nie złapiesz za telefon, żeby poukładać sprawy z Alainem, lepiej, żebyś zorganizowała sobie jakieś mocne emocje, pół na pół z alkoholem i seksem, by go raz na zawsze zapomnieć. No chyba że jednak zechcesz poukładać sprawy z Alainem. Razem byłibyście dobrymi śledczymi.

Zdumiona pokręciłam głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że dzisiaj to wyciągasz. Znowu... Strasznie jesteś upierdliwy, Teo, naprawdę. Przestanę się z tobą spotykać, jeśli dalej taki będziesz. Co...? Co, do cholery, ma znaczyć to użalanie się nad sobą i poukładanie spraw? Co to ma teraz do rzeczy? – Zaczynałam tracić cierpliwość. Nie miałam zamiaru się usprawiedliwiać. Nie miałam zamiaru za każdym razem się usprawiedliwiać. – Nie wyjeżdżaj mi znowu z tą psychologią równowagi, jesteś jak moja matka. Nie rozumiem, co się, kurwa, dzieje z wami wszystkimi. Wydaje wam się, że nie próbowałam? – Cholera, znowu się usprawiedliwiałam. Dlaczego?! – Nie opowiadałam ci już tysiąc razy? Wydaje ci się, że coś mi strzeliło do głowy i uciekłam w połowie pierwszej kłótni. A poza tym to nie ja odeszłam, tylko on!

– Dobra... Spoko... Bo Feli nas wyrzuci, jak mu zrobimy scenę *not so cool* w tej eleganckiej kawiarni.

– No to mnie nie prowokuj!

Prychnęłam. Postanowiłam się nie wkurzać, a jednak wkurzyłam się czymś, co już miałam za sobą. Spróbowałam odzyskać spokój. Spojrzałam w oczy Teo, ujęłam jego ręce na stole w geście bardziej agresywnym niż czułym.

– Powiem to jeszcze raz, nie zależy mi. Wcześniej czy później będziesz musiał mi uwierzyć. Nie ma czego układać. Skończyło się, Teo. I tak jest dobrze, mnie jest z tym dobrze. Dlatego przestań wsadzać paluch w rany, żeby sprawdzić, czy wciąż się otwierają. To nie pomaga.

Nie była to poza. Byłam przekonana do tego, co mówiłam; miałam mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć. Chociaż...

Czasem odnosiłam wrażenie, że to wszystko jest nierealne. Jakby moja codzienność była

tylko snem, koszmarem, z którego kiedyś się obudzę, by wrócić do mojego poprzedniego życia, do mojego prawdziwego życia. Czasem nie mogłam uwierzyć, że to się skończyło. Co się stało? Kiedy przestaliśmy się kochać? Jak to możliwe, że najszcześniejszy okres mojego życia skończył się w taki sposób? Jeszcze całkiem niedawno byliśmy w sobie zakochani...

Po *Astrologu* zostawiłam dla niego wszystko. I nie było to z mojej strony żadne poświęcenie. Wtedy nie pragnęłam niczego więcej oprócz nowego życia we dwoje, życia, które będzie na zawsze. Zamieszkaliśmy we Francji. Alain kupił stary spichlerz nieopodal Les Baux-de-Provence. We dwoje wraz z grupą robotników pracowaliśmy przez lato, aż przerobiliśmy go na dom, nasz dom, z żółtym citroenem 2CV zaparkowanym przed wejściem i łąką całą w kwiatkach, która kończyła się w strumieniu. Gotowanie, spacerowanie, czytanie, poobiednie drzemki, wyprawy na targ... przeżywanie życia we dwoje. Także praca. Alain zajmował się tym, co najbardziej lubił: poszukiwaniem dzieł sztuki zrabowanych przez nazistów, które miały wrócić do prawowitych właścicieli. Zostałam jego pomocnicą. Nurkowanie w archiwach, studiowanie dokumentów, analizowanie fotografii, łączenie tropów... To było jak układanie puzzli z prawdziwych historii. Lubiałam z nim pracować, dobrze się uzupełnialiśmy. Poza tym świadomość, że bierzemy udział w dochodzeniu sprawiedliwości, okazywała się bardzo satysfakcjonująca.

Nigdy nie byłam aż tak zakochana. Nigdy nie czułam takiej wzajemności. Te pierwsze miesiące były doskonałe.

Pewnego dnia weszliśmy do antykwariatu w L'Isle-sur-la-Sorgue. Często to robiliśmy, zwłaszcza w dzień targowy; lubiliśmy myszkować w poszukiwaniu czegoś ciekawego za dobrą cenę do naszego domu. Tam zobaczyłam sukienkę. Letnią tunikę z lat dwudziestych, kremową z jedwabnymi wstawkami. Bardzo ładną... Dotknęłam jej, żeby poczuć miękkość tkaniny, zachwyciłam się detalami dobrze zachowanej koronki. Przymierzyłam ją na ubranie – przyłożyłam do ciała, nawet nie ściągając z wieszaka.

– Byłaby to piękna suknia ślubna – zauważyła starsza pani z antykwariatu stojąca po drugiej stronie stołu z porcelanową zastawą.

Alain, który przyglądał mi się w tej chwili kobiecego zafascynowania, przytulił mnie. Sukienka została uwięziona między nami.

– Wydaje mi się, że ona ma rację. Mogłabyś ją włożyć na ślub ze mną. Co ty na to, Ano? Chciałabyś wziąć ze mną ślub?

Pobraliśmy się ledwie miesiąc później. Na łące przed spichlerzem, pełnej papierowych lampionów i jarmarcznych światełek. Ozdobiliśmy citroena kawałkami tiulu i puszkami po konserwach. Tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele. Ja miałam na sobie tę sukienkę, łańcuszek z zawieszka w kształcie łezki, wcześniej należący do mamy Alaina, i włosy ozdobione kwiatami jaśminu, które otworzyły się wraz z zapadającą nocą, uwalniając słodki zapach. Wiejscy muzycy grali francuskie piosenki na akordeonie, gitarze i skrzypcach. I tańczyliśmy z Alainem boso na trawie pod girlandami żarówek aż do świtu. Nigdy nie byłam tak zakochana.

Nie wiem, co stało się potem. Ani dlaczego zaczęliśmy się kłócić. Może dlatego, że Alain upierał się przy dziecku, którego ja nie chciałam? Tak to było dla niego ważne, a dla mnie tak okropne? Tak bardzo, żeby zniszczyć nasze wspólne życie? Żeby zniszczyć miłość? Nie, to nie to. Chodziło o poczucie porzucenia, pustki, rozczarowania... Na początku były krzyki i trzaskanie drzwiami, ale w tej konfrontacji przynajmniej kryła się pasja. Stało się to bardziej bolesne, kiedy pograżyliśmy się w rutynie ciszy i monosylab, znudzenia i braku zainteresowania. Znikły pocałunki, pieszczoty, seks; porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy bez powodu.

Zaczęłam się czuć samotna. Przypuszczam, że on też. Chociaż samotność tego drugiego była nam już obojętna. Czułam się także niedoceniana. Przytłoczona cieniem Alaina. Nie miałam żadnej ucieczki zawodowej ani towarzyskiej, bo byłam niewiele więcej niż sekretarką, podczas

gdy na niego spływały wszystkie zaszczyty i zasługi. To jego zapraszano na konferencje i to z nim robiono wywiady, do niego były adresowane listy dziękczynne, słowa uznania, gratulacje od ministra kultury Republiki Francuskiej... Do doktora Alaina Arnoux z European Foundation for Looted Art, Europejskiej Fundacji na rzecz Zrabowanych Dzieł Sztuki.

Pewnego wieczoru wszedł do salonu, kiedy czytałam. Od dawna nie wchodził do salonu, gdy ja tam byłam.

– Na Harvardzie tworzą katedrę do badań nazistowskiej grabieży – oświadczył mi zwyczajnie. – Chcą, żebym ją poprowadził. W Bostonie.

Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu. Nie potrzebowałam jednak wiele czasu, żeby dotarło do mnie, co tak naprawdę chce powiedzieć.

– Rozumiem.

Serce biło mi mocno, ale nie zamierzałam robić scen.

– Mogłabyś pojechać ze mną.

Pokręciłam głową.

– Po co? – W moim głosie wybrzmiewały rozczarowanie i desperacja.

– Żeby być moją żoną.

– A może twoim cieniem? Nie, Alain, już nie. Ja już nie chcę być twoim cieniem.

Wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Ale to był detonator, nie powód. Nasze małżeństwo skończyło się dużo wcześniej. I było wszystko jedno, czy on postanowił wyjechać, czy ja postanowiłam zostać. To nie miało znaczenia.

– Widzisz, są rzeczy, które jak się rozpadną, nie sposób ich na powrót złożyć – powiedziałam Teo. – Następnym razem spotkamy się po to, żeby podpisać papiery rozwodowe.

Teo, wyraźnie zasmucony, przesunął talerzyk w moją stronę. Ofiarowywał mi bez słowa ostatni kawałek ciasta marchewkowego. Miałam ściśnięte gardło, chociaż już od dawna nie płakałam nad rozbitym dzbanem i rozlanym mlekiem.



ZUPEŁNIE NIESPODZIEWANA PROPOZYCJA

Zaczęłam myśleć, że jakaś istota wyższa, jakaś niewidzialna wszechświatowa siła, Wielki Brat naszej ziemskiej egzystencji skupił się na mnie i uznał, że moje życie jest zbyt mdłe i potrzebuję nieco emocji. W jaki inny sposób można by wyjaśnić, że w tym samym tygodniu, kiedy pojawiła się sprawa medalionu, odbyłam też niezwykle i bardzo intrygującą rozmowę telefoniczną, chociaż do tego czasu ludzkość sobie znakomicie beze mnie radziła?

Numer, który pojawił się na wyświetlaczu, nie był zapisany w moich kontaktach, więc dwa razy nie odebrałam połączenia. Podałam się za trzecim razem, pewna, że chcą mi sprzedać coś, czego nie potrzebuję. Skamieniałam, kiedy kobiecy, lekko chrapliwy głos, zagadał w dość dobrej francuszczyźnie, choć nie bez akcentu:

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Aną Garcia-Brest?

– Tak, to ja.

– Ana, tu Greta. Greta Köller. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

Tak, oczywiście, że ją pamiętałam. Była siostrą Konrada Köllera. Widziałam ją tylko raz, podczas nart w Gstaad, ale samo wspomnienie nazwiska Köller wystarczyło, żeby flaki mi się przewróciły.

Konrad Köller był jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Taki niemiecki Giancarlo Bonatti, tylko o jakieś dziesięć lat młodszy. Przedsiębiorca i mecenas sztuki. Mój chłopak przez prawie pięć lat. Nasz związek... Trzeba by napisać książkę, żeby opowiedzieć nasz związek. Powiem tylko, że nie skończył się dobrze, i tyle.

Niedługo po naszym zerwaniu Konrad uległ poważnemu wypadkowi: uderzył swoim aston martinem z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę o barierkę, wypadł z drogi i kilka razy dachował. Dowiedziałam się o tym z prasy i śledziłam wiadomości, dopóki trwało zainteresowanie mediów. Początkowo myśleli, że nie przeżyje. Media czekały, żeby obwieścić jego nieuniknioną śmierć. Minął miesiąc; dziennikarze koczujący pod szpitalem w Hanowerze, gdzie leżał, zaczęli się rozchodzić. Po pewnym czasie ogłoszono, że został przeniesiony do szwajcarskiej kliniki – istnej twierdzy na przedmieściach Zurychu niedostępnej dla ciekawskich spojrzeń. Plotkowano, że jest w stanie wegetatywnym. Później jakiś paparazzo twierdził, że ma jego zdjęcia na wózku inwalidzkim, zrobione, kiedy pielęgniarz woził go po terenie kliniki. Nawet jeśli takie zdjęcia naprawdę istniały, nigdy nie zostały opublikowane. Od tego czasu upłynął już prawie rok i nie pojawiło się więcej wiadomości o Konradzie Köllerze.

Greta liczyła kiedyś na to, że się z powrotem zejdziemy.

– Chciałabym z tobą porozmawiać o pewnej sprawie, ale raczej nie telefonicznie. Powiedz, gdzie mogłybyśmy się spotkać.

Kusiło mnie, żeby elegancko się jej pozbyć. Wolałam nie wracać do niczego, co miało jakikolwiek związek z tamtym etapem mojego życia. Przyznaję jednak, że ciekawość zwyciężyła.

Konrad wyznał mi swego czasu, że oprócz Greta nie ma rodzeństwa, ale nigdy się nie dowiedziałam, jakie panują między nimi relacje, bo zawsze trzymał mnie z dala od rodziny. Jeśli w ogóle wspominał o swoich bliskich, to wszystko sprowadzało się do dwóch spraw: że jego ojciec zmarł, kiedy on był nastolatkiem, i że jego matka choruje na alzheimera, po czym bardzo szybko zmieniał temat. Wydaje mi się, że Gretę poznałam przez przypadek; nie sądzę, żeby Konrad miał zamiar wtedy się z nią spotkać, ale gdy się okazało, że nie ma innego wyjścia, przedstawił mnie. Dopiero później zrozumiałam powód całej tej zazdrości, Martin Lohse mi go wyjawiał. Nie wiem, czy to odkrycie bardziej mnie zabolowało czy oburzyło; na pewno było zwieńczeniem

wszystkich pozostałych rozczarowań.

Skoro sprawy tak się miały, czego, u diabła, mogła chcieć ode mnie Greta Köller lata po tym, gdy przestałam być narzeczoną jej brata?

Pomyślałam o jakimś profesjonalnym otoczeniu dla naszego spotkania i jedyne, co przyszło mi do głowy, to gabinet mojego ojca na tyłach galerii; miejsce pełne papierów, katalogów, albumów ze sztuką i bezużytecznych przedmiotów z nijakimi funkcjonalnymi meblami i bladym, niezbyt przytulnym światłem, zawsze pachnące jedzeniem z baru po drugiej stronie dziedzińca.

Wszystko jedno. To było moje nowe ja. W żadnym razie nie musiałam nikomu nic udowodniać. Mimo to z głębi szafy wydobyłam zapomniany żakiet.

Greta Köller pojawiła się dokładnie o umówionej godzinie. Zaskoczyła mnie tą punktualnością i silnym, chłodnym uściskiem dłoni. Była kobietą w średnim wieku, może odrobinę starszą od Konrada, chociaż nie sądzę, aby skończyła sześćdziesiąt lat. W każdym razie podchodziła do swojego wieku bez kompleksów i chyba bez pomocy chirurgii plastycznej. Nosiła się elegancko, ze sztywną doskonałością: od włosów, nie za długich, gładkich i jasnych, idealnie uczesanych, aż do ubioru, sukienka i żakiet znakomicie skrojone, bez choćby jednego zagniecenia, czego nie można było powiedzieć o moim żakiecie; nigdy jakoś szczególnie nie zaprzyjaźniłam się z żelazkiem. Greta Köller była ładna na sposób Cate Blanchett.

Zaproponowałam jej coś do picia: kawę albo wodę, bo więcej opcji nie miałam. Odmówiła. Ta wizyta bez wątplenia była formalna; jej gesty wydawały się pośpieszne, jakby nie mogła się doczekać załatwienia tego, z czym przyszła.

– Nie zabiorę ci wiele czasu – oświadczyła, siadając na skraju krzesła, ze skrzyżowanymi nogami, pochylona do przodu. – Od razu przejdę do sedna i będę się streszczać. Konrad postanowił otworzyć tu, w Madrycie, muzeum, żeby zebrać i pokazywać w charakterze stałej wystawy część swojej kolekcji obrazów i rzeźb. Wszystkie sprawy związane z założeniem muzeum prowadzi jedna z jego fundacji i w tej chwili jest już na ostatniej prostej co do przyznania licencji i miejsca. W celach organizacyjnych ustanowiono patronat, któremu przewodniczy Konrad, i zaczęto tworzyć ekipę zarządzającą. – Greta zrobiła krótką przerwę, nie potrafiłam powiedzieć, czy dla zaczerpnięcia oddechu, czy dla rozbudzenia mojej ciekawości. – Konrad chce ci zaproponować stanowisko dyrektorki artystycznej.

Po tej perorze tyle rzeczy cisnęło mi się na myśl, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Konrad ma się... dobrze? – Nie wiem dlaczego spośród wszystkich pytań, które mi się nasuwały, wybrałam właśnie to.

Mina surowej nauczycielki Grety ani trochę się nie zmieniła.

– „Dobrze” to słowo nazbyt nieprecyzyjne. Jednak w odpowiedzi na to pytanie powiem, że czuje się wystarczająco dobrze, aby zajmować się takim projektem.

Skinęłam głową; brakowało mi słów, by skomentować to, co usłyszałam. Zalew słodko-gorzkich uczuć mnie zdezorientował.

– Tak. Dobrze... – Westchnęłam, próbując uporządkować myśli. – Oczywiście jest to dla mnie zupełnie niespodziewana propozycja...

– Nie oczekuję od ciebie odpowiedzi w tej chwili, to jasne. Przyniosłam ci dossier z wszystkimi ważnymi informacjami na temat projektu. – Położyła pękaty tom na stole. – Przejrzyj je spokojnie i podejmij decyzję. Znajdziesz tu także brudnopis umowy i warunki finansowe.

Przez chwilę patrzyłam na tomiszcze w czarnych okładkach, nawet nie mając odwagi go dotknąć.

Nie mogłam zasnąć przez całą noc. Moje myśli krążyły niespokojnie od Martina Lohsego

i jego Ognistego Medalionu do Konrada Köllera i jego muzeum. A dotarłszy do tego ostatniego, wplątywały się w tysiące kwestii, które wykraczały poza sprawy zawodowe i wchodziły otwarcie w sprawy osobiste.

Moja historia z Konradem została zamknięta. A zamknąć ją nie było łatwo. Nasz związek to nie był byle jaki związek. Konrad nie był kimś zwyczajnym. Kiedy po pięciu latach, które rozpoczęły się jak bajka, a skończyły jak kronika kryminalna, odszedł z mojego życia, poczułam się niczym kokainistka świeżo wypuszczona z kliniki po detoksie. I chociaż po tym, jak się sprawy skończyły z Alainem, było mi to bardzo trudno przyznać, prawdopodobnie właśnie on uwolnił mnie od konsekwencji związku z Konradem, pomógł mi zmasać ślady, które wydawały się wydrapane na skórze jak tatuaże, i zabił rany, choć wydawało się, że to niemożliwe.

Chyba najłatwiej byłoby mi w ogóle nie podejmować tego tematu. Wystarczyło wziąć telefon i nawet nie przeczytawszy dossier, oświadczyć Grecie Köller, że nie jestem zainteresowana ofertą. Kilka razy podczas mojego nocnego delirium dochodziłam do wniosku, że to jest najszluszniejsza decyzja.

A jednak z jakiegoś powodu nie potrafiłam jej podjąć. Ten projekt to był cukiereczek, bez dwóch zdań. Doskonale znałam kolekcję Konrada; kiedy byliśmy razem, pomagałam mu ją powiększać. Była wspaniała, należała do najlepszych prywatnych zbiorów w Europie. Zostać dyrektorką artystyczną jego muzeum oznaczałoby wielki skok w mojej karierze zawodowej: pracę ciekawą, rozwijającą, prestiżową. Konrad wiedział, co mi ofiarowuje, oczywiście. Ale dlaczego to mnie wybrał? Przecież znienawidził mnie, byłam tego pewna; uznał, że go zdradziłam, a w tych sprawach był bezwzględny. Ta nagła propozycja świadczyłaby o zapomnieniu i wybaczeniu – czymś całkowicie nietypowym dla Konrada, którego znałam i którego w pewnej chwili zaczęłam się bać, i też go znienawidziłam.

Kim teraz jest Konrad Köller? Jakie piętno odcisnął na nim wypadek? „Czuje się wystarczająco dobrze, aby zajmować się takim projektem”, zapewniła jego siostra. Mam w to wierzyć? A skoro tak, czy nie czuł się dość dobrze, żeby osobiście przedstawić mi tę ofertę, bez pośredników? Czy to na pewno Konrad pociąga za sznurki tego wszystkiego? Ten Konrad, którego znałam?

Nie byłam pewna, czy później nie pożałuję tego, co właśnie miałam zamiar zrobić. Ale byłam też przekonana, że jeśli nie chcę przez całe życie znosić zbyt wielu niewiadomych, muszę to zrobić.

– Chcę się spotkać z Konradem. Osobiście. Nie podejmę żadnej decyzji, dopóki się z nim nie zobaczę – zakomunikowałam Grecie Köller przez telefon nazajutrz.

– To niemożliwe – odpowiedziała bez żadnych dalszych wyjaśnień.

– W takim razie możesz powiedzieć ode mnie Herr Köllerowi, że bardzo mu dziękuję za propozycję, ale niestety nie mogę jej przyjąć.

Po drugiej stronie zaległa cisza tak głęboka, jakby Greta się rozłączyła.

– Słuchaj – powiedziała jednak po chwili – nie mam zamiaru cię prosić, ale uważam, że popełniasz błąd, łącząc swoją decyzję ze sprawami dalekimi od czysto zawodowych. Nie jest to kwestia żadnej niechęci z jego strony. On nie przyjmuje niczych wizyt. Nie powinnaś brać tego do siebie.

– Greto, albo on złoży mi tę propozycję osobiście, albo nie widzę możliwości, żeby ją przyjąć. I nie jest to dla was jakiś szczególny problem, bo jestem przekonana, że macie innych kandydatów.

– Zgoda. Skoro taka jest twoja decyzja, sądzę, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

– W takim razie życzę dobrego dnia.



TO NIE JEST GRA DLA MOLI KSIĄŻKOWYCH

Teo i Toni przeprowadzili się do domu szeregowego oddalonego o dwadzieścia kilometrów od centrum, do klasycznej dzielnicy mieszkaniowej z ogrodami, ogromnymi centrami handlowymi i dobrymi szkołami. Kilka lat temu zdecydowali się zostać rodzicami. Początkowo myśleli o adopcji, ale przez wiele miesięcy rozbijali się o zakazy, które większość krajów stawia parom homoseksualnym. Zmęczeni biurokracją, oczekiwaniem i odmowami, wreszcie zdecydowali się na surogatkę. Zgodnie z planem dziecko miało się urodzić za cztery miesiące i chcieli, żeby ich córka, bo miała to być córka, wychowywała się w dobrym otoczeniu, a w każdym razie dobrym w ich mniemaniu.

Dlatego zmienili ciasną mansardę w Chamberí na domek z trzema sypialniami i ogródkiem. Ubezpieczyli się na życie, kupili samochód rodzinny i właśnie dekorowali pokój dziecięcy motywami z Beatrix Potter. Nie wiem dlaczego, ale przeżywałam cały ten proces ogarnięta nostalgią za uciekającą młodością. I z tego, co mogłam się zorientować, nie ja jedyna.

– Chcesz mrożoną herbatę, lemoniadę... wino może?

– Lemoniada jest OK. Dziękuję, Teo.

– Dołożę mięty. Toni posadził ją w skrzynkach i już wyrosła. – Puścił do mnie oko, zanim wszedł do domu, żeby przygotować napój.

Rozparłam się na leżaku, by korzystać z ostatnich promieni słonecznych dnia. Pojechałam do domu T's – to Alain zaczął ich tak nazywać – żeby delektować się z nimi moją bez wątpienia jedyną domową kolacją w tamtym tygodniu; chociaż zarzekałam się, że sama wreszcie zrobię zakupy.

Teo szybko wrócił z napojami.

– Przyniosłem też kilka przekąsek. Prawie bez soli, żebyś się nie zadręczała.

– To ty się zadręczasz solą.

– Bo ten gość nie jest taki śliczny sam z siebie, kochana.

Wtedy pojawił się Toni z pilotem do samochodu w ręce.

– Podjadę na chwilę do centrum handlowego, zanim zamkną. Muszę odebrać zamówione karnisze, jeśli chcemy, żeby malarz nam je jutro zamontował. Przy okazji kupię kilka serów na kolację, macie ochotę? Oczywiście, że macie ochotę, bo nie wiem, czy nadziałem dość kalmarów. Zaraz wracam. Cześć, cześć.

Toni był Baskiem i lubił sobie pokucharzyć; a raczej był wspaniałym kucharzem. Prawdopodobnie nadział ze trzy kilogramy kalmarów, ale zawsze wydawało mu się, że jedzenia może zabraknąć.

– Cześć, mój królu. Jedź ostrożnie, żebyś nie zadrapał volva, zanim wsiądziesz do niego Faselka – zawołał za nim Teo.

– Faselka? – powtórzyłam z drwiną.

– Co chcesz? Nie nazwę przecież dziecka María Fernanda.

– Możesz ją nazwać Lola. To bardzo ładne imię i jak pamiętam, właśnie to imię dla niej wybraliście.

– Phi, będzie za mała, żeby mieć imię. Faselka bardziej mi się podoba. – Wypił. – Sama widzisz, jak się trzeba śpieszyć z karniszami, skoro mamy tylko trzy miesiące, żeby je zamontować. Ale jest szczęśliwy. Cały czas coś przygotowuje, mówi tylko o tym... Co wieczór zamawia paczki ubranek, różowych, z kokardkami. To umiłowanie kokardek ma po matce, tej zacofanej starusze, która kupuje mu ubrania jak dla ochmistra królowej Wiktorii. Może gdyby mu nie

zakładała tyłu kokardek, gdy był mały, nie miałyby takiego żalu, że wyszedł jej gej; muszę za to podziękować tej harpii.

Teo nie znosił teściowej. I nie bez powodu, bo ta kobieta, wdowa w starym stylu o małościasteczkowych poglądach, nie chciała zaakceptować faktu, że jej syn ma narzeczonego.

– Muszę ci powiedzieć, że mi odbija na myśl o ojcostwie. Domek jak z reklamy ubezpieczenia, samochód rodem z serialu o szczęśliwej rodzinie, króliki w marynarkach i bez majtek w tym różowym pokoiku... Zaczynam przypominać moją starszą siostrę albo jeszcze gorzej: jej męża, który jest doskonałym ojcem, ale strasznie mnie wkurza.

Słońce całkiem już zaszło i powiał chłodny wiatr zapowiadający noc. Przebiegł mnie dreszcz.

– Masz. – Teo podał mi kocyk. – Okryj się, bo złapiesz wilka. Widzisz, zaczynam nawet gadać jak matka! Panie, zabierz mnie szybko...

Pogłaskałam jego rękę na pocieszenie.

– Nie musisz się martwić. Będiesz znakomitym ojcem-matką.

– No nie wiem... Tak uważasz? Pamiętasz, jak na uniwersytecie mówiliśmy, że nigdy nie zamieszkamy w innym miejscu niż centrum wielkiego miasta, z mnóstwem ludzi, brudem i strasznym smogiem? Że nigdy nie porzucimy żywego asfaltu? Pamiętasz, że mieliśmy odbyć podróż dookoła świata, spróbować dziesięciu najostrożniejszych papryk we wszechświecie i spędzić noc w igloo? Spójrz na nas! Nic z tego nie zrobiliśmy.

– Taaa...

– Ale wiesz, co ci powiem? Nie przeszkadza mi to. To prawda, że całą tę historię z rodzicielstwem wymyślił Toni. On zawsze czuł zew, a ja zawsze miałem to w dupie, i tak by było aż do osiemdziesiątki i w końcu wyglądałbym żałośnie w koszulce Metalliki, którą tak lubię. Poddałem się przez wzgląd na Toniego, ale i tak mi odbiło, nie wypieram się. Czasem potrzebujesz, żeby ktoś popchnął cię we właściwym kierunku. I czasem tym właściwym kierunkiem jest małżeństwo.

Przytaknęłam w milczeniu. Miałam gęsią skórkę, może przez ten wiatr. Nie, to nie on. Owinęłam się kocem, który mnie przed nim bronił, nie chronił mnie za to przed kulą, która narażała mi w gardle, w miarę jak słuchałam Teo, mojego frywolnego, egocentrycznego i niedojrzałego przyjaciela, dającego mi lekcję na temat małżeństwa i odkrywającego moją bolesną porażkę.

– Sorry za tę przemowę. Wróćmy do rozmowy o czymś nieistotnym, proszę, albo wyciągnę wino.

– Cóż – udałam, że nie jestem zmartwiona – ty zostaniesz ojcem, a ja poszukam superpożęznego medalionu, więc igloo i papryczki muszą jeszcze poczekać.

Teo nagle złapał mnie za udo.

– Zgodziłaś się? Zgodziłaś się. Widzisz? A nie mówiłem. – To jego ulubione zdanie.

– Uważam, że to wspaniale. Potrzebujesz w życiu trochę akcji i emocji.

Chciałam się nie zgodzić, powiedzieć, że właśnie w tej chwili najmniej potrzebuję akcji i emocji, ale w tym celu musiałabym wspomnieć o sprawie Konrada, na co nie miałam siły. Konrad był tematem zamkniętym od bardzo dawna; musiał być.

W sumie Teo nie dał mi możliwości, żeby do niego nawiązać.

– A ten tam *Martinlohse*, co? Jest dobry? Bo zaczynać przygodę z gościem brzydkim jak kupa wcale nie jest fajnie, co nie?

– Nie jest taki najgorszy – zaprotestowałam. – Na swój sposób jest nawet atrakcyjny, jak sądzę. W dziwny sposób. Chcesz zobaczyć jego zdjęcia w internecie?

– Masz wątpliwości? – Pochylił się nade mną, żeby zobaczyć ekran mojego telefonu.

Wpisałam nazwisko w wyszukiwarce. Nigdy wcześniej nie szukałam jego zdjęć w inter-

necie i nie przyszło mi do głowy, że to będzie dziwne zobaczyć go na jakimś, choćby tylko z Facebooka. Pojawiło się kilku różnych Martinów Lohse, ale żaden nie był tym „moim”. Przewijałam ekran telefonu, aż trafiłam na małe zdjęcie, na którym go rozpoznałam. Pochodziło ze strony jakiejś szkoły biznesu, w której miał wygłosić wykład na temat wpływu terroryzmu na sztukę.

– To ten? Oj, cholera, no śliczny jesteś. Co to za *baby face*. Ile on ma lat? Osiemnaście? Przynajmniej jest już dorosły, co? Uważaj, żebyś nie trafiła do kicia za wykorzystanie nieletniego...

– Przesadzasz. Oczywiście, że wygląda bardzo młodo, ale jak mu się przyjrzyś z bliska, zobaczysz pierwsze zmarszczki. Masz, tu jest jego data urodzenia. – Przeczytałam krótką notkę biograficzną. – Ma trzydzieści trzy lata – przeliczyłam.

– Ja pierdołę, dał im zdjęcie z pierwszej komunii. – Teo w skupieniu przyglądał się fotografii. – Ma twarz nazisty.

W sumie Teo miał rację.

– Jak członek Hitlerjugend – dodałam z lekką kpina.

– Jak go wbijesz w ten czarny mundur...

– No nie, czarny mundur, no nie wiem...

– Przestań, przestań, uspokój się, nie mądrz się przy mnie. Wiem, że ten czarny mundur był bardzo niepraktyczny, by iść w nim na wojnę, i że mieli je tylko przez kilka lat. Opowiadałaś mi to z tysiąc razy, bo strasznie jesteś drażliwa w tych sprawach. Ale *Martinalohse* będę ubierał tak, jak mi się podoba, czyli tak jak to robią w filmach.

– Dobra, dosyć wygłupów. – Schowałam telefon, żeby uciąć sprawę wieku i atrakcyjności Martina. – Jutro mamy pierwsze spotkanie. Nie mogę się doczekać, aż zaczniemy, dasz wiarę?

Teo uśmiechnął się do mnie, jakby wiedział coś, o czym ja nie miałam pojęcia.

– Nie jesteś już tą dziewczynką z dobrego domu sprzed kilku lat, kapryśną i tchórzliwą. Zmieniłaś się w dziewczynę akcji. Kto by pomyślał...

– No dzięki, ty to potrafisz skomplementować kobietę!

– Jesteśmy bratnimi duszami.

– Jasne... I tak, ja też się boję, nie tylko ty. Ale teraz już nie jestem nowicjuską, wiem, o co w tym chodzi. Teraz wiem, że to nie jest gra dla moli książkowych. To inna liga.

– Tak, kochana, teraz jesteś już profesjonalną zawodniczką.



OD MEDYCEUSZÓW DO ROMANOWÓW

Martin wynajął salę konferencyjną w luksusowym biurówcu, która według niego miała nam służyć za centrum operacyjne, dopóki będzie trwało śledztwo. W tym jasnym pomieszczeniu z widokiem na paseo del Prado odbyliśmy nasze pierwsze spotkanie robocze.

Na wielkim stole z drewna orzechowego Martin rozłożył fotografie z zabójstwa, którego ofiarą padł Bonatti: punkt wyjścia do naszych poszukiwań. Oboje staliśmy pochyleni nad nimi.

– Jest kilka detali, o których nie rozmawialiśmy tamtego dnia. Tu, na tych dwóch fotografiach. – Wskazał na zdjęcie z gałązką leżącą na stosie dokumentów w sejfie i to z symbolem wymalowanym krwią na podłodze.

Skupiłam się na pierwszym.

– Nie jestem specjalistką od botaniki, ale jeśli ta gałązka nie jest akacją, to nie wiem, co tam robi tak równo ułożona w sejfie.

– To akacja.

– No tak, zgodnie z legendą na grobie Hirma wyrosła akacja. Akacja jest też symbolem masońskim. Wygląda to na kolejny rytualny detal, jakby podkreślenie wiadomości. Ciekawe jest umieszczenie w sejfie: to jakby biała rękawiczka zostawiona przez złodzieja w miejscu, z którego wziął łup. Więc może jednak była to kradzież.

– Trudno stwierdzić. Na pierwszy rzut oka nie brakowało niczego cennego. Tak przynajmniej twierdziły osoby z otoczenia Bonattiego. Ale miesiąc temu, zaledwie na trzy tygodnie przed zbrodnią, wydarzyło się coś dziwnego. Gdzie mówi się po raz pierwszy o legendzie Hirma i Ognistym Medalionie? – Zadał pytanie, na które potrafiłam odpowiedzieć.

– W *Manuskrypcie templariusza*.

– Właśnie. W tekście z jedenastego wieku przypisywanym Medardowi z Sens. Manuskrypt przytacza historię, którą Medard odkrył w zwojach papirusów pochodzących z królestwa Saby. Według niego zostały spisane w gzyz, dawnym języku etiopskim, najprawdopodobniej przez proroka Jeremiasza, co sytuuje je w wiekach siódmym albo szóstym przed Chrystusem.

– Taaa, dobra, cała ta legenda Hirma jest apokryficzna i nieściśła historycznie. W każdym razie nikt nie ukradł manuskryptu, jeśli o to chodzi. O ile mi wiadomo, wciąż znajduje się w Bibliotece Laurenziana, jako część kolekcji rękopisów i kodeksów zgromadzonych przez Medyceuszów.

– Rzeczywiście cały czas tam jest. Ale pozwól mi dokończyć. Z całą pewnością już wiesz, że manuskrypt zabrał do Italii Niccolò Niccoli, a po jego śmierci trafił wraz z całą wspaniałą biblioteką w ręce Kosmy Starszego.

– Prawdę mówiąc, nie miałam o tym pojęcia, ale pochlebia mi to, że uważasz mnie za wszechwiedzącą.

– Dlatego cię zatrudniłem i mam nadzieję, że mnie nie rozczarujesz.

Podobało mi się, że odpowiedział na moją ironię. Nie wiem, dlaczego wątpiłam, że to zrobi.

– Opowiedz mi to wszystko, na wszelki wypadek.

– Spokojnie, opowiem, bo lubię być odpychającym mądrałą. – Znowu się skupił.

– Dobrze, wszyscy znają ten manuskrypt; jak powiedziałaś, jest w Laurenzianie, można to sprawdzić. Od czasu do czasu nawet wystawia się go publicznie. Jednak w bibliotece Niccoliego były także inne dokumenty mające związek z manuskrypcem, naprawdę ważne, bo mówią o tym, gdzie jest Ognisty Medalion, a przynajmniej gdzie był w piętnastym wieku. I to te dokumenty,

znacznie wykraczające poza urojenia templariusza opierającego się na apokryficznych historiach, dowodzą rzeczywistego istnienia medalionu.

– Jakie dokumenty? – Zaintrygowało mnie to.

– Kilka listów również należących do spuścizny po Niccolò Niccolim. Przez co najmniej rok korespondował z Cyriakiem z Ankony. Cyriak z Ankony był...

– To akurat wiem! – Wydaje mi się, że trochę się przestraszył mojego entuzjastycznego wybuchu. – No wiem, kim był Cyriak z Ankony. Kupcem, dyplomata i antykwariuszem. Nazywa się go ojcem archeologii, bo znakomitą część życia poświęcił ratowaniu i katalogowaniu tego, co zostało po antyku. I więcej ci już nie będę przerywać, bo spędzimy tu cały dzień. Nieważne, co wiem, będę udawała, że nie wiem nic.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się. Był cierpliwy. To też mi się podobało. – Wróćmy do listów. Co logiczne, były to tylko listy, które Cyriak wysłał do Niccolò. Niemniej można było z nich wywnioskować, że Niccolò Niccoli odkrył, gdzie znajduje się medalion, i udzielił Cyriakowi dokładnych wskazówek co do miejsca. Trzeba pamiętać, że Niccoli był już w tamtym czasie wiekowy, prawie się nie ruszał z Florencji, podczas gdy Cyriak podróżował, lubił zbierać starożytności i, co nie dziwi, miał dobre kontakty w innych krajach i na innych rynkach. Sprawa jest taka, że nasz ojciec archeologii odnalazł medalion, ale nie chciał go oddać Niccolemu, więc zaczęły się między nimi cierpkie listowne negocjacje. Najbardziej interesujące jest to, że jeden z tych listów zawiera rysunek medalionu wykonany przez samego Cyriaka; wiesz, że miał wprawna rękę i lubił rysować fryzy, budowle, posągi... Ten rysunek jest pierwszym wizualnym dowodem na istnienie medalionu.

– A gdzie są te listy?

– Były zaginione. Odkąd ukradł je około 1830 roku Guglielmo Libri, włoski bibliofil, miłośnik białych kruków, znany z tego, że miał dość długą rękę. – Martin wspomógł swoje słowa wymownym gestem.

– Były?

Zanim odpowiedział, posłał mi tajemniczy uśmiech.

– Przed miesiącem zostały anonimowo zwrócone Bibliotece Laurenziana.

– Chcesz powiedzieć, że...? Myślisz, że to właśnie je skradziono Bonattiemu?

– Nie mam na to dowodów, ale istnieje takie prawdopodobieństwo.

– Ukraść je, żeby zaraz oddać? – Zmarszczyłam czoło, niezbyt przekonana. – No nie wiem, brzmi to niczym wątek z Robin Hooda, który nie pasuje do bezwzględnego mordercy gotowego popełnić taką zbrodnię jak ta ze zdjęć.

– Znowu chodzi o wiadomość. Te listy to cenny dokument historyczny, ale w sumie bezużyteczny. Jak mówiłem, wskazują, gdzie był medalion w wieku piętnastym, ale nie dowiemy się z nich, gdzie jest dzisiaj ani kto mógł być złodziejem mordercą. Oddanie listów dowodzi jedynie tego, że kradzież nie była motywem zbrodni, a w każdym razie nie kradzież tych listów.

Wpatrywałam się w zdjęcie z gałązką akacji.

– Sejf nie wygląda na rozpruty.

– Nie został rozpruty.

– W takim razie to musiał być ktoś, kto znał szyfr, ktoś z otoczenia Bonattiego.

– Niekoniecznie. Morderca mógł go zmusić do otwarcia sejfu przed śmiercią.

Zaczęło się stawianie hipotez. Ta część pracy należała jednak do policji, ja zaś postanowiłam skupić się na przedmiocie naszych badań.

– Dobrze, ostatnie wiadomości o medalionie pochodzą z piętnastego wieku i posiadał je Cyriak z Ankony, na to wskazują listy.

– Tak, ale nie tam gubi się ich ślad. – Martin napisał coś na klawiaturze. – Spójrz na to

– zachęcił mnie.

Na ekranie jego komputera ukazał się szkic, który wydawał się zawieszony na pobielonej ścianie. Był to niedokończony portret, ledwie zarys, w którym można było jednak rozpoznać Wawrzyńca Medyceusza. Nigdy nie widziałam tego dzieła, ale styl wydawał mi się znajomy.

– Odkryto ten szkic w 1975 roku w bazylice Świętego Wawrzyńca we Florencji, konkretnie w schowku ukrytym w tajemnej komorze w Kaplicy Medyceuszków. Przedstawia oczywiście Wawrzyńca zwanego Wspaniałym. Eksperti twierdzą, że szkic można przypisać Michałowi Aniołowi, a ponieważ budowa kaplicy rozpoczęła się po śmierci Wawrzyńca, jest to portret pośmiertny. Może artysta myślał o tym, by go wykorzystać w projekcie cenotafu Wawrzyńca, tyle że ten projekt nigdy nie został zrealizowany. Ale spójrz na to, co ma Wawrzyniec na szyi.

– Ognisty Medalion. – Od razu go rozpoznałam.

– Ognisty Medalion. Niemal identyczny jak ten z rysunku Cyriaka z Ankony, ze smokiem i otaczającymi go symbolami, chociaż trochę bardziej rozmytymi.

– To znaczy, że Wawrzyniec go zdobył.

– Tak, w jakiś sposób zdobył to, czego antykwariusz nie zdążył wręczyć Niccolò Niccolemu.

Powiększyłam obraz, aż medalion znalazł się na pierwszym planie.

– Chwileczkę... – Wpatrywałam się w nieco rozpixselowany obraz. – Ten symbol, tutaj... To ten sam, co w scenie zbrodni, prawda?

Martin skinął głową.

– Klucz w okręgu. To jedyny w swoim rodzaju symbol, o nieuzgodnionym znaczeniu, ale może się odnosić do klucza do nieskończoności albo wieczności, czyli wielkiego marzenia alchemii. A teraz nadchodzi to, co najlepsze: Giorgione namalował ten sam symbol w *Astrologu*.

Oderwałam wzrok od ekranu, żeby wbić go w Martina.

– W dzienniku obserwacji, który astrolog trzyma w ręce – wyjaśnił. – Nie widać go na pierwszy rzut oka, ale jest tam, ukryty pod innymi figurami geometrycznymi. O ile mi wiadomo, to jedyne dwa znane wyobrażenia tego symbolu. Nie kłamałem, kiedy mówiłem ci, że wszystko jest ze sobą połączone. I Georg von Bergheim to wiedział.

Do tej chwili stałam przy stole, lekko pochylona nad blatem. I nagle poczułam, że muszę usiąść. Znowu *Astrolog*... I Georg von Bergheim. Oficer SS, któremu nazistowskie dowództwo zleciło poszukiwanie obrazu, ten sam, którego śladów tak długo poszukiwałam i którego historię badałam tak wnikliwie, że w końcu się w nim platonicznie zakochałam.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał Martin, czując, że potrzebna jest mi przerwa.

– A masz herbatę?

Spojrzał na pudełeczko przy czajniku.

– Czarną, czerwoną, zieloną, rumiankową, owocową...

– Proszę o zieloną. Dziękuję.

Gotująca się woda bulgotała w czajniku, podczas gdy ja zastanawiałam się nad informacjami, które właśnie usłyszałam. Niebawem Martin podał mi filiżankę z herbatą i usiadł obok z kawą.

– Cukier?

– Nie, dziękuję.

Przybliżyłam krawędź filiżanki do ust i podmuchałam, herbata była jeszcze za gorąca.

– Czy naziści poszukiwali medalionu? – zapytałam poprzez parę pieszczącą mi usta.

– Zdaje się, że tak. Ale nie zlecili tego Georgowi.

– W takim razie co wiedział Georg?

– Wpadł na medalion kilka razy, poszukując *Astrologa*. Nie dosłownie oczywiście, ale na

wzmianki o nim. Jeden raz, kiedy dostał część tego, co później weszło do akt Delmedigo. Ty ich nie widziałaś...

– No co ty nie powiesz! – zaprotestowałam z urazą. Większość moich wysiłków polegała na poszukiwaniu w nazistowskich archiwach tych akt, które zawierały najważniejsze rzeczy dotyczące *Astrologa*.

– Dobra, nie skarż się. – Wydawał się zadowolony. – Udało ci się zwalczyć przeciwności.

– Tak, jasne. – Utopiłam skargi niezadowolenia w łyku herbaty.

– Na czym skończyliśmy? Pośród dokumentów z akt Delmedigo, które dostał Georg, był, jak pamiętasz, list hrabiego Pico della Mirandoli do Eliasza Delmedigo datowany w maju 1492 roku, krótko po śmierci Wawrzyńca. W nim Pico opowiada filozofowi o swoim smutku i rozpacz z powodu straty Wawrzyńca i przede wszystkim o niepokoju i opuszczeniu, które czują on i Marsilio Ficino w tej chwili, kiedy nie mogą już liczyć na ochronę i przewodnictwo tego, który był ich *alma mater*, mądrym przewodnikiem w tym, co Pico nazywa *magna secreta* – według jego własnych słów chodziło o *Astrologa* młodego Giorgia i medalion architekta.

– Czy Georg wiedział, o czym mówi Pico, odnosząc się do medalionu architekta?

– Początkowo nie. Prawdę mówiąc, nawet nie przywiązywał do tego wagi. Miał rozkaz skupić się na poszukiwaniu obrazu i go wykonywał. Jednak coś się wydarzyło, kiedy aresztowali Alfreda Bauera i skonfiskowali jego kolekcję, myśląc, że tam odnajdą *Astrologa*. Otóż niebawem Georgowi złożył wizytę człowiek, który nazywał się Peter Hanke, kapitan SS służący w wywiadzie.

– Abwehrze czy SD? – zapytałam, odnosząc się do służb wywiadowczych nazistowskich Niemiec, wywiadu wojskowego i Sicherheitsdienst, która podlegała SS.

– W SD, czyli departamencie III RSHA. Powiedział Georgowi, że zlecono mu poszukiwanie Ognistego Medalionu i że mając na względzie związek tego artefaktu z *Astrologiem*, musi przesłuchać Alfreda Bauera i zbadać katalog jego kolekcji. Początkowo Georgowi wydało się dziwne, że Himmler nie powiadomił go o poszukiwaniu medalionu, ale potem pomyślał, że to dość typowe w wysokich sferach politycznych – starać się, żeby jedna ręka nie wiedziała, co robi druga – i dał sobie z tym spokój.

– Czy Georg był obecny na przesłuchaniu?

– Nie. A kiedy prosił Hankego o raport, ten zawsze go zbywał. Nigdy mu go nie wręczył. Potem poszukiwanie *Astrologa* zaabsorbowało Georga tak bardzo, że zapomniał o całej sprawie.

– Ale Alfred Bauer nie miał medalionu... prawda?

– Nawet jego własna córka, Sarah Bauer, nie wiedziała, czy kiedykolwiek go miał.

– W takim razie co łączy jej ojca z medalionem?

Martin uśmiechnął się.

– Tego to my będziemy musieli się dowiedzieć. Pytanie tylko, czy nazistom udało się go odnaleźć czy nie.

Dopiłam herbatę, odstawiłam filiżankę na stół i znowu włączyłam ekran komputera, żeby spojrzeć na szkic Michała Anioła.

– Czyli że to jest ostatni moment, kiedy ktoś widział medalion. Przed ponad pięciuset laty.

– Prawdę mówiąc nie. W tej chwili nie mam na to żadnego dowodu, ale zdaje się, że medalion był widziany po raz ostatni dość niedawno, zaledwie wiek temu.

– No proszę. O czterysta lat lepiej, to już coś – zażartowałam.

– Musimy się cofnąć do początków Związku Radzieckiego i losu klejnotów cesarskich po upadku imperium. Większość skarbu Romanowów rozproszyła się podczas pierwszej wojny światowej i rewolucji październikowej: część przeniesiono w 1914 roku, po wybuchu wojny,

z Pałacu Zimowego w Sankt Petersburgu do zbrojowni na Kremlu, żeby chronić je na wypadek ataku wojsk niemieckich na rosyjską stolicę. Tę część uważano za straconą, aż w 1921 została odkryta w zapomnianym magazynie na Kremlu. Drugą część ukryła sama rodzina carska, kiedy bolszewicy doszli do władzy. W swojej pielgrzymce po miejscach odosobnienia, aż do ich tragicznego końca, car i jego rodzina powierzali kosztowności zaufanym ludziom. Poza tym mieli przy sobie klejnoty, liczyli, że dzięki nim ocaleją. Nowy radziecki rząd nie zdołał zebrać całej tej kolekcji. Część się zgubiła, część wywieźli z Rosji Romanowowie, którym udało się uciec przed bolszewikami. Tak więc po odkryciu z roku 1921 zespół znawców biżuterii i kamieni szlachetnych z Ermitażu otrzymał zadanie skatalogowania całego, choć nieco uszczuplonego skarbu, bo władze planowały wystawić część kolekcji na międzynarodowej aukcji, z której dochód miał sfinansować wydatki publiczne – diamenty za traktory, jak mówili. W 1925 roku opublikowano w czterech tomach tak zwany katalog Fersmana, od nazwiska geochemika i mineraloga Aleksandra Fersmana, który się pod nim podpisał. W lutym 1926 biżuteria była gotowa do sprzedaży. Krąży plotka, że istniał jeszcze jeden katalog, wcześniejszy, który opublikowano w roku 1924. I głosi, że na jednej z fotografii w tym katalogu widniał Ognisty Medalion, wyglądający skromnie i lichy wśród wspaniałych brylantowych tiar, sznurów pereł, platynowych bransoletek i broszek z kamieniami szlachetnymi, które należały do rosyjskich carów. Problem w tym, że wszystkie egzemplarze tego wcześniejszego katalogu znikły bez śladu i dlatego nie ma dowodu na to, że medalion rzeczywiście był wśród wstępnie skatalogowanych przedmiotów.

– Czy zatem ostatnią rzeczą, którą wiadomo o medalionie, jest fakt, że znajdował się w rękach Romanowów?

– Jeśli uwierzymy w historię katalogu z 1924 roku, to tak.

– Od Medyceuszów do Romanowów. Interesująca droga – zauważyłam. – W każdym razie jest wiele nitek, za które można pociągnąć. Od której zaczynamy?



WOŁĘ, ŻEBYŚ MI TO OPOWIEDZIAŁA OSOBIŚCIE

Peter Hanke. Nim zajmę się od razu. Zdobyłam wszak wystarczające doświadczenie, żeby zanurzyć się w archiwach nazistowskich Niemiec. Martinowi przypało szperanie w sprawie Bonattiego.

W trakcie poszukiwań *Astrologa* i prowadzonych z Alainem badań mających na celu odzyskanie dzieł sztuki zagrabionych przez nazistów nauczyłam się, jak nie tracić czasu w licznych archiwach i dojść bezpośrednio do sedna. Wiedziałam, że jeśli poszukuję informacji o konkretnej osobie, najlepiej zwrócić się do Berlin Document Center; jego archiwa bez wątpienia są jednym z podstawowych źródeł dla historyków, zwłaszcza zainteresowanych dokumentami biograficznymi. W BDC zgromadzono ponad czternaście milionów akt osobowych i milion dokumentów dotyczących oficerów SS, członków SA, NSDAP oraz Izby Kultury Rzeszy. Było to idealne archiwum, żeby zacząć tropić Petera Hankego.

Problem w tym, że poszukiwania w BDC nie są łatwe, prawo niemieckie chroni bowiem prywatność osób nawet po śmierci. Dlatego Alain, stały bywalec BDC, znalazł sobie współpracownika – gwoli ścisłości współpracownicę – w Bundesarchiv, czyli Archiwum Federalnym, i kiedy zdołał ją przekonać, że nie planuje oczerniać zmarłych nazistów, zaoszczędził sobie mnóstwo biurokracji koniecznej do otrzymania pozwolenia na poszukiwania. Znałam ją, nazywała się Helga Litzmann. Pracowałam z nią przy różnych okazjach.

Na początek musiałam się skontaktować z Helgą i poprosić ją, żeby znalazła dokumenty dotyczące Petera Hankego. W tym celu należało podać imię, nazwisko i datę urodzenia. Nie znaleźliśmy tej ostatniej, ale numer członka SS tak, bo Georg zanotował dane, które Hanke podał w biurze przepustek, gdy przyszedł do więzienia, żeby przesłuchać Bauera, i te notatki w cudowny sposób przetrwały wojnę. Miałam nadzieję, że Heldze to wystarczy, a przede wszystkim, że wyświadczy mi tę przysługę, bo moja wizyta odbywała się poza protokołem.

Wiadomość z BDC dostałam tydzień później, czyli dość szybko jak na tego rodzaju poszukiwania. Okazało się, że Helgę ucieszyło moje zadanie. Tak się złożyło, że przygotowywała doktorat na temat ludzi, których sama nazywała „zwykłymi nazistami”, to znaczy takich, którzy nie będąc znaczącymi postaciami ani nie zajmując wysokich stanowisk, po zakończeniu wojny zdołali rozplątać się we mgle i ich droga, czyny i odpowiedzialność nigdy nie wyszły na jaw. Według Helgi nasze pokolenie doskonale zna wspomnienia ofiar nazizmu, ale ich katów wcale nie, nie mówiąc już o zwykłych funkcjonariuszach i obywatelach, których współpraca była konieczna do działania całej maszyny Trzeciej Rzeszy. To dlatego należało jej zdaniem wejść w życiowy obieg, profil i psychikę tych osób, żeby zyskać kompletną wizję tego, co poszło nie tak, co doprowadziło do tego barbarzyństwa. Peter Hanke mógł na przykład nie zajmować wysokiego stanowiska ani nie zostać osądzony w Norymberdze, a jego imię nie figurowało w podręcznikach historii; a jednak jako aktywny funkcjonariusz nazizmu był interesujący dla Helgi – chciała wiedzieć, co go tam doprowadziło, jaka była jego motywacja.

Tak więc Helga podeszła do mojej prośby z osobistym zainteresowaniem i krzyknęła „Eureka!”, kiedy zidentyfikowała Petera Hankego. Znalazła jego teczkę osobową w archiwach RSHA.

RSHA, czyli Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, z Heinrichem Himmlerem na czele, powołano we wrześniu 1939 roku przez połączenie Gestapo, czyli tajnej policji, z SD, czyli służbą wywiadu SS, oraz Kripo, czyli policją kryminalną.

Pierwsze zaskoczenie pojawiło się, kiedy odkryłyśmy, że Peter Hanke nie należał do departamentu III RSHA, czyli SD, tylko do IV, a zatem Gestapo. Helga nie uznała tego za dobrą wiadomość. Powiedziała mi, że będzie bardzo trudno odnaleźć jakieś dokumenty na jego temat, jeśli w ogóle istnieją. Funkcjonariusze tajnej policji, co naturalne, nie zostawiali zbyt wiele śladów swoich działań, a poza tym większość jej archiwów przepadła pod koniec wojny: znakomitą ich część zniszczyli sami przełożeni, żeby nie wpadły w ręce wroga, reszta zaś spłonęła w trakcie alianckich bombardowań.

W każdym razie Helga skierowała mnie do Koblencji, gdzie znajduje się główna siedziba Bundesarchiv, żebym zbadała teczkę, którą udało jej się zlokalizować, a sama zanurzyła się w pozostałych archiwach.

Teczka osobowa jest idealnym dokumentem wyjściowym do dalszych badań: zawiera podstawowe dane na temat człowieka i stanowi swego rodzaju mapę z wytyczonym szlakiem do kolejnych dokumentów.

Z czasem rozwinęłam własną metodę działania, żeby wydobyć jak najwięcej z dostępnych informacji. Sporządzałam klasyfikację dokumentów według instytucji, z których pochodziły, i informacji, które zawierały, przygotowywałam ramową biografię czy raczej chronologię życia człowieka, a potem wypełniałam ją detalami. Cechą szczególną archiwów członków SS jest to, że zawierają nie tylko dokumenty z obiektywnymi danymi: przynależność, daty, miejsca, funkcje... SS w swoim dążeniu do pełnej kontroli nad skutecznością i wiernością personelu produkowało także mnóstwo raportów, które pozwalają poznać zwyczaje, charakter i osobowość badanego, a nawet dane medyczne i psychologiczne. Doteczki Hankego załączono różne tego typu dokumenty, więc pierwsze rozeznanie zajęło mi kilka dni.

Podczas ostatniej godziny intensywnego dnia pracy, kiedy na zewnątrz zapadł już mrok i szalała niesamowita burza, przyklejona do czytnika mikrofilmów w coraz bardziej pustej czytelni natrafiłam na raport sporządzony przez departament I D2 RSHA – czyli zajmujący się sprawami dyscypliny wewnętrznej. Gdy go czytałam, tknęło mnie pewne przecucie. Wyszłam na chwilę na korytarz, żeby zadzwonić do Martina, pragnęłam podzielić się z nim swoim odkryciem.

– Martin, zdaje się, że już znalazłam coś na temat Hankego. W 1941...

– Poczekaj. Wolę, żebyś mi to opowiedziała osobiście.

Jego reakcja bardzo mnie zaskoczyła.

– Osobiście? Ale... planowałam zostać w Koblencji jeszcze przez kilka dni. Zostało mi sporo dokumentów do przejrzania. Naprawdę nie chcesz, żebym ci to teraz opowiedziała?

– Tak, teraz. I osobiście.

Ten głos nie rozbrzmiewał w telefonie, usłyszałam go wyraźnie za plecami. Odwróciłam się. Stał tam. Właśnie wszedł z ulicy, w przemoczonej kurtce.

– Dobra, lepiej podczas kolacji. Umieram z głodu. Jesteś głodna?

– Co... co ty tu robisz?

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić, ale mnie ubiegłaś.

– Nie... Chodzi mi o... co cię sprowadza?

– Byłem w odwiedzinach u mamy. Mieszka we Frankfurcie. A ponieważ to tylko półtorej godziny drogi od Koblencji, pomyślałem, że wpadnę i pomogę ci przy papierach, jeśli nie masz nic przeciwko. No to jesteś głodna czy nie?

Czy byłam głodna? Nie myślałam o tym, ale tak, byłam głodna. Chociaż przede wszystkim czułam zmęczenie; nagromadzone przez cały dzień opadło mnie w jednej chwili.

– Jestem głodna. Ale nie chcę żadnego wyszukanego miejsca, wystarczy coś szybkiego i prostego. Padam z nóg i pieką mnie oczy, więc powinnam już wyjąć kontakty.

– Wynająłem mieszkanie przez Airbnb, naprzeciwko jest włoska restauracja i na pewno przygotują nam coś na wynos. No i tam będziesz mogła zdjąć szkła. Co o tym sądzisz?

Martin uśmiechał się zadowolony z własnej propozycji. W tej chwili zdałam sobie sprawę, że on niemal bez przerwy się uśmiecha, a nawet gdy tego nie robi, jego twarz wygląda sympatycznie, spokojnie. Przyjemnie jest pracować z kimś takim. Jego towarzystwo też jest miłe.

– Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Poczekaj tu na mnie, spakuję się.

Skierowałam się do czytelnicy, ale zanim weszłam do środka, odwróciłam się.

– A więc masz matkę...

Martin wzruszył ramionami.

– Jak widzisz, jestem zwyczajnym facetem.



JEGO WYRAZ TWARZY JEST... NIEPOKOJĄCY

Koblencja to małe miasto położone u zbiegu Renu i Mozeli. Typowa niemiecka starówka – domy z XVIII wieku w pastelowych kolorach, kryte dachówką, z kwadratowymi oknami w idealnie równej linii, przestronne place zdobione pomnikami z brązu pokrytego patyną i kościelne wieże z cebulastymi kopułami – została wpisana na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Miasto schludne, czyste, spokojne, po którym przyjemnie się spaceruje, z wyjątkiem chwil, kiedy akurat szaleje burza, jak wtedy. Ograniczyliśmy się więc do odebrania dań w restauracji i zanieśienia ich w te pędy do mieszkania Martina w okolicach Jesuitenplatz.

– Jest funkcjonalne, wygodne, więc czasem wolę je wynająć, zamiast pójść do hotelu – wyznał, rozkładając na talerze sałatkę ze szpinakiem, szynką, orzechami i suszonymi pomidorami z parmezanem. – Podróżuję przez większą część roku, a to miejsce bardziej przypomina dom niż hotel.

Nie zostało to zaplanowane, ale siedząc pod oknem przy stoliku, do którego idealnie pasowała szwedzka nazwa, i jedząc kolację, zaczęliśmy rozmawiać o Martinie. Burza minęła, chociaż kocie łby na ulicy ciągle łśniły od deszczu. Ludzie schronili się w domach i miasto wyglądało jak rozleniwione, pogrążone w letargu. Z telefonu Martina rozbrzmiewał Sam Cooke – zdumiewający wybór jak na kogoś, kto wygląda raczej na fana Avicii'ego. Zresztą Sam Cooke doskonale się wpasowywał w krajobraz po burzy i apatyczne, ukośne światło. Poddaliśmy się jego głosowi, wydawało się, że śledztwo może poczekać, że jest zbyt późno, by rozmawiać o pracy. Wino i jedzenie też nie pomagały.

– Gdzie jest twój dom?

– W Monachium. Nie można o nim powiedzieć dom, mam go dopiero od pięciu lat i nawet jeszcze nie skończyłem go meblować, ale jest to miejsce, do którego zawsze mogę wrócić.

– Jesteś stamtąd?

– Nie, jestem z Frankfurtu. Gdy miałem osiemnaście lat, przeprowadziłem się do Monachium. Studiowałem tam historię sztuki i już zostałem. Lepiej się czułem w Monachium niż we Frankfurcie. – Zawiesił głos, jakby się wahał, czy mówić dalej, ale w końcu się zdecydował. – Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałem trzy lata, od tamtego czasu nie mam wiadomości o ojcu. W sumie Lohse to nazwisko mojej mamy, zmieniłem je. Dziesięć lat po rozwodzie mama znowu wyszła za mąż, ale ja nie za bardzo dogadywałem się z tym facetem. Woląłem spędzać czas z bratem dziadka w Monachium. Mieszkalem z nim do jego śmierci.

Bruno Lohse. Brat jego dziadka. Ekspert w sprawach sztuki, konkretnie od malarstwa flamandzkiego i holenderskiego w XVII wieku, oficer SS w stopniu Hauptsturmführera, kapitana, marszand Hermanna Göringa i jeden z odpowiedzialnych za działalność Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg w Paryżu, nazistowskiej organizacji zajmującej się rabunkiem dzieł sztuki w Europie i ich składowaniem. Miałam okazję przyjrzeć się bliżej postaci Lohsego podczas poszukiwań *Astrologa*, ale nie zdołałam wyrobić sobie opinii na jego temat. To oczywiste, że aktywnie uczestniczył w rabowaniu dzieł sztuki, ale co do jego stosunku do Holocaustu, sprawa nie jest tak oczywista. Po zakończeniu wojny Amerykanie zatrzymali go i przesłuchiwali. Współpracował z nimi w śledztwie w sprawie rabunku i zeznawał na jednym z procesów w Norymberdze. Nie oskarżono go o żadną zbrodnię i w 1948 roku przekazano władzom francuskim, które trzymały go w więzieniu do 1950 roku, kiedy to po krótkim procesie został zwolniony. Zamieszkał wtedy w Monachium. Ponieważ nie zdenazyfikowano go, w żadnym razie oficjalnie nie mógł wrócić do

pracy marszanda, ale bardzo roztropnie tytułował siebie konsultantem. Mówi się, że był członkiem sieci handlarzy zrabowanymi dziełami sztuki, powiązanych z dawnym nazistowskim reżimem. Po jego śmierci w 2007 roku szwajcarska policja znalazła w skrytce w banku w Zurychu, do której Lohse miał dostęp, przynajmniej czternaście dzieł sztuki zaginionych podczas wojny. Czy Bruno Lohse był nazistą z przekonania i jednocześnie współnikiem zbrodni reżimu? Czy był zwyczajnie oportunistą, który odnalazł w nazistowskim systemie odpowiednie środowisko, żeby zaspokoić swoje ambicje posiadania dzieł sztuki i pieniędzy? Czy był dobrym Niemcem, czy złym? Nie potrafiłam stwierdzić. W każdym razie Bruno Lohse był postacią, która nieustannie mnie intrygowała; tak samo jak jego stryjeczny wnuk.

– Jaki był brat twojego dziadka?

Martin odłożył sztucę na talerz i westchnął. Wyglądał, jakby próbował obmyślić odpowiedź.

– Dla mnie był właśnie nim: bratem mojego dziadka. A raczej dziadkiem, bo ten prawdziwy zginął podczas wojny, nie poznałem go. Czuły, gadatliwy, uśmiechnięty, zawsze w dobrym humorze. Był moim mentorem: od niego nauczyłem się o sztuce więcej niż przez pięć lat na uniwersytecie... Lubił Sama Cooke'a i jazz. To był nazista, który lubił jazz... Chociaż domyślam się, o co chcesz mnie zapytać, i... To trudny temat; dla mnie taki jest, podobnie jak chyba dla większej części mojego pokolenia: to nasi dziadkowie. Żyliśmy w poczuciu zdumienia, niezrozumienia, zbiorowego wstydu. Skrucha i wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało, co Niemcy zrobili światu, są przerabiane niemal jako przedmiot w szkole. To jednak jest coś abstrakcyjnego i dlatego można sobie z tym poradzić. Złem staje się wtedy, gdy jest osobiste i nosi twoje nazwisko... Kiedy myślisz, że to mogłeś być ty, że ty mogłeś wziąć udział w tym szaleństwie. Wtedy próbujesz zrozumieć, postawić się na jego miejscu... Ale to jest trudne. Historia mówi, że wszyscy byli nazistami, kryminalistami albo współnikami. To „wszyscy” jest do przyjęcia, ale jeśli chodzi o jednego człowieka, członka twojej rodziny, kogoś, kogo kochasz... Jak możesz przyjąć do wiadomości, że twój dziadek był nazistą, współnikiem albo kryminalistą? Po wojnie ludzie pograżyli się w milczeniu. Nikt o tym nie mówił. Brat mojego dziadka nigdy mi o tym nie mówił. I szczerze, chyba wolę, że tak się stało... Czasem lepiej jest nie wiedzieć. Czasem chciałbym nie wiedzieć.

– Przepraszam... To nie było dobre pytanie.

– Nie, nie ma problemu... Wszystko w porządku. Ale dlaczego w ogóle zaczęliśmy gadać o mnie? – Uśmiechnął się, już spokojniejszy. – Tak nie może być. Wyciągaj zaraz Hankego z torebki – rozkazał, jednocześnie sprzątając ze stołu.

– Dobra, ale pozwól, że ci pomogę.

– Nie, to tylko dwa talerze – zaproponował, odnosząc je do kuchni. – Poczęstowałbym cię odrobiną alkoholu, ale obawiam się, że wynajmują te mieszkania bez minibaru.

– To i lepiej. Za bardzo chce mi się spać, żeby pić. Skończmy to szybko i idę do hotelu. Inaczej zasną przy stole.

– Jeśli jesteś zmęczona, możemy zostawić to na jutro.

– Prawdę powiedziawszy, bardzo chcę ci o tym opowiedzieć – przyznałam.

– Jak uważasz.

Stół został szybko uprzątnięty, więc mogłam wyciągnąć papiery śledztwa. Poprawiłam okulary na nosie i otworzyłam jedną z tekturowych teczek.

– Peter Hanke – obwieściłam, podsuwając Martinowi powiększoną czarno-białą fotografię legitymacyjną.

Pochylił głowę, żeby przyjrzeć się zdjęciu. Był na nim mężczyzna w średnim wieku, szczupły, o długiej szyi, kwadratowej twarzy, z nieco zapadniętymi policzkami, wielkimi ustami

i małymi oczami. Miał czarne włosy – ani śladu siwizny, w każdym razie na zdjęciu – zaczesane do tyłu na brylantynę, odsłonięte wyraźne zakola. Jego najbardziej charakterystyczną cechą były blizny pokrywające jedną stronę twarzy; ta ciągnąca się od kącika ust aż do ucha wyróżniała się jako głębsza i wyraźniejsza od innych.

– Nie podoba mi się – oświadczył Martin. – Jego wyraz twarzy jest... niepokojący.

– Może miał gorszy dzień, kiedy robili mu to zdjęcie – zauważyłam, chociaż nie mogłam się z nim nie zgodzić.

– Może...

Wspomagając się notatkami, zaczęłam mu opowiadać, kim był Peter Hanke:

– Urodził się 11 kwietnia 1895 roku w Bagdadzie z niemieckich rodziców. W 1913 roku wstąpił na prawo na Uniwersytecie Berlińskim. Kiedy w następnym roku wybuchła wielka wojna, przerwał studia i zaciągnął się do wojska. Walczył w Belgii do czasu, aż kraj wpadł w niemieckie ręce, po czym przetrzucili jego oddział do Francji. Pod koniec 1916 roku został ranny pod Verdun. W konsekwencji uznano go za niezdolnego do walki i zwolniono z wojska w stopniu porucznika. Został odznaczony Krzyżem Żelaznym drugiej klasy. Przypuszczam, że stąd ma te blizny. – Wydawało mi się to niemal oczywiste.

Martin się jednak ze mną nie zgodził.

– Nie sądzę. Te blizny wyglądają raczej na *Schmisse*, czyli ślady po menzurach.

– Menzurach?

– To pojedynki między studentami... No, nie jest to dokładnie pojedynek, bo przeciwnicy nie walczą, żeby rozstrzygnąć jakiś spór albo pomścić zniewagę, ale raczej wykazać swoją męskość, a do tego istnieje zakaz zabijania przeciwnika. Jak ci to wytłumaczyć dokładniej? To pojedynek, w którym członkowie rywalizujących ze sobą bractw uniwersyteckich stają przeciwko sobie w walce na rapiery. Praktykuje się to od połowy XIX wieku, nawet jeszcze dzisiaj, choć niezwykle rzadko. A przynajmniej praktykowało się, kiedy studiowałam.

– Brałeś udział w pojedyнку? Żartujesz sobie?

– Nie, ja nie. Ale byli tacy koledzy, którzy na to szli. Pamiętam jednego: Wittig szalony, tak go nazywali; ma to sens. Cóż, wiesz, jak jest: dużo piwa, dużo przechwałek, mnóstwo próżności... Zakłada się, że te blizny są bardzo atrakcyjne dla kobiet. Na początku poprzedniego wieku menzury były bardzo popularne wśród studentów, szczególnie z klas wyższych, elity z wykształceniem uniwersyteckim, bo jak ci mówiłem, miały dowodzić męskości i odwagi. Blizny nosiło się z kastową dumą. Niektórzy nawet sypali sobie na rany końskie włosie albo zdrapywali strupy, żeby blizny były bardziej widoczne.

– A więc to są cięcia rapierem? – zapytałam zszokowana.

– Tak. Dwóch walczących, w ochroniaczach na korpusie, na rękach, szyi, nosie i oczach, staje naprzeciwko siebie w odległości od metra do dwóch, mniej więcej jak w meczu szermierki. Ale najważniejsze jest to, żeby się nie cofnąć, nie zrobić ani kroku w tył. Cała idea zasadza się na pokonaniu strachu i okazaniu odwagi. Przegrywa ten, kto się wycofa albo kto odniesie więcej ran. Jeśli się przyjrzy, zobaczysz, że najczęściej blizny znajdują się po lewej stronie, zwłaszcza jeśli przeciwnik jest praworęczny, z racji formy ataku. Widzisz? Nasz kolega Hanke chełpi się swoimi *Schmisse* po lewej stronie twarzy.

– Niesamowite... Teraz rozumiem, dlaczego wielu nazistowskich oficerów miało cięcia i blizny na twarzy. Zawsze myślałam, że to rany wojenne.

– Jeśli byli studentami obibokami i arogantami, to na pewno mieli *Schmisse*.

– Pasuje to do osobowości Hankego, jak wynika z raportów jego przełożonych. Oczywiście był konfliktowym typem. Ale idźmy dalej. Po wojnie, gdy już wrócił do cywilnego życia, skończył jeszcze kilka kursów na uniwersytecie i jednocześnie podszedł do egzaminów dla kan-

dydatów do policji w Berlinie, do której wstąpił w 1922 roku. W 1931 dochrapał się stopnia Kriminalkommissar. Do NSDAP został przyjęty w 1933 roku, w kilka miesięcy później dołączył do SS i od razu go przenieśli do Gestapo, Gruppe IVE, kontrwywiad. Ciekawostka: wziął udział w zaplanowanej przez Hitlera czystce SA podczas „nocy długich noży”, okazał tym samym lojalność przełożonym i ugruntował swoją dobrą reputację w organizacji. Później, w 1942, brał udział w likwidacji Rote Kapelle, Czerwonej Orkiestry, siatki szpiegów niemieckich, którzy przekazywali informacje Związkowi Radzieckiemu. To najważniejsze wydarzenia z życiorysu Hankego. Pozostał w Gestapo do końca wojny albo przynajmniej do kwietnia 1945 roku – tego nie wiemy dokładnie, bo kiedy w Niemczech zapanował chaos i biurokratyczny rygor nie był już najważniejszy, przestano prowadzić rejestr. Nie mamy też daty jego śmierci. Trzeba by sprawdzić w odpowiednim urzędzie stanu cywilnego. Mam za to jego *Ariernachweis*, dowód aryjskości; Niemiec czystej krwi od 1750 roku.

– Nazistowskie historie... – podsumował Martin, żeby zaraz wrócić do Hankego.
– Zadaję sobie pytanie, dlaczego, gdy poszedł przesłuchać Bauera, przedstawił się jako członek SD, a nie Gestapo.

– Tak, to nie ma większego sensu. Dlaczego miałby kłamać na ten temat?

– Nie wiem... W sumie, co takiego znalazłaś, co może być dla nas interesujące?

– To... – Wyciągnęłam kopię dokumentu pełnego pieczętek. – To raport sekcji I D2 RSHA, coś jakby sprawy wewnętrzne. W sierpniu 1941 roku wszczęto postępowanie przeciwko Hankemu. Zdaje się, że na początku czerwca tamtego roku pojechał do Leningradu i tam został zatrzymany przez milicję w związku z zabójstwem obywatela radzieckiego Fiodora Wojkowa. Ostatecznie z braku dowodów nie wszczęto przeciwko niemu postępowania karnego, ale musiał interweniować konsulat niemiecki i zdaje się, choć nie ma co do tego całkowitej pewności, że rozwiązanie było bardziej dyplomatyczne niż prawne; oczywiście ukryli, że Hanke jest funkcjonariuszem Gestapo. Wtedy, tuż przed atakiem Niemiec na Związek Radziecki, relacje między oboma krajami już były dość napięte i sprawa przysporzyła sporo kłopotów przełożonym Hankego. W każdym razie podczas śledztwa wewnętrznego Hanke zaprzeczył wszelkim oskarżeniom, które łączyły go z morderstwem, i w celu oczyszczenia się i usprawiedliwienia udziału w zamieszaniu zeznał, że pojechał do Leningradu, żeby wypytać Wojkowa o radziecką siatkę szpiegowską działającą w Niemczech. Prawda jest taka, że to wszystko brzmi bardzo dziwnie, bo gdyby taki był rzeczywisty powód jego podróży, przełożeni przecieź by o tym wiedzieli. A sądząc z lektury raportu, nie wiedzieli.

– W takim razie dlaczego go kryli?

– Czasem robiono takie rzeczy, żeby nie splamić wizerunku formacji... Jeśli uważano danego funkcjonariusza za dobrego, skutecznego, przymykano oczy. Tak więc w przypadku Hankego wszczęto śledztwo, żeby wszystko pasowało, ale przypuszczam, że przełożony trochę go opieprzył, raczej za lekkomyślność i za to, że pozwolił się złapać, niż za zabójstwo, i sprawa trafiła do archiwum. Kogo obchodziła śmierć jakiegoś bolszewika? Przecieź to dobrze, jednego mniej. Nie będą poświęcać swojego człowieka z takiego powodu. Problem w tym, po co Peter Hanke pojechał do Leningradu. Nie wiem... Może nie ma to żadnego znaczenia, ale powiedziałeś mi, że ostatni raz medalion rzekomo widziano w Związku Radzieckim. Myślę, że bardzo ciekawe byłoby odkrycie, kim był ten Fiodor Wojkow. W każdym razie zostało mi trochę dokumentów Hankego do przejrzania. Może odkryję w nich coś jeszcze na ten temat.

– Dobra, teraz ja też służę ci pomocą. Mogę zostać przynajmniej ze dwa dni.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, chociaż moje myśli już wybiegły trochę naprzód.

– Mam przyjaciół w Rosji, rodzeństwo Antona i Irinę Jegorowów. On jest wicedyrektorem Działu Rękopisów w Rosyjskiej Bibliotece Narodowej, a ona techniczką w RPAW, Rosyj-

skim Państwowym Archiwum Wojskowym. Oboje mają wszędzie znajomych i nie umknie im żaden dokument – jeśli tylko jest w jakimś archiwum w Rosji albo w którejkolwiek dawnej republice radzieckiej, znajdą go. Napiszę do Iriny, na pewno nam pomoże.

Myślałam, że Martin pochwali ten znakomity pomysł, ale właśnie zadzwonił telefon.

– Przepraszam, muszę odebrać – usprawiedliwił się, patrząc na ekran. – Zaraz wracam.

– Spokojnie.

Odebrał po niemiecku i oddalił się korytarzem do jednego z pokojów.

Ja wykorzystałam sytuację i wyciągnęłam się na krzesło jak kot podczas sjeisty. Wtedy usłyszałam brzęczenie WhatsAppa w torebce. Odszukałam telefon raczej odruchowo niż przez zainteresowanie. Myślałam o tym, jaka jestem zmęczona, kiedy pojawiające się na ekranie imię i nazwisko Grety Köller natychmiast mnie otrzeźwiło. Otworzyłam wiadomość.

Konrad zgodził się z tobą spotkać. W tę środę. Przyjedzie po ciebie kierowca na lotnisko w Zurychu. Proszę, wyślij mi numer lotu, jak tylko będziesz go znać. Pozdrawiam.

– Już jestem – obwieścił Martin.

Uniosłam wzrok. Milczałam.

– Dobrze – kontynuował, nie zważając na mój stan szoku. – A zatem spróbujemy się dowiedzieć, co takiego robił Peter Hanke w Leningradzie.



KWIECIEŃ 1945

Po ponad pięciu latach okrutnej wojny stolica Trzeciej Rzeszy stawia czoło ostatniej bitwie. Miasto otacza dwa i pół miliona żołnierzy Armii Czerwonej gotowych do zadania ostatecznego ciosu w serce narodowego socjalizmu. Zaledwie sto tysięcy obrońców, w tym działacze partyjni, rozproszone oddziały wojska w odwrocie, weterani pierwszej wojny światowej, młodzież z Hitlerjugend, policja i straż przyboczna Hitlera, przygotowuje się do zatrzymania radzieckiego ataku, zastępując brak ludzi fanatyzmem. Nieco ponad trzy miliony berlińczyków, w większości kobiet i dzieci, głodnych, zdemoralizowanych i przerażonych, czeka na swoje niepewne przeznaczenie w trzewiach miasta. Tymczasem Führer, ukryty w bunkrze wraz z ostatnimi wiernymi towarzyszami, podtrzymuje chwiejną i iluzoryczną nadzieję na uratowanie Rzeszy. Na horyzoncie widać już dni zażartej walki o każdy dom; kolejny akt okropnej ludzkiej tragedii, drugiej wojny światowej. Bitwa o Berlin niebawem się rozpocznie.

Peter Hanke rzucił okiem na drżące ręce. Krew zaplamiła mu rękawiczki. Z trudem wyciągnął chusteczkę z kieszeni i pośpiesznie się wytarł. Także nóż, zanim go zawinął w materiał i schował.

Dyszał zlany potem. Ciężko przełknął ślinę. Czuł bicie serca w przetyku i miał dziwne wrażenie, jakby tonął. Stracił panowanie nad sobą. Przeklęte narkotyki, to go uspokajały, to nim szarpały. Musiał przestać je brać. Do wszystkich diabłów... Stracił panowanie nad sobą.

Zacisnął pięści. Nie miał czasu do stracenia. Zabrał się do szybkiego i bezsensownego przeszukiwania zastawionego meblami i bibelotami salonu. Otwierał szuflady i wyrzucał na podłogę ich zawartość, zrywał obrazy ze ścian, ciskał porcelaną o podłogę, zwinął dywany i szukał obluźwanych desek, porozdzierał poduszki i wysypał pierze. To było absurdalne. Może tylko potrzebował rozładować frustrację? Przecież mu się to nie uda. Nie w ten sposób.

Spojrzał na starego na krześle, związanego i zakneblowanego. Jego chude ciało opadło bezwładnie. Krew zalała mu ubranie, już ledwie wypływała z rozcięcia na szyi. Woskowa twarz bez wyrazu wznosiła się ku sufitowi, głowa niemal pozbawiona włosów wisiała jak u zniszczonej szmacianej lalki. A i tak zdawał się z niego kpić. Peter rzucił się na trupa.

– Przeklęty niewdzięczniku! – Potrząsnął starym, odchodząc od zmysłów. Chciał zwrócić mu życie, które sam odebrał. – Gdzie jest? Powiedz mi, gdzie on jest! Obudź się! Obudź się i wyciągnij mnie z tego piekła!

Wtedy Fiodor Wojkow otworzył oczy jak spodki, niemal wychodziły mu z orbit. Z jego gardła wydobył się przerażający ryk...

Peter obudził się wystraszony tym krzykiem, który ciągle rozbrzmiewał w jego uszach. Był mokry od potu i roztrzęsiony. W półmroku spojrzął na ręce, spodziewając się, że będą zalane krwią, ale to tylko brud. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

Znowu ten cholerny sen. Powtarzał się od wielu dni. Co takiego go dręczyło, skoro od dawna nie miał sumienia? Nie, nie był to żal. Minęły cztery lata i przez ten czas ani razu nie pożałował, że zabił Fiodora Wojkova. Czy to duch Rosjanina wkraść mu się do mózgu, żeby go torturować?

Stary dureń... Gdyby posłuchał argumentów, nic z tego by się nie wydarzyło. Chciał mu to wyjaśnić. Chciał mu powiedzieć, że jego motyw są szlachetne. On nie jest zbrojcem jak ci

fanatyczni i głupi naziści. On rozumie powagę sytuacji, rozumie, jak ważny jest medalion. „Kto będzie chronił medalion, kiedy umrzesz, Fiodorze Wojkowie? Komu go przekażesz? Wiesz, że twoje życie dobiega kresu. Wiesz, że zaraz wybuchnie wojna. Tylko ja mogę się nim zająć. Naucz mnie go pilnować. Ja też mogę to robić, mogę zostać jednym z was. Znam wasze tajemnice. Zasłużyłem na to, żeby się nim zająć!”

„To nie jest prawo ani przywilej. To jest brzemię. Ty nigdy nie zdołasz tego zrozumieć, bo oślepiają cię żądza i ambicja”, odpowiedział mu Wojkow. Stary pomyłony dureń. Za kogo on siebie uważał, żeby go tak lekceważyć i tak nim pogardzać?

Peter Hanke przewrócił się niezręcznie na materacu i wlepił spojrzenie w popękany szary sufit z plamami wilgoci. Uśmiechnął się. W sumie stary nie był aż tak przebiegły, jak sobie wyobrażał. Katia miała zaraz przyjść i Peter musiał tylko na nią zaczekać.

– Magna Clavis... A ty myślałeś, że zabrałeś sekret ze sobą do grobu, co, Wojkow? Przekląty skurwysynu...

Tak, być może ten sen był znakiem, że zbliża się koniec. Albo nie. Może to tylko laudandum; może lekarstwa z zapasów Hubertusa von Leitgebela były przeterminowane i dlatego wywoływały u niego te koszmary.

Wybuch znowu wstrząsnął piwnicą, z sufitu posypał się pył. Te wybuchy były coraz częstsze, bardziej intensywne, coraz bliższe. Rosjanie krok za krokiem podchodzili pod Berlin. A wraz z nimi Katia.

Peter wyciągnął rękę po butelkę i wypił solidny łyk. Przynajmniej koniak ciągle jest w doskonałym stanie, pomyślał, smakując słodczy i moc alkoholu, i znowu się skulił, żeby na powrót przywołać sen.



Kolumna czołgów zatrzymała się o kilka kilometrów od Weissensee, na przedmieściach Berlina, z powodu zbyt dużego natężenia ruchu. Wszystkie szosy były zniszczone, zapchane pojazdami i wojskiem Armii Czerwonej, podążającymi śladem kolumn uciekinierów i wycofujących się oddziałów Wehrmachtu.

Katia wykorzystała postój, żeby z manierki napić się nieprzyjemnie ciepłej wody. Pogoda była ołowiana, z szarym niebem, o którym trudno było powiedzieć, czy jest zasnute chmurami, czy dymem, czy mieszanką ich obu. Z błotnistej ziemi, zrytej gąsienicami czołgów, zdawała się wznosić śmierdząca mgła. Wszystko było zasypane śmieciami, szczapami drewna, łuskami pocisków, poskręcany żelastwem. W przydrożnym rowie leżał roztrzaskany wóz i martwy koń; muchy już zaczynały go obsiadać. Nieliczne drzewa stojące nadal na tej szarej pustyni upstrzonej porzuconymi budynkami były zwęglone albo połamane. Pejzaż sprawiał przygnębiające wrażenie. Był taki od dawna, bardzo dawna, od bardzo wielu kilometrów. Katia straciła rachubę, nie wiedziała, od ilu miesięcy idzie przez spaloną ziemię, przez śmierć i zniszczenie. Już nie zwracała na to uwagi. Tylko tak mogła nie stracić głowy.

Poza tym czuła się wyczerpana. Nie spała od ponad czterdziestu ośmiu godzin. Jej jednostka fizylierów musiała ruszyć do boju na wzgórzach Seelow, gdzie Niemcy stawili niespodziewany opór, samobójczy, i pierwsza linia wojsk radzieckich poniosła znaczące straty. Dopiero przed kilkoma godzinami wreszcie przerwali ostatnią linię obrony. Berlin znalazł się w zasięgu ręki.

Ciągle nie była w stanie uwierzyć, że tam jest, że siedzi skulona na pancerzu T-34, ściskając karabin Mosina, otoczona żołnierzami równie posępnymi, wyczerpanymi, opryskliwymi i brudnymi jak ona, pochodzącymi ze wszystkich stron Związku Radzieckiego, od Syberii do

Białorusi. U wrót Berlina.

Ile się wydarzyło, ile rzeczy doprowadziło ją aż tutaj, w co się zmieniła i co ją otaczało – wszystko to wywoływało u niej silne poczucie nierealności.

Aż do tamtej chwili wojna określała jej istnienie. Teraz, kiedy wiedziała, że nadciąga ostateczna bitwa, czuła się nieco zagubiona. Jeśli uda jej się przeżyć, co się wydarzy potem, kiedy wojna nie będzie już pociągać za sznurki jej życia?

Może strach przed przyszłością wynikał z tego, że przez ostatnich kilka dni patrzyła wstecz. W rzadkich chwilach samotności i odpoczynku nachodziły ją obrazy z przeszłości. Obrazy coraz bardziej wypływały od upływu czasu, a jednak przeżyte, obecne jak kotwica utrzymująca ją na stałym lądzie.

Katia, hiszpańska dziewczyna... Ta o włosach czarnych jak ziemia w dolinie Kuzbasu, skórze niczym zaśniewany śnieg i migdałowych zielonych oczach, żywy obraz jej rosyjskiej mamy. Gdy dostała przydział, sierżant powiedział, że nie chce jej w swoim oddziale, bo jest za ładna i kręci mężczyzn, stwarza problemy z dyscypliną. Oburzyła się: od kiedy to odsyła się żołnierzy, dlatego że za dobrze wyglądają! Gdyby zobaczył ją w tej chwili, z patyną wojny pokrywającą jej oblicze i nacięciami na kolbie karabinu znaczącymi zabitych nazistów, pożałowałby swoich słów.

Czy naprawdę kiedyś była Hiszpanką? Prawie nie pamiętała tamtego języka... Miała zwyczaj mówienia do siebie na głos. Wcześniej, dawno temu, wygłaszała te monologi po hiszpańsku. Ale z upływem lat hiszpański rozmywał się w rosyjskim i zaczęło jej brakować słów.

Kiedyś zadawała sobie pytanie, czy jest szalona, że gada sama do siebie. Teraz już nie. Granica między szaleństwem a normalnością dawno temu została zniesiona.

– *Rzekł do mnie flisak, gdy płynęłam łódką* – cichutko zanuciła. Jej akcent był okropny, ciężki jak warkot silnika, a jednak miło go było posłuchać. – *Śliczne dziewczyny płacić mi nie muszą...*

Uśmiechnęła się. Może przypomni sobie całą piosenkę. Powtarzała te dwa wersy. Przynosiły jej wspomnienie domu z przeszkloną werandą, z półką na bajki... dzień świąteczny wypełniony zapachem karmelizowanych migdałów, buty przy balkonie w noc Trzech Króli, uśmiech mamy, przytulenie taty... Jednak słodkie głosy się rozplynęły, twarze się rozmywały.

– *Rzekł do mnie flisak, gdy płynęłam łódką...*

Zamknęła oczy, żeby złagodzić ich pieczenie, i wtuliła się w wieżyczkę czołgu. Spróbowała odgrodzić się od otaczającego ją metalicznego warkotu silników, od gwaru wojska i dać się ponieść piosence – mrucała zapomniane wersy, drżące w jej spierzchniętych ustach. Co za dziwna piosenka na apokalipsę...

Chciała wrócić tam, skąd pochodziła, gdzie wszystko się skończyło i wszystko się zaczęło, do tego czerwcowego poranka, w którym wojna – inna wojna, ta hiszpańska – przyszła, żeby zostać na zawsze, nie dając jej czasu na zabranie ulubionej lalki. Wtedy Katia przeżyła pierwszy raz bombardowanie: miasto rozpadające się na kawałki nie wiadomo dlaczego, krzyki, biegania, spocona dłoń mamy mocno chwytająca jej rękę. Ale byli razem, we troje, łatwiej znosiło się strach, było też miejsce na śmiech i okazywanie czułości, nawet podczas tego horroru.

Na początku nie mogła zrozumieć, dlaczego ją od nich oddzielono.

– To dla twojego dobra, córeczko. Tylko na kilka miesięcy. To się szybko skończy i znowu będziemy razem.

Mama powtórzyła jej to kilka razy, głaszcząc ją po głowie i policzkach. Powiedziała jej to po rosyjsku, w języku, którym zawsze do niej mówiła. Mama była Rosjanką. Dlatego wysłała ją do Związku Radzieckiego, gdzie mieszkał wujek. Tam dziewczynka miała być bezpieczna.

– Dlaczego nie jedziecie ze mną? Bylibyśmy razem i też bezpieczni – nalegała Katia.

W odpowiedzi Tatiana potrząsała głową ze smutnym uśmiechem. Katia wtedy tego nie wiedziała ani nawet nie byłaby w stanie zrozumieć, ale mama nigdy nie zostawiłaby ojca; byli jednością od dnia, w którym spojrzeli sobie w oczy po raz pierwszy i szaleńczo się w sobie zakochali.

Julián Arriaga, ojciec Katii, był dziennikarzem i pisarzem. Para poznała się w Moskwie, gdzie Julián pracował jako korespondent, a Tatiana studiowała filozofię. To było jak przeszycie strzałą. Wzięli ślub po sześciu miesiącach i rok później razem wyjechali do Hiszpanii; Tatiana już była w ciąży. Zamieszkali w Bilbao, skąd pochodził Julián.

Tam urodziła się Katia. I stamtąd wyjechała dwanaście lat później do Leningradu, na statku handlowym *La Habana*, wraz z tysiącem innych dzieci, których nigdy wcześniej nie widziała. Dzieci wojny, które rząd Republiki chciał uchronić przed bombami, wywożąc je z kraju.

Pamiętała wyraźnie ten czerwcowy dzień. Padał deszcz. Ponad głowami tłumu na nabrzeżu kołysało się kilka parasoli. Wydawało się, że całe Bilbao przyszło pożegnać swoje dzieci. Katia była wystarczająco duża, żeby dostrzec panujące napięcie: z trudem hamowane łzy, przygnębienie i rozpacz na twarzach, przytulenia i łapczywe pocałunki, powtarzające się raz za razem, jakby żaden nie miał być ostatnim. Niektóre dzieci były bardzo małe, mogły mieć co najwyżej trzy albo cztery latka. Z kawałkiem kartonu zawieszonym na szyi, z wypisanym numerem i adresem, na wypadek gdyby się zgubiły; z krótkich rączek zwisały się dobrze zasznurowane tobołeczki, zawierające cały ich bagaż. Rozglądały się wokoło wielkimi oczami, z rozdziawionymi ustami, zupełnie niczego nie rozumiejąc. Może to ten obraz doprowadził Katię na skraj łez: daleki żal, nie do końca nad sobą. Obiecały sobie z mamą, że nie będą płakać.

– Zostawisz mi swój uśmiech, a zabierzesz mój, dobrze? – zaproponowała Tatiana, przewidując ciężkie rozstanie. – Obiecuj mi, że zawsze będziesz go nosić.

Katia taszczyła walizkę ojca. Mama uszyła jej nową sukienkę i dała w prezencie swój wisiorek, ten ze złotym sercem. „O Matko Boża Pięknej Miłości, Katia! Jesteś już prawie dorosła!”, zawołała pani Herminia, dozorczyńni, gdy wychodzili. A ona uśmiechnęła się z dumą. W jakiś sposób czuła się ważna, starsza; to była jej pierwsza podróż. Jednak tuląc się do rodziców ostatni raz przed wejściem na statek, zrozumiała, że znowu jest dzieckiem, i pomyślała, że nie potrafi się od nich oderwać. Mama musiała ją delikatnie odsunąć, żeby posłać jej obiecany uśmiech. Ponieważ z ojcem nie umawiała się na taki uśmiech, po jego policzkach płynęły łzy jak grochy.

Katia szła po trapie, jakby do nóg przyczepiono jej wielkie ciężary, i kiedy stanęła na pokładzie, znalazła się pośród tłumu zapłakanych dzieciaków. Panująca wokoło wrzawa pożegnań ucichła w jej uszach i widziała tylko rodziców po drugiej stronie płotu otaczającego nabrzeże, machających białymi chustkami na wietrze. Nagle poczuła, że ktoś ją ciągnie za spódniczkę, więc się obróciła: jakiś maluch uczeplił się materiału mocno zaciśniętą pięścią. Poluzowała ją i złapała zimną rączkę.

– Nie martw się – pocieszyła go. – Wojna zaraz się skończy i ani się obejrzyysz, jak wrócimy.

Zaryczała syrena, rzucono cumy i statek zaczął się oddalać od nabrzeża Santurce. Wtedy, zostawiwszy swój uśmiech mamie, Katia wybuchnęła płaczem.

Nie opuściła pokładu do czasu, aż zawinęli do portu w Bordeaux. Część dzieci została we Francji, a reszta przesiadła się na inny statek. *La Habana* była dobra, ale *Sontay*... Ten masowiec był stary i brudny, szczury biegały po ładowniach, do których wciśnięto dzieci. Załoga pochodziła z Indochin, więc musiały na migi prosić o jedzenie. Wiele z nich wymiotowało; Katia też, i poplamiała swoją cenną nową sukienkę.

Po kilku dniach ciężkiej podróży po morzach Północnym i Bałtyckim wpłynęli do portu w Leningradzie. Katia nie spodziewała się przyjęcia, jakie im zgotowano: gale banderowe, orkiestra wojskowa, szpaler marynarzy, całe rodziny ofiarujące zabawki i słodycze, gotowe się nimi zająć; tłum wiwatował na ich cześć, jakby byli bohaterami. Niektóre dzieci pewnie myślały, że nimi są, bo wychodziły z pięścią w górze, jak robili ich rodzice, gdy śpiewali *Międzynarodówkę*. Ona jednak była zbyt zmęczona, brudna i głodna i czuła się nieco oszołomiona.

Z portu przewieźli ich do jakiegoś ośrodka, gdzie zostali przebadani przez legion lekarzy i pielęgniarek, odwszawieni i praktycznie zdezynfekowani, biorąc pod uwagę warunki, w jakich przyплыnęli. Rozebrali ją i nigdy się nie dowiedziała, co się stało z sukienką, którą uszyła jej mama. Ale najbardziej upokarzające było to, że zmusili ją do kąpieli nago z innymi chłopcami i dziewczynkami. Jej energiczne protesty wymówione w doskonałym rosyjskim – tylko ona wśród dzieci знаła ten język – całkowicie zignorowano. Wepchnięto ją pod prysznic, a ona nie miała dość rąk, żeby się osłonić, zalana łzami wściekłości i wstydu. Po umyciu dano im nowe ubrania: biało-niebieski mundurek, chustkę na szyję i płócienną czapkę.

W końcu ich nakarmiono, w sali z długimi stołami, które były zastawione smakołykami. Jednak nie takiego posiłku dzieci się spodziewały. Katia tak jak reszta pierwszy raz próbowała kawioru i ten ostry smak ryby i soli nie wydał jej się przyjemny, więc porzuciła czarne kuleczki po talerzu i zjadła sam chleb. Po obiedzie powiedziano im, że zostaną rozdzieleni do domów dziecka. Jej przypadł dom numer dwa w Moskwie. Katia spanikowała i podbiegła do jednego z hiszpańskich opiekunów, którzy z nimi przyплыnęli.

– Proszę posłuchać, don Arturo, ja nie mogę jechać do Moskwy. Czeka na mnie wujek, tutaj, w Leningradzie. Przyjechałam, żeby z nim zamieszkać.

Don Arturo zwrócił się do jednego z Rosjan, mężczyzny o zmarszczonym czole i ostrym języku.

– Przejrzemy dokumenty. Chwilowo Moskwa – zdecydował bez zbytniego zainteresowania.

To „chwilowo” zmieniło się w sześć miesięcy, zanim wujek zdołał odkręcić biurokracyjne zapętlenie. Katia jednak miło wspominała tamten czas. Dom dziecka numer dwa znajdował się w Krasnowidowie. Było to dawne sanatorium z czerwonej cegły, przestronne niemal jak szlachecka rezydencja, położone nad jeziorem pośrodku lasu. Tam Katia z resztą dzieci została poddana rutynie lekcji hiszpańskiego, muzyki, sportu, zabaw i kina raz w tygodniu. Jadła dobrze i wystarczająco, znacznie więcej niż w ostatnim czasie w Bilbao, dokąd wojna przyniosła głód. I zaprzyjaźniła się z dziewczynką w swoim wieku, Elenitą. Tęskniła za rodzicami, od których nie miała wiadomości od wyjazdu z Hiszpanii, i co noc przed zaśnięciem myślała o nich, ale o wujku niemal zapomniała.

Aż pewnego dnia, w środku lekcji rosyjskiego, wezwano ją do gabinetu dyrektora i tam siedział on: wysoki i chudy, w garniturze wyglądającym jak z poprzedniego wieku i sprawiającym wrażenie, że utrzymuje wujka w postawie wyprostowanej; jego usta marszczyły się między sumiastym siwym wąsem a szpiczastą bródką, zielone oczy przypominały Katii mamę, chociaż nie uśmiechały się jak jej oczy. Miał monokl, co nadawało mu wygląd człowieka z innej epoki. Był obcy i ten obcy z ceremonialnym chłodem przekazał jej najgorszą wiadomość życia.

19 czerwca faszystowskie wojska zajęły Bilbao. O tym już wiedziała, wiadomość dotarła na statek w drodze do Leningradu. W poprzedzające dni trwała desperacka obrona miasta i jej ojciec dołączył do batalionu bojowników. Ponieważ nie było innego wyjścia, mama zarzuciła karabin na ramię i poszła za nim. Tatiana zawsze była kobietą z charakterem, upartą i zawziętą, wspomniawszy jej brat, zanim podsumował:

– Przykro mi, Katio. Twoi rodzice nie żyją. Oboje zginęli podczas bombardowania ich

pozycji na górze Artxanda.

Nie była pewna, czy już im wybaczyła.

– Towarzyszko porucznik! Katia!

Otworzyła oczy i natychmiast wróciła do rzeczywistości tego pustkowia, czołgów i żołnierzy. Sierżant Nina Polianowa szarpała ją za ramię.

– Kawalek dalej jest tablica, że to Berlin. Chodź, zrobimy sobie zdjęcie. Chodź! – Potrząsała nią, żeby się obudziła. – Denisenko już ma aparat. Chodźmy, pani porucznik!



Ramiro przystanął i otarł pot z czoła. Ciemne loki przyklejały mu się do skóry i przeszkadzały w pracy. Pozwolił im tak urosnąć, że dałoby się je związać w kitkę, przez co pewnie stałby się przedmiotem kpin wszystkich wokoło. Lepiej tego nie robić. Prawda jest taka, że zawsze nosił bardzo krótkie włosy, ale jakiś czas temu dziewczyna, z którą się zabawiał, powiedziała mu, że ma twarz osoby zbyt dobrej. Cholera! Jak można mieć twarz zbyt dobrej osoby? Czy można ustalić granicę dobroci u człowieka? Czy można być zbyt dobrym? Nie dał się zwięść – ta dziewczyna chciała powiedzieć, że ma głupi wyraz twarzy. W takim razie wydało mu się, że zapuszczenie włosów wszystko rozwiąże, ale nie był pewien wyniku. Przecież jego blada cera, usta wydatne jak u kobiety i te czarne oczy, wielkie jak u pluszowego misia, ciągle tam były, i to pewnie one stanowiły źródło problemu. Ciągle miał twarz głupka, ale zaczął wyglądać jak Gustavo Adolfo Bécquer, i to było dobre. Dziewczynom się podobał.

Odpędził od siebie te niemądre myśli i wrócił do pracy. Od samego rana nosił worki z ziemią przy budowie barykady. Mógł wcześniej zabrać się do roboty, bo poprzedniego dnia ostatecznie zawieszono zajęcia w Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie. Aktywność akademicka nigdy zresztą nie wróciła do normalności po tym, jak główny budynek kampusu został poważnie uszkodzony podczas bombardowania w listopadzie 1943 roku.

Może wtedy powinien był wrócić do Hiszpanii. Oczywiście w pierwszym odruchu planował to zrobić, zaraz jednak odrzucił ten pomysł. W Hiszpanii nie miał już nic, natomiast w Berlinie miał misję. Nie znał dokładnego jej zasięgu ani swojej w niej roli – nie było czasu na szczegółowe instrukcje – ale przynajmniej to nieprecyzyjne zadanie przywiązywało go do jakiegoś miejsca, chociaż było nim rozpadające się miasto.

Z daleka dochodziła kakofonia wybuchów, szczęku żelaza i wycia moździerzy. Wokoło słyhać było skrzypienie tacek, chrzęst kroków wśród gruzów, szpadli wbijanych w grunt... Ludzie pracowali w posępnym milczeniu. Ramiro szybko wrócił do przerwanej pracy, żeby uciec od przygnębiającego nastroju.

Na początku miesiąca został skierowany do pracy przy fortyfikowaniu miasta w dzielnicy Charlottenburg. Należał do grupy pod dowództwem profesora budownictwa, który był też pułkownikiem rezerwy. Hitler postanowił uczynić z Berlina linię frontu podzieloną na strefy obrony i wezwał wszystkich do walki o stolicę Rzeszy „do ostatniego żołnierza i do ostatniego pocisku”. W związku z tym kopano okopy, rowy przeciwczołgowe i stanowiska strzeleckie. Gruz z budynków zniszczonych bombardowaniami lotnictwa, przez które miasto cierpiało od lat, wykorzystywano do budowy barykad, wraz z samochodami i spalonymi tramwajami oraz każdą inną rzeczą, która mogła stanowić przeszkodę.

Podczas tych niekończących się dni kopania, dźwigania ciężarów i noszenia materiałów Ramiro stawał się coraz bardziej świadomy tego, czemu będą stawiać czoło, w miarę jak ryk radzieckich pocisków rozlegał się coraz bliżej, przede wszystkim na południu miasta. Starał się

za wiele o tym nie myśleć, przekonywał siebie, że się nie boi; ale ta metoda nie działała już nawet jako mechanizm samoobrony. Patrząc na wszystko wokoło, nie sposób było się oszukiwać.

Wielu chciało myśleć, że Amerykanie wejdą do Berlina przed Rosjanami. „Są bardzo blisko”, zapewniali ci, którzy jeszcze śledzili audycje radiowe BBC; nad Łabą. Ta wieść wznosiła się pod niebiosa niemal jak błaganie. Ludzie przeraźliwie bali się Sowietów. Częściowo z powodu opowiadanych przez uciekinierów przerażających historii o plądrowaniu, gwałtach i masakrach. Ale też z powodu rządowej propagandy, która tworzyła obraz bolszewików jako niecywilizowanych i brutalnych monstrów. Jeśli oni wezmą Berlin, jego nieszczęśni mieszkańcy zginą albo zostaną wywiezieni do łagrów na Syberii.

Jednakże Rosjanie nie przerażali Ramira tak bardzo. Po okrucieństwach, które już widział, ze strony jednych i drugich, tych i tamtych, doszedł do wniosku, że barbarzyństwo nie ma narodowości. To okoliczności sprzyjają przemocy, a Berlin zmierzał w stronę najgorszego możliwego połączenia zemsty, fanatyzmu i rozpacz.

– A ciebie? Co ciebie sprowadziło do Berlina?

Przerwali pracę, żeby zjeść coś w jednej z wielu polowych kuchni zainstalowanych w mieście. Ramiro ze zwieszoną głową łykał zupę z kapusty i ziemniaków, zasepiony, zbyt zmęczony, żeby chciało mu się gadać. Miał za to wrażenie, że Thierry zawsze jest gotów do rozmowy. Właśnie go poznał i w jednej chwili potok słów zaznajomił Ramira w szczegółach z jego sytuacją życiową. Szczerze mówiąc, nieszczęśliwie wsłuchiwał się w tę opowieść. Dowiedział się tylko, że tamten jest Francuzem, co akcent i tak zdradzał, że pracuje w fabryce Telefunkena i że ma narzeczoną we Francji.

Podczas wojny Berlin i w ogóle całe Niemcy zapełniły się robotnikami z podbitych krajów. Ramiro też był kimś takim do końca poprzedniego roku, kiedy alianckie bomby wyrwały wielki lej w miejscu hotelu, w którym pracował jako kelner. Ale nie przyjechał do Berlina tylko do pracy.

– Przyjechałem studiować architekturę. W czterdziestym pierwszym – odpowiedział bez entuzjazmu, nie wchodząc w szczegóły. Był jednak zaskoczony tym, jak daleka wydała mu się ta chwila, jakby zamiast czterech lat upłynęło czterdzieści.

Jego życie zrobiło ostry zwrot w bardzo krótkim czasie... Wydawało mu się, że ledwie wczoraj pani Justa, dozorczyńni jego dawnego domu w Madrycie, przestrzegająca na wieść o jego szalonych planach: „Czego pan chce szukać w Niemczech, señorito? Tam jest wojna! Za mało było panu tutejszej wojny?”.

Nie wiedziała oczywiście, że przeznaczeniem Ramira od zawsze były Niemcy, nawet on sam nie był tego świadomy. Do tamtej chwili wiedział jedynie, że ojciec, architekt, marzył o tym, żeby jego syn studiował architekturę w Wyższej Szkole Technicznej w Berlinie; dlatego zaczął go posyłać na lekcje niemieckiego, kiedy ledwie skończył trzy lata. Plan był taki, że Ramiro przeniesie się do Niemiec po maturze. Jednak ojciec zmarł przedwcześnie i niespodziewanie na zawał serca, kiedy Ramiro był w ostatniej klasie. Potem zaczęła się wojna domowa. Niebawem matka dostała apopleksji i chłopak ciałem i duszą poświęcił się opiece nad nią.

Kiedy matka zmarła, chłopak został sam, uwolniony od wszystkiego, co by go mogło wiązać, ale też bez żadnego wsparcia w życiu – bez studiów, bez pracy, bez bliskich krewnych i prawdziwych przyjaciół, bo przez ostatnie lata praktycznie nie wychodził z domu, zajmując się matką; biedny Manolo Rosales, jego jedyny przyjaciel ze szkoły, poległ w bitwie nad Jaramą. Ramiro czuł smutek, patrząc przed siebie i zastanawiając się nad pustą przyszłością.

I wtedy zdarzyło się, że przeglądając jakieś papiery, natknął się na wizytówkę, którą dostał kilka lat wcześniej od Corneliusa Althanna.

Cornelius... Ramiro potrząsnął głową, żeby odsunąć od siebie gorzkie wspomnienia i złe przecucia. Nie chciał rozmawiać z Thierryem o Corneliusie, to jasne. Ale gdyby nie Cornelius, pewnie nigdy nie przyjechałby do Berlina; albo już by go tam nie było. Chodzi o to, że jego przeznaczenie zostało przypieczętowane w chwili urodzenia, zupełnie bez jego udziału. I połączone z przeznaczeniem Corneliusa Althanna.

Ramiro nigdy nie był zdecydowany ani rzutki, nie ma co się oszukiwać. Wystarczyło jednak, że potrzymał ten kartonik przez kilka minut, by w jego głowie pojawiło się jasne postanowienie: przeprowadzi się do Berlina i wróci do marzenia ojca – i w jakimś stopniu też swojego – żeby studiować w niemieckiej stolicy. Trudno powiedzieć, czy architektura była jego oczywistym powołaniem, bo część techniczna go nudziła; miał raczej uzdolnienia artystyczne. Lubił malować, rysować, fotografować, podziwiał piękno niektórych budynków, ale obliczenia i plany go przytłaczały, chociaż matematyka i fizyka nie były dla niego problemem.

– Wtedy Berlin był świetnym miastem do życia – podsumował Ramiro swój nostalgiczny wywód, ze wzrokiem wbitym w smutny kawałek ziemiaka na łyżce.

Uwaga pani Justy w kwestii przenosin do Niemiec była oczywista: „Tam jest wojna!”. I Ramiro nie był w stanie ukryć, że trochę się niepokoi tym, co może go tam spotkać po przyjeździe. Wtedy, w kwietniu 1941 roku, do prasy przedostały się wiadomości o pierwszych nalotach na Berlin, chociaż kroniki zapewniały, że szkody materialne i osobowe tych zdarzeń są niewielkie.

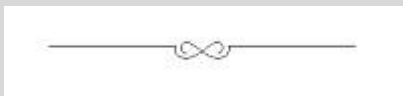
Kiedy jednak Ramiro dotarł na miejsce, stwierdził, że w Berlinie jakby nie było wojny. Zachwyił się tym czystym i uporządkowanym miastem o wielkich otwartych przestrzeniach i wspaniałych budowlach. Miastem nowoczesnym i dynamicznym, w dzień poświęcającym się pracy, w której berlińczycy spędzali co najmniej dziesięć godzin, i tętniącym życiem nocnym, z pełnymi ludźmi kinami, teatrami, kabaretami, salami koncertowymi i restauracjami, z szaloną czasem zabawą. To była droga ucieczki od wojennej rzeczywistości, na pierwszy rzut oka ledwie widocznej, która tkwiła jednak w zbiorowej świadomości i czuło się ją, kiedy wyły syreny alarmów przeciwlotniczych oraz spotykało się nocne pielgrzymki udających się do schronów mieszkańców.

W 1943 roku bombardowania się nasiliły. Amerykanie dokonywali nalotów w dzień, Brytyjczycy zaś nocą. W rezultacie berlińczycy przez ostatnie lata spędzali więcej czasu w piwnicach i schronach niż w mieszkaniach.

Animusz i godność miasta podupadały wraz z upływem tygodni, z każdym zawałonym albo płonącym budynkiem, z każdą ofiarą pod gruzami, z każdą klęską na froncie, z każdą lawiną uciekinierów, którzy docierali do stolicy, uchodząc przed radzieckimi wojskami. Dominowały rezygnacja i strach, a ludzie wiedli życie coraz bardziej odległe od normalności, pośród ruin własnych domów, bez podstawowych udogodnień. Mimo to codziennie szli do pracy, dopóki działał transport publiczny i mieli dokąd się udać, stali w długich kolejkach po coraz mniejsze racje żywnościowe, wykazywali się czarnym humorem, żartując z rządu i własnego losu, i od czasu do czasu bywali w salach kinowych – tych niewielu, które jeszcze pozostawały otwarte; do poprzedniego dnia na Alexanderplatz wyświetlali film *Kolberg*, to był ostatni akord.

– Kto by teraz powiedział, że kiedyś to było świetne miasto do życia? – zauważył Francuz. Nawet nie uniósł głowy, żeby obrzucić spojrzeniem przygnębiającą panoramę.

Ramiro przytaknął z goryczą przepelniającą go od wielu dni, świadomy, że Berlin, to przygotowujące się do bitwy miasto otoczone setkami tysięcy gotowych do ataku radzieckich żołnierzy, stoi w obliczu ostatniej sceny swojej tragedii. I on – uwięziony w tym dramacie – się bał.



Eric o mało nie popadł w rozpacz, kiedy uznał, że nie znajdzie sposobu, żeby dotrzeć do Berlina. Ponad sześćset kilometrów dzieliło go od stolicy, do której można było się dostać tylko od strony zachodniej, przy czym wszystkie drogi między Brandenburgiem a Poczdamem były zatłoczone uciekinierami. Ponadto niebawem Rosjanie mogli całkowicie zamknąć okrążenie i przeciąć szlaki komunikacyjne. Pociągi prawie już nie kursowały, tylko te wojskowe, transportujące żołnierzy. Brak paliwa powodował chaos, a do tego nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby wjeżdżać do miasta na chwilę przed atakiem wroga, tak więc podróż samochodem wydawała się niemożliwa.

W desperacji był gotowy ruszyć pieszo, isć dzień i noc bez wytchnienia. Musiał się dostać do tego przeklętego miasta! Syn go potrzebował!

Ostatecznie miał szczęście. Sturmabführer Siegfried Meier z oddziału SS w Oberammergau w Bawarii był fanatycznym nazistą, gotowym rzucić się do obrony stolicy Trzeciej Rzeszy na wezwanie Führera i przelać ostatnią kroplę krwi na froncie walki z bolszewickim zagrożeniem. Kapral Stumpf, dobry człowiek, opowiedział o tym Ericowi, a ten poprosił Meiera, by zabrał go ze sobą samochodem do Berlina.

Zanim na to przystał, Meier zmierzył Erica wzrokiem od góry do dołu. Schludnie wyglądający młody mężczyzna nie wzbudzał zaufania majora. Był wysoki i wysportowany, miał szerokie plecy i mocne nogi; skośne oczy w kolorze zimnej stali, zaciśnięte usta i kwadratowa szczęka nadawały jego twarzy wyraz siły i determinacji, mimo że nosił okulary z grubymi szklami, typowe dla kujona. Był wspaniałym przedstawicielem rasy aryjskiej, który jako żołnierz powinien wykonać równie wspaniałą robotę dla ojczyzny. Jednakże był w cywilnym ubraniu i nie miał żadnej blizny ani innych śladów po walce. Tchórz, zawyrokował Meier.

– Czy pan też chce chwycić za broń dla ojczyzny i Führera, Herr Doktor? Wy, naukowcy, dotychczas nie ubłociliście sobie butów na froncie, nieprawdaż?

Meier zachichotał, jednocześnie klepiąc go po plecach dłonią z palcami jak serdelki. Należał do tych typów, którzy sądzą, że są zabawni, nie mając za grosz poczucia humoru. Poza tym Ericowi nie żarty były w głowie. Uśmiechnął się jednak kwaśno, bo chciał się znaleźć w Berlinie.

– Nigdy nie jest za późno – dodał Meier. – Oczywiście, że zawiozę pana do Berlina. Czeka nas walka!

Podróż okazała się tak długa i nużąca, jak Eric się spodziewał. Przez całą drogę był spięty, żołądek miał ściśnięty z niepewności. Jak się miewa Seb? Jak ciężko jest ranny? Czy ma dobrą opiekę? Czy jest sam? Boi się? Czy grozi mu śmierć? A jeśli umrze, zanim zdąży do niego dotrzeć?

Lęk o syna chwilami zapierał mu dech w piersiach. Poza tym trochę go mdliło. Może to przez zakręty i wyboje na drodze. Meier dość ostro prowadził samochód, a do tego palił jednego papierosa za drugim. Wnętrze spowijała chmura dymu, od którego Ericowi kręciło się w głowie i przewracało w żołądku. Otworzył okno, żeby wpuścić odrobinę świeżego powietrza.

– Niektórzy uciekają z Berlina jak szczury – perorował Meier. – Zrzucają mundur i wypierają się Führera, kiedy to właśnie teraz nadeszła chwila, żeby zjednoczyć się wokół niego i bronić tego wszystkiego, w co wierzymy. Jak można zostawić kobiety i dzieci na pastwę tych dzikich bolszewików i dalej nazywać siebie mężczyzną?

Nudzisz Meier nie przestawał kłapać. Nie pozwalał Ericowi skoncentrować się na własnym nieszczęściu, na własnych myślach. A miał tyle do rozważenia... Ledwie zdążył przetrwać

otrzymaną wiadomość. W pierwszej chwili skupił całą energię na znalezieniu transportu do Berlina. Teraz, już w czasie drogi, zaczynało do niego docierać to, co się wydarzyło. Jednak gadanie Meiera go rozpraszało, wyprowadzało z równowagi. Ten napuszony i zarozumiały bufon nieustannie z niego szydził. Gdzie niby jest ta słynna Wunderwaffe, cudowna broń, którą obiecali naukowcy, a która miała pomóc Niemcom wygrać wojnę. Że lepiej było przeznaczyć te środki na prawdziwą walkę. Że z laboratorium nie da się dowodzić. Gdzie jest cierpienie żołnierza. Jego duch ofiarności, jego oddanie, jego męstwo... Że pewnie Eric nie jest w stanie tego zrozumieć.

– Moja żona właśnie zginęła w bombardowaniu. Syn został ranny i nie wiem, czy przeżyje. Każdy dostał swoją dawkę wojny, Herr Sturmbannführer.

Eric zgasił go tymi słowami. Zwyczajnie. Bez nerwów. Nie podnosząc głosu. Nie spuszczać szosy z oka. Pragnął jedynie zamknąć usta temu tępakowi. Głupiemu fanatykowi... I poskutkowało. Wreszcie Meier odpuścił.

W ciszy przerywanej warkotem silnika Eric usłyszał siebie, jak mówi: „Moja żona właśnie zginęła w bombardowaniu”. Ursula właśnie zginęła w bombardowaniu... Przeczytał to w telegramie. Jednak dopiero teraz nabrało to realnego wymiaru. Ursula nie żyła.

W Ericu odezwało się dziwne poczucie winy za to, że ją znenawidził. Jakby ta nienawiść mogła doprowadzić do finału, w którym to ona okazała się mieć rację. Oczywiście, że nigdy nie pragnął jej śmierci, ale walczył z nią o odzyskanie syna i ostatecznie wygrał. „Masz już to, czego chciałeś. Pewnie jesteś zadowolony”. Zdawało mu się, że słyszy, jak przemawia do niego z tym swoim przeszywającym lekceważeniem.

„Nie, to nie tak. Nie jestem zadowolony, Ursulo”.

To prawda, że miał w sobie mnóstwo bólu i żalu. Ale w przeciwieństwie do tego, co mogła sobie myśleć, nie był złym człowiekiem. I nie był zadowolony.

Nie miał zamiaru po niej płakać, nie był takim cynikiem. Ale z jakiegoś powodu próbował przeszukać najgłębsze zakamarki pamięci, skrywające dobre wspomnienia o niej. Były takie? Może gdzieś na początku, kiedy dopiero co się poznali.

Tak, w tamtej chwili wydała mu się kobietą inteligentną; przez rok studiowała na uniwersytecie. To prawda, że nie była najładniejszą dziewczyną, jaką widział w życiu, ale miała piękne kształty. Bertie ich sobie przedstawił. Na początku lata 1941 roku, kiedy Eric dopiero co wrócił do Berlina. Kolega też był wtedy w stolicy, na przepustce, i wpadli na siebie pewnego poranka na przystanku tramwajowym na Unter den Linden. Bertiemu przyszło do głowy zorganizować kolację, żeby się dowiedzieć, co słyszać, i pogadać o dawnych czasach. Miał też zaprosić Gustava, biedakowi urwało nogi w Polsce, dobrze mu zrobi odrobina zabawy. Oczywiście przydałoby się kilka dziewczyn, żeby zapewnić sukces spotkania. Ursula była jedną z nich, koleżanką siostry Bertiego. Eric nie bardzo się nadawał do flirtów towarzyskich, od zbyt dawna siedział zamknięty w laboratorium i z kobiet oglądał tylko służącą, pięćdziesięcioletnią wąsatą moskwanę. Dla odmiany Ursula wydawała się bardzo swobodna; i to właśnie ona przejęła inicjatywę.

Tamtej nocy poprosiła go do tańca w salonie domu rodziców Bertiego i oboje śmiali się z tego, że Eric jest tak złym tancerzem. Na koniec spotkania całowali się i pozwoliła, żeby włożył jej ręce pod sukienkę. Potem umówili się dwa razy: raz do kina i raz na piknik na brzegu Wannsee. Za trzecim razem poszli do łóżka. Eric odniósł wrażenie, że sprawy nabrały przyspieszenia, gdy wyznał, że niebawem wyjeżdża. Nawet nie planował zrobić tego kroku. Stanowisko, które mu zaproponowano w Peenemünde, w ośrodku badawczym na wybrzeżu Bałtyku, było jak spełnienie marzenia, i oczywiście nie miał zamiaru go tracić przez wplątanie się w romans z jakąś dziewczyną; zresztą nie pozwolono by mu na to. Ona jednak nalegała, więc ostatecznie się poddał, gdy pocałunki, pieszczoty, namiętne słowa Ursuli i jej odkryte ogromne piersi wywołały u niego gigantyczną erekcję. Nie skarżył się, było mu dobrze. Nie uprawiał seksu od czasów uni-

wersyteckich, kiedy jego przyjaciele opłacili mu prostytutkę, żeby przestał być prawiczkim, a zatem ten rodzaj seksu, nieopłacony, był doświadczeniem nowym i wysoce satysfakcjonującym. Chociaż prawdę powiedziawszy, myślał, że więcej o Ursuli nie usłyszy.

Nic bardziej mylnego. Miesiąc później otrzymał od niej list: była w ciąży.

Eric potarł oczy pod okularami. Czy to możliwe, że dobre wspomnienia tutaj się kończą? Nie było nic więcej?

Ich małżeństwo formalnie dobiegło końca zaledwie dwa lata od chwili, gdy się zaczęło. Jeśli Ursula w czymś miała rację, to w tym, że nigdy nie powinni się byli pobrać. Jednak w przeciwieństwie do niej Eric nie do końca tego żałował, bo posiadanie syna było czymś najlepszym, co zdarzyło mu się w życiu. Warto było przejść przez całą resztę, żeby tylko mieć Sebastiana.

„To, że za ciebie wyszłam, Ericu, było największym błędem mojego życia”.

Eric gorzko się uśmiechnął pod nosem. To ona nalegała, żeby w któreś popołudnie pójść do urzędu w nowej sukience. W jego odczuciu była to tylko kwestia honoru, bo nigdy nie wierzył w małżeństwo. Teraz wiedział, że nawet nie był naprawdę zakochany; cokolwiek czuł – bo choć Ursula często mu wyrzucała brak uczuć, coś tam się jednak w nim tliło – nie była to miłość.

To prawda, że ona nigdy nie chciała wyjechać do Peenemünde.

„To zagubione miejsce pośrodku wyspy, co według ciebie miałabym tam robić? Umrzeć z nudów?”

Sądził, że chodzi o zwykłe przekomarzanie się. Że kiedy wreszcie zamieszkają razem, przezwyciężą wszystkie kłopoty i będą mogli żyć jak normalne małżeństwo, stworzyć rodzinę, której nigdy nie miał. Szkoda, że tak na nią naciskał...

Ursula nawet poprosiła go, żeby zrezygnował z pracy. Jakby miał taką możliwość.

– Wolisz, żeby mnie wcielili i wysłali na front?

– Wolę nie musieć wyjeżdżać z Berlina.

– Ursula, jesteś moją żoną, musisz ze mną pojechać. Na tym polega małżeństwo.

Potem ona ciągle wyrzucała mu coś, co uważała za tchórzostwo.

„Niemcy umierają na froncie za ojczyznę, za Führera, a ty z tą resztą tchórzy siedzicie tu sobie i bawicie się jak dzieci waszymi raketkami. Nie rozumiem, jak może nie być ci wstyd”.

Początkowo myślał, że przemawia przez nią ból, gdyż jej brat dopiero co zginął w północnej Afryce; że atakując go w tak pokrętny sposób, znajduje ulgę w cierpieniu. Ale nie. To nie był ból, lecz awersja; kolejny dowód na to, jak beznadziejny był ich związek.

Po kilku miesiącach od przeprowadzki do Peenemünde urodził się Seb. Ursula odmówiła wstawania z łóżka, mimo że minęły dwa tygodnie od porodu. Nie chciała wziąć dziecka na ręce ani go karmić, nawet go oglądać. Mówiła, że jest chora, ale lekarze z bazy nie znajdowali żadnego wyjaśnienia dla jej choroby. Eric przyznał, że najlepiej będzie pozwolić Ursuli wyjechać do Berlina, żeby tam zajęli się nią jej lekarze, a on został z noworodkiem; żony jego towarzyszy ochoczo mu pomagały. Wspominał te dni, dzielone między dziecko a pracę, z nostalgią: spacery nad brzegiem morza, popychanie wózekczka, noce spędzone na lekturze, kiedy malutki spał na jego piersi, piosenki, które cicho śpiewał mu do ucha, pierwsze uśmiechy, pierwsze gaworzenie... Najwspanialsze miesiące jego życia. Te miesiące, w których nawiązał specjalną więź z synem. Te miesiące aż do powrotu Ursuli, wtedy jeszcze nie wiadomo po co. Nie była przywiązana ani do dziecka, ani do niego. Tylko chciała się nad nim zniecać.

Eric odchylił głowę i zamknął oczy. Ten czas od powrotu Ursuli wspominał jako piekło.

Słaby. Tchórz. Pierdoła. Egoista. Nie przedstawiała mu przypominać, jak bardzo go nie lubi: samej jego obecności, jego towarzystwa. Krok po kroku chciała zniszczyć jego poczucie bezpieczeństwa, zaufanie, marzenia, dumę... Chciała go unieważnić, upokorzyć, zrobić z niego głupca. Dlaczego?

„Nawet w połowie nie jesteś takim mężczyzną, jakiego sobie wyobrażałam. Myślałam, że masz krew w żyłach, Ericu, ale tobie w żyłach płyną tylko cyferki. Jesteś żaloszny. Straszne rozczarowanie”.

„Interesuje cię tylko ta cholerna nauka. Tylko to cię interesuje. Żyjesz w swoim świecie jak wariat i poza nim nic dla ciebie nie istnieje. A co ze mną? Co z moimi potrzebami?”

„Nigdy nie chciałam tu przyjechać i ty o tym wiedziałeś, ale mnie zmusiłeś. Zmusiłeś mnie, żebym przyjechała do tej dziury, gdzie nikt mnie nie lubi, bo chcę żyć, jak mi się podoba”.

Życ tak, jak jej się podoba, oznaczało romans z jednym z inżynierów tunelu powietrznego. Tak, to właśnie było przyczyną antypatii małej rodziny, którą stanowili pracownicy bazy wojskowej w Peenemünde. A z niego uczyniło „biedaczka Erica”. To było tak upokarzające... Poza tym żona miała chęć rzucić mu w twarz, że ci z SS przenieśli jej kochanka. Nie chciała zrozumieć, że to jej własna nieprzyzwoitość doprowadziła do takiego zakończenia.

Praca w Peenemünde była pracą jego życia, spełnieniem marzeń; oznaczała bycie bliżej nieba, przestrzeni, wszechświata... Ale Ursula zdołała zatruć nawet to.

Cała ta droga krzyżowa dobiegła kresu pewnego dnia po ostrej kłótni, podczas której Eric tak bardzo dusił w sobie wściekłość, gniew i niemoc wobec żony, że aż musiał się hamować, by nią nie potrząsnąć. Ursula odeszła. Oczywiście, że nie miał zamiaru jej zatrzymywać. Problem w tym, że zabrała ze sobą Sebastiana.

Eric pamiętał, jak ją błagał, by nie zabierała dziecka, które wołało go z płaczem, wrywając się z rąk matki.

„Nie zabieraj go, Ursula... Nie zabieraj go, błagam cię... Berlin nie jest bezpiecznym miastem i Seb jest tutaj szczęśliwy”.

„Seb jest szczęśliwy ze mną! Jesteś w stanie odebrać dziecko matce, Ericu? Nie, nie zrobisz tego. Ty myślisz tylko o sobie i jesteś pierdołą, nie próbuj mi pokazywać, że potrafisz też być złym człowiekiem”.

Zabierając dziecko, Ursula zadała mu ostateczny cios tam, gdzie najbardziej go zabolalo. Kiedy się jednak otrząsnął z początkowego oszołomienia, Eric podjął walkę o opiekę nad synem. Po ponad dwóch latach spraw sądowych nie zdołał jej uzyskać. A teraz...

Poczuł ucisk w gardle. Prosił niebiosa tylko o to, żeby Ursula znowu nie zabrała Seba ze sobą.



NIE NIENAWIDZĘ CIĘ, PRZYKRO MI

Za oknem rozciągały się a to gęsty sosnowy las, a to zielone łąki i błękitna, skrząca się woda, podczas gdy samochód, który po mnie przysłano, gnał po wijącej się górskiej szosie. Był piękny bezchmurny dzień i barwy natury lśniły w promieniach słońca. Siedząc na tylnej kanapie, czułam, jak nerwy ściskają mi żołądek; tak było od chwili, kiedy się dowiedziałam, że zobaczę Konrada.

– Martin, potrzebuję kilka dni wolnego. Wypadło mi coś – poinformowałam go przez telefon. Nie odważyłam się zrobić tego osobiście. On przyjechał do Koblencji, żeby pomóc mi w śledztwie, a ja zamierzałam wystawić go do wiatru, nie przedstawiając nawet żadnego rozsądnego powodu. Nie mogłam mu jednak zdradzić, że mam zamiar spotkać się z Konradem Köllerem. To, co panowało między nimi, nie do końca było chemią, raczej chemią wybuchową, jak sól wrzucony do wody. Sprawa *Astrologa* zrobiła z nich zażartych wrogów. Musiałabym zacząć od złożenia mu wyjaśnień, opowiedzieć różne rzeczy... Nie miałam na to ochoty.

– Ale czy wszystko w porządku? Masz jakieś problemy? – zapytał zmartwionym głosem.

– Nie, nie, nie mam żadnych problemów. Tylko... są pewne sprawy, które muszę rozwiązać. To wszystko. Napisałam już maila do Iriny w sprawie Wojkova, jak przyjdzie odpowiedź, zajmę się tym. Poza tym zabieram ze sobą notatki dotyczące Hankego, żeby dalej nad nimi pracować. W środę po południu albo najpóźniej w czwartek będę z powrotem.

Nie podobało mi się to okłamywanie Martina. W końcu mu o tym opowiem. Najpierw jednak sama musiałam to przetrwać. Musiałam się dowiedzieć, jak się to wszystko skończy; musiałam zamknąć tę sprawę raz na zawsze.

Pokonawszy zbocze góry, samochód zatrzymał się przed ogromną metalową bramą prowadzącą na ogrodzony i strzeżony kamerami teren. Nie sposób było dostrzec niczego, co znajdowało się po drugiej stronie. Wyrażenie „dwór twierdza”, którego użyła prasa, mówiąc o miejscu pobytu Konrada, wydało mi się teraz, kiedy znalazłam się przed tą bramą, rzeczywiście uzasadnione.

Od bramy jechaliśmy jeszcze około kilometra przez las, aż zobaczyłam nowoczesny dom zbudowany z ponakładanych jedno na drugie sześcianów z wielkimi przeszklonymi wnękami. Budynek z drewna, stali i betonu zwrócony był frontem do pocztówkowych widoków na Jezioro Czterech Kantonów i koronę gór w tle. Otaczał go tarasowy ogród, a lądowisko dla helikopterów w rogu zapewniało szybkie połączenie tego ustronnego miejsca z resztą świata. Wszystko to jednak nie zrobiło na mnie wrażenia. Spędziłam z Konradem zbyt wiele czasu, żeby imponowały mi tego rodzaju rzeczy.

Samochód zatrzymał się przed głównym wejściem. Mężczyzna wyglądający na osobistego ochroniarza otworzył drzwi i poprowadził mnie do środka. Tam przyjął mnie majordom, który zapytał uprzejmie, czy miałam dobrą podróż, i poprowadził mnie do salonu, gdzie miałam poczekać na Fräulein Köller. Wskazał mi też stolik za kanapą, na którym dostrzegłam paczkę nawilżanych chusteczek i wodę.

Kiedy wyszedł, poczułam, że nie jestem w stanie usiąść, więc krążyłam po salonie, gębokoboko oddychając, żeby się uspokoić. Zauważyłam, że mam spocone dłonie, użyłam więc pachnących chusteczek. Nalałam sobie też odrobinę wody z dzbanka, w którym pływały plasterki cytryny i listki mięty. To pomieszczenie, jak na pewno cały dom, było bardzo w stylu Konrada: jasne, nowoczesne, minimalistyczne... Dzieła sztuki grały tu główną rolę. Obraz Chagalla nad kominkiem. Fotografia Petera Lika między oknami; pewnie zrobiona na zamówienie, bo nigdy

jej nie widziałam w żadnym katalogu. I rzeźba Willego Sibera, którą natychmiast rozpoznałam – wypatrzyłam ją w galerii w Hanowerze, którą odwiedziłam z Konradem; powiedziałam mu, że mi się podoba, a on od ręki za nią zapłacił.

Nie przestawałam się denerwować. Stałam przed oknem i wykorzystałam to, żeby przyrzeć się własnemu odbiciu. Obciągnęłam sukienkę, która przetrwała podróż bez zmarszczki. Moja skóra ciągle zachowywała odrobinę letniej opalenizny i biel oraz prosty krój sukienki bardzo dobrze się z nią komponowały, w stylu Riwiery Francuskiej z lat sześćdziesiątych. Poczułam się ładna i elegancka. To uczucie nieco mnie uspokoiło.

Za moimi plecami zaskrzypiały drzwi.

– Ana. Dzień dobry. Przepraszam, że kazałam ci czekać.

Greta wyciągnęła do mnie rękę, aby przywitać się jak zwykle chłodno i bez cienia uśmiechu. Wyglądała idealnie, imponująco, jak zawsze, choć miała na sobie zwykłe czarne spodnie i T-shirta; wizytówka Köllerów.

Ja jednak się do niej uśmiechnęłam, bardziej z uprzejmości niż ochoty.

– Nie szkodzi...

– Proszę za mną.

Przeszliśmy korytarzem do windy, która zawiozła nas na górne piętro, przed solidne dwuskrzydłowe drewniane drzwi. Greta pchnęła jedno skrzydło i przepuściła mnie przodem, nie wypowiadając ani słowa.

Wnętrze, z wątlym sztucznym światłem, wydało mi się ciemne w zestawieniu z resztą domu dosłownie zalewaną przez światło naturalne. Zaabsorbowana tą zmianą, nie usłyszałam, kiedy Greta zamknęła za mną drzwi. Moje źrenice jeszcze przyzwyczajały się do półmroku, kiedy przestraszył mnie głos:

– Cóż. No to jestem.

Jakby właśnie wyszedł na scenę z garderoby; wtedy dostrzegłam wózek inwalidzki i siedzącą na nim postać, rysującą się w przygaszonym świetle sufitowej lampy, jakby była kolejną rzeźbą, iluminowaną na złoto. Nie zbliżył się. Ja też tego nie zrobiłam.

Na jego widok dreszcz przebiegł mi po plecach. Trudno mi było rozpoznać tę wersję Konrada: chudy, postarzały, blady, wyglądał na słabego i schorowanego. Jeśli uciec się do mojej manii szukania porównań ze słynnymi ludźmi, Konrad zawsze przypominał mi tych hollywoodzkich przystojniaków, którzy wyglądali najlepiej, gdy przekroczyli pięćdziesiątkę; swego rodzaju Paul Newman, Robert Redford, a nawet Brad Pitt czy George Clooney – wszyscy w jednym. Konrad jest ode mnie starszy o dwadzieścia lat, ale nigdy nie zwracałam uwagi na tę różnicę wieku: był sprawny, wysportowany, młodzieńczy. W tej chwili jednak wyglądał tak, jakby nagle spadło na niego te dwadzieścia lat różnicy i jeszcze pomnożyło się przez dwa. Nawet jego głos nie miał w sobie dawnego wigoru, tylko był chrapliwy, jakby mówienie wiązało się z dużym wysiłkiem.

– Jesteś zadowolona, prawda? Zemsta najlepiej smakuje na zimno, dobrze to wiem.

– Jeśli sądzisz, że to zemsta mnie tu przywiodła... – Ubrałam te słowa w pewność siebie, chociaż czułam, że cała się trzęsę. – Jak możesz po tym wszystkim... kim dla siebie byliśmy, sądzić, że się cieszę, widząc cię takiego...

– Więc dlaczego? Dlaczego koniecznie chciałaś mnie zobaczyć takiego? Trzeba było mnie upokarzać w taki sposób? – Podniósł głos. – Wolę twoją radość i chorą satysfakcję od współczucia. Wolę, żebyś mnie nienawidziła! To przynajmniej daje mi odrobinę godności!

O dziwo, jego wybuch mnie uspokoił. Nagle wydało mi się, że widzę odrobinę takiego Konrada, jakiego pamiętałam. Podeszłam kilka kroków w jego stronę i usiadłam na fotelu. Nie czułam się dobrze, spoglądając na niego z góry.

Westchnęłam. Pochyliłam się do przodu. Wsparłam ręce na skrzyżowanych kolanach. Lekko się uśmiechnęłam.

– Oczywiście, że nie chcę cię upokarzać, Konradzie, wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że sprowadziło mnie tu właśnie to, co mieliśmy... Nie mogłam zrozumieć, że po tym wszystkim ofiarowujesz mi pracę przez pośrednika. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym ją przyjąć tak po prostu. Do cholery! Według prasy zostałeś rośliną! Jak mogłam uwierzyć w taką propozycję?

– No to już widzisz, że prasa się myliła. Teraz powiedz mi: przyjmiesz moją propozycję?
– zapytał oschle.

– To propozycja co najmniej interesująca, skoro składa ją ktoś, kto woli, żebym go nienawidziła.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zabrakło mu słów. Westchnęłam pojednawczo.

Nigdy nie porozmawialiśmy po tym, jak nasz związek gwałtownie się skończył. I nie miałam okazji wyrzucić z siebie wszystkiego, co nosiłam w środku. W tej chwili, tyle lat później, wydało mi się dziwne wyobrażać sobie siebie jako dziewczynę Konrada; tamta kobieta to nie byłam ja, tylko ktoś inny, z kim się nie identyfikowałam. Teraz jednak, w jego obecności, powróciły nagle wszystkie tamte uczucia. Dobre choć to, że dystans dzielący mnie od tej historii sprawił, że nie czułam żalu.

– Tak, nienawidziłam cię – przyznałam. – Bardzo mnie skrzywdziłeś. Zdradziłeś mnie, wykorzystasteś. I upokorzyłeś. Ja nie byłam na wózku inwalidzkim, a mimo to mnie upokorzyłeś. Jednak nie przyjechałam tutaj, żeby ci się za to odplacić. To już nie jest ważne, minęło. Nie nienawidzę cię, przykro mi. Nienawiść to choroba, a ja na szczęście wyzdrowiałam. Nie cieszę się, że cię widzę w takim stanie, Konradzie. Nie przyjechałam, by szukać zemsty, uwierz mi. Jestem tu, bo... – Moja wypowiedź stawała się coraz bardziej nieskładna, miałam mętlik w głowie. – Myślałam, że mnie oszukują, chcą zwabić w pułapkę. Bo skąd mogłeś pojawić się tak nagle? Myślałam, że jesteś w śpiączce. A jeśli nawet nie, to dlaczego miałbyś chcieć na nowo sprowadzić mnie do swojego życia? To nie ma sensu. Dla mnie to nie ma sensu, bo tak wiele mnie kosztowało wyrzucenie ciebie z mojego życia. I teraz, kiedy wreszcie mi się udało i zaczęłam wszystko na nowo, i chcę patrzeć tylko do przodu, nagle pojawiaasz się ty... Dlaczego? Dlaczego musiałeś znowu się pojawić?

– No dobrze, przepraszam, jeśli uraziłem cię swoją propozycją. Wydawało mi się, że oferta jest dobra. Wydawało mi się, że praca ci się spodoba. Ale skoro tak bardzo ci się nie podoba, że to ja ją proponuję, nie musiałaś mi kazać przez to przechodzić; wystarczyło zwyczajnie powiedzieć nie.

– A ty mogłeś zwyczajnie odmówić spotkania ze mną – stwierdziłam bez cienia złośliwości. – Będę z tobą szczerą, Konradzie: nie wiem, czy to ja chciałam cię zobaczyć, czy ty chciałeś, żebym przyjechała. Może chcieliśmy oboje.

Nie odpowiedział. Przez chwilę milczał, nie patrząc na mnie. Potem poruszył ręką i wózek podjechał do przyciemnionego okna.

– Jeśli boisz się, że wrócę – odezwał się w końcu, patrząc na krajobraz – nie musisz się martwić. Nic nie zostało już z tego, który cię zranił, wykorzystał i upokorzył. I nie chodzi tylko o ten wózek ani o to, że nie jestem w stanie nawet sam położyć się do łóżka. Nie tylko o to, że w jednej chwili straciłem dumę, arogancję, pewność siebie... To... Po wypadku myślałem, że lepiej by było, gdyby tam się wszystko skończyło, wśród całego tego żelastwa. Jednak... Czasami... Zaoszczędziłbym sobie tego wszystkiego. Mój psychiatra... Pamiętasz, jak zawsze lekceważyłem tych typów i tych, którzy ich potrzebują? Teraz jestem nikim bez psychiatri i jego cholernych tabletek. Na pewno całe to gówno, które łykam, każe mi myśleć, że może w tej karze jest jakaś szansa.

Zamilkł. Jego oddech wydawał się zmęczony. Wstałam i ostrożnie podeszłam trochę bliżej Konrada. Odwrócił wózek w moją stronę.

– Nie jestem dumny z tego, jak się zakończył nasz związek. Nie jestem dumny z tego, jaki wtedy byłem. Miałem obsesję i straciłem głowę. Nie znoszę tego wspominać, robi mi się od tego niedobrze. A jednak jeśli myślę o nas, myślę o tym, jak zaczynaliśmy, o początku... Był czas, kiedy byliśmy szczęśliwi, prawda? Wydaje mi się, że mnie kochałaś. Ja cię kochałem, zapewniam...

Nie potrafiłam na to zareagować. Nie wiedziałam, co powiedzieć; ani jednego słowa, ani jednego gestu. Tylko spuściłam wzrok zażenowana.

– Słuchaj, Ano. Zaproponowałem ci tę pracę nie po to, żeby wrócić jak duch do twojego życia, ale dlatego, że jesteś najodpowiedniejszą osobą na to stanowisko, jestem o tym głęboko przekonany. Znasz kolekcję równie dobrze jak ja i jesteś wspaniałą profesjonalistką, chociaż zawsze maniakalnie siebie nie doceniałaś. I przyznaję, że to także samolubny gest. Muszę oczyścić sumienie.

Zawiesił głos. Wydawało mi się, że liczy na jakiś komentarz z mojej strony. Ale ponieważ milczałam, dodał:

– Jeśli odmówisz, w porządku. Ale nie chciałbym myśleć, że to przeze mnie. Niech to będzie z innego powodu. Sprawy osobiste. Wszystko jedno... – Zauważyłam, że się waha.
– Wiem, że wzięłaś ślub.

– Skąd to wiesz? – Najeżyłam się.

Lekko się uśmiechnął. Zdaje się, że po raz pierwszy.

– Nasz świat nie jest taki duży.

– W takim razie z pewnością wiesz też, że się rozwodzę. I że wróciłam do Madrytu. I że jestem bez pracy. Twoja propozycja pojawia się w samą porę. Coś takiego! Co jeszcze o mnie wiesz, Konradzie?

– To, co właśnie mi powiedziałaś.

– Oczywiście, że tak – odparłam, nie mając ochoty wdawać się w sprzeczkę.

Podjechał do łóżka i nacisnął jakiś guzik.

– Jestem zmęczony – obwieścił. Rzeczywiście na takiego wyglądał. – Rozumiem, że twoja odpowiedź brzmi nie?

Drzwi się otworzyły i pojawił się pracownik, który miał mnie odprowadzić do wyjścia.

Odwróciłam się i spojrzałam na Konrada milszym wzrokiem.

– Nic mi nie jesteś winien. Nie chcę, żebyś myślał, że jesteś mi coś winien.

– Wiem. Ale jak się wreszcie zdecydujesz, moja propozycja ciągle będzie aktualna.

Skinęłam głową i wyszłam, rzucając krótkie, letnie *adiós*, na które Konrad nie odpowiedział.

Chciałam wyjść z tego domu, poczuć świeże powietrze na twarzy, poczuć, jak ustępuje ucisk w piersi. Jednak Greta mnie dopadła w głównych drzwiach.

– Będę z tobą szczerą – oznajmiła, jak zawsze bez ogródek. – Przeciwwstawiłam się Konradowi, kiedy postanowił zaproponować ci tę pracę. Nie dlatego, żebym uważała, że się nie nadajesz. Nie o to chodzi. Przypuszczam, że teraz zauważyłaś, jaki jest prawdziwy problem: on nie ma ochoty pozwolić ci odejść, ciągle ma obsesję na twoim punkcie.

Zapadłam się w tylnej kanapie samochodu, który wiozł mnie z powrotem na lotnisko, kompletnie wyczerpana, jakbym przebiegła maraton. Tyle miałam rzeczy w głowie do przemyślenia, że mój mózg odmówił współpracy.

Zamknęłam oczy.

Ciągle byłam pod wrażeniem. „Czego się spodziewałaś?”, zapytałam samą siebie. Już nawet nie pamiętałam, czego się spodziewałam. Wózka inwalidzkiego, tak; ale to było najmniej istotne. Bo spodziewałam się zastać tego samego krzepkiego Konrada, aroganckiego skurwiela, którego rzuciłam kilka lat temu. To, że nie mógł chodzić, było najmniej ważne. Jaka naiwna... Człowiek, którego właśnie odwiedziłam, w niewielkim stopniu przypominał tamtego Konrada. A najgorzej jest postawić się człowiekowi choremu, słabemu i nieznanemu. Połączyć urazę z zaskoczeniem; nieufność ze współczuciem; obojętność z człowieczeństwem...

Greta się myliła. Konrad nie miał obsesji na moim punkcie, nigdy. Od samego początku tylko mnie wykorzystywał. I zapewne teraz próbował tego samego. Ale w jaki sposób chciał mnie wykorzystać? Co, u diabła, kombinował?

Przyszło mi do głowy, że może mieć to coś wspólnego z medalionem. Szybko jednak odrzuciłam tę myśl jako kompletnie paranoiczną. Ten przykuty do wózka inwalidzkiego mężczyzna nie mógł już mieć tej samej mocy co kiedyś. Oczywiście nie wierzyłam w jego słowa skruchy, ale obawa, że to wszystko gra, której celem jest wykorzystanie mnie, wydała mi się ostatecznie nieco przesadzona.

W każdym razie najzdrowiej i najmądrzej byłoby odrzucić jego propozycję i trzymać się z daleka; w tej sprawie Greta miała absolutną rację. Tylko... czy on będzie się trzymał z daleka ode mnie?

Przeklęta niech będzie godzina, w której znowu usłyszałam o Konradzie.



KWIECIEŃ 1945

Nadejście wojsk radzieckich w połączeniu z chaosem bitwy wywołało w Berlinie bezprecedensową falę plądrowania. Od artykułów pierwszej potrzeby po najbardziej egzotyczne przedmioty, od wielkich pałaców nazistowskiej władzy aż do najskromniejszych mieszkań, Rosjanie, od generałów po szeregowców, zabierali wszystko, co im wpadło w ręce, bo uważali się za uprawnionych do tego w ramach zadośćuczynienia za cierpienia zadane przez Niemców. Nie pomijali niczego, co można było wysłać do domu w pięciokilogramowej paczce, do której każdy żołnierz miał prawo. A obdarowywanie krewnych i znajomych „pamiątkami” z frontu stało się sprawą honoru. Bielizna kobieca i zegarki były najbardziej cenionymi prezentami. Nierzadko widywało się radzieckich żołnierzy z kilkoma zegarkami na rękę, przynajmniej jeden z nich odmierzał czas moskiewski i jeden ten berliński. Niektóre grupy zagranicznych robotników, tak samo jak niemieckich, bez skrupułów dołączyły do plądrowania sklepów, magazynów i mieszkań.

Peter Hanke podrapał się po bliźnie na twarzy i znowu pociągnął z butelki, opróżnionej już do połowy. Najwyraźniej miał coraz większą tolerancję na alkohol. Mógł wypić całą butelkę koniaku i odczuwał zaledwie lekką senność. Pewnie będzie musiał znowu sięgnąć po laudanum, żeby zasnąć. Tylko nieprzytomny mógł znieść tę sytuację. Już od miesiąca siedział w piwnicy, nawet nie wyściubił nosa na zewnątrz, żył jak szczur, bez światła i bieżącej wody.

A eksplozje nie cichły. Bum, bum, bum. Wszystko wokoło trzęsło się i niemal już zapominał, jak brzmi cisza. Czasem popadał w desperację i myślał, że to się nigdy nie skończy. Miał ochotę strzelić sobie w łeb. Ale nie. Musiał wytrzymać jeszcze trochę. Rosjanie już tu byli, o kilka ulic opodal, i nie mógł myśleć o niczym innym niż to, że będzie z nimi Katia.

Od marca na nią czekał. Zostawił swoje obskurne mieszkanie w Mitte i przeniósł się do domu Gerdy von Leitgeb, kiedy sprawy zaczęły wyglądać źle, bo Armia Czerwona niepokonywanie napierała na Berlin, podczas gdy ci szaleńcy u władzy wzywali do samobójczego chwylenia za broń i stawienia czoła bolszewickiej hordzie.

Nie miał zamiaru poświęcać się za tę straconą sprawę, nigdy nie miał takiego zamiaru. Od początku działał jak pasożyt we wnętrzościach nazizmu i teraz nadeszła godzina porzucenia tego umierającego ciała i poszukania innego gospodarza, w lepszej sytuacji, w którym będzie się można zagnieżdżyć.

Z niejaką radością spalił legitymację partyjną i tę SS w migotliwym płomyku świecy, tak hipnotycznym, że ogień nawet liźnął opuszki jego palców, a on dopiero po chwili poczuł pieczenie. Wyrzucił blachę Gestapo do kanału i ukrył pistolet pod luźną deską podłogi. Na koniec on i Gerda zamknęli się w piwnicy z dobrze zaopatrzoną spiżarnią, mnóstwem alkoholu i odrobiną narkotyków.

Oczywiście, że szwadrony SS chodziły w poszukiwaniu dezertersów. Ci fanatycy potrzebowali mięsa armatniego na swoją ostatnią wyprawę krzyżową i tego, kto nie zginał karku, zabijali strzałem w tył głowy, po czym wieszali na latarni, wystawiając go tym samym na publiczne kpiny ku przestrodze dla innych: „Zbyt tchórzliwy, żeby bronić kobiet i dzieci”, wypisywano na planszach przymocowanych do ciał.

Jednak Petera nie złapali, bo on, będąc jednym z nich, potrafił przewidzieć ich ruchy. Ukryty w tajnej kryjówce Gerdy, w dziurze za biblioteczką, gdzie wdowa przechowywała swoje

najcenniejsze zapasy koniaku, papierosów, laudanum i kokainy, słyszał ich, jak węszą za zdrajcami ojczyzny; ich oddanie w tej chwili wydawało się żalosne. Biedni nieszczęśnicy...

Nowa kanonada wstrząsnęła domem. Dokładnie w tej chwili Gerda weszła do piwnicy. Przysypana pyłem, z nieustraszoną miną i suchymi przekleństwami w ustach. Wyszła wcześniej po wodę do jednej z nielicznych działających jeszcze pomp. Gerda i jej mania wody i czystości... Była neurotyczką. Ryzykowanie życia, żeby umyć się pod pachą, było głupie. Będzie najczystszym trupem w całej dzielnicy. Obstawała jednak przy swoim. Jej kartki na żywność zostały zachłapane krwią, bo ostatnie amerykańskie bombardowanie zaskoczyło ją w kolejce do warzywniaka. Wiele kobiet zginęło, czekając na żalosny przydział kapusty albo kartofli; reszta, między nimi Gerda, tylko się otrzępała i ścieśniła w kolejce. Więcej nie dało się zrobić, przecież nikt ich nie bronił. One były silniejsze niż te podrostki z SS z mlekiem pod nosem.

Gerda odstawiła na podłogę ciężkie kanistry wypełnione wodą i ledwie wydała z siebie westchnienie.

– Umyj się – rozkazała mu, nawet na niego nie patrząc. – Jesteś obrzydliwy.

W odpowiedzi przyssał się do butelki i udał, że mu się odbija. Tymczasem ona naląła trochę wody do miski i zaczęła się rozbierać; powoli, sprawiając, że ubrania zsuwały się jej po skórze. Peter czasem wątpił, czy ona wciąż jeszcze pragnie go prowokować. Ta kobieta nadal była dla niego zagadką.

Gerda von Leitgebels, za panny Gerda Haber, była córką górnika z Hagen w Zagłębiu Ruhry i przeniosła się do Berlina w 1921 roku, mając dziewiętnaście lat, w jednym ubraniu i z garścią marek w kieszeni, które w tamtym okresie hiperinflacji nie wystarczyły nawet na zakup bochenka chleba. Była pracowita, miała dobrą rękę w kuchni i śliczną skórę, gładką jak miśnieńska porcelana. Zamieszkała w domu ciotki Ruthe, zarządzającej nędznym pensjonatem w dzielnicy Moabit, gdzie handlowano narkotykami, seksem i bronią. Kobieta miała liczne kontakty i szybko znalazła Gerdzie pracę kelnerki w kabarecie. Wyrzucili ją po sześciu miesiącach, bo spoliczkowała dobrego klienta, kiedy za bardzo sobie wobec niej pozwalał. Była głupia. To nie był najlepszy moment w historii Niemiec, żeby zostać bez pracy; wielki kryzys szalejący w kraju przyniósł ze sobą bezrobocie, głód i niedostatek. Ciotka też ją przegnała z domu, bo nie miała zamiaru utrzymywać idiotki.

Gerda żyła przez jakiś czas na ulicy, spała w parkach i na stacjach kolejowych, jadała w publicznych stołówkach. Wciąż jednak zachowywała wrodzoną elegancję, dziwną godność i tę swoją skórę jak porcelana.

Pewnego jesiennego dnia, chłodnego i słonecznego, siedziała na ławce w parku, przyglądając się gołębiom dziobiącym ziemię. Jakiś staruszek zbliżał się ścieżką i przeszedł obok niej, kaszląc jak szczekający pies.

– Wylecz sobie ten kaszel, dziadku!

„Wylecz sobie ten kaszel, dziadku”. Zdanie, które zmieniło jej życie, tak jakby wypowiedziała zaklęcie.

Hubertus von Leitgebels, arystokrata z Dolnej Saksonii, prawnik, był doradcą cesarza Wilhelma II. Nigdy się nie ożenił i za całą rodzinę miał garść kuzynów oraz siostrzeńców, co jeden to większy obibok i utracjusz. Miał siedemdziesiąt jeden lat, był mężczyzną posepnym, o silnym charakterze – uosobienie pruskiego szlachcica – żył, chroniąc się w samotności swej willi, jedynie w towarzystwie książek, psów i majordoma tak starego i takiego odludka jak on. Może tego dnia był nieco bezbronny z powodu silnego przeziębienia, bo słowa tej dziewczyny niczym rozpalone żelazo przeszły lodowy pancerz i wbiły się prosto w jego twarde serce.

Wszystko zaczęło się od niewinnych rozmów na tej samej ławce. Gerda potrafiła słuchać, była uważna, powściągliwa i inteligentna. Od czasu do czasu poprawiała staruszkowi szalik

wokół szyi, była więc jednocześnie miła i szelmowska jak Cyganka. I to starego, nieprzyzwyczajonego do czułości, uwiodło. Rozmowy przeszły w powolne spacerunki nad jeziorem. Żeby zimna jesień nie przerwała ich spotkań, Hubertus zaprosił ją na herbatę przy kominku u siebie w domu, a żeby ona nie musiała wychodzić na wicher, ostatecznie zatrudnił ją jako osobistą pielęgniarkę.

– Ale, ekscelencjo, ja nie jestem pielęgniarką – wymawiała się, trzepocząc rękami i okrywając mu nogi kocikiem.

– Zajmujesz się mną, Gerdo. Czy nie na tym polega praca pielęgniarki? Musisz tylko dalej się mną zajmować.

Wzięli ślub na wiosnę następnego roku, wywołując wielki skandal wśród jego krewnych, ku radości starego hrabiego. Byli szczęśliwi przez dwa lata, aż Hubertus zapadł na płuca, a płuca zawsze miał słabe z powodu jakichś źle leczonych w dzieciństwie gorączek. Zostawił wszystko Gerdzie, z wyjątkiem kilku tam marek, które rozdał między kuzynów, siostrzeńców i majordoma w próżnej próbie powstrzymania ich od protestów i złorzeczeń.

Gerda uwielbiała opowiadać tę historię, rozparta na szezlongu w swojej willi w eleganckiej dzielnicy Dahlem, paląc amerykańskie papierosy w długiej lufce.

– Tylko Bóg wie, jak bardzo kochałam Hubertusa. Nasza miłość była szczerą i czystą jak żadna – twierdziła, nie kłamiąc, tym swoim poważnym i afektowanym tonem.

Wdowa otoczyła się dworem admiratorów, zawsze gotowych, żeby jej wysłuchać. Członkami cyganerii, dziwakami, rewolucjonistami, nonkonformistami... Najmarniejszymi i najbardziej zabawnymi przedstawicielami społeczeństwa. Czcił ją zarówno przez wzgląd na jej ciało – potrafiła bowiem o siebie zadbać i choć przeciętnej urody, była obdarzona niezwykłym magnetyzmem – jak i przez wzgląd na jej solidne konto, zważywszy na to, że wszyscy oni poświęcali się sprawom wymagającym nieustającego dofinansowywania.

Peter Hanke poznał ją w kwaterze głównej Gestapo pewnego poranka, kiedy przyszła wpłacić poręczenie za jakiegoś głodomora, aresztowanego za wykrzykiwanie marksistowskich hasła przed Kancelarią Rzeszy, kompletnego kretyna. Gerda była opatulona futrem, szła na obcasach zdecydowanym krokiem, zostawiając za sobą intensywny aromat gardenii i dymu z mentolowego papierosa, i zachowywała się elegancko, acz swobodnie. Próbowwała uwieść Petera, żeby zyskać jego przychylność, a on podjął jej grę. Przypadli sobie do gustu.

Kriminalkommissar wkrótce zaczął bywać na jej przyjęciach, początkowo w towarzystwie zwyczajowych obdartusów, a po kilku miesiącach sam. Musiał przyznać, że pociągała go ta niebywała mieszanka *femme fatale* i kochającej matki, ta pokręcona przyjemność, jaką czerpała ze zdegenerowanego i jednocześnie czystego seksu: dzikie noce, w które wzajemnie się chłostali, zanim doszli do orgazmu, aby potem szybko zmienić pościel poplamioną krwią, potem i nasieniem. Podniecały go ten jej głos, bardziej pasujący do mężczyzny niż kobiety, jej ciemne oczy i spojrzenie z ukosa, pokorne, i jej skóra, tak jędrna i delikatna, że przecinanie jej pejcem wydawało mu się profanacją, a przez to sprawiało jeszcze większą przyjemność. Gdyby Peter cierpiał na taką słabość charakteru, mógłby się w niej nawet zakochać.

– W piątek były urodziny Hitlera – zauważyła Gerda, przesuwając gąbką po ramionach, jakby to było ważne.

Peter podparł się na prycy i chrząknął.

– Więc piję za to, żeby były ostatnimi urodzinami tego skurwysyna.

Uniósł butelkę i pociągnął solidny łyk. Potem, z poczuciem, że jego ciało waży tony, wstał z pokrytego pyłem materaca, który z rzadka opuszczał, i podszedł do kobiety, ciągle skupionej na swoim zadaniu. Trzymając w jednej ręce butelkę, drugą położył jej na piersi i zaczął ją pieścić.

– Jesteś wieprzem. – Odepchnęła go. – Nie potrafisz myśleć o czymś innym?

Peter znowu podszedł i zatopił twarz w jej szyi.

– Gdyby teraz miała spaść na nas bomba, nie przychodzi mi do głowy lepsza śmierć niż między twoimi nogami.

Tym razem go nie odepchnęła. Zaśmiała się kpiąco, tym pożądlwym śmiechem, który tak bardzo podniecał Petera, i zaczęła wycierać mu gąbką twarz, szyję, próbowała ją wsunąć pod brudną koszulę. Peter popił koniaku i podał jej butelkę.

– Niebo jest czerwone, Peter. W powietrzu unosi się pył. – Wytarła kropelki alkoholu spływające jej po brodzie. – Już tu są.

– Ucznijmy to i niech koniec zastanie nas na pieprzeniu się jak zwierzęta – postanowił, szukając jej ust, żeby gryźć je w podnieceniu.



PO TO MNIE ZATRUDNIŁEŚ

Wreszcie poleciałam z Zurychu do Madrytu, bo Bundesarchiv w weekend było zamknięte, a poza tym Martin zadzwonił do mnie i powiedział, że też musiał wyjechać z Koblencki.

– Nie znalazłem niczego o Hankem. Helga ma nowe dokumenty i powiedziała, że wyśle ci mailem wszystko, co się da. Obawiam się, że całą pracę zostawiłem tobie – przyznał jak uczeń, który nie odrobił zadania domowego.

– Nie martw się, po to mnie zatrudniłeś – uspokoiliam go. – Posiedzę przez weekend w domu w piżamie i kapciach, czytając przez lupę wszystko, co mamy.

Tak właśnie miałam zamiar zrobić, powodowana miłością do swojej mansardy, spotęgowaną przedwcześnie deszczową, jesienną pogodą, która nie zachęcała do wychodzenia z domu.

– Przyjdź na kolację w sobotę, kochana – zaproponował Teo, kiedy dowiedział się, że jestem w Madrycie. – Toni przygotowuje te papryki nadziewane owocami morza, które tak cię kręcą, bo zaprosił jakiegoś kolegę z pracy. Oczywiście singla. Pasowałby do ciebie. Jest chirurgiem, jeździ takim porsche, że ja pierdolę. Może wyda ci się ociupinkę za niski i ma na imię Macario. Uch, straszliwie! Ale jeśli się zwracać do niego Mac, od razu brzmi supercool, nie wydaje ci się?

Mimo że myśl o domowej kolacji z przyjaciółmi wydała mi się kusząca, temat randki w ciemno mnie dobijał, więc odmówiłam.

– Dziękuję ci za troskę o moje odżywianie i potrzeby uczuciowe, ale nie mogę. Mam mnóstwo pracy.

– Nudziara. Znowu zakochałaś się w jakimś typie z przeszłości, którego badasz? Królewno, w ten sposób nigdy się nie rozmnożysz, tyle ci powiem.

– Nic z tych rzeczy, możesz być spokojny. Facet wygląda jak ten zły z filmu *Kształt wody*, nie wiem, jak się nazywa ten aktor... Wyślę ci zdjęcie, żebyś mógł zobaczyć, że jest trochę straszny, i w niedzielę po południu do was wpadnę, dobra?

Kiedy Teo zobaczył obiecane zdjęcie, uznał, że nie warto tracić soboty na kogoś, kto ma tak straszną facjatę, ale ja założyłam, że Peter Hanke będzie moim jedynym towarzyszem w ten weekend.

Tymczasem w sobotę z samego rana, kiedy jeszcze przewracałam się w łóżku po kilkakrotnym wyłączeniu budzika, zadzwonił Martin.

– A jednak przyjechałem do Madrytu – obwieścił jak człowiek, który przypadkiem przechodził przez osiedle. – Jeśli chcesz, możemy się umówić w biurze i pomogę ci przy dokumentach.

Wyjrzałam przez okno, na ulewę, która uderzała gnanyimi wiatrem falami. Drzewa wyginały się, gubiąc pierwsze liście, na chodniku pełno było kałuż, a na pustym placu jakiś człowiek walczył z parasolem, który wyglądał, jakby zaraz miał się wywrócić na lewą stronę albo odlecieć. Poczułam dreszcze przebiegające mi od bosych stóp.

– Prawdę mówiąc, nie chce mi się wychodzić przy takiej pogodzie. Może przyjdź do mnie i popracujemy w domu?

Martin pojawił się bardzo szybko poprzedzony przyjemnym zapachem, z tacką croissantów i dwoma świeżo zaparzonymi kawami. Rzuciłam się na jedną, jeszcze zanim zdążył przekroczyć próg.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Nie wiesz, jak bardzo cię w tej chwili kocham – wyznałam mu, pociągając łyk kawy; ciepło kubeczka ogrzało mi dłonie. – Właśnie się okazało, że puszka z kawą jest pusta, nie zostało nawet ziarenko. Kiedyś wreszcie będę musiała zrobić zakupy.

Gdy opróżniałam stół z papierów i resztek kolacji, żebyśmy mogli na nim zjeść śniadanie, Martin krążył po salonie.

– Podoba mi się twoje mieszkanie – stwierdził na koniec. – Jest bardzo przytulne.

– Trochę zabałaganione tymi wszystkimi rupieciami – zauważyłam pośpiesznie, ze stosem pudełek po chińskim jedzeniu w rękach.

– Dlatego jest przytulne. Tylko ekspozycje mebli są zawsze bez zarzutu.

– Należało do mojego dziadka, to była jego pracownia.

Zaczęłam mu opowiadać, kim był mój dziadek i dlaczego na podłodze ciągle są ślady po farbach, a na niektórych ścianach szkice nagryzmołone w przypiływie weny.

– Podoba mi się – dodał po chwili. – Widać, że to miejsce ma duszę. Któryś z tych obrazów namalował twój dziadek?

– Tylko ten. – Wskazałam na ramę opartą o kominek. Był to półabstrakcyjny obraz olejny w niebiesko-zielonych odcieniach. – To widok na morze z jego domu w Asturii. Zachowałam też akwarele, które dla mnie namalował. Mam małą kolekcję zawieszoną w sypialni, ale większość jest schowana. Nie ma wystarczająco dużo ścian na to wszystko, może jak kiedyś będę miała duży dom...

– A to jesteś ty? – Z wesołym uśmiechem Martin wskazał na zdjęcie będące częścią kolażu wielu starych fotografii. Sama skomponowałam go na drewnianym blacie stolika stojącego przy kanapie, który nakryłam potem szybą.

– Obawiam się, że tak.

Na fotografii miałam jakieś osiem lat. Włosy naciągnięte aż do bólu, tak jak tylko moja mama potrafiła naciągnąć, kiedy robiła nam końskie ogony, i ogromne plastikowe okulary zasłaniające połowę twarzy; mój uśmiech był nieco wymuszony, bo wypadły mi przednie zęby, więc starałam się uśmiechać z zamkniętymi ustami.

– To nie jest moje najlepsze zdjęcie – przyznałam – ale i tak mi się podoba, bo zostało zrobione w domu w Asturii, a ten wielki wilczur, który jest przy mnie, to Llovu, „wilk” po asturyjsku. Bardzo go lubiłam – dodałam z uśmiechem przepełnionym nostalgią.

Zauważyłam, że Martin spogląda na mnie z czułością, i po chwili milczenia, zażenowana, zaczęłam mu opisywać resztę zdjęć z kolażu, jakby to miało być dla niego interesujące.

– To tłuste niemowlę to moja siostra, która teraz jest jak szczypioerek. A to moi rodzice w Rzymie, wyglądają jak Gregory Peck i Audrey Hepburn, prawda? To jest mój dziadek, tutaj, w pracowni.

– A to? – Wskazał na wypłowiałe zdjęcie w sepii.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia, kim są ci mężczyźni z dawnych czasów, ale samo zdjęcie mi się podoba. Pozują tak poważni z dziewczynką, która wygląda, jakby pytała, co tam robi, pośród starych ludzi i rupieci. Jest wspaniałe, nie uważasz?

– Tak, rzeczywiście wspaniałe.

– Dobra, dość objiania się, musimy popracować – rzuciłam.

Znaleźliśmy się bardzo blisko siebie. Bliżej niż zezwalają normy pracy w grupie. Martin dalej mi się przyglądał z tym swoim uśmiechem i miną zdającą się zwiastować coś ważnego: wielką deklarację albo drobny gest; coś intymnego.

– Jasne! Ale jeszcze nie zjedliśmy śniadania – powiedział zwyczajnie, podczas gdy ja

zaczynałam się nakręcać.

Dzięki osobistemu zaangażowaniu Helgi w nasze badania – wykorzystała swoje znajomości i kontakty we wszystkich archiwach w Niemczech i poza granicami, również w bibliotekach, uniwersytetach i ośrodkach badawczych w poszukiwaniu jakiegoś śladu Petera Hankego, układając równocześnie jego profil do własnego doktoratu – mieliśmy mnóstwo dokumentów do przejrzania.

Jak powiedział mi już Martin, jej mail z ostatnimi nowościami czekał w mojej skrzynce. Na początek musieliśmy przeanalizować i sklasyfikować nowy materiał, odrzucić to, co nieistotne, i połączyć resztę z tym, co mamy. Żeby działać skuteczniej, rozdzieliliśmy dokumenty i w milczeniu, przy muzyce – poprosiłam, żeby to nie były piosenki, bo mam skłonność do odpływania przy każdym tekście, i to kompletnie by mnie rozpraszało – godziny upływały nam niepostrzeżenie w tę deszczową sobotę.

– O matko! Ten Hanke to było niezłe ziółko – oznajmiłam, przeglądając na ekranie komputera różowo-żółty dokument, pełen pieczętek i notatek. – W 1942 roku RSHA wszczęło przeciwko niemu kolejne postępowanie dyscyplinarne.

Martin, który czytał akurat fragment książki na temat sekcji kontrwywiadu Gestapo, z zainteresowaniem uniósł wzrok znad swojego komputera.

– Co tym razem zrobił?

Przez chwilę nie odpowiadałam, przeszukując wzrokiem dokument. Martin przysunął się ze swoim krzesłem, żeby widzieć mój ekran.

– Raport jest niekompletny – zauważyłam, marszcząc brwi w skupieniu i nie odrywając oczu od lektury. – Niektóre strony są uszkodzone albo nieczytelne... Może uda nam się coś zrozumieć... O tutaj: to za zatrzymanie.

– Zatrzymanie? I to ma być złamanie dyscypliny? Czy nie tym właśnie zajmowało się Gestapo: zatrzymywaniem ludzi?

– Czekaj... 17 lutego 1942 roku Hanke aresztował Corneliusa Althanna, zawód antykwariusz, zamieszkałego w bla, bla, bla, Charlottenburg-Berlin... Pod zarzutem homoseksualizmu. Otóż to!

– Co? Upieram się: czy nie właśnie to robiło Gestapo?

Odchyliłam się trochę na krześle, chwyciłam pogryziony ołówek, którym robiłam notatki, i spięłam nim włosy.

– W przypadku homoseksualistów niezupełnie. Ich prześladowanie w nazistowskich Niemczech było zorganizowane w inny sposób przed wojną i w inny podczas wojny. Kiedy w 1935 roku zmieniono paragraf 175 niemieckiego kodeksu karnego, żeby poszerzyć zakres praktyk homoseksualnych uważanych za przestępstwo i zaostrzyć odpowiednie kary, dekretem Himmlera utworzono Reichszentrale zur Bekämpfung der Homosexualität und der Abtreibung, którą od tej chwili będziemy nazywać Centralą Rzeszy do Zwalczenia Homoseksualizmu i Aborcji albo krótko Reichszentrale, żeby mi się nie poplątał język i żebyś się nie nabijał z mojej wymowy.

– To nie tak – zaprzeczył z miną, która wskazywała, że jednak ma ochotę się nabijać.

– No dobra. Do tej pory to Gestapo było zobowiązane ścigać tego rodzaju przestępstwa i ta nowa centrala działała pod jego skrzydłami. Jednak w 1938 roku zmieniła dyrektora i została przeniesiona do Kripo, tak więc od tamtej pory to policja kryminalna koordynowała ściganie i karanie homoseksualistów. Praca Gestapo na tym polu została ograniczona do przypadków homoseksualizmu wśród członków SS, bo uważano, że te bezpośrednio zagrażają bezpieczeństwu państwa, oraz do akcji specjalnych, czyli *Sonderaktionen*.

– Chcesz powiedzieć, że Hanke przekroczył swoje uprawnienia?
– Na to wygląda i tak uważali ci z RSHA. Zdaje się, że jakiś skrupulatny funkcjonariusz miał za dużo czasu i na niego doniósł.

Wróciłam do lektury raportu.

– Popatrz i popraw mnie, jeśli pomylę się przy tłumaczeniu: mówi się tutaj, że w dokumentach Reichszentrale nie ma niczego, co potwierdzałoby zboczenie Althanna, i że zatrzymano go bez zezwolenia, a nawet wiedzy centrali, wedle arbitralnych kryteriów, i że nie dostarczono solidnych dowodów, które by je usprawiedliwiały. Następnie zatrzymanego zupełnie nieadekwatnie do sytuacji – i także bez odpowiedniego zezwolenia – poddano badaniu trzeciego stopnia i... Boże, ten gość nie znał granic: według tego, co tu piszą, sfałszował rozkaz o areszcie prewencyjnym, żeby natychmiast wysłać Althanna do obozu w Sachsenhausen.

– Musiał go podrobić? Nie mógł sam wydać takiego rozkazu? Myślałem, że *Schutzhaft* był wydawany bezpośrednio przez Gestapo albo Kripo bez udziału sędziego i że żaden sąd nie mógł zaskarżyć ani odwołać tego rozkazu. W sumie to był ich sposób na natychmiastowe, poza prawem, wysyłanie ludzi do więzienia albo do obozu koncentracyjnego.

– Tak – zgodziłam się z Martinem, ale musiałam dodać: – Jednak rozkazu o areszcie prewencyjnym nie mógł wydać dowolny funkcjonariusz, nawet taki z wyższym stopniem – wszystkie de facto musiały być podpisane przez szefa RSHA, Kripo albo Gestapo. A ponieważ wystawiano ich naprawdę dużo, więc się kumulowały i zasadniczo podpisywano je z automatu. Prawda jednak jest taka, że nasz przyjaciel Peter nie zwracał sobie tym głowy i własnoręcznie podpisał się za Heinricha Müllera, szefa Gestapo.

– Mając więc na względzie jego bezczelność, sankcja nie była taka wielka – zauważył Martin, który zaczął czytać dokument na moim ekranie. – Trzy miesiące zawieszenia bez prawa do pensji. W dzisiejszych czasach można dostać nawet pięć lat więzienia i zakaz powrotu do służby za znacznie mniej.

– W tej całej sprawie zwraca moją uwagę to, po co Hanke pakował się w takie kłopoty, żeby zatrzymać jakiegoś gościa.

– Motyw osobisty? Zemsta? Miał rachunki do wyrównania z tym Corneliusiem Althannem?

– Motyw osobisty tak, ale nie sądzę, że to miała być zemsta. Żeby się zemścić, wystarczyłby donos, i inni wykonaliby za niego brudną robotę. Z jakiegoś powodu chciał osobiście wziąć w tym udział, bez względu na ryzyko.

– Tak jak wtedy, gdy pojechał do Leningradu, żeby zająć się Wojkowem. – Martin zaczął rozumieć, dokąd zmierzam.

– Tak jest. Hanke korzystał ze swojej pozycji i władzy jako funkcjonariusz Gestapo, żeby wydobyć od Althanna jakąś informację albo po prostu usunąć go z drogi.

– To by wyjaśniało, dlaczego pozwolił sobie na badanie trzeciego stopnia, które według raportu nie miało w tym wypadku zastosowania. Bardzo chciał, żeby zaczął mówić.

– Poza tym Hanke łączy Wojkowa i Althanna. Obaj zostali jego ofiarami w podejrzanym sytuacji.

Zamyśliłam się na chwilę, jednocześnie obmacując włosy w poszukiwaniu ołówka. Martin wydobył go z mojego koka i podał mi. Machinalnie zaczęłam stukać ołówkiem w brodę.

– Może to jest głupie, ale... Nie wydaje ci się ciekawe, że Althann był antykwariuszem? W sumie medalion to jednak antyk.

– Wydaje mi się to wystarczająco ciekawe, żeby poprosić Helgę o poszukanie informacji o Althannie.

– Zapiszę to. – Dla potwierdzenia wskazałam na Martina ołówkiem. Kątem oka zauważy-

łam, że spojrzał na zegarek. – Musisz już iść?

– Jest prawie dziewiąta. Jeśli nie zaprosisz mnie na kolację, obawiam się, że tak.

Może to kwestia tej jego dziecięcej twarzy, ale kiedy chciał, umiał nadać swoim słowom czułość. Podałam się rozbrojona z uśmiechem.

– Prawdę mówiąc, zapracowałeś sobie na jedzenie. Ale już widziałeś, że lodówka jest równie pusta jak puszka z kawą. Musimy coś zamówić, tak samo jak w południe.

– Dobrze, ale płaci firma, więc tym razem żadnych kanapek, bo umieram z głodu.



DOŚĆ INTRYG I GIEREK

Wino, ser, szynka, pomidory, orzechy, dobry chleb i na deser trufle. W końcu, nie bacząc na ulewny deszcz, bo przecież pochodzi z północy Europy, Martin zszedł po kolację do delikatesów, które niedawno otworzono po drugiej stronie placu. Tymczasem ja starałam się nakryć ładnie do stołu, wykorzystując chustkę, bo nie miałam nawet jednego żaloznego obrusa, i zapaliłam świece w kominku, żeby zrobić nastrój. Od bardzo dawna nie przyjmowałam nikogo w domu, nie organizowałam kolacji dla dwóch osób. Powiedziałam sama do siebie, śmiejąc się, że co prawda ani trochę nie jest to kolacja romantyczna, a jednak brakuje mi na stole kwiatów z przydomowego ogrodu w Prowansji i gramofonu Alaina, tej trzeszczącej muzyki, która towarzyszyła naszym nocom na początku, kiedy jeszcze tańczyliśmy razem do dawnych piosenek.

– Co się stało z Peterem Hankem po wojnie? Po 1945 roku jakby przestał istnieć, Helga nie znalazła żadnej informacji na jego temat w żadnym archiwum. Ani aktu zgonu, ani jego *Persilschein*... – zastanawiał się Martin, napełniając mi kieliszek.

Przez otwarte okno z tarasu wlatywało chłodne czyste powietrze, pachnące wilgotną ziemią, i nasza kolacja ciągnęła się, bo nie mogło być inaczej, przy rozmowie o pracy.

Zawsze wydawała mi się bardzo naiwna nazwa, którą nadano certyfikatowi denazyfikacji: *Persilschein*. Pochodzi od słowa *Persil*, marki proszku do prania, czegoś bardzo namacalnego, i oznacza dokument zaświadczający, że podejrzany o związki z nazizmem obywatel powojennych Niemiec był „czysty”, czyli został „obmyty” z nazistowskiej przeszłości i mógł się włączyć w nurt normalnego życia społeczeństwa nowych Niemiec.

– Jeśli nie pojawił się *Persilschein* – kontynuował Martin, pociągnawszy pierwszy łyk wina – może to wynikać z kilku powodów: że umarł...

– Wtedy mielibyśmy akt zgonu – przerwałam mu.

– Niekoniecznie. Berlin i ogólnie całe Niemcy, przede wszystkim duże miasta, między majem a lipcem 1945 roku były pogrążone w kompletnym chaosie. Z czasem alianci zaczęli przywracać rządy i administrację. Wiele śmierci pozostało niezarejestrowanych. Wiele osób uznano zwyczajnie za zaginione – jednak w tym wypadku ktoś, najczęściej był to jakiś krewny, musiał zainicjować postępowanie o stwierdzenie śmierci, a Hanke, z tego, co udało nam się ustalić, nie miał bliskiej rodziny. A więc? Umarł? Zniknął? Żadna z tych rzeczy? – zażartował i wyciągnął w moją stronę kawałek sera, który właśnie ukroił.

– Wszystkie opcje są możliwe. Mógł zginąć w chaosie ostatnich dni wojny. Mógł zniknąć. Mógł zmienić tożsamość i zacząć nowe życie. Uciec z Niemiec, żeby uniknąć represji. Albo mógł wpaść w strefie radzieckiej i dlatego nie ma żadnego dokumentu na jego temat po 1945 roku w niemieckich archiwach.

– Zatem jeśli wpał w strefie radzieckiej, obawiam się, że nie miał zbyt dużej szansy na przeżycie. Ponieważ był funkcjonariuszem Gestapo, zostałby stracony albo skończyłby w radzieckim obozie, co w dłuższym okresie prowadziło do tego samego skutku. Sowieci nie byli tak wyrozumiali jak alianci zachodni.

– Niekoniecznie. Rzeczywiście nie byli tak wyrozumiali, masz rację, ale co powiesz na jeszcze inną opcję: że mógł zostać zwerbowany przez Stasi?

Martin uniósł brwi zaskoczony.

– Nie było tak może najczęściej – podkreśliłam – ale istnieją udokumentowane przypadki co najmniej trzydziestu pięciu funkcjonariuszy Gestapo i oficerów SS, którzy przy wsparciu radzieckiego rządu uniknęli sprawiedliwości i zostali szpiegami strasznej tajnej policji Niemiec-

kiej Republiki Demokratycznej.

– Proszę... Przypuszczam, że w ostatecznym rozrachunku, kiedy kończą się ideały, a na czoło wysuwa się instynkt przetrwania, nie ma znaczenia, która to strona.

– W każdym razie już poprosiłam Irinę, moją rosyjską archiwistkę, żeby przeprowadziła kwerendę na temat Hankego. Zaczynam myśleć, że nie było oficjalnej nazistowskiej misji poszukiwania medalionu, inaczej niż w przypadku *Astrologa*.

– Rzeczywiście nie mamy żadnego dokumentu, który mógłby nam to potwierdzić.

– I nie tylko to. Dokumenty niełatwo znaleźć, już się o tym przekonałeś. Chodzi raczej o sposób działania Hankego. Te raporty z postępowań dyscyplinarnych wskazują, że działał sam, nie miał oficjalnej przykrywki.

– I dlatego skłamał Georgowi, mówiąc, że jest z SD, a nie z Gestapo?

– Oczywiście, zacierał ślady, na wypadek gdyby ktoś chciał go śledzić. Najgorsze, że jeśli to prawda, jeśli Hanke szukał medalionu na własną rękę, będzie nam znacznie trudniej podążać jego tropem.

– Ale nie jest to niemożliwe. Spójrz, co osiągnęliśmy do tej pory.

– Tak, obawiam się jednak, że dokumenty zaczną się wyczerpywać i śledztwo utknie.

Martin przyglądał mi się przez kilka sekund z dziwną miną.

– Co? – Chciałam, żeby odwrócił ode mnie to inkwizycyjne spojrzenie.

– Dlaczego nagle tak bardzo się śpieszysz?

Jego pytanie zbiło mnie z tropu.

– A dlaczego cię to dziwi? Sam to powiedziałaś. Powiedziałaś, że zabójstwo Bonattiego jest obwieszczeniem, że zaczęło się poszukiwanie medalionu. Nie sądzę, by było skierowane tylko do ciebie i twoich kompanów. Jest ktoś jeszcze, co? Czy nie to chciałaś mi powiedzieć? Nie ma żadnej rywalizacji?

– Tak, tak, oczywiście...

Martin spuścił wzrok i milczał, jakby był bardzo skupiony na talerzu, z którego nie jadł. Przyglądałam mu się zmieszana.

– Co się dzieje, Martin?

– Ana. – Uniósł twarz i zrobił uroczystą pauzę. – Wiem, że pojechałaś zobaczyć się z Konradem Köllerem.

Patrzyłam mu w oczy, jednocześnie przechodząc od zaskoczenia do oburzenia.

– I czekałaś aż do teraz, żeby mi o tym powiedzieć?

– Nie miałem zamiaru tego robić.

– Oczywiście, że nie! W ten sposób mógłbyś mnie dalej śledzić!

– Pytanie brzmi: dlaczego ty nic mi nie powiedziałaś?

– Nie, pytanie brzmi, dlaczego mnie szpiegowałeś. – Stawiłam mu czoło. – Nie wasza sprawa, co robię z moim prywatnym życiem!

– Konrad Köller jest naszą sprawą. Dlaczego unikałaś rozmowy o nim? Co mam o tym myśleć?

– Możesz sobie myśleć, co ci się podoba! Jeśli mi nie ufasz, to twój problem. To ty do mnie pojechałaś. Nie zgadzam się na to, żebyście mnie śledzili, w przeciwnym razie na mnie nie licz. Co ja mam myśleć o tym, że mnie śledzicie? Co, Martin? Co tu się, do cholery, dzieje?

– Dzieje się to, że Konrad Köller dalej jest niebezpiecznym typem. Że niebezpiecznie jest się z nim zadawać. I że zrobiłaś to po kryjomu!

– Po kryjomu? Co ty, kurwa...! Co ty sobie myślisz? Że mam cię informować o wszystkim, co robię? Co to za szaleństwo? Z kim ja się zadaję, to moja sprawa, nie twoja. Do cholery, on mi tylko zaproponował pracę w muzeum, a jeśli nic ci nie powiedziałam, to dlatego, żeby

uniknąć tej idiotycznej rozmowy!

Martin westchnął, pochylił się do przodu i odezwał nieco spokojniej:

– Słuchaj, to prawda, poszukiwanie medalionu jest wyścigiem. Wyścigiem bez zasad. Niektórzy z jego uczestników są pozbawieni jakichkolwiek skrupułów, gotowi na wszystko. Nie pierwszy raz gram w tę grę, ale ty... To nie jest *Astrolog*, Ano.

– Co? – przerwałam mu wściekła. – Mam ci przypomnieć wszystko, przez co przeszłam przy *Astrologu*?

– Nie. Ale to jest jeszcze bardziej złożone. – Przesunął ręką po głowie, jakby trudno mu to było wyjaśnić. – Słuchaj, nie jestem jeszcze pewien... Jeszcze nie wiem, kto jest, a kto nie... Ale ten typ ludzi... Nie mają zahamowań, usuną każdego, kto stanie im na drodze.

– Insynuujesz, że Konrad jest w to zamieszany?

– Nie wiem. Chciałbym jednak mieć pewność, że cię nie wykorzystuje.

Wstałam od stołu w poszukiwaniu świeżego powietrza; było mi gorąco i duszno. Musiałabym przyznać, że nie pierwszy raz Konrad by mnie wykorzystywał. I musiałabym przyznać, że opuściłam gardę. Po wypadku postrzegałam go jako niegroźnego inwalidę. Nawet w tamtej chwili trudno mi było wierzyć Martinowi, kiedy malował mi ten obraz władzy i nikczemności. Taki był Konrad kiedyś, ale teraz...

– Mogłabym zbadać, jakie są intencje Konrada. – Odwróciłam się.

– Nie. Nie ma mowy. Mówiłem ci, że jest niebezpieczny. Nie można ufać bestiom, nawet gdy są ranne. Przede wszystkim nie wtedy, gdy są ranne.

– Na Boga... Nie bądź wobec mnie taki protekcyjny, bo nie jestem idiotką. Wydaje mi się, że znam Konrada trochę lepiej niż ty. Dziękuję, ale potrafię zadbać o siebie. Nie musisz mnie traktować jak dziecko.

– Nie traktuję cię jak dziecka. Twoją pracą jest prowadzenie badania. Skup się na tym, a resztę zostaw mnie.

– Nie możesz mi tego zabronić – rzuciłam mu wyzwanie.

– Cholera, Ana! Nie bądź uparta!

Znowu odwróciłam się do okna i stałam wzburzona; brakowało tylko, żebym dyszała. Po chwili Martin wstał i do mnie podszedł. Oboje patrzyliśmy na zewnątrz, jakby to, co interesujące, nie znajdowało się w środku. Deszcz ustał, pozostawiając po sobie spokojny chłód, od czasu do czasu przejeżdżał samochód, wznosząc fontannę wody z asfaltu.

– Zaproponuję ci coś – oznajmił bardziej pojedynczym tonem. – Zaczekajmy, aż Konrad wykona następny ruch, i wtedy zadziałamy w zależności od tego, co zrobi.

– Oboje?

– Oboje.

Przystąpiłam na to, by za chwilę dodać:

– Chcę, żebyście przestali mnie śledzić i podsłuchiwać mój telefon. Jeśli mi nie ufacie, jeśli musicie mnie kontrolować, lepiej będzie, jeśli porzucę śledztwo.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufamy – odparł gwałtownie. – To jest niebezpieczne, już ci mówiłem. Robimy to, żeby cię chronić.

– No to nie. Dość intryg i gierk ze mną.

Tej nocy pożegnaliśmy się chłodno. Niedawna kłótnia sprawiła, że zapanowało między nami dziwne napięcie.

Nazajutrz przed moimi drzwiami stanął posłaniec. Przyniósł paczkę z pełnym śniadaniem. Na bileciku podpisanym przez Martina był narysowany uśmiezek: *A fresh start*, co dosłownie oznacza „świeży początek”; to śniadanie takie było. Ale jeśli ktoś używa tego wyrażenia, ma na

myśli raczej „zaczynamy od nowa”. Gra słów sprawiła, że uśmiechnęłam się pojednawczo do tego prezentu na zgodę.



WSZYSTKO JEST MOŻLIWE, DOPÓKI NIE MA NA NIC DOWODÓW

Ana, Ana... Słyszysz mnie?

– Tak, Irino, dobrze cię słyszę, ale musisz włączyć kamerę.

Z drugiej strony docierały do mnie głosy Iriny i Antona Jegorowów, szepczących po rosyjsku.

Irina zaproponowała mi wideokonferencję, żeby zreferować, co na temat Fiodora Wojkova znalazła w rosyjskich archiwach. Miło mnie zaskoczyło, że ta kobieta, już posunięta w latach, posługuje się nowymi technikami. Oczywiście, jak mogłam stwierdzić, nie do końca sobie z nimi radziła.

– Na dole ekranu po lewej jest kamera. Musisz na nią nacisnąć – wskazałam jej, chociaż nie byłam pewna, czy mnie słyszy.

Po chwili obraz zastąpił czarną pustkę na moim ekranie.

– Już. Widzisz mnie, prawda?

– Tylko twoje loki. Przesuń się trochę. Teraz tak. Cześć, Irino!

– Ana! Wreszcie!

Za archiwistką pojawił się jej brat Anton, pozdrowił mnie machnięciem ręki. Oboje urodzeni w Związku Radzieckim, wydawali się nie na miejscu na ekranie komputera. Byli do siebie podobni: takie same małe niebieskie oczy, pełne życia, takie same sztywne szpakowate włosy, takie same okrągłe, zaróżowione twarze – co w połączeniu z zsynchronizowanymi ruchami sprawiało, że przypominali parę komików.

– Możesz mówić, Anton. Słyszysz cię – powiedziała Irina.

– Cześć, Ana!

– *Priviet, Anton! Kak diela?*

Moje niezgrabne pozdrowienie po rosyjsku pewnie zabrzmiało straszliwie; a jednak zarówno Anton, jak i Irina z zaskoczeniem zamachali rękami.

– *Wsio w pariadkie, spasiba!* Już mówisz po rosyjsku, koleżanko!

– Nie, nie! Znam tylko to zdanie – wyjaśniłam. – Opowiadajcie, co tam u was?

Po kilku minutach pozdrowień i wymianie wiadomości przeszliśmy do meritum sprawy.

– Powiem ci, że Anton strasznie się podniecił twoim nowym śledztwem.

– Lubię stare sprawy i młode kobiety – zażartował Anton ze śmiechem, któremu zawtórował śmiech siostry.

– Nie ma rady na tego człowieka! Cicho bądź i mnie nie szturchaj.

– No bo nie widać mnie na ekranie. Zajmujesz cały, kobieto.

Irina zakończyła sprzeczkę, odsuwając się nieco.

– Anton wiele czytał o Ognistym Medalionie. Szczególnie o jego powiązaniu z dworem petersburskim i z rosyjską masonerią – ciągnęła, aż brat przerwał jej, nie mogąc pohamować entuzjazmu.

– Och, tak, tak! Na początku XX wieku, kiedy carska Rosja znajdowała się w upadku, dwór w Sankt Petersburgu stał się siedliskiem plotek o medalionie...

– Poczekaj, Anton, poczekaj, wszystko w swoim czasie – pohamowała go Irina, starając się wyciągnąć go z planu i zostawiając na nim tylko połowę jego twarzy. – Po kolei. Ana, chciałaś, żebym ci znalazła informacje o Fiodorze Wojkowie. W tych okropnych rosyjskich archi-

wach, chaotycznych i niezdigitalizowanych, nie było łatwo, a już w Moskwie to w ogóle, bo Wojkow był z Petersburga. Na szczęście Anton mi pomógł.

Teraz przytaknął energicznie, zanim się wtrącił:

– Okazuje się, że w czytelni czasopism znalazłem wycinek z prasy z 12 czerwca 1941 roku, który był echem zabójstwa Wojkowa.

– Wysłaliśmy ci mail z kopią tego dokumentu i pozostałych, o których ci opowiemy – dodała Irina. – Oczywiście są po rosyjsku, będziesz musiała je przetłumaczyć.

– Tak, nie ma problemu. Bardzo dziękuję.

– Jak to zrobisz, zobaczysz – wtrącił Anton – że ten wycinek dostarczył nam kilku danych na jego temat: był wdowcem, miał sześćdziesiąt dwa lata, mieszkał przy ulicy Niekrasowa i, najważniejsze, był wykładowcą mineralogii na Uniwersytecie w Leningradzie. Od tego punktu zaczęliśmy szukać po archiwach miejskich.

– Anton ma tam dobrych przyjaciół.

– Razem znaleźliśmy Fiodora Piotrowicza Wojkowa. Ten człowiek okazał się specjalistą od kamieni szlachetnych. Nie tylko był wykładowcą uniwersyteckim, ale też pracował jako kustosz w Ermitażu i w czasach carskich jako członek ekipy zajmował się kolekcją cesarskich klejnotów, konkretnie sali diamentowej. W jakiś sposób potrafił utrzymać się na fali, bo po rewolucji, mimo związków z dawnym reżimem, zachował stanowiska zarówno na uniwersytecie, jak i w Ermitażu. W sumie był jednym z ekspertów, którym powierzono zebranie kolekcji klejnotów rozproszonych po upadku cesarstwa i jej skatalogowanie. Znaleźliśmy dokumenty poświadczające jego mianowanie przez Ludowy Komisariat Finansów.

– A więc wziął udział w stworzeniu katalogu z 1924 roku? – zapytałam, odnosząc się do książki, która rzekomo zawierała jedyną wzmiankę o medalionie wraz z fotografią. Z kolejnych wydań katalogu ta relikwia zniknęła.

– Musiał przy nim współpracować – stwierdziła Irina – bo był członkiem ekipy Aleksandra Fersmana, mineraloga, którego nazwisko widniało na wydaniach z 1924 i 1925. Chociaż po tym pierwszym... nie ma ani śladu, poza rachunkiem za druk. Możesz otworzyć mail, który do ciebie wysłaliśmy? Chciałabym ci coś pokazać.

– Tak, poczekaj. Zrobię to w telefonie.

– Zobaczysz, że w załącznikach jest obrazek.

– Tak, mam. Ściągam go.

– Bravo! Jest to zdjęcie grupy ekspertów zrobione w 1926 roku w Ermitażu. Jednym z nich jest Wojkow, bo to ten sam człowiek co na zdjęciu z gazety.

Dokładnie przyjrzałam się fotografii, którą miałam na ekranie. Ciekawe, że przywiodła mi na myśl *Ostatnią wieczerzę* Leonarda da Vinci; w nowoczesnej czarno-białej wersji fotograficznej. Za długim stołem z toczonymi nogami znajdowało się trzynastu mężczyzn, którzy jakby się wahali między udawaniem, że badają leżące przed nimi ogromne klejnoty wysadzone brylantami, a patrzeniem w aparat, żeby sprawić godne wrażenie na potomności. Domyśliłam się, że ekspertami było ośmiu mężczyzn w koszulach z wykroczmalonymi kołnierzykami, w kamizelkach i pod krawatem, siedzących po bokach postaci w środku; obok nich stało czterech kolejnych, wbitych w bolszewickie gimnastiorki, którzy wyglądali na nadzorujących operację.

– Ten łysy pośrodku to Fersman – wyjaśniła mi Irina – a ten po jego prawej to Wojkow.

Przyjrzałam się temu człowiekowi o zapadniętych policzkach i rzadkich włosach, z wąsami i hiszpańską bródką, który badawczo spoglądał przez monokl. Znajoma twarz, przypominająca te z książek historycznych i banknotów stupezetowych.

– No, wygląda na uczonego profesora uniwersytetu – wymamrotałam z pewną satysfakcją. Wojkow zdawał się mnie przybliżać do medalionu.

Chociaż może chodziło tylko o życzenie. Fakt, że ten Rosjanin brał udział w katalogowaniu klejnotów Romanowów, okazywał się nieistotny, jeśli katalog z 1924 roku zniknął i nie było sposobu na to, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście medalion widniał na jednej z zamieszczonych w nim fotografii. A jeśli ten nieszczęsny medalion nigdy się nie pojawił w tym katalogu? Jeśli to była zwykła plotka? Potrzebowałam więcej danych, więcej elementów do tej układanki; te, które dotychczas zebrałam, wcale do siebie nie pasowały. Bo jeśli Wojkow pilnował medalionu, dlaczego zamordował go, żeby rzekomo przejąć medalion, Hanke przesłuchiwał Alfreda Bauera i aresztował Corneliusa Althanna? Może Wojkow nie był właściwym tropem; a może był nim Althann.

– Przejrzyj dokładnie wszystkie dokumenty, które ci przysłaliśmy – Irina wyrwała mnie z rozmyślań. – Wiesz przecież, że czasem najcenniejsza wskazówka znajduje się w najmniej spodziewanej informacji. Raport ze śledztwa, które prowadził komisarz, zanim Wojkowa wybrano na eksperta, był dość wyczerpujący. Mówi się nawet o jego przodkach, bo należał do niemieckiej rodziny znad Bałtyku, a wtedy bardzo się obawiano Niemców bałtyckich ze względu na ich związki z cesarskim reżimem.

– Kim byli Niemcy bałtyccy?

– Jak wskazuje ich nazwa, była to mniejszość niemiecka zamieszkująca głównie tereny Estonii i Łotwy. I choć stanowili mniejszość, zdobyli silną pozycję i mieli duże wpływy. W Imperium Rosyjskim tworzyli swego rodzaju elitę ekonomiczną i kulturalną. Nie mało było wśród nich takich, którym carowie przyznali tytuły szlacheckie. W sumie rodzina Wojków osiadła w Rydze w wieku XVII; wtedy ich nazwisko brzmiało Voiken. To dziadek Fiodora postanowił je zruszczyć. Cóż, może to nic nie znaczyć, a może właśnie tak. – Irina się zaśmiała.

– Opowiedz jej o dziewczynie, Irina – przypomniał Anton. – Jesteś strasznie roztrzępana i w końcu o tym zapomnisz.

– Ach, tak, oczywiście, to jest interesująca sprawa. Z tego, co udało nam się ustalić, Wojkow nie miał dzieci. Znaleźliśmy jednak dokument, według którego w 1938 roku dostał pod opiekę dziewczynkę z Hiszpanii.

– Z Hiszpanii? – Nie mogłam ukryć zaskoczenia.

Irina poprawiła okulary i zaraz przeczytała dokument, który miała przed sobą:

– Tak: Katia María A...ria...ha. Arriaha. Ariga... – próbowała wymówić nazwisko.

– Arriaga?

– Tak. Arriaga.

– Katia nie wydaje się typowym hiszpańskim imieniem, a już na pewno nie w tamtym okresie.

Irina wzruszyła ramionami.

– Tak... Cóż... Możemy jeszcze w tym pogrzebać. Poszukać informacji o tej dziewczynie.

– Tak, byłoby dobrze.

– Czy ja mogę już mówić? Mogę opowiedzieć swoje rzeczy? – domagał się Anton.

– Stary piernik... Oczywiście, że możesz. Prawda, Ano, że może?

– Nie mogę się doczekać. – Uśmiechnęłam się.

Anton zajął teraz cały ekran, bezpardonowo odsuwając Irinę na bok. Oboje byli postawni, a że dodatkowo siedzieli za blisko kamery, nie łapali się w całości na pierwszy plan.

– Widzisz, może już to wiesz, ale w latach poprzedzających rewolucję październikową na dworze krążyła plotka o Ognistym Medalionie. To prawda, że wiedziało o nim niewielu, nawet o jego istnieniu, ale wtajemniczeni, masoni, których wtedy w Petersburgu też było niewielu, mówili, że medalion gdzieś wypłynął. Nie wiem za bardzo, skąd wzięła się ta plotka, to jeszcze

muszę przebadać. Do rosyjskiej masonerii należało kilku członków rodziny cesarskiej. Jednym z najważniejszych był wielki książę Aleksander Michajłowicz Romanow, który działał w masonerii mistycznej, spirytystycznej, różokrzyżowej i alchemicznej. Wielki książę był ożeniony z księżniczką Ksenią, siostrą cara Mikołaja II, i był teściem księcia Feliksa Jusupowa, też masona. Jak pewnie pamiętasz, Jusupow zorganizował w swoim pałacu w Petersburgu zamach na Rasputina; brali w nim udział także inni członkowie rosyjskiej arystokracji, a podobno nawet brytyjskiej masonerii. Cóż, w dzienniku Władimira Puriszkiewicza, jednego ze spiskowców obecnych przy śmierci Rasputina, znalazłem notkę, w której wyraża on swoje podejrzenia, że ten szalony mnich tuż przed śmiercią, przeczuwając swój los, mógł wręczyć medalion carowej Aleksandrze. Teraz pytanie brzmi: czy tylko powody polityczne pchnęły tę grupę masonów do skończenia z Rasputinem?

– Chcesz powiedzieć, że oni myśleli, że Rasputin ma Ognisty Medalion, i zabili go, żeby mu go odebrać?

– Hmm, biorąc pod uwagę to, że Rasputin był również niewygodnym elementem, tak: upiekliby dwie pieczenie na jednym ogniu. Spróbowali go otruć, strzelali do niego kilka razy i wrzucili go do lodowatej rzeki, i dopiero wtedy umarł, ale cóż... To już inna historia. Rzecz w tym, o czym świadczy notatka z dziennika Puriszkiewicza.

– Że nie zdobyli medalionu. – Staralam się uporządkować myśli.

– Nie, bo miała go carowa. Albo tak twierdzi Puriszkiewicz.

– To by wyjaśniało, dlaczego mógł się pojawić na zdjęciu w katalogu cesarskich klejnotów – rzuciłam, zastanawiając się nad tą nową informacją.

– Tak, ale przypominam wam, że nie mamy dowodów na istnienie tej fotografii – podkreśliła Irina.

– Zgoda. W takim razie założmy tylko, że ostatnią osobą, która posiadała medalion, była carowa. Co się z nim stało po jej śmierci? Znajac nieszczęścia, przez jakie przeszła rodzina cesarska, zanim ją stracono, zwyczajnie mógł zostać zgubiony w lesie na Uralu.

Irina wzruszyła ramionami.

– Wszystko jest możliwe, dopóki nie ma na nic dowodów.

– Żeby dowiedzieć się, co się stało z medalionem po śmierci Rasputina, a potem Aleksandry Fiodorowny, powinnaś przebadac Grigorija Nikulina – zasugerował Anton.

– Grigorija Nikulina?

– To jeden z tych, którzy przeprowadzili egzekucję rodziny cesarskiej – wyjaśnił. – I co najważniejsze, to on miał za zadanie zebrać wszystkie rzeczy, między innymi klejnoty i inne przedmioty wartościowe, i zawieźć je z Jekaterynburga do Moskwy. Daj mi kilka dni, mam kontakt w Moskwie, który może zdoła nam pomóc.

Kolejne nazwisko do listy. Nie dziwiło mnie to. Nauczyłam się już, że śledztwa często przybierają kształt rombu: jego linie wychodzą z jednego punktu, idą w różnych kierunkach i kiedy ci się wydaje, że donikąd nie prowadzą, tylko oddalają się od początku, nagle zaczynają się schodzić, aż stykają się w innym punkcie. Ja znajdowałam się w miejscu, w którym linie się rozgałęziają, nie prowadząc pozornie do wspólnego punktu, i wydawało mi się, że wszystko tylko oddala mnie od Petera Hankego.

Pożegnawszy się z Antonem i Iriną, uporządkowałam trochę notatki i postanowiłam zadzwonić do Martina, żeby powiadomić go o nowych odkryciach. Rozległ się zaledwie jeden sygnał.

– Ana! Co za przypadek! Właśnie wziąłem telefon do ręki, żeby do ciebie zadzwonić.

– Jego głos brzmiał radośnie, zupełnie inaczej niż kilka dni wcześniej, gdy Martin wychodził ode

mnie smutny i przybity.

– Bo jesteś w Madrycie – zasugerowałam trochę mniej entuzjastycznie, zawsze z trudem mi przychodziło odobrażanie się. – Rozmawiałam z Jegorowami. Jeśli tu jesteś, możemy się spotkać w biurze i przekażę ci nowości.

– Nie, nie jestem w Madrycie. Ale słuchaj, zapomnij na chwilę o pracy. Myślisz, że mogłabyś przylecieć w piątek do Berlina? Mam dla ciebie niespodziankę.



KWIECIEŃ 1945

Armia Czerwona była jedyną, która dopuściła kobiety do walki na linii frontu. Początkowo dowódcy niechętnie na nie patrzyli, więc kiedy po ataku Niemiec na Związek Radziecki w 1941 wiele młodych kobiet zgłosiło się na ochotnika, zostały odrzucone. Jednak w miarę rozwijania się działań wojennych i dziesiątkowania wojska postanowiono ustąpić wobec żądań kobiet, które pragnęły walczyć. Blisko milion kobiet służyło jako pilotki, strzelczynie wyborowe, artylerzystki, załogantki czołgów, partyzantki, lekarki, sanitariuszki i na stanowiskach pomocniczych, od kuchni do komunikacji. Do końca wojny dwieście tysięcy żołnierek zostało odznaczonych, w tym osiemdziesiąt dziewięć otrzymało tytuł Bohatera Związku Radzieckiego, najwyższe odznaczenie, jakie przyznawano w tym kraju.

Katia walczyła od ponad roku, od ponad roku nie odkładała karabinu. Miała pięćdziesiąt trzy potwierdzone śmierci. Czołgała się po błocie, śniegu, skałach, po spękanej ziemi. Godzinami siedziała w ukryciu, schowana w najbardziej zdumiewających miejscach, z ciałem zdrętwiałym od bezruchu, bo nie mogła poruszyć ani jednym mięśniem, nie mogła nawet mrugnąć. Czekala przyczajona, aż jej zwierzyzna pojawi się w celowniku karabinu. Jej zwierzyzna, jakiś nazista. Jakiś wróg. Jakiś Niemiec. Jakaś istota ludzka. Która po kilku sekundach waliła się na ziemię, gdy ona pociągała za spust. Szybko. Czysto. I po następnego. I tak do pięćdziesięciu trzech.

Spała pod gołym niebem, w lesie, oparta plecami o drzewo, w osmolonych ruinach spichlerza, w norze, jak zwierzę, w ulewnym deszczu, w szronie albo na wietrze, w temperaturze czterdziestu stopni poniżej zera. Widziała swoich towarzyszy wysadzanych w powietrze, rozrywanych na strzępy, umierających na wiele różnych sposobów. Słyszała wokół siebie świst przelatujących kul i znosiła nawałnice wybuchów wyrzucających w górę ziemię, po której chodziła, i opadającą deszczem ziemię wraz z odłamkami.

Raz została ranna. W ramię, celnym strzałem. Poczula tylko mocne palenie. Szybkie. Czyste. Gorsza była rehabilitacja.

Przez ponad rok jej siła, upór i prawość były wystawiane na próbę. Była świadkiem największych okropności, najgorszych okrucieństw ze strony najdzikszych istot, z których uszło już człowieczeństwo. Czula strach, wściekłość, smutek, frustrację, gniew... Ledwie pamiętała jakieś przyjemne albo szlachetne doznania.

Ponad rok walki, ale nic nie przypominało tych ostatnich dni w Berlinie. Ulica po ulicy, budynek za budynkiem, mieszkanie po mieszkaniu w klaustrofobicznym polowaniu, twarzą w twarz z wypełniającym samobójczą misję wrogiem. Zasady walki, wszystko, czego kiedykolwiek ją nauczono na temat rzekomej sztuki wojny, przestało mieć jakikolwiek sens – teraz dominowały szczęście, przypadek i improwizacja. To wykańczało ją nerwowo, czula się wyczerpana.

– Co się stało? – zainteresowała się Julia, zaszywając jej ranę na skroni.

Zagadywała Katię, żeby ją rozluźnić, bo za całe znieczulenie posłużył łyk wódki, której ona nie znosiła. Julia przeżyła już zbyt wiele bitew; tak naprawdę wcale nie miała ochoty słuchać o kolejnej.

Katia zamknęła oczy i pohamowała jęknięcie, zaciskając zęby, gdy poczuła, jak igła przebija skórę. Pierwsze ukłucie zawsze jest najgorsze, potem cała okolica rany wydaje się zdrętwiała z bólu.

– Właśnie mieliśmy zająć ulicę. Przeszła już artyleria i grupy szturmowe zdławiły ostatnie

ogniska oporu; pojawiały się jeszcze serie z jednego budynku, ale zostały uciszone. Mieliśmy tylko zabezpieczyć teren. Było nas sześcioro. Podzieliliśmy się na dwójki. Odnosiło się wrażenie, że jest spokojnie. Wyglądało na to, że Niemcy uciekli. Nie było nawet nikogo w piwnicach; tylko trochę cywilów, którzy bali się wystawić nos na zewnątrz. Wtedy Antonow i ja postanowiliśmy wejść do budynku na końcu ulicy. Wybraliśmy drogę przez zakład szewski. Wydawało mi się, że usłyszałam skrzypnięcie, poruszenie gruzów... Naszło mnie złe przeczucie. Powiedziałam Antonowowi, żeby się ukrył. Nagle rozległy się strzały. Nie wiem, dziesięć, piętnaście sekund... Rzuciłam się na ziemię za kupę cegieł. Kilka pocisków uderzyło obok. Przypuszczam, że raniły mnie odpryski. Chciałam odpowiedzieć ogniem, ale nie mogłam się wychylić. Widziałam, że Antonow upadł. Nagle zaległa cisza. Chwyciłam granat, wyjęłam zawleczkę i zerwałam się na nogi, żeby go rzucić. I wyobraź sobie, Julia, że go zobaczyłam. Stał za ladą z karabinem, zaledwie dziecko! Rzuciłam granat w jego stronę. Po eksplozji dalej tam był, sparaliżowany, w szoku. Trząsł się i płakał. Miał najwyżej dwanaście, może trzynaście lat. Łzy płynęły mu po twarzy zasypanej ceglany pyłem, jego ciało ginęło w płaszczu o kilka numerów za dużym... Powiedzieli mu, że jest żołnierzem. Żołnierzem... – Zaśmiała się gorzko. – W tamtej chwili przyszli pozostali. Iwan rzucił się na chłopaka, w ataku wściekłości gotowy zastrzelić go jak psa. Antonow był jego przyjacielem, niemal bratem... Ale nie mogłam pozwolić, żeby to zrobił, Julio! Dzieciak był przerażony; jego towarzysze, dzieciaki jak on, leżeli zabici koło niego, a on złapał za karabin i w panice opróżnił magazynek. Gówniana wojna... Czy oni nie mają zamiaru nigdy się poddać? Wysyłają dzieci na śmierć! Co to za szaleństwo!

Julia skończyła bandażować głowę Katii i pocałowała ją w czoło. Potem usiadła obok i poczęstowała ją następnym łykiem wódki, ale Katia odmówiła. Było słychać akordeon, rzewną melodię towarzyszącą odpoczywającym po walce. Niektórzy palili, inni pili, rozmawiali, jeszcze inni pisali do domu, jakaś grupka piekła mięso na ognisku rozpalonym w beczce. Smutek i apatia wisiąły w powietrzu. Wojsko było wyczerpane.

Katia wsparła głowę na ramieniu Julii. Jej przyjaciółka, jej siostra. Obie zgłosiły się na ochotnika niemal w tym samym momencie i większość wojny spędziły razem, w tej samej jednostce. Julia była sanitariuszką, zawsze na pierwszej linii frontu. Szła na pole bitwy i czołgając się w krzyżowym ogniu, opatrywała rannych i przenosiła ich do punktów sanitarnych. Ta raczej drobna dziewczyna zarzucała sobie na plecy chłopów dwa razy większych od siebie, nieruchomych, a kule świszczały wokół i pociski ryły ziemię. Julia była bardzo dzielna.

Katia cieszyła się, że ma ją u boku. Julia Kotiakowa była jej jedyną pociechą, jej jedyną rodziną. Wszyscy Kotiakowowie tworzyli część jej historii. Tej, którą jako sierota układała sobie z kawałków historii innych ludzi.

Wszystko przyspieszyło w dniu śmierci wuja.

Oby mogła wyrzucić z głowy przekłete wspomnienie tego dnia, kiedy była dziewczynką z długim warkoczem, w plisowanej spódnicy, w pomarszczonych rajstopach, które czasem bywały podarte, bo rzucała się na ziemię, żeby złapać piłkę albo dlatego, że jeden chłopak brutalnie ją popychał, żeby tę piłkę jej odebrać. Ten chłopak, którego imienia już nie pamiętała, nigdy nie potrafił się targować, zawsze był tłumakiem.

Ileż to razy obiecywała wujowi, że nie będzie więcej grać w piłkę! Tyle samo, ile razy nie spełniła swojej obietnicy. Ale ona lubiła grać w piłkę! Cóż w tym było złego? Kto powiedział, że dziewczyny nie mogą grać w piłkę? Oczywiście ten, któremu przyszło to do głowy, bardzo się mylił. Ona sama była dowodem na to, że dziewczyny w piłkę grać mogą. Poza tym był Misza. Taki przystojny... I szarmancki: zawsze wybierał ją do swojej drużyny. Niemal na sam koniec, kiedy zostawali już tylko ona i chłopak, który kulał z powodu polio. Ale ją wybierał, to było najważniejsze. I odzywał się do niej. „Na bramkę, Wojkowa! Na bramkę!”... Pamiętała głos Miszy

z niebywałą ostrością. Jakby w tej właśnie chwili mówił jej to na ucho.

Może gdyby tamtego dnia nie została pograć w piłkę po lekcjach... Może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Pamiętała siebie biegnącą ulicami Leningradu, z kolką w boku, przewidującą już kaganiec, jakie usłyszy od wujka za spóźnienie. „Gdzie to się chodzi o tej porze, rozpalona i z potarganymi włosami? Uważasz, że to jest właściwe dla damy? Za moich czasów nigdy by nie pozwolono, żeby...”, powie i zatopi się w tysiącu swoich historii, opowiadanych już setki razy, o tym, jak to za jego młodości kobiety, delikatne jak wiosenne kwiaty, nie biegały, nie śmiały się głośno, nie ziewały, nie bywały zdyszane i czerwone na twarzy, a przede wszystkim chodziły uczesane.

Pamiętała, jak wbiega po schodach, recytując na głos jakieś usprawiedliwienie. „Przepraszam, wujku. Bo odprowadziłam Ksenię do domu po lekcjach i jej mama zaprosiła mnie na herbatę. Nie mogłam odmówić, żeby nie wyszło, że jestem źle wychowana, nie uważasz? I wiesz, że czas mija niepostrzeżenie, kiedy pije się herbatę”.

Może jej wujek Fiodor nie umarłby? A może spotkałby ją ten sam los co jego? Może teraz nie byłaby w płonącym mieście, z głową wspartą na brudnym, szorstkim mundurze Julii?

– Julio, jesteś moją siostrą.

– Jasne, że tak, siostrzyczko.

– Byłabyś nią, bez względu na to, co by się zdarzyło. I bez względu na to, co by się wydarzyło, byłybyśmy teraz tutaj. To przeznaczenie... Wszystkie drogi prowadzą prosto do niego.

Julia odsunęła się, żeby z wesołą miną spojrzeć Katii w twarz.

– Ale co ty opowiadasz? – Zaśmiała się. – Od tej rany coś ci się poprzestawiało w głowie. Napij się i odpocznij, siostrzyczko. Siostrzyczko – podkreśliła to słowo i znowu podała jej butelkę, ale przyjaciółka teraz też odmówiła.

Katia ponownie położyła głowę na ramieniu Julii i pogрузzyła się w rozmyślaniach.

Ostatni obraz, jaki zachowała z domu wujka Fiodora w Leningradzie, to chaos i nieporządek, obcych chodzących wśród porozbijanych znajomych przedmiotów, ponurych mężczyzn ze spuszczonego wzrokiem. Ona siedziała w kącie, oszołomiona – pustka w głowie i spojrzenie utkwione w sylwetce leżącej pod kocem, trupie jej wujka. Wszyscy byli tak zajęci swoją pracą, że chyba zapomnieli o dziecku.

Wtedy usłyszała, jak rozmawiają między sobą o opiece społecznej – mówili o niej, jakby jej tam nie było, jak o przedmiocie, którego trzeba się pozbyć. I ocknęła się: w żadnym razie nie wróci do sierocińca. Pchnięta impulsem, myślą bez zastanowienia, zerwała się i wybiegła na ulicę. Niczym ścigane zwierzę poszukała schronienia w jedynej norze, która przyszła jej do głowy.

Nocą pojawiła się w domu Kotiakowów. Antonina Michajłowna, miła i czuła, była nauczycielką historii w jej szkole. Była też matką Julii, jej najlepszej przyjaciółki, i Miszy, chłopaka od piłki nożnej, do którego Katia wdychała. Konstantin, ich ojciec, był inżynierem w jakiejś fabryce. Dobrze znała rodzinę, nawet spędziła z nimi jedne wakacje nad Bałtykiem, w ośrodku, który fabryka inżyniera Kotiakowa miała dla swoich robotników.

Katia rozpląkała się z nerwów, siedząc przy stole w kuchni Kotiakowów z kubkiem gorącego mleka, czując mdłości na samą myśl, że ma je wypić, i opowiadając Antoninie Michajłownie, co się wydarzyło. Kobieta przytuliła ją, otarła jej łzy, wyszeptwała kilka słów pocieszenia i położyła ją w sypialni Julii. Tej nocy Katia nie mogła zmrużyć oka i słuchała przez cienkie ściany rozmowy małżeństwa.

– Ona nie może z nami zostać, Nino. Czy może?

– To jeszcze dziecko. Właśnie straciła jedyne go krewnego. Gdyby coś takiego zdarzyło się naszej córce, chciałabym, żeby ktoś się nią zajął.

– Zapominasz, że mamy też syna? Nie jest już taka mała. Pomyślałaś o tym, ile oni mają lat? Są młodzi i... i... rozpaleni, Nino! Rozpaleni! To nieobyczajne...

– Nieobyczajnie jest zostawić ją na ulicy, Kostia. Nie ma o czym gadać. Wszystko będzie dobrze, kochany, zobaczysz.

Katia nie chciała być ciężarem dla Kotiakowów. Ta decyzja była tymczasowa, bo ona wiedziała, że powinna jak najszybciej pojechać do Berlina. Potrzebowała tylko dachu nad głową, a tymczasem nieustannie zastanawiała się, jak się dostać do Niemiec, jednocześnie godząc się ze swoją nową sytuacją i nową odpowiedzialnością. Teraz potrzebowała tylko przytulenia mamy. Potem będzie się zachowywać jak dorosła. Miało to być kilka tygodni, nie więcej. Inżynier Kotiakow mógł spać spokojnie.

Nie wiedziała wtedy, że Hitler miał pokrzyżować jej plany.

Stało się to 22 czerwca 1941 roku, w słoneczny dzień. Tamtej niedzieli niebo lśniło intensywnym błękitem i panowała przyjemna temperatura; był naprawdę piękny dzień. Rodzina przygotowywała się do wyjazdu na wakacje nad Bałtyk, dokąd mieli się udać nazajutrz. Katia i Julia pakowały walizkę i wybierały stroje, którymi miały zadawać szyku na plaży albo podczas wieczornych przechadzek. Julia zapewniła ją, że będzie tam wielu przystojnych chłopców, kadetów i oficerów marynarki, tak elegancko prezentujących się w mundurach. One muszą im dorównać.

Rodzina zjadła obiad razem, prowadząc ożywioną rozmowę na temat zbliżających się wakacji i emocjonującej podróży pociągiem. Po jedzeniu kobiety zmywały naczynia, Konstantin Kotiakow usiadł w swoim ulubionym fotelu w salonie, żeby poczytać gazetę, a Misza w tym czasie wybierał książki na podróż. W radiu rozbrzmiewała piosenka *Znowu spotkamy się we Lwowie, ukochana*, bardzo popularna tego lata. Katia nuciła ją sobie pod nosem.

Nagle piosenkę zastąpił marsz wojskowy i przemówił jakiś mężczyzna. Wszyscy rozpoznali głos komisarza spraw zagranicznych, Wiaczesława Mołotowa.

„Obywatelki i obywatele Związku Radzieckiego, rząd radziecki i jego przewodniczący towarzysz Stalin powierzyli mi przekazanie wam następującego ogłoszenia. O czwartej nad ranem bez wypowiedzenia wojny i bez przedstawienia wcześniejszych żądań wobec Związku Radzieckiego wojska niemieckie zaatakowały nasz kraj, przekroczyły nasze granice w różnych miejscach i zbombardowały Żytomierz, Kijów, Sewastopol, Kowno, jak również inne miasta. Atak ten nastąpił mimo obowiązującego paktu o nieagresji między Niemcami a Związkiem Radzieckim, którego zapisów Związek Radziecki zawsze skrupulatnie przestrzegał. Zostaliśmy zaatakowani, mimo że rząd niemiecki nie sformułował żadnej skargi na temat niewypełnienia zobowiązań ze strony Związku Radzieckiego. Sprawiedliwość jest po naszej stronie, wróg zostanie zmiażdżony. Zwyciężymy”.

Wybuchła wojna. Pierwsze, co Katii przyszło do głowy, to że nie będzie mogła pojechać do Berlina. Wpadła w panikę. Jednak zaraz rozplynęła się ona w powszechnej mieszance euforii i strachu. Ludzie biegali po ulicach z krzykiem: „Zaczęła się wojna!”. Konstantin Kotiakow zaczął wydawać instrukcje: trzeba iść do banku, do sklepu, do fabryki...

W następnych dniach w Leningradzie panował chaos. Banki szybko zamknęły swoje oddziały, więc ludzie zastawiali, co się dało, w lombardach, żeby zyskać gotówkę. Przed sklepami spożywczymi tworzyły się długie kolejki, chłopcy oblegali komendy uzupełnień, na ulicach zbierały się grupki zaniepokojonych mieszkańców. Znowu wojna. Co za tragedia dla narodu tak targanego konfliktami.

Rząd rozkazał przeniesienie wielu fabryk wraz z robotnikami z Leningradu na wschód, w bezpieczniejsze miejsce. Konstantin Kotiakow oświadczył rodzinie, że powinna spakować swoje rzeczy, bo będą opuszczać miasto. To oznaczało mały dramat: zostawić dom, wyruszyć w podróż do nowego, nieznanego miejsca... Wtedy nawet nie przypuszczali, że w ten sposób

unikną straszego głodu, który zaledwie kilka tygodni później dopadł mieszkańców miasta. Wojsko niemieckie bombardowało Leningrad, po czym go oblegało przez niemal trzy lata; zmarłych z głodu, od chorób i bomb liczono w tysiącach...

Kotiakowowie zamieszkali na wschodzie, na dacy w Gorodcu. I przez jakiś czas byli tam szczęśliwi. W tym domu na wsi, dalekim od wszystkiego, z prawdziwą rodziną, Katia czuła się jej częścią.

Wojna wydawała się wtedy nierealna, była słowami z gazet albo wiadomości radiowych. Toczyła się dość daleko od ich życia; dokładnie czterysta pięćdziesiąt jeden kilometrów dzielących Gorodiec od Moskwy, już zagrożonej przez Niemców, albo sześćdziesiąt dwa kilometry dzielące go od Gorkiego, gdzie pracował Konstantin Kotiakow i gdzie już spadały bomby Luftwaffe. Jednak taki stan nie mógł trwać zbyt długo. Katia wiedziała, że od wojny nie sposób uciec, niezliczone są bowiem sposoby, na jakie może ona zmienić życie ludzi.

„Zaciągnę się”, wyznał Misza z typową dla niego nonszalancją i bezkompromisowością, dokładnie w taki sam sposób, jakby jej powiedział, że idzie na ryby.

Misza i jego włosy w kolorze pszenicy czesanej wiatrem oraz błękitne oczy, zawsze przymknięte, jakby nieustannie coś kombinował. Radosny i zbuntowany, trochę chuligan; najprzyjajniejszy w szkole.

Jeszcze zanim zamieszkała z rodziną Kotiakowów, Katia zakochała się w Miszy. Nocami, próbując zasnąć, lubiła go sobie wyobrażać jako książkowego bohatera stawiającego czoło niebezpieczeństwom, żeby zasłużyć na jej miłość, którą w końcu wyznawał jej z pasją słowami, jakie – jeśli miała być szczerą – nigdy w życiu nie mogłyby wyjść z ust Miszy. Na początku niezręcznie jej było żyć z nim pod jednym dachem: czerwieniła się, gdy tylko na nią spojrział albo się do niej odezwał. Szybko jednak przyzwyczaiła się do jego obecności i postrzegała go coraz bardziej jak brata, jakby codzienność obalała mit. *Siestra*, tak ją nazywał.

– Nie wezmą cię. Masz dopiero siedemnaście lat – odpowiedziała.

– Skończę osiemnaście za trzy miesiące. Poza tym nie przyznam się. Sokołow tak zrobił i go wzięli. A Sokołow jest niższy ode mnie.

– Twoi rodzice na to nie pozwolą.

– Nie przyznam im się. Masz mnie za durnia?

Cóż więc mogła mu powiedzieć? „Nie, nie rób tego, nie idź do wojska. Nie pozwól, żeby wojna weszła do tego domu i wszystko nam odebrała. Nie pozwól, żeby sprawy się zmieniły. Pozwól mi być szczęśliwą jeszcze trochę”. Nie mogła tego zrobić. Tylko smutno spuściła głowę.

– Ale dotrzymasz tajemnicy, prawda?

Przytaknęła.

– A będziesz do mnie pisała? Powiedz, że będziesz do mnie pisała, jak będę na froncie, siostrzyczko.

Katia pohamowała łzy.

Jeszcze czasem płakała za Miszą. Tego dnia po pojmaniu chłopaka przebranego za nazistę zapłakała nad Miszą. On też był dzieckiem, kiedy wyruszył na wojnę, i jako dziecko pozostał w jej pamięci.

Katia wzięła w końcu butelkę z rąk Julii i pociągnęła długi łyk, który dobrze jej zrobił. Wódka przynosiła tylko gorzkie wspomnienia nocy, podczas której pili za wyjazd Miszy, i ostatniego pocałunku o smaku wódki.

– Wszystko minie, moja droga Katio. Wszystko minie – powtarzała jej Julia, jak zawsze, gdy była wstawiona.

Niebo nad Berlinem było zabarwione na czerwono, a czarny dym spowijał miasto.



LEDWIE SIĘ ZNAMY, HERR LOHSE

Wbita w imprezową sukienkę i na wysokich obcasach czułam się dziwnie. Jakby przebrana. Przebrana za siebie sprzed kilku lat, za kogoś, kogo trudno mi było rozpoznać po czasie minionym i pochowanym, ale to byłam ja. Dość to niepokojące.

Tę sukienkę haute couture podarował mi Konrad. Była niedobitkiem z mojej starej szafy, bo wszystkie pozostałe sukienki wieczorowe jak na galę wręczenia Oscarów wydałam. Ta, którą miałam na sobie, podobała mi się najbardziej; z tiulu w kolorze dymu, lśniącą i eteryczną, jak pajęczyna pokryta rosą, z kryształkami ponaszywanych wokół dużego dekoltu, sięgająca nad kostki, więc buty pozostawały odsłonięte; wyglądałam w niej jak baletnica. I żał mi było się jej pozbyć.

Martin o swojej niespodziance powiedział mi tylko tyle, żebym zabrała ze sobą suknię wieczorową; nie jestem wielką miłośniczką niespodzianek, wprawiają mnie w pewien niepokój, a wymagające sukni wieczorowej wzbudzają jeszcze większy niepokój. W każdym razie ucieszyłam się, że zachowałam tę relikwię przeszłości, bo w sytuacji niespodziewanego eleganckiego wieczoru, którym Martin chciał mnie udobruchać, wybawiła mnie z kłopotów. Jednak im dłużej przeglądałam się w lustrze windy berlińskiego hotelu, tym bardziej byłam przekonana, że kiedy ta noc się skończy, niczym Kopciuszek pozbędę się tej sukienki, dołączy ona do pozostałych – więcej nie będę jej nosić.

– Ej... no wyglądasz przepięknie – skomplementował mnie Martin, gdy spotkaliśmy się w hallu.

Uśmiechnęłam się kokieteryjnie. Cokolwiek by mówić, człowiek spędza przed lustrem godziny właśnie po to, żeby potem usłyszeć coś takiego.

– Cieszę się, że doceniasz wysiłek, skoro zmusiłeś mnie do odkurzenia tego zabytku. Nawet nie byłam pewna, czy jeszcze w nią wejdę. Poza tym chyba buty będą mnie obcierać.

– Trzeba kupić plasterki.

– Nawiasem mówiąc, ty też świetnie wyglądasz. – To była prawda, smoking dobrze na nim leżał, co nie każdemu się zdarza. Widziałam wielu mężczyzn, którzy w smokingu wyglądali jak w pancerzu. – I mogę się założyć, że buty nie będą cię obcierać.

– Bardzo się postaram, żeby obcierały. Solidarnie. I podzielimy się paczką plastrów. Idziesz? – Podał mi ramię. – Samochód na nas czeka.

– Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, na czym polega ta twoja niespodzianka? – upomniałam go, gdy szliśmy razem do wyjścia.

Odpowiedział mi zaledwie lekkim uśmiezkiem i delikatnie popchnął w pasie, żeby przepuścić mnie przodem przez obrotowe drzwi. Pod markizą nad wejściem do hotelu portier czekał na nas przy luksusowym czarnym mercedesie. Zatrzymałam się.

– Ledwie się znamy, Herr Lohse – udałam oburzenie, chociaż w sumie to nie wiem, czy nie upadłam na głowę. – Nie wsiadam z byle kim do mercedesa z przyciemnionymi szybami.

– Za późno, doktor García-Brest.

Kiedy rozpoczęła się druga wojna światowa, muzea Berlina postanowiły dobrze ukryć swoje najcenniejsze dzieła i przeniosły je do miejsc, które wtedy były uważane za najbezpieczniejsze w mieście: Flaktürme, trzech ogromnych wież, umocnionych i wyposażonych w działa przeciwlotnicze, stojących w strategicznych punktach: jedna w zoo w dzielnicy Tiergarten, druga w parku Friedrichshain i trzecia w parku Humboldthain.

Nie spodziewali się przemysłni kustosze muzealni w 1939 roku, że niedługo po zajęciu miasta przez Sowieców wieża z Friedrichshain ucierpi w wyniku poważnego pożaru 6 maja 1945 roku, po którym, już po zakończeniu wojny, nastąpiły jeszcze dwa 14 i 18 maja. Zanim ugaszono pożar, ogień strawił trzy piętra wypełnione obrazami i rzeźbami pochodzącymi z Kaiser-Friedrich-Museum. Ponad siedemset dzieł, między innymi niektóre z najcenniejszych arcydzieł europejskich, przepadło w płomieniach i w wyniku plądrowania. Te, które uniknęły ognia, skonfiskowała bowiem Armia Czerwona i przewieziono je do Związku Radzieckiego jako łup wojenny. Potem część po trochu zwracano, a reszta jest eksponowana w muzeach rosyjskich, na przykład w Ermitażu. Przynajmniej wiadomo, gdzie są. Najbardziej dramatyczne jest to, że czterysta trzydzieści dzieł zniknęło w 1945 roku i dalej nie wiadomo, gdzie się podziały; najprawdopodobniej zaginęły na zawsze.

No dobrze, niech to historyczne wprowadzenie posłuży za prolog do niespodzianki Martina. W czasie naszej krótkiej przejażdżki z hotelu na Wyspę Muzeów dowiedziałam się, że Bode-Museum – tak się teraz nazywa dawne Kaiser-Friedrich-Museum – zorganizowało wystawę wspominkową, będącą hołdem dla tej zaginionej sztuki. Wykorzystując fotografie z archiwum i przedwojenne katalogi, przygotowano reprodukcje, nawet naturalnej wielkości, najważniejszych zaginionych dzieł. Odtworzono utracone rzeźby albo wypełniono gipsem ubytki w tych uszkodzonych. Co więcej, niektóre reprodukcje oprawiono w oryginalne ramy, które – ironią losu – przetrwały w nienaruszonym stanie. Tematem wystawy był wpływ wojny na sztukę.

Tego wieczoru, zanim wystawa miała być otwarta dla publiczności, celebrowano z wielką pompą wernisaż, na który zostały zaproszone różne osobistości, przedstawiciele władz i eksperci oraz Lohse z osobą towarzyszącą, czyli ze mną.

Nie zastanawiałam się wówczas, z jakiego powodu Martin wystarał się o tak ekskluzywne zaproszenie, przeznaczone dla zaledwie kilkuset osób, wśród których od razu wypatrzyłam Angelę Merkel. Czas na refleksje miał przyjść później.

W tamtej chwili byłam zafascynowana, czułam się bardzo zaszczycona, nie mogę zaprzeczyć. Niemal się wzruszyłam, że Martin pomyślał właśnie o mnie, o tym, że mi się to spodoba i ostatecznie mnie z nim pojedna. Tak, podobało mi się. Bardzo. Zawsze zachwycały mnie spotkania za zamkniętymi drzwiami poświęcone sztuce. Nie z powodu elitarności, ale dlatego, że dla mnie odczuwanie przyjemności z obcowania ze sztuką ma wiele z intymności, a w zapelnionym muzeum trudno jest osiągnąć to połączenie, ten dialog twarzą w twarz z dziełem. Rozumiem – chociaż nie jestem pewna, czy go podzielam, bo w mojej opinii sztuka powinna znajdować się w zasięgu wszystkich ludzi – żar prywatnego kolekcjonerstwa: od chwili, kiedy kontemlowało się jakieś dzieło sztuki w samotności, już nic nie jest takie samo.

W trakcie drugiej wojny światowej budynek Bode-Museum został poważnie zniszczony, ale późniejsza odbudowa przywróciła cały splendor pięknemu pawilonowi w stylu neobarokowym, wzniesionemu w latach 1897–1904.

Po wyjściu z samochodu przy okupowanym przez prasę czerwonym dywanie poświęciłam minutkę na przyjrzenie się tej bryle o zaokrąglonych kształtach, zwieńczonej pokrytą miedzianą kopułą, która wyłaniała się nad Szprewą i oświetlona nocą była jeszcze bardziej imponująca. Wnętrze okazało się tak zbytckowne, jak przewidywałam. Szerokie rozświetlone przestrzenie, bogato zdobione marmurem, stiukami, kolumnami i niesamowitymi schodami we włoskim stylu. Luksusowe wnętrza na przyjęcie muzealnych skarbów w większości eksponowało sztukę bizantyjską.

W tak zwanej Grosse Kuppelhalle, pachnącej drogimi perfumami i ozdobionej wielkimi

bukietami lilii, podawano koktajl powitalny, po którym zgodnie z programem miał nastąpić odczyt dyrektora wystawy. A potem miało się rozpocząć grupowe zwiedzanie.

Jednak, jak szybko się przekonałam, Martin miał inne plany.

Gdy tylko weszliśmy do sali, nawiązał rozmowę z kilkoma osobami, chyba dobrze mu znanymi. Trywialna pogawędka, typowa dla takich spotkań. Próbował mnie w nią wciągnąć, przedstawiając każdemu rozmówcy, tyle że mój niemiecki zawsze był słabiutki, więc nie za wiele sobie pogadałam. Nie przyznałam się, że znam inne języki, żeby nie musieć rozmawiać; wolałam trzymać się na drugim planie. Po jakimś czasie, pod pretekstem, że chcemy się czegoś napić, skierowaliśmy się do baru. Wtedy nachylił się i szepnął mi do ucha coś, czego się nie spodziewałam:

– Chodźmy, zanim zaczniesz się odczyt.

– Wychodzimy? Ale dopiero co przyszedliśmy.

– Nie mam na myśli wyjścia stąd. – Uśmiechnął się rozbawiony, widząc zdziwienie na mojej twarzy. – Chodź ze mną – stwierdził, biorąc mnie pod rękę, aby wyminąć grupki popijających szampana mężczyzn w garniturach i wyglądających na snobki pań.

Na końcu sali zatrzymał nas jakiś gość ze słuchawkami, wyglądający na ochroniarza, ale zobaczywszy przepustkę okazaną przez Martina, szybko nas puścił. Zbita z tropu podreptałam za Martinem po schodach i korytarzach. Zdaje się, że protestowałam przez całą drogę.

– Nie lubisz niespodzianek, prawda? – podsumował.

– Nie. – Stałam pośrodku schodów na drugim piętrze. – Niepokoją mnie. – Chciałam, żeby wyglądało to na żart, ale chyba mi się nie udało.

– No to nie masz powodu do niepokoju. Jeśli zobaczysz, że coś zagraża twojej fizycznej integralności, krzycz. Tu jest wszędzie pełno strażników. Idziemy?

W końcu gnana ciekawością poszłam za nim w górę.

Przed nami ukazało się wejście do sal wystawowych: drewniane przeszklone drzwi dwuskrzydłowe, zamknięte i strzeżone przez dwóch strażników. Znowu Martin użył tajemniczej przepustki, żeby drzwi się otworzyły, jakby był Ali Babą u furtki jaskini czterdziestu rozbójników.

– Dobra, wyjaśnij mi wreszcie, o co chodzi? Dlaczego pozwalają ci przechodzić przez te wszystkie drzwi?

– Za dużo pytań.

– Są tylko dwa.

– Moje brzmi: czy chcesz obejrzeć wystawę sama, no dobrze, ze mną, zanim zejdziesz tu wszyscy?

W odpowiedzi uśmiechnęłam się jak łakomczuszka na widok góry łakoci.

– Dobrze. W takim razie proszę przodem, pani niecierpliwa – zaprosił mnie.

Pomieszczenie spowijała cisza, ledwie docierał tu szmer rozmów z bankietu. Oświetlenie było dyskretne, intymne, oddawało główną rolę dziełom. Odnosiłam wrażenie, że znalazłam się w innym wymiarze, kiedy spacerowaliśmy po kolejnych salach, rozkoszując się wystawą. Rzeźby z resztką sadzy i gipsowymi łatanami przeplatały się z czarno-białymi reprodukcjami utraconych obrazów, zawieszonymi na niebieskiej ścianie, ułożonymi w taki sam sposób, jak kiedyś wisiały ich oryginały. *Wskrzeszenie Łazarza, Maria Magdalena, Koronacja Matki Boskiej, Diana łowczyni...* Rubens, van Dyck, Veronese, Caravaggio... Całe muzeum mogłoby się wypełnić dziełami, które utracono w 1945 roku.

Zatrzymałam się na dłuższą chwilę przed *Świętym Mateuszem i aniołem* Caravaggia. Nawet ta czarno-biała reprodukcja pozwalała dostrzec piękno obrazu: delikatność anioła i jednocześnie jego władczość, gdy prowadzi rękę Mateusza, kiedy ten spisuje Ewangelię, siłę świętego i jego bezbronność, tekstury, potraktowanie światła... Dostałam gęsiej skórki. Obejrzenie tych

dzieł wprawiło mnie w smutek pomieszany z uczuciem niemocy.

Coś takiego zdarzało mi się za każdym razem, kiedy odwiedzałam Berlin i próbowałam sobie wyobrazić pełne splendoru miasto sprzed wojny, i rzucałam się na poszukiwanie śladów przeszłości, nie tylko jego najbardziej chwalebnych czasów, ale też tych najsmutniejszych, bo historii nie sposób zrozumieć bez jednego i drugiego. Jednak te ślady zostały wymazane albo rozproszone, albo zniszczone przez fanatyzmy. Sztuka i historia, bez względu na to, czy się nam podobają, są wyrazem jakiejś epoki, naszą najcenniejszą spuścizną, tym, co nas doprowadziło do miejsca, w którym jesteśmy; są dziedzictwem ludzkości i nikt nie ma prawa ich kształtować według swojego widzimisię. Jak mnie wkurzało, kiedy ktoś próbował to robić. Berlin potrafił się wymyślić na nowo, ale ja nie mogłam przestać myśleć o tym, jaki był kiedyś, o tym, co zostało zniszczone przez bomby, płomienie, nietolerancję i ludzką brutalność. Wszystko to przepadło na zawsze i historia została nieuchronnie okaleczona.

– Jak ładnie i jak smutno – podsumowałam swoje wrażenia na głos ze wzrokiem utkwionym w obraz.

– Ta wystawa to krzyk, żeby chronić to, co mamy. Żeby nic takiego znowu się nie wydarzyło.

– Chciałabym myśleć, że to jest możliwe – powiedziałam nie za bardzo przekonana.

– Uśmiechnij się. Najlepsze zostawiłem na koniec. Sama zobaczysz, że ciągle jest nadzieja.

– Jest coś jeszcze?

– Dokładnie tutaj. – Wskazał mi zakręt.

We wnęce za rogiem otwierała się niewielka, pogrążona w mroku sala. Wystarczyło przejść przez próg, by znaleźć się przed wiszącym na ścianie samotnym płótnem. Natychmiast rozpoznałam styl holenderskiego malarza Jacoba van Ruysdaela. Nie jestem znawczynią malarstwa holenderskiego, ale uwielbiam pejzaże Ruysdaela, są jak spacer w świecie baśni, ale mają przy tym siłę swojego nieba zasnutego szarymi chmurami i wiatru, który wpada w sceneryę, wygina drzewa i wznosi wody. Ten, który miałam przed oczami, przedstawiał pejzaż morski. Chociaż holenderski artysta zostawił po sobie sporo dzieł, w jego portfolio jest zaledwie trzydzieści obrazów marynistycznych i jeden z nich prawdopodobnie spłonął w pożarze Friedrichshain.

Słyszałam swoje kroki, gdy powoli zbliżałam się do obrazu. Światło miękko na niego padało, pozostawiając resztę sali w ciemności. Łódź w sztormie otoczona przez rozszalałą naturę: szare niebo, postrzępione morze, ten wiatr, który można było poczuć na skórze. Zarys portu w oddali; schronienie dla tej tonącej łódeczki. Niemal można było usłyszeć szum fal i deszcz, grzmoty pośród chmur.

– To oryginał – wyszeptalam wzruszona, oczywiście z gęsią skórką. Nie chciałam pytać, nie chciałam dopuścić przeczącej odpowiedzi.

– To oryginał – powtórzył Martin i wydało mi się, że w jego głosie też słyszę wzruszenie. Odwróciłam się: rzeczywiście tak było.

Stałam obok mnie i razem przyglądaliśmy się obrazowi w milczeniu. Mój smutek się rozplynął i nagle poczułam swego rodzaju wewnętrzny spokój.

– Jak? – zapytałam.

– W sierpniu czterdziestego piątego jakiś amerykański żołnierz kupił go na pchlim targu w Poczdamie. Człowiek ten zmarł kilka lat temu i spadkobiercy chcieli obraz wystawić na aukcję, ale gdy to zrobili, wszczęto alarm. W Sotheby's sprawdzili, że znajduje się w bazie dzieł zaginionych. Ostatecznie rodzina zwróciła go Bode. To wielka niespodzianka dzisiejszego sportkania.

– A więc to prawda. Ciągle jest nadzieja.

Martin uśmiechnął się.

– Tak, jest nadzieja. Wydaje mi się nieprawdopodobne, że ty w to wątpisz.

Chciałam mu odpowiedzieć, kiedy usłyszeliśmy zbliżające się kroki i głosy. Jakbyśmy nagle wrócili do świata zwykłych śmiertelników. Martin wyjrzał na zewnątrz.

– To dyrektor muzeum i dwóch kustoszy. Pewnie robią ostatni obchód przed wpuszczeniem gości.

Mówiąc to, pociągnął mnie za rękę i poprowadził za kolumnę w niemal kompletną ciemność.

– Co się dzieje? Dlaczego się chowamy? Nie powinniśmy tu być?

Martin delikatnie mnie uciszył. Mimo moich obaw wydawał się rozbawiony.

– Nie chce mi się tłumaczyć. Komuś mogłoby się nie spodobać, że zobaczyłaś obraz przed Angelą Merkel.

– Ale...

Położył mi rękę na ustach i przycisnął mnie swoim ciałem do kolumny, w ten sposób też schodząc ze światła. Już tu byli, słyszałam, jak szwargoczą.

Na samą myśl, że mogli nas nakryć w tak żenującej sytuacji, zaczęłam się śmiać; cichutko, jak ten pies z kreskówek. Martin dawał mi znaki rękami, żebym się pohamowała, ale sam zaraził się ode mnie. Na szczęście bardzo poważni panowie z muzeum, którzy padliby trupem na nasz widok, w końcu sobie poszli.

– Już ich nie ma – oświadczył Martin szeptem.

A jednak się nie poruszył. Ciągłe się do mnie przyciskał; czułam gorąco, materiał smokingu pieścił moje nagie ramiona, a przyspieszony oddech Martina gładził mi skórę. Jego szyja pachniała perfumami z bergamotką i drzewną nutą.

– To żalosne. Zachowujemy się jak dzieci. Gdyby nas nakryli, najedlibyśmy się wstydu.

– Ja też szeptałam, chociaż już nie mogli nas usłyszeć.

Martin spojrzał na mnie rozbawiony. Jego niebieskie oczy, otoczone kobiecymi rzęsami, wpatrywały się w moje.

– Nigdy nie robiłaś takich psikusów, Ano Garcio-Brest? Zawsze byłaś grzeczną dziewczynką?

Nie odwróciłam wzroku, mój oddech przyspieszył.

– Bardzo grzeczną.

– Lubię grzeczne dziewczynki.

I przypieczętował moją odpowiedź pocałunkiem. Czując, że mu się nie opieram, a raczej wręcz przeciwnie, objął mnie i przyciągnął jeszcze bliżej. Jego przedłużający się pocałunek roztopił mnie, jakbym była z masła.

Kiedy po chwili odsunął się ode mnie, żeby zaczerpnąć powietrza, w jego spojrzeniu dostrzegłam czułość i pożądanie. Pieszczotliwie odsunął mi kosmyk włosów z twarzy. To spojrzenie i ten gest poruszyły mnie do głębi i zapragnęłam go z intensywnością, od której aż zatrzępotały mi motyle w brzuchu. Przytuliłam policzek do jego dłoni.

– Nigdy nikt mnie nie pocałował w muzeum – wyszeptałam upojona, jakby podłoga zapadła mi się pod stopami.

– I jak?

Odpowiedziałam pocałunkiem, gorącym i namiętym. Moje ciało pragnęło jego dotyku. A on najwyraźniej czuł to samo...

– Wróćmy do hotelu – zasugerowałam, z ustami na jego ustach.



ZAWSZE PRAWDA, MARTINIE

Nie znalazłam żadnego rozsądnego wyjaśnienia tego, co zaszło. I szczerze mówiąc, za bardzo go nie poszukiwałam. Marin wziął mnie z zaskoczenia, mnie!, która wiecznie wszystko analizuje, żeby nie zostać zaskoczona. Ale nie przejęłam się tym. Zwyczajnie dałam się ponieść. Może nauczyłam się wreszcie, że życie trzeba tylko przeżyć.

Kto wie, czy kiedy pozbędę się tej sukienki, znowu stanę się osobą rozsądną, świadomą tego, że nie należy mieszać pracy z przyjemnością, bo to rzadko kończy się dobrze. A może nie powinnam się jej pozbywać... zastanawiałam się, patrząc na nią, leżącą przy łóżku – tiul w kolorze dymu rozwleczony na wykładzinie, tak jak opadła, zsuwając się z mojego ciała, gdy Martin mnie rozbierał. Od tak dawna nikt nie dzielił ze mną łóżka, od tak dawna nikt nie mówił do mnie tak, jak Martin tej nocy, od tak dawna nikt nie przebiegał ustami i palcami po mojej skórze... Jeśli ta sukienka ponosiła za to winę, nie powinnam się jej pozbywać. Chociaż może to nie ona...

Uniosłam głowę, żeby pocałować mu bliznę pod brodą. Pot naszych ciał wysechł i wtulałam się w jego pierś, myśląc o tym, że muszę wstać, żeby wyjąć szkła kontaktowe, a strasznie mi się nie chciało.

– Skąd ją masz?

– Chcesz, żebym ci opowiedział historię o jakichś zbirach, strzelaninie i pościgu po ulicach, czy chcesz prawdy?

– Prawdy. Zawsze prawda, Martinie.

– Obawiam się, że cię rozczaruję, a siebie upokorzę, ale niech tam. Miałem jakieś dziesięć lat, było lato i jeździłem na rowerze wokół domu. Niespełna miesiąc wcześniej para młodych wprowadziła się obok. Widziałem ich, jak przyszli się przedstawić mojej mamie. Ona była Frau Putsch... Och, Frau Putsch... Nie żeby była jakoś szczególnie piękna, ale to był kawał kobiety, z ciałem... Dobra, jeździłem sobie na rowerze, kiedy Frau Putsch wyszła do ogrodu się poopalać. Pozdrowiła mnie, ja się odkłoniłem i zaraz potem ona ściągnęła górę bikini. Boże, nigdy nie widziałem nic tak... wielkiego! Oczy powędrowały mi prosto na jej cycki, a rower wjechał prosto w latarnię. Przeleciałem nad kierownicą i uderzyłem brodą w krawężnik. Pięć szwów i zdruzgotana duma.

– Och, biedniutki mały zboczuś – pożałowałam go, zaśmiewając się i szczypiąc go pod brodą. – Co jeszcze powinnam poznać z twojej ciemnej przeszłości? Powiesz mi teraz, że masz żonę, dzieci i psa?

– Nie, jestem singlem bez zobowiązań. Nie mam też dzieci, o ile wiem. Ani psa.

– Ale kiedyś byłeś zakochany.

– Kiedyś.

– I nie opowiesz mi o tym, już to widzę – zauważyłam nieco obrażona.

Martin westchnął i podparł się na poduszce.

– Dobrze. Zanim to wszystko źle się skończy, coś ci wyznam.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego z zainteresowaniem i oczekiwaniem. Boże, on naprawdę był bardzo atrakcyjny. W tamtej chwili jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej; teraz nie musiałam już odpychać od siebie tej myśli.

– Podobasz mi się, odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy. A widziałem tylko twoje zdjęcia, ale poddałem się, uwierz mi. Gdybym był nastolatkiem, powiesiłbym je sobie na ścianie.

Wyczułam lekką kpinę w jego głosie.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

– Nie, naprawdę! Byłem zafascynowany. I gdy cię objąłem... – Udał dreszcz i przytulił się, żeby spróbować ugryźć mnie w szyję.

Broniłam się, równocześnie się zaśmiewając.

– Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas fantazjowałeś o mnie? To jest trochę straszne – zażartowałam, kiedy udało mi się go powstrzymać.

– Straszne, dlaczego? Nie zamęczałem cię przecież. Nawet o mnie nie słyszałaś przez cały ten czas. Znosiłem tę swoją inklinację z godnością i w milczeniu. – Pocałował mnie w czubek nosa. – I byłem w stanie żyć bez ciebie, nie jestem obsesjonatem – usprawiedliwił się, głaszcząc mnie.

– W porządku. Ale teraz będziesz mnie musiał przekonać, że nie zatrudniłeś mnie tylko po to, żeby pójść ze mną do łóżka.

– Zatrudnienie ciebie nie było moim pomysłem.

Odsunęłam się od niego, żeby mógł zobaczyć moją podejrzliwą minę.

– A czym?

– Wiesz już, że w tej sprawie wykonuję tylko pracę w terenie.

Obrażona odsunęłam się na dobre. Zaczynałam mieć dosyć tego, że ciągle natrafiam na te same zamknięte drzwi i że Martin uznał za oczywiste, że wiem, co jest po ich drugiej stronie, podczas gdy nie miałam o tym zielonego pojęcia.

– Tak. Już wiem, że to oni: oni, oni, oni! Ale tak naprawdę, kim są ci oni? Co ja o nich wiem? – zgaśniłam go, odwracając się plecami.

– Jeśli tego nie wiesz, to dlatego, że nie chcesz. Żeby się dowiedzieć, musisz się zaangażować, a już wyraźnie pokazałaś, że angażować się nie chcesz.

Miał rację. Mimo to dalej byłam oburzona, bo żadna z możliwości, które mi proponowali, nie podobała mi się: chciałam wiedzieć i nie chciałam się angażować.

Martin przysunął się, z czułością odgarnął mi włosy i zaczął całować w kark.

– Nie chcę, żebyśmy się znowu kłócili. – Miał piękny głos, głęboki, ale nie zbyt poważny. Mówił po francusku z bardzo seksownym akcentem. Jego oddech przyprawiał mnie o gęsią skórkę. – Nienawidzę się z tobą kłócić. Nie obrażaj się na mnie, proszę...

– Już jestem obrażona. Chociaż tym razem nie na ciebie. A może powinnam obrazić się właśnie na ciebie.

– Nie, nie powinnaś być na mnie obrażona, wierz mi. W każdym razie nie podoba mi się myśl, że miałabyś skończyć tę noc obrażona. Nie tę noc.

„Życie trzeba przeżywać”, przypominałam sobie, czując jego pocałunki na ramionach, coraz bardziej podniecona. Jutro. Jutro będzie czas na pytania.

– Dobrze. Tej nocy nie – ustąpiłam z uśmiechem i nasze usta znowu się spotkały.

Jutro nadeszło zbyt szybko. Pojawiło się wraz z nowymi pytaniami. Lepiej by było, gdyby nie nadeszło. Martin za bardzo mi się podobał.

Obudziłam się z lekkiego snu w środku nocy. Martin spał obok, jedną ręką obejmował mnie w tali. Musiałam pójść do toalety, więc odsunęłam ją delikatnie. Ani drgnął, dalej oddychał spokojnie.

Sięgnęłam po jego koszulę leżącą na podłodze, żeby się okryć. Wróciłam zaspana do sypialni, gotowa skulić się w pościeli i przespać jeszcze kilka godzin. Dokładnie w chwili, kiedy usiadłam na łóżku, ekran mojego telefonu się rozjaśnił. Założyłam okulary i zobaczyłam, że nieznaną numer wysłał mi jakąś fotografię WhatsAppem. Nagle nieco bardziej rozbudzona dotknęłam ekranu kilka razy, żeby ją zobaczyć.

Był to obraz słabej jakości, wydawał się zrobiony przez teleobiektyw. Fotograf, znajdu-

jący się najwyraźniej dość daleko, uwiecznił dwie osoby spacerujące po ogrodzie jakiegoś dużego domu. Zdjęciu towarzyszyła wiadomość:

Pani kolega z Ilirem Baluku, szefem albańskiej mafii i jednym z największych handlarzy narkotyków na świecie. Czy pani wie, dla kogo naprawdę pracuje?

Powiększyłam zdjęcie. Czy jednym z tych gości mógł być Martin? Wykluczyłam grubego brodacza. Ale ten drugi... Miał na sobie wełnianą czapkę i okulary przeciwsłoneczne. Trudno go było rozpoznać. A jednak karnacja, profil, aryjski wygląd... Chciałabym temu zaprzeczyć, ale był za bardzo podobny do Martina.

Przeczytałam tekst jeszcze raz i przebiegł mnie dreszcz. Rzuciłam okiem przez ramię. Martin przewrócił się na swoją stronę łóżka i dalej spał. Martin...

W pierwszym odruchu chciałam rzucić się na tego, kto odważył się mi to wysłać. Ale może pomyliłam przeciwnika? Kusilo mnie, żeby potrząsnąć Martinem i zażądać od niego wyjaśnień.

Światło ekranu zgasło i siedząc nieruchomo na łóżku, stopniowo przyzwyczajałam oczy do ciemności. Byliśmy w niewielkim apartamencie z jedną sypialnią i salonem. Spojrzałam na szafę w głębi korytarza i ruszyłam w jej stronę, zamykając za sobą suwane drzwi. Włączyłam światło i otworzyłam szafę, w której wisiało zaledwie kilka ubrań i kilka następnym było złożonych na półeczce. Bez wielkich nadziei zabrałam się do sejfu, ale oczywiście był zamknięty, wcale nie czekał, aż przejrzę jego zawartość. Część dolną, z butami, zajmowała wielka czarna skórzana walizka. Chociaż też była zamknięta, zamek nie wydawał się zbyt mocny; przypuszczam, że Martinowi nie przyszło do głowy, że mogłabym grzebać w jego rzeczach. Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym wyłamać ten zamek, i wybrałam korkociąg z mini-baru. Ponieważ rzadko mi się zdarza włamywać do czegokolwiek, zajęło mi to trochę czasu i mocno się napociłam. Wreszcie mogłam zajrzeć do środka, podzielonego na dwie części. W jednej był mały neser, obok koszula, kilka par bokserów i skarpetek, wszystko porządnie złożone. Koszula miała monogram: JM. JM?

Bardzo ostrożnie sprawdziłam drugą część i najpierw wyciągnęłam z niej pistolet. Po wcześniejszych doświadczeniach nie zaskoczyło mnie, że Martin jest uzbrojony. Może to był problem, nie zastanowiłam się nad tym... Odłożyłam pistolet na bok i przetrząsnęłam resztę. Znalazłam tablet, który wydał mi się kompletnie bezużyteczny, skoro nie znałam hasła. Z jednej z wypchanych kieszeni wyciągnęłam portfel i paszport. Niemal odruchowo go otworzyłam i przeczytałam dane. Zaskoczenie było wielkie: według tego oficjalnego dokumentu mężczyzna z fotografii, Martin na pierwszy rzut oka, nazywał się Jörg Müller i urodził się w jakimś nieznanym mi mieście, w Hesji, Niemcy. Znowu przyjrzałam się fotografii, nie dowierzając, i stwierdziłam, że to zdjęcie bez wątplenia przedstawia mężczyznę śpiącego w pokoju obok, mężczyznę, z którym przed chwilą się kochałam. Mój niepokój rósł coraz bardziej, w miarę jak przeglądałam portfel: American Express Platinum, Visa Infinite, karta ubezpieczenia zdrowotnego, karta stałego klienta Lufthansy i następna – sieci Marriott, wszystkie na nazwisko Jörg Müller. Było tam też pięćset euro, bilet parkingowy i fotografia kobiety z dwójką dzieci, cała trójka blond i wszyscy szeroko uśmiechnięci.

„Nazywam się Martin Lohse. Jestem singlem bez zobowiązań. Nie mam też dzieci...” Najwyraźniej nie okłamał mnie tylko w tym, że nie ma psa.

W tamtej chwili już czułam piekący pot na skórze, niepokój i oburzenie. Tymczasem szafa miała dla mnie jeszcze inne niespodzianki. W głębi zobaczyłam pomarańczową kopertę, która pokazała się po wyciągnięciu walizki: bez znaczków, tylko z imieniem Martina zapisanym

odręcznie i z sekwencją numerów i liter w rogu; na szczęście była otwarta. Zawierała czerwcowy egzemplarz „US Weekly” z fotografią kilkorga znanych aktorów na okładce, pod soczystym tytułem; post-it wylaniał się pomiędzy stron. Chciałam to zignorować, cały czas zmartwiona tym, że bez hasła nie mogę dostać się do tabletu; jednak myśląc, że to nie jest raczej typ lektury Martina, od razu otworzyłam czasopismo na zaznaczonej stronie.

Skamieniałam, kiedy rzucił mi się w oczy Alain, mój Alain!, mój eks-Alain, w ramionach olśniewającej brunetki, z rodzaju tych olśniewających brunetek, które pojawiają się w „US Weekly”; opierała czule głowę na jego ramieniu.

Amber Kahn spotted with a mysterious new date at The Museum of Fine Arts, Boston, Summer Party.

Według nagłówka tą olśniewającą brunetką była Amber Kahn, która udała się na letnią imprezę w Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie z nowym tajemniczym chłopakiem (dla mnie nie tak tajemniczym). Z narastającą obawą przeczytałam artykuł, który zaczynał się od głośnego zerwania poprzedniej zimy, podczas sezonu w Aspen, związku Amber Kahn, córki magnata Salomona Kahna, z jej wówczas już od dwóch lat narzeczonym Davidem Feldmanem Jr., również synem magnata. Jednak wyglądało na to, że ta młoda kobieta odnalazła miłość w ramionach Alaina Arnoux, atrakcyjnego profesora Harvardu, Francuza, jak się zdaje, z którym była widziana już kilkakrotnie w jakiejś restauracji w Nowym Jorku, oboje bardzo wobec siebie czuli. „Amber ma za sobą ciężki okres. Cudownie jest widzieć ją znowu szczęśliwą. Razem tworzą piękną parę”, stwierdzało źródło zbliżone do dziedziczki.

Z każdym zdaniem tego słodkiego artykułu moje serce kołatało coraz mocniej, a piekący pot zaczynał oblewać mi całe ciało. Ostatecznie moja cierpliwość się wyczerpała.

Rzuciłam okiem na pistolet. Chciałabym mieć tę teatralną odwagę i chwycić za broń, pójść do sypialni i zmusić Martina, Jörga czy jak miał, kurwa, na imię ten, co tam spał, do wyznania mi wszystkiego, trzymając go na muszce. Ale ja taka nie byłam. Na Boga, nawet nie wiedziałam, jak sprawdzić, czy pistolet jest naładowany! W swoim DNA zwyczajnej kobiety nie miałam wdrukowanych czynów wielkiej bohaterki filmów akcji. W moim stylu było raczej zniknąć jak iluzjonistka w środku przedstawienia. I właśnie tak zrobiłam. Wstałam jak w transie i wyszłam stamtąd na paluszkach.



KWIECIEŃ 1945

Od 1940 roku Berlin był wielokrotnie bombardowany, a od 1943 roku naloty znacząco się wzmożyły. Na początku wojny alianci ograniczali się do niszczenia obiektów wojskowych i strategicznych, później jednak w celu osłabienia morale ludności postanowiono przeprowadzać naloty dywanowe na centra miast. W sumie Berlin ucierpiał w wyniku trzystu sześćdziesięciu trzech ataków, podczas których zrzucono na miasto ponad sześćdziesiąt siedem tysięcy ton bomb. Kompletnie zburzono szesnaście kilometrów kwadratowych miasta. Połowa budynków została uszkodzona i niemal jedna trzecia mieszkań nie nadawała się do użytku. A jednak liczba ofiar – zginęło między dwadzieścia a pięćdziesiąt tysięcy osób – była w zasadzie niewielka w porównaniu z innymi miastami, dzięki rozbudowanemu systemowi schronów i obrony przeciwlotniczej stolicy. I chociaż Berlin nigdy nie został sparaliżowany i berlińczycy starali się prowadzić w miarę normalne życie, nie oznaczało to, że społeczeństwo się nie boi, nie czuje napięcia i nie podupada na duchu, jak to ludzie, którzy muszą żyć w ciągłym zagrożeniu bombardowaniem.

Ramiro poczuł, że ktoś mu ociera pot z czoła. Otworzył oczy, ale w ciemności dostrzegł jedynie zamazane oblicze; nawet gdy zamrugał, twarz nie stała się bardziej wyraźna. Czy to ta kobieta? Był oszołomiony. Nie mógł myśleć.

Do jego uszu dotarł chrapliwy szmer. Było tam wielu ludzi. Ciągłe byli. Westchnienia. Pokasływanie. On też zakaszłał, bez sił. Wymamrotał kilka słów po hiszpańsku i dopiero po chwili dotarło do niego, że nikt go nie rozumie. Szukał czegoś, na czym mógłby skupić wzrok. Wokoło panowała ciemność. Poza tymi świetlistymi plamami. Fosforyzującą farbą.

Nagle przerażający łomot wstrząsnął ziemią i sufit zatrzęszczał, jakby się miał zawalić. Głuchy krzyk przebiegł przez pomieszczenie. Wydało mu się, że słyszy płacz dziecka. Oby udało mu się zasnąć, stracić świadomość z bólu. Zamknął oczy.

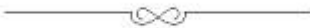
Jak długo tam był? Rano... Ile to dni już upłynęło? Nie mógł myśleć... Jakiś esesman zebrał ich, mierząc do nich z karabinu. Jego i innych zagranicznych robotników. Wysłali ich na zachód, na pozycje w okolicach dworca Lehrter. Rozkazano mu położyć się na ziemi za przewróconym wagonem kolejowym. Założono mu hełm i wręczono pancerfaust. „Jak się pojawi ruski czołg, strzelasz”, takie dostał instrukcje.

Czy wtedy to się wydarzyło? Wtulił się w ziemię. Wokół wrzała bitwa. Wybuchy, dym i ogień. Krzyki. Serce tłukło mu się w uszach. Słyszał tylko własny oddech. Zaczęły mu się trząść ręce. Nie byłby w stanie utrzymać w nich granatnika. I to łupanie w krzyżu, to chłostanie bólu, które rwało go od pleców aż do kostek. Ślina spływała mu do gardła i nie mógł jej przełknąć. Metaliczny zgrzyt gąsienic. Coraz bliższy. „Uwaga! Strzelać do czołgów!”

Nastąpił wybuch, poczuł go w piersi. Pozostali się rozbiegli. Jemu nogi odmówiły posłuszeństwa. Sparaliżowany od pasa w dół, próbował się czołgać, podpierając się na łokciach. Deszcz ziemi i gruzu zatrzymał jego mozolny ruch. A potem nic.

Kiedy się ocknął, leżał spowity dymem. W ustach miał posmak krwi i pyłu. Trudno mu było oddychać. Poczuł, że ktoś go bierze pod pachy i ciągnie po zrytej ziemi. Ból był nie do zniesienia. Znowu stracił przytomność.

Kto go przywłókł do tego schronu? Jakaś kobieta? Czasem słyszał kobiecego głos. Mówiła do niego na ucho. Czy to tylko sny? Musiał znowu zasnąć. Wrócić do snów.



Lament był nieustający; czasem jednostajny, czasem rozdzierający. Tak jak nieustanny był ryk artylerii, zupełnie jakby burza od wielu dni szalała nad ich głowami, grmiąc bez ustanku z niebywałą mocą.

Nie było ducha ani miejsca na panikę. Strach objawiał się w milczącym napięciu. W woskowo bladych twarzach rannych i chorych, wykrzywionych z bólu. W zmęczonych, ale zdecydowanych ruchach lekarzy i pielęgniarek.

Cuchnęło krwią. Intensywny metaliczny smród zaskoczył Erica, naukowca, który spędzał życie pośród schematów i doświadczeń laboratoryjnych. Nigdy nie pomyślał, że krew może aż tak śmierdzieć. Śmierdziało też sadzą i ceglanym pyłem, które wciskały się przez wszystkie szpary, nieustannie je przeżuwał i czuł, że zatykają mu podrażnione gardło.

Warunki w tym szpitalu, jak we wszystkich w stolicy, były żałosne. Dziesiątki koślawych łóżek pozsuwanych w piwnicach, dokąd musieli się przenieść z górnych pięter. Dynamo napędzane dwoma starymi rowerami dostarczało prąd do kilku bladych żarówek. Lekarze operowali bez narkozy i bez środków dezynfekujących, brakowało nawet wrzątku do sterylizacji instrumentów; pracowali na drewnianym stole, którego nie było czasu posprzątać między operacjami.

Sytuacja miała w sobie coś apokaliptycznego. Jednak Eric dziękował Bogu, że udało mu się odnaleźć syna pośród tego chaosu. Seb miał ranę głowy i złamaną rękę. Bomba trafiła dokładnie nad piwnicą, w której Ursula się z nim schroniła, i zawalił się sufit. Dziecko wydobyto z gruzów żywe.

Leżało teraz, takie drobne, na materacu w spokojniejszym kącie; obok swoje milczące towarzystwo ofiarowywał żołnierz z rozerwaną klatką piersiową i zabandażowaną głową. Dzięki Bogu dzieciak spał przez większość czasu. I chociaż Eric pragnął tylko siedzieć przy nim i głaszać go po czole albo trzymać za rękę, chciał też być użyteczny wobec ogromu tragedii. Dlatego czasem pomagał transportować nosze z nowo przybyłymi, podtrzymywać na duchu rannych, którym puszczały nerwy, otwierać konserwy. Próbował naprawić generator uszkodzony w ostatnim nalocie, ale bez narzędzi był to daremny trud. Tak czy inaczej starał się czymś zająć. Żeby za wiele nie myśleć, żeby nie oszaleć.

– Śpij ze mną, tato – prosił Seb, robiąc mu miejsce na poduszce. – Wojna szybko się skończy. Wszystko będzie dobrze.

Eric uśmiechał się, powstrzymując łzy. Słuchał jego słów, zaskakująco mądrych jak na takiego malucha, tak dorosłych, jakby wojna już odebrała mu dzieciństwo. I wtedy kładł głowę na poduszce obok głowy syna i delikatnie całował go w skroń. Czuł się tak szczęśliwy, że znowu jest blisko niego, miał tyle czasu do nadrobienia, że go to przerażało. Szczególnie przerażała go myśl, że znowu mógłby stracić Seba.

„Wszystko będzie dobrze”. „Wszystko będzie dobrze”? Berlin wpadnie w ręce Rosjan. Może już nazajutrz. Co się wtedy stanie? Gdyby odkryli, kim jest... Było mu obojętne, co się stanie z nim. Nie o siebie się bał. Ale gdyby rozdzielili jego i Seba... Nie mógł znieść myśli, że znowu ich rozdzieli. Tym razem nie, powtarzał sobie, z lękiem wtulając się w ciało dziecka. Tym razem nie.



ON JEST TERAZ TUTAJ, W PETERSBURGU

Przez większość podróży patrzyłam przez okno, próbując ogarnąć ostatnie wydarzenia, wszystkie po kolei, żeby się nimi nie zadławić. Nie mogłam skupić się na niczym.

Leciałam do Petersburga. Gdy wyszłam z apartamentu Martina, zadając sobie pytanie, czy dalej powinnam nazywać go Martinem, i schroniłam się w swoim pokoju, byłam gotowa krzyczeć i rzucać się na wszystko, co mnie otaczało, zaczynając od porwania na strzępy jego koszuli, którą ciągle miałam na sobie. I wtedy dostałam wiadomość od Iriny: „Muszę powiedzieć ci coś ważnego. Przyjedź do mnie do Petersburga”.

O mały włos bym jej odpowiedziała, żeby już nie zawracała sobie tym głowy, bo zostawiłam śledztwo. W tamtej chwili chciałam tylko wrócić do domu i upić się z Teo. Po krótkim zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że chwilowo najpilniejszą sprawą jest wyjazd z Berlina i znalezienie się poza zasięgiem Martina, więc Petersburg wydawał się równie dobry jak Madryt, a Irina może zechce się ze mną upić. Poza tym musiałam przyznać, że jej lakoniczna, przynagląca wiadomość rozbudziła moją ciekawość. Nie wiedziałam wtedy, że jej słowa nie odnosiły się wyłącznie do śledztwa i że sprawy za chwilę znacznie się skomplikują.

Miałam pięć nieodebranych połączeń od Martina i wiadomość nad WhatsAppie: „Mogę ci to wszystko wyjaśnić, ale nie przez telefon. Zadzwoń, proszę. Musimy się zobaczyć”.

Po przebudzeniu na pewno szybko się zorientowałam, że grzebałam w jego rzeczach, bo zostawiłam wyraźne ślady, i z łatwością się domyślił, z jakiego powodu tak nagle zniknęłam. Przerzątał mnie pomysł, że miałabym z nim rozmawiać: tłumaczenie się, zarzuty, usprawiedliwienia... Na co to komu? Wyjaśnić mi wszystko? Dobrnęliśmy do miejsca, w którym musi mi wszystko wyjaśniać? Ha! Wyjaśni mi to, co będzie chciał. Przecież znowu mógł mnie okłamać. Byłam strasznie wkurzona, na niego i na siebie, bo wyszłam na idiotkę – uwierzyłam komuś, kogo w zasadzie nie znałam i kto udowodnił, że nie można mu ufać. A ja zaufałam mu do tego stopnia, że poszłam z nim do łóżka! Za każdym razem, gdy o tym myślałam, miałam ochotę się biczować.

Ależ byłam wściekła! Kiedy jednak myślałam o poprzedniej nocy... ciągle czułam imperytynenckie trzepotanie w brzuchu. Kurwa, jak ja chciałam wyrzygać te głupie, wieśniackie motyle!

Musiałam zostawić śledztwo. Cholera! Dopiero co się zaczęło, a już miałam na jego punkcie bzika. Jak wędkarz, który zarzucił kilka wędek i nagle one zaczynają brać jedna za drugą; czy mogłam ich nie wyciągnąć z wody i nie dowiedzieć się, co jest na haczyku?

A jednak temat był za poważny, żeby podchodzić do niego na luzie. Ktoś został zamordowany. Rzekomy Martin zadawał się z mafiosami. „Czy pani wie, dla kogo naprawdę pracuje?” Ta anonimowa wiadomość była tak odrzucająca jak cała reszta, ale racja: po której ja byłam stronie? Po stronie dobrych czy złych?

„Poproszono mnie, żebym wziął udział w śledztwie”, taka była jego lakoniczna odpowiedź, kiedy zdziwiłam się, że ma zdjęcia z miejsca zbrodni, której ofiarą padł Giancarlo Bonatti. Czy to normalne, żeby policja udostępniała komukolwiek takie zdjęcia w trakcie dochodzenia? Do jakiego stopnia Martin był zamieszany w tę sprawę? Wiedziałam, że zabić to dla niego nie problem. Dlaczego mu zaufałam? Dlaczego w sumie cały czas chciałam mu ufać?

Te myśli sprawiały, że ciarki chodziły mi po plecach. Nie zamierzałam mieć nic wspólnego z ciemną stroną tych interesów. Zajmowałam się sztuką, a nie zorganizowaną przestępczością. I nie zamierzałam godzić się na to, żeby znowu ktoś mnie wykorzystywał w swoich męt-

nych sprawach. Tymczasem miałam jeszcze kontakty i informacje, którymi nie podzieliłam się z Martinem. Mogłam dalej działać bez niego i w razie potrzeby wykorzystać swoje odkrycia przeciwko niemu. Dlatego leciałam do Petersburga. Jako plan krótkoterminowy nie wydawało mi się to złe.

Co do Alaina... Pomijając drażliwą kwestię tego, dlaczego Martin przechowywał tę gazetę, rzeczony artykuł smakował jak trucizna. Zupełnie jakbym sobie zerwała strup z jeszcze świeżej rany. Na lotnisku, czekając na samolot, wklepałam w Google'a nazwiska jego i Amber Kahn. Amerykańska prasa plotkarska kipiała od informacji na ich temat. Portal *E! Online*, ordynarnie sensacyjny, podpisał ich zdjęcie, zrobione, gdy spacerowali objęci po Martha's Vineyard: „Para roku!”. W końcu zamknęłam laptop, flaki wywracały mi się w brzuchu.

Wiedziałam, że nie mam prawa czuć się tak dotknięta. Nasze małżeństwo się skończyło. Oboje byliśmy wolni i należało oczekiwać, że zarówno on, jak i ja zaczniemy nowe życie. Ja sama właśnie poszłam do łóżka z facetem, przy pierwszej okazji!

A jednak, dlaczego tak bardzo mnie to denerwowało?



Przyleciałam do Petersburga w piękny jesienny dzień, jasny i bezchmurny, choć chłodny; czuć już było zimę. Korony drzew zaczynały się pokrywać ochrą, słońce skrzyło się na wodach Newy, a o zmierzchu, gdy szłam ulicą Czajkowskiego w centrum miasta, malowało niebo pastelowymi barwami.

Czasem odnoszę wrażenie, że świat zmienia się stopniowo w wielki park tematyczny, ukształtowany według wymagań masowego turysty. Spacerowanie po najpiękniejszych miastach może wywołać skojarzenie z wędrowką po scenografii dzieła odgrywanego twarzą do publiczności, jakby monumentalne fasady budynków na niektórych ulicach, placach i alejach były zaledwie dekoracją.

Petersburg jest bez wątpienia jedną z turystycznych enklaw. Ten prawdziwy klejnot carskiej Rosji próbuje zwrócić uwagę na swą elegancką i dostojną spuściznę po wiekach XVIII i XIX, a pozostałości z okresu sowieckiego, nie tak wspaniałe, ukryć wśród współczesnej zabudowy w zachodnim stylu, która pojawiła się wraz z globalizacją i zabija autentyczność.

Zawsze marzyłam o tym, żeby przekroczyć próg takiej historycznej petersburskiej kamienicy i dowiedzieć się, co za nim znajdę, zajrzeć w miejsce, gdzie kryje się dusza miasta, jeśli coś z niej jeszcze zostało.

Tamtego popołudnia Irina Jegorowa dała mi taką możliwość. Umówiła się ze mną w mieszkaniu przy ulicy Czajkowskiego. „To mieszkanie Antona – poinformowała. – Zawsze, gdy przyjeżdżam do Petersburga, zatrzymuję się u niego. Ale teraz go nie ma, jest na konferencji w Moskwie. Pozdrawia cię”.

Znalazłam ulicę i dom, którego numer mi podała, i przez chwilę przyglądałam się temu jasnemu budynkowi w stylu neoklasycystycznym z kilkoma modernistycznymi elementami. Na balkonach widoczne były motywy roślinne, wielką bramę wejściową zdobiła płaskorzeźba. Zadzwoiłam starym metalowym domofonem, zniszczonym od długoletniego używania, i brama otworzyła się z elektryczną wibracją. Gdy ją przekroczyłam, wszystko stało się szare, jakbym rzeczywiście weszła na tyły jakiejś scenografii, gdzie oświetlenie, dbałość i detal już nie mają znaczenia. Ściany były odrapane, z plamami wilgoci, poprzecinane kablami biegnącymi na wierzchu z całą pewnością od lat pięćdziesiątych. Panował nastrój grozy, śmierdziało gotowaną kapustą. Była tam ładna winda, to prawda, z drewnianą przeszkloną kabiną i kratą w kwiecisty wzór, ale nie działała. „Zepsuła się przed wielką wojną ojczyźnianą – zauważyła Irina, zaśmie-

wając się – i jak na razie nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją naprawić”.

W tamtej chwili tego nie wiedziałam, ale właśnie wkroczyłam do reducy stylu życia dawnego Związku Radzieckiego: do komunałki. Po rewolucji 1917 roku nastąpił eksodus ludności ze wsi do miast, co spowodowało poważne problemy mieszkaniowe, które władze postanowiły rozwiązać poprzez nacjonalizację prywatnych domów i kwatrowanie w każdym mieszkaniu wielu rodzin. W związku z tym przydzielano po pokoju na rodzinę, podczas gdy łazienki i kuchnie pozostawały wspólne. W przypadku Petersburga wiele z tych domów to były pałace należące do arystokracji i burżuazji okresu cesarskiego, które władze miejskie podzieliły zgodnie z przydzieloną liczbą metrów na osobę, nie bacząc na różnice społeczne. Chociaż ten model zakwaterowania odchodzi do przeszłości, jeszcze zostało w Rosji trochę komunałek.

– Po wojnie – zaczęła opowiadać Irina – ojciec podjął pracę jako księgowy w hucie szkła. To ta pierwsza fabryka przyznała mu mieszkanie w komunałce. Na początek malutki pokój, bo był sam, ale po ślubie i po narodzinach brata i moich, które zbiegły się z ojca awansem w pracy, przyznano mu też przyległy pokój. W tamtych czasach dzieliliśmy mieszkanie z czterema rodzinami – widzisz, że jest bardzo duże. Teraz Anton został z dwiema rodzinami. On to lubi: czuje, że ma towarzystwo, spędził tu całe życie, a czynsz płaci taki, że za te pieniądze nigdy nie znalazłby mieszkania w centrum Petersburga. Wiele komunałek, które zostały do dziś, jest okropnych, to autentyczne brudne dziury w zrujnowanych budynkach. Ta jednak wygląda bardzo dobrze, no i Anton zainwestował trochę pieniędzy w jej odnowę. Ma szczęście, że tu mieszka.

Rzeczywiście ma szczęście. Jego komunałka, w samym centrum miasta, gdzie ceny mieszkań niebywale wzrosły po upadku Związku Radzieckiego, znajdowała się w pięknym budynku wzniesionym w 1890 roku na zlecenie jakiegoś majątnego przemysłowca, który przeznaczył po jednym pięttrze dla każdego ze swych dzieci i jedno zachował dla siebie. Dom zbudowano z najlepszych materiałów i wyposażono w nowinki i udogodnienia epoki: bieżącą wodę, światło elektryczne, ogrzewanie na węgiel, w pełni wyposażone łazienki, wielkie nowoczesne kuchnie... Po rewolucji rodzina opuściła kraj i rząd znacjonalizował kamienicę. Od tamtego czasu nie dokonano żadnych zmian i upadek był widoczny przede wszystkim w przestrzeniach wspólnych. Dawny splendor wciąż jednak przejawiał się w intarsjowanych parkietach, wysokich sufitach zdobionych sztukaterią, żyrandolach, marmurowych kominkach, wielkich oknach i dwuskrzydłowych drzwiach. W łazience zachowały się stare płytki i wanna na lwich łapach oraz coś niespotykanego w tamtej epoce – dwie importowane z Anglii umywalki ceramiczne. Moją uwagę zwrócił pewien detal: ułożone równo kostki mydła, jedna dla każdej rodziny, tak jak ręczniki i szafeczki z przyborami toaletowymi. Nie mogłam nie pomyśleć o tym, jak dziwne byłoby dla mnie dzielenie z kimś łazienki na co dzień. Tak samo kuchni, gdzie każdemu przyporządkowane były kuchenka, stolik i półka na garnki. Lodówka Antona znajdowała się w jednym z jego pokoi, tym, którego używał jako salonu i jadalni. Drugi, mniejszy, kiedyś należący do jego ojca, służył za sypialnię.

Wszystko tam było zastawione meblami i wypełnione innymi przedmiotami z całego życia. Porcelana, fotografie, wyświechtany dywan, zegary, portret Gorbaczowa... i książki, setki książek wręcz wylewających się z regałów, leżących w stosach w każdym kącie, co było odbiciem pasji Antona.

Irina, którą na żywo widziałam zaledwie raz, trzy lata wcześniej, przywitała mnie serdecznie jak starą przyjaciółkę. W rzeczywistości była dobrą przyjaciółką Alaina, doskonale poinformowaną o naszych sprawach. Może dlatego mocno mnie przytuliła: na poły z radością, na poły ze współczuciem. I była bardzo sympatyczna, jak wszystkie babcie na świecie. W każdym razie na taką wyglądała: wielkie, pulchne ciało, krótkie, siwiejące kręcone włosy, puciołate policzki, perkaty nos, na którego czubku spoczywały okulary z wielkimi szklami, i błękitne oczy,

zaskakująco małe. Przypominała mi Petera Ustinova, ale w białego w obszerną sukienkę w kwiaty. Po babcinemu komplementowała mnie też, kiedy szliśmy do salonu: „Bardzo ładnie wyglądasz, w ogóle się nie zmieniłaś, może jesteś odrobinę chudsza, dobrze się odżywasz?”.

Salon został niegdyś wydzielony z większego pomieszczenia z trzema balkonami od strony ulicy. Ściany do połowy wysokości miał wyłożone boazerią, a w jednym rogu stał niesamowity pękaty piec z zielonych reliefowanych kafli ceramicznych z mosiężnymi zdobieniami, sięgający do sufitu. Usiadliśmy przy stole pokrytym trochę lepiącą się ceratą w kratę, gdzie Irina podała herbatę na stary sposób: z cynowego samowaru i w szklankach z ciętego szkła. Do herbaty było ciasto z wiśniami, które przyniosłam w prezencie. Wiedziałam, że jej posmakuje, była wielką łakomczuchą.

– Ach, kochana, jak to dobrze, że mogłaś przyjechać. Bardzo się cieszę, że cię widzę, że mogę cię uściskać i wypić z tobą herbatę. W ogóle nie lubię tych spotkań przez komputer – opowiadała, nakładając nam ciasto, z którego sączył się czerwony sok, lśniący i gęsty.

Zanim zdołałam zareagować, położyła mi rękę na ramieniu.

– Zaraz ci opowiem, czego się dowiedzieliśmy o Peterze Hankem – dodała, hamując emocje. Włożyła kawałek ciasta do ust i ruszyła do biurka, skąd przyniosła teczkę. – Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Oczywiście, że nie, czuj się jak u siebie w domu – zażartowałam, na co Irina się roześmiała.

– No w sumie to dom Antona! Na szczęście go nie ma. – Wyciągnęła paczkę papierosów z kieszeni wełnianego żakietu. – Nie lubi, kiedy palę – przyłożyła papierosa do ust, w pewien sposób się obnażając – nie znosi zapachu papierosów. Zadręcza mnie gadaniem, że powinnam to rzucić. – Zamilkła, żeby się zaciągnąć. – I w sumie ma rację – jej słowa wydobyły się z ust wraz z dymem. – Zawsze sobie mówię: Irina, musisz to rzucić. Ale chodzę z papierosem w ustach od piętnastego roku życia! Nie ma już dla mnie lekarstwa!

– Irina – dramatycznie zawiesiłam głos i spojrzałam znacząco na teczkę – nie mogę się doczekać.

– Ach, kochana moja! – Znowu się roześmiała. – Jasne! Jasne! Ciągłe się zapominam... Irina, skup się. Poczekaj chwilkę. – Przeszukała papiery w teczce. Wreszcie wyciągnęła kilkunastociponowy dokument i położyła go na stole. – Z NKWD.

Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Innymi słowy służby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo państwa radzieckiego podczas drugiej wojny światowej i w pierwszych latach po wojnie. Prekursorki KGB.

Dokument był po rosyjsku, więc tylko spojrzałam na Irinę pytająco.

– Herr Hanke pracował jako agent Związku Radzieckiego – wyjaśniła.

– Po wojnie?

– Nie, podczas wojny.

– No proszę... Hanke został przydzielony do sekcji kontrwywiadu Gestapo. Właśnie kontrwywiadu.

– Doskonałe miejsce, żeby być świetnie poinformowanym.

– No pewnie – zgodziłam się, zaskoczona połączeniem przebiegłości i braku skrupułów, które, jak zaczynałam sobie uświadamiać, charakteryzowały Hankego.

Nagle pojawiło się nie wiadomo skąd wielkie szare kocisko i wskoczyło na kolana Iriny.

– Ach, Oniegin! Tu jesteś! – Zwierzę pozwoliło się głaskać po grzbiecie, kołyszac ogonem z rozkoszy. – Nie widać go całymi dniami – wyjaśniła mi Irina. – Pewnie gdzieś poluje i ugania się za kotkami. – Zaśmiała się. – Ale na podwieczorek zawsze przychodzi punktualnie.

Nalała odrobinę mleka na swój talerzyk z resztkami ciasta i postawiła go na podłodze.

Oniegin zszedł i zabrał się do jego wylizywania.

– Jakie jeszcze informacje zawiera ten dokument? – Wróciłam do naszej sprawy.

– Zobaczmy, zobaczmy... Między rokiem 1942 a 1945 Hanke przekazywał informacje na temat operacji Gestapo przeciwko siatkom radzieckich informatorów w Berlinie. Podawał im nazwiska agentów znajdujących się na celowniku tajnej policji, ostrzegał ich przed obławami, przekazywał poufne informacje, nie tylko z departamentu kontrwywiadu Gestapo, ale też z Abwehry, utrudniał śledztwa... Nie żeby był jakoś szczególnie aktywny, ale uratował głowy kilku radzieckich agentów, zarówno w Berlinie, jak w innych miejscach w Europie. Używał dwóch pseudonimów: B-308 i Mason. Za swoje usługi dostawał siedemset reichsmarek miesięcznie, które mu przelewano na konto w Szwajcarii.

– A to wszystko po zabójstwie albo przynajmniej podejrzeniu o zabójstwo radzieckiego obywatela na radzieckiej ziemi – podkreśliłam, myśląc o Wojkowie.

– Tak, to zdarzenie ujawniono w trakcie śledztwa, któremu go poddano, zanim został zrekrutowany. Pewne jest, że początkowo ci z NKWD nie za bardzo mu ufali, ale potem okazał się skutecznym i wiernym współpracownikiem. A im wечно brakowało ludzi, więc musieli przymykać oczy na różne sprawy. Trzeba mieć na uwadze, że po wspólnej akcji Gestapo i Abwehry w 1942 i 1943 przeciwko Rote Kapelle, która dotychczas bardzo skutecznie przesyłała informacje Sowiетom, ich siatka agentów w Europie była zdziesiątkowana, praktycznie zostali bez informatorów.

– Hanke był przydzielony do operacji przeciwko Rote Kapelle, tak więc miał informacje z pierwszej ręki.

– I mówił po rosyjsku. Same korzyści.

– Wiadomo, co się z nim później stało?

– Dokument NKWD o tym nie wspomina. Zwyczajnie podaje, że w lutym 1945 roku zawieszają się wypłatę honorarium. Armia Czerwona była wówczas coraz bliżej niemieckiej ziemi, więc może uznali, że jego usługi nie są już potrzebne. W każdym razie dalej szukamy informacji na jego temat. Pogrzebiemy też w archiwach Smiersza, radzieckiego kontrwywiadu wojskowego. W gruncie rzeczy oni pierwsi weszli do Berlina razem z Armią Czerwoną.

Popiłam mocnej słodkiej herbaty, która już wystygła.

– Jeszcze herbatki, kochana? – zaproponowała Irina.

– Nie, dziękuję, wystarczy.

Irina nalala sobie herbaty z samowaru. Ja tymczasem żalowałam w milczeniu, że losy Petera Hankego po maju 1945 roku dalej są okryte tajemnicą, i zaczynałam myśleć, że tak już pozostanie. Obawiałam się, że jeśli nie odkryjemy, co się z nim stało po wojnie, śledztwo utknie w martwym punkcie. Dobrze by było, żeby pojawiły się jakieś nowe wątki.

– A ta dziewczyna, siostrzenica Wojkowa? Znaleźliście coś? – zapytałam Irinę po chwili zastanowienia.

– Tak – przytaknęła. – Chociaż nie wiem, czy do czegoś ci się to przyda – zauważyła, wyciągając kolejny dokument z teczki. – To dokument z Ludowego Komisariatu Oświaty. Zawiera raport na temat hiszpańskich dzieci ewakuowanych do Związku Radzieckiego podczas wojny domowej...

– Katia Arriaga była jedną z nich...

– Tak. Ponadto była siostrzenicą Wojkowa – jego siostra wyszła za Hiszpana. Nadążasz? Przytaknęłam.

– Z akt dziewczyny wynika, że urodziła się w Bilbao w 1924 roku. Prawdopodobnie jej rodzice zginęli i dlatego wujek ją adoptował.

– Wiadomo, co się z nią stało?

– Jeszcze nie. Trudno nam podjąć jej trop po śmierci Wojkowa.

– Może wróciła do Hiszpanii.

– Może – powtórzyła Irina, chociaż bez przekonania. – W każdym razie nie zrobiła tego po 1954 roku, kiedy zaczęły się powroty hiszpańskich dzieci, które wtedy właściwie nie były już dziećmi. Nie ma jej na listach pasażerów, te sprawdziliśmy. Nie wydaje mi się też, żeby wróciła na własną rękę, bo wcale nie było łatwo uzyskać wizę wyjazdową, a w zasadzie było to niemożliwe. Może stało się z nią to, co z większością hiszpańskich dzieci: wolała zostać, bo zdążyła tu sobie ułożyć życie. Poza tym musimy pamiętać, że Katia była adoptowana przez wujka, więc raczej nie utrzymywała silnych związków z Hiszpanią. Nie sądzę, żeby miała powód do powrotu. Ale będziemy szukać dalej.

Irina zawiesiła głos, żeby zapalić następnego papierosa. Większość poprzedniego spaliła się w pokrytej rdzawymi plamami i wypełnionej popiołem metalowej popielniczce z reliefem przedstawiającym sobór Wasyla Błogosławionego w Moskwie.

– Mam jednak coś, co cię ucieszy. Zostawiłam najlepsze na koniec – oświadczyła żywo, z szerokim uśmiechem, który zmienił jej policzki w dwie kule. – Prezent od Antona.

Pochyliłam się w oczekiwaniu nad ceratą, ale zobaczywszy, że ubrudzę sobie rękawy, jednak się wyprostowałam.

– Pamiętasz Grigorija Nikulina?

– To ten odpowiedzialny za przewiezienie klejnotów Romanowów po egzekucji rodziny carskiej.

– Tak jest, grzeczna dziewczynka. No dobrze, Antonowi udało się spotkać... zgadnij, z kim! Jego wnukiem! Pawłem Nikulinem. Pracuje dla pewnego towarzystwa ubezpieczeniowego w Moskwie, a swego czasu był kolegą z klasy jednego z kolegów Antona. Nie ukrywam, że Anton nie wiązał wielkich nadziei z tym spotkaniem. Jaka mogła być szansa na to, że wnuk Nikulina zna szczegółowo zawiłości losu dziadka? Ale słuchaj, okazało się, że stary uwielbiał opowiadać swoje wojenne historie, i oczywiście nie wszyscy dziadkowie mogą powiedzieć, że wzięli udział w egzekucji ostatniego cara Rosji i jego rodziny. Teraz usiądź, Ano, bo nadchodzi najlepsze: medalion, moja droga, miała carowa.

Na tę wieść aż mi oczy wyszły z orbit.

– Aleksandra nosiła medalion na szyi i zanim zakopano jej ciało, dowódca Nikulina zerwał go i dał Grigorijowi do schowania z resztą dóbr rodziny. A ponieważ medalion prezentował się bardzo skromnie, niepozorny kamień bez wartości, zasugerował mu nawet, że może go sobie wziąć na pamiątkę. Paweł twierdzi jednak, że jego dziadek tego nie zrobił, bo uważał, że te rzeczy przynoszą pecha, i z resztą klejnotów zawiózł go do Moskwy.

– A więc potwierdza się, że miała go carowa Aleksandra! Niesamowite...

Tym samym potwierdzało się, że medalion naprawdę istniał i przetrwał przynajmniej do czasów ostatniego cara, aż do roku 1917. To był postęp, bardzo wyraźny, prawdziwy krok naprzód. Nagle poczułam, że jestem znacznie bliżej medalionu.

– Tak było. Ale to nie wszystko. Paweł Nikulin opowiedział też, że kilka lat później, konkretnie w roku 1922 – jego dziadek dobrze pamiętał rok, bo właśnie wtedy dostał Order Czerwonego Sztandaru... no więc w 1922 Grigorijowi Nikulinowi złożył wizytę niejaki Wojkow, Feliks, Fiodor, Fiodor...? Nie jest pewien imienia.

– Mógł to być nasz Wojkow?

– Moim zdaniem tak. Mężczyzna przedstawił się jako pracownik Ludowego Komisariatu Finansów i zapytał o medalion: czy pamięta, że go dołączył i przetransportował z resztą klejnotów. „Oczywiście, oczywiście – odpowiedział Grigorij niemal urażony tym, że podaje się w wątpliwość jego pracę. – Dobrze pamiętam ten medalion, osobiście zapakowałam go z całą resztą”.

Cóż, nie wiemy, czy powiedział dokładnie to, ale według Antona, który ma skłonność do koloryzowania, mniej więcej takie były jego słowa.

– Tak czy inaczej, coś mi tu nie pasuje. Skoro Wojkow wziął udział w inwentaryzacji i przygotowaniu katalogu z 1924 roku, dziś zaginionego, to powinien był wiedzieć, że medalion znajdował się pośród klejnotów. Po co więc pytał?

– Nikulinowi powiedział, że w ramach katalogowania potwierdza niektóre dane o pochodzeniu poszczególnych klejnotów. Tamten oczywiście nie bardzo mu uwierzył, pomyślał tylko, że ta relikwia musi być warta więcej, niż przypuszczał, i że w sumie to może być trochę głupi, że jej nie wziął, kiedy mu to zaproponowano.

– Też bym nie uwierzyła Wojkowowi – to, co powiedział Nikulinowi, brzmi jak wymówka.

– W każdym razie przypominam ci, że nie ma dowodów, by medalion znajdował się w katalogu z 1924 roku. Najważniejsze w tej historii jest to, że już masz połączenie między Wojkowem i medalionem.

– No tak. Okazuje się, że Peter Hanke nie błędził tak zupełnie po omacku.

– Ani ty.

Uśmiechnęłam się. W jakimś sensie ja też nie.

Zapadł już zmierzch i przez okno wpadało pomarańczowe światło ulicznych latarni. Oniegin, wychłptawszy mleko, skulił się i zasnął na krześle, a kiedy się obudził, znowu zniknął. Irina przechyliła samowar, z którego wypłynęła ledwie kropelka wody.

– Obawiam się, że herbata już się skończyła. Będziemy musiały przejść na wódkę.

– Och, nie, nie. Żadnej wódki.

– A ja bym powiedziała, że ci się przyda – wymamrotała, nie patrząc na mnie.

Kiedy zmarszczyłam czoło, zupełnie zbita z tropu tymi słowami, Irina westchnęła i pochyliła się do mnie nad stołem.

– Jest coś jeszcze...

Nie wiedziałam dokładnie co, ale coś w tych słowach mnie zaniepokoiło: może poważna mina Iriny, bo zawsze się uśmiechała, a może sposób, w jaki wykręciła dłonie na lepkiej ceracie, albo może przeczułam, że to, co chce mi powiedzieć, nie ma związku ze śledztwem.

– Anton uważa, że nie powinnam o tym mówić. Nikomu. Ale on tego nie rozumie. Uważam się za twoją przyjaciółkę. Nie chcę sprawiać wrażenia, że intryguję za waszymi plecami, rozumiesz? I ta sytuacja nie jest dla mnie komfortowa.

– Co się dzieje, Irino? – Niecierpliwiłam się.

Westchnęła.

– To było sześć dni temu. Zapewniam cię, że kiedy do mnie zadzwoniłaś, o niczym nie miałam pojęcia, ani kiedy miałyśmy tę videokonferencję. List przyszedł do mnie przed sześcioma dniami. Poprosił mnie też o informacje o Fiodorze Wojkowie.

– Kto?

– Alain.

Przez chwilę nie mogłam przyswoić tej wiadomości. Wspomnienie Alaina w tym kontekście wydało mi się nie na miejscu. Musiało zająć jakieś nieporozumienie.

– Słuchaj, kochana, nie chcę się wtrącać. Ja też jestem rozwódką, wiem, jak to jest. Ale gdybym to zataiła, miałabym poczucie, że zdradzam was oboje. – Zamilkła na chwilę, jakby chciała mi dać szansę na odpowiedź, ale ja jeszcze nie byłam w stanie zareagować. – Oboje szukacie tego samego. Myślę, że powinniście o tym porozmawiać. Jeszcze się nie widzieliśmy, ale on jest teraz tutaj, w Petersburgu. I wie, że ty też tu jesteś.



KWIECIEŃ 1945

Niemki stały się kolejnym łupem dla radzieckich żołnierzy. Masowe gwałty, które nastąpiły podczas bitwy o Berlin, stanowią jeden z najbardziej żalonych epizodów końca wojny. Mało która kobieta zdołała się uchronić, ofiarami padały wszystkie: zakonnice, ciężarne, babcie, dziewczynki, Żydówki, uwolnione robotnice przymusowe... Chociaż nie ma wiarygodnych danych, bo napaści ani nie zgłaszano, ani nie rejestrowano, według oceny szpitali szacuje się, że przynajmniej dwa miliony niemieckich kobiet zostało zgwałconych; między dziewięćdziesiąt pięć tysięcy a sto trzydzieści tysięcy w samym Berlinie. Współczynnik śmierci pośród ofiar był bardzo wysoki z powodu brutalności napastników i prób samobójczych. Te, które przeżyły, musiały się zmagać z chorobami wenerycznymi, niechcianymi ciążami, aborcjami dokonywanymi w okropnych warunkach i skutkami psychicznymi, z jakimi mierzyły się przez całe swoje życie, cierpiąc przy tym z powodu odrzucenia i niezrozumienia niemieckich mężczyzn.

Uhr? Parabellum?

– Nie mam broni – odpowiedział Peter radzieckiemu żołnierzowi doskonałym rosyjskim, ściągając zegarek z ręki, żeby mu go dać.

Grupa sześciu weszła do piwnicy, wywalając drzwi kolbami karabinów. Musieli się z Gerdą schować. Za bardzo się spoufalali.

Rosjanin spojrzał na niego z ciekawością. Był to człowiek postawny i silny, z okrągłą twarzą, czerwonymi polikami i skośnymi oczami. Rolnik ze stepu, zza Uralu. Jego twarz, już sama z siebie ponura, jeszcze bardziej stężała. Dźgnął go w pierś palcem wskazującym.

– Jesteś niemieckim żołnierzem? – Mówił po rosyjsku z silnym północnym akcentem.

– Nie, nie. Ja jestem z wami. Należę do was, rozumiesz? NKWD?

Może nie było najszcześniejszym posunięciem wypowiedzenie tych słów, bo żołnierz zaraz się zaniepokoił, mocno trzymany w rękach karabin w każdej chwili był gotowy zwrócić się w stronę Petera.

Krzyki Gerdy przerwały nagle tę rozmowę.

– Zabieraj te łapy, cholerna świnió!

Jeden z żołnierzy przyciskał ją do ściany i próbował rozebrać. Ona, broniąc się, kopnęła go z całej siły w krocze, co sprawiło, że mężczyzna zgiął się wpół, pojękując i klnąc. Zanim jednak pozostali ruszyli mu na pomoc, już do siebie doszedł i uderzył Gerdę kolbą karabinu w twarz, żeby ją poskromić.

W jednej chwili rozegrała się scena rozdzierających krzyków i przemocy, kiedy Rosjanie rzucali się na Gerdę; podczas gdy jeden z nich ją trzymał, pozostali próbowali ją zgwałcić. A ona, z zakrwawioną od ciosów kolbą twarzą, wyła ze strachu i niemocy, kiedy tamci zdierali z niej ubranie.

Peter patrzył na to w milczeniu, starając się, żeby nie drgnął mu nawet jeden mięsień, aby stać niezauważony, pragnął się rozpląnąć i zniknąć. Drżał o życie. Kiedy te dzikusy skończą z Gerdą, pijani przemocą, mogą się zwrócić w jego stronę.

A jednak nie potrafił odwrócić oczu. Nagie ciało jego kochanki, które znał tak dobrze, wstrząsało się przy każdym brutalnym ruchu żołnierza, który ją właśnie gwałcił. Pozostali zachęcali go, dopominając się o swoją kolej. Ich śmiechy mieszały się z wrzaskiem kobiety. Ona krzyczała i krzyczała, i krzyczała.

Nagle sytuacja się odmieniła. Gerda wbiła zęby w ucho swojego agresora z taką siłą, że odgryzła kawałek. Wtedy żołnierz, który zawył jak zwierzę, z zakrwawionym uchem, wściekły, wyciągnął pistolet i strzelił jej w głowę.

Krzyki ustały i w piwnicy zapanowała gęsta cisza. Żołnierze wpatrywali się niemo w trupa Niemki; jeden z nich na nią splunął.

Peter przylgnął do ściany; gdyby tak mógł wcisnąć się między cegły. Teraz zajmą się nim. Cholerna Gerda!

Ale oni sobie poszli. Wyszli, tak po prostu, w ogóle się nim nie zainteresowali. Osunął się plecami po ścianie i usiadł skulony.

Czuł, że się dusi, że brakuje mu powietrza. Zorientował się, że nogi są mu ledwie posłuszne, ale zdołał wstać i nie odrywając wzroku od podłogi, żeby nie widzieć jeszcze ciepłego trupa Gerdy, uniósł deskę, pod którą ukrył pistolet. Włożył go do kieszeni marynarki i ruszył na schody, jakby był pijany; może nawet był.

W salonie panował chaos: przewracane meble, porozrywana tapicerka, gruz, przedmioty rozbite w drobny mak, pył; ściana frontowa runęła od wybuchu. Na ziemi w spalonym ogrodzie został lej po bombie. Wiatr hulał po pomieszczeniu, rozwiewając papiery i dzwoniąc kryształami żyrandola, który jakimś cudem nadal wisiał pod sufitem. Peter westchnął z wysiłkiem, jakby to był jego pierwszy haust powietrza po wypłynięciu z morskiego dna. Sądził, że nad Berlinem zapadła noc, ale to dym od wielu dni zasnuwał niebo. Eksplozje artyleryjskie nieustannie rozbrzmiewały w oddali. Chociaż Sowietci zajęli już kilka dzielnic, w centrum miasta wciąż trwały walki.

Idąc po gruzach, kopnął szklankę; ostatnia nienaruszona rzecz z barku. Na pewno żołnierze go spłądrowali, jeśli w ogóle przetrwał bombardowanie. Pochylił się, żeby podnieść szklankę. To była dobra szklanka, z rżniętego kryształu, wyprodukowana w Czechach. Zdmuchnął pył i wlał do niej całą resztę koniaku z piersiówki, którą zawsze miał przy sobie. Pijąc łączywie, nad krawędzią szklanki zobaczył dwa fotele – wciąż stały na swoim miejscu, przed dziurą, w której wcześniej było okno. Podszedł bliżej, ostrożnie, żeby nie potknąć się na gruzie skrzypiącym pod stopami. Otrzeptał jeden fotel, dostając ataku kaszlu. Po czym na niego opadł.

Z fotela naprzeciwko obserwowała go Gerda. Miała na sobie kimono z cieniutkiego jedwabiu. Rozchylone nogi obnażały jej krocze z czarnym zarostem.

Wszystko w jednej chwili stało się uporządkowane, każda rzecz na swoim miejscu. Luksus i przepych salonu nienaruszone. Złotawe światło letniego popołudnia. I żywa Gerda.

Peter pociągnął następny łyk bez mrugnięcia okiem, obawiając się, że gdy to zrobi, obraz się rozplynie. Nie, Gerda nie leżała naga w piwnicy ze zmasakrowaną twarzą. Gerda była tuż obok, jak w dzień zawieszenia go w obowiązkach, kiedy oddał swoją blachę i pistolet.

Był pijany, ale wspomnienia pojawiały się wyraźne. I śnił na jawie o dniu, kiedy oddali mu blachę i pistolet.

– Proszę.

Facet nawet na niego nie spojrział. Zwyczajnie przesunął je po blacie i odwrócił się, jakby miał ważniejsze sprawy do załatwienia. Peter powiedziałby, że w jego gościu było lekceważenie. Chętnie przyłożyłby temu łotrowi lugera do czoła, żeby się posrał ze strachu. Chuj z tymi gryzi-piórkami, ignorantami, którzy pasą sobie brzuchy na krzesłach w biurze. Tak, zawiesili go, i co z tego? Co, do cholery, wiedział ten Kriminalassistent od ślinienia znaczków? Nie musiał codziennie ryzykować życia na ulicy.

Cokolwiek by mówić, było to warte zawieszenia. Trzy miesiące w zamian za pozbycie się Corneliusa Althanna to nic takiego; inni za mniejsze wykroczenia szli siedzieć albo byli wyrzucani. Ale jego potrzebowali, w to nie wątpił. Gestapo nie miało zbyt wielu funkcjonariuszy, któ-

rzy znali rosyjski tak dobrze jak on. Trzymał ich za jaja. Od tej pory będzie jednak musiał zachowywać większą czujność. Miał plan i nie mógł ryzykować. Nie może dopuścić do tego, żeby medalion znowu mu się wysmyknął.

Na zewnątrz kwatery głównej Gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse panował lepki upał i niebo zaczynało się zasnuwać, zwiastując burzę. Peter Hanke pomyślał o długiej drodze do dzielnicy Dahlem i postanowił wziąć taksówkę; nie chciał przyjechać na spotkanie spocony i w wymiętym ubraniu, śmierzając paliwem i ludzką ciżbą po podróży U-bahnem. Gerda nie tolerowała brudu.

Tego popołudnia przyjęła go bosy, spowita jedwabnym kimonem, pod którym zdawała się nie mieć nic, sądząc po sutkach sterczących pod materiałem, z rozpuszczonymi blond włosami na ramionach i długą lufką z kości słoniowej w eleganckich palcach. Zerznąłby ją natychmiast, w salonie tej ostentacyjnej willi jej zmarłego męża, na oczach służącej, która go wprowadziła. Jednak Gerda miała swój rytuał.

Delikatnie ściągnęła mu kapelusz i marynarkę i podała je służącej, którą zaraz odesłała. Potem rozpięła mu klamrę lederwerek i ściągnęła mu je przez ramiona, rozluźniła węzeł krawata, rozpięła koszulę pod szyją i poprowadziła go do fotela... Tego fotela. Do otwartego okna, przez które wpadał delikatny wiatr z ogrodu. Gdy usiadł, zaczęła zdejmować mu buty, powoli rozwiązując sznurowadła, i zsuła je ostrożnie jak dbały ekspedient z obuwniczego. Przez chwilę pomasaowała mu stopy i wstała, żeby podejść do barku i przygotować alkohol: trzy palce autentycznej szkockiej whisky, bez niczego. Podała mu szklankę i pocałowała go przeciągle w czoło, tuż przy włosach.

Wreszcie usiadła w fotelu naprzeciwko, gotowa po raz pierwszy się odezwać.

– Źle wyglądasz. Na pewno nic nie jadłeś przez cały dzień. Każę ci coś przynieść...

– Nie, nie jestem głodny – przerwał jej i pociągnął długi łyk whisky.

– Alkohol w końcu cię zabije.

Peter znowu się napił, wyzywająco.

– Słodka śmierć – podsumował, pochylając się w stronę Gerdy i w powietrzu wznosząc toast. Wyciągnął rękę, żeby wsunąć ją za rozchyłony dekolt kimona. Gerda chwyciła mu nadgarstek, żeby go powstrzymać.

– Spokojnie, Kommissar. – Uśmiechnęła się, wydychając mu dym w twarz. – Nie jestem jedną z tych twoich dziwek. Porozmawiajmy. Zabaw mnie. Jak tam twój dzień?

– Gówniany, jak zwykle – uciał, wstając i kierując się do barku, żeby ponownie napełnić sobie szklankę.

– Chyba nie do końca. Widziałam, że zwrócili ci twoją zabaweczkę. – Spojrzała na kaburę. – Znowu stałeś się niebezpiecznym typem.

Popatrzył na nią twardo.

– Nabijasz się ze mnie?

– Nie jestem taka głupia – odpowiedziała obojętnie, udając zaabsorbowanie nowym papierosem, którego wkładała do lufki.

Peter wziął ze stołu zapalniczkę i podał jej ogień. Lubiła, kiedy się jej zapalało papierosa, zawsze irracjonalnie obawiała się poparzyć sobie palce.

– Chcesz, żebym opowiedziała ci swój dzień?

Gerda nie oczekiwała odpowiedzi. Po prostu rozpoczęła domową historyjkę, trochę nudną, ubarwiając ją anegdotami, z których wcale się nie śmiali. Gdy skończyła, uniosła nogi i położyła je na oparciu fotela. Pod rozsuniętym kimonem pojawiły się czarne kręcone włoski. Wiedziała o tym. Teatralnie zaciągnęła się papierosem i odchyliła głowę do tyłu, po czym włożyła rękę za dekolt i powoli przesunęła ją po ciele, a włożywszy palce w krocze, zaczęła się pie-

ścić.

Peter przyglądał się jej, popijając alkohol z hamowaną łapczywością; zauważył, że wszystkie jego mięśnie się naprężyły i penis naciska na rozporek. Pożądanie paliło go we wnętrznościach, pot wilżył mu skórę. Dopiero kiedy Gerda wydała z siebie ostatni krzyk orgazmu i uniosła głowę, żeby spojrzeć na niego wyzywająco, z ciałem wyprężonym i lśniącym, z rozchylonymi nogami, Peter rzucił się na nią, uwalniając całą swoją żądzę.

Weszli po schodach do sypialni. Wtedy nie było chłostania. Tamtego razu było znacznie brutalniej. Peter jeszcze przez jakiś czas czuł ból w gardle i lekkie mdłości. Gerda przywiązała jego ręce do wezłowania i owinęła mu szyję jedwabną chustką. Ta kobieta była zboczona... Zaciśkała tę chustkę coraz mocniej i mocniej, siedząc na nim i poruszając się tak, jak tylko ona potrafiła, żeby doprowadzić go do szczytowania. Petera ogarnęło przerażenie, brakowało mu powietrza w płucach i zamglił mu się wzrok. Boże... poczuł, że znalazł się na skraju śmierci, kiedy nagle osiągnął orgazm, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Całe jego ciało gwałtownie drżało, jak rażone prądem. Jęczał i próbował złapać oddech, aż stracił na kilka chwil przytomność. Odzyskał ją, kaszląc i łapczywie chwytając powietrze, gdy Gerda spryskała mu twarz wodą. Wciąż go ujeżdżając, z triumfalnym uśmiechem rozluźniła mu chustkę na szyi i rozwiązała ręce.

– Zachowałeś się jak prawdziwy dziki mustang. Nigdy nie dosiadłam podobnego – pochwaliła go, zanim udała się do łazienki, nie zwracając uwagi na jego cierpienie.

Oddech mu się uspokoił; leżał w łóżku i słuchał, jak w łazience płynie woda. Gerda zawsze brała prysznic po seksie.

Peter wysunął szufladę nocnej szafki i wyjął stamtąd sauera 38H, lekki, mały pistolet, w sam raz dla kobiety. Sprawdził, czy jest naładowany, odciągnął kurek, żeby był gotowy do strzału, założył bezpiecznik i zostawił pistolet w pościeli, po czym zapalił papierosa Gerdy. Na co dzień nie palił, ale w tamtej chwili haust dymu miał wspaniały smak i odświeżył mu całe ciało, ciągle jeszcze odrętwiałe. Pomyślał z zadowoleniem, że podoba mu się ta sypialnia. Była przestronna i jasna. Wdowa zastąpiła osiemnastowieczne ciężkie, ciemne meble hrabiego meblami Bauhausu o prostych liniach i w jasnych kolorach. Mógłby się przyzwyczaić do życia w tym miejscu w otoczeniu takiego luksusu; popijałby codziennie szkocką whisky, palił amerykańskie papierosy i uprawiał ten perwersyjny seks.

Gerda wyszła z łazienki naga i przeparadowała do łóżka. Lubiła się pokazywać. Mimo że skończyła czterdzieści lat, wciąż miała jędrne i bardzo zgrabne ciało; twierdziła, że to kokaina pozwala jej utrzymywać figurę. Z zadowoleniem spojrzała na Petera, rozpartego na poduszkach i spokojnie palącego papierosa.

– Jeszcze tu jesteś? Nie wystarczyło ci? Chyba nie chcesz, żebyśmy się głaskali po plecach jak luterkańscy kochankowie? My tacy nie jesteśmy.

Peter uśmiechnął się krzywo. Zgasił papierosa w popielniczce, usiadł i wycelował w nią z pistoletu, dokładnie między piersi. Gerda niemal nie zareagowała, zaledwie uniosła jedną elegancko wyregulowaną brew.

– Wiem, że przekazujesz informacje Rosjanom – ubiegł jej ewentualne pytanie.

– Proszę, proszę. I musiałeś mnie najpierw zerznąć, żeby mi o tym powiedzieć? Jesteś aż takim skurwysynem... – mówiła z nieprawdopodobnym spokojem, niemal przeciągając sylaby.

Uklękła na łóżku i wyprostowana przybliżyła się do Petera tak, że lufa pistoletu dotknęła jej piersi; napierała na nią bezczelnie. On odbezpieczył pistolet z metalowym szczęknieniem, bez wahania.

– Dobra, strzelaj – rozkazała mu przez zęby. – Strzelaj wreszcie, bo nie zamierzam skończyć w waszym brudnym więzieniu. Co, zabrakło jaj, Kommissar? Strzelaj!

Jej piersi zakołysały się, gdy krzyknęła. Peter znowu był podniecony i rzucił się, żeby ugryźć jej sutek. Gerda zawyła z bólu i powodowana gniewem uderzyła go prosto w pokryty bliznami policzek. Peter poczuł palenie, zadzwoniło mu w uchu; pierścionek z brylantem jego kochanki przeciął mu skórę. Wtedy skoczył na nią jak wściekły pies: podniósł ją za kark, wyrzucił z łóżka, cisnął na ścianę i przyłożył jej pistolet do skroni.

– Musisz bardzo uważać, Gerdo – zagroził, cedząc słowa w jej szyję. Strużka krwi spływała mu z kącika ust. – Wkurzanie mnie nie leży w twoim interesie. Wiem, że jesteś mądrą dziewczynką i rozumiesz, że śmierć to nie jest najgorsza z opcji. Zapominasz jednak, że tylko ja mogę cię uchronić przed naszym brudnym więzieniem i bólem tak wielkim, że pożałowałabyś, że się urodziłaś. – Odłożył pistolet i rozluźnił palce ściskające jej szyję. Przysunął się, żeby polizać jej brodę, i wyszeptał do ucha: – Po co miałbym do ciebie strzelać, skoro twój los jest w moich rękach?

Po raz pierwszy okazała strach. Jej oddech przyspieszył, pot zalśnił na czole. Spojrzała na niego kątem oka, nie rozumiejąc, co takiego sugeruje.

– Skontaktuj mnie ze swoim łącznikiem z NKWD – dodał Peter, znów trochę mocniej zaciskając palce na jej gardle. – Chcę zostać ich informatorem.

Gerda nerwowo się zaśmiała.

– Jesteś skończonym idiotą. Dlaczego miałabym to zrobić? Dlaczego miałiby zaufać cholernemu gestapowcowi?

– Bo jestem jedynym człowiekiem, który może uratować twoje parszywe życie. I pozostałych dziesięciu agentów, których mam na liście w kieszeni marynarki i jestem skłonny ci ją dać, żebyś im przekazała, a oni mogli ich ostrzec. Jako pierwszy gest dobrej woli.

– A skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka?

Kommissar uśmiechnął się złowrogo.

– Tego nigdy nie będziesz wiedzieć.

Mocny wybuch zakołysał żyrandolem i wspomnieniami Petera. Przed nim znowu pojawił się pusty fotel, brudna, podarta tapicerka. Bez Gerdy.

Znowu uniósł szklankę do ust, ale nie została już ani kropla. Rzucił ją o ziemię i kryształ rozbił się na tysiąc kawałków.

„Niech to szlag, Gerda. Ten twój diabelski charakter w końcu doprowadził cię do śmierci”.

Tak jest lepiej. Teraz mógł się poświęcić swojej misji, podjąć ostatnią próbę zdobycia medalionu. Musiałby opuścić Gerdę, a ona nigdy by na to nie pozwoliła.

Szkoda tej cery z porcelany, teraz potłuczonej kolbą radzieckiego karabinu.



KURWA, ALE MNIE WYSTRASZYŁEŚ!

Wyszłam z mieszkania Antona oszołomiona, z poczuciem, że ani mój mózg, ani umysł nie będą zdolne przyjąć kolejnych informacji, kolejnych niespodzianek.

Wieczór przyniósł ze sobą lekki, chłodny i wilgotny wietrzyk, który według Iriny zwiastował zmianę pogody. Otuliłam się płaszczem i ruszyłam w drogę powrotną do hotelu. Może spacer oczyści mi myśli i ulży w pieczeniu oczu, pomyślałam. Ulice miasta o tej porze jeszcze były zatłoczone: sklepy powoli szykowały się do zamknięcia, restauracje przygotowywały się na wieczornych gości i ludzie wracali do domów po kolejnym dniu pracy. Ja skupiałam się to na chodniku, to na ruchu ulicznym, to na oświetlonych wystawach, to na pierwszych opadających liściach.

Nie chciałam myśleć o Alainie ani o Martinie, ani nawet o Peterze Hankem i Fiodorze Wojkowie. Pozwoliłam, żeby jakaś piosenka grała mi w głowie, i nuciłam ją sobie w myślach, raz za razem powtarzając refren jak modlitwę, która odganiała inne myśli. W głębi ducha obawiałam się powrotu do hotelu, pustego pokoju, samotnej kolacji, perspektywy długiej nocy bez zmruczenia oka, przewracania się z boku na bok. Nie byłam głodna, zakładałam, że zjem co najwyżej kanapkę. A potem wypiję coś z minibaru, nie za mało, żebym mogła zasnąć, i zadzwonię do Teo. Wypłacę mu się w rękaw.

Szłam tak zamyślona, że nawet nie zauważyłam, kiedy opuściłam ruchliwy Newski Prospekt i znalazłam się na spokojniejszych pustych uliczkach. Odniosłam wrażenie, że ktoś za mną idzie, więc się odwróciłam. Zobaczyłam tylko wchodzącą do budynku kobietę z siatkami pełnymi zakupów. Może zaczynam mieć paranoję. Na pewno tak. To przez Martina i te jego tajemnice, jego zawołowane ostrzeżenia i obsesję na tle kontroli. Niech to diabli... Ostatecznie przez to wszystko czułam się rozbita.

Zauważyłam, że jestem spięta, więc odetchnęłam głęboko, żeby się rozluźnić. Jednak to uczucie nie ustępowało. Bez względu na to, jak bardzo wmawiałam sobie, że to kompletnie bez sensu, dalej byłam przekonana, że ktoś mnie śledzi. Spacer przestał być spacerem i stał się niespokojnym marszem. Kiedy przechodziłam przez zupełnie pustą ulicę, wydało mi się nawet, że słyszę za sobą kroki. Serce zaczęło mi mocno walić. Zatrzymałam się i udałam, że sprawdzam coś w telefonie. Kroki ustały. Znowu rzuciłam okiem za siebie, ale na ulicy były tylko cienie. Ponownie ruszyłam, coraz bardziej zaniepokojona, i postanowiłam nie czekać, żeby zadzwonić do Teo. Rozmowa z kimś sprawi, że poczuję się pewniej. Po kilku sygnałach, mimo moich usilnych szeptanych próśb, włączyła się poczta głosowa. Rozłączyłam się wkurzona. Trochę bardziej przyspieszyłam. Przeszłam na czerwonym świetle. Do hotelu zostało mi zaledwie kilka przecznic, ale ten odcinek wydawał się nieskończony. Ze strachu i pośpiechu zdyszałam się i spociłam.

Gdy dostrzegłam szyld hotelu, usłyszałam, że kroki za mną przyspieszają. Już biegłam, a mimo to coraz bardziej się zbliżały. Do wejścia zostało mi tylko kilka metrów, wokół panowało zamieszanie, przybywali goście. Musiałam się dostać do środka... Dokładnie w chwili, kiedy pomyślałam, że zacznę krzyczeć, jeśli poczuję czyjś dotyk, ktoś wyprzedził mnie biegiem i mocno popchnął, sprawiając, że straciłam równowagę. Potknęłam się i niemal upadłam.

– Ej! – zaprotestowałam.

Mężczyzna odwrócił się, nie zatrzymując. Wełniana czapka zakrywała mu głowę do brwi, podniesiony kołnierz zasłaniał policzki. W świetle latarni udało mi się dostrzec tylko jego malutkie oczy. Odniosłam wrażenie, że nieznajomy uśmiechnął się do mnie jakoś tak strasznie

i natychmiast odszedł. Stałam ogarnięta dreszczem paniki, patrząc, jak się oddala, aż zniknął za rogiem.

W tej samej chwili poczułam, że ktoś mnie dotknął w ramię. Wystraszona odskoczyłam gwałtownie i wrzasnęłam.

– Ana...

– Alain! – krzyknęłam, rozpoznawszy go, trochę zaskoczona, a trochę z ulgą i oburzeniem. – Kurwa, ale mnie wystraszyłeś! – rzuciłam po hiszpańsku. Z Alainem rozmawiałam po francusku, ale kiedy się zezłościłam i musiałam zakląć, zawsze robiłam to po hiszpańsku, w języku z całą pewnością najbogatszym w przekleństwa.

Spojrzał na mnie zakłopotany.

– Przepraszam...

Wciąż zdyszana i z czołem pokrytym potem, chciałam po prostu usiąść, od razu, na ziemi, albo przynajmniej skulić się, żeby złapać oddech. Poczucie godności zmusiło mnie jednak do stania. Tylko rozpięłam płaszcz, dyszałam i wachlowałam się, żeby ochłodzić szyję i twarz.

– Wszystko w porządku? – Podszedł o krok. Ja odsunęłam się o krok, odruchowo.

– Tak... Tak... Tylko... biegłam. Co ty tu robisz? Nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw zadzwonić, zanim się ze mną spotkasz?

Moja wrogość zaskoczyła nawet mnie. Ale nie potrafiłam kontrolować emocji.

– Tak... tak... Irina powiedziała, że cię powiadomi... I nie wiem, nie sądziłem, że aż stracisz oddech na mój widok – zażartował, marszcząc czoło. – Naprawdę wszystko w porządku?

Skinęłam głową bez przekonania i przyglądałam mu się przez chwilę, nie wiedząc, co robić.

– Muszę wejść. – Wskazałam wzrokiem drzwi do hotelu.

– Odprowadzę cię – oznajmił zdecydowanie.

Ja dalej stałam w miejscu.

– Wiesz... Nie... nie jestem pewna, czy to dobry moment. Nie spodziewałam się ciebie. Teraz. To znaczy... Nie spodziewałam się tego.

– Dobrze, przepraszam, że nie poprosiłem o audiencję. – Nie ukrywał, że wkurza go moje zachowanie. – Jednak, Ano, musimy porozmawiać.



KWIECIEŃ 1945

U-bootami w Berlinie nazywano Żydów, którzy uniknęli wywózki i żyli w ukryciu. Z około pięciu tysięcy, bo na tyle szacowano ich liczbę w stolicy, między tysiąc czterystu a tysiąc siedmiuset zdołało dotrzeć do maja 1945 roku. Przeciwnie do tego, co można by sądzić, nie żyli ukryci w piwnicach ani na strychach, bez kontaktu ze światem zewnętrznym; ich strategia przetrwania opierała się na częstej zmianie miejsca i wmieszaniu się w resztę społeczeństwa, żeby pozostać niezauważonymi. W tych staraniach najważniejsza była pomoc aryjskich przyjaciół i sąsiadów. Niewielu w Berlinie ryzykowało aktywną pomoc Żydom, w większości przypadków bardziej z powodu mieszanki strachu przed represjami, niewiedzy i negacji przerażającej rzeczywistości Holokaustu niż antysemityzmu. Jak wskazał pewien historyk, przeciętny Niemiec „wiedział dość dużo, żeby wiedzieć, że lepiej nic nie wiedzieć”.

Dziewczyna sumiennie podzieliła chleb na kawałeczki i posmarowała je marmoladą. Potem podawała je Ramirowi, jeden po drugim. Od czasu do czasu dawała mu się napić wody, żeby łatwiej mógł przełknąć. W ten sposób go karmiła. Równie sumiennie czuwała, żeby nie spadł z pryczy, gdy się na niej rzucał nieprzytomny, przemywała mu rany, ocierała pot z czoła, szeptała mu słowa otuchy i pocieszenia.

Przez ostatnie dni chłopak stopniowo odzyskiwał świadomość. Bóle ustąpiły i chociaż ciągle nie mógł się poruszyć, czuł, że przybywa mu sił. Niebawem całkowicie do siebie dojdzie. Przyzwyczał się już do tego starego urazu, który wbrew temu, co mogło się wydawać, nie miał nic wspólnego z tak bliską eksplozją radzieckiego pocisku artyleryjskiego. Przypadek kliniczny. Nerwica. Paraliż histeryczny. Takie między innymi terminy wypowiadali badający go lekarze.

Tak czy inaczej ciągnęło się to od czasu, kiedy został ranny pod Teruel w marcu 1937 roku. Wstąpił do wojska, gdy tylko osiągnął wymagany wiek. Jednak jego wojenna przygoda trwała krótko: ledwie miesiąc, do czasu, aż wybuch wyrzucił go w powietrze, a następnie zasypał gradem odłamków. Resztę wojny spędził na operacjach w kolejnych szpitalach. W teorii rany już zostały zaleczone, ale od czasu do czasu paraliżowało go od pasa w dół. Wszystko zaczynało się od mrowienia w stopach, potem pojawiały się ból, gorączka i słabość mięśni, aż do punktu, kiedy nie był zdolny utrzymać się na nogach. Przebadano go wielokrotnie, ale nikt nie potrafił znaleźć organicznej przyczyny jego przypadłości. To wszystko nerwy, mówili.

Skoro tak, to miało sens, że napięcie, strach i przerażenie tym, że znowu znalazł się na pierwszej linii walk, spowodowały jego załamanie. Miał szczęście, że ona tam była i że nie odstępowała go na krok.

Na imię miała Ilse. Ilse Berlak. I była Żydówką.

Przez ostatnich kilka dni mieli okazję się poznać. Długo rozmawiali w ten niekończący się czas, kiedy nie dawało się rozróżnić dnia od nocy ani rejestrować upływu godzin, gdy na zewnątrz trwało piekło bitwy, a w środku ta grupa dziwnych mieszkańców starała się zachować zdrowy rozsądek, siedząc ściśnięta w klaustrofobicznej ciemności.

Kiedy Ramiro po raz pierwszy poprzez opary maligny zdołał przyjrzeć się Ilse, pomyślał, że może to być anioł. Jej rozpuszczone włosy miały kolor pszenicy, małe żywe oczy były intensywnie błękitne i odcinały się na tle twarzy o idealnych proporcjach, choć nieco wyostzonych z braku jedzenia rysach, ale i tak pięknej i wyrazistej. Mówiła słodko, szeptem i z każdym słowem jej spierzchnięte pełne usta wykrzywiały się delikatnie, ukazując doskonałe zęby.

Jej ojciec był dentystą. Do czasu, aż zakazano mu prowadzenia praktyki i wkrótce wywieziono do obozu koncentracyjnego. Pewnego majowego dnia 1942 roku ojca, matkę i siostrę wsadzono na pakę ciężarówki. Ilse nigdy więcej nie miała od nich wiadomości; słyszała tylko straszne pogłoski, ale nie chciała w nie wierzyć, bo żyła w cywilizowanym, nowoczesnym społeczeństwie, w którym ludzi nie traktowano w taki sposób. Ją uratowała sąsiadka; w dniu, w którym Gestapo zatrzymało jej rodzinę, Frau Krammer usłyszała, jak idą do ich mieszkania, i wracając do domu Ilse ukryła u siebie. I tak dziewczyna przetrwała jakiś czas. Gdy pewnego dnia listonosz przyniósł wezwanie zaadresowane do Ilse, pani Krammer powiedziała mu, że Fräulein Berlak została wywieziona. „Przeniesiona pod niewiadomy adres na wschodzie”, zanotował mężczyzna, używając subtelnego eufemizmu. I wtedy jej nazwisko znikło z rejestrów, a ona znalazła się wśród U-bootów, okrętów podwodnych; stała się niewidzialna, ukryta w głębinach społeczeństwa zdanego na nazistów.

Pierwsze, co zrobiła, to odpruła gwiazdę z ubrań i udała się do aryjskich przyjaciół. Cała sprawa polegała na tym, żeby nie spędzać za dużo czasu w tym samym miejscu, żeby pozbyć się wszelkich przyzwyczajęń, w przeciwnym bowiem razie ryzyko rosło. Członkowie NSDAP, informatorzy Gestapo, żydowscy zdrajcy czy dowolna osoba z długami – wszyscy oni mogli donieść na U-boota. Byli też dobrzy ludzie, którzy jej pomagali. Jak Frau Krammer albo rodzina jej najlepszej przyjaciółki ze szkoły, u której mieszkała przez kilka miesięcy; tyle, ile mogła, żeby nie narażać na niebezpieczeństwo swoich dobroczyńców i siebie.

Potem poznała Simona, też Żyda, który żył w ukryciu i należał do komunistycznego ruchu oporu. Zakochali się w sobie, więc zamieszkała z nim w zakonspirowanym mieszkaniu, ale któregoś dnia Gestapo zrobiło łapankę w budynku. Simon został zatrzymany; ona się uratowała, bo w tym czasie nie było jej w domu. Już nauczyła się tak żyć: nieustająco uciekając, zawsze oglądając się za siebie, kłamiąc, kradnąc, a przy tym cały czas wyglądając nienagannie, jakby była dobrze sytuowaną Aryjką, chociaż musiała się czesać i malować w publicznym szalecie.

Jednak wraz z upływem czasu jej zasoby się kończyły i od początku roku mieszkała na ulicy: spała w parkach i na stacjach metra, nawet na żydowskim cmentarzu Weissensee, na co rabin przymykał oko. W marcu, kiedy nasiliły się bombardowania i nie było już środków ani ochoty, żeby ścigać Żydów, ta piwnica, w której się znajdowali, zmieniła się w jej dom.

Pewnego dnia, gdy rozeszła się plotka, że władze rozdają jedzenie o kilka ulic stamtąd, dziewczyna zaryzykowała i pod bombami udała się po prowiant. To wtedy natrafiła na Ramira, rannego i nieprzytomnego pośród gruzowiska.

– Walczyłem wraz z nazistami, a jednak mnie uratowałeś, dlaczego?

Kiedy Ramiro zadał jej to pytanie, Ilse ograniczyła się do wzruszenia ramionami i odpowiedziała:

– Bo inaczej byś umarł.

Ilse była bardzo młoda i nadzwyczajna. Nie była aniołem, ale oczywiście Ramiro uważał, że zesłało ją niebo. Kiedy tylko wyzdrowieje, to on się nią zajmie, będzie jej bronił, pomoże jej odnaleźć rodzinę, wynagrodzi jej te wszystkie lata niesprawiedliwego i niezасłużonego cierpienia, uczyni ją najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Już wszystko obmyślił. Najpierw porzuci tę piwnicę, Ilse już zbyt długo żyła w ukryciu, i pójdą do antykwariatu na Friedrich-Karl-Platz, do domu Corneliusa Althanna. Modlił się o to, żeby ciągle stał i żeby mogli w nim zamieszkać do czasu, aż uda mu się znaleźć sposób na opuszczenie tego miasta. Może Cornelius wyjdzie z więzienia teraz, kiedy jego oprawcy upadli. On mógłby im pomóc. Potem wreszcie wróci do Hiszpanii i zabierze Ilse ze sobą, nawet jej rodzinę, jeśli ją znajda. Jej ten pomysł bardzo się podobał.

– Jak to możliwe, że żyjąc w tak pięknym słonecznym kraju, wpadłeś na pomysł, żeby

przenieść się do Berlina?

Szkoda, że nie mógł jej wyjaśnić prawdziwego powodu. Szkoda, że nie mógł jej o tym powiedzieć. Może kiedyś opowie jej o medalionie.

Ilse podała mu ostatni kawałek chleba, suchy i twardy, trącający kurzem. Marmolada nie smakowała źle, wprawdzie ledwie wyczuwało się smak owoców, ale była słodka. Dziewczyna zdobyła ją po tym, jak bomba spadła na magazyn kolonialny. Jego zawartość znalazła się w zasięgu rąk głodnego tłumu, który w niecałe dwadzieścia minut go opróżnił. Całe szczęście, że akurat tamtędy przechodziła. Chleb dostała w zamian za puszkę groszku od kobiety zajmującej wraz z mężem i ciężarną córką ławkę przy wejściu do piwnicy. Tego rodzaju handel stał się już zwyczajem przypadkowych współlokatorów, którzy wzajemnie sobie pomagali.

– Chcesz, żebym pożyczyła talię, i zagramy w karty? – zapytała Ilse.

Ramirowi wydało się to znakomitym pomysłem. Zaprosili do gry również młodego Brunona, który zabijał czas, skręcając warkocze z wełny w słabym świetle świec, i tak zebrało się ich troje do gry w skata.

Niestety zabawa nie trwała długo. Rozgrywali pierwszą partię, kiedy usłyszeli walenie w drzwi. Świece zgasły w przeciągu, a wewnątrz, nagle zlodowaciałe, omiotły dwa snopy światła; nikt się nie odzywał, nikt się nie poruszał. Przerażeni i skuleni w sobie mieszkańcy piwnicy po raz pierwszy w życiu zobaczyli radzieckiego żołnierza, dwóch w zasadzie, w oliwkowych mundurach pokrytych pyłem.

– *Tag, Russki!* – Jeden z nich zasalutował ze stężoną miną. Wyglądał na pijanego.

Weszli do środka, przechodząc pośród nieruchomych ze strachu ciał.

– Zegarek? Zegarek? – Drugi wskazywał na nadgarstek i szukał zegarków, ciągnąc ludzi za ręce.

Po kolei oświetlali latarkami twarze zebranych, które się wykrzywiały. Doszli do młodego Brunona; czternaście lat, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, chudy, z potarganymi blond włosami. Wymierzili w niego karabin.

– SS? SS!

– Nie! Nie!

Matka chłopaka, Ramiro, Ilse i inni nagle nabrali życia i zaczęli wyjaśniać, wprawdzie gestami, że Bruno nie jest esesmanem, tylko wysokim dzieckiem. Ale to nie te wysiłki odwróciły uwagę od chłopaka, lecz sama Ilse. Rosjanin oświetlił jej twarz i uśmiechnął się, pokazując rząd żółtych zębów, jeden z nich był złoty. Poglaskał jej włosy wielką dłonią pełną odcisków i strupów, patrząc na nią, jakby nigdy nie widział takiej kobiety. Wtedy Ramiro zrozumiał.

– Zostaw ją! Zostaw ją w spokoju! – rozkazał mężczyźnie, przewracając się na prycy w swojej paralitycznej niemocy.

Żołnierz zignorował go. Razem z kolegą zachwycali się dziewczyną, oczy mieli skażone żądzą.

– To Żydówka! To Żydówka! – ktoś zawołał. – *Jewriejka!*

Oni odpowiedzieli śmiechem.

– Kobieta to kobieta! – zauważył jeden z nich, chwytając ją za rękę i ciągnąc do wyjścia.

Ilse krzyknęła, próbowała się uwolnić, ale żołnierzy było dwóch, i to znacznie silniejszych, więc opanowali ją bez kłopotu. Ramiro czuł, że zaraz eksploduje z wściekłości.

– Nie! Puśćcie ją! Zostawcie ją w spokoju! Nie!

Rzucił się, żeby wstać z prycy, ale ledwie dotknął nogami ziemi, te się pod nim ugięły i upadł. Poczołgał się więc, gotowy na wszystko, żeby tylko uwolnić Ilse, równocześnie dając upust furii i frustracji, świadomy bezsensu swoich wysiłków, ale niezdolny beczynnie leżeć.

Nagle ponad rozpaczliwymi krzykami dwojga młodych ludzi rozległ się autorytarny

wrzask, który zmroził całą scenę:

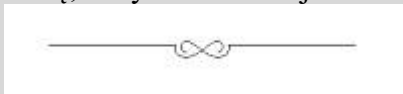
– Stoj!

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi, skąd trzeci radziecki żołnierz mierzył w sufit z pistoletu, gotowy wystrzelić, jeśli tak będzie trzeba.

Arogancja dwóch pozostałych w jednej chwili wyparowała. Nowo przybyły, który musiał być oficerem, skierował do podwładnych przemowę po rosyjsku, wygłaszaną tonem energicznej reprimendy. Odesłał ich zaraz na ulicę i tylko brakowało, żeby skopał im tyłki, tak wydawał się wzburzony.

Zaległa natychmiastowa cisza. Oficer, stojąc pośrodku piwnicy, ściągnął na siebie ciekawskie spojrzenia, sam za to, jakby chcąc wytłumaczyć całe zajście, jedynie niewzruszenie popatrzył na Ilse, która skulona w kącie, z zapłakanymi oczami i potarganymi włosami, zapinała skromnie żakiet. Potem odwrócił się do Ramira, rozciągniętego na podłodze, dyszącego z nerwów i wysiłku.

Wtedy, dokładnie w tamtej chwili, w której ich spojrzenia się spotkały, Ramiro zdał sobie sprawę, że tym oficerem jest kobieta.



– Mama nie żyje.

Eric spojrzał na Seba. Dzieciak popychał na łóżku mały samochodzik zrobiony z puszki po śledziach. Wydawało się, że to tak tragiczne zdanie nie mogło wyjść z jego usteczek.

– Wiem – przytaknął Eric, nie znajdując słów wyjaśnienia.

W piwnicy szpitala od samego rana panował niezwykajny spokój. Jeden z pielęgniarzy siedział przy okienku i przez szparę w deskach, które je zasłaniały, zobaczył, że na zewnątrz wszędzie ściele się dym, ale jest pusto. Wystrzały radzieckiej artylerii było teraz słycać z większej odległości, za Kanałem Landwehry.

Seb od kilku dni nie miał już gorączki. Wszystko wskazywało na to, że infekcja ustępuje; odzyskiwał energię, miał ochotę skakać po łóżku i biegać po w sali.

– Staruszek Herr Shirer też umarł – dodał maluch. – Widziałem go, jak leżał po bombardowaniu. Był dobry. Zawsze miał cukierki w kieszeni. I dawał mi. Po jednym, żeby nie zniszczyły mi zębów. Mama powiedziała, że go więcej nie zobaczę i że już nie da mi cukierków. To jest śmierć, prawda? Już więcej ludzie cię nie zobaczą. Tak jak kota Frau Hesler. Przejechał go tramwaj i już go więcej nie widzieliśmy. Chociaż to był kot, nie człowiek. Twoja mama też umarła?

– Tak.

– A twój tata?

– Nie wiem. Dawno go nie widziałem.

Seb wzruszył ramionami, zacisnął usta i zmarszczył piegowaty nos w bardzo charakterystycznej dla siebie minie.

– Nie musisz się martwić, tato. Jeszcze masz mnie. A ja mam ciebie. Ty nie umrzesz.

Eric uśmiechnął się ze ściśniętym z emocji gardłem, kręcąc głową. Potem pocałował syna w czoło, pośrodku tej zbuntowanej grzywki, ciągle spadającej mu na oczy, skośnawe i szare jak u ojca. Po matce odziedziczył jasne włosy i okrągłą buzię.

– Myślisz, że moglibyśmy pojechać do twojego taty? Fajnie by było mieć dziadka. Może też będzie miał cukierki w kieszeni, jak Herr Shirer.

Pojechać do ojca... Co też może się dziać z Corneliussem Althannem? Czy żyje?

Ostatni raz widział go pod koniec 1940 roku, kiedy przybył właśnie ze złą wiadomością

o śmierci matki. Potem już Eric nie rozmawiał z nim, z rzadka tylko pisali do siebie, lecz korespondencja urwała się, nawet nie pamiętał kiedy. Stary nie wiedział nawet, że jego syn się ożenił i dał mu wnuka.

Eric był bardzo zajęty, skupiony na pracy. Żyli w ciężkich czasach. Wojna. Mógł wymienić liczne usprawiedliwienia. Nauka była jednym z nich, zawsze. Kiedy studiował na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma, nigdy nie znajdował czasu, żeby odwiedzić Corneliusa, mieszkającego zaledwie o kilka ulic od kampusu.

Eric był inżynierem. Pasjonował się aeronautyką, podróżami w przestrzeni kosmicznej. Z nostalgią wspominał ten etap studiów i czasy, gdy był członkiem Verein für Raumschiffahrt, Towarzystwa Podróży Kosmicznych. Wtedy cieszył się tą pasją dzieloną z innymi marzycielami takimi jak on, pragnącymi wyjść poza krańce Ziemi i eksplorować kosmos. To był czas szalonych pomysłów, które wydawały się możliwe do zrealizowania, planów, wynalazków, pierwszych prób prawdziwych rakiet... Tam poznał Wernhera von Brauna i się zaprzyjaźnili. Potem Wernher został jego kolegą inżynierem i zwerbował go do Peenemünde. Może to były najlepsze chwile jego życia? Bez wątplenia tak.

A jednak wszystko stało się dziwne, kiedy wojsko zainteresowało się projektem towarzystwa i chciało, żeby dla niego pracowali. Jedni byli gotowi na to przystać, wśród nich von Braun; inni nie. W końcu wewnętrzne niesnaski spowodowały, że towarzystwo się rozpadło. Potem naziści zabronili zrzeszania się w prywatnych kołach projektujących rakietę.

Całe szczęście profesor Kardaszew, fizyk z Leningradzkiego Uniwersytetu Państwowego, którego poznał w Getyndze podczas wakacji, zasugerował mu wystąpienie o stypendium doktoranckie i zaproponował, że poprowadzi jego doktorat. Dobrze było wyjechać na jakiś czas z Niemiec, gdzie środowisko uniwersyteckie dusiło się z powodów politycznych. Nie planował zostać w Związku Radzieckim, ale w 1936 roku zaoferowano mu stanowisko w Instytucie Badawczym Napędów Odrzutowych, RNII, w Moskwie. Przydzielono go do sekcji silników rakietowych, gdzie pracował z najważniejszymi radzieckimi badaczami. Bardzo dużo skorzystał na tym etapie, będąc całkowicie oddany swojej pasji w środowisku całkowicie oddanym badaniom, eksperymentom i rozwojowi prototypów, wraz z kolegami tak jak on zakochanymi w swojej pracy.

Nie było go w Niemczech ponad cztery lata. Rodzicom wysyłał w tym czasie tylko rytualne pocztówki na Boże Narodzenie, w których ograniczał się do złożenia podpisu pod wydrukowanymi życzeniami. Eric nigdy nie lubił tych świąt, bo obnażały wszystkie jego słabości.

Nauka była pretekstem. Także schronieniem, w którym był szczęśliwy, w którym czuł uznanie i zrozumienie. Nie mógł powiedzieć tego samego o rodzinie.

Rodzina była obca. Dysfunkcyjna i rozproszona. Jego rodzice rozstali się, kiedy Eric był mniej więcej w wieku Seba. Nigdy nie wzięli ślubu. Przez jakiś czas żyli razem we względnej harmonii, aż Hannah odeszła, zabierając ze sobą Erica. Matka z synem zamieszkali w Dreźnie.

Eric nie wiedział, z jakiego powodu się rozeszli. Jedyne, co rozumiał, to że jego rodzice różnią się od innych rodziców, są dziwni.

Hannah spędzała dni przygnębiona, nafaszerowana tabletkami utrzymującymi ją w chmurach, z których schodziła tylko po to, żeby ćwiczyć śpiew przed lustrem, ze zmierzwiionymi włosami, twarzą pokrytą makijażem i w jednej z kilku scenicznych sukienek, nieodpowiednich do robienia ciasta, bawienia się w ogrodzie albo przytulania się. Była sopranistką o pewnej renomie i Eric zawsze odnosił wrażenie, że matka wini go za zniszczoną karierę; w każdym razie jego narodziny.

Co do Corneliusa – był ekscentrykiem oddanym swojemu sklepowi ze starymi rzeczami, ezoterycznym lekturom, podróżom; wyjeżdżał często i na dłużej... Gdy Eric był nastolatkiem, czasem nawet wstydził się ojca, jego długich kręconych, siwych włosów, ekstrawaganckich

muszek i płaszczy jarmarcznego jasnowidza, które czasem się za nim ciągnęły, bo był niskiego wzrostu. Eric odwiedzał go raczej z obowiązku niż przywiązania.

Oczywiście pamiętał czas, kiedy czuł się zdradzony przez oboje; w świecie tych olśniewających istot nie było dla niego miejsca. Ani dla nikogo innego. Do takiego wniosku doszedł, kiedy jego mama znowu sobie kogoś znalazła, dobrego człowieka; Eric od razu go polubił, a jednak ten związek też nie przetrwał. To niepowodzenie było dla niego dowodem, że rodzice tolerują tylko siebie samych, że kochają sami siebie ponad wszystko; i to im zarzucał.

Chociaż wraz z upływem czasu... inaczej widzi się sprawy, kiedy człowiek przestaje być niepewnym siebie nastolatkiem, zajęтым sobą i pełnym żalu. Może śmierć matki była punktem zwrotnym: zdanie sobie sprawy, że wszystkie problemy przeszłości nagle tracą znaczenie, bo jest za późno, żeby je naprawić. Z tego powodu chciał naprawić relacje z Cornelusem. Wtedy jednak wybuchła wojna. I znowu nauka. Znowu usprawiedliwienia, schronienia.

Minęły cztery lata, a on nie miał żadnych wiadomości o ojcu, nawet nie próbował się niczego dowiedzieć. Może miał zapisane w genach to uciekanie od rodziny? Może też stał się olśniewającą istotą, która w swoim świecie nie ma przestrzeni dla niczego więcej niż nauka? A jeśli Ursula miała rację?

Ta myśl zepsuła mu nastrój. Eric najbardziej się bał, że jego relacja z Sebem będzie tak zła jak jego relacja z ojcem. Obawiał się, że syn nie będzie miał prawdziwej rodziny, tak jak on jej nie miał. A jeśli popełnia te same błędy co jego rodzice? Czy zdąży je naprawić?

Przytulił małego i znowu go pocałował.

– Tak, myślę, że możemy pojechać do mojego taty. W sumie to jest wspaniały pomysł – podsumował, mając nadzieję, że dom antykwariusza przy Friedrich-Karl-Platz jeszcze stoi.



JUŻ NIE GRAMY W TEJ SAMEJ DRUŻYNIE

W końcu trochę się uspokoiłam. Po przejściu do recepcji hotelu, gdzie napiłam się wody i chwilę posiedziałam, dzięki czemu odzyskałam równowagę, Alain zaproponował, żebyśmy razem zjedli kolację. W pierwszym odruchu chciałam odrzucić to zaproszenie: ani nie byłam głodna, ani nie miałam ochoty iść z nim do restauracji. Ale mój zdrowy rozsądek się sprzeciwił. Nie miałam innego wyjścia, niż stawić czoło tej sytuacji dojrzałe i ze spokojem.

Alain wybrał lokal w pobliżu. Nowoczesny z kuchnią międzynarodową, to znaczy, że mieli tam zarówno miskę ramenu, jak i pizzę, dania ostatnio bardzo popularne wśród trzydziestolatków w Petersburgu. Znajdował się na szczycie budynku, skąd cała przeszklona ściana dawała przepiękny widok na sobór Świętego Izaaka. Klientela była różnorodna: turyści, przede wszystkim ze Wschodu, piękne kobiety w towarzystwie ostentacyjnych mężczyzn, którzy mogliby być ich ojcami, ale ewidentnie nimi nie byli, grupki dziewcząt gotowych do zabawy, kilka par... Muzyka, lista aktualnych wielkich przebojów, od Eda Sheerana do Bad Bunny'ego, rozbrzmiewała zbyt głośno. Ach, gdyby Lenin podniósł głowę...

Gdy tylko weszliśmy do środka, zdjęłam płaszcz. Stał się już zbędny, było mi dziwnie gorąco. Potem poprosiłam o martini z wódką, to też było dziwne, bo nigdy nie zaczynam posiłku od wysokoprocentowych alkoholi. Wypiłam niemal jednym haustem połowę kieliszka, jakby to była woda. Alain patrzył na mnie zdumiony. Natychmiast trochę bardziej się skupiłam.

Siedziałam tam z nim po tak długim czasie. Dzieląc stół jakby z nieznanym. A jednak to był mężczyzna, w którym się zakochałam, choć wieki temu.

Ciągle nie mogłam uwierzyć, że siedzi przede mną, w tych znoszonych dżinsach, pamiętej koszuli, z zawieszonym na szyi egipskim skarabeuszem na szczęście, którego nigdy nie ściągał, w podrapanych skórzanych butach i tej kurtce pilotce, autentycznej Irvin Jacket z czasów wojny, którą kupił na aukcji w Anglii i która tak bardzo mu się podobała. Przystrzyżone włosy wydawały się jaśniejsze na skroniach, może posiwiały. Zauważyłam też kilka zmarszczek wokół tych jego oczu w kolorze leśnej zieleni, w których tyle razy się zatopiłam. I nie golił się od trzech albo czterech dni, bo gdy robił to codziennie, miał podrażnioną skórę.

Zakłopotana odwróciłam od niego spojrzenie i zmusiłam się do uśmiechu.

– Boże... to jest bardzo dziwne. Od jak dawna nie rozmawialiśmy? Już z rok, co?

– Rok i dwa miesiące.

– I spójrz na nas. – Znowu popiłam martini. – Nagle jemy razem kolację jak gdyby nigdy nic, po drugiej stronie świata. A mnie się wydawało, że wyjeżdżasz do Stanów Zjednoczonych, żeby wieść osiadłe, rutynowe życie profesora...

– A ja sądziłem, że nie znosisz śledztw. Zdaje się, że nie lubiłaś śledztw ze mną.

Westchnęłam rozczarowana i wychyliłam kieliszek, zanim wyjaśniłam sprawę.

– Nie powtarzajmy tych samych scen pełnych wyrzutów typu „a ty bardziej”, „a ty gorzej”, na których skończyło się nasze małżeństwo, i nie powiesz, że było inaczej. Nie chcę do tego wracać, nie mogę...

– Oczywiście. Jaki sens ma rozmawianie o nas? Jesteśmy tutaj, żeby mówić o pracy.

W tym momencie wtrąciła się kelnerka z wesołym: „Już się zdecydowaliście?” po angielsku. Karty leżały na stole nieotwarte.

– Nie. Daj nam jeszcze chwilę...

– Ja się zdecydowałam – przerwałam Alainowi. – Poproszę sałatkę. – Otworzyłam kartę i wskazałam pierwszą z brzegu: – Tę. I następne martini proszę. Z wódką.

Zaskoczony moją nagłą decyzją Alain poczuł się zobowiązany coś wybrać. Nie zwróciłam uwagi na to, co zamówił.

– Jak rozumiem, nie będziesz chciała wina – zauważył, patrząc na pusty kieliszek i pewnie myśląc o tym, który już był w drodze.

– Co, dlaczego nie? Jeśli masz ochotę, będę ci towarzyszyć.

– Masz jakieś życzenia?

– Nie, ty wybierz.

Kiedy Alain wybrał butelkę czerwonego wina i żwawa kelnerka zostawiła nas, wróciliśmy do pełnej napięcia rozmowy.

– Tak, pojechałem do Stanów, żeby zostać osiadłym profesorem. – Sądząc po minie, chciał zażartować, ale w sumie mu nie wyszło. – To było ponad rok temu. Potem trochę się pozmieniało. Dalej jestem profesorem, jeszcze. Program badawczy nazistowskiej grabieży już działa. Ale dodatkowo pojawiła się ta sprawa... Sprawa... medalionu. – Ostatnie słowo wyszepiał, jakby się bał, że od wymówienia go zamieni się w kamień.

Zamilkł i spojrzał na mnie; nadeszła moja kolej, żeby się odezwać. Wydało mi się to przebiegłą grą, w której zwycięzcą będzie ten, kto uzyska więcej informacji w zamian za jak najmniej. Nie miałam na nią ochoty.

Na szczęście przynieśli mi drugie martini, więc solidnie popiwszy z kieliszka, poczułam się gotowa do mówienia bez ogródek.

– Wiesz, że ta rozmowa donikąd nie doprowadzi, bo o tej sprawie nie możemy mówić otwarcie. Już nie gramy w tej samej drużynie, Alain.

– Ale ja nie chcę z tobą rywalizować. Pomyślałem... Może... moglibyśmy współpracować.

Zamierzałam wyprowadzić go z błędu. Nie znałam jego warunków, ale nie mogłam o współpracy zdecydować samowolnie; podpisałam umowę o poufności, a poza tym dzielenie się informacjami, których nie zdobyłam sama, wydawało mi się nieetyczne. Zresztą Martin nie zgodziłby się na współpracę z Alainem. Nie mówiąc już o tym, że powinnam zostawić to śledztwo, które przynosiło mi tylko kłopoty osobiste.

Alain uprzedził mnie jednak, jakby czytał mi w myślach.

– Zastanów się, Ano. W gruncie rzeczy nikogo nie zdradzamy. Oboje doszliśmy do tego samego punktu: Fiodor Wojkow. Nie mam żadnego problemu, żeby ci opowiedzieć, jak do niego dotarłem.

– Oczywiście, a w zamian opowiem ci, jak ja do niego dotarłam. Nie mogę tego zrobić, Alainie. Nie ja o tym decyduję.

– Do cholery, nie musisz mi nic opowiadać, jeśli nie chcesz! – Zniecierpliwiał się. – Już mówiłem: nie chcę z tobą rywalizować. Dla mnie to nawet nie jest rywalizacja. Domyślam się, dla kogo pracujesz, wiesz już, że nigdy nie lubiłem tych typów. Nie podobają mi się ludzie, którzy potrafią działać tylko w mroku. Ale to twoja sprawa. Ja ze swej strony nie mam nic do ukrycia. Mnie interesuje wyłącznie sztuka.

– Nie próbuj mi tu prawić morałów. Mam już dosyć tej twojej postawy pana idealnego – ostrzegłam go, wypiwszy kieliszek do dna, zmęczona tym, że zawsze kończymy tak samo: to ja za każdym razem się myślę, a on, zawieszony ponad dobrem i złem, jest wyrozumiały i dobroduszny.

Nasza kelnerka, impertynencko jowialna, była jak przerwa na reklamy w środku horroru. Postawiła talerze na stole i namolnie przypomniła nam, co zamówiliśmy, jakbyśmy o tym nie wiedzieli. Potem, niczym sommelier z restauracji z gwiazdkami Michelina, wręcz ceremonialnie otworzyła wino i zapytała nas, kto go spróbuje. Alain szybko to zrobił, pewnie przekonany, że ja

chlapanę coś nieodpowiedniego; kelnerka radośnie przyjęła aprobatę butelki za dwadzieścia euro, jakby chodziło o Grand Cru Classé, nalała nam po kieliszku i po „Wszystko w porządku, kochani?” wreszcie sobie poszła.

Cała ta scenka dała mi dość czasu, żebym mogła się zastanowić i ochłonać.

– Przepraszam. Nie powinnam cię była atakować. Wycofuję to, co powiedziałam.

Alain kiwnął głową w milczeniu. Potem zabrał się do jedzenia ze wzrokiem wbitym w talerz. Minęła mu ochota na rozmowę. Wiedziałam o tym. Zawsze milkł i jadł kompulsywnie, kiedy był w złym humorze.

Spojrzałam na kieliszki. W dawnych dobrych czasach przed pierwszym kieliszkiem wznieśliśmy toast. Teraz nikt z nas nie uczynił tego gestu. Upiłam łyk. Myśli mi się rozjaśniły, udało mi się połączyć kilka luźnych wątków, przynajmniej jeden.

Ależ ze mnie idiotka! Od razu powinnam się była domyślić. Martin wiedział, że Alain też szuka medalionu. Stąd to głupie czasopismo w jego walizce! I nawet nie przyszło mu do głowy, żeby mi o tym wspomnieć. Ile jeszcze rzeczy przede mną zataił? Co za palant... Pieprzyć poufność, lojalność i te wszystkie pierdoły!

Dopełniłam sobie kieliszek. Kieliszek Alaina stał nietknięty.

– Martin Lohse poprosił mnie o pomoc. – Popiłam. – Jeśli się tego domyślałeś, to słuszenie.

Alain uniósł głowę i znowu przytaknął bez słowa, może dlatego, że miał pełne usta. Odłożył sztućce, gotowy uważnie mnie posłuchać.

– Poprosił, żebym mu pomogła w pracy archiwistycznej. – Wzruszyłam ramionami, jakbym mówiła coś niemal oczywistego. – Po *Astrologu*... Sam rozumiesz... Sądzą, że jestem w tym dobra. I zawsze uważali, że jest jakieś połączenie między *Astrologiem* a medalionem. Georg von Bergheim je odkrył. Kiedy szukał *Astrologa*, jeden oficer SS poprosił go o możliwość przesłuchania Alfreda Bauera. Powiedział, że przysłało go SD w poszukiwaniu medalionu. W sumie jednak okazało się to nieprawdą. Facet naprawdę był z Gestapo i na pewno działał na własną rękę. Ale on nas doprowadził do Wojkowa.

Koniec. Oparłam się wygodnie. Twarz Alaina była bardziej rozluźniona. Moja pewnie też. Nagle poczułam się zmęczona, ale mniej spięta; może nawet mi ulżyło. Bawiłam się pustym kieliszkiem; odczekałam chwilę, zanim znowu nalałam sobie wina.

– W moim przypadku – zaczął Alain – chodzi o zlecenie Salomona Kahna.

Salomona Kahna? Taaa... Teraz zaczynałam również rozumieć inne rzeczy.

– Jest on jednym z najważniejszych dobroczyńców Harvardu. W sumie to on należał na stworzenie programu badawczego nazistowskiej grabieży i w znacznej mierze go finansuje. Jest też masonem, należy do Wielkiej Loży z Connecticut. Kiedy Bonatti został zamordowany, a krótko potem w tajemniczy sposób zwrócono listy Niccolò Niccolego Bibliotece Laurenziana i w światku sztuki rozdzwoniły się wszystkie alarmy, zlecił mi zbadanie tej sprawy. Ognisty Medalion jest swego rodzaju obsesją rodzinną Kahnów, masonów od pokoleń. Wszystko zaczęło się od dziadka Salomona, Ezry Kahna, Żyda ze Śląska, który w 1864 roku w wieku zaledwie piętnastu lat wyemigrował do Stanów i podjął pracę tragarza w brooklińskim porcie, a skończył jako właściciel jednej z największych kompanii statków handlowych w kraju. Typowy przykład *American dream*. Rzecz w tym, że już stary Kahn próbował zdobyć medalion. Historia sięga 1922 roku, kiedy poznał dziwnego człowieka, Siergieja Trufanowa, znanego też jako mnich Iliodor. Swoją drogą, niezłe ziółko! Iliodor był jednym z największych podżegaczy, kontestatorów i intrygantów na rosyjskim dworze. Nie był tak ważną postacią jak Rasputin, ale miał sporo wielbicieli swoich kazań. Początkowo sam Rasputin należał do jego stronników, ale ostatecznie zwrócili się przeciwko sobie. Stali się tak zażartymi wrogami, że w 1914 roku Iliodor próbował

zamordować Rasputina, ale wcześniej zorganizował przeciwko niemu i carowej kampanię oszczerstw. Książki historyczne mówią, że to zawiść karmiła tę wrogość. Jednak sam Iliodor miał inną wersję. Najwyraźniej kiedy jeszcze było między nimi dobrze, Rasputin podczas jakiejś pijackiej nocy, gdy rozwiązał mu się język, opowiedział zdumiewającą historię. Okazało się, że szalony mnich od lat był na tropie relikwii o wielkiej mocy. Możesz sobie wyobrazić, o którą chodzi. Jego poszukiwania skończyły się na podróży do Ziemi Świętej w 1911 roku. Tam odnalazł ostatni element, który wskazał mu miejsce ukrycia Ognistego Medalionu. Był nim Sankt Petersburg, gdzie mieszkała rodzina bałtyckich Niemców opiekująca się medalionem od wieków.

– Rodzina Fiodora Wojkowa, Voiken przed zruszczeniem nazwiska.

– Zgadza się! Tak więc Rasputin, z tym swoim talentem do intrygowania i czarem, który działał na kobiety, zaczął się zalecać do Marii Radzińskiej, z domu Wojkowej, ciotki Fiodora, jak się zdaje.

– I ona wpadła w pułapkę.

– Oczywiście. W ten sposób, krótko mówiąc, Rasputin wszedł w posiadanie Ognistego Medalionu. Iliodor uważał, że szalony mnich jest zbyt niebezpiecznym człowiekiem, by dysponować tak potężną relikwią. Dlatego próbował go zabić i odebrać mu medalion.

– Jak książkę Jusupow i inni rosyjscy masoni.

– Tak jest. Wtedy plotki o Ognistym Medalionie krążyły już po całym dworze. Rzecz w tym, że Rasputin wręczył medalion carowej, by go chronić przed ludźmi, którzy wyciągali po niego ręce, ale wkrótce doszło do zwrotu akcji i medalion trafił w ręce bolszewików, niezwiązanych z intrygami carów, szlachty i mnichów. W ten sposób historia medalionu zamieniła się w legendę. Jednak Iliodor dalej go tropił. Spędził kilka lat za granicą, bo musiał uciekać z Rosji przed wymiarem sprawiedliwości, ścigany za próby zamordowania Rasputina, ale wrócił w 1922 roku gotowy zdobyć relikwię. I trafił na nią w kolekcji cesarskich klejnotów, wtedy w rękach Sowietów.

– Ale dlaczego powierzył tę historię Ezrze Kahnowi?

– Bo potrzebował kogoś wpływowego z pieniędzmi. I nie chciał, żeby Jusupow i rosyjska masoneria, szlachecka, wyprzedzili go w wyścigu po klejnot. Iliodor zaproponował Kahnowi, że razem będą chronić medalion, jak robili to Wojkowowie. Tyle że z dużym prawdopodobieństwem dla jednego ze współników ta spółka mogła się skończyć na dnie rzeki Hudson. Ezra Kahn był człowiekiem bardzo ambitnym, przywykłym do roli koguta w kurniku. Poza tym mówi się, że miał związki z mafią.

– A zatem na szczęście dla Iliodora nie znaleźli medalionu.

– Nie. Chociaż byli blisko. W 1924 roku Kahn nabył egzemplarz pierwszego wydania katalogu klejnotów Romanowów. Chciał wpłacić wadium na medalion, ale odpowiedziano mu, że do katalogu zakradł się błąd i że wycofano cały nakład, a wadium nie przyjęto. Potem w wydaniu z 1925 roku medalionu już nie było.

– W takim razie... czy istnieje choć jeden egzemplarz katalogu z 1924? – zapytałam oszołomiona.

– Tak. Ma go Salomon Kahn, schowany w bezpiecznym miejscu jako wielki skarb, którym niewątpliwie jest. Widziałem go. Medalion jest wyraźnie widoczny na jednej z fotografii.

– No popatrz... więc to prawda.

Skinął głową z uśmiechem.

– Dostałaś gęsiej skórki – zauważył.

– Tak – przyznałam nieco zawstydzona, chowając ręce pod stół.

Alain zawsze uważał za zabawne to, że ciągle z jakiegoś powodu dostaję gęsiej skórki. *Ma petite poulette*, „moja kurka”, nazywał mnie czule i rozcierał mi ręce, aż stawały się gładkie.

Teraz trzymał dłonie na stole, praktycznie nieruchome, poza nieznacznym drżeniem palców.

– Martin Lohse to spryciarz – stwierdził nagle. – Doskonale wiedział, co robi, zatrudniając cię do tej sprawy. Nie znam nikogo, kto angażuje się tak jak ty; daję głowę, że on też nie. To niesamowite, jak ty żyjesz tymi historiami, jak stają się twoje. I to czyni cię jedyną w swoim rodzaju, jeśli chodzi o śledztwa.

Słowa Alaina, jego miłe gęsty, ciepły ton przywołały tyle pięknych wspomnień... Wzruszyłam się i jednocześnie poczułam niezręcznie, byłam chyba nawet bliska łez, bo wtedy alkohol już mnie rozklejał. Po raz pierwszy tego wieczoru byłam wdzięczna za pojawienie się kelnerki, która przyszła zebrać nasze talerze. Dzięki niej nie musiałam nic mówić.



MAJ 1945

1 maja 1945 roku stacja radiowa z Hamburga przerwała program, aby ogłosić śmierć Adolfa Hitlera. Niemniej wiadomość została przyjęta ze sceptycyzmem, który przetrwał dziesięciolecia. Sam Stalin podsycał pogląd, że Hitler nadal żyje pod ochroną zachodnich rządów. Prawda jednak jest taka, że 5 maja kontrwywiad radziecki zlokalizował spalone szczątki Führera i jego małżonki Evy Braun w leju po bombie na dziedzińcu Kancelarii Rzeszy. Po analizie zuchwy asystentka dentysty Hitlera potwierdziła tożsamość zwłok. Z Kremla przysłyły rozkazy, żeby zachować ten fakt w tajemnicy, i rzeczywiście dane z radzieckiej sekcji zwłok ogłoszono dopiero w roku 1968. Dzisiaj nie ma już wątpliwości, że 30 kwietnia 1945 roku Adolf Hitler wraz z małżonką udali się do swoich pokojów w bunkrze Kancelarii, gdzie ona zażyła kapsułkę cyjanku, on zaś strzelił sobie w głowę.

Hitler nie żyje. Berlin się poddał. Wojna się skończyła.

„Misza, mój kochany Misza, wojna się skończyła. I ja jestem tutaj, w Berlinie, na ostatnim piętrze budynku bez dachu przy Kurfürstendamm. Słońce zachodzi za szkieletem kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. Czerwone słońce nad morzem szkieletów. Berlin jest miastem zrównanym z ziemią. Swoimi okopconymi albo płonącymi oknami patrzy nerwowo i z przerażeniem, wszędzie wokoło panuje zniszczenie. Miasto tysiąca oczu. U moich stóp widzę tylko szczerbate, pokręcone i puste sylwetki, dym, pył, nędzę. Ale wszędzie pełno jest łopoczących czerwonych flag. Wygraliśmy. Dzieci Matuszki Rossiji spacerują po Berlinie, mieście zrównanym z ziemią. Panuje dziwna cisza, skończyła się strzelanina i słychać tylko pijaną wrzawę towarzyszy. Wszystko się skończyło. Udało mi się, Misza. Udało mi się”.

Katia otarła kilka łez opuszkami palców i wyczuła na twarzy błoto. Zwycięstwo zawsze ma w sobie ziarno gorzkości. Jego cena bywa bardzo wysoka. Nie byłoby potrzeby zwycięstwa, gdyby nie było wojny. Jak ona jej nienawidziła.

– Jestem zła na wojnę – zapewniła Miszę w noc poprzedzającą jego wyjazd na front.
– Wygląda na to, że ona nigdy się nie kończy, ściga mnie, dokądkolwiek pójdę.

– No to już nie musisz się martwić. Teraz ja cię obronię przed nazistami. Wykopię ich z mojej Matuszki Rossiji. My, żołnierze radzieccy, skończymy tę wojnę, a ja to zrobię dla ciebie.

Te słowa Miszy pokazywały dobre intencje, ale ona nie chciała słuchać takich przechwałek. Nie w dzień, w którym on, w swoim ślicznym mundurze zmieniającym chłopca w mężczyznę, wyruszał na front.

– A jeśli sama się obronię? Mogę sama się obronić. Zaciągnę się do wojska tak jak ty, co o tym sądzisz?

– Nie możesz... Kobiety nie są stworzone do walki!

– Co za bzdura. Wiesz, że moja matka była bojowniczką? Walczyła i poległa na wojnie jako żołnierka. Mogłabym być jak ona. Tak samo jest w piłce nożnej. Też mówią, że nie jest dla dziewczyn, a jednak ty zawsze wybierałeś mnie do swojej drużyny, pamiętasz?

– Wybierałem cię tylko dlatego, że jesteś ładna. Zawsze mi się podobałaś, Katio, nie jako piłkarka, jako kobieta.

Katia uniosła wzrok ku apokaliptycznemu niebu Berlina. „Teraz jestem żołnierką, Misza. Już bym ci się tak nie podobała. Nawet sama sobie się nie podobam”.

Bardzo często zadawała sobie pytanie, dlaczego uległa lodowatemu uściskowi wojny.

Nawet teraz, po ostatniej bitwie, dręczyło ją to. Rezygnacja? Przekonanie? Oportunizm? Mieszanka wszystkiego, być może.

Podmuch wiatru załopotał jej peleryną. Śmierdziało spalenizną, trupem, gównem. Ale noc uszlachetniła miasto; ciemna plama upstrzona tu i ówdzie nielicznymi rozblysłkami. Wyglądało nawet ładnie.

Na tle tej czerni nagle zobaczyła obraz komisji uzupełnień w Gorodcu. Poranne wiosenne słońce wpadało przez okna, wiatr przynosił ze sobą ptasie trele i zapach kwitnących bzów.

– Przyszłam się zaciągnąć.

Sierżant siedzący za stołem tego zwykłego pokoju, zaopatrzonego w zdjęcie Stalina i czerwoną flagę, uniósł wzrok znad papierów, którym przyglądał się z pewnym znudzeniem, z wiecznym piórem w ręku. Jego gęste czarne włosy i równie gęste wąsy niesamowicie upodabniały go do przywódcy partii.

– Ile masz lat? – zapytał rutynowo.

– Osiemnaście – skłamała, wytrzymując jego spojrzenie.

Sierżant zmarszczył czoło tak, że aż jego krzaczaste brwi się zetknęły. Kolejna kobieta. To już wyglądało na jakąś epidemię. Stawały przed nim z tymi zaróżowionymi policzkami i warcokczykami, drobnymi dłońmi, małymi stopami, tymi kruchymi ciałami... Co one, u diabła, sobie myślą, że wojna to co? Nie dadzą rady utrzymać w rękach karabinu.

– Słuchaj, dziewczyno – zaczął pojednawczo, starając się nie tracić panowania nad sobą – lepiej wracaj do domu i poszukaj sobie dobrej pracy. Ojczyzna nie potrzebuje, żeby kobiety zawadzały nam na froncie, ale żeby robiły coś użytecznego w fabrykach i w polu, żeby służyły naszym żołnierzom.

Katia przełknęła ślinę i zacisnęła zęby, by się opanować.

– Ja też mogę być żołnierzem. Tak samo jak chłopak, który właśnie wyszedł, i ten, który za chwilę wejdzie.

To ci dopiero ignorancja... Co też może wiedzieć ta bezczelna dziewczucha o tym, ile przetrwa na froncie, zresztą tak samo jak te chłopaki, o których mówiła, najdalej za rok albo będą ranni, albo w grobie. Ale sierżant nie miał ochoty tracić ani minuty na dyskusowanie z tą młodką.

– Naucz się bandażować i wróć, jak będziesz miała osiemnaście lat, naprawdę osiemnaście. – Powiedziawszy to, przełożył papiery na kupkę obok i głośno zawołał: – Następnym!

Słowa sierżanta doprowadziły ją do wściekłości i jeszcze większej determinacji. Pojedzie na front! Nauczy się strzelać, prowadzić czołg, pilotować samolot... Przysięgła sobie, że zrobi wszystko, żeby zostać żołnierzką. Bo kobiety też mogą grać w piłkę i ona, którą Misza wybierał do drużyny, miała zastąpić swojego kapitana.

Może gdyby Misza nie zginął...

„Niniejszym informuje się Kotiakowa Konstantina, zamieszkałego w Gorodcu, aleja Moskiewska 15, że jego syn, szeregowy Kotiakow Michaił, z honorem walcząc za Ojczyznę, wierny przysiędze wojskowej i dokonawszy aktów bohaterstwa, odniósł rany, w wyniku których zmarł w Stalingradzie 24 września 1942 roku”.

Katia pokręciła głową i uniosła rękę do piersi. Poprzez gruby materiał munduru wyczuła okrągły kształt medalionu. Już od dawna wisiał na jej szyi i ciągle jeszcze wydawało jej się, że waży tony, że jest coraz cięższy. „Jeśli coś mi się przydarzy, weź medalion. Nie możesz się z nim rozstawać – pouczył ją wujek. – Zabierz go do Berlina. Cornelius Althann ci pomoże”.

Westchnęła zniechęcona. Ten cholerny kamień wyrócił jej życie do góry nogami. Ileż to razy próbowała się go pozbyć! Wujek Fiodor mówił, że ciąży na nim ta odpowiedzialność, ma ją we krwi, ale kiedy szukała jej w sobie, nic nie znajdowała, jedynie obojętność, niezrozumienie. Jakie znaczenie ma to, co niesiesz we krwi? Ważne jest to, co wyssałaś z mlekiem matki, a ona

nie zdążyła wyssać znaczenia tego, czego strzegła.

Skąd taki pośpiech, żeby udać się do Berlina? – zastanawiała się na początku. W każdym razie wojna jej w tym przeszkodziła. Albo wojna była dobrym pretekstem, za którym mogła się schować. W końcu poczuła szczęście na tej małej daczce pośrodku lasu, gdzie było słycać tylko szmer wiatru w koronach drzew, szept strumyka u podnóża góry i szczebiot ptaków; tam, po nieszczęściach i samotności, wreszcie poczuła, że ma rodzinę; tam, gdzie nie wydawało się, że świat zmierza ku kresowi; tam zdołała zapomnieć o wszystkim: strach i niepewność rozpląły się i ledwie pamiętała, że ma zawieszony na szyi medalion. Nawet zdarzyło jej się pomyśleć, że mimo wszystkich ciosów i wszystkich nagłych zwrotów jej życie może być normalne, że ciągle płynie z prądem. Zdarzyło jej się myśleć, że pan Althann napisze choć raz: „Nie martw się, Katio, najgorsze już za tobą. Kiedy ta wojna dobiegnie końca, spotkamy się i będziesz mogła zapomnieć o całej sprawie. Tymczasem żyj swoim życiem ze spokojem, którego dotychczas nie znałaś”. Ale tak się nie stało. Przeciwnie, listy pana Althanna zawsze przepełnione były ponaglaniem, przypominaniem o nieuchronnym niebezpieczeństwie.

Czy była naiwna? Czy pragnienie szczęścia było taką iluzją? Czy nie wycierpiała się już wystarczająco? Dlaczego to ona musiała zaakceptować to ryzyko, tę odpowiedzialność? Dlaczego miała narażać życie? Dość już przeżyła w czasie tej wojny, straciła całą rodzinę. Nienawidziła Fiodora i pana Althanna, i rodziców za to, że ją od siebie odsunęli...

„Katio, szybko odkryjesz, że jesteś kimś szczególnym i że to zarówno dar, jak ciężar. Bycie kimś szczególnym zmusza cię do przyjęcia odpowiedzialności, od której nie możesz uciec, bo ta odpowiedzialność przypieczętowała twój los i zawsze będzie cię ścigać. Zmaganie się z przeznaczeniem wywoła tylko frustrację i cierpienie. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, pogódź się ze swoim przeznaczeniem, tylko w ten sposób będziesz je mogła kontrolować”.

Kiedy Fiodor mówił te słowa, brzmiały pusto, jakby nie były skierowane do niej. Odkrycie prawdy, którą zawierały, zajęło jej trochę czasu.

I wtedy zabili Miszę. „Dokonawszy aktów bohaterstwa...”

Pogodzić się ze swoim przeznaczeniem, żeby móc je kontrolować.

Włożyła rękę do kieszeni kurtki i wyciągnęła list. Ostatni. Otrzymała go przed ponad miesiącem. Koperta była pomięta, brudna. Tyle mogło się wydarzyć przez ten miesiąc... Przeczytała adres nadawcy, chociaż znała go na pamięć.

Cornelius Althann
Friedrich-Karl-Platz 4, Charlottenburg-Berlin

„Już jestem w Berlinie, Katio. Pogódź się ze swoim przeznaczeniem, żebyś mogła je kontrolować”.



NIE MUSISZ SIĘ MNĄ OPIEKOWAĆ

Spadł ulewny deszcz i kiedy wyszliśmy z restauracji, ulice spływały wodą. Poczułam się, jakbym płynęła statkiem podczas sztormu. Wydawało mi się, że ziemia faluje mi pod nogami, i przeklełam tę swoją głupią dumę – żeby nie powiedzieć zawstydzenie, co jest mniej wzniosłe – która nie pozwalała mi uwiesić się na ramieniu Alaina i dać się odholować do hotelu. Mieliśmy do przejścia jedynie plac i dwie ulice, ale na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze. Chciałam już tylko położyć się do łóżka i spać aż do następnego dnia. A tymczasem spróbuję ukryć, jak bardzo jestem pijana.

Może dlatego nie zobaczyłam, że nadjeżdża. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Przechodziliśmy przez puste skrzyżowanie, przy którym o tej porze stała jedna taksówka. Przypuszczam, że było zielone światło dla pieszych, ale nie jestem tego pewna, bo szłam za Alainem. Nagle znikąd pojawił się samochód, przyspieszył i ruszył w naszą stronę.

Alain rzucił się, żeby mnie odepchnąć, i oboje upadliśmy w kałużę. Samochód z piskiem opon zniknął za zakrętem.

– Nic ci nie jest? – zapytał Alain wyraźnie zaniepokojony. – Nic ci nie jest? – powtarzał, obmacując mi ramiona, jakby chciał znaleźć jakąś złamaną kość.

Przytaknęłam oszołomiona, z poczuciem, że żebra nie bolą mnie na razie tylko dlatego, że jestem pijana. W przypadku Alaina strach szybko zastąpiła wściekłość.

– Czy ten skurwysyn zwariował?! Pijany czy jak?! Prawie nas zabił!

Na jego krzyki zareagował taksówkarz, który wysiadł z samochodu i w rosyjsko-angielskiej mieszance dla turystów dołączył do tyrady Alaina. Cała ta sytuacja stała się trochę komiczna: facet gestykulował i kłął, podczas gdy my nadal siedzieliśmy na chodniku. Byłam wręcz przekonana, że nogi nie posłuchałyby mnie, gdybym postanowiła wstać.

– Wszystko w porządku? Na pewno? – dopytywał się Alain. – Ten człowiek mówi, że zawiezie nas do szpitala, jeśli trzeba.

– Nie, nie. Mam się dobrze. Naprawdę. *Spasiba*. – Spróbowałam się uśmiechnąć do miłego taksówkarza, który wymieniwszy jeszcze kilka słów z Alainem, wrócił do samochodu.

Alain wstał i pomógł mi się podnieść, jakby chciał, żebym udowodniła, że mówię prawdę. Gdy stanęłam na nogi, uczepliłam się jego ramienia jak koala, pewna, że znowu upadnę, jeśli nie będę się trzymać.

– Taksówkarzowi też nie udało się zobaczyć rejestracji! Ujdzie to na sucho temu skurwysynowi! – dalej złorzeczył. – Naprawdę masz się dobrze? Sądząc po minie, nie za bardzo...

Gdy to mówił, zemdlilo mnie. Na szczęście zdążyłam się odwrócić i zwymiotowałam do studzienki kanalizacyjnej, a nie na własne buty. Alain przytrzymał mi włosy, kiedy męczyłam się z kolejnymi skurczami żołądka, które nie pozwalały mi powiedzieć, że mu dziękuję, ale wolałabym rzygać w samotności. Gdy wreszcie skończyłam, spróbowałam doprowadzić się do porządku, jakby się nic nie wydarzyło. Wyprostowałam się, poprawiłam ubranie i zaczęłam szukać po kieszeniach papierowej chusteczki, ale one nigdy nie wpadają w ręce, kiedy są potrzebne. Alain podał mi swoją.

– Przepraszam... Chyba za dużo wypiałam.

Zatoczyłam się, a on mnie podtrzymał.

– Tak. Też mi się tak wydaje. – Domyśliłam się jego protekcjonalnego uśmiechu.

– Chodźmy. Dasz radę dojść do hotelu?

Przytaknęłam, przytulając się do jego boku, żeby przypadkiem nie przyszło mu do głowy

mnie puścić.

Alain odprowadził mnie do pokoju, sądząc na pewno, że nie będę w stanie otworzyć drzwi kartą. Poszłam prosto do łazienki, żeby umyć zęby i pozbyć się tego okropnego kwaśnego posmaku. Ściągnęłam też spodnie, mokre od leżenia w kałuży. A ponieważ byłam pijana i nie wiedziałam, co robię, wyszłam stamtąd w majtkach i koszuli.

Usiadłam ciężko na łóżku. Alain podał mi butelkę wody.

– Masz. Napij się.

Posłuchałam go, ale przełknęłam tylko łyk.

– Jeszcze... Pij, musisz się nawodnić. Tak dobrze. Masz ibuprofen? Rano, gdy się obudzisz, będziesz go potrzebować.

Wzięłam Alaina za rękę i pociągnęłam, żeby usiadł obok mnie.

– Nie musisz się mną opiekować. – Słowa wypływały ze mnie, ale plątały mi się na języku. – Już nie. W zdrowiu i w chorobie, już nie. – Oparłam głowę na jego ramieniu. – Boże... Wszystko mi się kręci...

– Powinnaś się położyć i spróbować zasnąć.

– Taaa... Co by powiedziała panienska Amber Kahn, gdyby cię teraz zobaczyła w pokoju hotelowym z żoną? Bo ciągle jestem twoją żoną – przypomniałam, machając mu palcem wskazującym przed nosem.

– Ano...

– Nie – przerwałam mu. – Nie myśl sobie, że mnie to obchodzi. Jest mi obojętne, że masz dziewczynę. Jest ładna i strasznie bogata, czego więcej można chcieć?

– Ano, proszę cię...

– Ciiii... Tak powinno być: ty masz swoje życie, a ja swoje. Bo, ech, co ty sobie myślisz? Ja też mam ślicznego chłopaka. Bardzo przystojnego. I szalał za mną, sam mi to powiedział, od baaaaardzo dawna. Jeszcze nawet przed tobą.

– Lepiej już pójdę, żebyś mogła się przespać.

– Dobra.

I wtedy pocałowałam go w usta. Pocałunek miał być krótki, ale moje usta nie chciały się odlepić od jego ust, wydawało się, że to jest ich naturalne miejsce, że tam najlepiej pasują. Upojenie stało się nagle słodkim uczuciem, niemal przyjemnym. Jakby moje ciało wyzbyło się ciężaru i unosiło w powietrzu, i tylko ten pocałunek trzymał mnie na ziemi.

Po upływie nie wiem jakiego czasu, chyba z potrzeby zaczerpnięcia powietrza i pewnego poczucia osłabienia, odsunęłam się od niego.

– Dobranoc, Martinie – wyszeptałam.

I zwinęłam się w kłębek na łóżku, po czym natychmiast zasnąłam.



MAJ 1945

O poranku 2 maja 1945 roku generał Weidling, dowódca obrony Berlina, rozkazał swojemu nielicznemu wojsku przerwanie ognia. Stolica Trzeciej Rzeszy upadła. Ponieważ środki masowego przekazu nie działały, wiadomość rozchodziła się powoli. Samochody wyposażone w megafony ogłaszały ją na ulicach i krążyła z ust do ust między mieszkańcami piwnic i schronów. Wygaszenie ostatnich ośrodków nazistowskiego oporu w Europie miało zająć jeszcze kilka dni; ostatecznie 7 maja generał Jodl podpisał w Reims akt bezwarunkowej kapitulacji niemieckiej armii. Chociaż odbyło się to w obecności także przedstawiciela Związku Radzieckiego, Stalin uparł się, że oficjalna kapitulacja ma zostać podpisana w Berlinie. I rzeczywiście zrobiono to 8 maja o godzinie 23.01, a więc według czasu moskiewskiego był już 9 maja, który Sowietci ustanowili Dniem Zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej.

Katia wyprała mundur, który dzięki temu odzyskał oliwkowy kolor. Wyszorowała też skórę i umyła włosy wodą z mydłem, żeby zrzucić z siebie warstwy pyłu, krwi i brudu, które zostały jej po bitwie. Wcześniej miała długie włosy, sięgające do pasa. Zgolono je jak chłopakowi, kiedy się zaciągnęła; ale wtedy płakała. Od ostatniego cięcia nożyczkami kilka miesięcy wcześniej urosły jej mniej więcej do brody i nie miała zamiaru nigdy więcej ich obcinać. Nadszedł czas, żeby znowu wyglądać jak kobieta. Dlatego też zmieniła obszerne spodnie mundurowe na spódniczkę, uszytą z innych regulaminowych spodni.

Wojna się skończyła. Nadszedł dzień świętowania.

Na niebie mieniły się sztuczne ognie. Ostatnią amunicję wystrzelowano w powietrze w salwach zwycięstwa. Żołnierze pili, śpiewali, tańczyli. Muzyka, śmiechy, krzyki ogromnej radości, płomienne przemówienia, które kończyły się łzami emocji. Przeżyli. Udało im się. Ale czuli się winni wobec tych, którym się nie udało, wobec tak wielu towarzyszy, którzy zostali po drodze, na polach bitew.

Katia zrobiła sobie zdjęcie ze swoim oddziałem fizylierów. Wszyscy razem, uśmiechnięci, pod Kolumną Zwycięstwa w Tiergarten. Rzucali w górę czapki. I wznosili toasty. Za zwycięstwo. Za poległych towarzyszy. Jeden za drugim.

Z nadejściem nocy była już trochę upojona. Alkoholem i emocjami. Usiadła na ziemi w ciemnym kącie, plecami oparta o podziurawiony pociskami mur. Poblask ognisk rzucał cienie na ulicę.

Zabawa w jej głowie była przytłumiona, jakby odbywała się gdzieś daleko; serce biło jej w uszach. Zamknęła oczy. Może zasnęła. Następne, co usłyszała, to smutny dźwięk bałałajki. Towarzyszka sierżant Nina śpiewała solo; ona też była pijana.

Otworzywszy oczy, Katia zobaczyła dobrze wyglansowane buty. Kiedy dostrzegła granatowe spodnie, domyśliła się, kto to może być. Uniosła głowę.

– Oleg...

Pułkownik Oleg Awramow wyciągnął ręce, żeby pomóc jej wstać. Objął ją namiętnie po miesiącu tęsknoty. Katia przyjęła ten uścisk, omdlała złożyła głowę na zawsze nienagannie czystej i wyprasowanej bluzie żołnierza.

– Kochana Katio. – Szukał jej ust, żeby ją pocałować.

– Jestem pijana – wyznała.

– Jesteś żywa. – Znowu ją pocałował.

– Kiedy przyjechałeś?

– Przed kilkoma dniami. Z generałem Pietrowem.

Uśmiechnęła się. Z radości, że go widzi, że jest w jego ramionach.

Oleg pogładził jej włosy i zaczerwienione policzki. Wydała mu się taka piękna... piękniejsza niż pamiętał; może to z pragnienia, płomiennej żądz, żeby wreszcie ją mieć.

– Śpiewają twoją piosenkę – wyszeptał jej na ucho.

– *Katiusza*... Tak. Moją piosenkę.

O tym, kogo bardzo miłowała. Czyje listy chowa niczym skarb.

Kiedy nastał świt, spali; zmęczone usta i nagie ciała skóra przy skórze. Święto dobiegło końca. Pokój oznaczał ciszę i włosy Katii zaplątane w palcach Olega.



TY MASZ SWOJE ŻYCIE, A JA SWOJE

Przestraszyło mnie pukanie do drzwi, które z pewnością było dyskretne, ale mnie wydało się serią z karabinu maszynowego.

– *Housekeeping... Sorry...*

Zobaczywszy mnie w łóżku, pokojówka dyskretnie wyszła. Jeszcze zaspana, nie mogłam zebrać myśli. Wybudziłam się z głębokiego snu po okropnej nocy spędzonej między łazienką a sypialnią. Sięgnęłam po telefon leżący na nocnej szafce i zobaczyłam, że jest po dziesiątej.

Pomyślałam, że muszę wstać, i przewróciłam się w pościeli. Głowa mi pękała, jakby mój mózg pulsował w czaszce. Strasznie chciało mi się pić. Ręką wymacałam butelkę i zobaczyłam, że zostało w niej tylko na dwa palce wody, którą łapczywie wypiałam. Musiałam wstać, wypić więcej, wziąć coś przeciwbólowego i dalej żyć... Telefon zawibrował i na rozjaśnionym ekranie pojawiła się wiadomość.

Zadzwoń do mnie, gdy się obudzisz. Chcę się tylko dowiedzieć, jak się masz i czy czegoś potrzebujesz.

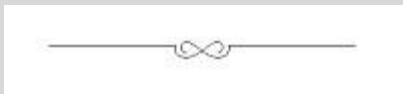
– Alain... uch...

Opadłam głową na poduszkę. Wielki błąd: mózg już nie pulsował, ale podskakiwał wewnątrz czaszki.

Jak ja mogłam zupełnie stracić kontrolę nad sobą? Nigdy się tak nie upiłam. Nigdy się nie upiłam! Choć trudno w to uwierzyć. Zawsze byłam przesadnie ostrożna, nawet nudna. Na Boga, jestem dobrze po trzydziestce! Już za późno, żeby odzyskiwać zmarnotrawione czasy nastoletnie. To w sumie żalodne. Co, do diabła, się ze mną dzieje?

W miarę jak docierały do mnie wspomnienia z tej dziwnej nocy, żołądek mi się skręcał, i nie mogłam tego zrzucić na karb kaca. Zaczęłam odzyskiwać świadomość słów, które wypowiedziałam, i znowu jęknęłam, zatapiając twarz w poduszcze, żeby ukryć wstyd, jakby Alain siedział obok. Wtedy naszło mnie wspomnienie pocałunku. Pocałowałam Alaina? Naprawdę go pocałowałam? O Boże... Chyba że tylko mi się to przyśniło... Mam nadzieję, że to był sen... zaraz po naszym rozstaniu często śniłam o Alainie: godziłam nas i całowaliśmy się, i pieprzyliśmy, jak wtedy gdy zaczęliśmy być parą. Z takich snów budziłam się z dziwnym uczuciem podniecenia wymieszanego z nostalgią. Jednak już od dawna mi się nie zdarzały... A może całowałam Martina? Nie, to było niemożliwe...

Nagle zapragnęłam uciec. Uciec od wszystkiego: od Alaina, Martina, Konrada, od śledztwa... Muszę uciec, w przeciwnym razie oszaleję, pomyślałam, bez sił, żeby chociaż ruszyć się z łóżka.



Wysłałam właśnie spod prysznic i jeszcze w szlafroku usiadłam na łóżku, niezdolna nic zrobić. Skręcało mi żołądek, bolała mnie głowa. W końcu jednak będę musiała pójść do apteki, żeby kupić lekarstwa, których niestety nie włożyłam do walizki. Walizki spakowanej w Madrycie zaledwie kilka dni wcześniej, ale wydawało mi się, jakby upłynęły miesiące. Tyle się w tym czasie wydarzyło!

Znowu ktoś zastukał do drzwi. Myślałam, że to uparta pokojówka, która chce wreszcie skończyć swoją robotę, więc poszłam otworzyć, zanim sama to zrobi.

– Dzień dobry – rzucił radośnie Alain z progu, podając mi torebkę z apteki. – Ibuprofen i omeprazol. Wczoraj sprawdziłem w twojej kosmetyczce, tam gdzie zawsze trzymasz lekarstwa, i znalazłem tylko przeterminowane tabletki na gardło, które oczywiście pozwoliłem sobie wyrzucić do kosza.

– Dziękuję.

Nie zważając na to, jak bardzo nie chciałam, żeby tu był, niemal wyrwałam mu z ręki torebkę z lekarstwami i zamknęłam się w łazience, żeby przyjąć solidną ich dawkę. Szkoda, że nie kupił też czegoś na nerwy.

Wyszłam ze szklanką wody i zastałam go pośrodku pokoju. Sam się zaprosił. Oparłam się o framugę drzwi łazienki, jakbym obawiała się wkroczyć na jego terytorium.

– Jak się masz?

Popiłam wody, żeby ukryć spojrzenie w szklance.

– Wstydę się.

Alain się uśmiechnął.

– Okazuje się, że też jesteś człowiekiem. Nie tylko ja potrafię czasem zrobić coś głupiego, jak za dużo wypiję.

– To nie powinno było się zdarzyć.

– Tylko trochę się zabawiłaś, nie bądź taka poważna. Chociaż, jeśli chodzi o ciebie i twój zdrowy rozsądek, w zasadzie nic takiego się nie wydarzyło. I to mnie martwi: co topiłaś w alkoholu?

– Nie twoja sprawa. Już dawno nie interesuje nas, co drugie topi w alkoholu, nie uważasz? Poza tym mam nadzieję, że cokolwiek zrobiłam albo powiedziałam w nocy, pójdzie to w zapomnienie, zwłaszcza że ty masz swoje życie, a ja swoje.

Alain chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściłam go do głosu. Zdobyłam się na odwagę, wzięłam rozbieg i byłam gotowa dojść do końca: chociaż miałyby to być skok w próżnię.

– Noc nam upłynęła na rozmowie o pracy, o tym cholernym medalionie, który w sumie guzik nas obchodzi. To jest chore! Rok! Minął rok, odkąd się rozstaliśmy. Na co czekasz z rozwodem? Ja mam to zrobić, żebyś mógł być ofiarą, jak zwykle?

Może dlatego, że go zaskoczyłam, trochę zajęło mu zebranie się na odpowiedź.

– Tego chcesz? – Jego ton był bardziej złośliwy niż obrażony.

– A czy ty tego nie chcesz? Boże, Alain, ty masz dziewczynę w Stanach! Od roku jesteście parą, jak czytałam w gazetach!

Westchnął, jakby za wszelką cenę chciał zachować spokój.

– Słuchaj...

– Nie! Nie usprawiedliwiaj się. Nie musisz się usprawiedliwiać i nie chcę, żebyś to robił.

– Kurwa, nie chcę się usprawiedliwiać! Chcę tylko wyjaśnić, o co chodzi! Dasz mi powiedzieć?

Oniemiałam na te słowa. Straciwszy na chwilę cierpliwość, teraz starał się mówić spokojnie:

– Nie ma nic między Amber Kahn a mną. Tak, spotkaliśmy się kilka razy, ale nic więcej. Ona lubi się obnosić ze swoim życiem i prowokować prasę. I dziennikarze są zachwyceni. Ale ja tego nie znoszę. I nie należę do tego świata ani nie chcę należeć. Przeraża mnie. Przysięgam ci, Ano, nie spałem z nią, jeśli to cię niepokoi.

Po tym wyznaniu, które w intencji Alaina miało mi chyba przynieść ulgę, zalała mnie fala smutku.

– Nie... – Pokręciłam głową przygnębiona. – Nie to mnie niepokoi. Bo ja poszłam do łóżka z Martinem Lohsem.

Z jego miny wywnioskowałam, że cios w brzuch nie zaboląłby go bardziej. I poczułam się okropnie. Po chwili milczenia, kiedy już doszedł do siebie, podsumował:

– Czyli to ty chcesz rozwodu...

– Nie wiem... – Nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej. Płacz palił mi gardło, ale nie miałam zamiaru płakać przy nim.

Alain spojrzał na zegarek.

– Muszę iść. Umówiłem się z Iriną i już jestem spóźniony.

Skinęłam głową, przełykając ślinę.

– Potem do ciebie zadzwonię. – Zawahał się. – Nie... nie możemy tego zostawić tak... jak jest. Nie możemy.



MAJ 1945

Po zakończeniu działań wojennych przynajmniej dziesięć procent budynków Berlina było tak zniszczonych, że ich odbudowa nie miała sensu; w niektórych rejonach centrum miasta odsetek ten sięgał nawet trzydziestu procent. Berlińczycy szybko na nowo ochrzcili swoje dzielnice: Charlottenburg zmienił się w *Klamottenberg*, „górną rupiec”; Steglitz w *Steht Nichts*, „nic nie stoi”; a Lichterfelde w *Trichterfelde*, „pole lejów”. W tej sytuacji wywiezienie gruzu stawało się zadaniem pierwszoplanowym i zajęły się nim przede wszystkim tak zwane *Trümmerfrauen*, „gruzowniczkę”. Podczas bardzo długich dni pracy ręcznie rozbijały ruiny, żeby odzyskiwać cegły, które później wykorzystywano w robotach rekonstrukcyjnych, także belki, kominki, sanitariaty, rury... Resztę bezużytecznego gruzu przeznaczano na wypełnienie lejów, okopów albo do produkcji cegieł. Za swoją pracę dostawały nędzną zapłatę, niewystarczającą na zakup nawet kromki chleba, ale miały za to dostęp do wyższej kategorii, jeśli chodzi o kartki żywnościowe.

Dawny Friedrich-Karl-Platz zmienił się w morze ruin. Wokoło same wypalone fasady, resztki zniszczonych budynków, spalone drzewa, powyginane latarnie, porozbijane samochody.

Pośród tego ogromu zniszczenia ciągle stał mały dom antykwariusza. Ochroniły go pewnie ładne wilhelmińskie kamienice, bo był wciśnięty między nie jak ozdoba, z małym brukowanym placikiem od frontu, żelazną ławeczką i dziesiątkami doniczek z roślinami – pośród nich śliczne drzewko cytrynowe, pokryte pachnącymi białymi kwiatami na wiosnę i cytrynami jesienią. Jednopiętrowy dom z poddaszem pokrywał porośnięty mchem łupkowy gont, na pobielonej fasadzie z muru pruskiego znajdowała się witryna z szyldem „Antiquitäten, Bücher und Uhren”. Okolica przypominała wiejski rynek pośrodku wielkiego miasta. Samo wspomnienie tego miejsca ścisnęło Ramiro serce.

Jednak dziękował Bogu za to, że domek przeżył kataklizm mimo odniesionych ran. Szyby witryny oraz okna wypadły i podarte firany falowały na wietrze jak duchy. Część dachu strawiona przez ogień zaważyła się na poddasze i ziała wielką czarną jamą, przecinaną połamanymi, opalonymi belkami. Fasadę poznały dziury po pociskach i odłupany tynk, spod którego wystawały kolorowe cegły jak rany na żywym ciele. Ramiro zadał sobie pytanie, czy w domu da się zamieszkać, czy zapadł się do środka.

Przedzianie się przez góry gruzów na placu zabrało mu chwilę. Uderzenie o siebie kamieni przerzucanych z rąk do rąk było jedynym dźwiękiem towarzyszącym jego krokom; kobiety pracowały w grobowej ciszy. Kiedy wreszcie dotarł do odrapanych drzwi, zwróciła jego uwagę kartka przybita do futryny.

„Do Katii Wojkowej. Jeśli jesteś w Berlinie, napisz, jak możemy się spotkać. Cornelius Althann”.

Ramiro zerwał kartkę i przeczytał podpis. Czy to możliwe, że Cornelius żyje? Podekscytowany tą myślą pchnął drzwi, które ustąpiły niemal bez oporu, i ostrożnie zajrzał do wnętrza. Struktura domu wydawała się nienaruszona, w półmroku Ramiro nie zauważył żadnych poważniejszych zniszczeń.

– Cornelius?

Jego wołanie odbiło się echem.

– Cornelius? Jesteś tu?

Idąc powoli i ostrożnie, wszedł do środka przez sklep na parterze. Znowu kilka razy

zawołał imię antykwariusza, ale jedyną odpowiedzią był stukot jego własnych kroków i świst wiatru w pustych oknach. W końcu zrozumiał, że nie ma tam nikogo.

W miarę jak oczy przywykały mu do wątego światła, pośród chmur pyłu wiszących w pomieszczeniach zaczął dostrzegać nieporządek i ślady po plądrowaniu: poprzewracane regały, porozrzucane książki, potłuczoną porcelanę... Większość cennych przedmiotów Corneliusa zebranych w antykwariacie, przede wszystkim tych o większej wartości, została rozkradziona, resztę zniszczono. Nietknięte uchowały się tylko meble i przedmioty zbyt duże, żeby je wynieść w rękach, jak amerykańska pianola z początku wieku albo biedermeierowska szafa.

Ze smutkiem obejrzawszy sklep, ruszył na piętro, do pomieszczeń mieszkalnych. Sprawdził solidność każdego stopnia schodów: drewno żałośnie skrzypiało. Widok, jaki ujrzał na górze, był nie lepszy od tego na parterze. Wszystkie pomieszczenia ucierpiały tak samo z powodu wandalizmu i plądrowania, jak w wyniku bombardowań. W każdym zniszczeniu, w każdym cieniu na ścianie, we wszystkich poprzewracanych przedmiotach wyczuwało się wręcz namacalnie poniżenie. Słysząc było szelest i tarcie, skrobanie, bulgot, wydawało się, że wśród cieni unoszą się duchy. Wszystko było przytłaczające, niemal widmowe.

Stojąc pośrodku dawnego salonu, Ramiro zamknął oczy, żeby pohamować łzy. Wtedy zatrzymany w żrenicach obraz zalał się złotym światłem i wszystko wróciło na swoje miejsce. Na kominku strzelał radosny ogień i pachniało drewnem i duszonym mięsem.

– Ramiro! Już wróciłeś!

Głos Corneliusa rozbrzmiał tak głośno i wyraźnie, że chłopak zaskoczony otworzył oczy. Znowu znalazł się w tym zimnym, ciemnym, zdewastowanym miejscu. Słyszał tylko własny przyspieszony oddech. Był sam, ani śladu Corneliusa. Opadł na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Ponownie zacisnął powieki, poszukując obrazów przeszłości.

– Ramiro! Już wróciłeś!

Cornelius zawsze przyjmował go, jakby nie widzieli się od lat, z wielką wylewnością, i mówił głośniejszym i wolniejszym głosem, żeby mogli się porozumieć bez kłopotów.

– Wejdz, wejdz. Bo zimno leci.

I w korytarzu gospodarz przywitał go z szeroko otwartymi oczami pełnymi oczekiwania, patrząc nad okularami o małych okrągłych szklach, które nosił na czubku nosa, też okrągłego. Cornelius był pulchny: niziutki, tęgi, z rozczochranymi długimi włosami starego szaleńca i z uśmiechem zawsze zawieszonym na ustach między policzkami jak piłki.

– Powiedz mi: dostałeś pracę?

Ramiro uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem skinął głową.

– Dostałem.

– Ach! Brawo! Brawo! Ani przez chwilę w to nie wątpiłem! Zaraz mi wszystko dokładnie opowiesz. Najpierw ściągnij ten mokry płaszcz. Kolacja już jest gotowa, ale najpierw wypijemy po jednym, żeby to uczcić i się rozgrzać, co?

Salon Corneliusa był miszmaszem mebli i przedmiotów poustawianych bez żadnego ładu i składu, równie chaotycznym jak sklep. Robił wrażenie, jakby został zamrożony u kresu poprzedniego wieku, w stylu starego dziewiętnastowiecznego pałacyku: ciężkie aksamitne zasłony, grube dywany, kilka myśliwskich trofeów, wiktoriański szezlong, boazeria ze złotymi rzeźbieniami... Wszystko to zaskakująco łączyło się z elementami secesji, którą Cornelius się zachwycał i którą można było odnaleźć w jakimś lustrze tutaj, krześle tam, lampie z kolorowymi kryształami ówdzie, w plakatach reklamowych Alfonsa Muchy opartych o ścianę... Do tego dokładało się jeszcze zamiłowanie antykwariusza do egzotycznych przedmiotów: kły słoniowe, rattanowy fotel, plemienną tarczę z Afryki subsaharyjskiej, skóra zebry... Ogólnie wyglądało to tak, jakby Cornelius zebrał w salonie wszystkie swoje największe skarby i wszystko to, czego

zbywało mu w antykwariacie. A jednak na swój dziwny sposób całość wydawała się harmonijna i przytulna.

Ramiro usiadł w skórzanym fotelu, między poduszkami z indyjskiej tkaniny, naprzeciwko kominka, na którym płonął ogień ogrzewający dom w tych czasach braku węgla i innych paliw.

– Dziękuję. – Wziął kieliszek z rąk Corneliusa i wtedy zauważył, że ma zaczerwienione palce. – Chyba mi się odmroziły.

– Nie martw się, mam na to dobrą maść. Przypomnij mi, jak będziesz wychodził – powiedział Cornelius, siadając obok. – Za twoją nową pracę!

Stuknęli się kieliszkami z koniakiem, doskonałym *millésime*, prezentem od francuskiego przyjaciela, który Cornelius zachowywał na specjalne okazje. Ramiro smakował z rozkoszą ten łyk o zapachu lasu po deszczu.

– Teraz wszystko mi opowiedz. Na pewno zrobiłeś na nich wrażenie swoim wyglądem i manierami.

– Cóż, to praca kelnera. Wystarczyłoby im, gdybym tylko troszkę mówił po niemiecku i jako tako potrafił nosić tacę...

Nagle coś wyrwało Ramira ze wspomnień. Kot wskoczył przez okno i przebiegł przez salon, po czym zniknął za drzwiami. Ramiro wysmarkał nos i otarł oczy. Wtedy dostrzegł rozek zdjęcia między rzeczami zaścielającymi podłogę. Sięgnął po nie. Na fotografii był Cornelius jak zawsze pozujący z uśmiechem na twarzy niczym chiński księżyc. I jacyś dwaj mężczyźni, i dziewczyna.

Cornelius...

Czy żyje? Dlaczego Ramiro miał przeczucie, że nie? Dlaczego ta kartka na drzwiach wzbudzała jego nieufność?

„Do Katii Wojkovej. Jeśli jesteś w Berlinie...”

Czy to możliwe, żeby Katia Wojkowa była w Berlinie?



TAK NA NOWO POJAWIŁ SIĘ MARTIN LOHSE

Po zażyciu lekarstw, przespaniu się odrobinę i zjedzeniu czegoś lekkiego poczułam się lepiej. Fizycznie. Psychicznie dalej byłam zdruzgotana. Miałabym ochotę wyjść na miasto, może pobiegać, w tym moim stylu, jakbym przed czymś uciekała, słuchając muzyki, czasem energetyzującej, czasem mrocznej, Imagine Dragons albo Twenty One Pilots. Ale po tym, co się wydarzyło poprzedniego dnia z tym facetem, który mnie ścigał aż do hotelu – w każdym razie tak mi się wydawało – trochę się obawiałam wychodzić na miasto.

W końcu postanowiłam zadzwonić do Teo i szczerze mu o wszystkim opowiedzieć. Niczego nie zataiłam: że znowu spotkałam się z Konradem, który zaproponował mi świetną pracę; że poszłam do łóżka z Martinem, który fałszuje swoją tożsamość, ukrywa przede mną wiadomości i może być mafiosem; że spotkałam się z Alainem w Petersburgu, o medalionie, kolacji, pijaństwie i kłótni. Słuchałam siebie, gdy tak mówiłam, że być może Konrad chce mnie wykorzystać, a mimo to jestem na tyle głupia, by mu współczuć; że mam nadzieję, że Martin przekonująco wyjaśni mi tajemnice, na których go przyłapałam; i że Alain... kurwa, Alain... ach...

– Matko Boża Pięknej Miłości – podsumował Teo.

A potem zaległa cisza. Naprawdę pomyślałam, że się rozłączył.

– Teo? Jesteś tam?

– Jestem. Nie mam słów. Jestem wstrząśnięty. Statyczny jak obraz kontrolny. Pobijaś wszelkie rekordy, kochana. Jak można zrobić takie zamieszanie w tak krótkim czasie? Nie można zostawić cię samej ani na chwileczkę. Co mam ci powiedzieć?... Nie wiem... Wracaj do domu, zmień nazwisko, pracę, samochód, adres, fryzjera, pleć, jeśli będzie trzeba. Zaczynaj nowe życie. I zdecyduj się, co z nim zrobić, na miłość boską!

Po wielu latach przyjaźni już potrafiłam zinterpretować język Teo, oddzielić ziarno od plew. I jak w większości przypadków dzięki jego przemowie, czasem bez sensu, odkryłam wielką prawdę: muszę wrócić do domu i postanowić, co chcę zrobić ze swoim życiem.

Nie chodziło o ucieczkę, raczej o wycofanie się, przegrupowanie i zaatakowanie każdego frontu pojedynczo. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, nie miałam dość czasu, żeby to przyswoić, zareagować z głową. Tak, potrzebowałam przede wszystkim czasu.

Zacząłam poszukiwać lotów przez internet i udało mi się znaleźć połączenie z Madrytem z wolnymi miejscami nazajutrz. Właśnie miałam zrobić rezerwację, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

– *Bellboy, madame* – zaanonsował się boy hotelowy.

Otworzyłam drzwi zadowolona, że to nie Alain stoi po drugiej stronie, i chłopak wręczył mi paczkę z zasługującym na napiwek wylewnym i służalczym uśmiechem.

Obejrzałam z zainteresowaniem kopertę bąbelkową – na dotyk zdawała się zawierać pudełeczko, niezbyt ciężkie, kilkanaście centymetrów długości i kilka szerokości. Nie było nadawcy, a wcześniejsze doświadczenia kazały mi nie ufać przesyłkom bez nadawcy. Mimo to miałam zamiar ją otworzyć.

Kartonowe pudełko, białe, nieoznakowane, też nie naprowadziło mnie na żaden ślad. Dopiero po uniesieniu wieczka zobaczyłam telefon komórkowy i suchą odręczną notkę:

Proszę, włącz ten aparat, żebyśmy mogli porozmawiać.

Wszystko ci wyjaśnię. Martin

Dwa zdania i jakieś liczby, żeby odblokować komórkę. To było wszystko. Tak na nowo pojawił się Martin Lohse po tym, co się wydarzyło. Co to znowu za historia? Myślał, że ta inscenizacja sprawi, że zmienię zdanie i odbiorę od niego telefon?

Przez chwilę przyglądałam się aparatowi, rozmyślając nie o tym, czy postąpić według wskazówek Martina, ale raczej o tym, jak bardzo pokręcona jest cała ta sytuacja. Po kilku chwilach postanowiłam jednak włączyć telefon. Gdy go uruchomiłam, nic się nie wydarzyło.

Czułam się trochę idiotycznie, gapiąc się na to urządzenie, jakbym się spodziewała, że zdarzy się coś nadzwyczajnego. Ostatecznie zostawiłam je na stole, po czym zebrałam i wyrzuciłam do śmieci opakowanie.

Dokładnie w tamtej chwili zaskoczyło mnie dzwonienie. Spojrzałam na nową komórkę. Cicha i ciemna, to nie ona dzwoniła, tylko moja.



MAJ 1945

Głód i brak nawet najbardziej podstawowych towarów sprawiły, że czarny rynek w Berlinie rozwijał się bardzo szybko. Już na początku maja radzieccy żołnierze, jeńcy wojenni i uwolnieni robotnicy przymusowi handlowali zrabowanymi towarami przy samej Bramie Brandenburskiej, tworząc w ten sposób największy i najlepiej znany czarny rynek w całych Niemczech. *Zigarettenwährung*, waluta papierosowa, stała się najbardziej popularnym środkiem płatniczym, chociaż płacono też biżuterią, sztuką, zegarkami, aparatami fotograficznymi, czekoladą i alkoholem. Interes był tak dochodowy, że nawet szeregowi żołnierze wysyłali do domu tysiące dolarów zdobytych na machlojkach. Nieradzące sobie z tą sytuacją władze przymykały oczy, więc czarny rynek działał w najlepsze przynajmniej przez trzy lata po zakończeniu wojny, aż wdrożenie w życie planu Marshalla oraz reforma walutowa ruszyły z miejsca niemiecką gospodarkę.

Wkrótce zaczęły się podejrzone interesy: w mrocznym zaułku, na uprzątniętym placu, w zrujnowanym domu, na popękanej ziemi i pośród wojskowego złomu, pod osłoną zniszczenia i chaosu. Czarny rynek, kombinowanie, hochsztaplerka, spekulacja. Nałóg jest pierwszą rzeczą, za którą się tęskni, i pierwszą, której się zabrania. Władze radzieckie dostarczały żywność cywilom: dwieście gramów chleba, czterysta kartofli, dziesięć cukru, trzy soli, dwa kawy i dwadzieścia pięć mięsa. I specjalny dodatek kawy i herbaty, prezent od towarzysza Stalina. Jednak ci nieszczęśnicy, którym udało się przeżyć, pragnęli zapalić, napić się, zażyć narkotyków, chcieli seksu. Te towary pozwalały zapomnieć.

Po tym, jak radzieccy żołnierze splądrowali dom, Peterowi Hankemu nie zostało nic z zapasów von Leitgebela, wyszedł więc na powierzchnię tego martwego miasta w poszukiwaniu dawki nałogu. Zawsze znakomicie sobie radził w najbardziej zdeprawowanym środowisku, nie trudno mu było na nie natrafić. Usłyszał, jak ktoś opowiada o radzieckim sierżancie, typie równie nikczemnym co sprytnym, który wraz z kilkoma towarzyszymi przejął partię narkotyków w fabryce Temmlera, gdzie produkowano metamfetaminę znaną pod nazwą Pervitin. Do tego doszły morfina i barbiturany, potem kokaina i zapas schnappsa z opuszczonej gorzelni. W ten sposób obrotny sierżant zorganizował małą siatkę handlarzy złożoną z żołnierzy bez skrupułów i Niemców bez wyjścia, którzy umieszczali towar to tu, to tam. Potem, kiedy w mieście ustały walki, zawiązał spółkę ze zwykłym przestępcą, który uciekł z więzienia Plötzensee podczas bombardowania. Facet, członek Ringvereine, mający dobre kontakty ze światkiem przestępczym Berlina, natychmiast uruchomił sieć tajnych klubów, tak naprawdę burdeli, gdzie handlowano narkotykami i alkoholem załatwianymi przez radzieckiego sierżanta. W owym czasie Berlin pełen był zniszczonych mężczyzn i dziewczyn gotowych sprzedać się za ładne ubrania, kilka papierosów albo odrobinę jedzenia. W czasach, kiedy moralność i przyzwoitość były luksusem dostępnym niewielu, interes kwitł.

Przed wojną Kriminalkommissar lubił eleganckie lokale w Charlottenburgu i Schönebergu, te, do których chodziła nazistowska elita, tak zwane złote bażanty, mężczyźni w białych pompatycznych mundurach obwieszonych świecidełkami, obnoszący się z Krzyżami Żelaznymi, którzy jedyne bitwy widzieli w propagandowych kronikach Goebbelsa. Ci sami, którzy wyznawali ideologię propagującą zdrowy seks małżeński i w związku z tym uważali prostytutkę za amoralną i aspołeczną, ale nie mieli oporów, żeby płacić za seks, oby tylko w ramionach najlepszych dziwek: o bujnych kształtach i doświadczonych oraz bez chorób wenerycznych, co

zaświadczał odpowiedni certyfikat. Naziści cyniczni i godni pogardy.

Peter doskonale ich rozumiał; sam nie miał problemu z tym, żeby wydać małą fortunę na dobry francuski koniak i ładną, zdrową dziwkę. Luksus to była jego słabość, szczególnie w tych gównianych czasach, w których przyszło mu żyć; praktycznie jedyny powód dla mężczyzny, żeby wstać z łóżka co rano albo zostać w nim przez całą noc.

Był jednak taki czas, że nawet na to nie mógł sobie pozwolić. Kiedy jego reputacja dobrego policjanta wisiała na włosku i nie mógł ryzykować, że go rozpoznają podczas korzystania z rozkoszy burdelu, musiały mu wystarczać obskurne lokale z okolic Dworca Friedrichstrasse, z dziewczkami ze Wschodu, głodnymi i chorymi, od których można się było zarazić w zasadzie wszystkim. Peter przypuszczał wtedy, że ukrywała się między nimi niejedna Żydówka, ale to nie była jego sprawa; Żydzi zawsze go ani ziębili, ani grzali.

Teraz, gdy smród wojny wciąż unosił się we wszystkich zakątkach, trafił do miejsca równie podłego jak samo miasto. Kontakt radzieckiego sierżanta, który załatwił mu już kilka gramów koki i trochę wódki w zamian za kilka klejnotów Gerdy i inne dobra z domu von Leitgebela, zaprowadził go do piwnicy zrujnowanego budynku w pobliżu Dworca Śląskiego.

– Pański pokój już jest gotowy, Herr H. Margot i Eva, moje najlepsze dziewczyny, na pana czekają. Spodobają się panu – zapewnił Otto, tak miał na imię ten typ, podając mu klucz i wkładając do ręki papierowy zwitek.

To, co ten oszust sprzedał mu jako swój najlepszy pokój, było śmierdzącą dziurą, której wystrój sprowadzał się do mieszanki starych, zakurzonych tkanin i lampy z potłuczonymi kryształami rzucającej banalnie czerwone światło. Margot i Eva czekały na niego w łóżku, w bieliźnie, która najlepsze lata miała za sobą, z obnażonymi piersiami. Peter skupił się na ich wystających kościach, przede wszystkim na żebrach tych wychudzonych kobiet, ukrywających blade twarze pod groteskowym makijażem. I to były najlepsze dziewczyny Ottona... A jednak ta żałosna scena w jakiś niewyjaśniony sposób go podnieciła. Tak jest lepiej.

Peter czuł obrzydzenie do siebie samego, bo w tym podartym i brudnym ubraniu wyglądał jak żebrak. Radzieccy żołnierze zostawili mu to, co miał na sobie, garderobę von Leitgebela, z którego ubrań z dobrych angielskich tkanin korzystał, złupili do cna. Uznał jednak, że odprawienie rytuału porządku uszlachetnia jego samego i to obrzydliwe miejsce, a nawet te obrzydliwe dziwki. Ściągnął więc kapelusz, poprawił jego kształt i ostrożnie odłożył na krzesło. Zdjął marynarkę, otrzepał ją z kurzu i starannie odwiesił na oparcie krzesła. Metodycznie rozpiął trzy pierwsze guziki koszuli, jednym ruchem rozwiązał węzeł krawata, ściągnął go, złożył i schował do kieszeni.

Podwijając rękawy koszuli, usiadł na fotelu naprzeciw pretensjonalnego łóżka z baldachimem, zapewne skradzionego z garsoniery jakiegoś nazistowskiego bonza. Obok fotela, tak jak poprosił, na stoliku stały szklanka i butelka brandy opłacona najlepszą bransoletką Gerdy. Nalał do pełna i usypał sobie kreskę białego proszku z papierkowego zwitka. Wypił z przyjemnością i poczuwszy, że alkohol wypływa mu z kącików ust, szybko otarł je wierzchem dłoni.

– Zaczynajcie – rozkazał dziwkom.

One, wiedząc już, co mają robić, zaczęły się dotykać, całować i lizać.

– Nie słyszę was...

Dziewczyny były posłuszne, więc słuchając ich pojękiwania i ocierania się o siebie, Peter zwinął banknot dziesięciomarkowy, wart mniej niż papier, na którym go wydrukowano, i wciągnął kokainę. Natychmiast poczuł drapanie w nosie. Niezdarnie otarł łzy. Czekając na efekt działania narkotyku, rozparł się w fotelu i zamknął oczy. Dziewczyny dalej wykonywały swoją pracę, gardłowe jęki towarzyszyły mu w odlocie.

– Głośniej!

Zrobiło mu się ciepło. Serce biło mu mocno, pot zalewał czoło. Otworzywszy oczy, zobaczył Margot z sutkiem Evy w ustach, podczas gdy tamta wkładała palce w waginę koleżanki. I wtedy poczuł gwałtowną erekcję; szybko się porozpinał, chwycił za penis i zaczął się masturbować.

– Dalej, suko! Dalej!

Margot krzyknęła z rozkoszy, Peter wraz z nią przeżył orgazm. Nasienie wypłynęło niekontrolowanie na jego dłoń. Zagryzł usta, hamując krzyk i przedłużając ekstazę do momentu, aż wstrząsnęła całym jego ciałem. Był w euforii. Jego penis pozostał twardy, wyprężony i nabrzmiały, nawet gdy wypuścił go z ręki. Nie mogąc jednak pohamować obrzydzenia, wytarł dłoń chusteczką, pociągnął z butelki i zabierając ją z sobą, podszedł do łóżka. Chwycił za włosy jedną z dziwek i wpił jej się zębami w usta, aż do krwi, podczas gdy druga zajęła się nim i wyduсила z niego resztki rozkoszy, zanim zstąpił w otchłań kokainowego zjazdu.

Świtało, kiedy wracał do willi w Dahlem. Ulice były pełne pijanych radzieckich żołnierzy, leżących w zaułkach między nogami kobiet. Ci, którzy jeszcze zachowywali świadomość, dalej je gwałcili; one już nawet się nie broniły. Przez całą noc było słyhać wystrzały w powietrze, krzyki, śpiewy, odgłosy towarzyszące świętowaniu zwycięstwa.

Zanurzył się w wannie pełnej mętnej wody; od wielu dni jej nie zmieniał, bo ci cholerni Rosjanie zakazali używać wody do kąpieli. W każdym razie ta wystarczyła, żeby zmyć z siebie zapach dziwek. Potem zaparzył sobie kawy, do której dodał odrobinę wódki, żeby oczyścić umysł. Z nocy pamiętał tylko, że obudził się w rozgrzebanym łóżku, ze spodniami na kolanach, z lepкими rękami i z twarzą pomazaną krwią i szminką. Dziwek już nie było. Przeklęta kokaina. To prawda, że bardzo ją lubił, ale później czuł się chujowo. Teraz też, mdliło go i bolała go głowa.

Po trzech filiżankach kawy i połowie pastylki Pervitinu poczuł się trochę lepiej. Jednak ból głowy nie przestawał mu dokuczać. Wstydził się samego siebie – to była jego słabość. „Jesteś degeneratem”, powtarzał sobie. I co? Czy miał jakieś inne wyjście?

„Co powiesz, ojcze? Czy może zostawiłeś mi inne wyjście? Ty! Ty mi przekazałeś tę obsesję, do cholery! Przeklęty Walther Hanke! Nie możesz się teraz mnie wstydzić!”

Peter Hanke był wytworem tego, co go poprzedzało. Matka zmarła, kiedy miał niecałe trzy lata. Zbyt wcześnie. Nawet jej nie pamiętał. Dzieciństwo spędził u boku nazbyt opiekuńczego ojca, który żył w strachu, że i jego mógłby stracić, swoje jedyne dziecko. Tworzyli specyficzny tandem, wędrowny i samotny, może nawet aspołeczny. Walther Hanke poświęcał się książkom, swoim badaniom i synowi. Peter nie miał przyjaciół – tak już zostało – i po raz pierwszy zamienił słowo z dziewczyną jako dwudziestoletni młodzieniec.

Zdarzyło się to podczas wojny, w 1916 roku, on leżał w szpitalu, ona była pielęgniarką. Ładna. Klara. Wręcz oszalał na jej punkcie. I chociaż rozmawiając z nią, zaczynał się jąkać, spróbował się z nią umówić. Ostatecznie nie poszedł na spotkanie. Zamiast tego wylądował w burdelu i tam przestał być prawiczkim za sprawą starej kurwy, jedynej, na którą było go stać. Największą przyjemność sprawiło mu wychłostanie jej. Tyle że było to doświadczenie tak brudne i nieprzyjemne, że od tego czasu seks oznaczał dla niego masturbowanie się i myślenie przy tym o Klarze. Wolał się masturbować, bo penetracja wzbudzała w nim pewne obrzydzenie. Chyba że z Gerdą; ona była równie dzika i zdeprawowana jak on.

Może to przez wojnę, tę poprzednią, nazwali ją wielką wojną, niezdolni wyobrazić sobie, że wybuchnie jeszcze większa. Do diabła z tym wszystkim! Tamta wojna go zmieniła, otworzyła oczy dziecku wychowanemu w ciepłarnianych warunkach. Przemoc i kobiety, obie te rzeczy odkrył podczas wojny. Obie były niczym objawienie, fascynowały go i odrzucały jednocześnie.

Pod przyjemnością skrywała się chorobliwa odraza – i tak wpadł w błędne koło rozkoszy i wyrzutów sumienia. Początkowo, kiedy jeszcze żył ojciec, takie uczucia go dręczyły, ale po śmierci starego nie musiał już hamować swoich impulsów i udawać syna, na jakiego zasłużył sobie Walther Hanke. Poddał się samemu sobie: taki był. Taki był Peter Hanke: brutalny i zdegenerowany.

Opadł na fotel. Chłodny wiatr poranka przeciskał się przez szpary między deskami zakrywającymi dziury w tej części domu, w której żył, najmniej zrujnowanej. Po chwili, ze wzrokiem zagubionym w pustce, włożył rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął pognieciony papier. Rzucił na niego okiem. Nie musiał go czytać, żeby przypomnieć sobie, co zawiera.

Uważajmyj gospodin Althann...

„Szanowny panie Althann...” Od niemal trzech lat podszywał się pod Corneliusa Althanna, żeby wymieniać korespondencję z siostrzenicą Wojkowa. Ona miała medalion i trzy mając się wskazówek wuja, zwróciła się do starego Althanna, żeby pomógł jej go strzec. Zgodnie z procedurą, którą Wojkow i Althann wcześniej uzgodnili, obawiając się, że medalion może być narażony na niebezpieczeństwo, listy kierowano do Szwajcarii, a tam ktoś je wkładał do koperty i wysyłał do miejsca ostatecznego przeznaczenia. Peter o tym wiedział z dokumentów znalezionych w domu Wojkowa.

Czytając te wszystkie listy, dobrze poznał dziewczynę. Nie tylko był znakomicie poinformowany o tym, gdzie się znajdowała przez ten cały czas, kiedy Peter wyobrażał ją sobie, jak za wszelką cenę brnie do Berlina; dziewczyna zwierzała też mu się ze swoich lęków, obaw i myśli, jakby był jej powiernikiem, przyjacielem. Tak doskonale wzbudził jej zaufanie do siebie. Ziarno zostało zasiane.

Oczywiście wojna pozmieniała wszystkie jego plany. Przejęcie medalionu stało się znacznie trudniejsze, zależne od przypadku, od kaprysów tej przeklętej wojny i od tego, jak długo będzie trwała. Jak głupiec stracił okazję odebrania go Wojkowowi. Szlag go trafiał na myśl, że ten skarb znajduje się w rękach jakiejś dziewczyny o tysiące kilometrów poza jego zasięgiem, wystawiony na nie wiadomo jakie niebezpieczeństwa... Ale nigdy nie dopuszczał do siebie zwątpienia. Cierpliwość była cnotą, którą nauczył się pielęgnować jak wielcy myśliwi. Zachować czujność i działać przebiegle. Wiedział, gdzie jest medalion, i najważniejsze było nie stracić kontroli nad tą informacją. Wcześniej czy później wojna się skończy, a on zakończy to, co rozpoczął. Skoro Bauer, Wojkow i Althann zostali wykluczeni z gry, będzie to tym łatwiejsze.

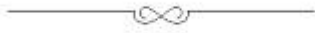
Tymczasem wojna się skończyła; czy ta chwila już nadeszła?

Ten ostatni list, wysłany z jakiegoś miejsca na Pomorzu, otrzymał przed miesiącem. Armia Czerwona żwawo zmierzała do Berlina, ale ciągle napotykała zdecydowany opór. Jednak ona nie traciła ducha i determinacji, nieustannie zbliżając się do swojego celu. Bla, bla, bla...
Podpisane: Katia Wojkowa. Magna Clavis.

Czy się jej udało? Czy Katia Wojkowa jest w Berlinie? Umówili się, że jeśli tak się stanie, spotkają się w antykwariacie Althanna albo w tym, co z tego antykwariatu zostało. Peter obserwował go codziennie od zawieszenia broni, nawet zostawił na drzwiach wiadomość podpisaną niby przez Althanna, by się z nim skontaktowała. Wszyscy tak robili w tych czasach, żeby znaleźć swoich bliskich; Berlin był pełen rozpaczliwych wiadomości. Na razie jednak nie było ani śladu dziewczyny. Może powinien zgłosić się do radzieckich władz i o nią zapytać. Nawet nie chciał sobie wyobrażać, że zginęła na Pomorzu albo w bitwie o to miasto. Jedyną opcją, jaką dopuszczał, było znalezienie dziewczyny Wojkowa, żywej albo martwej, to plan minimum; jeśli miałby własnymi pazurami drapać w ziemi, żeby wydobyć jej trupa, zrobiłby to, bo wiedział, że tam gdzie jest ona, jest i medalion.

Postanowił, że tego poranka znowu tam pójdzie, pokręci się po domu antykwariusza przy

Friedrich-Karl-Platz. Może Katia w końcu przyjdzie na spotkanie z Corneliusem Althannem. I wtedy Peter Hanke zastąpi go po raz ostatni.



Świętowanie kosztowało życie wielu radzieckich żołnierzy. W ich pogoni za alkoholem zdarzało się, że pili z beczek rozpuszczalnik. I zwycięstwo w ten sposób dopełniało zadanie wojny w okrutnym paradoksie. Podobne historie kazały Katii myśleć, że życie jest czasem bezsensowne. Przebyć taki szmat drogi, żeby ulec czemuś tak głupiemu.

Przebyć taki szmat drogi, po co? Czy przetrwanie było ostatecznym celem? Co człowiek ma potem zrobić z życiem?

Trzeźwienie oczyszcza umysł i Katia widziała w perspektywie tylko wielką pustkę. Co przyniesie koniec wojny?

„Już nigdy nie będziemy kobietami, Katio. Kto nas zechce, jak wrócimy do domu? Wojna robi z mężczyzn bohaterów, a z kobiet dziwki. Oni nie będą już chcieli kobiet splamionych wojną”.

Julia miała rację. Wojsko jest dla mężczyzn, zostało dla nich stworzone. Kiedy Katia wstąpiła do wojska, nie było nawet kobiecych mundurów! Przez kilka miesięcy nosiła buty o trzy numery za duże i męskie spodnie jako bieliznę. Kiedy miała okres, musiała sobie radzić za pomocą kawałków materiału i bandaży, bo oczywiście przydział wojskowy nie obejmował ligniny.

I gdyby tylko wszystkie przeszkody były zwyczajnie techniczne, gdyby tylko wszystko sprowadzało się do dopasowania męskich spodni czy paska. Napływ kobiet do wojska wykraczał daleko poza te sprawy. W zasadzie zmienił fundamenty armii. Kobiety musiały się liczyć z lekceważeniem, protekcyjnym traktowaniem, z nękaniami i molestowaniem. Między kobietami i mężczyznami trudno było zachować relacje nieprzekraczające zasad braterskiej walki. Żołnierzom wydawało się, że mają władzę nad swoimi towarzyszkami; oficerowie nad swoimi podkomendnymi tym bardziej. Nawet związki za obopólną zgodą nie były dobrze widziane. Żony z pola bitwy cieszyły się złą opinią. *Pochodno-polewaja žena*, PPŻ, szydercze określenie nawiązujące do skrótów pistoletu maszynowego PPSz. Jednak zdarzało się i tak, że bycie kochanką oficera zapewniało święty spokój, choć to równocześnie czyniło z kobiety dziwkę.

To prawda, że wojskowe życie dawało im wolność, ale nie było dobrze widziane, żeby kobieta była wolna. Żołnierki to nowa kategoria kobiet i społeczeństwo nie wiedziało, jak je traktować.

Katia na własnej skórze doświadczyła wszystkich problemów kobiet w wojsku. Od klepania po tyłku w chwilach jej nieuwagi, aż do prób gwałtu w nocy odpoczynku i alkoholu. Od niedoceniań jej, dlatego że jest kobietą, po propozycje przywilejów w zamian za okazanie przez nią względów. Wszystkie jej koleżanki opowiadały takie same historie. Przez jakiś czas pozwalała się kochać jednemu młodemu porucznikowi. Nie była zakochana, ale wydawał jej się miły, szarmancki i uważny, traktował ją z szacunkiem i odstraszał natrętów; nauczyła się, że dobrze mieć kogoś, kto płoszy natrętów. Poległ śmiercią bohatera, z honorem, zachowując nienaganną reputację; z jej reputacją było jednak nie najlepiej. Potem pojawił się Oleg.

Poznali się w styczniu w Moskwie, gdy leczyła się z ran. Pułkownik Oleg Awramow należał do NKWD, Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Katia nigdy nie lubiła typów z NKWD, byli jak cienie ścigające duchy, antyradzieckie duchy, wywrotowe, wroga; zawsze czujni, zawsze gotowi. Fanatycy skłonni do intryg. Kiedy jednak poznała Olega, wydało jej się, że on wyłamuje się ze schematu, że jest inny. Oleg był radosny i szlachetny. Może dlatego, że

bardziej był naukowcem niż oficerem. Fizyk z wykształcenia, pracował w miejscu znanym pod nazwą Laboratorium Numer 2, zajmującym się aeronautyką wojskową. Katia domyślała się, o co chodzi, choć Oleg jej tego nie wyjaśnił, a ponieważ NKWD zwróciło na nią uwagę, sprawa musiała być tak poważna, jak przypuszczała.

Oleg był dużo starszy od niej, około czterdziestki, ale Katia uważała, że jest atrakcyjny: miał atletyczną sylwetkę oraz gęste ciemne włosy przeplatane srebrnymi nitczkami. Był żonaty, ale to nie miało dla nich znaczenia, i dwa dni po tym, jak się poznali, zostali kochankami. Dwoje ludzi zmęczonych wojną, którzy wzajemnie przypominali sobie, że są ludźmi. A jednak społeczeństwo pogardzało nią, PPŻ, dziwką.

Po miesiącu Oleg zgłosił się na ochotnika na front, odnalazł oddział Katii i oświadczył się jej; był zakochany, to jej wyznał. Na froncie małżeństwa rejestrowano bez paszportu ani żadnego innego dokumentu, więc wcześniejsze związki nie miały znaczenia, nie stanowiły przeszkody. Kiedy życie jej dzieci wisiało na włosku, Matuszka Rossija przymykała oko na bigamię, poligamię, czy na co tam było trzeba.

Katia odmówiła. Nie chciała stać się kolejną żoną w haremie, nie tak się to robi, wycofała się.

Jednak Oleg nie zrezygnował.

– Zostawię żonę – oznajmił jej pewnej nocy, po namiętej miłości i szeptaniu słodkich słów do uszka.

Katia go pocałowała, przytuliła, popieściła, okryła kołdrą i powiedziała mu, że Berlin jest za daleko, żeby myśleć o czymkolwiek.

Co innego mogła mu powiedzieć, skoro nie była zakochana? Nie widziała siebie wracającej do Moskwy jako żona Olega. Druga żona Olega. W ogóle nie wiedziała, jak siebie widzi ani dokąd chce wrócić.

Już nie była Hiszpanką, w Hiszpanii nie miała nic, pozostał jej tylko język, którym ledwo potrafiłaby się porozumieć. Nie była też Rosjanką; ani ona nie czuła się Rosjanką, ani Matuszka Rossija nie uważała jej za swoją córkę, tylko za adoptowaną. Co teraz będzie robić?

Położyła rękę na piersi, na medalionie, i omiotła spojrzeniem ten plac wśród ruin Charlottenburga. To było jedyne miejsce, do którego w tej chwili prowadziło ją przeznaczenie.

Zatrzymała się, by przyjrzeć się domkowi stojącemu pośrodku gruzowiska; wyglądał jak grzyb, który jako jedyny ostał się w zrównanym z ziemią lesie. Jakim cudem przetrwał?

Trudno jej było go znaleźć. Plany Berlina przestały mieć sens; ulice się zatarły i mało co stało na swoim miejscu. Myślała już nawet, że sklep z antykami spotkał ten sam los, co większą część miasta. Jak by wtedy odnalazła Corneliusa Althanna?

Szczyście się jednak do niej uśmiechnęło. I oto jest: „Antiquitäten, Bücher und Uhren”. Szyld nieco przekrzywiony, fasada podziurawiona kulami, wybite okna, zapadnięty dach; zraniony, ale żywy.

W końcu postanowiła przejść przez plac. Po drodze słyszała odgłosy tarcia, stuk wiader napełnianych gruzem i piaskiem. Niemki sprzątały ruiny, smutne i milczące. W Berlinie prawie nie było widać niemieckich mężczyzn; ci, którzy nie polegli lub nie zostali wzięci do niewoli, ukrywali się albo popadli w rozpacz i szaleństwo, załamali się. To kobiety okazywały siłę i odwagę, to one musiały odbudować miasto. One były bardziej praktyczne i udowodniły, że są wytrzymałe i zdolne do przystosowania się. One wystawiały na szwank dogmat o wyższości mężczyzn, choć przygnębione tym, że wcześniej czy później będą musiały wrócić na pozycję, którą przeznaczyło im społeczeństwo, do stereotypu. Katia podejrzewała, że tak będzie nie tylko z niemieckimi kobietami.

Odsunęła te niewygodne myśli i przez fasadę, która była teraz samotną ścianą, jedyną

pozostałością po okolicznych budynkach, weszła tam, gdzie wydawało jej się, że powinien być wewnętrzny dziedziniec. Wokół panowała cisza.

Podeszła do domu i zajrzała do środka przez stłuczoną witrynę. Pogrążone w półmroku wnętrze było opuszczone i zrujnowane. To ją przygnębiło. Ale naiwnością było sądzić, że zastanie tam Corneliusa Althanna. Nikt nie mógłby mieszkać w tych ruinach. Jeśli panu Althannowi udało się przeżyć, prawdopodobnie znalazł sobie bezpieczniejsze miejsce, kto wie, może nawet poza miastem. Może w miarę jak wrogie wojska okrążały Berlin, najważniejsze stało się zadbanie o własne życie i zapomniał o niej.

Mimo ponurego widoku, jaki ukazał się jej oczom, Katia postanowiła wejść do sklepu, żeby poszukać jakichś śladów, wskazówek. Drzwi ustąpiły przy pierwszym pchnięciu, przeszła przez nie powoli i ostrożnie.

– Halo! Jest tu ktoś? – zawołała po rosyjsku. Nie otrzymała odpowiedzi, powtórzyła to samo po niemiecku, i znowu nic.

Podłoga zasłana przedmiotami rozbitymi w drobny mak zachrząściła pod jej stopami. I tu powtarzała się scena, którą widziała już mnóstwo razy: płądrowanie, zniszczenie, porzucenie. Myśląc o czymś innym, pochyliła się i wydobyla spośród śmieci książkę. Trzymała ją w ręku, nie patrząc na nią. Już nie rozpoznawała tego wnętrza. Nie miało nic wspólnego z zamazanymi obrazami z jej pamięci: zakurzonym ciepłym światłem, labiryntem cennych lśniących przedmiotów, nierównym tykaniem zegarów i zgodnym wybijaniem każdej pełnej godziny, stosami książek...

– Panienska Wojkowa?

Upuściła książkę i się odwróciła. Smukła sylwetka odcinała się w drzwiach.

– Katia? Czy jest pani Katią Wojkową?

Nie widziała twarzy tego mężczyzny, jedynie ciemny kształt pod światło. Ale był wysoki i szczupły. Wysoki i szczupły.

– To pani, prawda? Porucznik Wojkowa, oczywiście, pisała mi pani w jednym z listów, że panią awansowali. Jest pani w Berlinie! Wreszcie tu pani dotarła, nie mogę uwierzyć.

Katia zmarszczyła brwi i zrobiła krok do tyłu. Mężczyzna zbliżał się do niej.

– Katio... Proszę się nie bać. To ja, Cornelius! Cornelius Althann.

Kiedy już zobaczyła jego twarz, spadła na nią ogłuszająca lawina niejasnych wspomnień i emocji.

– Cornelius Althann? – Zawahała się.

– We własnej osobie. Proszę spojrzeć – poszukał w kieszeniach – mam pani listy.

Katia rozpoznała własne pismo na tych papierach, które podtykał jej pod nos. Poczowała się zmieszana. Tak, to były jej listy. Kto, jeśli nie Cornelius Althann mógłby je mieć? Ale nie. Ten mężczyzna nie był Corneliusiem Althannem.

Sięgnęła do kabury pistoletu. Jednak zanim zdołała go wyciągnąć, mężczyzna rzucił się na nią, rozbroił ją, popchnął na ścianę i przyłożył jej lufę do szyi.

– Przyjechałaś do Berlina, żeby mnie zabić, kochana Katio? – syknął, dysząc z wściekłości.

Spojrzała na niego wyniośle.

– Nie jest pan Corneliusiem Althannem. Kim pan jest?

– To bez znaczenia, ty cwaniaro. Ważne jest to, czego chcę. Daj mi medalion, a pozwolę ci odejść.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Tamten uśmiechnął się złośliwie, szczerząc małe żółte zęby tuż przy jej twarzy.

– Nie, Katio, tą drogą nie... Zapominasz, że wiem o tobie wszystko? Sama mi to opowiedziałaś w listach. Trzy długie lata zwierzania się z tajemnic, pamiętasz?

Ponieważ milczała, facet położył jej rękę na kroczu; Katią wstrząsnęło obrzydzenie.

– Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię rozebrał i sam go wziął – wyszeptał pożądlivym tonem.

Oddech śmierdział mu alkoholem. Czują jego lepkie, gorące ciało na sobie, obscenicznie blisko.

Potrzebowała czasu. Potrzebowała przestrzeni. Ten facet był pijany. Powinna wykorzystać tę przewagę.

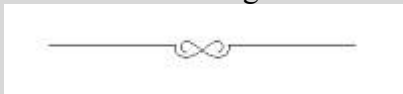
Przełknęła ślinę. Udała, że mu ulega, próbując unieść rękę przygniecioną do ściany.

– Nie mogę się ruszyć.

Wydawało jej się, że facet się rozluźnił. Uwierzył, że zaraz osiągnie cel. Trochę zmniejszył napór, nieco odsunął broń. Wtedy Katia mocno trzasnęła go czołem w nos, a następnie kopnęła kolanem w krocze. Skulił się z bólu, krzycząc z wściekłości, więc spróbowała wyrwać mu pistolet. Gdy tak się siłowali, doszło do wystrzału. Od huku zadudniło w murach i z sufitu spadł odłupany tynk, ale oni dalej przewalali się po podłodze, zwarci w walce. Ten mężczyzna był silny i zręczny, nie wypuścił pistoletu i zdołał kilkoma kopniakami odrzucić Katię. Kiedy upadła, zdzielił ją w twarz z taką siłą, że aż ją ogłuszył. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą lufę pistoletu.

– Ty suko! Pierdolona suko! – wrzeszczał, trzęsąc się z wściekłości; przy każdym słowie zaplawał się i krew kapiała mu z nosa. – Zabiję cię!

Katia zrozumiała, że on to robi, poczuła przyptyw paniki. Medalion jakby palił ją na piersi. Musiała tylko mu go oddać, zrzucić z siebie ten ciężar. On i tak zerwie go z jej trupa. Doszła do końca drogi.



Ramiro wyszedł w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Umierał z głodu od wielu dni. Jego ostatnim posiłkiem był herbatnik popity odrobiną herbaty poprzedniego wieczoru. I nie zaniósł się na nic lepszego. Mówiło się, że ludzie w Rosji głodują, więc po co bolszewicy mieliby karmić akurat ich, swoich wrogów, skoro nie karmili nawet własnych ludzi? Nikt nie wiedział, czego się spodziewać po Sowietach. Chwilowo sama ich obecność okazywała się przerażająca.

Kartki na żywność wypuszczone przez pokonany reżim nazistowski kompletnie straciły wartość. Sklepy zostały splądrowane albo zniszczone, więc berlińczycy nie wiedzieli, dokąd udać się po jedzenie. Kwestia zaopatrzenia zmieniła się w polowanie: trzeba było przemierzać ulice w poszukiwaniu jakiegokolwiek okazji. Truchło padłego konia porzucone pośrodku ulicy było ćwiartowane w kilka minut. Od czasu do czasu Rosjanie niespodziewanie podstawiali ciężarówkę i rozdawali kartofle, małe jak śliwki, puszki groszku i twarde chleb szarej barwy, smakujący cementem, bo z całą pewnością był zrobiony z cementu. Tłum gromadził się wokół kuchni polowych rozdających ciepłą zupę; nie dla wszystkich starczało.

Po całym dniu chodzenia zniszczonymi ulicami wśród samotnych dusz usłyszał plotkę, że można zdobyć odrobinę jedzenia w magazynie wojskowym w Friedenau. Kiedy tam dotarł, radzieccy żołnierze opróżniali jego piwnice: worki mąki, ryżu, konserw... Coś dostało się i tym, którzy czekali na okruchy po drugiej stronie radzieckich karabinów. Ramiro zdobył dwie puszki fasoli i kilka garści ryżu, który przesypywał się po drodze w kieszeni jego marynarki. Oddał pewnej staruszce słoik ogórków, na który oboje rzucili się w jednej chwili, ale wydało mu się, że kobieta bardziej go potrzebuje, a on już miał dość jedzenia.

W każdym razie wracał do domu zadowolony. Do domu... Dziwne słowo w tych czasach. Czekał w Berlinie na to, co miało się wydarzyć lub nie, postanowił uczynić swoim schronie-

niem dom Corneliusa Althanna i wprowadził się tam z Ilse. Biedaczka wszystko straciła; jej dawny dom został zbombardowany, a co do rodziny – spędzała całe dni na próbach zdobycia jakichś informacji o ojcu, matce i siostrze, ale nikt nie potrafił jej powiedzieć, gdzie się znajdują; dotychczas słyszała tylko przerażające pogłoski, te same co zawsze.

Mieszkanie nad antykwariatem było zrujnowane, ale skoro większość domów w Berlinie została zrównana z ziemią i mnóstwo ludzi koczowało na ulicach, i tak mieli wielkie szczęście, że znaleźli dach nad głową, nawet jeśli częściowo zapadnięty.

Ramiro dotarł do domu od tyłu, skąd wchodziło się do drzwi prowadzących bezpośrednio na piętro. Myślał o ogromie czekającej go pracy: posprzątać i przystosować do życia pokoje, spróbować uruchomić kuchnię węglową, naprawić zniszczenia, wstawić szyby w okna, żeby ochronić ich przed zimnem i deszczem...

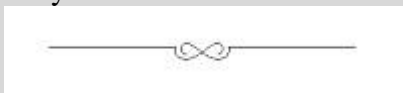
Zanim wszedł do sieni, zaskoczył go odgłos wystrzału. Instynktownie rzucił się na podłogę i rękami zasłonił głowę; puszki potoczyły się po deskach. Naprężył mięśnie w oczekiwaniu na kolejne strzały. Drżał na myśl, że ponownie będzie przeżywał ten koszmar. A jeśli znowu go sparaliżuje?

– Spokojnie, Ramiro, spokojnie – mówił do siebie przez zęby, leżąc w bezruchu.

Usłyszał wymianę ciosów dochodzącą z parteru, ze sklepu. Podparł się ostrożnie i podszedł na czworaka do wewnętrznych schodów. Spojrzał w dół i zobaczył dwie postaci, które walczyły, jęcząc i dysząc. Dostrzegł mundur radzieckiego żołnierza, ten drugi był w cywilu. Dokładnie w tej chwili cywil kopniakiem odrzucił żołnierza, który upadł na podłogę. Potem uderzył go w twarz i wymierzył do niego z pistoletu.

– Ty suko! Pierdolona suko! Zabiję cię!

Ramiro nie mógł uwierzyć własnym oczom. Żołnierz był kobietą, a mężczyzna... Ten głos, ta twarz poznaczona bliznami... Zalał go strumień obrazów, przyczajonego tam i drżącego jak mysz.



– Nie! – krzyknęła Katia w desperacji. – Nie... Nie strzelaj. – Powalona na plecy, niezdarnie odsuwała się od niego. – Dam ci go. Dam ci go.

Jej przeciwnik ział furją. Płomiennie spojrzenie i twarz zalana krwią nadawały mu demoniczny wygląd. Dłoń miał białą od ściskania pistoletu, z którego zaraz mógł wystrzelić, z którego chciał wystrzelić. Zrobi to, nawet jeśli dostanie medalion. Był pijany przemocą.

– Nie strzelaj – powtórzyła słabym głosem. Nie mogła złapać tchu. Wyciągała rękę przed siebie, jakby miała ją osłonić przed kulami; żalostny gest. Pot zalewał jej oczy, panika zaćmiewała wzrok.

– Dawaj go, kurwa! Pokaż mi ten przeklęty medalion, ruska dziwko!

Katia nie była w stanie rozpiąć guzików koszuli, bo trzęsły się jej ręce i nie spuszczała z oczu lufy pistoletu, od którego zależało jej życie.

Wtedy go zobaczyła. Tak naprawdę było to ledwie mignięcie. Cień, zamazana postać w drugim planie, za lufą pistoletu, za celującym w nią szaleńcem. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Nic nie mogła zrobić.

Skrzypnięcie rozległo się w pomieszczeniu i w jej uszach. Potem tępe uderzenie. I cisza.

Facet runął jak długi.

Katia instynktownie rzuciła się po swój pistolet, po czym jak jaszczurka odczołgała się w bezpieczne miejsce i oparła plecami o ścianę.

– *La madre que me parió!* – Ja pierdolę!

Chłopak z solidną szczapą w ręku patrzył zdumiony na tego, któremu właśnie rozwaliał głowę.

– Jesteś Hiszpanem? – zgadła zaskoczona Katia, poszukując w pamięci słów tego zardzewiałego języka.

Skinął głową. Też był zaskoczony. Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

– Pani jest tym oficerem... z piwnicy. Uratowała tam pani Ilse przed żołnierzami.

Katia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Była w wielu piwnicach pełnych wystraszonych Niemców i Niemek napastowanych przez żołnierzy...

Powalony mężczyzna wydał z siebie jęk i się poruszył. Napędzana adrenaliną Katia skoczyła na równe nogi z pistoletem w ręku.

– Dochodzi do siebie. Potrzebuję sznura albo kawałka materiału, żeby go związać.

Chłopak spojrzał na nią zmieszany.

– Nie mówię po rosyjsku.

Powtórzyła ostatnie zdanie w swoim nieudolnym hiszpańskim i Ramiro w jednej chwili podał jej sznur, który wyrwał z tapicerki roztrzaskanego krzesła.

Nie bacząc na jęki bólu, Katia błyskawicznie odwróciła mężczyznę na brzuch i związała mu ręce na plecach. Porządnie zacisnęła ostatni węzeł. Leżał teraz sztywno i wyglądało na to, że nie ruszy się o własnych siłach.

– On... – Chłopak odchrząknął, wskazując jeńca. – Słyszałem, że wspomniał o medalionie...

Katia, jeszcze klęcząc, uniosła głowę i rzuciła mu nieufne spojrzenie: był zdenerwowany. Wykręcał palce pod postrzępionymi rękawami marynarki, która na nim wisiała; ewidentnie stracił wiele kilogramów, prezencję i godność. Ludzie kurczą się ze strachu.

– Szuka pani Corneliusa Althanna? – ośmielił się zapytać po hiszpańsku.

Katia milczała, więc mówił dalej:

– Herr Althann mieszkał tutaj. To był jego sklep. Ale ten człowiek go aresztował. Jest gestapowcem. Był. Cornelius jest moim przyjacielem. Ja też tu na niego czekam. Nie wiem, czy wróci. Niewielu wraca.

Katia powoli wstała, starając się ocenić swoje wątpliwości i rozważyć wszystkie opcje. Po tym, co się wydarzyło, odnosiła wrażenie, że nie może ufać nikomu. A jednak ten chłopak wzbudzał w niej dziwne zaufanie. Może dlatego, że rozpaczliwie tego potrzebowała. Zachowując ostrożność, mogłaby przynajmniej dać mu szansę. W sumie uratował jej życie.

– Słuchaj, musimy porozmawiać – postanowiła w końcu. – Ale bez świadków. Przyprawdę kilku towarzyszy, żeby go stąd zabrali. Możesz go tymczasem popilnować? Jak będzie fikał, walnij go jeszcze raz. Masz dobrą rękę do drewna. – Uśmiechnęła się.



Ramiro znalazł drugą deskę i trzymał ją mocno, gotową do użycia w każdej chwili. Przyjrzał się temu typowi usmarowanemu krwią i pyłem. Półprzytomny jęczał tylko i stękał. Ten żalony widok wzbudzał w chłopaku nienawiść. Nienawiść, która wrzała mu w piersi i wstrząsała całym ciałem.

– Gdzie jest? Gdzie jest Herr Althann? – zapytał gardłowym od napięcia głosem.

Nie otrzymał odpowiedzi, zresztą się jej nie spodziewał. Najchętniej skopałby tego gestapowca, ale nie po to, żeby wyrwać z niego odpowiedź, tylko żeby wyrzucić z siebie niemoc i frustrację, które narastały w nim przez ostatnie lata. Trzy długie lata, podczas których nie udało mu

się wyrzucić z głowy tego obrzydliwego typu. Typa z bliznami.

Teraz leżał u jego stóp jak szmata. Szkoda, że nie jest na tyle odważny, by wykorzystać tę sytuację.

Rozluźnił mięśnie i opuścił uzbrojoną rękę, pokonany zmęczeniem. Rozejrzał się wokoło. To tutaj spotkał tego intruza po raz pierwszy. W dniu, w którym dowiedział się, że Cornelius został aresztowany.

Tamtego popołudnia wracał do domu po ostatnich zajęciach. Chciał się pouczyć aż do początku swojej zmiany w hotelu; w następnym tygodniu podchodził do ważnego egzaminu i miał trochę zaległości. Jednak nawet nie wszedł na górę do swojego pokoju, żeby zostawić rzeczy.

Chłopak pojawił się znenacka przy drzwiach wejściowych, znikąd, niejako ukradkiem. Widać było, że jest zdenerwowany niczym człowiek, który znajduje się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Szeptem zwrócił się do niego po imieniu, zupełnie jak spekulant.

– Mam dla ciebie list. – Wyciągnął rękę i kiedy Ramiro, całkowicie zdezorientowany, wziął kopertę do rąk, odszedł, niczego nie wyjaśniając.

On o tym nie wiedział, ale chłopak nazywał się Dieter Puhl i był strażnikiem w więzieniu przy Prinz-Albrecht-Strasse w centrali RSHA, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Traf chciał, że przyszło mu pilnować piwnicy, w której znajdowała się cela Althanna. Dieter znał Corneliusa Althanna z dzielnicy, antykwariusz był klientem jego ojca, krawca. To dobry człowiek. Kiedy ojciec Dietera zmarł nagle na zator i rodzina została bez środków na opłacenie porządnego pogrzebu – interes od lat przynosił straty i długi rosły – Herr Althann zorganizował wśród sąsiadów zbiórkę koniecznych funduszy. Dietera zaskoczyło to, że antykwariusz został zatrzymany, choć oczywiście w tamtych czasach więzienia pełne były zwykłych ludzi.

– Dieter – zawołał go Althann przez zakratowane okienko w czasie obchodu. – Pomóż mi, proszę. Muszę napisać i wysłać list.

Ta prośba była niebezpieczna dla młodego strażnika: wszelka komunikacja więźniów ze światem zewnętrznym podlegała kontroli SS. Mógłby się wplątać w poważną aferę, gdyby odkryli, że pomaga jednemu z nich w łamaniu prawa. Ale do diabła z tym! Był winien przysługę Herr Althannowi, nie mógł odmówić jego prośbie.

Ramiro rozerwał kopertę i rozwinął papier. Przeczytał list, nie rozumiejąc, o co chodzi, nie chciał rozumieć. Znowu go przeczytał i ta niejasna wiadomość wbiła mu się do głowy. Przez chwilę stał jak oszalały pod schodami prowadzącymi do pokoju, z listem w rękę. W końcu wybiegł na ulicę.

Do Friedrich-Karl-Platz nie było daleko, zaledwie cztery przystanki tramwajowe. Jak to możliwe? Dlaczego Gestapo zatrzymało Corneliusa? Gdy widział się z nim po raz ostatni, odniósł wrażenie, że wszystko jest w porządku. Cornelius był zwyczajnym człowiekiem, który nie szuka kłopotów. To prawda, że od jakiegoś czasu go nie odwiedzał, może trochę ponad miesiąc. Między zajęciami, egzaminami, praktykami i pracą ledwie miał na coś czas. Żałował teraz, że nie zaglądał do antykwariusza częściej; czuł się jak cholerny niewdzięcznik. Cornelius tak bardzo mu pomógł...

List był krótki. Niemal zaszyfrowany: „Nadeszła chwila, w której musisz przejąć wodze. Pamiętaj: MC”. Dlaczego? Czy został sam? To niemożliwe. Cornelius wyjdzie z więzienia; na pewno wszystko okaże się nieporozumieniem. On nie jest przygotowany. Nie, jeszcze nie. Pójdzie do więzienia, poprosi o widzenie z Corneliusem. Może to właśnie powinien był zrobić od razu, a tymczasem szedł do niego do domu, jakby prowadziło go tam naiwne pragnienie, by potwierdzić, że to wszystko to kiepski żart.

Tramwaj dowiózł go na plac, musiał tylko przeciąć ogrody, żeby dojść do numeru czwar-

tego. Tam natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak: sklep był zapieczętowany, a witrynę zaklejono papierem, żeby nie było widać, co się dzieje w środku. Od strony wewnętrznego dziedzińca wszedł na pierwsze piętro. Zastukał do drzwi, nie spodziewając się, że ktoś otworzy. Następnie wymacał ręką pęknięcie w futrynie, gdzie Cornelius chował klucz, wyciągnął go i otworzył drzwi.

W środku zastał kompletny chaos: przewracane meble, papiery porzucane po podłodze, potłuczone przedmioty... Ramiro słyszał tylko echo własnych kroków. Miał ochotę zawołać imię Corneliusa, ale szybko zrozumiał, że byłoby to idiotyczne. Jak to możliwe? – ze ściśniętym sercem znowu zapytał sam siebie. Wtedy usłyszał szmer za plecami. Odwrócił się.

– Stój, nie ruszaj się.

Wysoki, chudy mężczyzna w cywilnym ubraniu mierzył do niego z pistoletu. Pod rondem jego kapelusza Ramiro dostrzegł kwadratową twarz ze szpiczastym nosem, twarde spojrzenie, kilka blizn przecinających lewy policzek. Lufa pistoletu była nieruchoma.

– Gestapo – obwieścił typ, podchodząc do Ramira i pokazując mu owalną blachę. – Ten budynek znajduje się pod nadzorem Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Jak tu wszedłeś?

– Mam klucz. Jestem kolegą Herr Althanna, właściciela.

– Dokumenty!

Ramiro wyciągnął z kieszeni marynarki paszport i podał tamtemu. Mężczyzna w końcu opuścił pistolet i zaczął przeglądać dokument.

– A więc Hiszpan...

– Studiuję w szkole technicznej. Wszystkie moje pozwolenia są w porządku – Ramiro pośpieszył z wyjaśnieniami, ale wydawało się, że gestapowca to nie interesuje, bo zwyczajnie oddał mu dokumenty.

– Herr Althann został aresztowany – poinformował. – Musisz mi oddać klucze. Już nie możesz tu wchodzić.

– O co jest oskarżony? – odważył się zapytać Ramiro.

Facet patrzył na niego przez chwilę, jakby się zastanawiał nad sformułowaniem oskarżenia przeciwko Althannowi.

– Niemoralne prowadzenie się.

– Niemoralne prowadzenie się? Co to znaczy? – Nawet Ramirowi wydało się, że jego ton jest bezczelny, biorąc pod uwagę okoliczności, ale hamowane wzburzenie trochę go złagodziło.

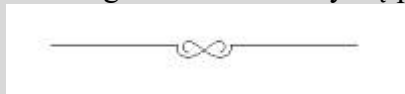
Gestapowiec zrobił kilka kroków w stronę chłopaka, żeby spojrzeć na niego z góry, jeszcze bardziej go onieśmielić. Miał dziwną minę, jakby się uśmiechał. Coś w tej twarzy i tym grymasie, w tej bliskości było dla Ramira odrażające.

– To oznacza, że twój przyjaciel jest brudnym pedałem – syknął. – A zatem twoja obecność w tym miejscu mogłaby zostać opacznie zrozumiana, co nie byłoby dobre ani dla niego, ani dla ciebie. Tym razem przymknę na to oko, ale nie chcę cię tu więcej widzieć, czy to jasne? A teraz dawaj te klucze.

To wspomnienie wstrząsnęło nim teraz jak porażenie prądem. Zupełnie jakby opętał go demon, Ramiro mocniej ścisnął deskę i w przypiływie wściekłości grzmotnął typa po plecach; tamten wił się na podłodze jak karaluch uciekający przed miotłą.

– Chuju, skurwysynie! Gdzie jest Herr Althann? – wykrzyczał po hiszpańsku.

Jego słowa rozniosły się po małym domu antykwariusza.



Radziecka oficer wróciła po mniej więcej półgodzinie z dwoma żołnierzami, którzy

wzięli gościa pod pachy i powlekli do wysłużonego amerykańskiego jeepa.

Ramirowi wręczyła czerwoną paczuszkę z żółtym napisem.

– Wydaje mi się, że wcześniej ci nie podziękowałam. To czekolada – wyjaśniła, widząc, że Ramiro zmieszany ogląda podarunek. – „Czerwony paździenik”, to dobra marka! Nie mam papierosów, przepraszam. Ale mogę je zdobyć.

– Czekolada... – wyszeptał, śliniąc się. – Bardzo dziękuję.

Katia patrzyła z przyjemnością na zachwyconą minę chłopaka. Ta jego sylwetka, chuda pod ubraniami, trochę przygarbiona, wzruszała ją. Cały robił na niej wrażenie: jego blada, pociągła twarz romantycznego poety, otoczona burzą ciemnych loków, zbyt długich, w której wybijały się ogromne oczy w kolorze kawy. I chociaż uznała, że jest przystojny, to przede wszystkim najbardziej atrakcyjna wydała jej się jego twarz dobrego człowieka.

– A przy okazji, mam na imię Katia.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Ja jestem Ramiro.

Cisza i spokój na nowo zagościły w starym sklepie antykwariusza. Powolny taniec kotów kurzu w promykach światła, które zdawały się przesywać pomieszczenie, tworzył dziwne wrażenie, że czas zatrzymał się w tym miejscu rzeczy opuszczonych i zapomnianych. Podczas gdy reszta świata pogrążała się w swoim szaleństwie, Ramiro i Katia ciągle siedzieli na podłodze, oparci plecami o ścianę, pogryzali czekoladę i rozmawiali, próbując uporządkować myśli.

Katia Wojkowa. Teraz Ramiro zaczynał rozumieć.

– Kiedy zatrzymali Corneliusa, napisałem do twojego wujka, żeby go o tym poinformować. Ale nigdy nie dostałem odpowiedzi.

– Mój wujek nie żyje – powiedziała bez ogródek. – Ten typ... Ten z Gestapo... To on go zabił.

Blizny. Kiedy zobaczyła policzek pełen blizn, pulsujący obraz, ukryty w jakimś zakamarku pamięci, przebił się do jej świadomości jak błysk. I ta iskra zapaliła resztę wspomnień, jakby zostały polane benzyną.

W zaledwie kilka sekund, podczas gdy ten mężczyzna osaczał ją swoją fałszywą serdecznością, zobaczyła samą siebie, jak wchodzi po spiralnych schodach domu w Leningradzie. Wracła spóźniona na kolację i wymyślała usprawiedliwienie, żeby wujek się na nią nie złościł.

„Przepraszam, wujku. Bo odprowadziłam Ksenię do domu po lekcjach i jej mama zaprosiła mnie na herbatę. Nie mogłam odmówić, żeby nie wyszło, że jestem źle wychowana, nie uważasz? I wiesz, że czas mija niepostrzeżenie, kiedy pije się herbatę”.

Była tak zamyślona, powtarzając te słowa ze wzrokiem wbitym w schody, by się nie potknąć, że na półpiętrze trzeciego piętra wpadła na kogoś, kto schodził tak szybko, jak ona wchodziła.

– Grzecznie przeprosiłam – wyjaśniała Ramirowi – ale on wydał z siebie jedynie gardłowy dźwięk i spojrzał na mnie w sposób, który wydał mi się bardzo niemiły. Twarz szaleńca, blizny na policzku... Ten facet mi się nie spodobał, dlatego ruszyłam na piąte piętro jeszcze szybciej, jeśli to w ogóle było możliwe, nieświadoma koszmaru, jaki tam na mnie czekał.

Nigdy nie zapomniwała widoku wujka z poderżniętym gardłem. Krew kapiała na podłogę jak tykający zegarek: tik-tik-tik.

– Mam go tutaj, w głowie. I nie odchodzi. Czasem atakuje mnie w snach. A widziałam ludzi zabitych na najbardziej przerażające sposoby... Ale wtedy byłam dziewczynką.

Ten mężczyzna. Mężczyzna, na którego wpadła na schodach w Leningradzie. Mężczyzna o twarzy szaleńca, z bliznami na policzku. Mężczyzna, którego cztery lata później o setki kilome-

trów od Rosji, miała przed sobą, a on słodziutkim głosem próbował ją oszukać.

– I on zabił wujka Fiodora.

Ramiro włożył sobie do ust ostatni kawałek czekolady; zjadł połowę tabliczki, a drugą połowę schował dla Ilse. Tymczasem trzymał ten kawałek na języku, żeby przedłużyć rozkosz. Spojrzał na Katię. Patrzyła przed siebie z posępną miną, opowiedziawszy historię, która doprowadziła do łez każdą kobietę, a przynajmniej każdą z jego wyobrażenia o kobietach.

Z bliska było widać, że jest młoda, młodsza od niego, chociaż w tym mundurze wyglądała starzej. Jak się jej dobrze przyjrzał, gdy już opadł bitewny kurz, bez czapki zasłaniającej czoło, bez niechęci zarezerwowanej dla wroga okazała się ładna. Egzotyczna piękność z pełnymi ustami, teraz spękany, i kocio zielonymi oczami, głęboko podkrążonymi; cera jasna, upstrzona zadrapaniami i rankami, i ciemne włosy, za krótkie; z profilu aktorka filmowa, z prostym nosem i ostro zarysowanymi policzkami i podbródkiem.

Ramirowi trudno było sobie wyobrazić taką kobietę w środku piekła bitwy. W piwnicy jak wszyscy inni wziął ją za mężczyznę. Co za dziwne połączenie: kobieta i żołnierz...

– Rozumiesz to? – odezwał się nagle, także do siebie samego. Jakby część jego mózgu myślała osobno i to ona teraz snuła swój wywód: – Wszystko do siebie pasuje... W jakiś sposób ten mężczyzna odkrył, że to twój wujek ma medalion, i gdy nie udało się przekonać wujka do oddania medalionu, zabił go. Znał też pewnie rolę, jaką odgrywał Cornelius w całej tej sprawie, i wiedział, że ten, kto będzie miał medalion po śmierci Wojkova, skontaktuje się z nim. Dlatego aresztował Corneliusa: żeby usunąć go z drogi i przejąć jego korespondencję.

– Dlatego ma moje listy... – Katia również zaczęła rozumieć: to naleganie w listach, żeby wiedzieć, gdzie się znajduje w każdej chwili, żeby nie stracić z nią kontaktu, żeby ją przyciągnąć do Berlina. – A ja byłam tak głupia, że wpadłam w tę pułapkę.

Dochodząc do tego wniosku, przypomniała sobie wszystko, co pisała w listach: spowiadała się, jakby tamten był księdzem, bo nie miała nikogo innego, komu mogłaby się wypowiedzieć. Ta myśl doprowadziła ją do takiej złości i wstydu, że się zaczerwieniła.

– Wszyscy w jakiś sposób wpadliśmy w pułapkę.

Ramiro czuł się winny. Przez ten cały czas dręczyły go wyrzuty sumienia i wątpliwości co do tego, czy zrobił wystarczająco dużo dla Corneliusa. Musiał przyznać, że groźba typu z Gestapo go wystraszyła. Jego sytuacja robotnika zagranicznego czyniła go bezbronnym, nie mógł dopuścić do tego, żeby go podejrzewano o homoseksualizm. Tak więc jak zająca pod miedzą, już sam widok lisich zębów go płoszył, dlatego szybko schował głowę, żeby więcej jej nie pokazać. „Zapomnij o mnie i skup się na swojej misji. Robienie z siebie bohatera nie skończy się dobrze dla nikogo”, ostrzegał go Cornelius. I on uczepił się tych słów, uczynił z nich swoje usprawiedliwienie, bo musiał to przyznać: nie był urodzonym bohaterem. Wpadał w panikę na samą myśl, że trafi do więzienia Gestapo.

– No i temu głupkowi nie przyszło do głowy, że jak go zobaczę, to odkryję, że nie jest Corneliusiem Althannem – powiedziała Katia z zadowoleniem.

– Może przyszło, ale miał to gdzieś. Jego celem było przyciągnięcie ciebie i medalionu do Berlina. Jak się już tu znalazłaś, cała reszta miała pójść łatwo.

– W takim razie nie pomyślał, że ty się pojawisz i pokrzyżujesz mu szyki.

Ramiro uśmiechnął się zadowolony: to była szczerza prawda, pokrzyżował mu szyki. Cornelius byłby z niego dumny.

– Byłam tu już kiedyś, w odwiedzinach u Corneliusa – wyznała Katia. – Dlatego od pierwszej chwili wiedziałam, że to oszust. I nie tylko przez te blizny.

To, co Katia widziała wokół siebie, w niczym nie przypominało tego magicznego miejsca, które przechowywała w pamięci po pierwszej i jak dotychczas jedynej wizycie w Berlinie.

Nic w tym mieście nie wyglądało tak, jak w jej wspomnieniach.

W owym czasie była zaledwie trzynastolatką, nieśmiałą i wystraszoną; wciąż w szoku po niespodziewanym zwrocie, jaki nastąpił w jej życiu.

– Wujek Fiodor mnie tu przywiózł. Ledwie kilka tygodni po tym, jak z nim zamieszkałam. Boże... Jak on marudził przez całą drogę, że musi mnie ze sobą ciągnąć, jak wiele wysiłku kosztuje go zajmowanie się małą dziewczynką, która spadła mu nagle nie wiadomo skąd. „Zjawiłaś się nie w porę, jak śnieg w październiku”, mawiał.

Wujek Fiodor był strasznie męczący i spodziewała się, że równie męczący będą ci ludzie, których mieli spotkać, tak samo poważni i mrukliwi jak on. Człowiek męczący i mrukliwy może mieć tylko przyjaciół męczących i mrukliwych, którzy nie znoszą dzieci, a w szczególności dziewczynek. Jednak bardzo się myliła.

– Spodobał mi się Cornelius Althann, bo miał imię czarownika i wyglądał jak czarownik. Bo zawsze się uśmiechał i jego policzki robiły się tak okrągłe, że wyglądały jak lśniące różowe piłeczki. Bo jego blade oczka rzucały iskry, jakby wszystko, na co patrzył, było emocjonujące. Bo nosił długą jedwabną bonżurkę i dziwną czapkę z frędzlem kołyszającym się z jednej strony na drugą. Wydawało mi się to zabawne.

– To prawda! Cornelius uwielbiał ten fez, kupił go sobie w Maroku. Miał fioła na punkcie kapeluszy, im dziwniejsze, tym lepiej. Powinnaś go była zobaczyć w aksamitnym berecie renesansowego malarza, z piórkiem i w ogóle. Albo w mongolskiej czapce podbitej futrem, którą wkładał w chłodne dni. Co za facet!

Katia zaśmiała się razem z Ramirem.

– Nigdy nie widziałam podobnej postaci, chyba że w cyrku. Tak dziwnej jak jego sklep ze starymi rupieciami. Pamiętam, że zafascynował mnie, kiedy go odwiedziłam. „Niczego nie dotykaj”, pouczył mnie wujek. Ale pan Althann go poprawił. Powiedział, że mogę dotykać wszystkiego, co mi się podoba, bo w ten sposób nadam odrobinę życia tym starym szpargałom. I kiedy tych trzech mężczyzn... Był ktoś trzeci na spotkaniu, nie pamiętam, jak się nazywał. Ale był miły. Oczywiście wszyscy wydali mi się miłsi niż wujek. Chodzi o to, że oni spędzali całe godziny, od rana do nocy, rozmawiając o swoich sprawach, i ja miałam mnóstwo czasu na zbadanie tego miejsca wypełnionego skarbami: pudełkami guzików, maszyną do pisania z zablokowanymi klawiszami, zabawkową wagą z malutkimi odważnikami... I książkami. Kiedy zobaczył, że przeglądam w poszukiwaniu ilustracji egzemplarz *Z Ziemi na Księżyc* Jules'a Verne'a, powiedział: „Jeśli mi obiecasz, że ją przeczytasz, dam ci tę książkę w prezencie”. „Ale ja nie znam francuskiego”, przyznałam mu się rozczarowana. I on mi odpowiedział: „W takim razie będziesz musiała się go nauczyć”.

– Cały Cornelius – zaśmiał się Ramiro.

– I rzeczywiście kupiłam sobie słownik i nauczyłam się trochę francuskiego, czytając *Z Ziemi na Księżyc*! Dzięki Corneliusowi...

– Cornelius to wyjątkowy człowiek – stwierdził Ramiro, wysłuchawszy historii Katii.

– Dla mnie przez te ostatnie lata był jak ojciec.

Tak naprawdę Ramiro myślał, że chciałby mieć takiego ojca jak Cornelius, choć nie uważał za właściwe wypowiedzieć tego na głos. Nie chodzi o to, żeby nie kochał własnego ojca, ale musiał przyznać, że nigdy nie czuł się z nim jakoś mocno związany.

Pan Leopoldo García de la Torre był ojcem takim jak większość ojców: surowym, nieprzystępnym, powściągliwym. Wychowywał syna w duchu własnych wartości, by uczynić go człowiekiem interesu, wykształconym i prawym, bez skłonności do płaczu i rozczulania się nad sobą, którą Ramiro wykazywał jako dziecko rozpieszczane przez matkę. Ale nigdy nie traktował go z czułością. Dla Ramira ojciec był kimś obcym. A jak bardzo był obcy, dowiedział się w dzień

jego pogrzebu.

– Poznałem Corneliusa i twojego wujka. Był też z nimi ten trzeci, Francuz.

Ramiro pamiętał ten wilgotny i lepki majowy poranek na cmentarzu Almudena w Madrycie.

– Stało się to na pogrzebie mojego ojca. Na początku nawet nie zwróciłem uwagi na trzech nieznanym, którzy wmieszali się między żałobników, niewiele lepiej mi znanych. Na koniec uroczystości, kiedy ludzie rozchodzili się już alejkami między grobami i grobowcami, podeszli do mnie i złożyli kondolencje po niemiecku. Uprzejmie podałem rękę każdemu z nich, mechanicznie; w sumie byłem zmieszany, oszołomiony sytuacją, językiem, w którym się do mnie zwracali. Nie przedstawili się tymczasem, najniższy z tej trójki zapewnił mnie, że są dobrymi przyjaciółmi taty. Mówił do mnie zdumiewająco serdecznie jak na człowieka całkowicie mi obcego. Taki był Cornelius... Nie mogłem nie zwrócić uwagi na jego ekstrawagancki wygląd – tę jego czarną pelerynę podbitą zielonią, cylinder i wielką muchę na szyi zamiast krawata.

– Jak ja na jego fez.

– Ciekawe jednak jest to, że później, wraz z upływem czasu, przyzwyczałem się do jego wyglądu i już nie wydawał mi się ekstrawagancki. Taki po prostu jest Cornelius, nie wyobrażam go sobie inaczej. Powiedział mi, że musimy pilnie porozmawiać, i podał mi wizytówkę: „Cornelius Althann. Antiquar. Friedrich-Karl-Platz 4, Charlottenburg-Berlin”. Dokładnie w tej chwili, kiedy próbowałem przetrwać to dziwne spotkanie, poczułem, że ktoś ciągnie mnie za rękę. Matka, która była bardzo elegancką kobietą i nigdy nie traciła panowania nad sobą – nawet nie zapłakała na pogrzebie własnego męża, by nie robić tego publicznie – wyglądała w tamtym momencie szczególnie godnie: mocno wyprostowana, z kamienną twarzą. „Pora na nas. Samochód czeka”, ponagliła mnie. I wtedy po raz pierwszy i prawdopodobnie jedyny w życiu byłem świadkiem, jak traci swoją królewską wyniosłość, gdy zwróciła się do trzech mężczyzn: „Przenigdy nie zbliżajcie się do mojego syna. Interesy, które robiliście z Leopoldem, umarły wraz z nim raz na zawsze. Na dobre”.

– A jednak przyjechałeś zobaczyć się z panem Althannem.

– Tak, ale to nastąpiło dużo później, kiedy mama zmarła i nie za bardzo wiedziałem, co zrobić ze swoim życiem. I wiesz, co mi wtedy powiedział Cornelius? „Twoja mama tylko chciała cię bronić. Wszystkie matki to robią”.

Przez chwilę oboje milczeli, ze wzrokiem zagubionym w panoramie ruin, zatopieni we własnych wspomnieniach, wyciągając własne wnioski.

– Zostawili nas samych zdecydowanie za szybko – zauważył Ramiro.

Katia zgodziła się z tym, ale dodała:

– Przynajmniej teraz jesteśmy razem.

I wtedy pociągnęła za sznurek ukryty pod ubraniem i zdjęła go przez głowę. Bez słowa pokazała Ramirovi medalion na otwartej dłoni.

On patrzył to na relikwię, to w oczy dziewczyny, obie w niemal tym samym kolorze. Czy to możliwe, że ma przed sobą Ognisty Medalion? Tak zwyczajnie? Tyle godzin o nim rozmawiali, tyle razy pojawiał się w przemowach Corneliusa, ale wciąż był tak niedostępny jak każda legenda. A teraz leżał tam, na jej dłoni, pojawiwszy się bez fanfar i kwiecistej zapowiedzi.

Katia zachęciła Ramira, żeby wziął medalion do rąk.

Kamień był delikatny, gładki, matowy, tak wytarty przez czas, że zamazał się relief: smok i jakieś nieostre symbole. A może zawsze taki był.

– Wydaje się niepozorny, prawda? – zauważyła Katia.

Tak wyglądał. A jednak Ramiro był zachwycony.

– Jak wszystkie wielkie rzeczy – zauważył. – Czy Bóg nie wcielił się w syna prostego cie-

śli?



KATIA ŻYJE?

Cześć, Irina. Jak się masz? – zapytałam, odbierając telefon. Nie wiedziałam, czy mi ulżyło, czy jestem zawiedziona, bo zadzwonił mój telefon, a nie ten intrygujący aparat przysłany przez Martina.

– Dobrze, dobrze. A ty? Odpoczęłaś?

– Tak...

– *Choroszo, choroszo.* Mam dla ciebie wiadomości.

– Jest u ciebie Alain?

– Nie, już nie. Właśnie wyszedł. Do Biblioteki Narodowej. Załatwiłam mu spotkanie z jedną koleżanką Antona.

– Ach... Dobrze.

– Słuchaj. Mam taką dziewczynę... Jest genialna. Studentka, która odbywa praktyki w archiwum. Poleciłam jej poszukać dokumentacji na temat Petera Hankego. Jest bardzo skuteczna, bardzo zawzięta. No dobra, i ta dziewczyna znalazła dokumenty Smierszu. Radzieckiego kontrwywiadu wojskowego.

– Tak.

– Smiersz przesłuchiwał Hankego 8 maja 1945 roku w Berlinie, dokładnie wtedy, gdy kończyła się wojna, kiedy Sowieci już byli w Berlinie. No, ale to już wiesz. Najbardziej jednak interesujące jest...

– Że Hanke przeżył wojnę.

– Właśnie. Teraz możesz sobie zanotować, że 8 maja 1945 roku był w Berlinie – podsumowała.

– A wiadomo cokolwiek o tym, co się wydarzyło potem?

– Nic. Aresztowano go za zaatakowanie radzieckiego oficera i oskarżono o przynależność do Werwofu, nazistowskiej partyzantki, a potem o to, że jest podwójnym agentem. Przez całe przesłuchanie Hanke upierał się, że pracował jako szpieg tylko dla Związku Radzieckiego.

– Ale Smiersz by wiedział, czy Hanke był agentem, albo przynajmniej mógłby tego dowieść.

– Teoretycznie tak. Chociaż może mieli jakiś problem z dokumentami. Z jednej strony, biorąc pod uwagę okoliczności: oni byli w Berlinie, mieli niewiele środków, a dokumenty zostały w Moskwie. Nie było łatwo sprawdzić akt, a już na pewno nie tak szybko. Z drugiej strony trzeba skupić się na datach: Hanke zaczął szpiegować na rzecz Związku Radzieckiego w 1942 roku, zwerbowany przez NKWD. Smiersz wtedy jeszcze nie istniał i kontrwywiad zależał od dwóch instytucji: NKO do spraw obrony i NKWD do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego. Dopiero w 1943 roku utworzono Smiersz i pod tym skrótem połączono obie kompetencje. W przypadku Hankego bardzo możliwe jest, że ta zmiana organizacyjna spowodowała utratę danych, co oczywiście nie było dla niego korzystne w chwili potwierdzania lojalności wobec Związku Radzieckiego.

– W takim razie, jeśli oskarżyli go o to, że jest podwójnym agentem, z pewnością skazali go na śmierć...

– Z pewnością. Ale prawda jest taka, że raport nic nie mówi o tym, co się ostatecznie stało z więźniem. Nadal szukamy.

– Bardzo dziękuję, Irino.

– Potem, potem będziesz całować ziemię, po której stąpałam – zażartowała. – Ale jeszcze

nie teraz, bo mam więcej informacji. Zdaje się, że fortuna nam sprzyja. – Zaśmiała się w ten swój szczególny sposób i wyobraziłam sobie, jak trzęsą się jej różowe policzki. – Okazuje się, że jedna moja dobra przyjaciółka, pisarka, przygotowuje książkę o kobietach, które były na froncie podczas wielkiej wojny ojczyźnianej, i zadzwoniła do mnie dziś rano z prośbą, żebym poszukała informacji o kilku z nich. Zgadniesz, kto jest między nimi?

Przez chwilę milczałam, wahając się nad odpowiedzią; może wydawało mi się, że to by było zbyt duże szczęście.

– Katia Wojkowa?

– Nasza mała Katusza, dasz wiarę? Była w Armii Czerwonej! Moja koleżanka poświęciła ponad pięć lat na rozmowy z niektórymi z tych kobiet, tymi, które jeszcze żyją i zgadzają się na rozmowę. Jedną z nich, Julia Idrisowa, opowiedziała jej o Wojkowej, były towarzyszkami w Trzeciej Armii Uderzeniowej.

– No proszę... Tego to się nie spodziewałam. Ale twoja przyjaciółka rozmawiała z nią? Katia żyje?

– Nie, nie. No nie wiem, czy jeszcze żyje. Julia tylko o niej wspomniała. Tak mi się wydaje, nie widziałam notatek. W każdym razie, uprzedzając twoje pytanie, Julia Idrisowa zmarła w zeszłym roku, więc niestety nie da nam więcej informacji. Poprosiłam moją przyjaciółkę, żeby podała mi wszelkie dane, które zebrała o Wojkowej, a my poszukamy jej akt wojskowych; szybko je znajdziemy, to proste poszukiwanie. Może dostanę je już jutro.

W tamtej chwili zadzwonił dzwonek. Tajemniczy aparat Martina wibrował i świecił się na stole.

Pożegnałam się szybko z Iriną, dziękując jej za całą pracę, i umówiłyśmy się na rozmowę, kiedy będzie miała więcej wiadomości. Rozłączyłam się i sięgnęłam po drugą komórkę.



NIE CHCĘ INNEJ, CHCĘ CIEBIE

Na ekranie tego nowego telefonu pojawił się bardzo długi numer; odebrałam bez słowa.

– Ana?

Stwierdziwszy, że to głos Martina, postanowiłam się odezwać.

– Co to za cyrk? Nie możesz zadzwonić na mój normalny telefon?

– Nie, rozmowy mogą być podsłuchiwane i zostać wykorzystane do namierzenia twojej pozycji. W sumie powinnaś go wyłączyć natychmiast. Podłączaj się co najwyżej kilka razy dziennie, na nie dłużej niż trzydzieści minut, bo tyle zajmuje zlokalizowanie terminalu, i wyłącz GPS. Telefon, który ci wysłałem, szyfruje rozmowy i ma aplikację przeciw śledzeniu, ale możemy go używać tylko między nami.

– Oszalałeś... Lepiej, żebyś miał dobre wyjaśnienie tego wszystkiego. I całej reszty!

– Ano, wszystko ci wyjaśnię, przysięgam. Ale nie teraz, nie przez telefon...

– No to nie wiem, dlaczego nie ma ciebie tutaj zamiast tego głupiego telefonu! Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu i to ty ją nadwerżyłeś. Dość już tych kłamstw, Martin... albo Jörg czy jak tam, do cholery, masz na imię. Na Boga... nawet nie wiem, jak powinnam się do ciebie zwracać. Nawet nie wiem, z kim rozmawiam! Rozłączam się...

– Nie! Zaczekaj, proszę. Muszę ci coś opowiedzieć, to bardzo ważne. Daj mi jeszcze jedną szansę, błagam. Chodzi o Bonattiego, o śledztwo. Ana, odkryłem coś i potrzebuję cię. Mam bardzo ważny ślad. Na pewno ten sam, który skłonił Bonattiego do poszukiwania medalionu. Naprawdę warto, żebyś mnie wysłuchała.

Ciekawość, zawsze ciekawość, która wtedy była jedynym i potężnym motorem moich działań, zmiękczyła moją postawę.

– Masz pięć minut.

Wydało mi się, że Martin westchnął z ulgą, zanim wymamrotał „dziękuję”.

– A zatem do rzeczy: badając Giancarla Bonattiego, zdołałem prześledzić część jego działalności w dark webie, ukrytym internecie.

– I przypuszczam, że bez sensu jest zadawać ci pytanie, w jaki sposób mogłeś dotrzeć do działań Bonattiego w dark webie.

– Obiecuję ci, Ano, będziesz mogła zapytać mnie o wszystko, co zechcesz, a ja ci odpowiem. Ale teraz skoncentrujmy się na tym, co ważne.

– Dobra. Opowiadaj.

– Znalazłem list, który Bonatti wysłał za pomocą serwera anonimowej poczty, czegoś w rodzaju Tora, ale bardziej wypasionego, do tego stopnia, że jeszcze nie udało mi się dojść, do kogo go wysłał. Chodzi o to, że w tej wiadomości odnosi się do listów Pico della Mirandoli skierowanych do Eliasza Delmedigo; słyszałaś o tych postaciach, co?

Milczałam, nie miałam zamiaru dawać się podpuszczać tak łatwo. Martin postanowił mówić dalej.

– No dobrze, według Bonattiego w tej korespondencji jest klucz do medalionu. On sam twierdzi, że jest niemal pewien tego, gdzie mógłby go znaleźć.

– Gdzie?

– Tego w wiadomości nie podaje. Ale pozwól mi kontynuować. Bonatti wysłał kolejny list na ten sam anonimowy adres, w którym usprawiedliwia się na wypadek ewentualnej presji ze strony adresata, żeby odnaleźć tę korespondencję. Mówi dosłownie: „Ty też widziałeś ten dokument. Jest oczywiste, że von Sebottendorf ukrył tam listy i że tam były, przynajmniej do 1945

roku, i nie ma powodu sądzić, że po tej dacie ktoś mógł je wykraść. Znalezienie ich jest tylko kwestią czasu. W każdym razie szczegółowa analiza egzemplarzy ze zbioru Termudiego powinna nakierować nas na jakiś ślad. Proszę cię tylko o odrobinę cierpliwości”... – Przeczytawszy fragment listu, zawiesił głos. – Dwa dni później Giancarlo Bonatti został zamordowany.

– Fantastycznie. – Celowo okazałam znużenie zabarwione urazą. – To znaczy, że Bonatti nie znalazł listów ani nie mówi nam, gdzie je znaleźć. Te wiadomości na nic się nam nie przydadzą.

– Owszem, przydadzą się: prowadzą nas do dwóch kawałków puzzli, które, jeśli się nie mylę, składają się tylko z trzech części. I wydaje mi się, że wpadłem na trzecią.

Dramatycznie zawiesił głos, co mnie wkurzyło.

– Nie bądź taki tajemniczy, bo przesadzasz. Przejdź do sedna.

– Słuchaj: między jedną wiadomością a drugą Bonatti kupił willę w Stambule, która należała ni mniej, ni więcej, tylko do Rudolfa von Sebottendorfa.

– Chcesz powiedzieć, że Bonatti wierzył, że te listy tam są?

– Nie jest to bezsensowna konkluzja.

– Nie, nie jest – przyznałam.

– Ale nie to jest najbardziej interesujące. Otóż najbardziej interesujące jest to, że wejście na scenę Rudolfa von Sebottendorfa zamyka krąg, którego istnienia Bonatti chyba nawet nie przeczuwał.

– A my tak?

– My tak, dzięki Georgowi von Bergheimowi.

Mój „przyjaciel”, oficer, który poszukiwał *Astrologa*, znowu wychodził na światło dzienne. Usiadłam. Było jasne, że ta rozmowa potrwa dłużej niż pięć minut. Jednak Martinowi się udało: zwrócił na siebie całą moją uwagę.

– Sprawdziłem von Sebottendorfa – ciągnął. – Przypuszczam, że wiesz, kto to jest.

– Wiem tylko, że był założycielem Towarzystwa Thule, więc mnie oświeć.

– Naprawdę nazywał się Rudolf Glauer. Technik kolejnictwa, marynarz floty handlowej, inżynier, awanturnik, pisarz... był odrobinę każdym z nich. Niemiec ze Śląska, ale otrzymał obywatelstwo tureckie w 1911 roku i chociaż nie urodził się szlachcicem, w wieku niewiele ponad trzydziestu lat poznał barona von Sebottendorfa, który adoptował go i uczynił swoim spadkobiercą. Historia to nieco zawiła, z pretensjami autentycznych spadkobierców rzonego barona. Dla nas istotne jest to, że Rudolf był miłośnikiem okultyzmu, alchemii, astrologii i masonerii, rytu Memphis-Misraim.

– Jak Bonatti.

– Jak Bonatti. Von Sebottendorf żył między Niemcami a Turcją, chociaż w tym drugim kraju spędził większość życia. Tam poznał sufizm i kabałę oraz rodzinę Termudich, Żydów pochodzących z Salonik. Patriarcha Termudich posiadał wspaniały zbiór książek na temat alchemii, różokrzyżowców i innych dziedzin wiedzy tajemnej i ezoterycznej. Nasz Rudolf musiał mieć talent do naciągania starszków nad grobem, bo udało mu się też sprawić, że Termudi powierzył mu swoją bibliotekę. To poprzez Termudich rzekomo wszedł w kontakt z masonerią, ale powoli oddalał się od jej dogmatów i tworzył własną dziedzinę wtajemniczenia, w której mieszał idee masońskie ze swoją wiedzą na temat sufizmu, medytacji, alchemii, a nawet teozofii. Prawdziwy miszmasz prądów ezoterycznych. W końcu, żeby ruszyć naprzód ze swoim projektem, założył w Monachium Towarzystwo Thule. Przynajmniej taka myśl przyświecała mu na początku. Problem w tym, że znalazł niewielu chętnych do swojej organizacji, więc żeby nadać jej większe znaczenie, wszedł w układ z Germanenorden, innym towarzystwem okultystycznym, zbudowanym na wzór masonerii i jawnie antysemitycznym, które powstało w 1912 roku. I tak w roku 1918

Towarzystwo Thule składało się przede wszystkim z członków Germanenorden, obrońców teorii supremacji aryjskiej i germańskiej, którzy naciskali, żeby Thule przekształciło się w organizację polityczną o celach nacjonalistycznych i antysemitycznych. Wielu z nich związało się z założoną w następnym roku ultrapravicową Niemiecką Partią Robotników, DAP, która później przekształciła się w NSDAP. W międzyczasie von Sebottendorf, rozczarowany politycznym kursem obranym przez Thule, porzucił towarzystwo. Teraz przejdźmy do tego, co nas interesuje. W całej tej przygodzie z założeniem Towarzystwa Thule von Sebottendorf miał dwóch współników. Jeden z nich nazywał się Walther Hanke.

Samo wspomnienie tego nazwiska mnie pobudziło, chociaż nie chciałam robić sobie nadziei.

– Zaraz mi powiesz, że nazwisko Hanke jest bardzo popularne w Niemczech – zauważyłam.

– Rzeczywiście jest bardzo popularne. Też tak pomyślałem: nie może chodzić o tego samego Hankego, nie możemy mieć aż tyle szczęścia. Ale mamy. Sprawdziłem w dokumentach, które przysłała nam Helga: Walther Hanke był ojcem Petera Hankego. To nie wszystko. Drugim współnikiem von Sebottendorfa był Günter Kirch.

– Günter Kirch?

– Jeden z założycieli NSDAP, deputowany do Reichstagu z Bawarii w latach 1933–1941. Fanatyk nazizmu i wpływowy członek nazistowskiej hierarchii. To normalne, że o nim nie słyszałaś, ale tak się składa, że facet był teściem Georga von Bergheima. To on polecił zięcia Himmlerowi do poszukiwań *Astrologa*. Rozumiesz teraz, o co mi chodziło, kiedy powiedziałem, że krąg się zamyka?

– Tak... teraz to widzę.

Nagle do głowy wpadło mi mnóstwo pomysłów i pojawiło się równie dużo pytań. Próbowalam myśleć metodycznie, ale bez czasu na zastanowienie było to niemal niemożliwe.

– Czyli że von Sebottendorf, Hanke ojciec i Kirch wpadli na trop Ognistego Medalionu i *Astrologa*. To oni dali początek temu wszystkiemu... Nie rozumiem tylko, dlaczego poszukiwanie obu tych relikwii poszło oddzielnymi tropami. Chodzi mi o to, dlaczego Himmler zlecił Georgowi poszukiwanie *Astrologa*, ale nie medalionu, i dlaczego wydaje się, że nie zlecono oficjalnej misji odnalezienia medalionu, a było to raczej tylko osobiste przedsięwzięcie Petera Hankego. Co się stało z Rudolfem von Sebottendorfem, z Waltherem Hankem i Günтером Kirchem? Skoro sekret należał do nich, dlaczego tak łatwo go oddali?

– Sprawa jest bardzo mętna, to prawda. Z tego, co udało mi się ustalić, ta trójka przyjaciół nie skończyła za dobrze. W 1938 roku Walther Hanke został znaleziony martwy w swoim domu w Magdeburgu. Policja ustaliła, że motywem zabójstwa był rabunek. Jednakże, słuchaj tego, Peter Hanke pozwał Güntera Kircha do sądu, oskarżając go o zabójstwo ojca. W końcu deputowany został uniewinniony z braku dowodów. Trzy lata później, pod koniec 1941 roku, ciało samego Kircha z poderżniętym gardłem znaleziono w jego gabinecie; uznano, że to samobójstwo. Jego rodzina zawsze jednak twierdziła, że został zamordowany, a idąc jeszcze dalej, jego córka Elsie, żona Georga, wskazywała bezpośrednio Petera Hankego.

– To wygląda na zadawanie sobie wzajemnie ciosów w plecy.

– Tak, strzałów i pchnięć nożem.

– A von Sebottendorf?

– Skończył w sposób równie ekstrawagancki, jak żył. Zawsze utrzymywał dziwną relację miłość–nienawiść z nazizmem. Hitler zakazał jednej z jego książek, bo uznał, że jest wywrotowa, ale później baron publicznie okazywał swój podziw dla SS. Podczas wojny był podwójnym agentem: Stambułu przy Abwehrze i wywiadu brytyjskiego, chociaż według zwierzchników dość bez-

użytecznym. Na koniec zbankrutował i oszalał od swoich obsesji metafizyczno-ezoterycznych. 8 maja 1945 roku spadł z mostu do Bosforu i się utopił. Mówią, że się rzucił, chociaż biorąc wszystko pod uwagę...

– W każdym razie jeśli ktoś go pchnął, nie był to Peter Hanke. Właśnie się dowiedziałam, że on 8 maja 1945 roku był w Berlinie, uwięziony przez Sowieców.

Martin zawiesił głos, zanim wyznał:

– Cieszę się, że dalej pracujesz. Nie chciałbym, żebyś to zostawiła, a już na pewno nie z mojego powodu.

– Chwilowo pozwoliłam się ponieść inercji. Ale ostrzegam cię, że jestem bardzo zła i rozczarowana, i gotowa wysłać cię na drzewo, jeśli mi się porządnie nie wytłumaczysz ze swoich historyjek. Aha, i spotkałam się z Alainem, tutaj, w Petersburgu. On też szuka medalionu. Ale ty już o tym wiedziałeś, prawda?

– Tak... – Wyczułam jego zaniepokojenie. – Gdybym mógł wyjaśnić wszystko, zanim sobie poszłaś...

– Czyli to moja wina? Nie wkurzaj mnie! Gdybyś nie kłamał, nie wyjeżdżałabym ani nie potrzebowałabym twoich wyjaśnień!

– Wiem, wiem... Słuchaj, przykro mi bardzo z tego powodu, nie miałem takiego zamiaru. Przekonasz się, gdy ci wszystko wyjaśnię.

– Nie mogę się doczekać.

– O to chodzi. Jestem akurat w Stambule i chciałbym, żebyś tu przyjechała.

– No ciekawe, bo ja akurat jestem w Petersburgu i zamierzam wrócić do Madrytu, gdzie mieszkam. Mógłbyś mi to trochę ułatwić. Nie trzeba uprawiać turystyki, żebyśmy mogli się zobaczyć.

– Nie chodzi tylko o nasze spotkanie, potrzebuję też twojej pomocy... W sprawie tych listów, których szukał Bonatti. Chyba wiem, gdzie mógłbym je znaleźć. Sądzę, że są w willi von Sebottendorfa, tak, ale wydaje mi się, że wiem, gdzie dokładnie.

– Jak to możliwe? – Nie wierzyłam mu. – Mówisz, że Bonatti kupił ten dom w jednym celu: by wyrzucić go do góry nogami w poszukiwaniu listów. A jednak ich nie znalazł. To skąd niby ty miałbyś wiedzieć, gdzie one są?

– Bo sam von Sebottendorf to wyjaśnia. Na krótko przed śmiercią baron napisał książkę, taką mieszaninę przygód i eseju filozoficznego: *Zejdźcie do piekieł Karima Paszy*. Niby to fikcja, ale jeśli się w nią uważnie wczytać, można znaleźć sporo wątków autobiograficznych. Główny bohater Karim Pasza, oczywiście alter ego autora, opowiada o swoich perypetiach z poszukiwaniem skarbu. Jest napisana po turecku. Sebottendorf opublikował ją w styczniu 1945 roku w małym wydawnictwie w Stambule. Nakład był nieduży i nie wydaje mi się, żeby przetrwało wiele egzemplarzy, ale znalazłem jeden w bibliotece miejskiej, której baron za życia podarował część swoich książek. No cóż, w tej powieściowej historii jest wszystko: jak nasz awanturnik z pomocą dobrych przyjaciół podąża tropem skarbu; jak oni, podporządkowani dobrom i pokusom ziemskim, w końcu go zdradzają; i wreszcie jak Karim odkrywa, że jedyny prawdziwy skarb jest natury duchowej. To dość banalna historia, ale jeśli potrafi się czytać między wierszami, jest w niej wiele z prawdziwego życia von Sebottendorfa w odniesieniu do *Astrologa* i Ognistego Medalionu.

– Tak wiele, że mówi, gdzie ukrył listy?

– Nie dosłownie oczywiście, ale główny bohater zawsze udaje się do tego samego miejsca, żeby ukryć tajne dokumenty: to schowek za jedną z półek w bibliotece domu w Stambule. I dokładnie go opisuje.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to jakoś szczególnie wiarygodnym źródłem.

- Ale nic innego nie mamy. Nie uważasz, że warto zaryzykować?
- I co zrobisz? Zakradniesz się do willi von Sebottendorfa jak złodziej, żeby poszukać rzekomego sekretnego schowka? Chcesz się wcielić w Różową Panterę? Brzmi to jak żart. Choć skoro to twój pomysł, nie jestem zaskoczona.
- Nie. Wejdę głównym wejściem, na galowo i z tobą pod rękę, jeśli się zgodzisz.
- Szczerze, chwilowo nie mam ochoty zgadzać się z tobą w niczym. Musisz być bardziej przekonujący.
- W tę sobotę Paolo Bonatti, syn Giancarla, wyprawia przyjęcie w swojej willi nad Bosforem. Nie muszę ci mówić, do kogo wcześniej należała ta willa... Udało mi się zdobyć zaproszenie dla dwóch osób: Herr Johannes Schwaarzwallera z niemieckiej ambasady oraz jego inteligentnej i pięknej małżonki.
- Zaśmiałam się sarkastycznie.
- Jaja sobie robisz. Nie. Zapomnij. Nie wciągniesz mnie w tę farsę. Musisz sobie znaleźć kogoś innego. Przychodzi mi do głowy ta blondyna, której zdjęcie Jörg Müller nosi w portfelu. Inteligentna, piękna i do tego twoja małżonka; czego więcej mógłbyś chcieć?
- Ana, proszę... Tak nie... Tak nie... – Westchnął. – Nie chcę innej, chcę ciebie – zadeklarował z intensywnością niewłaściwą jak na propozycję pracy.
- Bardzo ładnie. Martinie Lohse, jeśli tak się nazywasz, ale nie nabierzesz mnie więcej.
- Ana... Uwierz mi, to nie ciebie okłamuję, chociaż ty dostałaś rykoszetem. Słuchaj: przyjeźdź do Stambułu, daj mi możliwość wyjaśnienia wszystkiego i jeśli to, co ci opowiem, cię nie przekona, wrócisz do Madrytu. Więcej nie będę ci zawracał głowy.
- Przez chwilę pozwoliłam się prosić, ale tylko trochę.
- Zastanowię się.
- Dobrze. Zaraz wyślę ci bilet.
- Nie śpiesz się tak. Powiedziałam, że się zastanowię.



MAJ 1945

Wraz z upadkiem Berlina całkowicie przerwano linie zaopatrzenia i kartki na żywność wydawane przez rząd niemiecki przestały obowiązywać. W ten sposób jednym z największych wyzwań Radzieckiej Administracji Wojskowej stało się wykarmienie ludności znajdującej się na krawędzi głodu. Początkowo ustawiono na ulicach kuchnie polowe i prowadzono losowe dostarczanie prowiantu. Od 15 maja 1945 roku wprowadzono nowy system racjonowania żywności podzielony na pięć kategorii. Pierwsza, która zapewniała największą ilość kalorii, była zarezerwowana dla intelektualistów i artystów; druga dla kobiet porządkujących gruzy i robotników fizycznych; trzecia dla pracowników biurowych; czwarta dla dzieci poniżej piętnastego roku życia; piąta, nazywana *Friedhofskarte*, bilet na cmentarz, dla gospodyń domowym i staruszków. System reglamentowania żywności działał w Niemczech do października 1950 roku.

Po północy Ilse wreszcie zasnęła. W ramionach Ramira, który nie znajdował innego sposobu, żeby ją pocieszyć, niż kołysząc w milczeniu i głaskając, kiedy płakała. Pękało mu serce, gdy widział ją w takim stanie, i gryzło go to, że nie potrafi jej pomóc.

Ilse była silną dziewczyną, ale tego wieczoru się załamała. Od wielu dni poszukiwała rodziców i siostry, jakiegokolwiek wiadomości na ich temat: czy wywieziono ich na wschód, dokąd konkretnie, co się z nimi działo przez te trzy lata, kiedy ich nie widziała. Udała się do władz radzieckich, do Czerwonego Krzyża, do wszystkich, którzy mogli wskazać jej choćby najmniejszy trop tysięcy Żydów, których wywieziono z Berlina. Nie dostała ani jednej użytecznej informacji, tylko same dobre słowa, pełne współczucia spojrzenia, jednak nikt nie miał odwagi powiedzieć prawdy.

Aż do dzisiejszego poranka, kiedy czekała z grupą takich samych desperatów jak ona przed okienkiem, w którym powiedziano jej, że po raz kolejny może w nim zostawić swoje dane w oczekiwaniu na jakąś informację, a radziecki żołnierz, może pijany, zawołał:

– Wy, Niemcy, wszyscy jesteście winni! Nieludzkie bydło! Co ja widziałem w tym obozie... Wszystkich zabiliście! A tych, co nie... Trupy, wyglądają jak trupy.

Wtedy Ilse zrozumiała, że nie może już żyć uczepiona nadziei, że te pogłoski są tylko pogłoskami, że nie sposób wyobrazić sobie podobnego barbarzyństwa. Eksterminować wszystkich, po co mieliby to robić? Nikt nie mógł uwierzyć w coś takiego, to było absurdalne.

Absurdalne, ale rzeczywiste.

– Dalej będziemy szukać. Nie można tracić nadziei, dopóki jest choćby najmniejsza szansa – przekonywał Ramiro, próbując ją pocieszyć.

Ona jednak była już za bardzo rozczarowana, żeby wpaść w pułapkę iluzji.

Przyszła do antykwariatu w towarzystwie Frau Krammer i jej męża. Kręcąc się po tym, co zostało z dawnego domu ograbionego przez nazistów i zniszczonego przez bomby, spotkała małżeństwo, które pomogło jej uniknąć wywózki. Starzy, pokonani, żyjący na ulicy z jednym materacem, krzesłem, patelnią i walizką, którą udało im się odnaleźć w ruinach. Ich jedyny syn zginął na froncie w grudniu.

– Nie miałam serca ich tak zostawić – stwierdziła Ilse. – Mogą zamieszkać z nami?

Oczywiście, że tak. Miejsca było aż nadto, wystarczyło tylko uprzątnąć jeden z pokoi gościnnych Corneliusa; lepiej tam położyć materac Krammerów niż na ulicy.

Ramiro przygotował kolację z tego, co udało mu się zdobyć za dnia. Niewiele tego było.

Ale Ilse w ogóle nie chciała jeść, ugryzła tylko kawałek czekolady, którą dla niej zachował, i poszła się położyć, wiedząc, że nie zaśnie. Chłopak zrozumiał to, kiedy usłyszał jej łkanie.

Teraz, w drżącym świetle świecy, patrzył na jej twarz, jeszcze wykrzywioną, ze śladami łez, które spłynęły po pokrytych pyłem policzkach, i poddał się przyptywowi czułości. Potrzeba chronienia jej i zrobienia, co tylko się da, żeby uwolnić ją od wszelkiego cierpienia, zbijały mu się w kulę niepokoju w piersi, w wielkie postanowienie uczynienia jej szczęśliwą w przyszłości. Czy się w niej zakochał? Wydawało mu się, że dotychczas był zakochany tylko raz – w dziewczynie z szatni w hotelu, w którym pracował. Kilka razy poszedł z nią do kina i całowali się przy jednej okazji. Ale patrząc z perspektywy czasu, stwierdził, że to na pewno nie była miłość. Kiedy tylko stracili ze sobą kontakt z powodu działań wojennych, konkretnie, gdy bomba spadła na dziedziniec hotelu i oboje zostali bez pracy, nietrudno było mu ją zapomnieć. Co do Ilse, to nie wyobrażał sobie, że mógłby ją zapomnieć; wołał nawet o tym nie myśleć.

Niespodziewane walenie w drzwi sklepu przerwało jego myśli. W pierwszej chwili się wystraszył. Tylko ktoś w wielkiej potrzebie albo bardzo niebezpieczny mógł się dobijać do drzwi o tej porze, w środku godziny policyjnej.

Bardzo ostrożnie, żeby nie obudzić Ilse, wstał z rozklekotanego łóżka; obawiał się, że żalosne skrzywienie metalowych sprężyn przerwie sen dziewczyny. Chwycił deskę; zaczynał być ekspertem od używania jej w charakterze broni.

Kolejna seria walenia w drzwi rozbrzmiała jeszcze bardziej natarczywie. Ramiro wyjrzał przez okno, starając się pozostać niezauważony. Przed wejściem do antykwariatu stały dwie osoby: mężczyzna i dziecko, które ledwie sięgało mu nad kolana. Jakiś pies obwąchiwał próg. Obecność dziecka uspokoiła nieco Ramira, więc zszedł na parter, żeby otworzyć.

– Kto tam? – zapytał przez szparę, nie ściągając łańcucha ledwie trzymających się drzwi.

– Czy mieszka tu Cornelius Althann?

– Kto o niego pyta?

– Jestem jego synem.

– Jego synem? Manfred?

– Manfred? Nie... Jestem Eric. Eric Althann – szepnął mężczyzna niespokojnie, jakby wypowiedanie jego nazwiska było zabronione.

Ramiro zamknął drzwi, ściągnął łańcuch i znowu je otworzył, tym razem na oścież.

– Nie ma żadnego Manfreda, chciałem się tylko upewnić. Ramiro, jestem przyjacielem pańskiego ojca. – Wyciągnął rękę, którą tamten niepewnie uścisnął. – Wejździe, wejździe, proszę.

Zrobili tylko kilka kroków, wystarczająco, żeby Ramiro mógł zamknąć za nimi drzwi, i cała trójka stanęła nieruchomo. Tylko pies postanowił zbadać oświetlone jedną świecą wnętrze.

Zaległa nagła i ciężka cisza, przynajmniej Ramiro był bardzo spięty. Eric chciał zapytać o ojca, ale tamten go uprzedził.

– Corneliusa nie ma. Zabrali go. Aresztowali go trzy lata temu. Przykro mi...

Powróciła pełna napięcia cisza. Nie dlatego, że Eric był poruszony wiadomością, tylko zwyczajnie dlatego, że nie przyszło mu wcześniej do głowy, że coś takiego mogłoby się wydarzyć, więc teraz nie wiedział, co powiedzieć.

Cienki, zaspany głosik rozwiązał tę sytuację:

– Czyli że dziadka też nie mam? Dobra... Żegnajcie, cukierki. Cóż – okazał rezygnację wzruszeniem ramion – przynajmniej mam Oriona. Tak naprawdę nie jest mój, przybłąkał się do nas na ulicy. Jest chudy i pewnie ma pchły, ale wygląda na fajnego psa. Tacie przyszło do głowy, żeby nazwać go Orion. Wiesz, kim był Orion?

– A ty wiesz? – Ramiro przebiegle odwrócił pytanie.

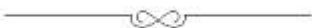
Jak się spodziewał, dzieciak napęłnił się dumą.

– Jasne, był wojownikiem. Na niebie są gwiazdy, które łączą się, żeby ułożyć jego postać, z mieczem i tarczą. Chociaż nie ma głowy... I nie widziałem ich, ale tata mi opowiedział.

Ramiro się uśmiechnął.

Mężczyzna bezwiednie przesunął ręką po plecach syna i przyciągnął go do siebie, po czym zwrócił się do Ramira ze znużoną miną:

– Ma pan może odrobinę wody?



Eric unikał jakichkolwiek spotkań z Sowietami, nawet tych najbardziej niewinnych i przypadkowych. Nie mógł pozwolić, by go rozpoznali. Dość już zaryzykował przy jednej okazji, kiedy jeszcze Seb był w szpitalu.

Zdarzyło się to kilka dni po wstrzymaniu ognia. Patrol radzieckich żołnierzy zszedł do piwnicy, gdzie leżeli pacjenci. Wybrali kilka pielęgniarek, najmłodszych, i zagonili je do kąta. Tam je gwałcili, na zmianę, każdą po kilka razy. W pierwszej chwili Eric, w przypływie raczej głupoty niż odwagi, rzucił się, żeby im przeszkodzić, odepchnąć ich, żeby powstrzymać to, czego już powstrzymać nie było można. Nic to nie dało, poza mocnym uderzeniem kolbą w brzuch.

– *Soldat?! Soldat?!*

Mierzyli do niego, gdy wił się z bólu na podłodze, próbując złapać oddech jak ryba wyciągnięta z wody. Myśleli, że jest żołnierzem, który zmienił mundur na cywilne ubranie, i chcieli go zabrać jako jeńca. Ponieważ nie mógł wykrztusić słowa, doktor Schultz pośpieszył mu z pomocą i wyjaśnił, że to żaden żołnierz, tylko lekarz, jak wszyscy pozostali mężczyźni obecni w tym miejscu.

Złamane żebro i wielki siniak na wysokości brzucha zostały mu jako nagroda za rycerską bezmyślność. Pielęgniarki i tak zgwałcili.

A jednak miał szczęście. Mogli go zabić, nie byłby pierwszym takim przypadkiem, albo mogli odkryć, że choć nie jest żołnierzem, to stanowi znacznie cenniejsze trofeum.

Postanowił, że od tej chwili będzie ostrożniejszy. Dlatego odkąd Seb wyszedł ze szpitala, przemieszczali się tylko nocą, umykając przed patrolami pilnującymi przestrzegania godziny policyjnej, mniej licznymi niż plaga radzieckich żołnierzy, którzy krążyli po Berlinie w świetle dnia.

Potrzebowali dwóch całych nocy, żeby przejść przez to miasto, którego już nie rozpoznawał. Budynki w ruinie, aleje zasypane gruzem, pozrywane jezdnie, parki zmienione w pustynie gliny i popalanej roślinności, samochody, autobusy i tramwaje sprowadzone do gąszczy żelastwa; przygnębiające karawany uciekinierów, którzy szli boso, ze spuszczoneymi głowami, pchając przed sobą całe swoje życie w dziecięcym wózekku, nędza zwyczajnych obywateli teraz pozbawionych domów, ledwie żyjących na ulicach, głodnych i wyzbytych nawet godności, zdziesiątkowane rodziny, zgwałcone kobiety, na chodnikach trupy pełne much... Ten zapach – między słodkim a ostrym – gnijącego mięsa, spalonych włosów, prochu i błota wgrzyzający się aż w mózg. Ten okropny smród, który nawet gdy się zamknęło oczy, przypominał o panującej wokół grozie.

Eric czuł smutek przemieszany z wściekłością, z którą nie potrafił sobie poradzić, co czyniło ją jeszcze bardziej przytłaczającą. Kogo mógł winić za tę katastrofę? Kto jest za to odpowiedzialny? Tylko te typy w mundurach SS czy każdy z Niemców? On też? Czy to on jest winien masakry własnego kraju?

On może nie zasługiwał na to, by ominęły go konsekwencje własnych czynów, ale Seb...

Seb był zaledwie dzieckiem, kolejną ofiarą barbarzyństwa dorosłych. Musiał go chronić, musiał się nim zająć.

Jeszcze nie ułożył żadnego planu. Chaos i brak informacji zmuszały go do improwizowania. Przyłączyć się do swoich, gdzie? Porzucić Berlin, jak? Wiedział tylko, że musi się ukrywać przed Sowietami. Zwrócenie się do Corneliusa było jedynym rozwiązaniem. Przez lata nie rozmawiał z ojcem, więc teraz niemal się wstydził, że przychodzi z prośbą o schronienie pod jego skrzydłami, ale przecież nie miał innego wyjścia. Przemknęło mu przez głowę, że Cornelius może już nie żyć. Byłaby to tragiczna, ale zasłużona kara dla obojętnego syna. Jednak żeby zachować zdrowie psychiczne, postanowił odsunąć od siebie tę myśl.

Eric ucieszył się, kiedy odnalazł ten mały dom antykwariusza – dość sponiewierany, ale jakimś cudem wciąż cały, niczym ranny żołnierz pośród trupów towarzyszy. Z jednego okna prószło słabiutkie drżące światło. Po raz pierwszy od długiego czasu odniósł wrażenie, że wraca do domu. Ścisnął dłoń syna i z Orionem za plecami zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi.

Wiadomość o aresztowaniu Corneliusa podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Stał w progu, nie wiedząc, jak zareagować; patrzył tylko na tego chłopaka, Ramira, przyjaciela swojego ojca, o którego istnieniu nie wiedział. A niby skąd miał wiedzieć? Ramiro wydawał się dobrym człowiekiem, miał miłą twarz, a on, wyczerpany i przybity, tak bardzo chciał wrócić do domu, do jakiegoś domu. I poczuć trochę ludzkiego ciepła.

– Ma pan może odrobinę wody? – poprosił, żeby nie musieć jeszcze wychodzić.



W salonie – słowo nazbyt pretensjonalne jak na pomieszczenie, w którym ostało się jedynie kilka połamanych mebli i bezużyteczne resztki dawnego dekoracyjnego przepychu – płonął jeszcze knot zanurzony w pojemniku z końskim łojem; ta zaimprovizowana lampa wydzielala czarny gęsty dym o niezbyt przyjemnym zapachu.

Seb, mała gaduła, właśnie zasnął na kanapie. Plamy wokół jego ust zdradzały ucztę czekoladową, którą wyprawił mu Ramiro; może dlatego spał z tak pogodną miną. Oddychał spokojnie, odrobinę pochrapując. Był miłym chłopczykiem z twarzą jak śnieżna kulka upstrzoną piegam. Na czole miał ranę i jedną rękę w gipsie. „Zaskoczyło go bombardowanie”, wyjaśnił Eric lakonicznie.

Orion drzemał z jednym otwartym okiem i oklapłym uchem. Obwąchawszy to nieznanym miejscu, zjadł w kilka sekund kawałki chleba moczone w zalewie z puszeki groszku – pierwszy posiłek od długiego czasu – i też zasnął zadowolony. Był brzydkim psem: skóra i kości, ani duży, ani mały, brązowa puszysta sierść przetykana siwizną, szpiczaste uszy nieproporcjonalnie duże w stosunku do głowy, przy czym jedno strzygło, a drugie opadało na kaprawe oko. Straszliwie śmierdział, chociaż wbrew temu, co uważał Seb, raczej nie miał pcheł; w każdym razie nie drapał się bardziej niż normalnie. Cokolwiek się do niego powiedziało, spoglądał badawczo i energicznie merdał ogonem. Ramirowi się spodobał.

Wreszcie w spokoju i milczeniu wypili z Erikiem do dna butelkę koniaku, która cudem przetrwała w schowku Corneliusa. Stary trzymał ją za luźną deską obudowy kominka, od kiedy nabral podejrzeń, że jego asystentka popija sobie po kryjomu.

Pierwszy łyk alkoholu zadrapał Erica w gardło, ale ożywił mu ciało, obolałe, zmęczone i przybite. Jeszcze do końca nie dotarło do niego to, co usłyszał od Ramira na temat aresztowania ojca. W miarę jak chłopak opowiadał, przychodziły mu do głowy pierwsze obrazy cierpienia staroego w więzieniu albo co gorsza – w obozie. Kiedy zastanawiał się nad jego szansami na przeżycie...

„Kocham cię, Ericu. Jesteś moim synem, nigdy o tym nie zapomniałem”, powiedział mu ojciec, kiedy żegnali się po raz ostatni. I teraz czuł się opuszczony, nawet winny, że nie zapobiegł temu, co się zdarzyło. Gdyby bardziej troszczył się o ojca, gdyby zachowywał się jak dobry syn...

– Napisałem ci o tym. Chociaż widzę, że list do ciebie nie dotarł.

Eric pokręcił głową.

– Dlaczego go aresztowali?

Ramiro pociągnął z kieliszka.

– Oskarżyli go o homoseksualizm – powiedział szeptem, choć nikt ich nie słuchał.

– Co?

– To pomówienie, oczywiście. Dobry pretekst, żeby go usunąć z drogi. To bardzo zawiła sprawa...

– Co chcesz powiedzieć?

Ramiro przez chwilę układał sobie w głowie to, co musiał opowiedzieć Ericowi. Postanowił, że najlepiej będzie odwołać się do słów samego Corneliusa. Dlatego włożył rękę do kieszeni spodni i wyciągnął ostatni list antykwariusza, który zawsze nosił przy sobie.

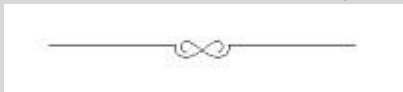
– To napisał twój ojciec z więzienia. Przekazał list przez jednego ze strażników, chłopaka z dzielnicy, który bardzo go cenił i szanował. Cóż... to już wiesz.

Nie, Eric nie wiedział, ale wstydził się wyprowadzić go z błędu. Bez słowa wziął kartkę do rąk.

Ramiro przyglądał się w milczeniu synowi Corneliusa. Znał już ten list na pamięć i w tamtym momencie przychodził mu do głowy konkretny ustęp: „Powiedz Ericowi o medalionie, przekaz mu wszystko, czego cię nauczyłem. Od teraz jesteście w tej misji jak bracia, jesteście strażnikami dziedzictwa. Wiem, że sam powinienem był go wcześniej nauczyć, ale nigdy nie nastąpiła ta odpowiednia chwila, cały czas wydawało mi się, że jeszcze nie jest gotowy. Pewne jest to, że tak jak twoja mama ciebie, chciałem go tylko chronić”.

Przeczytawszy list, Eric uniósł głowę. Na jego twarzy malowało się zmieszanie.

– Tak... to normalne, że nic nie rozumiesz. Ale nie martw się, wszystko ci wyjaśnię.



Świtało, kiedy pokonani zmęczeniem poszli spać. Ramiro przygotował dla Erica materac w rogu salonu. Mimo że zapadnięty i zakurzony, był pierwszym od kilku dni miękkim miejscem, na którym Eric mógł się położyć. I pierwszym miejscem pod dachem. A jednak nie potrafił zmrzyć oka.

Ognisty Medalion. *Astrolog*. Ta fantastyczna historia, którą właśnie usłyszał, dławiała go jak zbyt duży, trudny do przełknięcia kęs. Jest człowiekiem nauki, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi? Wiedział, że Cornelius jest ekscentrykiem, ale tego było mu za wiele.

Szkoda, że nie miał zwyczajnego ojca. Profesora uniwersytetu, księgowego, motorniczego, rzeźnika... Kogoś normalnego, nudnego i przeciętnego. Gdyby tak było, może teraz stary przyjmowałby syna i wnuka z otwartymi ramionami. Wypiliby we dwóch tę butelkę koniaku, którą chował na specjalną okazję, i porozmawialiby o czekającej ich przyszłości, o swoich niepokojach, pragnieniach.

Ale nie, Cornelius Althann musiał być najdziwniejszym ojcem na świecie i zostawić mu najdziwniejsze dziedzictwo na świecie. Co takiego miał teraz zrobić? Do jakiej sekty należał? Cywilizacja właśnie runęła, a on co miał chronić? Jakiś kamień? To żałosne.

Nic z tego, już miał wystarczająco dużo na głowie. Opiekował się Sebem. Próbował się

wydostać z miasta, by chronić siebie i syna. Nie, on nie będzie jak Cornelius. Będzie normalnym ojcem, nudnym i przeciętnym. Do diabła z całą tą historią! W ten sposób nie przekazuje się dziedzictwa; żeby to zrobić, ojciec powinien był zachować się jak ojciec, ale nigdy się tak nie zachowywał. Teraz obarczał go tylko nowym problemem. A on miał ich aż nadto.



ZNALAZŁAM SYNA CORNELIUSA ALTHANNA

Oszukiwałam samą siebie, myśląc choćby przez moment, że nie pojedę do Stambułu. Od pierwszej chwili zamierzałam jechać, tylko nie chciałam, żeby dla Martina było to takie oczywiste. Miałam wprawdzie wątpliwości co do udziału w planie, który wydawał mi się kompletnie niedorzeczny, ale uznałam, że nasze spotkanie, w Stambule czy gdziekolwiek indziej, będzie doskonałą okazją do złożenia przez Martina wyjaśnień.

Kiedy skończyłam z nim rozmawiać, sięgnęłam po swój telefon, by go wyłączyć. Kotłowało mi się w głowie. Czułam się jakoś dziwnie samotna i niepewna, odłączona od reszty świata. Jeśli mój telefon był na podsłuchu, to rzeczywiście stanowił dla mnie zagrożenie. Nie chciałam czuć się osaczona na ulicach, nie zniosłabym tego. Postanowiłam zastosować się do instrukcji Martina: włączać komórkę dwa razy dziennie, na nie więcej niż pół godziny za każdym razem.

Zanim z własnej woli odciąłam się od komunikacji, przejrzałam wiadomości. Na WhatsAppie Alain proponował mi spotkanie przy kolacji. Wymówiłam się. Nie miałam ochoty kląć się z nim na temat naszej przyszłości. Wcześniej czy później będę musiała to zrobić, wiedziałam o tym. Ale w tamtej chwili przepełniało mnie zbyt wiele emocji. Nie byłam przygotowana do takiej rozmowy, nie miałam argumentów do dyskusji. Potrzebowałam czasu i spojrzenia z dystansu.

Przykro mi. Już się umówiłam z koleżanką, która przyjechała tu na wycieczkę. Jutro porozmawiamy.

Miałam też wiadomość od Helgi, z prośbą o telefon.

– Znalazłam syna Corneliusa Althanna – obwieściła, gdy do niej zadzwoniłam.

Eric Althann. Inżynier. Nie wiadomo, czy był członkiem NSDAP albo SS.

– To, że nie ma danych, nie znaczy, że do nich nie należał. Na pewno należał, przynajmniej do NSDAP. Jeśli chciałaś pracować dla państwa, musiałaś być członkiem partii – zauważyła.

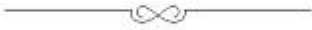
Eric Althann w 1941 roku przebywał w ściśle tajnym ośrodku w Peenemünde na wyspie Uznam, na Morzu Bałtyckim. Był członkiem ekipy inżynierów i naukowców, którą kierował Wernher von Braun, pracującej nad rozwojem rakiet o napędzie ciekłym i rakiet kierowanych, bardziej znanych jako V-1 i V-2, wykorzystanych między innymi w bombardowaniach Londynu. Althann miał przydział do laboratorium systemów nawigacyjnych i aerobalistyki. Był tam aż do lutego 1944 roku, kiedy przeniesiono go do fabryki Mittelwerk, mieszczącej się w pobliżu Nordhausen w Turyngii, gdzie zaczęto produkować rakiety po nalocie RAF-u na Peenemünde w sierpniu 1943 roku.

– Później, na początku kwietnia 1945 roku, pojawia się na liście z innymi czterystu pięćdziesięcioma naukowcami, którzy zostali przeniesieni z Nordhausen do Oberammergau w Bawarii – wyjaśniła Helga. – Tam ich pilnowało SS, żeby nie uciekli. 29 tego samego miesiąca zostali przejęci przez zachodnich aliantów.

Ale nie Eric Althann. Syn Corneliusa przed przybyciem aliantów, 15 kwietnia, dostał specjalną przepustkę na wyjazd do Berlina z powodu śmierci żony podczas bombardowania.

– Był żonaty od 1941 roku i miał trzyletniego syna – kontynuowała Helga. – Poprosił o przepustkę, żeby zająć się dzieckiem. Co ciekawe, znalazłam kilka odniesień do złożonego

przez Althanna w lipcu 1943 roku pozwu o rozwód, na który żona, Ursula, się nie zgadzała. W tym samym pozwie wnioskował o opiekę nad ich dzieckiem, twierdząc, że matka jest psychicznie niestabilna. Uzyskał rozwód, ale nie opiekę nad synem. Zdaje się, że ostatecznie w dramatycznych okolicznościach Eric Althann osiągnął to, czego chciał.



Po rozmowie z Helgą wiedziałam, że nadeszła chwila na uporządkowanie lawiny informacji, która spadła na mnie w mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Poprosiłam o kolację do pokoju i z muzyką w tle zabrałam się do przerabiania tej sterty papierów i robienia notatek.

Znajdowałam się w sytuacji, w której gęsty las nie pozwala dostrzec drzew. Zebrane informacje nakładały się na siebie w sposób chaotyczny i tak samo jak trzeba przepchnąć młyn rugbistów, żeby złapać piłkę, ja musiałam przepchnąć ten chaos informacyjny i przebić się do niewiadomej, od której rozpoczęło się to śledztwo: gdzie jest Ognisty Medalion?

Według niedawnego odkrycia Martina Rudolf von Sebottendorf, Walther Hanke i Günter Kirch jakoś znaleźli – jak?, tego jeszcze musieliśmy się dowiedzieć – sposób, żeby podążać śladem relikwii. Co w połączeniu z informacjami dostarczonymi przez Georga von Bergheima prowadziło do Petera Hankego. Prawdopodobieństwo, że Hanke wiedział, gdzie jest medalion, jawiło się jako bardzo wysokie.

Tę hipotezę wzmacniał fakt, że Alain i ja, wyruszając od różnych źródeł, dotarliśmy do tego samego punktu: Fiodora Wojkowa.

Obraz prezentował się więc następująco: Fiodor Wojkow ma medalion. (Ciekawe, jak wszedł w jego posiadanie. Dostał w spadku? Kupił? Ukradł? Znalazł?) Jego ciotka Maria Radzińska – czy to sugeruje rodzinne dziedzictwo? – wręcza go Rasputinowi. Ten z kolei powierza go carowej Aleksandrze. Kiedy rodzina carska zostaje zamordowana, medalion dołącza do kolekcji klejnotów skonfiskowanych Romanowom i pojawia się w pierwszej edycji katalogu z 1924 roku, ale nie w wydaniu z 1925.

Kiedy doszłam do tego miejsca, ogarnęły mnie wątpliwości. Fiodor Wojkow specjalnie pojechał do Moskwy, żeby porozmawiać z Grigorijem Nikulinem, który zajął się klejnotami po egzekucji Romanowów, i dowiedzieć się, czy medalion znajdował się wśród nich. Ale jaki sens miałoby dla Wojkowa pytanie o ten detal Nikulina? Już powinien to wiedzieć, bo przecież był członkiem ekipy specjalistów, którzy w Ermitażu fotografowali i katalogowali klejnoty, o czym świadczy dokument Komisariatu Finansów.

Znowu przejrzałam daty:

W 1922 Wojkow rozmawia z Nikulinem.

W 1924 zostaje opublikowany pierwszy katalog klejnotów, którego rzekomo żaden egzemplarz nie przetrwał, ale okazuje się, że Salomon Kahn trzyma jeden w ukryciu, ze wspaniałym zdjęciem medalionu pośród reszty biżuterii.

W 1925 zostaje opublikowany katalog ostateczny, noszący tytuł *Skarb rosyjski klejnotów i kamieni szlachetnych*. Nie ma w nim niektórych przedmiotów z pierwszego katalogu, także medalionu.

Przejrzałam więc jeszcze raz dokument Komisariatu Finansów i niemal od razu zdałam sobie sprawę z tego, w czym tkwi rozwiązanie zagadki. Fiodor Wojkow dołączył do ekipy ekspertów dopiero w 1924 roku, miesiąc po opublikowaniu pierwszego katalogu.

Uświadomiwszy to sobie, wydedukowałam kolejne kroki Wojkowa: odkąd ciotka dała się ponieść fantazji i pod wpływem wdzięków Rasputina wręczyła medalion temu szalonemu mni-chowi, Fiodor cały czas śledzi relikwię. Odkrywa, po śmierci Rasputina z rąk rosyjskich maso-

nów, że medalion jest u carowej. Kiedy ta zostaje zamordowana wraz z resztą rodziny, dostrzega możliwość odzyskania go w chaosie pierwszych lat bolszewizmu. Dlatego spotyka się z Nikulinem, który potwierdza, że medalion jest z resztą klejnotów. Żeby dobrać się do zbiorów, Fiodor zgłasza się do ich katalogowania. Jako znany specjalista od kamieni szlachetnych prawdopodobnie ma dobre kontakty i jego doświadczenie jako kustosa Ermitażu pomaga mu uzyskać miejsce w ekipie. Najprawdopodobniej myśli, że dzięki temu zdobędzie medalion, klejnot skromny i bez znaczenia na tle wspaniałych dzieł sztuki jubilerskiej z najdroższymi na świecie kamieniami. Ale pojawia się za późno: kiedy dostaje tę pracę, katalog już opublikowano i medalion wyszedł na światło dzienne. Czy można zatem myśleć, że w tej sytuacji Wojkow wykradł medalion i to jest powód, dla którego opublikowano nowy katalog w 1925? Zapisałam to sobie jako możliwość ze znakiem zapytania.

Wróciłam do Petera Hankego – dzięki ojcu mógł mieć wiadomości, które pozwoliły mu wpaść na trop medalionu. Tak więc funkcjonariusz Gestapo złożył wizytę Fiodorowi Wojkowowi, podczas której torturował go i zabił. To zdarzenie otwierało różne możliwości. Że Hanke przejął medalion, co jednak mogłam odrzucić, wzięwszy pod uwagę, że później przesłuchiwał na jego temat Alfreda Bauera. Albo że go nie przejął. I tu znów otwierały się różne możliwości. Że to nie Wojkow wykradł medalion, i w takim wypadku nie wiadomo, kto go zabrał i co się z nim stało. Albo że Wojkow go miał, ale nie wyjawiał Hankemu, gdzie medalion się znajduje, a zatem dalej leży w miejscu, które znał tylko on, więc możemy się pożegnać z jego odnalezieniem. Albo że Wojkow – i to byłoby typowe dla rodzin chroniących dziedzictwo – dał medalion siostrzenicy Katii, swojej jedynej spadkobierczyni, i powierzył jej ochronę tej relikwii.

Oczywiście, żeby ten wachlarz możliwości był jeszcze bardziej interesujący, pojawia się kolejna tajemnicza postać: Cornelius Althann, antykwariusz, którego Hanke aresztował bez żadnego powodu i protokołu. Czy może być tak, że Hanke w nagłym zwrocie akcji doszedł do wniosku, że medalion miał nie Fiodor Wojkow, tylko Cornelius Althann?

Antykwariusz został wysłany do obozu koncentracyjnego, a więc szansa, że przeżył, była niewielka. A skoro tak, to może cała sprawa ma coś wspólnego z jego synem Erikiem, naukowcem, i całą resztą?

Niemal spocona po sporządzeniu tych wszystkich notatek, przejrzałam swoje pośpieszne gryzmoły, nerwowo gryząc długopis. Nagle wydało mi się, że w gąszczu danych wręcz zabłysły trzy nazwiska. Wzięłam czerwony pisak i je zakreśliłam.

Peter Hanke. Katia Wojkowa. Eric Althann.

W tamtej chwili nie wiedziałam, czy powinnam się cieszyć, bo zaczęłam od jednego nazwiska i jakby Peter Hanke był gremlinem na deszczu, z niego wyłoniły się dwa następne.



STRZELEC WYBOROWA, NIE INACZEJ

Irina położyła na stole teczkę wypełnioną dokumentami; papiery zapisane na maszynie cyrylicą, pokryte odręcznymi notatkami i urzędowymi pieczętami.

– Tu masz wszystko, co udało nam się znaleźć na temat służby Katii Wojkowej w wojsku.

W podziękowaniu za pomoc zaprosiłam archiwistkę na obiad do jej ulubionej restauracji w Petersburgu, dekadentycznej mieszanki dawnej imperialnej chwały i ostentacyjnego radzieckiego luksusu: ciężkie złote meble, dywany, kryształowe żyrandole i wiekowi kelnerzy wyprężeni jak struna. Po posiłku równie niemodnym jak lokal – bliny z kawiozem, vol-au-vent z nadzieniem rakowym i boeuf Stroganow – zajęłyśmy się podstawową przyczyną naszego spotkania oraz kawą po turecku i ciasteczkami migdałowo-miodowymi.

Przejrzałam zawartość teczek. Mimo że nic nie rozumiałam z tego, co zapisano w dokumentach, przyjemność sprawiło mi samo przyglądanie się tym okrucuchom historii. Szkoda, że to były tylko kopie, ale mogłam domyślić się miękkiego i kruchego dotyku oryginałów, czarnego atramentu druków i czerwieni oraz zieleni pieczętek i notatek.

– Wyciągnęłam z tego najważniejsze wiadomości i uporządkowałam je chronologicznie, żebyśmy miały lepszy wgląd w jej szlak – wyjaśniła Irina, słodząc kawę kostką cukru trzcinowego. – Mimo kilku luk ogólny obraz jest dość kompletny.

Podawała mi kartkę z datami i najważniejszymi wydarzeniami, porządnie spisany po francusku, i założyła okulary, żeby przeczytać ją ze mną.

– Zobaczmy: w maju 1943 roku, ledwie skończywszy osiemnaście lat, Katia Wojkowa przeszła *wsiewobucz*, czyli podstawowe przeszkolenie wojskowe, które było obowiązkowe dla wszystkich mężczyzn między szesnastym a czterdziestym rokiem życia. Wiele kobiet, które poszły do wojska, też je odbyło.

– Czy kobiety zgłaszały się na ochotnika?

– Tak, ale nie wszystkie dopuszczano. Te, które odbyły *wsiewobucz*, miały większe szanse dołączyć do wojska. I tak było z naszą koleżanką, bo w czerwcu 1943 roku dostała awans na młodszego sierżanta w Centralnej Szkole Przygotowania Snajperskiego.

Uniosłam brwi nad filiżanką kawy.

– No proszę... Strzelec wyborowa, nie inaczej.

– W każdym razie nie zajmowała się pierdołami. Po skończeniu szkolenia została na jakiś czas w szkole jako instruktorka, zanim przydzielono ją do 184 Dywizji Fizylierów, w której był oddział strzelców wyborowych. Tam służyła od kwietnia do czerwca 1944 roku i za zasługi w rejonie Dźwiny została odznaczona Orderem Sławy. Dziewczyna oczywiście miała charakter: chociaż pod koniec czerwca przenieśli ją do rezerwy, ona upierała się, że chce kontynuować walkę.

– Dlaczego ją przeniesiono do rezerwy? Skoro została odznaczona i nie była ranna...

– Nie była to sprawa osobista, tylko decyzja polityczna: wycofać kobiety z linii frontu, skoro rozpoczęła się ofensywa na zachód. Temat Armii Czerwonej i żołnerek jest dość złożony. Z jednej strony była to armia najbardziej tolerancyjna, jeśli chodzi o przyjmowanie kobiet, ale z drugiej strony jakby nie przyjmowała do wiadomości własnej decyzji. Wszystko to sprawia wrażenie, że dowódcy zostali zmuszeni do jej podjęcia w związku z brakiem żołnierzy i presją samych kobiet, które chciały walczyć jak mężczyźni. Ale przy najbliższej okazji, jak się wydaje, próbowali się ich pozbyć.

– A Katii pozwolili zostać?

– Nie, ale jej było wszystko jedno. Dołączyła z innymi towarzyszkami jako wsparcie do dywizji piechoty Trzeciego Frontu Białoruskiego, gdzie trafili ludzie z jej rozwiązanego oddziału strzelców wyborowych. Oczywiście w końcu została ukarana za niewykonanie rozkazu, czyli wysłana na tyły. Co ciekawe, nie stanęła przed sądem wojennym, przypuszczam, że z powodu tej dziwnej myśli, która, jak ci mówiłam, pojawiła się u najwyższych dowódców: „Nie powinniśmy rekrutować kobiet, ale ich potrzebujemy”. Na pewno mieli na względzie i to, że kobiety dowiodły, jak dobre są w walce, więc byłoby głupio się ich pozbywać, nawet jeśli ich obecność w armii burzyła zatęchłe pryncypia starych generałów i samego Stalina. I tak nasza dziewczyna znowu została instruktorką w Szkole Przygotowania Snajperskiego, a we wrześniu 1944 roku zdała egzamin w MWOKU, Moskiewskiej Wojskowej Wyższej Szkole Dowódczej, i awansowała do stopnia podporucznika. Miesiąc później wstąpiła do 207 Dywizji Fizylierów. W listopadzie została ranna na Łotwie. Ale w styczniu 1945 roku znowu walczyła w szeregach Trzeciej Armii Uderzeniowej. Wraz z nią szła przez Polskę i Pomorze, aż w kwietniu, moja droga, dotarła do Berlina. – Irina z emfazą wypowiedziała nazwę stolicy Niemiec. Potem popiła długi łyk kawy i pochłonęła ciasteczko.

Tymczasem ja przez chwilę siedziałam w milczeniu, z oczami utkwionymi w kartce, która streszczała znakomitą część życia Katii Wojkowej. Moje myśli krążyły wokół tych danych i doszłam do szybkich wniosków: w maju 1945 roku ścieżki Petera Hankego, Erica Althanna i Katii Wojkowej, choć każde z nich podążało inną drogą, zbiegły się w Berlinie. Zwykły przypadek czy coś więcej?

– Oczywiście teraz – Irina przerwała moje rozmyślenia – pojawia się zła wiadomość. Nasza Katia zmarła w stolicy Niemiec w maju 1945 roku. Wojna już się skończyła. Szkoda dziewczyny... To jest kopia listu potwierdzającego jej śmierć. – Irina pokazała mi wyciągniętą z teczki kartkę. – Został wysłany do rodziny Kotiakowów; pewnie to był kontakt, który podała Katia, bo nie miała własnej rodziny. Kotiakowa to nazwisko panięskie Julii Idrisowej, kobiety, która opowiedziała o Katii mojej koleżance Ludmile, nie wiem, czy pamiętasz. To Ludmiła pokazała mi list.

Skinęłam głową.

– Wiadomo, jak umarła?

– Na służbie. Nie zdarzało się to często, ale też nie było dziwne, że w tamtych pierwszych dniach chaosu po ustaniu działań jeszcze ginęli żołnierze. Katia miała pecha. Przeżyła piekło wojny i dotarła aż tam, a zginęła od zabłąkanej kuli wystrzelonej przez ostatniego nazistę w zasadzce albo nawet dostała od swoich... Dwadzieścia lat... a przeszła prawdziwą drogę cierniową z Hiszpanii, od jednej wojny do drugiej, od jednej straty do drugiej, żeby skończyć w taki sposób. Jaka szkoda... – mówiła Irina szczerze poruszona.

W tamtej chwili osobliwego smutku dzwonek telefonu wydał mi się dużo bardziej nachalny niż zwykle. Sprawdziłam, że chodzi o moją komórkę, tę, której używałam tylko do kontaktu z Martinem.

– Przepraszam, muszę odebrać.

Irina odprawiła mnie gestem i dołąła sobie kawy.

– Tak? – odezwałam się, wiedząc, kto do mnie dzwoni.

Jednak jakie było moje zdumienie, kiedy po drugiej stronie usłyszałam kobiecy głos.

– Ana, tu Brigitte Durand. Jestem przyjaciółką Martina. On... miał wypadek.



MAJ 1945

Podczas gdy w bitwie ginęło mnóstwo żołnierzy, wśród ludności cywilnej żniwo zbierały samobójstwa. Propaganda nazistowska okazała się tak skuteczna w straszaniu społeczeństwa groźbą „bolszewickiego terroru”, że wielu berlińczyków wolało się zabić, niż wpaść w ręce wroga. Podczas ostatnich dni Trzeciej Rzeszy zachęcano do honorowego samobójstwa. Wiadomo, że Hitler rozdał kapsułki z cyjankiem swojemu personelowi. Tak samo każdy mógł je sobie kupić w aptekach; nawet przy wyjściu z koncertu w Filharmonii Berlińskiej Hitlerjugend rozdawała ampułki z trucizną wśród publiczności. Minister propagandy Joseph Goebbels i jego małżonka Magda otruli swoich sześciorgo dzieci, po czym skończyli ze sobą; to najbardziej znany przykład drastycznych decyzji podejmowanych we wszystkich warstwach berlińskiej społeczności. W kwietniu 1945 roku zgłoszono w Berlinie prawie czterysta samobójstw. Znacznie więcej nie zarejestrowano.

Pokonany przez desperację Peter Hanke opadł czołem na stół. Ile czasu tam siedział?

Bolało go całe ciało, paliły nadgarstki od ocierania się kajdanek i gardło od krzyku. Nikt się nie pojawił w tej celi prawdopodobnie od kilku dni, jedynie od czasu do czasu przynoszono mu coś do jedzenia. Nie była to nawet cela, tylko pokój w piwnicy w jakimś budynku w dzielnicy Buch.

Przez pierwsze dni go przesłuchiwali. Typ z fałdkami skóry na twarzy i oczami, nosem i ustami osadzonymi bardzo blisko siebie przypominał buldoga. Przedstawił się jako oficer Smiersza, *Smiert' Szpionam*, Śmierć Szpiegom; określenie żałośnie teatralne jak na kontrwywiad. Palił papierosa za papierosem i w krótkim czasie ta dziura wypełniła się gęstym dymem, który ścielił się jak welon w świetle lampy stojącej na stole. Te przesłuchania przypominały spotkania w kawiarni. Przesłuchujący nie stosował tortur ani nawet zastraszania. Jakby ich nie potrzebował, bo już doskonale wiedział, z kim ma do czynienia: z elementem wywrotowym, z wrogiem Związku Radzieckiego.

Początkowo oskarżył go o to, że jest dowódcą Werwolfu. Peter niemal się roześmiał w jego pomarszczoną twarz. To dopiero bzdura. Wyglądało na to, że potężna Armia Czerwona boi się bandy gołowąsych nazistów, zdeorganizowanych i bez broni. Dobrze działała niemiecka propaganda, skoro zdołała ich przekonać, że jest to partyzantka, której trzeba się bać.

„Nie jestem z Werwolfu, kretyni. Jestem cholernym gestapowcem. Kontrwywiadowcą, jak wy. Wiem, co myślicie, wiem, jak działacie, i wiem, czego ode mnie oczekujecie, a potem zastrzelicie mnie na podwórku na tyłach. Jeden nazista mniej dla towarzysza Stalina. Ale ja nie jestem nazistą, jestem jednym z was, radzieckim agentem od 1942 roku”.

Po tym jego wyznaniu fałdki na twarzy oficera jeszcze bardziej się pomarszczyły w nieprawdopodobnym grymasie.

– Kto był pańskim kontaktem?

– Lew Hanssen.

– Hanssen zmarł w 1944. To nazwisko podały podwójny agent, ktoś, kto wie, że nie możemy zweryfikować jego wersji. Czy jest pan podwójnym agentem, Herr Hanke?

Jasna cholera... Peter wiedział, co robi ten facet. Osaczał go, zbijał z tropu. Nie miało znaczenia, ile danych mu poda: misje, kontakty, klucze radiowe, numer konta w Szwajcarii, na które przelewano mu wynagrodzenie za usługi... Ten facet nie chciał informacji, chciał przyzna-

nia się. Odhaczyć zmarłego i dalej polować na czarownice, żeby uzasadnić istnienie powierzonego mu stanowiska.

– Jestem radzieckim agentem! Mason, klucz B-308! – krzyknął po raz kolejny doskonałym rosyjskim. – Sprawdźcie to sobie wreszcie w tych cholernych dokumentach!

Peter znowu uderzył głową w stół. Dotknął potylicy, gdzie zaczął się tworzyć strup, i w desperacji zawył.

Był głupi, dał się ponieść zniecierpliwieniu i bezmyślności i kiedy niemal miał go w garści, medalion znowu mu umknął. Ta dziwka, siostrzenica Wojkowa... Oczywiście nie była już wystraszonego dzieckiem, a on popełnił błąd, uważając, że ciągle nim jest i że łatwo sobie z nią poradzi.

Znowu uderzył czołem w stół. I jeszcze raz, i jeszcze. Uderzał jak młotkiem, coraz mocniej, aż poczuł, że mózg obija mu się o czaszkę. Oby mógł rozwalić go sobie o deski i zakończyć te katusze.

Nie może przegrać. To wszystko nie może się skończyć w taki sposób. Potrzebuje jeszcze jednej szansy. Jeszcze jednej. Tym razem nie chybi. Zerwie medalion z szyi trupa dziewczyny i w końcu dokona się sprawiedliwość. Za jego ojca.

Nikt nie kochał tego klejnotu bardziej niż Walther Hanke. Nikt nie wiedział o nim więcej, nikt nie cenił go bardziej ani nie rozumiał mocy, jaką posiadał w całym swoim wymiarze. Nikt bardziej niż Walther nie zasłużył na to, żeby go chronić. A jednak ta banda napuszonej elity z Magna Clavis, która wierzyła, że została wybrana przez tę samą istotę wyższą, odmówiła mu prawa głosu. Zignorowali go, kiedy ostrzegł ich o intencjach Güntera Kircha. Wzgardzili nim. Upokorzyli go.

Zemsta od początku była siłą napędową Petera. Zabił Fiodora Wojkowa i Corneliusa Althanna własnymi rękami, ale zadanie nie zostanie zakończone, dopóki nie zniszczy całego bractwa i nie zdobędzie medalionu.

– Zostaw to, Peterze – powiedział ojciec na krótko przed śmiercią. – Niech to nie stanie się twoją obsesją. Najważniejsze, żeby relikwie były chronione, a to robiliśmy, kiedy pozostawały w naszych rękach.

Ojciec grzeszył słabością. Nawet ten bydlak Günter Kirch okazał większą determinację niż on. Kirch był zdrajcą zaślepionym ambicją, psychopatą, który sprzedał nazistom *Astrologa* i zamordował jednego ze swych największych przyjaciół, żeby móc im sprzedać także Ognisty Medalion. Autentyczny skurwiel, który nie pozwalał sobie na współczucie. Tylko taki skurwysyn jak on potrafił go zatrzymać: Peter Hanke, syn Walthera.

Tak, Peter postrzegał siebie bardziej jak odbicie Güntera Kircha niż własnego ojca, dlatego tylko on mógł skończyć z tym fanatykiem i jego roszczeniami. Przynajmniej jeśli chodzi o medalion. Co się stanie z *Astrologiem*, Petera w ogóle nie interesowało. To medalion był wielką relikwią, przedmiotem o największej mocy. To drugie było jedynie przykrytą farbą legendą.

A jednak jego misja nie została ukończona. I nie skończy się, dopóki nie będzie miał medalionu w rękach. Potrzebował jeszcze tylko jednej szansy. Jednej jedynej szansy.

Peter Hanke uniósł wykrzywioną twarz i jak wilk do księżyca zawył do czterech ścian pustej celi:

– Jebane kacapy, skurwysyny! Jestem jednym z was! Wyciągnijcie mnie stąd!



Ramiro nie musiał specjalnie nalegać na Erica, żeby został. W sumie mężczyzna nie miał

wyboru, musiał zostać albo iść na ulicę.

Początkowo wiele kosztowało młodego naukowca przyzwyczajenie się do obcych w domu jego ojca. Potem uznał za ciekawe obserwowanie, jak Seb składa sobie w całość oddzielne elementy układanki, którymi byli mieszkańcy antykwariatu.

Krammerowie natychmiast przyjęli małego jak wnuka. Ramiro bawił się z dzieckiem w chowanym po całym domu, czasem też bawili się z Orionem na dziedzińcu: uczyli go przynosić patyk, robić siad; Seb cieszył się, śmiał i z entuzjazmem wychwalał sukcesy zwierzaka. Nawet Ilse dołączała do tych zabaw.

Ilse... Eric, który z natury był nieśmiały, dzięki Sebowi zdołał nawiązać relacje z członkami tej małej społeczności. Pan Krammer i on prowadzili długie rozmowy na temat strasznej sytuacji obecnej i ponurej przyszłości Niemiec, pomijając temat wojny jako gorzki i bolesny. Pan Krammer ofiarował się naprawić mu marynarkę, a on w zamian obiecał naprawić stary gramofon ojca, żeby pani Krammer mogła słuchać znalezionych na dnie szafy płyt z operami i walcami. Pomagał też Ramirovi w małych naprawach: zaczęli je robić, żeby doprowadzić dom do porządku, i wypijali razem kieliszek po jedzeniu; było to miłe. A jednak z Ilse sprawa rozwinęła się zupełnie inaczej. Eric natychmiast wyczuł jej niechęć; dziewczyna nawet nie starała się tego ukrywać. Unikała go, jak tylko mogła, a jeśli nie mogła, nie odzywała się do niego, nawet na niego nie patrzyła; w najlepszym razie rzucała zimne i mroczne spojrzenia, pełne wyrzutów. Pewnego razu usłyszał przez przymknięte drzwi ich pokoju, jak rozmawia z Ramirem, i utwierdził się w tym, co praktycznie już wiedział: Ilse nie chciała go w tym domu.

– Dlaczego musi tu zostać? – pytała poruszona.

– Bo nie ma dokąd pójść. Nie chcesz chyba, żeby wałęsał się po ulicach z małym dzieckiem, przyznaj.

– Dziecko to inna sprawa, ale on... Nie mogę, Ramiro, nie mogę na niego patrzeć. To oczywiste, że się ukrywa. Jest jednym z nich. A my go chronimy!

– Nie, Ilse – odpowiedział chłopak spokojnie. – To jest dom jego ojca. Tak naprawdę my wszyscy oprócz niego jesteśmy tu w gościach. Poza tym nic o nim nie wiemy. Powinnaś dać mu szansę, zanim go potępisz.

Nie potrafiąc sobie wytłumaczyć powodu tej niechęci, Eric zapytał Ramira wprost.

– Ilse jest Żydówką – odparł Ramiro bez ogródek. – Wywieziono całą jej rodzinę: rodziców i siostrę. Nie ma o nich żadnych wiadomości. Ale pogłoski... Ona sądzi, że ukrywasz się przed Rosjanami, bo jesteś nazistą, może z SS.

– Nie, nie jestem.

Ramiro wzruszył ramionami.

– Eric, to jest twój dom, nie musisz się usprawiedliwiać.

– Dziękuję, ale to nie jest mój dom, to dom mojego ojca. Jestem tu, bo potrzebuję dachu nad głową dla dziecka i dla siebie, i nie chcę, żeby ktokolwiek brał mnie za kogoś, kim nie jestem, i robił mi jeszcze więcej problemów.

– Nie mnie musisz to wszystko wyjaśnić.

Eric nie miał zamiaru niczego wyjaśniać. To mogłoby wywołać zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, zbyt wiele konfliktów, których nawet on sam jeszcze nie rozwiązał. Stawiał czoło własnemu sumieniu, z którym się zmagał przez dwanaście lat nazizmu. Jak w tej sytuacji mógłby cokolwiek wyjaśnić?

Postanowił, że też będzie unikał Ilse Berlak i że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Ale nie trwał w tym postanowieniu zbyt długo.

Pewnej nocy, kiedy pozostali już poszli spać, zaszył się w kuchni z kieliszkiem domowej śliwownicy; Ramiro znalazł kilka jej butelek w głębi spiżarni. Było to jak picie ognia, więc sączył

drobnymi łykami, pozwalając, żeby alkohol działał na niego uśmierzająco. Dom w ciszy, kuchnia ciemna, głowa prawie pusta...

Wtedy pojawiła się Ilse – w skromnej koszuli nocnej, okryta szalem, bosy i z rozpuszczonymi włosami. Zatrzymała się, kiedy zobaczyła go siedzącego w półmroku, niemal upuściła świecę. A jednak udała, że go tam nie ma, bez słowa weszła do kuchni, żeby nalać sobie wody z jednej z dużych butli, które napełniali codziennie w studni o kilka przecznic od domu.

Eric wypił śliwownicę, więcej niż zwykle, i zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek na stół.

– Nie jestem z SS. – W ciszy jego głos zabrzmiał ponuro, jakby bardziej chrapliwie z powodu alkoholu. – Nie jestem też nazistą.

Ilse stała sztywno, odwrócona do niego plecami, długo milczała.

– Też coś... – powiedziała w końcu, po kilku łykach wody. – Teraz okazuje się, że nikt nie był nazistą. Nie mam pojęcia, skąd się wzięło tych ponad siedemnaście milionów Niemców, którzy głosowali na NSDAP w trzydziestym drugim, albo trzydzieści osiem milionów, którzy poparli dyktaturę Hitlera w trzydziestym czwartym. Nie wiem, jak mogło się wydarzyć to wszystko, co się wydarzyło, skoro nikt nie był nazistą.

– Nigdy nie głosowałem na NSDAP. Ani na żadną inną partię.

Ilse się odwróciła. Płomień świecy rzeźbił cienie na jej twarzy, podkreślające surowość rysów.

– Może na tym polegał problem, Herr Althann: na obojętności. Nie głosować to zostawić wolną drogę temu, kto się narzuca. Nie sprzeciwiać się to się zgadzać.

– A czego by pani ode mnie oczekiwała? Miałem zaatakować Reichstag? Bić się z SS? Zrobić zamach na Hitlera? Skoro tak, przyznaję swój brak zaangażowania, nie jestem z natury bohaterski, przykro mi. Ale to nie robi ze mnie nazisty.

– Chce mi pan powiedzieć, że przez te wszystkie lata nie walczył pan dla nich, nie pracował dla nich, nie współpracował z nimi? Myśli pan, że brak odznaki partyjnej albo legitymacji SS uwalnia pana od winy?

– Przez te wszystkie lata starałem się przeżyć i zapewnić przetrwanie rodzinie, czy mam się czuć winny z tego powodu? Na Boga, skoro nawet pani lud nie dbał o interesy swojej społeczności! Czego oczekuje pani od reszty?

Ze wzrokiem utkwionym w popękaną terakotową podłogę Ilse przyznała przed sobą, że brak jej argumentów. To wywołało w niej mieszaninę wściekłości i smutku, które doprowadziły ją do płaczu. Z godnością przełknęła tych kilka łez.

Eric rozparł się na krześle, które zakołysało się i zaskrzypiało. Nie chciał sprawiać dziewczynie przykrości. Ta kłótnia nie miała sensu. Nie byli wrogami.

– Proszę posłuchać... – Ściągnął okulary, żeby przetrzeć oczy, i znowu je założył. Przybrał pojednawczy ton. – Rozumiem, że wycierpiawszy tyle, osoby takie jak pani potrzebują spojrzeć w twarz winnym. Ja sam, teraz, gdy to wszystko się skończyło, też tego potrzebuję. I... tak, czasem jest to jak spojrzenie w lustro. To wtedy czuję się egoistą, oportunistą, człowiekiem niesolidarnym... nieświadomym... w najlepszym przypadku. To są moje grzechy. I proszę panią o ich wybaczenie. Ale proszę nie uważać mnie za nazistę, bardzo panią proszę.

Ilse uniosła wzrok i przez chwilę mu się przyglądała, jakby chciała ocenić szlachetność jego deklaracji. W końcu się zgodziła.

– Dobrze... Chociaż, skoro takie są pana grzechy, nie rozumiem, skąd ta konieczność ucieczki z Berlina.

– Ja nie...

– Wszystko jedno – przerwała mu. – To nie moja sprawa.

Eric poczuł ulgę, że nie musi jej okłamywać: Ilse była przenikliwą dziewczyną, niełatwo byłoby ją okłamać.

Uznawszy rozmowę za zakończoną, Ilse dopiła wodę i poszła do drzwi, żegnając się oschłym „dobranoc”.

– Dobranoc – szepnął Eric w pustej już kuchni.

Znowu spowiała go ciemność. Znowu sięgnął po kieliszek, ale w kieliszku została tylko kropelka. Pomyślał, że należy sobie jeszcze odrobinę, choćby na jeden palec, ale w ramach ćwiczenia silnej woli odrzucił tę myśl. Zauważył, że ostatnio za dużo pije. Musi zacząć się kontrolować. Powiedział więc sobie, że powinien się położyć, ale nie ruszył się z miejsca. Ciągle trzymał kieliszek w ręce.

„Jesteś inteligentny, Ericu. O autonomicznym systemie pilotowania wiesz najwięcej z całej ekipy. Ale nie mogę cię awansować na wyższe stanowisko, bo nie jesteś członkiem partii. Ci z Berlina są tak głupi, że w pierwszej kolejności będą patrzeć na twoje wybory polityczne. Ja wiem, że dla ciebie, tak samo jak dla mnie i dla większości tych, którzy tu są, polityka nie jest istotna, ale powinieneś być bardziej praktyczny i nie przywiązywać tak wielkiej wagi do tego gestu. Przecież to tylko kwestia numeru legitymacji partyjnej, a ci na górze lubią takie rzeczy”.

Wernher von Braun zawsze był z nim szczery. Radził mu zrobić to, co sam zrobił, żeby zapewnić sobie powodzenie: ustąpić. Wernher ustąpił do tego stopnia, że kiedy Himmler poprosił go, aby dołączył do SS, zasłonił się tylko tym, że jest bardzo zajęty swoimi badaniami, na co Reichsführer, by zakończyć temat, zauważył, że jego członkostwo w organizacji nie oderwie go od pracy. „Jeśli do tego, żeby pozwolono mi pracować w spokoju, wystarczy wejść do ich klubu i nosić mundur, zrobię to”, mówił von Braun. Prawda jednak jest taka, że chodził w mundurze częściej, niż Eric się spodziewał po kimś takim jak on. Ale nie mógł go winić, w tamtych czasach mundur dawał pewne gwarancje.

Może powinien był posłuchać swojego szefa, skoro i tak biorą go za nazistę. Ale nie zrobił tego, nawet za cenę awansu, bo to nie była sprawa wyłącznie numeru legitymacji, jak argumentował von Braun, lecz i zgody na wiele rzeczy, których nie tolerował.

„Ale robimy dla nich broń, prawda? Czy to nie znaczy, że do nich przynależymy?”, zwrócił mu uwagę najmłodszy inżynier z grupy, z którym się zaprzyjaźnił i któremu zwierzył się ze swoich wątpliwości.

Nie, to nie była przynależność do nazistów, przekonywał wtedy samego siebie. To była cena za możliwość prowadzenia badań, za próbę spełnienia marzeń, bo te rakiety, które wówczas wystrzelili na Londyn, pewnego dnia miały wylądować na Księżycu, a może jeszcze dalej. Wolał się trzymać tego etycznego argumentu. I przez całe życie będzie musiał to ze sobą nieść.

Dlatego przygany, takie jak te ze strony Ilse, bolały go bardziej, niż się do tego przyznawał, bo trafiały dokładnie w jego poturbowane sumienie. „Nie sprzeciwiać się to się zgadzać”, powiedziała mu przepelniona żalem dziewczyna. Ale to nie było takie proste. Nic nie jest tylko białe albo czarne.

Przypomniał sobie pobyt w Mittelwerk, dokąd pojechał w 1944 roku jako pomocnik Magnusa von Brauna, młodszego brata Wernhera, na inspekcję produkcji żyroskopów, siłowni-ków i pomp turbinowych. Tam uświadomił sobie dramatyczne konsekwencje swojej pracy, wykraczające daleko poza dramatyzm samej wojny. W Peenemünde tego nie zauważył. Oczywiście wiedział, że wykorzystują robotników zagranicznych i przymusowych, bo niewykwalifikowana niemiecka siła robocza była na froncie, ale wydawało mu się, że warunki ich pracy nie były złe.

A jednak w Mittelwerk sprawy miały się zupełnie inaczej. Żeby zapewnić fabryce ogromną liczbę robotników koniecznych do wypełnienia wymagań produkcyjnych rakiet V-2

postawionych przez samego Hitlera, SS założyło obóz w jej pobliżu, który wypełniono więźniami politycznymi, Żydami i Cyganami. Początkowo był to podobóz Buchenwaldu, potem miał własną tożsamość jako obóz Mittelbau-Dora.

Eric mógłby się bronić, przekonując, że nie wiedział nic o warunkach panujących w fabrykach, że jako pomocnik inżyniera nadzorującego proces produkcji pracował w biurach, w laboratoriach, w ośrodkach testowych, że nigdy nie wchodził do tuneli produkcyjnych. Mógł okłamywać innych, ale nie samego siebie.

Kiedyś musiał osobiście udać się na inspekcję jakichś zaworów sprawiających problemy podczas spalania. To, co wtedy zobaczył... Ciągłe przewracały mu się flaki na samą myśl. Produkcja odbywała się w głębokich tunelach wydrążonych w górze, bez naturalnego światła i wentylacji, w dusznym, pełnym pyłu i szkodliwych gazów powietrzu. W tych niebezpiecznych dla życia i zdrowia miejscach pracowała armia ludzi w brudnych pasiakach. Większość z nich była niedożywiona, poraniona, chora; przygarbione ciała, a właściwie sama skóra i kości, trupy trzymające się na nogach pod ciosami pejsza, pałek i poganiane krzykami strażników z SS, wykonywały najcięższe, najbardziej wyczerpujące prace. Ericowi wydało się, że zstąpił do samych piekieł. Eskortowany przez strażnika i prowadzony przez szefa produkcji, przeszedł przez tunele pochłonięty tym strasznym widokiem, przerażony, z poczuciem nierealności, jakby znalazł się w koszarze, który pojawia się między jawą a snem.

Ale to było rzeczywiste. I rzeczywistość stała się jeszcze bardziej dojmująca, kiedy u jego nóg przewrócił się jakiś człowiek. Niósł ciężki ładunek stalowych osi, które z wielkim hukiem spadły na tory przecinające tunel, po czym sam padł na ziemię.

Jeden ze strażników rzucił się na niego. Zaczął go kopać i bić pałką, krzykiem zmuszając, żeby wstał. *Wasser... Wasser...* rzeźił więzień, rękami jak druciki bezskutecznie zasłaniając się przed ciosami.

– Ten człowiek prosi o wodę! – wtrącił się Eric głosem zdecydowanym i z poważną miną, robiąc krok naprzód.

Szef produkcji próbował go zatrzymać lekkim i pełnym szacunku dotknięciem ramienia, strażnik zignorował go i dalej robił swoje.

– Powiedziałem, że ten człowiek prosi o wodę!

Strażnik w końcu się zatrzymał. Powoli się wyprostował i z butą stanął przed Erikiem. Zaległa cisza przerywana tylko metalicznymi stukotami dobiegającymi z innych tuneli. Wszyscy się im przyglądali, podczas gdy esesman, ciągle z pałką w rękę, obrzucał Erica pogardliwym spojrzeniem, ze stężoną i spoconą po niedawnym wysiłku twarzą. Ci faceci w białych kitlach, za kogo oni się mają? – zdawał się myśleć.

– Ten człowiek to moja rzecz. Pan, Herr Doktor, niech się zajmie swoimi sprawami.

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Eric odsunął go, podszedł prosto do więźnia, który leżał na wpół przytomny i zakrwawiony, i zarzucił go sobie na plecy – z zaskakującą łatwością, trochę jakby podnosił worek szpiczastych kości, lekki do bólu.

– Co pan, do cholery, robi?! Proszę go natychmiast zostawić!

Ignorując rozkazy wściekłego strażnika, Eric minął go z więźniem, który ledwie powłóczył nogami, na plecach.

– Ten człowiek poprosił o wodę i ja mu ją dam – wyjaśnił, odchodząc.

Zrobiwszy kilka kroków, usłyszał za sobą niemożliwy do pomylenia metaliczny szcęk odbezpieczanego zamka. Odwrócił się: strażnik mierzył do niego z pistoletu.

– Powiedziałem, żeby go pan zostawił. – Splunął wściekle.

Eric wahał się przez chwilę, patrząc na lufę pistoletu i na obojętną minę tego odrażającego typu. Nie, nie odważy się do niego strzelić. Odwrócił się i poszedł dalej przed siebie.

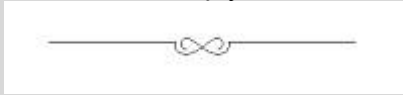
Nagle w tunelu rozbrzmiał ogłuszający odgłos wystrzału. Eric instynktownie się skulił, nie zdążył pomyśleć o niczym, zastanowić się, czy żyje, czy też strzał go zabił. Następnie poczuł, że więzień osuwa się bezwładnie. Z dziury na jego plecach płynęła strużka krwi. Eric, przerażony, położył go na ziemi – już martwego, jak stwierdził po chwili. Uniósł głowę.

Strażnik z wyzywającą miną włożył pistolet do kabury i zaczął krzykiem poganiać ludzi do dalszej pracy, przerwanej tym zdarzeniem.

– Co wtedy miałem zrobić, co, Ilse? – wyszeptał do pustej, ciemnej kuchni.

Co powinienem był zrobić, żeby nie być nazistą? A co powinienem był zrobić tamtego dnia? Od razu się domyślić, kogo strażnik ma zamiar zabić? Wtedy nie wyszedłbym na głupka. A może niepotrzebnie zareagowałem? A może trzeba było skoczyć do gardła temu strażnikowi, może nawet go udusić i zaraz potem zacząć bunt w fabryce? Może tego Ilse i cała reszta Żydów, reszta świata, oczekiwałyby; może gdyby coś takiego zrobił, nie potępiłaby go.

Ale nie, nic z tego nie zrobił. Zwyczajnie przełknął łyżę i podchodzące do gardła mdłości i dalej zajmował się swoją pracą. Może dzięki temu któregoś dnia jedna z jego rakiet poniesie człowieka na Księżyc.



Wbrew obawom Erica stosunki między nim a Ilse poprawiły się po tej krótkiej rozmowie. Nie żeby z dnia na dzień dziewczyna zaczęła traktować go serdecznie, ale przynajmniej nie okazywała dotychczasowej niechęci. Taka zmiana poprawiła nastrój i przyniosła ulgę reszcie lokatorów domu, którzy stopniowo zaczęli stawać się jedną rodziną. Mimo że prawie się nie znali, to w tych chwilach strachu, niepewności i osamotnienia czuli, że płyną razem na jednej łodzi, szukali u siebie nawzajem wsparcia i ludzkiego ciepła.

Dzięki temu Eric po raz pierwszy od długiego czasu czuł się dobrze, niepokój i napięcie zamieniły się w lekkie życiowe pulsowanie. Jednak wiedział, że nadal powinien uważać. Teraz, kiedy wojna się skończyła, groziło mu największe niebezpieczeństwo.

Dlatego ostatni kęs skromnej kolacji stanął mu w gardle, gdy tamtego wieczoru ktoś zastukał do drzwi. Pośród zebranych przy stole zapadła przepelniona lękiem cisza, nie trzeba było słów, straszne noce plądrowania i gwałtów mieli jeszcze świeżo w pamięci. Wszyscy wymienili się spojrzeniami. Orion wściekle szczekał. Kto to może być o tej porze?

Ramiro przejął inicjatywę i poszedł sprawdzić, a Eric zaraz za nim. Zeszli po schodach, minęli zaplecze i w końcu sklep. Nagle Orion rzucił się z nowym atakiem szczekania. Eric próbował go przytrzymać i uciszyć, podczas gdy Ramiro podchodził do drzwi.

– Kto tam?

– Ramiro? To ja, Katia... Katia Wojkowa, pamiętasz mnie? – przedstawiła się po hiszpańsku.

Ramiro odetchnął z ulgą i chciał ją przekazać spojrzeniem Ericowi, który już zdążył zabrać rozszczekanego psa i wyjść z pomieszczenia.

– Katia, cześć!

– Dobry wieczór... Przepraszam... Jest późno. Przyszłam tylko, żeby ci przynieść trochę rzeczy... Jedzenie. – Pokazała mu sporą paczkę. – I wódkę. – Uśmiechnęła się zawstydzona.

Tak długo zastanawiała się nad tym, czy powinna iść do tego domu, biorąc pod uwagę okoliczności. Miała dobre intencje, oczywiście, chciała tylko podziękować Ramirowi za pomoc, ale relacje z cywilami ciągle były skomplikowane, podszyte strachem, nieufnością i niechęcią wobec radzieckich żołnierzy. Trudno zresztą się dziwić, zważywszy na popełniane każdego dnia nadużycia. Ostatnio sytuacja nieco się uspokoiła; ale czy Niemcy i Rosjanie nie byli wciąż wro-

gami? Tyle że Ramiro nie był Niemcem, a ona nie była Rosjanką.

– Och, bardzo dziękuję! Wejdz, wejdz, proszę.

– Nie, nie... Jesteście... razem... – Wypowiadała się nieskładnie. – Nie chcę przeszkadzać.

– No chodź, już! – Wziął ją za łokieć i zaprowadził do środka. – Nie przeszkadzasz! Zjedz z nami kolację. Otworzymy twoją wódkę i się napijemy.

Eric ostrzegł pozostałych, że co najmniej jeden radziecki żołnierz przyszedł do sklepu. Dostrzegł mundur, kiedy włókł Oriona po schodach na górę, a przez szczekanie psa nie usłyszał, co mówi Ramiro. Już sama myśl, że są tam Sowietci, w drzwiach domu, wywołała niepokój zarówno Ilse, jak i Krammerów; Eric też ledwie mógł ukryć podenerwowanie. Radzieccy żołnierze nie odwiedzali nikogo w dobrej wierze, ich wizyty zawsze kończyły się przemocą i aresztowaniami. Jak zwierzę w klatce pomyślał o miejscach, w których mógłby ukryć Seba: ich sypialnia, szafa, szopa na węgiel, dziura na zniszczonym poddaszu...

Jego plany wzięły w łeb, kiedy Ramiro pojawił się w salonie w towarzystwie żołnierza. Erica zamurowało. Z całej siły próbował się opanować i udawać naturalność. Najlepiej nie rzucać się w oczy. Tylko ponura mina i pot lśniący na czole mogły zdradzić jego stan.

W nikłym świetle świec i może na skutek strachu przez dłuższy czas nie zorientował się, że tym żołnierzem jest kobieta. Wydawała się mniej groźna, niż się spodziewał, mimo to serce podchodziło mu do gardła.

Ramiro wyglądał na rozluźnionego i zakolegowanego z żołnierzką, ale cała ta sytuacja wydawała się tak dziwna i niezrozumiała, że Eric jeszcze bardziej się zdenerwował. Pies przestał szczekać i podszedł obwąchać dziewczynę, pozwolił się nawet podrapać za uchem. Reszta zebranych stała sztywno, oszołomiona, podczas gdy Ramiro przedstawiał ją każdemu po kolei jej imieniem: Katia. Wysilone uśmiechy, ukradkowe spojrzenia, drżące ręce. Atmosferę można było kroić nożem. Kiedy zbliżali się do Erica, w pierwszym odruchu chciał złapać Seba i ukryć się w kącie, jakby to mogło w czymś pomóc.

– I na koniec to jest...

– Bruno – przerwał Eric. – Schmidt – dodał i przybrał surową minę. Nie podał jej ręki. Spoconą trzymał w kieszeni spodni.

Ramiro zmarszczył brwi zmieszany. Katia natomiast skinęła lekko głową i obrzuciła Erica spojrzeniem; uznała, że jest opryskliwy. Natychmiast zwróciła uwagę na małego, który wyłaniał się zza nóg ojca.

– Cześć... – pozdrowiła go z uśmiechem.

– Jestem Seb.

– Cześć, Seb. Ja jestem Katia. Miło cię poznać.

Psotny śmiech przeszył powietrze, nieco zmniejszając napięcie.

– Jesteś żołnierzem?

– Aha.

– Kobiety mogą być żołnierzami?

– Niektóre tak.

Seb otworzył usta, trochę z niedowierzania, a trochę z zachwyty, pokazując lukę po mleczaku, który mu dopiero co wypadł.

– Lubisz czekoladę?

Dzieciak energicznie pokiwał głową z góry na dół.

– Świetnie. Ja też. Przyniosłam ogromną tabliczkę, którą możemy się podzielić, jeśli się zgodzisz.

Suchy i szorstki głos, jak odchrząknięcie, przerwał podniecone krzyki Seba.

– Dziękuję. Ale już czas na spanie.

– Nie chcę iść do łóżka. Chcę czekoladę – zaprotestował mały.

– Dosyć tego, Seb. Bądź grzeczny.

– Nie martw się – wtrąciła się Katia. – Schowamy tabliczkę na jutro.

Ramiro nie potrafił zrozumieć zachowania Erica. Był niepotrzebnie niemiły i nie podał swojego prawdziwego imienia! O co mu chodzi? Może zrozumieć nieufność, wszyscy na początku są nieufni, ale nawet nie dał mu szansy na wyjaśnienie, kim jest Katia i dlaczego nie trzeba się jej bać.

Cóż, lepiej, że sobie poszedł; będąc w takim nastroju, zniszczyłby im przyjęcie. Bo w końcu w domu antykwariusza zrobiło się małe przyjęcie.

Katia przyniosła tyle jedzenia, że posiłek wyglądał jak w Boże Narodzenie. Z jej plecaka, wypełnionego niczym róg obfitości, zaczęły się wyłaniać puszki SPAM-u, czyli – jak wyjaśniła – amerykańskiej mielonki, bardzo dobrej, i puszki śledzi, wędzone kielbasy, makaron, zupy w proszku, razowy chleb, margaryna, kasza, suchary, kawa, herbata, cukier i sól. Poza tym butelka wódki i obiecana Sebowi czekolada, a był jeszcze tytoń, co Herr Krammer przyjął z umiarkowanym, ściśle pruskim entuzjazmem. I mały, tak bardzo potrzebny zestaw świec.

Jedzenie skruszyło łód pośród okrzyków zadowolenia i zdumienia, oczu jak spodki i śliny napływającej do ust. A tymczasem Katia uśmiechała się zadowolona, choć nieco zażenowana, i czerwieniły jej się policzki.

– Jedna koleżanka pracuje w kuchni... – Bardziej się usprawiedliwiała, niż wyjaśniała.

Z powściągliwością ludzi, którzy są przyzwyczajeni do głodu i niedostatku i wiedzą, że lepiej magazynować jedzenie jak mrówki, postanowili otworzyć tylko jedną puszkę SPAM-u, zjeść ją z cienkimi kromkami chleba i popić czarną mocną herbatą z cukrem. Reszta skończyła w spiżarni jako prawdziwy skarb.

Rozmowy się ożywiły; przyziemne, bez znaczenia, miłe, bo zwyczajne. I wieczór skończył się toastami wznoszonymi kieliszkami wódki, przy muzyce z gramofonu. Pan Krammer, ośmielony alkoholem, porwał do tańca wszystkie kobiety. Nawet Ramiro, który nie tańczył od ostatniego wieczorku studenckiego, świetnie się bawił i wypalił trochę machorki, mocnego czarnego tytoniu, co wywołało u niego atak kaszlu i łzawienia, które stały się powodem do żartów i śmiechów.

Było już późno, kiedy Frau Krammer zaprowadziła męża do łóżka, zanim na dobre zaczął śpiewać marsze wojskowe z czasów wielkiej wojny. Także Ilse poszła sobie, złożywszy długi pocałunek na czole Ramira, zapewne pod wpływem alkoholu. Chłopak, w oparach wódki, jak zahipnotyzowany śledził jej rozkołysane pośladki, kiedy się oddalała. Był hiszpańskim dżentelmenem, który poskramiał swoje najbardziej prymitywne instynkty, ale gdyby Ilse tej nocy była przychylna, kto wie...

– Już czas na mnie – oznajmiła Katia.

– Wypijmy ostatniego.

Ramiro napełnił dwa kieliszki, nie czekając na odpowiedź.

– Nie, już wypiałam za dużo – stwierdziła, ale wypiała ten kieliszek. Potem wzięła z popielniczki niedopałek, odchyliła się na krześle i się zaciągnęła. Nie lubiła tego tytoniu, ale od czasu do czasu palenie sprawiało jej przyjemność.

– To był fajny wieczór – zauważył Ramiro. – Bardzo dziękuję.

Katia uśmiechnęła się. Dla niej też był przyjemny. Jak przyjęcie w rodzinie, jak te zapomniane już Boże Narodzenia.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, pijani, oszołomieni, senni. Z oczami utkwionymi w kółka dymu, w migoczących płomykach świec.

– Peter Hanke.

Ramiro spojrział na Katię zmieszany.

– Tak się nazywa ten typ. Ten z Gestapo.

To było wszystko, czego Katia dowiedziała się na jego temat. W sumie była rozdarta między pragnieniem zażądania od niego wyjaśnień, zapytania, dlaczego zabił jej wujka, dlaczego wyrócił jej życie do góry nogami, a pragnieniem uwolnienia się od Hankego – tak by nigdy więcej niczego się o nim nie dowiedzieć, niech przeminie jak senny koszmar. Hanke nie został zabrany do obozu jenieckiego, Smiersz przeniósł go do więzienia w swojej kwaterze głównej w Buch, na północy miasta. Tam go przesłuchiwali, bo myśleli, że może być dowódcą Werwolfu, nazistowskiej partyzantki, która po kapitulacji walczyła w podziemiu. Gdyby się to potwierdziło, Hankego czekałby strzał w tył głowy o świcie albo wyjazd do łagru.

– Do diabła więc z Peterem Hankem. Już nie stanowi zagrożenia – stwierdził Ramiro.

– Tak, tak mi się wydaje. Pytanie tylko, czy są inni tacy jak on.

Chłopak nie wiedział, co powiedzieć, czuł, że ma głowę zbyt ciężką, żeby myśleć o czymkolwiek.

– Chodzi mi o to, co powinnam teraz zrobić.

– Mówisz o medalionie.

Zamilkła, wydawało się to oczywiste.

– Nie wiem. Nie wiem, prawdę mówiąc – odpowiedział trochę oszołomiony. – Powinniśmy się nim opiekować, chronić go. Jesteśmy spadkobiercami wielowiekowej tradycji. Magna Clavis. Każde z naszego rodu. Jest też Eric...

– Kim jest Eric?

Ramiro zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo. Nie mógł Katii wyjaśnić, kim jest Eric, skoro ten nawet się jej nie przedstawił swoim prawdziwym imieniem. Najpierw musiał z nim o tym porozmawiać, wyprostować tę zawilgość.

– Nie wiem, Katio. Jestem pijany – usprawiedliwił się kłamstwem. – Ale nie martw się. Porozmawiamy o tym. Znajdziemy rozwiązanie. Już nie jesteś sama.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Do kiedy zostaniesz w Berlinie?

– Nie jestem pewna, ale przypuszczam, że niedługo, że szybko mnie zwolnią. Wojna się skończyła.

– I wrócisz do Związku Radzieckiego?

Wzruszyła ramionami.

– A dokąd?

– Ale masz tam rodzinę?

– Są Kotiakowowie. Oni mnie przyjęli po śmierci wujka, chociaż nie są moją rodziną. Wtedy byłam dziewczynką. Teraz wydaje mi się dziwne wracać do nich jako córka, którą nie jestem.

– Na pewno jakiś szczęściarz planuje uczynić cię swoją żoną – zasugerował Ramiro.

Katia pomyślała o Olegu.

– Nie, nic z tego.

– Ja też nie mam rodziny...

– Ale chcesz, żeby Ilse została twoją żoną, co? – Trąciła go łokciem jak stary przyjaciel żartowniś.

Ramiro zaczerwienił się po uszy i tak już czerwone od alkoholu.

– Tak bardzo to widać?

– Wystarczająco.

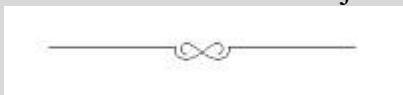
– Chciałbym wrócić do Hiszpanii. I zabrać ją ze sobą. – Rozmarzył się. – Ona też straciła całą rodzinę, a to miasto nie jest dobrym miejscem do życia. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy stąd wyjadę. Słyszałem, że duża grupa francuskich robotników z obozu we Frohnau planuje przejść przez Łabę, żeby wrócić do domu. Gdybyśmy mogli do nich dołączyć...

Chłopak utkwiał wzrok w Katii, która sposepniała.

– Mogłabyś pójść z nami – przyszło mu nagle do głowy. – Teraz jesteśmy jak rodzina, bractwo. A Hiszpania jest twoim krajem.

Katia uśmiechnęła się smutno. Ta szalona myśl wydawała się kusząca, ale była tylko tym: szaloną myślą, nierealną.

– To niemożliwe. Ja już nie jestem Hiszpanką, tylko Rosjanką.



Erica obudził zapach świeżo zaparzonej kawy i podsmażonego chleba. Głośno zaburczało mu w brzuchu. Kawa? Jak to możliwe? Czy to mu się śni?

Przeciągnął się i przetarł oczy, żeby się rozbudzić. Obok niego spał Seb. Mały pokój gościnnie Corneliusa zaadaptowali na swoją sypialnię. Orion, który zwykle spał na podłodze obok nich, już wstał i pewnie odbywał swój poranny spacer.

Ten zapach nie dawał mu spokoju. Skąd dochodził? Postanowił się tego dowiedzieć. Założył okulary, wstał ostrożnie z łóżka, tak żeby nie obudzić Seba, nalał odrobinę wody do miski i się umył. Świeże powietrze poranka, wpadające przez szpary w deskach, którymi zabite było okno, przyprawiło go o dreszcze. Tak bardzo tęsknił za ciepłą wodą, za prostym gestem odkręcenia kranu i wykąpania się pod prysznicem... Codziennosc stała się luksusem w tych czasach.

Był bardzo głodny. Musiał wstać od kolacji, już i tak zbyt skromnej, żeby wypełnić żołądek, przez tę radziecką żołnierkę. Przeklętego radzieckiego żołnierza, cokolwiek by mówić. Poza tym sprawiła, że zdenerwował się na Seba, którego potraktował z nieuzasadnioną oschłością. Był zdenerwowany i przestraszony i wyżył się na dziecku. Biedak poszedł do łóżka głodny i we łzach z powodu czekolady, a on miał z tego powodu okropne poczucie winy.

– Przepraszam, synu, przepraszam, że się zdenerwowałem – powiedział, przebijając Seba do snu. – Chcesz, żebym opowiedział ci bajkę? – zaproponował, by mu wynagrodzić tę krzywdę.

Seb kiwnął głową, że tak. Dobre dziecko.

– Ale żeby były smoki.

– Jasna sprawa. Nie ma dobrej bajki bez smoków.

Położył się więc obok niego na wytartych poduszkach i opowiadał mu wymyślaną na poczekaniu bajkę o smokach, aż Seb zasnął.

Z salonu do późnego wieczoru docierały odgłosy wesołych rozmów, śmiech, a nawet muzyka. Początkowo myślał, że pozostali oszaleli, ale później, zastanawiając się nad wszystkim, doszedł do wniosku, że problem nie jest w nich, tylko w nim. W sumie dla nich wojna się skończyła, cóż złego w tym, że się trochę zabawią? Rosjanie i Niemcy nie byli wrogami, tylko ludźmi zmęczonymi tym, że żyją w konflikcie. Jego sytuacja była jednak inna. Wojna się skończyła, tak, ale on teraz z wroga stał się przestępcą.

Nie może żyć tak dalej, pomyślał, nie może żyć w ciągłym strachu. Musi wyjechać z Berlina. Musi uciec.

W kuchni był tylko Ramiro, akurat rozpałił pod kuchnią węglową, w której w te dni palono dokładnie wszystkim, czym się dało.

– Dzień dobry – przywitał się nieśmiało.

– Dzień dobry. – Ton Ramira zwykle był radosny. Eric uważał go za dobrego człowieka.

– Kawy?

– Oczywiście... Skąd ją wzięłeś?

Ramiro się odwrócił. W fartuszku, wymachując szmatką, wyglądał jak zniesmaczona matka.

– Katia przyniosła. I herbatę, i cukier, i chleb, i margarynę, i kiełbasę, i wiele innych rzeczy, między innymi czekoladę, której nie pozwoliłeś zjeść Sebowi. Co ci się stało wieczorem?

– Ogoliłeś się.

– Tak, żyletką i mydłem, które też przyniosła Katia. I tobie przydałoby się golenie. Chyba że odmawiasz używania radzieckich żyletek. Na pewno Goebbels gdzieś kiedyś powiedział, że zostały wyprodukowane, żeby zabijać Niemców.

Eric przyjął ten przytyk bez słowa i usiadł na krześle, gładząc się po szorstkiej brodzie. Ramiro postawił na stole dwie filiżanki.

– Można wiedzieć, skąd się wziął ten Bruno Schmidt? – zapytał, nalewając aromatyczną kawę.

Zanim odpowiedział, Eric napił się kawy z taką łapczywością, że poparzył sobie język.

– Cholera...

Ramiro przyglądał mu się cierpliwie, czekając na wyjaśnienie. Eric dodał odrobinę cukru, zamieszał i podmuchał kawę.

– Ta kobieta – powiedział w końcu – poza tym, że jest szczodra, jest też rosyjskim żołnierzem. I to nie byle jakim żołnierzem. Oficerem! Każdy Niemiec w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat jest dla nich zagrożeniem i nie potrzebują wielu powodów, żeby go zatrzymać. Wolę nie spotykać ich na swojej drodze i na pewno nie chcę, żeby mnie rozpoznali. Ciągłe nie bardzo wiem, jakie mają zamiary.

– Taaa... Żebyś mógł się trochę uspokoić, pozwól, że ci wyjaśnię, kim ona jest i jakie są jej zamiary. Może dzięki temu nie będziesz musiał przed nią uciekać następnym razem.



JA W TO WCHODZĘ

Spotkałam się z Brigitte Durand w poczekalni Szpitala Amerykańskiego w Stambule. Była młoda, co stwierdziłam już po głosie w telefonie. Nie wiem, czy przekroczyła trzydziestkę, drobna, z gęstymi kręconymi kasztanowymi włosami, które odgarnęła znad czoła za pomocą gumki noszonej jak diadem. Z koloru jej cery można by sądzić, że spędza mnóstwo czasu pod gołym niebem. Miała po kilka kolczyków w każdym uchu i piercing w nosie. Widać też było tatuaż z motywami roślinnymi po wewnętrznej stronie ręki, odsłonięty przez podwinięte rękawy kolorowej etnicznej koszuli. Jej strój dopełniały musztardowe pumpiaste spodnie i wojskowe buty. Miała miłą, okrągłą twarz, wyglądała na sympatyczną. Nie była konkretnie typem kobiety, którą mogłabym sobie wyobrażać jako dziewczynę Martina, ale musiała nią być, skoro powiadomiono ją o wypadku. Kolejny z małych sekretów mojego kolegi...

– Jak on się ma? – zapytałam, nie potrafiąc ukryć niepokoju. Brigitte nie podała mi zbyt wielu szczegółów przez telefon i przez całą drogę nie mogłam się uspokoić, wyobrażając sobie najgorsze scenariusze.

Został potrącony. Tylko tyle mi powiedziała i od tej chwili ta niepokojąca myśl krążyła mi po głowie. Potrącono Martina. Niemal dokładnie w tej samej chwili, kiedy Alainowi i mnie w Petersburgu o mały włos nie przytrafiło się to samo. Przypadek czy mnie też chciano potrącić? Udałoby im się, gdyby nie było tam Alaina. Dostałam gęsiej skórki.

– Dobrze – odpowiedziała. – To znaczy lepiej. Leży mocno poturbowany, ale jest świadomy. Zabrali go na oddział intensywnej opieki medycznej, bo najbardziej nas niepokoiło, że może mieć pękniętą czaszkę, ale szybko stwierdzili, że to lekki wstrząs mózgu. Ponieważ dochodzi do siebie, przenieśli go na zwykły oddział, chociaż cały czas jest pod obserwacją. Poza tym ma skręcenie odcinka szyjnego kręgosłupa, zwichnięte lewe ramię i dwa złamane żebra. Miał szczęście, biorąc pod uwagę, że spadł z piętnastu metrów.

– Spadł? Wydawało mi się, że mówiłaś, że go potrącili.

– Niezupełnie. Zdaje się, że próbowali go przejechać, i rzucił się z mostu, uciekając przed samochodem. Wracał w środku nocy do hotelu po kolacji, szedł mostem Galata. Nie wiem, czy go znasz, przechodzi przez Złoty Róg i ma dwa poziomy: wyższy dla ruchu samochodowego i pieszego i niższy dla restauracji. No więc zobaczył, że jeden z samochodów, które jadą z przodu, zбочył na chodnik i zmierza prosto na niego. Ponieważ nie miał wyboru, przeskoczył przez barierkę, żeby uniknąć uderzenia. Powiedział, że się rzucił, wierząc, że markiza restauracji poniżej zamortyzuje upadek. Oczywiście gdyby tak się nie stało, zginąłby.

– O Boże... Mogę go zobaczyć?

– Tak... Chociaż... Nie powinno cię tu być. Będzie chciał mnie zabić za to, że cię tu sprowadziłam. Całe szczęście, że jest trochę oszołomiony lekami przeciwbólowymi. – Brigitte zmarszczyła piegowaty nos z łotrowskim uśmiechem; to mnie uspokoiło.

Martin spojrział w kierunku drzwi, kiedy usłyszał, że wchodzimy. Kołnierz unieruchamiał mu szyję, temblak podtrzymywał zwichnięte ramię, twarz miał posiniaczoną i podrapaną, a na czole biały opatrunek. Tak, wyobrażałam sobie gorszy widok, z rurami, kablami, krwią wokoło. Niemal poczułam ulgę.

– Ana... Co ty tu robisz?... Kurwa, Brigitte, czy nie kazałem ci jej powiedzieć, żeby nie przyjeżdżała? – Był wkurzony, ale słabość głosu i powolnie wypowiedane słowa na nikim nie robiły wrażenia.

– Powiedziała mi – rzuciłam, podchodząc do łóżka. – Ale się uparłam. Jak się masz?
– Dobrze. Musisz wyjechać ze Stambułu, Ano... Tu jest dla ciebie bardzo niebezpiecz-
nie... Zawieź ją na lotnisko, Brigitte... Wsadź ją do cholernego powrotnego samolotu. – Wzbu-
rzony próbował się podnieść, ale ból mu w tym przeszkodził. – Kurwa...

Ujęłam go za rękę leżącą na kołdrze.

– Ciiii... Spokojnie. Wszystko jest w porządku.

Jego oddech był dźwięczny i przerywany z powodu zmęczenia, bólu i niepokoju.

– Nie. – Ścisnął mi palce. – Nic nie jest w porządku, Ano... Słuchaj, wróć do Madrytu, do
domu... albo lepiej do czyjegoś domu, gdzie nie będziesz sama... I poczekaj, aż się z tobą skon-
taktuję... Nie rób nic beze mnie... Ja... nie zostanę tu długo.

Spojrzałam kątem oka na Brigitte, która kręciła głową, jakby uważała, że to niemożliwe.
Potem uśmiechnęłam się czule do Martina i położyłam drugą rękę na naszych dwóch splecionych
dłoniach.

– Mówiłam ci już wiele razy, że sama potrafię o siebie zadbać.

Popatrzył na mnie tak, jakby jego powieki ważyły tony.

– Ja też potrafię sam o siebie zadbać, a popatrz na mnie... Zrób to, co ci mówię... Proszę.

Pocałowałabym go w zdrowy policzek, ale z Brigitte w roli świadka nie wydawało mi się
to właściwe.

– Odpoczywaj. – Postanowiłam zakończyć tę rozmowę i swoje odwiedziny, bo i tak pod-
jęłam już decyzję, a nie chciałam, żeby Martin niepokoił się jeszcze bardziej. – I dobrze się pro-
wadź. Im szybciej wyzdrowiejesz, tym lepiej dla wszystkich.

– Musimy porozmawiać. – Zatrzymał mnie, nie puszczając ręki.

– Wiem. Ale nie teraz. Musisz być w pełni sił, żebyśmy mogła wyrzucić na ciebie cały swój
gniew.

Martin uśmiechnął się w końcu i powoli rozluźnił zaciśnięte palce.

– Dobra... Idź już.

– Wyjedziesz? – zapytała Brigitte, kiedy wyszliśmy z pokoju.

– Nie. Mam tu coś do zrobienia.

– Impreza Paola Bonattiego?

– Czy Martin mówił ci o tym? – zapytałam, nie mogąc ukryć zdziwienia.

Nie odpowiedziała.

– Może napijemy się kawy? – zaproponowała.

Okazało się, że Brigitte Durand nie jest dziewczyną Martina i że orientuje się w śledztwie
znacznie lepiej, niż mogłam się spodziewać. Gdy się przedstawiła, jej nazwisko nic mi nie
mówiło, ale kiedy mi powiedziała, że jej babcią była Carole Hirsch, najlepsza przyjaciółka Sarah
Bauer, wszystko zrozumiałam. Brigitte była jedną z nich.

– To sam Martin zadzwonił do mnie po wypadku. Kłócił się równocześnie z ratownikami,
którzy chcieli mu odebrać telefon, zanim wsadzili go do karetki. On wrzeszczał po angielsku,
a oni mówili do niego po turecku. Czasem trudno się dogadać.

Siedziałyśmy przy stoliku w szpitalnej kawiarni, głośniejszej w porze lunchu: wycie ekspresu
do kawy, brzęk talerzy, filiżanek i sztućców, samotni odwiedzający, lekarze i plotkujące pielę-
gniarki. Pachniało kawą i tostami i było gorąco, w szpitalach zawsze jest gorąco.

– Ja pracuję tutaj, w Stambule, w obozie Lekarzy bez Granic dla syryjskich uchodźców.
Martin myślał, że skoro jestem lekarką, zdołam przekonać innych lekarzy, żeby mógł wyjść
z plasterkiem i fiolką leków przeciwbólowych.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Brigitte uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo i popiła łyk kawy. Poszłam w jej ślady. Teraz, kiedy wiedziałam, że nie jest dziewczyną Martina, czułam się przy niej mniej skrępowana.

– W ostatnich dniach pomagałam przy śledztwie – ciągnęła. – I razem rozpracowaliśmy imprezę Bonattiego. Mam dobrego przyjaciela w niemieckiej ambasadzie i to on załatwił zaproszenia. Zdobyliśmy plany domu i przedyskutowaliśmy najlepszy sposób dotarcia do biblioteki, przy założeniu, że na imprezie będą ochroniarze. Wszystko było przygotowane. Ale wypadek Martina położył całą operację. Poza tym on nawet nie chce słyszeć, żeby cokolwiek robić bez niego.

– Ja w to wchodzę – przerwałam jej, deklarując, że już podjęłam decyzję. – Nie możemy stracić tej okazji wejścia do domu Bonattiego. Raczej innej już nie będzie. Zastanawiałam się nad tym, bo bez Martina nie za bardzo wiedziałam, jak to zrobić: nie mam ani zaproszenia, ani planów, nic nie mam. Ale teraz ty mi możesz pomóc...

Brigitte nie wydawała się jakoś szczególnie przekonana.

– To świetnie, że jesteś gotowa, ale pójdziesz tam sama? Ja mogłabym ci towarzyszyć, problem w tym, że zadaję się ze zbyt wieloma ludźmi z otoczenia Bonattiego tutaj w Stambule i obawiam się, że mogą mnie rozpoznać. Poza tym byłybyśmy dwiema kobietami, a na zaproszeniu figuruje facet, Johannes Schwarzwaller. Impreza jest pojutrze, nie sądzę, żeby udało nam się to zmienić.

Siedziałam przez chwilę w milczeniu, dumając nad dobrymi i złymi stronami pomysłu, który już formował mi się w głowie.

– Zdaje się, że mam rozwiązanie tego problemu.



MAJ 1945

Na początku 1941 roku ponad trzysta tysięcy dzieci z Berlina zostało ewakuowanych poza obszar narażony na bombardowania. Do końca wojny według najbardziej optymistycznych obliczeń około siedemdziesięciu pięciu tysięcy niemieckich dzieci straciło życie w wyniku nalo-tów. Pośród tych, które przeżyły, wiele zostało sierotami, było porzuconych, zagubiło się, a nawet zostało porwanych. Nigdy nie wróciły do swoich domów, nigdy nie zobaczyły rodziców ani żadnych krewnych i przyjaciół. Większość dzieci ucierpiała od ciężkich bombardowań i widziała powszechną śmierć oraz niebывałą przemoc; wiele z nich było świadkami gwałtów na ich matkach albo siostrach. W okresie tużpowojennym śmiertelność dzieci znacząco wzrosła w wyniku błędnie zdiagnozowanych i leczonych chorób, ran i kontuzji, epidemii i głodu.

Katia spojrzała na swoje fragmentaryczne odbicie w popękany lustrze. Z jednej strony. Z drugiej. Ledwie się rozpoznawała.

– Katia... Jesteś śliczna. – Ilse była tak samo jak Katia zdumiona tą przemianą: pod mundurem kryły się kobiece kształty, delikatne maniery.

Sukienka była zmięta i nieco zakurzona, ale bardzo ładna... Satyna w intensywnym błęki-cie zachowała blask i ślizgała się jak druga skóra po ciele – przypominała tunikę z klasycznych greckich posągów od ramion aż po stopy. W hafcie w mocno zaznaczonej talii brakowało tylko kilku kryształków, a wielki dekol w kształcie V odsłaniał całe plecy w sposób niemal obsceniczny, co Katia zauważyła z lekkim zawstydzeniem, odwróciwszy głowę, żeby go zobaczyć w lustrze. Wydawało jej się, że się czerwieni.

Spędziły całe popołudnie, bawiąc się na poddaszu, jakby ciągle były dziewczynkami – przymierzały sukienki, które Ilse znalazła w skrzyni. Te suknie wieczorowe bywały w operze, na eleganckich balach, były świadkami zalotów w świetle księżycy... Znały wszystko to, co im zostało odebrane.

Tamtego dnia Katia przyniosła kawałek pachnącego mydła, a ponieważ zażywanie kąpieli w napełnionej wannie ciągle było zabronione, znalazły miednicę i jedna drugiej umyła plecy pośród śmiechów i chlapania. Na poddaszu, gdzie światło wpadało strzępami przez osunięty dach, a w powietrzu unosiły się kłęby pyłu poganiane lekkimi podmuchami wiatru, stworzyły własny salon piękności z miednicą i wodą z mydłem, ze skrzynią z dawnymi sukniami, z resztką szminki, wysuszoną i smakującą zjełczalym tłuszczem, ale spełniającą swoje zadanie nadawania koloru ustom i policzkom.

– Spójrz na siebie, jesteś olśniewająca.

– Ty też – zapewniła Katia, patrząc na jasnowęsą przyjaciółkę, która ubrana w zwiewną różową sukienkę wydawała się aktorką niemego kina.

– Powinnyśmy wyprawić przyjęcie w salonie, żeby pokazać nasze suknie. Myślisz, że Ramirowi bym się spodobała?

– Ramirowi podobasz się zawsze. Szaleje za tobą!

Ilse uśmiechnęła się do siebie, skromnie, i kokieteryjnie wygładziła sukienkę.

– A ty? Masz narzeczonego?

Narzeczonego... Katia odniosła wrażenie, że to słowo już nie dla niej. Nigdy nie będzie miała narzeczonego. Już nie. Nie tak jak Ilse miała Ramira. Czuła się za stara na takie rzeczy, jakby przeżyła za wiele, miesiące jak lata, lata jak dekady. Mogła opowiedzieć Ilse o Miszy, cho-

ciaż wydawało jej się, że nawet on pochodzi z innego życia, od innej Katii.

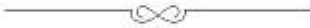
– Nie – odpowiedziała, nie przestając przeglądać się w lustrze. – Jest jeden mężczyzna... Żonaty.

– Kochasz go? – zapytała Ilse ze spontanicznością, która nieco zaskoczyła Katię.

Wzruszyła ramionami.

– Dobrze mnie traktuje. – Zastanowiwszy się chwilę, dodała: – Pośród tej całej śmierci, nędzy i nikczemności on mi przypomina, że ciągle jesteśmy ludźmi, że pod tym mundurem wciąż jestem dwudziestoletnią dziewczyną. Nie wiem, czy to jest miłość...

Ilse westchnęła i chciała jej powiedzieć, że też nie wie, czy to można nazwać miłością, a jednocześnie myślała, że to, co sama czuje do Ramira, jest silniejsze, niewytłumaczalne, bardziej upajające. Chrząknięcie za plecami sprawiło, że słowa zamarły jej w ustach.



Eric nie chciał mieć nic wspólnego z tą dziewczyną. Ze wstydu, ze strachu, może przez nieświadome odrzucenie tego, co reprezentowała: koniec jego świata. Wiedział jednak, że jest jej winien przeprosiny, nie dlatego, że ją obraził swoim opryskliwym zachowaniem, bo gdyby wszyscy mieli przeproszać za coś takiego... Tu znowu chodziło o to, co reprezentowała: pięcioramienną gwiazdę, z którą nie chciał mieć do czynienia, ale to był jego problem, a nie dziewczyny. No i Ramiro strasznie nalegał, żeby ją przeprosił.

– Katia jest na poddaszu z Ilse. Byłby to dobry moment, żebyś z nią porozmawiał – zasugerował, gdy tylko wsadził nos przez drzwi.

Przeklęty medalion... Nie miał nic wspólnego z tą mistyczną konfabulacją w sekciarskim duchu, bez żadnego powiązania z rzeczywistością. Gdyby ojciec nie wplątał się w te bzdury, z całą pewnością zachowywałby się jak normalny ojciec. Eric zdecydowanie wolał się trzymać z dala od tego wszystkiego.

– To nie jest coś, co wybierasz, Ericu. To twoje przeznaczenie – pouczył go Ramiro. – Jak sądzisz, dlaczego teraz jesteś tutaj? Jak sądzisz, dlaczego zebraliśmy się tutaj we troje, chociaż wcale tego nie chcieliśmy ani nie planowaliśmy?

Chłopak najwidoczniej spędził zbyt wiele czasu z Corneliusem i był tak samo jak on szurnięty. O tym myślał Eric, wchodząc po kręconych schodach na poddasze. W miarę jak się zbliżał, coraz wyraźniej słyszał śmiechy i kobiece głosy. Poczł się niczym intruz, nie na swoim miejscu. Nawet miał zamiar zrobić w tył zwrot, mimo że doszedł do przekonania, że Katia to jeszcze dziecko; przeprosi ją i raz na zawsze zakończy tę absurdalną historię.

Kiedy w końcu dotarł na szczyt domu, głosy zmieniły się w szepty. Zatrzymał się na progu. Smugi światła przechodzące przez zrujnowany dach i przecinające mrok nadawały scenarii wrażenie nierealności. Poddasze było panoramą nieporządku i ruiny, chmur pyłu, belek zawalonych do środka jak połamane maszty żaglowca widmo. I tam, pośrodku tego bałaganu, jak iluzja, stało popękane lustro odbijające złote światło i postać kobiety w wieczorowej sukni: wyniosłej, smukłej, błękitnej jak poranek, tak pięknej, że aż nierealnej dla oczu nawykłych do oglądania okropności.

Przez chwilę przyglądał jej się zaskoczony i oszołomiony, jakby ujrzł zjawę: w głowie pustka, oddech wstrzymany, spojrzenie utkwione w te nagie plecy o jędrnej skórze, które poniżej linii talii skrywały się pod satyną. Miał poczucie, że przeszedł przez bramę do innego wymiaru, dalekiego od nędzy tego świata. Był pod takim wrażeniem, że nie chciał wracać do rzeczywistości.

Ona poruszyła się lekko i zobaczył jej profil, co przypomniało mu, kim jest ta dziewczyna

i dlaczego tam wszedł. Odchrząknął.

Odwróciła się. Ilse też. We troje patrzyli na siebie, jakby czas się zatrzymał.

Katia rozpoznała ojca Seba i poczuła się zażenowana, zupełnie jakby zaskoczył ją nago, bo tak widziała siebie bez munduru. Zasłoniła ciało rękami i w myślach przeklęła to niespodziewane najście. On też chyba stracił pewność siebie, pomyślała.

– Eric... – odezwała się Ilse; od niedawna w powolnym procesie pojednania zwracała się do niego po imieniu. – Cześć...

– Cześć... Ja... Wybaczcie... Chciałbym porozmawiać z... – Katią? Zbyt zażyłe. Z panią Wojkową? Dziwnie jak na żołnierza. Z panią porucznik? Bardzo dziwnie jak na kobietę w satynowej sukni...

– Z Katią? – wyratowała go z zakłopotania Ilse.

– Tak. Ale może kiedy indziej, widzę, że teraz nie...

– Nie, nie, w porządku, prawda, Katio? – Dziewczyna tylko skinęła głową dla potwierdzenia. – Prawdę mówiąc, zrobiło się dość późno. Powinam była już jakiś czas temu zejść, żeby pomóc pani Krammer przy kolacji – zapewniła Ilse, zbierając swoje stare ubrania. – Zagadałyśmy się... Zostaniesz na kolacji?

Katia się zawahała.

– Nie, nie sądzę.

– Dobrze, jeszcze spróbuję cię przekonać. Do zobaczenia – pożegnała się, przechodząc obok Erica w kierunku schodów.

Kroki Ilse na stopniach rozbrzmiewały w nieprzyjemnej ciszy, która zaległa między Erikiem a Katią wraz z jej odejściem.

– A więc jednak Eric – odezwała się dziewczyna, uśmiechając się, co trochę rozluźniło atmosferę.

Skinął głową i Katii wydało się, że się zaczerwienił, co wzbudziło w niej czułość. Nigdy nie widziała, żeby mężczyzna się zaczerwienił z innego powodu niż wściekłość, gniew albo żądza.

Zrobił krok w jej stronę.

– Althann. Eric Althann.

– Tak, wiem. Ramiro mi powiedział.

– Oczywiście... W takim razie może sobie pani wyobrazić, po co tu jestem. Przepraszam za swoje grubiańskie zachowanie tamtej nocy. W obecnych okolicznościach trudno reagować chłodno. A ja... Nie wiedziałem, kim pani jest, i muszę przyznać, że się przestraszyłem.

Katia była zaskoczona, kiedy Eric naturalnie przeszedł z niemieckiego na rosyjski i mówił w nim płynnie, niemal bez akcentu. Ulżyło jej; wcale nie czuła się komfortowo, rozmawiając po niemiecku.

– Bardzo dobrze mówi pan po rosyjsku.

– Mieszkałem przez kilka lat w Leningradzie, a później w Moskwie. Na krótko przed wojną. Nie tak dawno temu, a jednak teraz... wydaje się, że minęła wieczność.

Nagle poczuł się stary, po upływie zaledwie czterech lat, jakby po tym wszystkim, co się wydarzyło, młody Eric mieszkający w Związku Radzieckim był inną osobą, której historię pamiętał w taki sposób, jakby o niej wyczytał w książkach.

Zauważył, że dziewczyna mu się przygląda, jakby czekała na jakieś wyjaśnienie. Spłoszyło go to. Czy nie było błędem odezwanie się po rosyjsku? Czy ona przypadkiem nie zaczęła mu zadawać pytań, na które nie będzie mógł odpowiedzieć?

– Cóż... Ja... Tylko chciałem przeprosić. – Wrócił do pierwszego wątku rozmowy.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Miała śliczny, jasny uśmiech; a może taki tylko się wyda-

wał Ericowi, bo w tych ponurych czasach tęsknił za czymś ślicznym i jasnym.

– Przeprosiny przyjęte, Herr Althann.

Eric nie wiedział, co mógłby dodać. Nigdy nie radził sobie zbyt dobrze ze słowami, ale w tej sytuacji był jeszcze bardziej niezręczny niż zwykle. Może nadeszła chwila, żeby uznać rozmowę za zakończoną i pójść stamtąd. Dlaczego tego nie robił? Żeby znowu nie wyjść na gbura? Dlatego że ona uśmiechała się słodko i ze spokojem, a on nie mógł przestać na nią patrzeć?

Katia podeszła do stosu ubrań, gdzie zostawiła swoje rzeczy. Najpierw narzuciła bluzę wojskową na ramiona, potem zajrzała do plecaka. Eric obserwował ją uważnie, zastanawiając się, czy jej ruchy wskazują, że ma zostać, czy przeciwnie, że powinien sobie pójść i zostawić ją w spokoju. Zanim zdołał podjąć decyzję, Katia podała mu książkę. Na ten gest nie był przygotowany, więc przyjął ją z wahaniem. Jaskrawoczerwona okładka miała złote litery, a w środku odkrył ładne ilustracje. Natychmiast rozpoznał egzemplarz *Z Ziemi na Księżyc* z biblioteki ojca, zniszczony bardziej niż pamiętał, jakby została przeczytana bardzo wiele razy: strony pognicione, rogi powycierane.

– Zawsze mam ją przy sobie. Podarował mi ją pański ojciec, kiedy jako dziecko byłam tu u niego z wujkiem – wyjaśniła dziewczyna. – Ale wydaje mi się, że należy do pana.

Eric spojrział na pierwszą stronę i rozpoznał własne pismo uważnego nastolatka: „Ta książka należy do Erica Althanna”. Przypomniał sobie wtedy, że czytał ją w kącie salonu Corneliusa, siedząc na podłodze przy oknie, w tych rzadkich chwilach, kiedy przyjeżdżał go odwiedzić; lektura zamykała tamtego chłopca w jego własnym świecie i uwalniała od obowiązku rozmawiania. Ta książka rozbudziła jego fascynację podróżami kosmicznymi. Prawdopodobnie dzięki niej zajmował się tym, czym się zajmował. Eric jednak urósł, a książka została w domu, do którego już niemal nie wracał.

– Tak, była moja – przyznał, przyglądając się rysunkom wykonanym ołówkiem, nieco wypłowiałym, które zapełniały każdą pustą stronę, każdy margines, każdą przestrzeń między akapitami. Gwiazdy, konstelacje, planety, mgławice... Te obrazki nie wyszły spod jego ręki. – Ale wydaje mi się, że teraz bardziej należy do pani.

Eric oddał książkę Katii, czuł, że dla niej jest małym skarbem; wzięła ją bez krygowania się.

– Widzę, że lubi pani gwiazdy. Przynajmniej je rysować... – Chciał przeciągnąć tę rozmowę.

– Tak... Cóż, te obrazki to żadne dzieła sztuki. Lepiej mi wychodzi oglądanie nieba niż jego rysowanie. Przed wojną uciekałam zawsze, kiedy tylko mogłam, do planetarium w Moskwie, żeby posłuchać wykładów, oglądać projekcje nieba na wielkiej kopule albo przedstawienia Teatru Gwiazd. Czasem chodziłam też do obserwatorium astronomicznego w parku Gorkiego, ale trudno zobaczyć stamtąd cokolwiek, bo jest za dużo światła z miasta, a poza tym moskiewskie niebo zwykle zasnuwają chmury. Żeby zobaczyć gwiazdy, najlepiej było położyć się w bezchmurne letnie noce na łące na dacy, gdzie mieszkałam. Tam niebo było naprawdę czarne. Przez lornetkę inżyniera Kotiakowa oglądałam pierścienie Saturna. Patrzyłam na gwiazdy także na froncie, na otwartym polu... Tam noce są ciemne, wszystko wokół jest ciemne, i łatwo sobie wyobrazić, że się leci pośród gwiazd, daleko, bardzo daleko od wysadzonej w powietrze ziemi... Przepraszam, nudzę pana.

– Nie, nie – szczerze odpowiedział Eric. Zauroczony słuchał, jak opowiada z entuzjazmem podszytym nostalgią, z rozmarzonym spojrzeniem oczu niczym zielone galaktyki, patrzył na ruch jej ust pomalowanych karminem.

– Czy odwiedził pan planetarium albo obserwatorium, kiedy był pan w Moskwie, Herr Althann?

– I jedno, i drugie. Ja też jestem miłośnikiem astronomii. I też marzyłem o lataniu pośród gwiazd – spojrział na książkę Verne’a – więc postanowiłem zostać pilotem.

Gdy był nastolatkiem, uznał, że bliżej przestrzeni kosmicznej, niż latając samolotem, nie można się znaleźć. Nawet marzył o zostaniu pilotem oblatywaczem, a nie tylko projektantem, o tym, że sam będzie testował samoloty, a w przyszłości rakiety. Teraz, kiedy patrzył z perspektywy czasu, wydawało mu się absurdalne, że w ogóle coś takiego kiedykolwiek przyszło mu do głowy. Nie był człowiekiem czynu, był człowiekiem nauki.

– Jest pan pilotem? – zapytała zdumiona.

Cholera, w którym momencie wpadło mu do głowy, żeby zwierzać się tej dziewczynie w mundurze obwieszonym odznaczeniami?

– Nie – przyznał ze zwieszoną głową i nieco urażoną męską dumą. – Odrzucili mnie. Jestem krótkowidzem. Niezręcznie to przyznać akurat przed panią, ale nigdy nie byłem na wojnie. Za to kiedy miałem siedem lat, zrobiłem teleskop z kartonowej tuby i dwóch lup. – Zaśmiał się sam z siebie.

– Ja też tego próbowałam! – Zawtórowała mu śmiechem na to wspomnienie. – I rozcięłam sobie rękę, kiedy chciałam wyciągnąć jedno ze szkielec z oprawki. Może i celnie strzelam, ale jestem straszną niezdara.

– Proszę zostać na kolacji – zaproponował Eric pod wpływem impulsu. – Właśnie wczoraj, cóż to za zbieg okoliczności, znalazłem stary atlas astronomiczny mojego ojca. Chciałaby go pani zobaczyć?

– Z wielką przyjemnością, bardzo dziękuję. Ale raczej nie będę mogła zostać. O ósmej zaczynam służbę.

– W takim razie nie mamy czasu do stracenia. Już schodzę, żeby nakryć do stołu i pogonić kucharki.



Natura za nic ma ludzkie sprawy, podąża swoim kursem wbrew nim. W ten sposób wiosna na dobre dotarła do Berlina. Deszcze przemywały powietrze ciężkie od pyłu, dymu i sadzy. Wiatr zabierał ze sobą zaduch prochu i śmierci. Słońce przedzierało się przez stęchłe powietrze i pieściło ruiny. Na gałęziach połamanych drzew pojawiały się pierwsze pąki, delikatne zielone maźnięcia pędzlem na bladym płótnie. Jako symbol odrodzenia ta wiosna przynosiła przesłanie nadziei: ciemne dni już za nami, można zaczynać od nowa.

Życie uśpione w piwnicach wyszło na ulice, tak samo jak margerytki zakwitają na łące po burzy. Na Karl-Friedrich-Platz grupki dzieci bawiły się pośród ruin. Seb szybko do nich dołączył. Spędzali czas na wykopywaniu żelastwa: pękatek hełmów, łusek pocisków, porzuconej broni... Układali je starannie jak pracowite mróweczki. Od czasu do czasu bawili się nimi w prawdziwą wojnę dorosłych. Ich wrzaski też były oznaką życia, kolejnym przejawem wiosny.

Tamtego dnia Seb znalazł jakiś okrągły metalowy element. Zaniósł go Matthiasowi, starszemu chłopakowi, który był dobry w budowaniu różnych rzeczy, i obaj próbowali go przymocować do deski.

– Co robicie?

Mężczyzna, który od pewnego czasu przyglądał im się, podszedł do nich, paląc papierosa. Na zadane pytanie dzieciaki uniosły znad swojej roboty umorusane twarze.

– Jeszcze nie wiemy – odpowiedział Matthias. – Może wyjdzie hulajnoga, a może wózek. Nie wiem, co z tego będzie.

Mężczyzna kiwnął głową. Zgasił papierosa o podeszwę znoszonego buta i schował niedo-

pałek do kieszeni.

– Nie ma pan więcej takich jak ten? – spytał Matthias, przyjrzawszy się uważnie tej operacji.

Facet zmarszczył czoło.

– Ile masz lat, dzieciaku?

– Piętnaście.

Mężczyzna obrzucił go spojrzeniem: grzywka w szarym kolorze upięta zardzewiałą wsuwką, jędrna, zaróżowiona cera, kończyny jak druty... Uznał go raczej za dwunastolatka. Mimo to wyciągnął paczkę papierosów i podał mu jednego.

– Jak masz na imię?

– Matthias, proszę pana.

– Proszę, Mat. Nie spal całego za jednym razem. Tytoń nie jest dobry dla dzieci. A rosyjski jest niedobry nawet dla dorosłych.

Chłopak przyjął papierosa z szerokim uśmiechem wdzięczności.

Mężczyzna odwrócił się do piegowatego pędraka z ręką w gipsie, który przyglądał się tej scenie szeroko otwartymi oczami.

– A ty?

– Ja nie palę, proszę pana.

– Pytam, jak masz na imię.

– Sebastian.

Mężczyzna przykucnął.

– Co ci się stało w rękę?

Seb nie odpowiedział od razu. Jego uwagę przykuła twarz mężczyzny, przede wszystkim blizny na policzku. Seb stwierdził, że nie podoba mu się ta twarz.

– Nie pamiętam. Mówią, że to była bomba.

– Taaa... Mieszkasz w pobliżu?

– Tam.

Chłopak wskazał domek po drugiej stronie placu.

– Ach, znam ten domek. Tam mieszkał antykwariusz. Jesteś z rodziny?

– To dom mojego dziadka. Chociaż on tam teraz nie mieszka. Tata mówi, że na pewno umarł. Tak jak moja mama. Ostatnio dużo ludzi umiera.

– A twój tata... przypadkiem nie jest żołnierzem?

Seb nieufnie zmarszczył czoło, więc mężczyzna dodał:

– Pytam, bo ja byłem żołnierzem i szukam swoich towarzyszy.

– Nie, proszę pana. Nie ma munduru. Jest naukowcem.

– No proszę. A ja nie mam przyjaciół naukowców. Będę musiał poszukać swoich towarzyszy gdzie indziej – stwierdził, podnosząc się z ciężkim westchnieniem. Jeszcze chwilę postać, przyglądając się ich projektowi, jakby go interesował. – Potrzebujecie jeszcze co najmniej dwóch takich samych kółek, żeby zrobić hulajnogę.



COŚ MUSIAŁO PÓJŚĆ ŹLE

Co ja o tym sędzę? Powiem ci, co ja o tym sędzę, słonko. Że uwielbiam, jak ci odbija i proponujesz mi te szalone plany. Impreza w Stambule? Pałacyk nad Bosforem? Jak džentelmen z powieści Agathy Christie? Już pędzę na lotnisko!

Nie wiem, jak mogłam się zastanawiać, czy Teo przypadkiem nie odrzuci mojej niewczesnej propozycji. Jakbym go nie znała. Sędzę, że w sumie to wąpiłam w swój własny pomysł, w to zamieszanie, w które właśnie miałam się wplątać. Kazać Teo udawać Johanna Schwartwallera to było zupełnie bez sensu. Ale nie miałyśmy innego wyjścia. Należało tylko się modlić, żeby nie przyszło mu do głowy rozmawiać po niemiecku, bo jedynym słowem w tym języku, które znał mój kochany przyjaciel, było volkswagen.

– Złapią nas – zwierzyłam się Brigitte ze swoich strachów podczas napadu paniki na pół godziny przed imprezą.

– Nie martw się, wiesz przecież, że na tych spotkaniach mówi się wyłącznie po angielsku. Spokojnie. Nie musicie z nikim rozmawiać.

– Z nikim nie rozmawiać? Nie znasz Teo...

Teo był duszą towarzystwa. Gotową zagadywać nawet kolumny. A ja musiałam sprawić, że będzie siedział cicho i nie rzucał się w oczy. Boże... Prawdę mówiąc, już samo oglądanie go w smokingu to był teatr. Nie wiem, czy o tym wspominałam, ale Teo jest zabójczo przystojny. Jak Hugh Jackman w wersji gejowskiej. Wchodzi do pomieszczenia i wszystkie kobiety zaraz zaczynają się w niego wpatrywać, jak w wieśniackiej reklamie perfum. Potem się orientują, że nie ma co go uwodzić, ale to bez znaczenia, bo podoba im się, że zostaje jedną z nich: zabawną, wesołkową, łobuzerską. A więc musiałam stawić czoło właśnie temu, gejowskiej wersji Hugh Jackmana.

Uciekając się do całej swojej dobrej woli, i niczego więcej, Teo spróbował mnie uspokoić:

– Spokojnie, będę mówił po angielsku z niemieckim akcentem.

– Nie, lepiej nie.

Ja spędziłam całe popołudnie z Brigitte na zakupach. Jej przyjaciółką była Dilek Hanif, turecka projektantka haute couture, która przyjęła nas w swoim atelier w centrum Stambułu i ofiarowała mi jedną ze swych sukienek prêt-à-porter z poprzedniego sezonu: zwiewne warstwy jedwabiu w kolorze szafranowym zebrane w dekolcie wyszywanym nicią w kolorze starego złota i kryształami Swarovskiego.

– Poczekaj, zrobię ci zdjęcie, piękna, żebyś je wysłała WhatsAppem temu tam *Martinowi-lohse*, niech zobaczy, co go ominęło, bo tej nocy jesteś moja.

– Chyba ci się pomyliło, kochany. To raczej ty jesteś mój.

– Jasne. Jestem męskim przedmiotem pożądania, uwielbiam to!

Pod sukienką miałam pistolet. Po raz pierwszy w życiu.

– Z całą pewnością nie będziesz musiała go używać – uspokoiła mnie Brigitte. – Ale lepiej, żebyś go miała na wszelki wypadek. Jeszcze nie wiemy, w co gra młody Bonatti. Potrafisz się nim posługiwać?

– Nie. Ale nie wydaje mi się, żeby to było bardzo trudne.

– Strzelać nie jest trudno, co innego trafiać.

– To prawda, wolałabym trafiać.

Wyjaśniła mi, jak trzymać pistolet, jak kontrolować palec na spuście i jak wystrzelić;

wyciągnąć z kabury, odciągnąć kurek i paf. Postanowiłyśmy, że zamocuję go na udzie taśmą klejącą, na wypadek gdyby przy wejściu sprawdzano torebki.

W końcu oboje wyszykowani i boscy wyszliśmy z hotelu. Wieczór był ciepły i delikatny wietrzyk niósł zapach soli od Bosforu oraz jaśminu nocnego kwitnącego w ogrodach przy porcie. Z daleka było słychać wezwanie na modlitwę, na zmierzchającym niebie odcinała się sylwetka Hagii Sophii. U jej stóp lśniły światła miasta, ich odbicia mieniły się w wodach cieśniny. W tej egzotycznej atmosferze wsiedliśmy do motorówki, żeby dotrzeć na nasze przyjęcie drogą wodną, jak wymagają lokalne kanony luksusu.

Pałacyk Bonattiego, wcześniej Sebottendorfa, należał do posiadłości znanych pod nazwą yalı, wyszukanych drewnianych budynków, stawianych w XIX wieku nad brzegiem Bosforu. Yalı są uważane za najbardziej ekskluzywne rezydencje na świecie, jest ich dziewięćdziesiąt dziewięć, policzonych, i warte są miliony dolarów, zależnie od ich wielkości i przepychu. Ta, w której odbywało się nasze przyjęcie, była przestronna, biała z czarnym dachem, zwieńczona czterema wieżami przypominającymi minarety. Światło Morza Śródziemnego wlewało się do niej przez mnóstwo okien i tarasów. Przepiękna budowla, której piękno lśniło w ciepłą turecką noc dzięki iluminacji fasady i ogrodu.

Tym przyjęciem Paolo chciał uczcić przekazanie Muzeum Archeologicznemu w Stambule ważnej kolekcji mezopotamskich artefaktów, które miały zostać umieszczone w specjalnej sali noszącej nazwisko jego ojca. Zjawilo się mnóstwo osobistości ze świata polityki i kultury oraz tureckich wyższych sfer. Teo i ja staraliśmy się przemknąć przez ten tłum niezauważeni. Na szczęście dostaliśmy się do środka bez kłopotów, wystarczyło przedłożyć zaproszenie, i stwierdziliśmy z ulgą, że wszędzie wokoło słychać tylko angielski i turecki.

Z kieliszkiem szampana w rękę natychmiast zajęliśmy dyskretne pozycje z dobrym widokiem na tace z aperitifami, na wyraźną prośbę Teo. Wielki salon, o ścianach i suficie zdobionych kasetonami w stylu orientalnym, już był pełen ludzi, rozmów i śmiechów. Na przyjęciu dominowały biel i złoto, obecne w kwiatkach, świecach, tkaninach, balonikach i wyszukanych papierowych ozdobach. Orkiestra tworzyła nastrój, grając instrumentalne wersje przebojów muzyki popularnej od lat pięćdziesiątych do czasów obecnych, kilka par tańczyło.

Przez chwilę żałowałam, że nie mogę skorzystać z ramienia Martina: szeptać sobie do ucha, ocierać się o siebie, uwodzić... całować się w ogrodzie i skończyć noc w pokoju hotelowym. Jeszcze mu nie wybaczyłam, ale miałam ochotę to zrobić.

Potem, nie wiem dlaczego, pomyślałam o Alainie. Nie będę kłamać: w pierwszym odruchu to jego chciałam poprosić o pomoc w sprawie przyjęcia, chociaż natychmiast zrozumiałam, że to niedorzeczne: my już nie stanowiliśmy jednej drużyny. Nie żebym lubiła piłkę nożną, ale to byłoby tak, jakby Real Madryt poprosił Leo Messiego o zastąpienie jednego z kontuzjowanych zawodników w meczu przeciwko Barcelonie. Niemożliwe.

Szkoda. Alain dobrze by się nadawał do tej misji. Wyobraziłam go sobie w smokingu z muszką – jego, zawsze noszącego się tak nieformalnie; nie sposób się oprzeć tej jego niedbałości... Porozmawialibyśmy o tych wspaniałych mezopotamskich wyrobach i pośmiali się ze sztywności personelu. Wyciągnąłby dla mnie różę z któregoś wazonu, jakby kradł klejnot, i na koniec wieczoru poprosiłby orkiestrę, żeby zagrała piosenkę Keane, i zatańczylibyśmy przytuleni, jakby wokoło nie było nikogo. Tak, to by zrobił Alain, zanim wzięliśmy ślub...

Dosyć. Musiałam przestać myśleć o bzdurach. Nie byłam tam po to, żeby marzyć. Powinnam się skupić.

I skupiając się, zauważyłam, że robię się nerwowa. Pociły mi się dłonie. Bardzo kiepsko, gdybym musiała użyć pistoletu. Oby do tego nie doszło. Nie nadaję się do takich intryg. A jeśli mnie przyłapią? Nie miałam odpowiedzi na to pytanie. Może lepiej. Nie było takiej opcji. Nie.

Musiałam się skupić. Wszystko musi się udać. To nie jest takie trudne.

Podczas gdy Teo wciągał kanapkę za kanapką, w myślach przeglądałam plan domu, który wcześniej przestudiowałam z Brigitte, i przenosiłam go do rzeczywistości. Szybko zlokalizowałam drzwi, przez które wchodziło się na schody prowadzące na piętro biblioteki, znajdującej się mniej więcej nad naszymi głowami. Na oko nie było wielu ochroniarzy, poza tymi przy drzwiach wejściowych. Nie należało jednak popadać w zachwyty, bo mogli być dobrze zamaskowani.

– Pójdę do toalety i wykorzystam sytuację, żeby się rozejrzeć. Ty dalej jedz i nie ruszaj się z miejsca.

Teo nie wiedział, że mam pistolet, dlatego nie powiedziałam mu, że tak naprawdę idę po to, żeby wyjąć go spod sukienki i przełożyć do torebki. Po zrealizowaniu tej operacji i potwierdziwszy, że przy wejściu na schody nie ma ochroniarzy i że ta sama trasa prowadzi do toalet, wróciłam do Teo. Jakże się zdziwiłam, kiedy zastałam go w radosnej rozmowie z kobietami, które zaśmiewały się na cały głos z czegoś, co opowiadał mój błyskotliwy przyjaciel. Nie mogłam w to uwierzyć. Spróbowałam go wyciągnąć z tego kręgu, ale on zignorował wszystkie moje próby przerwania mu serii anegdot na temat, uwaga, wyścigów chartów! Nie sądzę, żeby kiedykolwiek widział takie wyścigi.

Wtedy sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót: Paolo Bonatti, robiąc rundę gospodarza wśród gości, podszedł do naszej grupki.

Syn Giancarla Bonattiego, atrakcyjny czterdziestokilkulatek, miał nieco afektowane manieri, co mogło nasuwać myśl, że jest gejem, chociaż był ożeniony z jakąś modelką, Szwedką, o dziesięć centymetrów od niego wyższą. Z zadbanym trzydniowym zarostem i smagłą twarzą przypominał mi Giannię Versacego. Jako jedyny mężczyzna na przyjęciu miał na sobie smoking z białą marynarką, wybrał do niej czerwony pas i muchę. Prawdziwy dandys. Przywitał towarzyszące nam panie pocałunkiem w rękę, na staromodny sposób, i do każdej zwrócił się po imieniu. Kiedy nadeszła moja kolej, zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu, po czym uśmiechnął się aż nazbyt słodko.

– Obawiam się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Paolo Bonatti.

– Bardzo mi miło, panie Bonatti. Johanna Schwarzwaller. – Zaimprovizowałam zmianę tożsamości, oszczędzając Teo kłopotu udawania niemieckiego dyplomaty. Właśnie dołączyłam do sekcji kulturalnej.

Wziął mnie za rękę i otarł o nią usta.

– Bardzo mi miło, Johanno. I proszę, mów mi Paolo, jesteśmy wśród przyjaciół. Cieszę się, że mogłaś przyjść tu dziś wieczorem i że mamy okazję się poznać. Od jakiegoś czasu chciałem się skontaktować z kimś takim jak ty, by zaproponować swoje pośrednictwo we współpracy kulturalnej między rządami Turcji i Niemiec. Mam szereg propozycji, które, jak sądzę, mogą być interesujące. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zadzwonię do ciebie i porozmawiamy spokojnie, możemy się na przykład wybrać razem na obiad... Mówisz, że kiedy przyjechałaś do ambasady?

Sposób, w jaki na mnie patrzył, ton głosu, jego gadka i to ostatnie pytanie... Byłam pewna, że Bonatti coś podejrzewa i wystawia mnie na próbę. W tym momencie wyciągnięta ręka Teo znalazła się między mną a Bonattim.

– Paolo, jestem Adolf, mąż Johanny... – przedstawił się

I po tym krótkim wstępie wdał się z Bonattim w rozmowę o fotografii – na szczęście w tej dziedzinie Teo jest zawodowcem. Zaczął mu opowiadać o nieistniejącym projekcie książki na temat yali, zapewniając, że byłoby wielkim honorem móc sfotografować jego pałacyk, taki wspinały, i dołożyć go do kolekcji. Myślałam, że go zabije.

Dzięki Bogu, kiedy już byłam na skraju ataku serca, jakaś kobieta podeszła do Bonattiego, żeby mu zakomunikować, że jego obecność jest niezbędna gdzie indziej, więc Włoch prze-

prosił i zostawił naszą grupkę. Wykorzystałam tę sytuację, żeby też się oddalić z Teo.

– Nie mówiłam ci, żebyś był dyskretny? Jak ty sobie wyobrażasz dyskrecję? – syknęłam wzburzona, ciągnąc go za rękę do toalety.

– Przyznaj, że uratowałam ci dupę.

– Adolf?

– Czego chcesz, ślicznotko? Musiałem coś wymyślić, kiedy zabrałaś mi Johannes! Johannes i Johanna brzmiałyby zajebiście. I nie mów mi, że pierwsze niemieckie imię, które przychodzi ci do głowy, to nie jest Adolf.

– Dobra, wystarczy. Mamy ważne sprawy do zrobienia i nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdziemy.

– Wielka szkoda, bo to bardzo porządna impreza. I nie spróbowałem jeszcze wszystkich kanapek. Nie chcesz sobie potaćzyć, zanim wyjdziemy, co?

Sporunowałam go wzrokiem i popchnęłam do kąta.

– Musimy się dostać na górę – przypomniałam mu. – Poczekamy przy schodach, dopóki nikogo tam nie będzie. A jak już znajdziemy się na górze i tam też nikogo nie będzie, ty popilnujesz, a ja pójdę do biblioteki.

– Zgoda. Zrozumiałem. To łatwe.

Korzyść, że schody znajdują się blisko toalet, oznaczała też pewną niedogodność, bo kręciło się tam mnóstwo ludzi, musieliśmy więc dość długo czekać, zanim trafiła się okazja, żeby niepostrzeżenie przemknąć się na górę.

W korytarzu na piętrze znajdowało się kilkoro drzwi. Według planu trzecie po prawej prowadziły do biblioteki. Panował półmrok, światło wpadało tylko przez okna. Wydawało się, że jest pusto i spokojnie. Z dołu docierała przytłumiona muzyka i zgiełk przyjęcia.

– Mam nadzieję, że drzwi nie są zamknięte na klucz, bo tylko byśmy stracili czas – pomyślałam na głos, z głębokim westchnięciem, żeby spróbować się rozluźnić. Bezskutecznie.

– Wiesz, że jak ktoś będzie tu szedł, masz mnie zawiadomić.

– Jak? Zagwizdać? Zahukać?

– Nie, nie gwizdź ani nie pohukuj. Nie wiem, przyjdź i mi powiedz, żebym przynajmniej mogła się ukryć. Kurwa, Teo, chodzi o to, żeby nikt mnie nie zaskoczył.

– O to chodzi, rozumiem, ale jeśli ktoś przyjdzie? Co za partactwo. W filmach plan jest zawsze dobrze przygotowany, bez pęknięć.

– No, ale to nie jest film. Nie denerwuj mnie jeszcze bardziej, co? Dobra, idę. – Znowu westchnęłam. – Życz mi szczęścia.

– Szczęścia, moja mała złodziejko. Naprzód!

Zapaliłam latarkę telefonu, żeby oświetlić drogę do trzecich drzwi po prawej. Gdy się przy nich znalazłam, nacisnęłam klamkę, która natychmiast ustąpiła. Z lekkim uczuciem triumfu weszłam do pomieszczenia i zamknęłam za sobą drzwi. Omiotłam wewnątrz latarką. Nie było przesadnie duże, miało jakieś pięćdziesiąt metrów kwadratowych, ale dość wysokie: regały, które ciągnęły się od podłogi do sufitu na trzech z czterech ścian, dzieliły się na dwa piętra i były całkowicie zastawione książkami. Pod oknem stało biurko, a przy balkonie stolik do kawy z dwoma fotelami. Była to typowa biblioteka w stylu wielkich posiadłości, dużo skóry i ciemnego drewna, kominek i barek, z tych, w których chętnie spędziłoby się całe życie na czytaniu.

Według wskazań, które zostawił von Sebottendorf w swojej powieści, i oby nie były fikcją, w przeciwnym razie zabiję Martina, skrytka znajdowała się na północnej ścianie – musiałam użyć kompasu, żeby ustalić, która ściana jest północna – na dolnym piętrze, trzecia półka, za pierwszym tomem *Kosmosu* Alexandra von Humboldta.

Przesunęłam wzrokiem po wszystkich książkach zgromadzonych na trzeciej półce dol-

nego piętra północnej ściany. I kiedy zaczęłam już popadać w rozpacz, znalazłam go: *Kosmos*, Alexander von Humboldt. Dokładnie tam, gdzie miał być, gdzie był przynajmniej od siedemdziesięciu lat: na końcu półki, na samym skraju. Wydawało się to wręcz niewiarygodne. Wyciągnęłam go. Było to bardzo stare wydanie z okładką z zielonego płótna, pociemniałego od czasu, i skórzanym grzbietem ze złotymi związami. Chciałabym mieć chwilę, żeby go przejrzeć, obejrzeć ilustracje... Ale czasu to akurat nie miałam, więc odłożyłam go na bok i zaczęłam badać wnętrze półki. Schowek miał się znajdować za tą półką, więc musiał tam być jakiś mechanizm, dźwignia, za którą należało pociągnąć. Przybliżyłam latarkę, ale nic nie zobaczyłam, dotknęłam drewna, też nic.

A jeśli prawda opowieści kończyła się w tym miejscu? A jeśli historia o sekretnym schowku była produktem wyobraźni Sebottendorfa? Teraz, kiedy byłam już tak blisko... Czas płynął. Przebywanie w tej bibliotece stawało się coraz mniej bezpieczne. Zaczynałam się dusić. Przyspieszał mi oddech, serce mocno biło... A pod palcami czułam tylko gładkie drewno. Ja już się do tego nie nadawałam. Chciałam sobie stamtąd pójść. Zrezygnować z zadania. Von Sebottendorf nas oszukał.

– Kurwa! – Wzburzona i nie mogąc sobie ulżyć głośniejszym niż szeptem, walnęłam w boczną deskę.

Ku mojemu zaskoczeniu, deska się oderwała. Patrzyłam zdumiona. Czy trafiłam na skrytkę, czy tylko rozwaliłam półkę? I wtedy je dojrzałam: zawiniątko z materiału. Wyciągnęłam je ze schowka i położyłam na biurku. Wstrzymując oddech, delikatnie je rozwinęłam jedną ręką, w drugiej trzymając telefon z włączoną latarką.

W środku były dwa arkusze grubego szarawego papieru z żółtymi plamkami od wilgoci; z upływem czasu pismo, po łacinie, utleniło się i nabrało rdzawego odcienia, charakterystycznego dla atramentów żelazowo-galusowych, które w niekorzystnych warunkach zaczynały niszczyć papier. Na końcu obu arkuszy było wyraźnie widać złożony okrągłym pismem podpis: *Ioannis Pici Mirandvylae*.

Uśmiechając się, powstrzymałam pragnienie dokładnego obejrzenia listów od razu na miejscu i postanowiłam szybko je sfotografować. Następnie znowu je zawinęłam w szmatkę i schowałam ostrożnie do torebki dobrze przymocowanej do mojego brzucha pod obszerną sukienką. Odłożyłam deskę na miejsce, odstawiłam książkę na półkę i wyszłam z biblioteki swobodnym krokiem. Misja wypełniona. Przynajmniej do tamtej chwili.

Moja euforia rozplynęła się, gdy tylko opuściłam pomieszczenie. Teo zbliżał się korytarzem w moją stronę i gestykulował.

– Ten Włoch, co niby ma być podobny do Versacego, z jakimś facetem wchodzi po schodach! – zawołał teatralnym szeptem.

– Bonatti? Kurwa... Musimy się schować... – Rozejrzałam się nerwowo dookoła, nie mogąc myśleć. – Cholera, gdzie?

– Myśl, do diabła, myśl. Zaraz tu będą!

Nerwy mnie zablokowały. Już słyszałam głos Bonattiego.

Nagle uczepiłam się desperackiej myśli. Pchnęłam Teo na ścianę i zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Pocałuj mnie.

– Co?!

– Kurwa, całuj! – Zamknęłam mu usta gwałtownym pocałunkiem i zaczęłam go obmacywać.

Wreszcie Teo zrozumiał i odpowiedział na mój atak tak, jak wymagały tego okoliczności.

– Proszę, proszę... Miło widzieć, że jeszcze istnieje miłość na tym świecie. – Bonatti pod-

szedł i zwrócił się do nas szyderczym tonem.

Odsunęłam się od Teo. Czulałam, że jestem czerwona jak burak, bynajmniej nie od pocałunków.

– Przepraszam, Paolo. Co za wstyd. Szukaliśmy trochę intymności.

– Twoja impreza jest bardzo inspirująca. Afrodyzjakowa! – dodał Teo. Miał ślady szminki na twarzy.

Odniosłam wrażenie, że Bonatti rozbiera mnie oczami, a jego mina wcale nie wyrażała nic związanego z seksem. Na chwilę zatrzymał wzrok na mojej torebce. Jego towarzysz, który oczywiście nie był gościem, stał obok z miną zakapiora. To mnie wyprowadzało z równowagi. Wyobrażałam sobie, jak mu wyjawiam wszystko we łzach i błagam go, żeby pozwolił nam wyjść. Jednak zachowałam fason.

– Od niedawna jesteście małżeństwem, co? – powiedział w końcu i zaśmiał się z własnych myśli; poszliśmy w jego ślady, chociaż wcale nie było nam do śmiechu. – No to cieszcie się tym, dopóki trwa. Ale teraz proszę, żebyście dołączyli do reszty gości. Zaraz zacznie się ceremonia *mevlevi*.

– Ach, taniec wirujących derwiszów! To cudownie!

Skąd, do diabła, Teo to wiedział?

– Chodźmy tam, kochana żono, nie możemy tego stracić.

Odeszliśmy pośród przeprosin, do których brakowało tylko ukłonów, ku schodom, po których sfrunęliśmy jak Kopciuszek przy wtórze bicia zegara.

– Co tam niesiesz pod sukienką? Założyłaś sobie pas? – Tylko tyle Teo przyszło do głowy po naszym pocałunku.

– Nie, kretynie, to te listy.

– Masz je? – Zrobił oczy jak spodki.

– Mam. – Uśmiechnęłam się. – Wezwę Ubera i zwiżamy się stąd.

Oczywiście Teo nie mógł milczeć, kiedy ja używałam aplikacji.

– Coś ci powiem, kochana, całujesz z taką pasją jak śnięta ryba.

– A co, chciałeś, żebym ci wsadziła język?

– No, nie byłoby źle. Chociaż, z drugiej strony, lepiej nie igrać z ogniem. Przecież teraz, jak mam zostać ojcem, nie może mi chodzić po głowie wybieranie się na drugą stronę rzeki. Bez szans! Biedny Toni, jak ja go kocham.

Nie chciało mi się zabierać głosu na ten temat.

– Samochód ma być za dziesięć minut. Wychodzimy.

Przeszliśmy pośród ludzi. Orkiestra grała jakąś dziwną wersję *Señority*. Więcej osób tańczyło, rozmowy stały się głośniejsze, to wszystko pewnie wpływ alkoholu.

Wyszliśmy z domu i przez niewielki ogród na tyłach próbowaliśmy się dostać w poblizę bramy. Kilku zaproszonych gości, przede wszystkim palących, zajęło tę część yali. Kiedy Teo i ja byliśmy w połowie drogi, zatrzymał nas człowiek ubrany na czarno, jak ten, który towarzyszył Bonattiemu.

– Przepraszam, proszę pani. Może mi pani pokazać torebkę?

Spojrzałam kątem oka na bramę, oddaloną o jakieś dwadzieścia metrów, otwartą. Ciemny samochód Ubera czekał po drugiej stronie.

– Moją torebkę?... No, nie.

Chwyciłam Teo za rękę i ruszyliśmy biegiem.

– Stójcie! Stójcie!

Słyszałam ochroniarza krzyczącego za nami, Teo też coś chyba krzyczał wzburzony. Wszystko jedno. Ja w głowie miałam tylko samochód.

Nie oglądając się za siebie, minęliśmy bramę, otworzyliśmy drzwi Ubera i wskoczyliśmy na tylną kanapę.

Kierowca odwrócił się.

– Ana García?

– Tak, tak. Naprzód! Niech pan jedzie!

Spojrzałam przez tylną szybę: facet z ochrony stał na środku ulicy i bezradnie patrzył, jak się oddalamy.

– Matko Boża Pięknej Miłości! Jesteś wariatką! – Teo zaczął się nerwowo śmiać i szczebiotać. – Co ty sobie myślisz? Że jesteś żeńskim wcieleniem Bonda? Co za numer! Ale ucieczka! Może mi pani pokazać torebkę? No, nie. Ja pierdolę! Byłaś boska!

Przez chwilę komentowaliśmy tę sprawę ze śmiechem i krzykami, zrzucając z siebie napięcie. W końcu opadłam na kanapę wyczerpana. Spojrzałam rozkojarzona przez okno i zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Jechaliśmy podrzędną ciemną drogą. Światła miasta lśniły za naszymi plecami, coraz dalej. Oburzona nachyliłam się, żeby zwrócić się do kierowcy.

– Proszę pana, może pan sprawdzić adres, który panu podałam? Jedziemy do centrum, a mnie się wydaje, że oddalamy się od miasta.

Zignorował mnie.

– Co się dzieje? – zapytał Teo.

– Wydaje mi się, że jedziemy w przeciwnym kierunku, a ten facet mnie olewa. Ej, słyszy mnie pan? Mówi pan po angielsku?

W ten chwili facet gwałtownie skręcił i zatrzymał samochód na poboczu, przy czymś, co wyglądało na fabrykę.

– Co pan robi? Czemu pan się zatrzymuje?

Bez słowa wysiadł.

– Ale co...?

Nie zdążyłam dokończyć zdania, zanim ten facet otworzył tylne drzwi i wycelował w nas z pistoletu.

– Wsiadać. Ręce tak, żebym je widział – rozkazał po angielsku z silnym akcentem.

Kurwa, kurwa, kurwa. Nie mogło być za łatwo. Coś musiało pójść źle. Nagle znaleźliśmy się w miejscu, gdzie wołanie o pomoc nie miało sensu, z szaleńcem z nie wiadomo której mafii, celującym do nas z pistoletu. I przy tej okazji Martin nie pojawił się znikąd, żeby mnie wyratować z opresji.

Wysiedliśmy z samochodu. W miarę jak się orientowałam w sytuacji, ogarniał mnie strach. Teo pewnie też, sądząc po jego uporczywym milczeniu. Przypomniałam sobie, że mam w torebce pistolet, ale nie przychodził mi do głowy żaden sposób, w jaki mogłabym go wyciągnąć, stojąc z rękami w górze i z lufą przytkniętą do pleców; zresztą jeśli chodzi o tę zabawczkę, byłam tylko amatorką i nie utrzymałabym jej w drżących z nerwów dłoniach.

Gdy się tak zastanawiałam, facet, wysoki i żyłasty, z twarzą kryminalisty, postawił nas pod ścianą fabryki. Migoczące światło starej latarni ledwo oświetlało okolicę, tworząc psychodeliczne wrażenie. Chmura owadów latała wokół żarówki. Dookoła ciemność i cisza, nie licząc cykania świerszczy. Żywej duszy nie było na tej szosie. Czego ten typ mógł chcieć?

Wpadłam w panikę. Serce zaczęło mi bić tak mocno, że aż bolało, czułam, że zaraz zemdleję.

– Czego pan chce? – udało mi się wykrztusić drżącym głosem.

– Kto cię wynajął? – rzucił. – Köller, co?

– Co...?

– Torebka! Daj mi ją!

W tej chwili kopniak sięgnął ręki typa i jego pistolet poleciał w powietrze. W przypiływie desperackiej weny z całej siły trzasnęłam faceta w twarz torebką. Pistolet, który do niej przełożyłam, spełnił swoje zadanie, choć w sposób niezbyt ortodoksyjny, i facet padł jak długi i bez czucia. Rzuciłam się na niego, żeby sprawdzić, czy nie ma innej broni. Potem krzyknęłam do Teo w hysterii:

– Co ty narobiłeś! Pistolet mógł wystrzelić!

– Nie ma za co, uratowałam ci życie! – odpowiedział nie mniej wzburzony. – Możesz podziękować tym lekcjom boksu tajskiego, na które nie chciałaś ze mną chodzić! Dobrze wyszło, co? Nie czepiaj się pierdół!

Facet zaczął jęczeć, jeszcze zamroczony.

– Zwijajmy się, zanim dojdzie do siebie – przynaglił mnie Teo niespokojnie. – Zostawił kluczyki w stacyjce.

Ja jednak już go nie słuchałam. Klęknęłam na ziemi i przyłożyłam do piersi tego łotra jego własny pistolet, wściekła na samą siebie, że dałam się tak zaskoczyć.

– A ty dla kogo pracujesz? Co, skurwielu?! Dla kogo?! – krzyknęłam do niego po hiszpańsku, nie panując nad sobą, celując mu w pierś, gotowa wystrzelić.

– Ana, zostaw go! Chodźmy już stąd!

Teo krzyczał bezskutecznie. Wszystkie moje zmysły były skoncentrowane na zakrwawionej twarzy tego gnojka, chciałam tylko, żeby mi odpowiedział; wzmianka o Konradzie brzmiała w moich uszach jak uderzenia młotkiem. Straciłam głowę.

Mój przyjaciel pociągnął mnie, a ja zwróciłam się w jego stronę z furją. Zabijaka wykorzystał moją nieuwagę i mocno kopnął mnie w rękę; tym razem ja wypuściłam pistolet. Wtedy rzucił się do samochodu, wskoczył do niego i odjechał z piskiem opon.

– Kurwa! – Przycisnęłam bolącą rękę do brzucha. – Kurwa!

– Mówiłem ci! Mówiłem ci, żebyś go zostawiła! Jesteś uparta jak osioł! I głupia!

Spojrzałam na Teo. Czułam, jak napięcie uchodzi ze mnie każdym zakończeniem nerwowym. Myślałam, że zemdleję. Podszedł i objął mnie ramieniem.

– Dobrze się czujesz?

Uniosłam głowę, bliska łez; znowu świadoma, znowu byłam sobą. Kiwnęłam na potwierdzenie.

– Podaj mi telefon. Zadzwońię do Brigitte, poproszę, żeby nas stąd zabrała.



MAJ 1945

Towarzystwo Popierania Rozwoju Nauki imienia Cesarza Wilhelma zostało założone w 1911 roku w Berlinie w celu stworzenia sieci instytutów badawczych z różnych dziedzin, od chemii, biologii, fizyki i medycyny, aż do tych o orientacji bardziej humanistycznej, jak prawo czy antropologia. Wśród jego prezesów byli wybitni uczeni Albert Einstein i Max Planck oraz inni nobliści. W Instytucie Chemii Otto Hahn w 1938 roku przeprowadził pierwszą reakcję rozszczepienia jądra atomu. Wraz z dojściem do władzy NSDAP zaczęto rozwijać studia, które miały podtrzymać ideę hierarchii ras, prowadzono eksperymenty medyczne na więźniach obozów koncentracyjnych oraz badania poświęcone obronie i uzbrojeniu. Poza tym, w wyniku wejścia w życie praw rasowych, naukowcy żydowscy zostali wyrzuceni z Towarzystwa. Po zakończeniu wojny alianci ogłosili zamknięcie Towarzystwa Cesarza Wilhelma. Jednak w 1946 roku jego duch znalazł kontynuację w Towarzystwie Popierania Rozwoju Nauki imienia Maxa Plancka, którego instytuty należą obecnie do najbardziej prestiżowych jednostek naukowych na świecie.

W tych dniach, kiedy głód, epidemie, żałoba, ból i utrata zastąpiły bezpośrednie zagrożenie wojną, priorytetem berlińczyków było przetrwanie. W związku z tym Eric martwił się tylko o syna, o znalezienie sposobu na wyjazd ze stolicy i ucieczkę przed szponami Sowietów.

Brakowało mu konkretnego planu. Jak mógł postanowić cokolwiek pośród takiego chaosu? Miał pewne zamiary, to prawda, przed śmiercią Ursuli i zanim musiał zająć się Sebem. Kiedy uznano, że Niemcy mogą przegrać wojnę, niemal wszyscy naukowcy z grupy von Brauna postanowili poddać się Amerykanom. Jednak z powodu pilnego wyjazdu do Berlina stracił kontakt ze swoją ekipą i utknął w strefie radzieckiej. Zadawał sobie teraz pytanie, co się stało z jego kolegami. Czy są bezpieczni? Udało im się skontaktować z Amerykanami? A jeśli tak, to jak do nich dołączyć?

Zbyt wiele znaków zapytania. Zbyt wiele hipotez i przede wszystkim jedna wielka przeszkoda: on i Seb znajdowali się w okrążeniu, o wiele kilometrów od pierwszych jednostek amerykańskich, które, zgodnie z pogłoskami, zatrzymały się na linii Łaby.

Ramiro, który planował powrócić do swojego kraju, zaproponował mu, żeby udali się tam razem. Zamierzał przyłączyć się do grupy francuskich robotników z obozu we Frohnau, wśród których miał znajomego. Pojadą ze swoimi zagranicznymi paszportami albo bez dokumentów i spróbują przekonać Sowietów, że są przesiedleńcami, kolejnymi ofiarami nazizmu, że chcą tylko wrócić do domu. Dla Erica ten plan był zbyt niebezpieczny. Nie mógł ryzykować, że złapią go bez dokumentów, ledwie mówił po francusku, w dodatku z silnym niemieckim akcentem. A jednak był tak zdesperowany, że rozważał skorzystanie z pomocy Ramira. Przynajmniej do wczoraj.

W ostatnie dni dyskretnie przemykał się po Berlinie. Porównywał siebie do szczurów krążących pośród ruin, choć one poczynały sobie bardziej bezczelnie. Chciał zlokalizować przyjaciół, znajomych, osoby zaufane, które mogłyby mu pomóc. Był pewien, że nie jest jedynym człowiekiem, który desperacko stara się ukradkiem wyjechać z miasta pełnego nazistów. Może ci ze szczytu hierarchii, ci, którzy chełpili się swoimi mundurami, ale broni nie mieli w rękach przez całą wojnę, i których ludzie nazywali pogardliwie złotymi bażantami, uciekli jako pierwsi. Dla odmiany ci najbardziej fanatyczni, ci, którzy walczyli za Führera do ostatniego naboju, znaleźli się w tym samym położeniu co on: robili, co mogli, by nie wpaść w ręce Sowietów, świadomi, że

nie będzie dla nich litości.

Po bezcelowych poszukiwaniach w końcu szczęście się do niego uśmiechnęło. Zdarzyło się to z samego rana, bo Eric wyruszał na miasto zaraz po zakończeniu godziny policyjnej, jeszcze przed świtem: najłatwiej wtedy było zająć miejsce w kolejkach po jedzenie i wykorzystać ostatnie chwile ciemności. Udał się w okolice Dahlem, gdzie mieściły się dawne instytuty fizyki i chemii Towarzystwa Cesarza Wilhelma. Większość ich personelu i instalacji została wywieziona dawno temu, kiedy wzmożyły się naloty na Berlin, a teraz stały tu jedynie fasady budynków straszące wypalonymi oknami. Eric poznał wielu naukowców z Towarzystwa, niektórzy mieszkali w pobliżu; nawet bywał u nich w domach na przyjęciach i wieczorkach. Absurdalna była myśl, że może ich spotkać, spacerujących po okolicy albo odpoczywających w swoich ogródkach czy w tej ich ulubionej kawiarni naprzeciwko Instytutu Fizyki, jakby życie ciągle płynęło tak samo; ale gdzie jeszcze mógłby się udać? Czasem czuł się jak zwierzę, węszył w poszukiwaniu śladów przeszłości, choć cały czas był świadomy, że przeszłość się nie zmaterializuje.

Dlatego z trudem rozpoznał profesora Glaubera w tej przygarbionej postaci siedzącej na jednej z niewielu ławek, które jeszcze stały w ogrodzie botanicznym, zrujnowanym tak samo jak majestatyczna kiedyś oranżeria – dziś tylko szkielet na dywanie z potłuczonego szkła i spalonych roślin. Bernd Glauber był jego wykładowcą mechaniki płynów na uniwersytecie. Wielki profesor, z tych, którzy zostawiają ślad, utrzymywał z nim przyjacielską relację poza murami uczelni.

Staruszek ucieszył się na widok Erica. Z hamowaną radością, bo tylko taką okazywano sobie w tych czasach pełnych powściągliwych gestów i wyświechtanych emocji. Przywitał go uściskiem dłoni, niezbyt energicznym, ale przedłużonym. Szybko wymienili się informacjami na swój temat, trzeźwo i spokojnie, jak przystoi ludziom, którzy właśnie doświadczyli zbiorowej tragedii.

Eric zwierzył się staremu wykładowcy, opowiadając mu o swojej sytuacji; przeczuwał, że może mu w jakiś sposób pomóc. Glauber był szczerym nazistą, jednym z pierwszych, którzy wstąpili do partii i którzy nie mieli problemów, żeby publicznie okazywać Hitlerowi poparcie. Przynajmniej do czasu przejścia przez nazistów kontroli nad Towarzystwem Cesarza Wilhelma. Wtedy postanowił zrezygnować ze stanowiska w Instytucie Fizyki. Profesorowi nie mieściło się w głowie, że można mieszać politykę z nauką, nie mieściło mu się w głowie, że rząd przekroczy określone granice, i nie zgadzał się z krokami podjętymi przeciwko Żydom. Mimo to utrzymywał kontakty z prominentnymi członkami partii, jak również z innymi naukowcami opowiadającymi się po stronie nazizmu. Bernd Glauber zwykle żył dobrze ze wszystkimi.

– Wielu wyjechało już wcześniej, przed wejściem Rosjan – powiedział profesor ze spojrzeniem utkwionym w czarne drzewa, które wraz ze świtem zaczynały nabierać różowawej barwy. Ptasi szczebiot wydawał się kompletnie nie na miejscu. – Inni zostali. Ci, którzy nie mieli środków, by uciec, albo byli tak zaślepieni, że nie chcieli widzieć, że to już koniec. Większość znajduje się teraz w obozach jenieckich. – Odwrócił się do Erica i kontynuował cicho: – Jeszcze inni chcą za wszelką cenę wydostać się z miasta. Siostrzeniec mojego szwagra jest jednym z takich ludzi. Był członkiem eskorty Hitlera i siedział z nim w bunkrze aż do ostatniej chwili. Teraz ukrywa się gdzieś w Berlinie, nawet jego małżonka nie wie gdzie.

Glauber zawiesił głos. Czy to wszystko? – pomyślał Eric. Jeszcze jeden rozpaczliwy przypadek, taki jak on? Wiedza, że nie jest sam, nie za bardzo go pocieszała. Chciał usłyszeć, że inni uciekają z tej pułapki, i dowiedzieć się jak.

– Jest pewien ksiądz katolicki w kościele Świętego Szczepana w Adlershof – dodał profesor, jakby usłyszał jego myśli. – Nie znam szczegółów, ale wiem od szwagra, że pomaga ludziom w takiej sytuacji. Mógłbym się dowiedzieć.

Wreszcie. Wreszcie odrobina nadziei, luźna cegła w otaczającym go murze. Nie za wiele,

ale już coś, czego może się uchwycić, zanim uzna się za pokonanego. Eric podziękował Glauberowi za chęć pomocy i umówili się na następne spotkanie za kilka dni, kiedy profesor zbierze więcej informacji.



Puste, samotne poddasze miało w sobie coś fantasmagorycznego i apokaliptycznego. Eric nogą odsunął gruz i usiadł na podłodze. Uniósł głowę, żeby spojrzeć przez wielką dziurę w zawalonym dachu.

„Tęsknię za oglądaniem gwiazd”.

Nostalgiczne słowa Katii rozbrzmiewały w jego uszach tak, jakby ona tam była i je wyповідаła. On też za tym tęsknił. Jednak niebo ciągle było zgaszone. Także ono zdawało się uciekać z Berlina.

Przeniósł spojrzenie na lustro, jakby spodziewał się, że zatrzymało jej obraz i może go pokazać. Zamiast niej zobaczył siebie, żalostnego łachudrę.

Po spotkaniu z profesorem Glauberem zaczynał się przyzwyczajać do możliwości, że uda mu się uciec. To powinno zajmować wszystkie jego myśli, skupiać całą jego energię. A jednak gdy tylko wrócił do domu, wszedł na poddasze jak zwierzę tropiące ślad samicy, a ponieważ jej nie zastał, oddał się niewczesnym wspomnieniom nagich pleców, błękitnej sukienki, zielonych oczu i rąk jak u włoskiego posągu; nawet ślady po walce nie wpłynęły na piękno jej skóry.

Nie miał zamiaru negować natury swoich uczuć, to by było jak rzucanie śniegu na lawę, ale wiedział, że poddawanie się im jest co najmniej nierozsądne. Chociaż nie, wcale się nie poddaje, poprawił sam siebie, postanowił tylko przyjąć je i przeczekać, aż miną jak choroba i będzie, miał nadzieję, w pełni wyleczony. W sumie rozmawiał z dziewczyną tylko raz, tylko raz ukradkiem musnął jej skórę, gdy przekładał stronę atlasu astronomicznego. Ledwie ją znał.

Wyjedzie z Berlina i więcej jej nie zobaczy. Tak będzie najlepiej, przyznał z żalem.

Odgłos kroków na schodach sprowadził go na ziemię. Seb sprytnie jak lisek przekradł się do jego boku i bez słowa usadowił się obok, wsparł głowę na jego ramieniu. Był z nim Orion, tyle że zwierzątko bardziej interesowało wsadzanie pyska w różne zakamarki.

Eric przytulił miękkie ciało syna, pocałował jego włosy, zmierzwiłone i pełne pyłu, i westchnął ze szczęścia.

– Co ty na to, żebyśmy ściągnęli kilka gwiazdek z nieba?

– Możesz to zrobić?

– Musiałbyś mi pomóc.

Seb się uśmiechnął.

Z pomocą syna, bardziej entuzjastyczną i radosną niż skuteczną, Eric w ciągu kilku dni zbudował projektor gwiazd. Najpierw go narysował i przeliczył wymiary. Potem razem z Sebem wśród gór rupieci i złomu zebranych w domu poszukali elementów i materiałów, których potrzebowali. Znaleźli stary fonograf i lampkę stołową z wielkim pergaminowym abażurem, słoik czarnej, nieco przesuszanej pasty do butów, którą trzeba było rozpuścić w tłuszczu, i szpikulec do lodu. Sześciokątne kawałki pergaminu, w których starannie wykłuli fragmenty jednej z map gwiazdowego atlasu Nortona, połączyli w kulę, a w środku umieścili żarówkę zasilaną generatorem magnetycznym, który sami zbudowali, wykorzystując elementy fonografu. Rozciągnęli na poddaszu prześcieradła jako ekrany i dokładnie pośrodku postawili zbudowane przez siebie urządzenie.

Kiedy ojciec i syn przeprowadzili pierwszą próbę, Ericowi wystarczył zachwyt na twarzy

Seba, z szeroko otwartymi oczami przyglądającego się światełkom na prześcieradłach, by uznać, że wykonali bardzo dobrą robotę.

Seb był pod takim wrażeniem wynalazku, że odtąd chciał spać w otoczeniu gwiazd na podłodze wyłożonej poduszkami. Którejś bezsennej nocy Eric pomyślał, że Katii spodobałoby się to planetarium. A może to mu się śniło...



TO NIE WOBEC MNIE POWINNAŚ BYĆ NIEUFNA

Ana García-Brest. Przychodzę do pana Köllera.

Spojrzałam na ochroniarza przy bramie z taką determinacją, jakbym była na niego wściekła. Ten człowiek powinien wiedzieć, że nie przyjmę do wiadomości odmowy wejścia.

Od poprzedniej nocy mój zamglony umysł myślał tylko o tym, że powinnam wsiąść do najbliższego samolotu do Zurychu. Impreza, listy, syn Bonattiego, świr z Ubera, który wcale nie był z Ubera... zeszły na drugi plan. Musiałam zobaczyć się z Konradem.

Pamiętałam o umowie, którą zawarłam z Martinem.

– Zaczekajmy, aż Konrad wykona następny ruch, i wtedy zadziałamy w zależności od tego, co zrobi – zaproponował, żeby powstrzymać mnie przed działaniem na własną rękę.

– Oboje? – Chciałam się upewnić, że nie zostawi mnie na uboczu.

– Oboje.

No cóż, nie mieliśmy działać we dwójkę. I to ja zamierzałam zerwać ten pakt i zostawić Martina na uboczu. Bo to stało się sprawą osobistą.

O swoich planach powiedziałam tylko Teo. Puściłam mimo uszu jego wskazówki i odesłałam go do pokoju, żeby nie musieć niczego słuchać. A i tak mniej się wkurzył, niż się spodziewałam. Najwyraźniej potrafi się hamować, choć to nie w jego stylu; zachowuje to na momenty, kiedy naprawdę nie można inaczej.

– Powściągliwość jest bardzo nudna, kochana. Ale jak trzeba, to trzeba – zauważył. – I ty powinnaś teraz z niej skorzystać.

Nie, nie miałam zamiaru go posłuchać. Powściągliwość tylko dawała przewagę Konradowi. On zawsze wykorzystywał moją nadmierną powściągliwość. Nadeszła chwila, żeby z tym skończyć.

Brigitte powiedziałam, że muszę wyjechać z powodów rodzinnych, i wręczyłam jej listy Pico della Mirandoli jako dowód na wypełnioną misję.

– Powiedz Martinowi, że do niego zadzwonię.

Wysłałam przez WhatsAppa fotografie listów do Teo z zadaniem, żeby je dla mnie przechował. Wymazałam wszelki ślad po nich z telefonu, zanim wyłączyłam oba aparaty. Nie chciałam, żeby ktoś mnie rozkojarzał. Między innymi Alain; chociaż wyglądało na to, że po kilku wcześniejszych próbach skontaktowania się ze mną dał za wygraną.

– Proszę – powiedział wreszcie ochroniarz po rozmowie telefonicznej.

W miarę jak samochód wjeżdżał na wysadzaną świerkami szosę z widokiem na dom Konrada w głębi, odnosiłam coraz silniejsze wrażenie, że pakuję się w paszczę lwa. Ale czasem jedynym sposobem na pokonanie bestii jest stawienie jej czoła.

Konrad przyjął mnie w tym samym pokoju, w którym spotkaliśmy się za pierwszym razem: drewniana boazeria, dywany, przyciemnione okna, dyskretne światła. Panowała przytłaczająca atmosfera; może celowo. Nawet zapach kompozycji z żywych kwiatów wydawał mi się zbyt intensywny.

– Ana! Cieszę się, że cię widzę. Czemu zawdzięczam twoją niespodziewaną wizytę? Czy postanowiłaś zaakceptować moją propozycję?

Chroniąc się za biurkiem, demonstrował serdeczność i ożywienie, jakby szczerze się ucieszył na mój widok. Nie był tym udreżonym inwalidą z mojej poprzedniej wizyty. Wydawało się, że jeszcze moment, a wstanie z wózka i poda mi rękę, pocałuje na powitanie.

– Wystarczy tego teatru, Konradzie. Doskonale wiesz, dlaczego tutaj jestem. Czekales na mnie. Ty sam wyslales mi wiadomosc, w dodatku podpisaną, zebym nie miala watpliwosci.

Uniosl brwi. Dobrze sie bawil.

– Nie wiem, o czym mowisz. Ale, prosze, usiadz i wszystko mi wyjasnij. Oto woda, napij sie odrobine. Moge tez poprosic, zeby przyniesiono ci cos innego, jezeli masz ochote.

Z trudem zachowywalam spokoj, nie chcialam jednak tego okazac. Nalalam sobie wody z dzbanka, ktory wskazal, ale dalej stalam, zeby mu sie przeciwstawic; ta wizyta w zadenym razie nie byla kurtuazyjna. Wypilam cala szklanke. Bylam bardziej spragniona, niz sadzilam, i woda dobrze mi zrobila. Znowu zwrócilam sie do niego, juz znacznie spokojniejsza.

– W zasadzie to ty mi musisz pare spraw wyjasnic: kim byl ten typ, ktory mnie zaatakowal z pistoletem w reku, dlaczego Martin Lohse lezy w szpitalu i dlaczego mnie tez ktos probowal przejechać. Nie wiem, czy chodzi ci o to, zeby mnie wystraszyć czy usunac z drogi. Nie wiem, czy powoduje toba chęc zemsty, bo myslisz, ze jestem winna twoim nieszczęściom, czy moze twoja nieposkromiona ambicja, ktora powoduje, ze umiesz docierac do celu, tylko rozdepujając innych. Nie wiem tego i nie chce wiedziec. Chce jedynie, zebyś o mnie zapomnial i zostawil mnie w spokoju.

– Ano, przysiegam ci, ze nie mialem z tym wszystkim nic wspolnego...

– Konrad, nie oklamuj mnie. Znam cię i wiem, jak dzialasz, nic nie stanie ci na przeszkodzie, jezeli czegos chcesz. Czy teraz tez zrobisz swietoszkowata minę i zapewnisz mnie, ze to nie ty stoisz za medalionem?

– To nie ja stoję za medalionem – powiedzial z przekonaniem, juz bez wcześniejszej serdecznosci.

Nie wierzylam mu i bylo to po mnie widać.

– Nie rob takiej miny i pomysl przez chwile – mowil dalej. – Spojrz na mnie. Po co mialbym chiec tego medalionu? Zeby zarobic troche pieniedzy, z ktorych juz nie moge skorzystac? Zeby zdobyć wladze, ktorej juz nie moge sprawowac? Z ambicji, pazerności, dla prestizu? Nic z tego nie ma sensu, kiedy... sama widzisz. – Niezgrabnie uniosl bezwladna reke, ktora zaraz opadla. – Tego, czego chce, Ano, nie zwróci mi zadna relikwia. Ani nic innego, i juz.

Przez chwile milczalam. To, co Konrad wlasnie powiedzial, bylo na tyle sensowne, ze poczulam sie glupia i bez serca, bo musial mi o tym przypomniec. W koncu usiadlam na krzesle.

– Sluchaj... – ciagnal przygaszonym tonem. – Oczywiscie jestem poinformowany o zamieszanu, ktore wybuchlo z powodu Ognistego Medalionu. Jakby uchylono zakaz i wtajemniczeni ruszyli na polowanie z nozem w zebach. Bo na takie polowania kazdy wychodzi z nozem w zebach; nie sadze, zebyś byla na tyle naiwna, by wierzyc, ze bierzesz udzial w uczciwej grze. Moze ty tak, moze dalej myslisz, ze te bitwy wygrywa sie w bibliotekach, ale twoja druzyna juz tak nie dziala. A ty... jestes dla nich uzyteczna w tym, w czym jestes uzyteczna – rzucil enigmatycznie.

– Co chcesz przez to powiedziec? – Przyjalam pozycje obronna.

– Ja tez ciebie znam, Ano. I to dobrze, lepiej niz ty sama siebie, i znam gre, w ktora zaczelas grac, i graczy, z ktorymi siedzisz przy planszy. Dlatego wiem, czego od ciebie chca: twoich zetonow.

– Ale... co znowu za zetony...? Przesnancz sobie jaja i przejdź do sedna.

– Naprawde wiesz, dla kogo pracujesz?

– Masz mnie za idiotke?

– Oczywiscie, ze nie. Ale wiesz, dlaczego cię zatrudnili?

To bylo obrazliwe.

– Bo dobrze wykonuje swoja prace? Czy tak trudno w to uwierzyc? Nie wszyscy na swie-

cie mają złe zamiary tak jak ty.

Konrad pokręcił głową, jakbym go nie rozumiała.

– Nie wątpię w twoje umiejętności zawodowe! Ja sam zaoferowałem ci pracę, o którą wielu by się zabijało! Pracę, w której mogłabyś wykazać, jak wiele jesteś warta, pracę skrojoną na twoją miarę. Ale ta gra, w którą cię wciągnęli, to nie jest twoja gra. Chcą cię wykorzystać, nawet za cenę stawiania cię w niebezpiecznych sytuacjach, prawdziwie niebezpiecznych.

– Wykorzystać mnie? Dość tych zagadek, Konradzie. – Zaczynałam tracić cierpliwość.
– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to wprost.

Przyglądał mi się przez chwilę. Jakby się wahał.

– Porozmawiaj z Martinem Lohsem. Załadaj od niego prawdy. I powiedz mu, że jeśli nie jest skłonny ci jej wyjawić, ja to zrobię za niego.

Wstałam.

– Nie! Powiedz mi, co wiesz, już teraz! Nie możesz rzucać kamieniem i chować ręki!

– Przykro mi, *meine Süße*...

Ten zwrot przywołał najgorsze wspomnienia.

– Nie nazywaj mnie więcej w ten sposób – wycodziłam przez zęby, hamując wściekłość.

W tej chwili pojawił się pielęgniarz; jego biały uniform lśnił w półmroku.

– Musimy przerwać w tym miejscu. Chciałbym bardzo dalej rozmawiać, ale czeka mnie wyczerpująca sesja rehabilitacji – oznajmił Konrad.

Razem z pielęgniarzem pojawił się inny mężczyzna, który czekał za moimi plecami, gotowy towarzyszyć mi do wyjścia; oczywiście zmusić mnie do wyjścia, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przełknęłam złość, pretensje, napad wściekłości. Na nic by się zdały. Byłam na terenie Konrada i to on ustalał zasady.

– Przyjdź, jak będziesz miała ochotę. Lubię, kiedy mnie odwiedzasz – pożegnał się, zanim pielęgniarz popchnął wózek. – I Ano... – zatrzymał go na chwilę – to nie wobec mnie powinnaś być nieufna. Nawet jeśli w to nie wierzysz, ja naprawdę chcę ci pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy! – wyładowałam nagromadzoną frustrację.

Konrad kiwnął głową w swoim stylu i oddalił się z pielęgniarzem.

Wyszłam z poczuciem, że to spotkanie odwróciło się na moją niekorzyść. Zamiast rozwiązać sprawę i wyjaśnić wszystko, dalej miałam całe mnóstwo wątpliwości. Konrad wiedział, jak mnie omotać. Nie tak łatwo się od niego uwolnić.

A może byłam wobec niego niesprawiedliwa? Dlaczego tak trudno było mi uwierzyć w jego słowa o wyrzutach sumienia i dobrej woli? Dlaczego nie potrafiłam mu wybaczyć? Czy to ja okazałam się małostkowa i pamiętliwa?

– Ana?

Wyrwana z zamyślenia przy głównych drzwiach, odwróciłam się przestraszona.

– Greta... Cześć – przywitałam się nieco oszołomiona z siostrą Konrada.

Stała jak zwykle poważna na środku hallu, wśród białych marmurów i orchidei. I wyglądała nienagannie, jak zawsze: elegancka zielona sukienka, naszyjnik ze złotych ogniw, szpilki, włosy upięte w idealny kok. Całość tworzyła obraz jak z magazynu poświęconego dekoracji wnętrz.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Tak, przyjechałam do Konrada. Właśnie wychodzę.

– Podstawili ci już samochód pod drzwi?

– Cóż... Mam zamiar jakiś zamówić... – Akurat trzymałam telefon w ręce.

– Nie ma takiej potrzeby. Tutaj zawsze jest przygotowany samochód. Dokąd jedziesz? Do

miasta? Na lotnisko?

– Na lotnisko.

– Bardzo się śpieszysz? Może zostałabyś chwilę. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Nie śpieszyłam się. W sumie to samolot miałam dopiero za sześć godzin. Nie żeby spędzanie czasu z Gretą było moją najlepszą opcją, ale siedzenie na lotnisku też nią nie było. Trudno wybrać.

– Tak, oczywiście, że mam czas.

Oświetlenie i minimalistyczny jasny wystrój pokoju, do którego przeszliśmy, sprawiły, że rozluźniłam się po napięciu i opresyjnym półmroku towarzyszących spotkaniu z Konradem. Wyrzałam przez okno, żeby nasycić oczy wspaniałym widokiem na jezioro i góry w głębi – szczyty ukoronowane czapami śniegu skrzyły się w słońcu. Pejzaż nieruchomy jak na pocztówce, spokojny, daleki od frenetycznego rytmu reszty świata.

Pomyślałam, że chętnie pobyłabym przez jakiś czas w miejscu takim jak to, daleko od wszystkiego i od wszystkich, w otoczeniu kojącej natury.

– Na co masz ochotę? – zapytała Greta, stojąc przy barku z napojami.

– Nie wiem... To samo co ty.

– Nigdy nie piję alkoholu przed kolacją. Mam ochotę na herbatę mrożoną. Może być?

– Tak, doskonale.

Usłyszałam za plecami stukot kostek lodu i bulgot płynu nalewanego do szklanek.

Greta postawiła tacę z herbatą na małym stoliku i dała mi do zrozumienia, że czeka, aż do niej dołączę. Gdy to zrobiłam, podała mi szklankę i usiadłyśmy. Piłam; nie miałam nic specjalnego do powiedzenia i pozwoliłam, żeby to ona rozpoczęła rozmowę. Jednak ona też milczała. Sytuacja była dziwna: jedna naprzeciwko drugiej, spięte, bez słowa, popijające mechanicznie, ja więcej niż ona. Przez chwilę myślałam, że w taki pokręcony sposób chce doprowadzić do tego, żebym poczuła się źle. Ale nie, miała w zanadru coś gorszego.

– Piękny dziś dzień – postanowiłam przerwać milczenie i zabrzmiało to tak idiotycznie, jak się spodziewałam. I równie idiotycznie ciągnęłam: – Chodzi mi o pogodę... Ciepło prawie jak w lecie...

– Przestań go nękać.

Chyba źle usłyszałam. Poczułam nagle jakąś ociężałość umysłową, trudno mi było się skoncentrować.

– Co?

– Przestań tu przyjeżdżać. Zostaw w spokoju mojego brata. Czego oczekujesz? Nie masz zamiaru przyjąć tej pracy, przyznaj to. Konrad... Boże, widziałaś go! Nie jest nawet cieniem człowieka, którym był. Stracił całą swoją moc, siłę, zapał. To muzeum jest teraz jego jedyną atrakcją, jedynym marzeniem, nie widzisz tego? A może widzisz i chcesz się zemścić? Nie wydaje ci się, że już zawiązką zapłacił za swoje błędy? Upokarzasz go za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżasz, swoją witalnością, swoją arogancją i grając taką interesującą. Ostrzegam cię: nie wracaj, nie pozwolę ci wejść do tego domu ani razu więcej.

Patrzyłam jej w oczy, a ona wytrzymała to spojrzenie. W moim otępieniu ta scena wydawała mi się nierealna. Znowu uniosłam szklankę, ale tym razem tylko lód otarł mi się o usta. Nagle poczułam takie pragnienie, że miałam ochotę nawet na kostkę lodu. Czy ona mnie oskarża o nękanie Konrada? Ta kobieta oszalała.

A może... miała rację? A jeśli to ja, a nie Konrad, nie przepracowałam naszej historii? Co za bzdury... Zaczęło mnie dopadać zmęczenie; nie byłam w stanie jasno myśleć.

Greta ciągle się we mnie wpatrywała. Czekala na jakąś reakcję z mojej strony? Właśnie

mnie bezceremonialnie przegoniła, więc co miałam powiedzieć? Poza tym suchość w ustach przeszkadzała mi mówić; to samo dopadało mnie, kiedy zdawałam egzaminy państwowe przed komisją. Wreszcie wzięłam do ust kostkę lodu i gryzłam ją powoli, nie zważając na maniery.

– Samochód już jest przygotowany. Ale jeśli masz jeszcze ochotę na herbatę albo na kieliszek czegoś...

Tak, zdecydowanie Greta oszalała albo jest sadystką. Jeszcze herbaty? Bardzo chciało mi się pić, ale nie, na Boga.

– Nie... Bardzo dziękuję. Wolę już pójść.

W samochodzie odetchnęłam z ulgą, opadło ze mnie całe napięcie i poczułam się jak szmaciana lalka. Mdlilo mnie, a szosa pełna zakrętów wcale mi nie pomagała. Swego rodzaju wewnętrzne ciepło uderzyło mi do głowy i zaczęłam się pocić. Uchyliłam okno.

– Mógłby pan jechać wolniej? – poprosiłam kierowcę.

Świeże powietrze przyniosło mi trochę ulgi. Oparłam się wygodnie i zamknęłam oczy, bo światło zachodzącego słońca robiło się nie do zniesienia. Chciałam pomyśleć o tym, co się wydarzyło, ale nie byłam w stanie. Myśli pojawiały się i znikwały, mieszały się ze sobą.

Konrad nie chce medalionu... Martin musi mi powiedzieć prawdę... Nie wiem, czy wierzyć Konradowi... Dlaczego mnie zatrudnili?... Konrad nie jest już taki jak kiedyś... Greta mówi... Konrad o tym wie... Chcą moich żetonów... Co za żetony?... Martin, jakie żetony?...

Było mi gorąco, nie przestawałam się pocić. Już nawet otwarte okno nie pomagało na mdłości. Ogarniała mnie senność.

Mam dosyć tego, że wszyscy mi mówią, że to jest niebezpieczna gra... Mają mnie za głupią... za słabą... Nie jestem słaba...

Chciałam zasnąć, ale nie mogłam. Wciąż mnie mdlilo.

Wiem, że to jest niebezpieczne... Próbowano mnie zabić... I sama sobie poradziłam... Tak, żaden z was... Zdobyłam listy... Ja...

„Kto cię wynajął? Köller, co?...”

Te słowa jako ostatnie przyszły mi do głowy, zanim moja pamięć stopiła się w czerń.



MAJ 1945

Generał Nikołaj Bierzarin, pierwszy radziecki komendant Berlina, był skuteczny, sprawiedliwy i cieszył się wielką popularnością wśród mieszkańców miasta. Zarządzał sprawami wykarmienia ludzi, przywrócenia mediów, elektryczności, gazu i transportu publicznego, zaopatrzenia szpitali w lekarstwa i materiały higieniczne, zapoczątkował też odbudowę metropolii. Surowo karał swoje wojsko za plądrowanie, gwałty i nadużycia. Powołał straż miejską, otworzył szkoły, kina i teatry i wyznaczył pierwszego burmistrza Berlina czasów powojennych. Niestety Bierzarin nie dokończył swojego dzieła, zginął bowiem 16 czerwca 1945 roku w wypadku motocyklowym. Pośród Sowietów krążyła plotka, że został zamordowany przez Werwolf, nazistowską partyzantkę. Berlińczycy podejrzewali zaś, że to NKWD go usunęło, zaniepokojone popularnością generała pośród niemieckich cywilów.

Katia, rosyjska dziewczyna, nauczyła się nienawidzić Niemców. Zaczęło się to od spotkań Komsomołu, młodzieżówki partii komunistycznej w szkole, plakatów, które rozwieszano na ulicach, od filmów w kinie, radia i nagłówków gazety „Prawda”. Niemcy byli mordercami, żądnymi krwi ludożercami. Przedstawiano ich niczym zarośnięte sierścią potwory, ohydne, z twarzami zniekształconymi złem; albo istoty żałosne, komiczne, wręcz karykaturalne. Niemcy byli wrogami ludu.

Katii trudno było przyswoić ten pogląd. Wujek Fiodor opowiedział jej, że ich przodkowie wywodzili się z Niemiec. Korzenie rodziny Wojkowów sięgały Wittenbergi; prapradziadek Katii w 1732 roku przeniósł się do Rygi, należącej wtedy do Imperium Rosyjskiego. Stąd naleganie Fiodora, żeby dziewczynka nauczyła się niemieckiego, języka swoich przodków. Dlatego Katia pisała i mówiła w tym języku, ale jej wymowa daleka była od ideału.

Jednak w szkole urabiali ich tak mocno i długo, aż w końcu przekonała samą siebie, że nienawidzi Niemców. Chociaż nie było to coś, co szczególnie spędzało jej sen z powiek: nie miała wielu Niemców wokół siebie i nie myślała przez cały czas, że musi ich nienawidzić. Było to bardziej uczucie zbiorowe niż osobiste.

Ale kiedy zginął Misza... Nie, Misza nie zginął: zabili go. Zabili go Niemcy. I wtedy Katia miała prawdziwy powód, żeby ich znienawidzić. To uczucie umacniało się, w miarę jak już będąc żołnierką, przemierzała ziemie rosyjskie, wcześniej okupowane przez nazistów: wioski zrównane z ziemią, ludzie wymordowani. Wraz z każdym towarzyszem, który padł od niemieckich bomb i kul, z każdym rozszarpanym ciałem, z każdą płaczącą matką, z każdą sierotą i głodnym dzieckiem Katia nienawidziła ich coraz bardziej i nie potrzebowała już propagandy, żeby z przyjemnością chwycić karabin i strzelić w głowę każdemu potworowi, bo przekonała się, że są potworami. A komisarze polityczni utwierdzali ją w tej opinii.

Dziwnie było znaleźć się w Niemczech i zdać sobie sprawę, że dzieci patrzące na nią z przerażeniem, kobiety krzyczące, kiedy rosyjscy żołnierze je gwałcą, starszki bezsilnie oplakujące swoich zabitych krewnych i rabowanie mieszkań też są Niemcami. Dzieci, które naziści uczynili żołnierzami, wygłodniali więźniowie, chorzy i ranni, ludzie zwyczajnie zniszczeni przez wojnę... Wszyscy oni bardziej byli podobni do Rosjan niż do Niemców, przynajmniej nie do tych Niemców, których nienawidziła. Tak się dzieje, kiedy kończy się wojna: bo gdy wreszcie ustaną walki z potworami, pojawiają się istoty ludzkie, Rosjanie czy Niemcy, wszystko jedno.

I chociaż zamiana nienawiści na litość i odrzucenia na empatię nie jest prosta, przejście

okazuje się płynniejsze, kiedy w oczach wroga dostrzegasz to samo cierpienie, które doskonale znasz. Może to jest sedno pokoju.

Czy to ta przemiana niosła ją na powrót do domu antykwariusza? Potrzeba pojednania się z ludźmi po tych wszystkich chwilach, w których pociągnęła za spust?

Lubiła rozmawiać z Ramirem o Hiszpanii, o Berlinie, o Corneliusie, o medalionie... Seb wzbudzał w niej ogromną czułość. Dziecko zawsze przychodziło do niej po czekoladę i żeby spędzić z nią kilka chwil. Z Orionem u boku grali na dziedzińcu w klasy albo w piękne szklane kulki, które chłopiec znalazł pośród rupieci w sklepie. Krammerom trudniej było zobaczyć w niej tylko dziewczynę, a nie bolszewickiego żołnierza, ale oni także zmienili nieco swoje nastawienie. Pani Krammer traktowała ją ze specyficznym współczuciem, jakby była zepsutą lalką. Podczas ostatniej wizyty kobieta pogłaskała ją po twarzy, od blizny na czole do skraju brody, i z nieobecną miną wyszeptała: „Taka młoda... Jesteś za młoda i za śliczna, żeby nosić ten mundur... Nie powinni wysyłać dziewczynek na wojnę...”. Z Ilse dobrze się dogadywała; brakowało między nimi prawdziwej bliskości, oczywiście, było na to za wcześnie i obie miały zbyt głębokie rany, żeby ujawnić je przy pierwszym spotkaniu, ale przy niej Katia mogła być dziewczyną, nie żołnierką. Wspólnie czytały stare gazety o modzie, czesały się przed lustrem toaletki, fantazjowały o świecie bez wojny, w którym można iść na zakupy, do kina, na lody...

Jednak to nie o żadnej z tych osób myślała, kiedy szła w zapadającym zmroku przez Friedrich-Karl-Platz.

Katia myślała o Ericu Althannie, że być może znowu razem będą przeglądać atlas Nortona, który zostawili w połowie tamtej nocy; że zapyta go, czy przeczytał dzieła Ciołkowskiego – Hermanna Obertha z całą pewnością przeczytał – że opowie mu o tym rosyjskim filmie, który tak bardzo się jej podobał, kiedy oglądała go w kinie przed wojną, *Podróż kosmiczna*. Chciała wiedzieć, czy on naprawdę wierzy, że człowiek może podróżować w przestrzeni kosmicznej; ona była przekonana, że tak, że to możliwe. Przychodziły jej do głowy setki rzeczy, o których mogłaby porozmawiać z Erikiem, nie tylko o astronomii i podboju kosmosu. Bo kiedy już został wyjaśniony ten dziwny incydent z jej pierwszej wizyty, Eric Althann wydał jej się sympatyczny, czuły i inteligentny; również atrakcyjny, nie mogła temu zaprzeczyć: twarz aktora filmowego za okularami, które nadawały mu wygląd intelektualisty.

Oczywiście Eric Althann był również Niemcem i jako taki mógł znaleźć się na celowniku jej karabinu i zginąć od jednej z jej kul. Ta myśl niepokoiła ją i dlatego była o włos od zrezygnowania z wizyty w domu antykwariusza. A jednak przyszła tam, gotowa zastukać do drzwi, czując w brzuchu dziwne łaskotanie.



– Katia, chodź! Chodź na górę! Szybko, szybko! Tata i ja mamy dla ciebie niespodziankę. Seb ciągnął ją po schodach, a Orion kręcił się między obojgiem, chętny do zabawy; zarażony ekscytacją Seba merdał ogonem i poszczekiwał.

Eric szedł za nimi, uśmiechał się lekko, był nedorzecznie przejęty.

Jednocześnie zmieszana i rozbawiona Katia weszła na pogrążone w półmroku poddasze. Mdłe światło okienka ledwie rozjaśniało zamazane kształty. Seb na czworakach wlaźł między wiszące prześcieradła, żeby uruchomić projektor, kręcąc korbką, tak jak nauczył go tata.

Po krótkim brzęczeniu i elektrycznym syku zapaliła się żarówka. Jej światło przeszło przez dziurki w pomalowanej na czarno kuli i Katia zobaczyła, że jest otoczona gwiazdami, które lekko falowały na prześcieradłach poruszanych przeciągiem.

– Zobacz: ściągnęliśmy gwiazdki z nieba!

Powtórzywszy słowa ojca, Seb zaczął klaskać w dłonie i wyrzucać z siebie okrzyki radości, pytając ją przy tym uparcie, czy jej się podoba. A ona zdolna jedynie do szerokiego, niezbyt mądrego uśmiechu, kręciła się powoli wokół siebie, żeby objąć wzrokiem całą panoramę nieba. Światło padało na jej sylwetkę i gwiazdy odbijały się na jej twarzy. Czuła się jakby przeniesiona w inny świat, upojona, zachwycona... Zareagowała z przesadą: zrobiło jej się gorąco, zaczerwieniły jej się policzki i zaczęły ją piec oczy. Co, u diabła, się z nią dzieje?

Otrzeźwiło ją pociągnięcie za rękę.

– Chodź! Siadaj – domagał się Seb. – To był mój pomysł, żeby przynieść tutaj te poduszki, zobaczysz, jak fajnie się siedzi. Nawet spaliśmy tutaj z tatą.

Katia usadowiła się obok dziecka.

– Rzeczywiście bardzo wygodne i mięciutkie.

– Powiedzieć ci nazwy gwiazd? Tata mnie nauczył.

– Pamiętasz je wszystkie?

– Oczywiście! Ta tutaj to jest Taurus, tak Rzymianie mówili na byka, widzisz rogi? Na jednym z nich jest najjaśniejsza gwiazda, która nazywa się Alde... Aldera... Alderaban! Aldebaran! – Seb spojrzął kątem oka na ojca, który uśmiechnął się z aprobatą. – A tych dużo gwiazd u góry to są... Plejady. Jest ich więcej, niż powinno, bo za bardzo podziurawiłem papier. Jest tam też jedna bardzo jasna gwiazda, zrobiliśmy dla niej większą dziurkę. Teraz nie pamiętam jej nazwy. Po drugiej stronie jest Orion. – Pies uniósł uszy, usłyszawszy swoje imię. – To wojownik z pasem i łukiem. A to jest Ares. Tata mówi, że to koza, ale mnie przypomina laskę, nie uważasz? Są też Ryby, które wyglądają raczej na komety, a nie na ryby. Te wszystkie gwiazdy są bardzo dziwne.

– Tak, to prawda. Moglibyśmy się zabawić w układanie ich w nowe formy i nadać im nowe nazwy, co o tym sądzisz?

Seb miał właśnie zachwycić się tym pomysłem, kiedy Orion złapał poduszkę w zęby i zaczął się nią bawić; w końcu ją rozerwał.

– Och, zostaw to! Zostaw, Orion! – rozkazał mu chłopczyk.

Jednak pies, który nie za bardzo był przyzwyczajony do słuchania, wybiegł ze swoją zdobyczą na schody i pognał w dół.

Seb pobiegł za nim z krzykiem. Zamieszanie trwało kilkadziesiąt sekund, po czym na poddaszu zaległa cisza.

– Ściągnęliście gwiazdy z nieba... Czy to był pański pomysł?

Eric wyłonił się z drugiego planu, gdzie wołał się skryć, by z przyjemnością obserwować scenę.

– Porwanie poduszki nie zostało przewidziane.

Katia uśmiechnęła się. Eric podszedł do niej, siedzącej pośrodku tego zaimprovizowanego wszechświata.

– Nie jest to moskiewskie obserwatorium – powiedział już poważniejszym tonem. – Ale kiedy nic nie jest takie, jak było...

– Jest śliczne. Proszę ze mną usiąść i dalej pokazywać mi gwiazdy.

– Jestem przekonany, że pani już je wszystkie zna – zauważył Eric, zajmując miejsce syna, tuż przy niej.

Katia znowu spojrzała na prześcieradła upstrzone światełkami.

– Miałam profesora na uniwersytecie, który mówił, że trzeba by na nowo nazwać wszystkie konstelacje, bo w ogóle nie przypominają tego, jak się je nazywa. Dokładnie tak jak zasugerował Seb.

– Studiowała pani na uniwersytecie?

– Dwa lata. W Moskwie, na wydziale fizyki. Chciałam się specjalizować w astronomii, ale... – Wzruszyła ramionami, reszta była oczywista.

– Dlaczego zgłosiła się pani do wojska?

Katia westchnęła, wydało się, że nagle spochmurniała.

– Przepraszam, ja... nie chciałem być niedyskretny.

– Nie, nie. W porządku. Chodzi o to, że teraz to w sumie już prawie nie pamiętam. Teraz każda motywacja z tamtych czasów wydaje się zupełnie bzdurna. Nie wiem... Moja mama była bojowniczką w wojnie hiszpańskiej. Przypuszczam, że kobiety z mojej rodziny nie mogą usiedzieć z założonymi rękami. Może dlatego uznałam, że nie jestem w stanie chodzić codziennie na zajęcia, skoro moi koledzy narażają życie. Może chciałam pomścić śmierć Miszy i tylu innych. I chciałam, żeby wojna się skończyła jak najszybciej, żebym mogła przyjechać do Berlina i spotkać się z pańskim tatą.

– Ramiro opowiedział mi o medalionie. Cornelius nigdy mi o nim nie wspomniał. Tak naprawdę nie miałem z nim zbyt bliskich kontaktów. Teraz nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Mnie trochę wskazówek dał wuj, ale kiedy go zabito, cała odpowiedzialność spadła na mnie jak cegła. Ja też niewiele rozumiem i nie bardzo wiem, co robić.

Powiedziawszy to, Katia wydobyła medalion spod munduru i podała go Ericowi. Wziął go do ręki, czując dużo większą ciekawość, niż się spodziewał. Kamień ciągle zachowywał ciepło jej ciała. Poglądził go czubkami palców, starając się odgadnąć, dlaczego ten niepozorny i wytarty przedmiot powoduje tyle zamieszania.

– Przed rokiem zostałam postrzelona.

Ta nagła deklaracja, która wydawała się początkiem opowieści, natychmiast zwróciła uwagę Erica – oderwał oczy od medalionu i spojrzął na dziewczynę.

– To była moja pierwsza misja na froncie. Poczułam uderzenie tutaj, dokładnie pośrodku piersi. Wiedziałam, że zostałam trafiona i że umrę. Pewnie straciłam przytomność na kilka chwil, bo nie pamiętam dokładnie, co się potem wydarzyło. Wiem tylko, że obudziłam się rozciągnięta na ziemi, z silnym bólem mostka. Obmacałam się w poszukiwaniu rany, spodziewając się krwi na rękach, ale mundur był suchy, czysty. To było niemożliwe... Podparłam się wtedy i odkryłam, że mam dziurę w każdej warstwie materiału. Dziury po kuli. Domyśliłam się, że uderzyła w medalion, to było wręcz nieprawdopodobne, ale co innego mogło się wydarzyć? A jednak... proszę spojrzeć: jest nietknięty, podczas gdy ten pocisk powinien go skruszyć.

Eric znowu przesunął palcami po kamieniu, rzeczywiście, bez zadrapania.

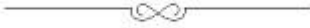
– Nie wiem, co to jest. Czy naprawdę przedmiot magiczny, czy tylko legenda, która zachwycała wielu ludzi przez pokolenia. Ale wiem, że uratował mi życie. Chociaż obawiam się, że teraz wziął je w posiadanie i może mi je odebrać w każdej chwili.

Eric słuchał jej zafascynowany pośród cieni i świateł, zadając sobie pytanie, jak to możliwe, że ta piękna twarz, tak delikatna, emanuje podobną siłą. Sama myśl o tym, że coś mogłoby odebrać jej życie... Serce mocno mu waliło, tak mocno, że obawiał się, że widać będzie to pulsowanie przez skórę, że będzie je słycać w ciszy, która zaległa między nimi. Miał ochotę wyrzucić medalion przez dziurę w dachu i żeby zostali tylko oni we dwoje, patrząc sobie w oczy. A jednak założył go z powrotem Katii na szyję.

Poczuła, jak jeży jej się skóra na karku; Eric dotknął jej, zakładając klejnot. Dziewczyna nie była w stanie oderwać spojrzenia od tych stalowych oczu, które patrzyły na nią intensywnie przez szkła okularów. Wzięła go za ręce i przytrzymała je przez chwilę, podczas gdy jego upstrzona gwiazdami twarz zbliżała się do jej twarzy. Zamknęła oczy i rozchyliła usta, wiedząc już, co się wydarzy; miała ściśnięty żołądek i lekko przyspieszony oddech z pożądania.

– Co za pies! Porwał całą poduszkę i wszędzie pełno pierza! Frau Krammer jest bardzo na niego zła. Chyba nie dostanie nic na kolację.

Wpadłszy z takim przemówieniem, Seb usiadł między nimi, wywołując przestraszanie; ich ręce nagle oddzielnie i pragnienie zawieszono w oddechu.



Katia bezszelestnie wsunęła się na pryczę Julii, przykryła się jej kocem i przytuliła się do jej pleców.

– Ci się dzieje, Wojkowa? – wyszeptała wyrwana ze snu dziewczyna. – Jest ci zimno?

Katia tylko jeszcze mocniej przytuliła się do przyjaciółki. Wiele nocy przespały razem, przede wszystkim pod gołym niebem, kiedy było zimno i wspólnie przykrywały się dwoma kocami, całkowicie przylegały do siebie, dzieląc się ciepłem i przeganiając strach i samotność.

– Julia... – szepnęła jej w kark; czubki kręconych włosów łaskotały jej nos. – Chyba się zakochałam.

Przyjaciółka odwróciła się do niej gwałtownie, prycza zaskrzypiała głośno w nocnej ciszy tego baraku pełnego śpiących. Jasne oczy Julii lśniły szeroko otwarte w ciemności, tak blisko oczu Katii, że aż trudno je było zobaczyć.

– Och, Katia... I dlaczego mówisz o tym, jakbyś podłapała jakąś chorobę? Skąd ten ton, ta smutna mina i to przygnębienie?

– Mogłabyś mi wybaczyć?

Julia pogładziła ją po policzku.

– Głupia... Cieszę się twoim szczęściem! Wiem, jak bardzo kochałaś mojego brata, ale już czas rzucić cumy i niech ten statek wypływa. Oleg to dobry człowiek, będziesz z nim szczęśliwa i da ci mnóstwo ślicznych małych rosyjskich dzieci.

Najchętniej nie wyprowadzałyby Julii z błędu. Tak by było prościej. Ale potrzebowała kogoś, kto ściągnie ją na ziemię, a Julia z pewnością to zrobi, dlatego że jest jej przyjaciółką, siostrą i dlatego że nienawidzi Niemców. To przez nich napatrzyła się na śmierć, wielokrotnie ludzie umierali na jej rękach.

– To nie Oleg.

Zaskoczona dziewczyna uniosła się lekko i spojrzała na Katię ze zmarszczonym czołem.

– On jest Niemcem.

– Co?! Katia, nie! Nie możesz zakochać się w Niemcu! Po tym wszystkim, co nam zrobili! Jak to możliwe? Jak do tego doszło? Nie, nie chcę tego wiedzieć... To się stało podczas tych twoich wycieczek po mieście, prawda? Wybierz to sobie z głowy! To szaleństwo, przez które będziesz tylko cierpieć! Niedługo nas zdemobilizują, wrócimy do domu i co będziesz robić? Lepiej, żebyś zdusiła w zarodku ten... kaprys.

– Wiem, wiem – przyznała Katia ze smutkiem. Julia wypowiadała jej własne wątpliwości, jej własne obawy; ale serce je ignorowało, choć rozum krzyczał. – Nie spotkam się z nim więcej, przysięgam ci. Przejdzie mi... Przejdzie... prawda?

Julia rozchmurzyła się, na jej twarzy pojawiło się niemal matczyne ciepło. Znowu ją przytuliła, pogłaskała; napięcie ustąpiło.

– Kochana... Oczywiście, że ci przejdzie. Nawet najgłębsze rany się zablizniają, a ty zostałam tylko drażnięta. To nie może być nic więcej niż zwykłe drażnienie.



GDZIE JA JESTEM?

Miałam koszmary. Nie zachowałam wyraźnych obrazów, ale pamiętam, że czułam się niespokojna i przestraszona. Znajdowałam się w zniszczonym i opuszczonym mieście, w mieście duchów, apokaliptycznym. Chodziłam wśród ruin przypominających bezzębne usta. Wszędzie pełno dymu, mgła i półmrok, jak w filmie noir. Szukałam kogoś, wołałam go. Nie pamiętam kogo. Byłam zrozpaczona, na granicy łez, widząc, że jestem sama. Wtedy spomiędzy ruin wyłoniły się wychudzone, wynędzniałe postaci. Kobiety, starcy i dzieci. Patrzyli na mnie z mieszaniną nienawiści i przerażenia. Potem pojawili się mężczyźni, żołnierze z twarzami pokrytymi pyłem i krwią, z zapadniętymi oczami. Szli szerokimi kolumnami wolnym krokiem pokonanych. Spojrzałam na ziemię: była zasłana trupami, porozrywanymi i popalonymi ciałami. Nagle okolica zarośla się od trupów. Pojawiały się w oknach, wisiały na latarniach, unosiły się wśród śmieci w kanałach. Przygnębiona znowu zawołałam to imię. Kogo wołałam? Nie wiem. Mój krzyk zwrócił tylko na mnie uwagę przerażonych spojrzeń i dziesiątek uszu. I jakbym opuściła swoje ciało, zobaczyłam siebie pośród tych ludzi; miałam na sobie radziecki mundur. Ale ta twarz nie była moja. „Katia?”, zawołałam. I ona się odwróciła.

Potem intensywne światło zalało moje sny. Tak intensywne, że paliło obrazy, które zniknęły jak ogień papierosa na fotografii. Wszystko było białe i lśniące, jakby oślepił mnie mocny reflektor. Dwie rozmazane postaci zaczęły zadawać mi pytania. Ja na nie odpowiadałam, ale ciężko mi było mówić. Miałam sucho w ustach i byłam bardzo zmęczona. Wypytywali mnie i wypytawali. Nie chciałam więcej mówić, ale nie dawali mi spokoju. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam nic zrobić. Chciałam tylko spać.



Pierwszym wyraźnym wspomnieniem jest widok okna. Po drugiej stronie padało i szyby pełne były kropelek, które wytyczały ścieżki wody na szkle. Dopiero co się obudziłam i byłam zdezorientowana. Przeszkadzało mi nawet mdłe światło wpadające przez okno. Zamrugałam kilka razy. Potrzebowałam okularów. Gdzie są moje okulary? Zaczęłam się leniwie poruszać, czułam, że jestem odrętwiała. Zaszleściła pościel. Biała pościel. Leżałam w łóżku. Rozejrzałam się wokoło: ściany w kolorze łososiowym, telewizor, drzwi... Chciałam się podnieść, ale poczułam bolesne szarpnięcie ręki. Miałam podłączoną kroplówkę. Jestem w szpitalu?!

Zaniepokojona zaczęłam obmacywać ciało. Natrafiłam na sondę w nosie i elektrody na piersiach. Co się dzieje? Poczulałam w sobie ogień, wpadłam w popłoch, zaczęłam tracić kontrolę nad sobą... mdliło mnie, ale nie miałam czym wymiotować. Byłam przerażona. Serce waliło mi jak oszalałe. Wtedy rozbrzmiał dzwonek. To mnie zdenerwowało jeszcze bardziej i chciałam zerwać te wszystkie kable i wstać z łóżka.

Pojawiła się pielęgniarka, która mi to uniemożliwiła.

– Co się dzieje? Gdzie ja jestem? Gdzie ja jestem? – zapytałam po hiszpańsku. To pierwszy język, do którego sięgam, kiedy jestem zdenerwowana. A w tamtej sytuacji byłam bardzo zdenerwowana.

Odpowiedziała mi po niemiecku. Cóż, wcale mi nie odpowiedziała, może dlatego, że mnie nie rozumiała, może dlatego, że się jej nie chciało. Prosiła, żebym się uspokoiła, na powrót kładąc mnie do łóżka i wyłączając dzwonek. Znowu zaprotestowałam, wtedy już po niemiecku.

– Nie! Chcę wiedzieć, gdzie jestem! Czy to szpital? Dlaczego jestem w szpitalu? Chcę

zobaczyć lekarza! Proszę wezwać lekarza!

Nowy atak mdłości przerwał moje krzyki. Te suche spazmy zgięły mnie wpół i z oczu popłynęły mi łzy. Kompletnie straciłam nerwy. Znowu chciałam wyrwać sobie kable i sondy, żeby wstać z łóżka i przynajmniej pójść do toalety. Pielęgniarka siłowała się ze mną, żeby nie pozwolić mi wstać. W tej chwili pojawiła się druga pielęgniarka i omijając cały ten galimatias złożony z kabli, pacjentki i pielęgniarki, wprowadziła zawartość strzykawki w mój nadgarstek.

Więcej nie pamiętam.



Wyłaniałam się z czarnej otchłani i trwało to trochę, zanim zaczęłam rozpoznawać obrazy wokół siebie. Słońce mnie raziło, czułam piasek pod powiekami. Mój wzrok krótkowidza odróżniał tylko rozlane plamy bez konturów: sylwetka istoty ludzkiej, twarz, kobieta, dziwny uśmiech.

– No proszę, już się pani obudziła – powiedział jakiś głos, znowu po niemiecku.

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu. Zasłabła pani na lotnisku i tutaj panią przywieziono.

– Na lotnisku? – Nic nie pamiętałam. Czułam się tak, jakby mój mózg zamienił się w korek, bolała mnie głowa.

Pielęgniarka – a przynajmniej wyglądała na pielęgniarkę – zmierzyła mi ciśnienie. Potem latarką zaświeciła mi w oczy. Zamrugałam, żeby uniknąć światła.

– Wiem, to bardzo nieprzyjemne, ale proszę wytrzymać chwilkę, to tylko sekundka.

Pamięta pani, jak się nazywa?

– Tak... Ana.

– A nazwisko?

– García-Brest.

– Dobrze.

– Dlaczego tu jestem?

– Już pani mówiłam: zemdląca pani na lotnisku. Zrobiliśmy pani badania.

– Ale na jakim lotnisku? Nie pamiętam...

– W Zurychu. Pamięta pani, że była w Zurychu?

Przytaknęłam wciąż zdezorientowana. Tak, pamiętałam, pamiętałam dom Konrada i samochód. Nie czułam się dobrze w samochodzie. Ale lotnisko...

– Proszę się nie martwić, wszystko jest w porządku. Teraz proszę spróbować odpocząć. Tak, odpocząć. Jest pani bardzo zmęczona.

Zamknęłam oczy i zasnąłam.



– Dlaczego tu jestem? Chcę się zobaczyć z lekarzem.

Nie była to ta sama pielęgniarka co poprzednim razem. Chociaż też się uśmiechała, kiedy uwijała się wokół mnie.

– Oczywiście, niedługo przyjdzie lekarz. Proszę odpoczywać.



– Lekarz wszystko pani wyjaśni, proszę się nie niepokoić. Teraz musi pani odpocząć.

– Nie, nie, nie jestem zmęczona. A mój telefon? Muszę zadzwonić, muszę przekazać wiadomość, że tu jestem.

– Proszę się uspokoić, przyniosę go pani.
Zamknęłam oczy. Naprawdę byłam zmęczona.



Lekarz. Telefon. Dlaczego tutaj jestem? Co się dzieje? Muszę zadzwonić. Muszę powiadomić rodziców. I Teo... Na pewno się martwi. I Martina... Martin też jest w szpitalu. Chcę rozmawiać z lekarzem. Mam się dobrze. Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczona. Chcę iść do domu.

Spokojnie. Proszę odpocząć. Proszę odpocząć. Proszę odpocząć.



MAJ 1945

Radziecka Administracja Wojskowa w Berlinie musiała liczyć na sieć mieszkańców, która wprowadzi przyjęte środki i będzie rzecznikiem radzieckiej władzy. Takie zaufane osoby miały ponadto pomagać w identyfikowaniu dawnych nazistów, członków NSDAP, ale też tych, którzy walczyli w niemieckim wojsku. Dlatego stworzono listę kryteriów, żeby określić, którzy Niemcy mogą zostać uznani za godnych zaufania. Najlepszymi kandydatami – i oni zdobyli najważniejsze stanowiska – byli ci, którzy należeli do antyfaszystowskich organizacji i okazali silny opór wobec nazistowskiego reżimu. Z drugiej strony, żeby móc pracować z Sowietami, wystarczyło nie być członkiem NSDAP ani Hitlerjugend. Intelktualiści, inżynierowie, lekarze, nauczyciele i robotnicy, którzy chociaż należeli do partii, to nie odgrywali w niej aktywnej roli, także byli uznawani za odpowiednich do współpracy z Sowietami.

Dlaczego, do diabła, go wypuściliście? I nie opowiadaj mi tu, że to nie twoja kompetencja, guzik mnie to obchodzi! Ty musisz to wiedzieć!

Katia wykrzyczała się na Olega. Była w furii i co gorsza, była wystraszona. Strach, bardziej niż oburzenie, sprawił, że traciła nerwy.

Tego poranka dowiedziała się, że uwolniono Petera Hankego. Jakaś sekretarka ze Smiersza, która dzieliła z nią barak w koszarach, wyjawiała jej to podczas śniadania. W pierwszej chwili nie uwierzyła w tę wiadomość. Ta kobieta musiała się mylić. Dlatego udała się bezpośrednio do biur Smiersza, żeby potwierdzić, że to pomyłka, że Hanke dalej jest uwięziony, nie mogło być inaczej.

Tam porozmawiała z sierżantem, ohydny typem, jednym z tych, którzy myślą, że kobiety nie nadają się do wojska. Nie odesłał jej z kwitkiem, bo szacunek dla jej stopnia nie pozwalał mu na to, ale potraktował ją z wyższością. Jakby musiał sięgać do niespożytych pokładów tolerancji, żeby zwracać się do niej, ograniczył się do powiedzenia, że to sprawa NKWD i żeby z nimi gadać o wypuszczeniu tego faceta.

Poza Olegiem nie знаła w NKWD nikogo. Jeśli pojawi się tam po dobroci, potraktują ją z takim samym lekceważeniem jak ten sierżant ze Smiersza. Kim ona jest, zwykła strzelec wyborowa, żeby żądać wyjaśnień od NKWD?

Teraz Oleg znosił konsekwencje frustracji i niemocy, które zaćmiewały jej rozum. Na ataki Katii zareagował zdumieniem. Miał nadzieję, że niespodziewana wizyta dziewczyny w jego pokoiku zapowiada kolację przy świecach dla dwojga, a po niej długą noc miłości, i w żadnym razie nie spodziewał się tego, że będzie musiał stawić czoło rozszoszczonej smarkuli i udzielić wyjaśnień na temat, który z jakichś powodów bardzo był dla niej ważny.

– Ale to leży poza moimi kompetencjami, Katia. I nie wiem, dlaczego traktujesz mnie, jakbym to ja był temu winny.

Katia prychnęła, co pomogło jej się uspokoić.

– Masz coś do picia?

– Wódkę.

– No jasne... Dobra, napijmy się tej cholernej wódki.

Oleg wyciągnął butelkę z szuflady biurka, otrzepał pył ze szklanki stojącej pośród papierów i napełniwszy ją, podał Katii.

– Mam pić sama?

Pułkownik pokazał jej butelkę.

– Nie mam więcej szklanek.

Odruchowo wzniesli toast. Oleg ledwie zamoczył usta, Katia wypła do dna, lekko się krzywiąc. Jak ona nie zносиła wódki!

Dziewczyna padła na pierwsze krzesło w swoim zasięgu. Oleg usiadł naprzeciwko niej.

– Co się z tobą dzieje? – Wziął ją za rękę w geście czułości. – Dlaczego jesteś taka zdeenerwowana? To tylko jakiś Niemiec, codziennie aresztujemy jednych i wypuszczamy drugich.

Peter Hanke nie był zwykłym Niemcem, to był Niemiec, który zabił jej wujka i próbował zabić ją; to był Niemiec, który przy najbliższej okazji znowu spróbuje ją zabić. Ale nie mogła tego powiedzieć Olegowi, nie wspominając o medalionie.

– To gestapowiec! – rzuciła. – Czy wyście zapomnieli, co to oznacza? Macie obozy jenieckie pełne dzieciaków, które ledwie są w stanie utrzymać karabin, a uwalniacie gestapowca? Co to za bezsens?

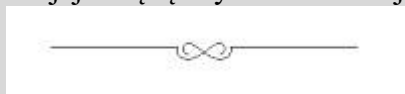
– Ten funkcjonariusz Gestapo szpiegował na rzecz Związku Radzieckiego. Sprawdziliśmy to w moskiewskich archiwach.

Adrenalina, która podtrzymywała furię Katii, gwałtownie opadła.

– Co?

– Pojawia się na liście agentów zagranicznych między 1942 a 1944. Regularnie przysyłał wiadomości na temat operacji niemieckiego wywiadu przeciwko naszym siatkom informacyjnym. Z całą pewnością jego akta nie są do końca czyste, ale trzeba być praktycznym. Nie został uwolniony za darmo. Musi zapłacić konkretną cenę. Ten facet zna nazwiska, daty, fakty i dobrze porusza się po Berlinie. Jeśli chcemy złapać winnych tego wszystkiego, jego pomoc może być dla nas bardzo użyteczna.

Argumenty Olega brzmiały w jej głowie jak echo, już ich nie słuchała. Mogła tylko myśleć o groźbie, która zaczynała ją osaczać, o zaułku bez wyjścia, w którym, jak czuła, niedługo się znajdzie. Czy sama musi skończyć z Peterem Hankem celnym strzałem, jak to znakomicie potrafi robić? Nie można strzelać do cieni. Musi ostrzec Ramira. Tylko on potrafi zrozumieć jej udrękę. Tylko on może jej pomóc.



Katia dotarła do domu antykwariusza zdyszana. Przez całą drogę biegła, targała nią emocje. Obiecała, że nie wróci, ale zmieniły się okoliczności. Dlatego miała nadzieję nie spotkać tam Erica Althanna, mimo że w głębi duszy pragnęła tego. Zobaczyć go choć na chwilę, pochwycić jedno ulotne spojrzenie, ostatni łyk w oazie przed wyruszeniem na pustynię, w której postanowiła się zanurzyć dla własnego dobra.

Teraz, kiedy Peter Hanke znowu stał się dla niej zagrożeniem, niemal dziękowała za to, że inne problemy zajmują jej myśli, w ten sposób łatwiej jej będzie zapomnieć o Ericu, zapomnieć o wszystkim. W przypiływie rozpacz, gdy poczuła, że nie wytrzyma już więcej strachu, beznadziei i rozczarowania, przyszło jej nawet do głowy, że zanieśie medalion do domu antykwariusza, odwróci się na pięcie i spuści zasłonę na ten etap życia, żeby uwolniona od ciężaru móc zacząć następny, nowy, gdzieś daleko.

Ramiro otworzył drzwi z tak zmartwioną miną, że Katia od razu przestała fantazjować.

– Zabrali Erica.

Mieszkańcy domu zgromadzili się w salonie. Wciąż byli poruszeni niespodziewanym pojawieniem się żołnierzy, samą sceną zatrzymania, z której nie mogli wywnioskować, kim jest

Eric i dlatego go zabrano.

Tylko Ilse wydawała się niewzruszona, milcząca siedziała w kącie. Nie musiała otwierać ust, wszyscy wiedzieli, że się tego spodziewała, bo przez cały czas Eric był dla niej podejrzany.

– To się wydarzyło dosłownie przed chwilą – powiedział Ramiro. – Nie dalej jak pół godziny temu. Przyszło czterech żołnierzy, dwóch miało pistolety maszynowe, jakby się spodziewali plutonu uzbrojonych partyzantów. Pozostali dwaj, oficerowie, nosili niebieskie spodnie...

– NKWD – dodał Herr Krammer. – Kapitan i pułkownik, widziałem ich dystynkcje. Trzy gwiazdki i dwie belki u pułkownika i cztery gwiazdki i jedna belka u kapitana – pochwalił się starszyk swoją wiedzą i spojrzał na Katię, jakby czekając na uznanie, a ona skinęła głową.

– Ciekawe jest to – ciągnął Ramiro – że znali Erica. Przynajmniej jeden z nich...

– Pułkownik – znowu zauważył Krammer.

– Tak. Powiedział do niego: „Herr Doktor Althann, nie sądziłem, że jeszcze się zobaczymy”. Potem zaczęli rozmawiać po rosyjsku, Eric mówi biegle w tym języku. Rozmowa była spokojna, nikt nie stosował przemocy, nikt w żadnym momencie nawet nie podniósł głosu. Eric... Cóż, nie był zadowolony, oczywiście, ale wydawał się z tym pogodzony, jakby w sumie się ich spodziewał. To było bardzo dziwne.

– Chłopak jest naukowcem, to oczywiste. A Rosjanie jak szaleni szukają naukowców, bo oni znają sekrety niemieckiej broni. Dlatego go zabrali.

Herr Krammer miał rację. Katia, słuchając ich relacji, nabierała pewności, że ten pułkownik to Oleg, jeden z Rosjan szukających – mówiąc słowami starszka – naukowców jak szaleni.

– Gdzie jest Seb?

– Na poddaszu – odparł Ramiro. – Dzieciak nic nie rozumiał. Był przy tym, widział, jak zabierają ojca, nic nie rozumiał... Kiedy się z nim żegnał... To była jedyna chwila, kiedy myślałem, że Eric się rozsypie.

– Biedne dziecko – po raz pierwszy wtrąciła się Frau Krammer. – Stracił matkę, a teraz to... Pęka mi serce.

Światło słoneczne wlewało się na poddasze przez okno w dachu i gwiazdy z projektora lśniły tak słabo, że były ledwie widoczne na prześcieradłach. Tylko brzęczenie żarówki pozwalało się zorientować, że jest zapalona.

Seb siedział pod tym przygaszonym niebem i głaskał po głowie wiernego Oriona, z kłapiętymi uszami i smutnymi oczami. Ten widok utwierdził Katię w tym, co tyle razy słyszała: psy z łatwością wyczuwają ludzkie cierpienie.

– Cześć, Seb.

Chłopiec uniósł wzrok. Był spokojny, ale jego policzki zdradzały, że niedawno płakał.

– Cześć.

Katia usiadła obok niego i w ciszy przyłączyła się do głaskania psa.

– Taty nie ma – oznajmił Seb po chwili cienkim głosem, ze wzrokiem utkwionym w grzbiet psa. – Poszedł z tymi ludźmi.

– Wiem.

– Mieli karabiny. – Popatrzył na nią szklanymi oczami, pełnymi niepokoju. – Ci ludzie mieli karabiny. Tata mi obiecał, że nie umrze, że zawsze będzie ze mną.

– On nie umrze, Seb, nie myśl o tym. – Ujęła z czułością jego rękę. – Słuchaj, ja znam tych ludzi. Oni nie skrzywdzą twojego taty. Nie musisz się martwić tym, że mają karabiny. Ja też mam pistolet, widzisz? – Pokazała mu kaburę wiszącą u pasa. – Teraz używamy broni tylko do chronienia ludzi.

Chłopak spuścił głowę. Argumenty Katii go nie przekonały.

– Tak, ale jeśli nie wróci? Jeśli nie wróci, będzie tak, jakby umarł. Co ja zrobię sam? Nawet nie umiem dobrze zawiązać butów.

Wzruszona Katia przytuliła chłopca. Chciałaby go zapewnić, że wszystko będzie dobrze, że niedługo spotka się z tatą, ale nie mogła mu dawać fałszywej nadziei.

– Tata tak bardzo cię kocha, że teraz na pewno myśli tylko o tobie. Musisz być dla niego silny, Seb. I pamiętaj, że nie jesteś sam. Masz Ramira i Ilse, Krammerów, Oriona i masz mnie. Zajmiemy się tobą do powrotu taty.



– Możesz mu pomóc? Możesz coś dla niego zrobić?

Ramiro podszedł do niej, kiedy schodziła po schodach. Katia, poruszona smutkiem Seba, pokręciła przecząco głową.

– Spróbuję się dowiedzieć, o co chodzi. Tylko tyle mogę zrobić. Ale jeśli NKWD jest w to zamieszane, sprawa musi być poważna. Słuchaj, Ramiro – wzięła go pod ramię – mamy inny problem: wypuścili Hankego. Przyszłam, żeby ci o tym powiedzieć. W sumie, jak się teraz zastanawiam, nie dziwi mnie wcale, że wydał Erica. NKWD wypuściło go na wolność w zamian za informacje, które może dostarczać, a cwany gestapowiec z pewnością doskonale wie, kim jest syn Corneliusa Althanna. Może ze strachu widzę duchy wszędzie, gdzie się obejrzę, ale wydaje mi się, że ten bydlak Hanke tym razem będzie ostrożniejszy. Przypuszczam, że planuje załatwić nas wszystkich po kolei.

– Jak?

– Nie wiem, ale uważam, że to jest dopiero początek, jego pierwszy ruch w ciemności.

– Masz go ze sobą? – zapytał szeptem, spoglądając na piersi dziewczyny, jakby wyobrażał sobie medalion pod mundurem.

– Nie. Zostawiłam go w koszarach. Wiem, to nie jest najlepszy wybór, ale skoro Hanke wyszedł na wolność, noszenie go przy sobie przestało być bezpieczne. A przynosząc go tutaj, naraziłabym was wszystkich na zbyt duże ryzyko.

Ramiro odnosił wrażenie, że te wszystkie problemy zaczynają go przerastać. To było tak, jakby żonglował coraz większą liczbą piłeczek i każda nowa groziła upuszczeniem wszystkich pozostałych, świadomy, że na koniec nie będzie w stanie utrzymać żadnej.

– Katia, ja muszę wyjechać z Berlina. Sytuacja tutaj jest rozpaczliwa. Chcę wrócić do Hiszpanii. Natychmiast. Kiedy tylko pojawi się możliwość. Choćby jutro. Ilse pojedzie ze mną, ty też się z nami zabierz. To jedyny sposób na uwolnienie się od Hankego.

– Nie mogę, Ramiro. – W jej głosie wybrzmiewała desperacja. – Już o tym rozmawialiśmy. Nie mogę. Czy nie rozumiesz, że to by była dezercja?

– Na pewno coś można zrobić. – Nagle zaczął mówić tak, jakby poczuł się silny i wściekły. – Jeśli o mnie chodzi, nie pozwolę, żeby ten medalion zabrał choćby jeszcze jedno życie. Cholera, nie zapłacimy tej ceny! Ani ty, ani nikt inny! Prędkiej wrzucę go do kanału, niż na to pozwolę, zapewniam cię.

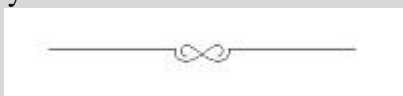


WSZYSTKO ZAMAZANE. CIĄGLE ZAMAZANE

Zachowałam wystarczającą jasność umysłu, żeby zdawać sobie sprawę z tego, jak dziwna jest ta sytuacja. Nie potrafiłam ocenić, od jak dawna znajduję się w szpitalu. Ile dni minęło? Musiały to być dni. Nie obejrzał mnie żaden lekarz. Nikt mi nic nie powiedział. Chcieli tylko, żebym odpoczywała. Byłam zmęczona, to prawda, ale nikt nie mówił mi dlaczego. Nikt nie dawał mi lekarstw. Dlaczego nie pozwalali mi używać telefonu? Dlaczego nie powiadomili rodziny?

Nie, nic z tego nie było normalne. Nawet to zmęczenie. To poczucie ciężaru w ciele i w głowie. Ciągle w półśnie. Czułam się jak naćpana. Naćpana.

Spojrzałam na rurkę podłączoną do kroplówki. Niezgrabnym ruchem ją złapałam i odłączyłam.



Obudziłam się z n-tego snu. Panowała noc. Za oknem było widać światła. Półmrok spowijał pokój oświetlony tylko jarzeniówką u wezglowia łóżka.

Zauważyłam, że głowę i ciało mam lżejsze. Czułam się lepiej, mogłam myśleć jaśniej. Kroplówka ciągle była odłączona.

Moje podejrzenia się potwierdziły. Faszzerowali mnie jakimiś prochami.

W ogóle nie pamiętałam lotniska. Ale pamiętałam, że poczułam się źle w drodze na lotnisko. I pamiętałam, że byłam u Konrada.

Przebiegły mnie ciarki – ze strachu, z odrazy, a zwłaszcza ze wzburzenia. Musiałam stamtąd wyjść. Spojrzałam na pustą szafkę nocną. Gdzie są moje okulary?

Wstałam z łóżka i natychmiast poczułam, jaka jestem słaba. Niemal upadłam na podłogę, nogi miałam jak z galarety. Przytrzymałam się łóżka, żeby opanować zawroty głowy. Zamazane obrazy nie pomagały, potrzebowałam okularów. Chwiejnym krokiem podeszłam do szafy. Spodziewałam się znaleźć tam swoje ubranie i torebkę, ale była pusta. Nie miałam w co się ubrać ani nie miałam butów, ledwie widziałam, nie mogłam do nikogo zadzwonić, żeby poprosić o pomoc, zabrali mi dokumenty, pieniądze, karty kredytowe... Zamknęli mnie w tym pokoju jak w więzieniu bez krat. Spojrzałam na drzwi, nie sądziłam, by były otwarte. Wtedy znowu osłabły mi nogi i usiadłam pod otwartą szafą. Zatopiłam głowę między kolanami. Zimny pot zalewał mi ciało. Serce biło bardzo szybko. Zemdliło mnie, więc powlokłam się do łazienki. Z głową nad muszlą klozetową wywracałam się na lewą stronę, ale bez efektu. Mimo to nieco mi ulżyło. Znowu zebrałam siły, żeby wstać, i przemyłam twarz zimną wodą. Poczułam się trochę lepiej.

Opierając się na wszystkim, co miałam po drodze, skierowałam się do drzwi i nacisnęłam klamkę. Były otwarte. No tak, po co miałiby je zamykać, skoro wiedzieli, że nie jestem w stanie stamtąd uciec. Ta myśl niemal doprowadziła mnie do łez rozpaczy.

Znowu usiadłam na podłodze i oparłam się o ścianę. Przypominając sobie z moich nielicznych lekcji jogi kontrolowanie oddechu, wykonałam ćwiczenie, żeby się uspokoić i wrócić do normalnego rytmu serca. Początkowo nie szło mi dobrze, ale stopniowo cykl zrobił się płynny. Wdech... Wydech... Wdech... Wydech...

Nie mogłam się poddać. Musiałam stamtąd wyjść. Udało mi się odłączyć od kroplówki i wstać z łóżka. To był krok naprzód. Powinnam czuć się coraz lepiej. Tyle że nie mogłam czekać. Była noc, dlatego nikt się nie pojawił, ale niedługo wrócą i znowu mnie podłączą do kro-

plówki, może nawet z silniejszą dawką, żebym nie mogła się od niej uwolnić. Poddać się jest gorzej, niż próbować i przegrać. Muszę tylko wyjść na ulicę. Jak się tam znajdę, poproszę o pomoc pierwszą napotkaną osobę. Muszę spróbować.

Wstałam i wyjrzałam przez uchylone drzwi. Ciągłe widząc wszystko zamazane, sprawdziłam, że korytarz jest pusty. Po lewej nie było wyjścia, a z prawej dochodził szmer rozmowy, co kazało mi przypuszczać, że tam znajduje się stanowisko pielęgniarek. A jednak udałam się w tamtą stronę, przyklejona do ściany, próbując zachować równowagę. Znowu tętno mi podskoczyło i wydawało mi się, że bicie mojego serca niesie się po całym korytarzu.

W miarę jak posuwałam się naprzód, słyszałam rozmowę coraz wyraźniej. Dostrzegłam błysk światła o kilka metrów przed sobą, dokładnie w miejscu, gdzie, jak mi się wydawało, odchodził boczny korytarz. Cholera, jak bardzo brakowało mi okularów! Zatrzymałam się. Cicho dyszałam, mimo że przeszłam zaledwie kilka kroków. Zwątpiłam, że mi się uda, przecież nie wiedziałam, gdzie są wyjście, winda, schody! Nawet jeśli dojdę do dyżurki pielęgniarek, tam mnie zatrzymają, nie zdołam się prześliznąć. Zamknęłam oczy, plecy mocno wsparłam o ścianę. Wzięłam jak najgłębszy oddech, wraz z którym przybyło mi determinacji. Nie poddam się!

Skierowałam się ostrożnym krokiem do tego bocznego korytarza, żeby nie natknąć się na pielęgniarki. Modliłam się w duchu, żeby się okazało, że wybrałam dobrą drogę. Minęłam jakieś tabliczki informacyjne wiszące na ścianie; mocno wysiliwszy wzrok, najpierw zorientowałam się, że są po niemiecku, a potem trochę przeczytałam, a trochę się domyśliłam: Pokoje parzyste 210–220; Pokoje nieparzyste 211–221; Gabinety zabiegowe 01, 02 i 03; Laboratorium; Dyżurka pielęgniarska; Windy; Schody; Wyjście bezpieczeństwa.

Kurwa! Pielęgniarki i wyjście były po tej samej stronie!

– Przepraszam! Co pani tu robi?

Odwrociłam się zaskoczona. Zielona plama zmierzała w moim kierunku. Nie zastanawiając się, pobiegłam ile sił w nogach, ale okazało się, że to znacznie dalej, niż się spodziewałam. Biegłam, potykając się, nie wiedząc, dokąd biegnę, słysząc za sobą kroki i donośne głosy. Wpadłam na wózek, odepchnęłam go i kontynuowałam swój ślepy marszobieg. Skręciłam, zła decyzja, nie było wyjścia.

Ktokolwiek mnie gonił, zbliżał się. Pośpieszne kroki odbijały się na posadzce. Nie mogą mnie złapać! Nie tak szybko! Nie dopuszczałam takiej możliwości. Zaczęłam sprawdzać, czy uda mi się otworzyć któreś drzwi na tym korytarzu, aż w końcu jedne ustąpiły. Zamknęłam je za sobą.

W tamtej chwili serce niemal wyskakiwało mi z piersi. Rozejrzałam się wokoło z nieprzyjemnym uczuciem dezorientacji, od którego nie mogłam się uwolnić. W ciemności wydawało mi się, że rozpoznaję wózki; otaczały mnie ze wszystkich stron. Leżały na nich worki z ubraniami, sądząc po dotyku. Szukałam po omacku jakiegoś wyjścia, przynajmniej kryjówki. Zza drzwi dobiegały coraz wyraźniejsze głosy; ktoś jeszcze dołączył do pościgu. W końcu odkryłam metalowe drzwiczki w ścianie, kwadratowe, mniej niż metr szerokości. Głosy się zbliżały. Tak jak ja przed chwilą sprawdzali klamki wszystkich drzwi. Nie miałam czasu.

Otworzyłam drzwiczki, za nimi znalazłam dziurę o średnicy może siedemdziesięciu centymetrów. To musiał być szyb do zrzucania worków z brudną bielizną. Próba ześlizgnięcia się przez tę czarną dziurę była szaleństwem. Mogłam się zaklinować; może ten otwór, już i tak wąski, zwężał się jeszcze bardziej. Poza tym kto wie, gdzie kończy się ta rura. Na pewno w jakimś miejscu, gdzie spadając, skręć sobie kark. Nie mogłam się tam rzucić, strasznie się tego bałam. Do cholery! Nigdy nie lubiłam rollercoasterów ani wodnych zjeżdżalni, ani żadnej innej rzeczy z tych, od których żołądek podchodzi do gardła.

Kliknięcie drzwi przerwało moje rozmyślenia. Bez zastanowienia wskoczyłam do dziury

nogami do przodu, z zamkniętymi oczami, hamując krzyk rodem z wesołego miasteczka, który przynosi ulgę w napięciu i przerażeniu. I zjeżdżałam w sposób niekontrolowany po ocierającej mi skórę powierzchni z wypolerowanej stali. Kilka sekund później, które wydawały się wiecznością, wylądowałam na stercie worków z brudami i potoczyłam się bezwładnie jak dmuchana lala. Całe szczęście, że miałam pusty żołądek, bo wyrzuciłabym z siebie wszystko do cna.

Czułam się upojona niczym górnik z Alaski. Z trudem się podniosłam i sprawdziłam, czy jestem cała. Poza otarciami na łokciach i poślądkach nic mi się nie stało. Wystawiłam głowę pomiędzy worków. Znowu wyteżyłam do granic moje biedne krótkowzroczne oczy, żeby zbadać otoczenie.

Wielkie maszyny, wózki, półki z poskładanymi ubraniami... Byłam w pralni. Rozejrzałam się w poszukiwaniu wyjścia i dostrzegłam drzwi po drugiej stronie pomieszczenia, przy których widniał jakiś zamazany znak; przeczytać z takiej odległości niczego nie jestem w stanie, ale założyłam, że to musi być wyjście awaryjne. Przy pralkach kręciły się dwie osoby, ale znajdowały się daleko od drogi, która mogła mnie doprowadzić do tych drzwi. Zeskoczyłam z góry brudnych ubrań jak żołnierz wyskakujący z okopów, tyle że z większym strachem niż odwagą i z miękkimi nogami, które nie wiedziałam, dokąd mnie poniosą.

Biegłam pochylona do pierwszego stanowiska: wózka przy półkach z czystymi ubraniami. Robotnicy w ogóle nie zwrócili na mnie uwagi, byli skupieni na pracy, nieświadomi mojej obecności. Wtedy przyszło mi do głowy, że mogłabym się przebrać – zostawić tę okropną szpitalną koszulę nocną, która ledwo zasłaniała mi tyłek, i włożyć coś bardziej godnego, żeby nie wyglądać jak uciekinierka z domu wariatów. Złapałam zielone spodnie i biały kitel. Co do bosych nóg, miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

Przebrawszy się, zrobiłam jeszcze kilka podbiegów i w końcu dotarłam do drzwi awaryjnych. Otworzyłam je powoli i wyszłam.

Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście: znalazłam się na zewnątrz! Wciągnęłam świeże powietrze do płuc z takim impetem, że niemal się nim zatrulałam. Byłam osłabiona, zdenerwowana, kręciło mi się w głowie. Miałam ochotę od razu się położyć i krzyczeć o pomoc. Ale nie mogłam jeszcze odtrąbić sukcesu, ciągle przebywałam na terenie szpitala otaczającym główny budynek. Ogrodzenie było dość blisko, tak więc zebrałam się w sobie i ruszyłam w jego stronę po zimnym kamienistym podłożu; mała tortura dla moich bosych stóp. Potem idąc wzdłuż ogrodzenia, dotarłam do bramy, którą przekroczyłam bez kłopotów. Teraz tak. Byłam za zewnątrz. I szybko, jakby mnie goniono, poszłam przed siebie, niezadarnymi krokami, które nie chciały zamienić się w bieg.

Po kilku metrach zatrzymałam się, dysząc z wysiłku. Zbadałam okolicę: pusta, cicha, niepokojąca. Była to dzielnica willowa, w środku nocy nikt tu nie chodził po ulicach. Sygnalizacja działała, ale na zielonym nie przejeżdżał żaden samochód. Ruszyłam w dół zbocza, w stronę świateł miasta, które lśniły na horyzoncie; zataczałam się jak pijana. Zaczynałam czuć przenikliwie zimno, rozchodzące się od stóp po całym ciele. Doszłam do ronda i zobaczyłam drogowskazy, ale nie mogłam przeczytać napisów, co niemal doprowadziło mnie do łez. Przeszłam przez ulicę i stanęłam na trawniku, jak najbliższej znaków. W końcu udało mi się przeczytać: „Zentrum 12 km”.

To niemożliwe... Nie miałam siły, żeby przejść dwanaście kilometrów, jeszcze do tego boso. Szczękałam zębami i mdliło mnie. Usiadłam na wilgotnej trawie, objęłam rękami kolana i zatopiłam głowę między nimi, nie byłam zdolna do podjęcia żadnej decyzji.

Nie pamiętam, ile czasu tak siedziałam, zdana na łaskę tego, co się wydarzy, aż w pewnej chwili w tym letargu dotarł do mnie warkot silnika samochodu. Uniosłam głowę.

– Czy wszystko w porządku? Potrzebuje pani pomocy?

Nie odpowiedziałam natychmiast. Próbowałam przetworzyć napływające do mojego mózgu informacje: język, sytuacja, ciemny sedan, męczyzna patrzący na mnie przez okno samochodu... Wszystko zamazane. Ciągłe zamazane.

– Potrzebuje pani pomocy?

Potrzebowałam. Ten facet o rozmazanej twarzy mógł być gwałcicielem, handlarzem organów. Mój trup mógł skończyć w kanale albo pocięty na kawałki w śmietniku... Ale potrzebowałam pomocy.

– Tak... Naćpali mnie... i okradli... Może mnie pan zawieźć do centrum? Na komisariat?

– Oczywiście. Proszę zaczekać, podam pani rękę.

Wysiadł z samochodu i pomógł mi zająć miejsce na przednim fotelu, nawet zapiął mi pas. Uczynny, miły. Niemal się rozplakałam, gdy poczułam miękką tapicerkę i ciepłe powietrze owiewające mi stopy i rozgrzewające całe ciało. Zasnęłabym od ręki.

Kierowca ruszył. Musiał być mężczyzną w średnim wieku: siwe włosy i broda. Mówił coś do mnie. Miał miły głos, hipnotyzujący. Ja jednak byłam zbyt oszołomiona, żeby go zrozumieć, żeby odpowiedzieć mu po niemiecku, żeby stworzyć spójną opowieść o tym, co mi się przytrafiło. Porwano mnie? Uwięziono w szpitalu? Kto uwierzy w podobną historię?

– Przepraszam... Przepraszam... Nic nie pamiętam... – zaczęłam się tłumaczyć.

– Proszę się nie martwić. Najgorsze już za panią – pocieszył mnie.

W którym momencie zdałam sobie sprawę, nie wiem. Może kiedy samochód zawrócił na rondzie. Może kiedy spostrzegłam, że światła miasta, do których mieliśmy się zbliżać, zaczęły się oddalać. Potem zwróciłam uwagę na plastikową kartę leżącą w korytku przy dźwigni zmiany biegów. Typowa przepustka na pasku. Rzecz jasna bez okularów nie byłam w stanie niczego przeczytać, ale udało mi się rozpoznać niebieskie logo, wielkie, w rogu. Wydało mi się, że jest takie samo jak to, które miałam na opasce w szpitalu. Z którego właśnie uciekłam...

Wtedy zrozumiałam, że wracamy. Miałam pecha, że trafiłam na kogoś, kto tam pracuje i kto zobaczywszy mnie w takiej sytuacji, domyślił się, że stamtąd uciekłam. Poczułam uderzenie adrenaliny. Siedziałam w milczeniu, napięta, ze wzrokiem utkwionym przed siebie; nie chciałam, żeby się domyślił, że odkryłam podstęp. Musiałam się wydostać z samochodu. Ukradkiem odpięłam pas.

Z desperacji byłam gotowa wyskoczyć w biegu, ryzykując życie. Na szczęście czerwone światło mi pomogło. Najszybciej jak pozwalała mi niezdarność, otworzyłam drzwi i rzuciłam się w stronę drzew porastających zbocze przy szosie.

Wiedziałam, że zaskoczyłam kierowcę, bo dopiero po kilku sekundach usłyszałam trzasknięcie drzwi i wołanie. Rzuciłam okiem przez ramię, biegnąc przed siebie pośród zarośli. Facet szedł za mną. W ciemności i bez okularów ledwie widziałam, którądy idę. Każdy stawiany krok kosztował mnie wiele wysiłku, jakby nogi ważyły tony, a jednocześnie były ze szmatek. Kamienie i połamane gałęzie raniły mi stopy, coraz ostrzejszy spadek terenu wymuszał niekontrolowany bieg. W końcu potknęłam się i upadłam. Gdzieś w górze chrzęściło poszycie – mężczyzna był coraz bliżej.

Siedziałam bliska płaczu. Godziłam się z tym, że moja zuchwałość znalazła swój kres. W tej chwili zorientowałam się, że jestem na skraju zbocza.

Nie zastanawiałam się. Zaczęłam się toczyć w dół. Gdybym się nad tym zastanowiła, nie zrobiłabym tego.

Spadałam bardzo szybko, zwinięta w kłębek, wśród kamieni, piachu i gałęzi, które były we mnie i drapały ze wszystkich stron. Nie mogłam się zatrzymać. A jeśli to się skończy w przepaści albo na ostrych skałach, albo na drucie kolczastym? Głupio zrobiłam. Mogę się zabić.

Ta myśl była jak zły omen, bo nagle uderzyłam o coś i straciłam przytomność.



MAJ 1945

W pierwszych miesiącach 1945 roku Stalin stworzył tak zwane brygady trofiejne, specjalne oddziały, pod nadzorem NKWD dokonujące grabieży na terenach, przez które przechodziła Armia Czerwona w drodze na Berlin. Wywożono wszystko, co mogło być użyteczne dla Związku Radzieckiego: złoto, klejnoty, dzieła sztuki, biblioteki, maszyny, warsztaty, fabryki, surowce... Na terenie Niemiec dodatkowe ważne zadanie miały ekipy wyspecjalizowane w poszukiwaniu sprzętu i personelu, które mogły wesprzeć rozwój uzbrojenia Związku Radzieckiego; ich wysiłki skupiły się głównie na programie atomowym i rakiet V-2. Toczył się prawdziwy wyścig z zachodnimi aliantami o zdobycie nie tylko instalacji, laboratoriów i dokumentacji, ale też niemieckich inżynierów i naukowców, którzy brali udział w obu projektach. Chociaż większość z nich wolała oddać się w ręce Amerykanów lub Brytyjczyków, niektórzy ostatecznie trafili do Związku Radzieckiego, czy to z powodu nalegań radzieckiego okupanta, czy zwabieni wysokimi zarobkami i względną wolnością, którą im ofiarowywano, w porównaniu z ich rosyjskimi kolegami.

Jak ci się ostatnio wiodło?

Katia nie spodziewała się natychmiastowej odpowiedzi. Oleg nie mógł jej udzielić z brzytwą na brodzie. Jedną ręką dziewczyna delikatnie naciągała skórę i powoli go goliła, jakby pieszcząc ostrzem.

Lepiej nie pytać wprost o Erica. Trudno by jej było usprawiedliwić zainteresowanie niemieckim naukowcem, w ogóle niemieckim mężczyzną. Oleg by się zaniepokoił, i słusznie. Postanowiła działać przebiegle, krążyć wokół, aż osiągnie swój cel, osaczy zwierzynę i na koniec ją ukąsi.

Oleg lubił, żeby go goliła. Zamykał oczy i osuwał się w stan między spokojem a podnieceniem, podczas gdy ręce Katii przesuwają się po jego twarzy tuż za trącym ostrzem brzytwy.

– Dobrze – odpowiedział w końcu, kiedy płucała ostrze w miseczce z ciepłą wodą.
– Ostatnie dni były produktywne. Wczoraj na przykład trafił nam się wielki łup. I wiesz, kto nas tam doprowadził? Peter Hanke. Pamiętajsz, jak mówiłem, że może być dla nas użyteczny?

Katia milczała, była skupiona na maskowaniu niechęci, którą w niej wzbudziło wspomnienie tego nazwiska, nie chciała, żeby zadrżała jej ręka, kiedy będzie dalej golić Olega.

– I kim jest ten łup?

– Eric Althann, inżynier, który był członkiem grupy projektującej i budującej rakiety V. Zdobycz naprawdę niespodziewana, bo według naszych danych wszyscy oni zostali przeniesieni w pobliże austriackiej granicy, gdzie są Amerykanie. Z jakiegoś powodu Althann ukrywał się w Berlinie.

Katia zrobiła ostatnie pociągnięcie brzytwą i podała Olegowi ręcznik, żeby wytarł sobie resztki mydła z twarzy.

– Ukrywał się? Czy to jakiś fanatyczny nazista?

Oleg zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się nad tą możliwością.

– Fanatyczny nazista? Prawdę mówiąc, nie wiem. Chociaż nigdy mi nie wyglądał na typ fanatyka. Za zimny, zbyt racjonalny, jak na mój gust.

– Mówisz, jakbyś go znał.

– Bo go znam. Althann pracował przez jakiś czas w Moskwie, w RNII. Byliśmy kole-

gami. Nie było między nami jakiejś szczególnej zażyłości, ale spędzaliśmy razem dużo czasu. Dlatego jego przypadek jest szczególny.

– Szczególny? Skoro już pracował w Związku Radzieckim, pewnie nie będziecie mieli kłopotów, żeby go przekonać do powrotu. Taki jest zamysł, prawda? Przenieść tam instalacje, sprzęt, całe zespoły i pojedyncze osoby i na nowo rozpocząć badania, żeby rozwinąć to, co już zrobili Niemcy.

– Tak, taki jest zamysł. Ale przypadek Althanna nie należy do łatwych. Bo on jest też szpiegiem i oskarża się go o zabójstwo człowieka.

Katia starała się nie okazać, jak bardzo zaskoczyła ją ta wiadomość. Lekko oparła się o skraj stołu.

– Kiedy był w RNII – ciągnął Oleg – w ciągu ostatnich miesięcy przed wybuchem wojny przekazał Abwehrze informacje o naszych badaniach. Kontrywiad go namierzył, ale ktoś go ostrzegł i udało mu się uciec, zanim go zatrzymali. Podczas ucieczki załatwił jednego agenta. Teraz znajduje się na liście najbardziej poszukiwanych i to mój wielki problem: chcę go postawić przed sądem wojennym, a ja chcę go mieć w laboratorium. Osobiście mogę to zrozumieć, brzydzi mnie zdrada. Jednak będąc pragmatykiem, uważam, że bardziej użyteczny dla Matuszki Rossiji będzie żywy niż martwy. To jedna z osób, które wiedzą o raketach najwięcej na świecie. Pozostali w tej chwili prawdopodobnie już są w rękach Amerykanów.

Katia ukryła pod uśmiechem cały niepokój, który odczuwała w tej chwili, i usiadła, słodka, na kolanach Olega. Pocałowała go, pocałunkiem długim i soczystym, podczas którego bawiła się jego językiem i ustami, zębami, aż poczuła, jak on się podnieca.

– Ty jesteś człowiekiem, który wie o raketach najwięcej na świecie. – Użyła najbardziej zmysłowego tonu, żeby go pochwalić.

– Tylko o paliwach – wyszeptał, gryząc skrawek jej ucha.

Katia pozwoliła, żeby Oleg jeszcze trochę się nią upoił, żeby rozpiął jej koszulę i popieścił piersi, żeby rękami przebiegł po jej ciele i od pępka po biodra.

– Będziesz go przesłuchiwać?

– Kogo? – zapytał rozkojarzony, z ustami na jej obojczyku, penetrując ją palcami.

– Althanna.

– Jutro. – Jego głos zdradzał takie podniecenie, że Katia nie była pewna, czy Oleg wie, co mówi.

– Mogę pójść z tobą?

Uniósł głowę nieco zmieszany, jego palce już się nią nie bawiły.

– Pójść ze mną? Po co?

Katia pocałowała go tak głęboko, że aż dotknęła czubkiem języka jego podniebienia. Znowu uspiła jego zmysły.

– Ciekawość naukowa. – Ujęła palce Olega i potarła sobie nimi krocze. – Chciałabym się dowiedzieć, czy naziści naprawdę wierzą, że człowiek może latać w kosmosie. Wiesz przecież, że zawsze chodzę z głową w chmurach – podsumowała, po czym udała orgazm, który skruszył wolę pułkownika.



USŁYSZAŁAM JEGO GŁOS I SIĘ ROZSYPAŁAM

Zamrugałam. Jęknęłam. Zawisłam między snem a jawą. Przeszłam przez wszystkie etapy typowego budzenia się na kacu. Trochę to trwało, zanim się zorientowałam, że znowu jestem w szpitalu, a kiedy to do mnie dotarło, załamalam się. Zaczęłam się trząść, ale silny ból od biodra do stopy zmusił mnie do opanowania się. Krzyknęłam. Żądania, groźby, straszne bluzgi. Nic spójnego. Byłam wystraszona i oszołomiona.

– Proszę się uspokoić. Spokojnie. Już jest pani bezpieczna.

Młoda pielęgniarka, drobniutka, z zaskakującą siłą chwyciła mnie za ręce, którymi machałam jak wiatrak.

– Gdzie ja jestem?

– W Szpitalu Uniwersyteckim. W Zurychu. Pamięta pani, co się stało?

Rozejrzałam się wokoło. Wszystko zamazane. Potrzebowałam okularów. Ale ich nie miałam, zabrali mi je, razem z całą resztą. Mimo to widziałam, że ten pokój jest inny. Biały.

– Tak... – Mniej więcej. – Upadłam. Na wzgórzu.

Jak przebliski pojawiły mi się obrazy, które zaczynały się w pokoju szpitalnym, a kończyły wśród drzew na zboczu. Wszystko zamazane.

Rzuciłam okiem na nadgarstek. Przybliżyłam go do oczu. Wytężyłam wzrok. Rzeczywiście opaska była ze Szpitala Uniwersyteckiego. Nie miała nic wspólnego z tamtą z niebieskim logo. Walen Medical, przypomniało mi się. Tamtą nazwa była też wyszyta na ubraniu z pralni i widniała na neonie nad budynkiem, z którego uciekłam.

Zalała mnie nagła fala ulgi. Udało mi się.

– Czy coś panią boli?

– Noga... I głowa...

– Oczywiście. Proszę trochę odpocząć. Zaraz przyjdzie lekarz.



Doktor Farouk Massoud niemal doprowadził mnie do łez swoim miłym głosem i spojrzeniem. Wyglądał trochę jak Omar Sharif i mówił po francusku z czarującym arabskim akcentem. Zaczął od zadania mi podstawowych pytań: jak się nazywam, skąd jestem, gdzie mieszkam, jak mają na imię moi krewni... Zdałam egzamin na piątkę. Potem chciał się dowiedzieć, czy pamiętam, co mi się przydarzyło. Wymówiłam się amnezją, żeby nie musieć podawać szczegółów. Nie miałam czasu zastanowić się nad tym, co się stało, postanowić, jak wiele mogę mu opowiedzieć. Po prostu zasugerowałam, że ktoś mógł mi podać narkotyki, żeby mnie okraść, ale nie pamiętam, ani kto, ani gdzie.

Wyjaśnił mi wtedy, że jakiś mężczyzna, wyprowadzając rano psa na spacer w okolicy Käferbergu, znalazł mnie nieprzytomną, leżącą u stóp wzgórza. To on wezwał karetkę.

Gdy przywieźli mnie na izbę przyjęć, miałam ślady uderzenia w okolicach skroni, od którego straciłam przytomność, chociaż, jak podkreślił, nie powinnam się martwić, bo wszystkie badania wskazują na to, że nie mam żadnych poważniejszych obrażeń, poza niewielką raną, na którą trzeba było założyć kilka szwów, skręconą w kostce nogą i siniakami na biodrze.

Biorąc pod uwagę to, że przywieziono mnie bez dokumentów, na wpeł ubraną w szpitalne ciuchy i że poza wspomnianymi obrażeniami miałam we krwi wysokie stężenie benzodiazepin, leków psychotropowych o silnym działaniu uspokajającym i nasennym, był gotowy zgłosić moją

sprawę na policję.

– Czy zgadza się pani na to?

– Tak, tak, to bardzo dobrze.

– Jak rozumiem, jeszcze dzisiaj, najdalej jutro, przyjdą odebrać od pani zeznanie. Wtedy będzie pani mogła również złożyć doniesienie, jeśli oczywiście będzie pani chciała. W każdym razie musi pani zgłosić kradzież albo utratę dokumentów, żeby później w konsulacie wydano pani nowy paszport.

Skinęłam głową. Wszystko brzmiało rozsądnie. I wydawało się, że wszystko jest pod kontrolą. Jakbym w końcu zbudziła się z psychotycznego koszmaru, w którym sama występowałam przeciw całemu światu.

– Coś jeszcze, panie doktorze: mogę zadzwonić, żeby dać znać rodzinie, że żyję?

– Oczywiście, oto mój telefon. Proszę wybrać zero, a potem numer.

Kiedy doktor Omar Sharif wyszedł, potrzebowałam trochę czasu, żeby wybrać ten jedyny numer, który znałam na pamięć.

Czekałam z niepokojem, słuchając sygnału; nawet nie chciałam sobie wyobrażać, że nie odbierze.

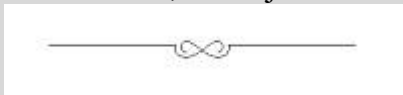
– Tak?

– Alain... – Imię stanęło mi w napiętym gardle.

– Ana? No proszę, wreszcie zachciało ci się oddzwonić. Tak trudno wysłać mi chociaż wiadomość WhatsAppem? Kurwa, martwiłem się o ciebie! I co to za numer? Nawet nie zamierzałem odebrać...

Usłyszałam jego głos i się rozsypałam. Udało mi się wypowiedzieć ledwie kilka słów.

– Alain, słuchaj... Ja... Potrzebuję cię... Możesz... przywieźć mi okulary?



Siedziałam w fotelu naprzeciwko okna, ze wzrokiem utkwionym w szary, targany wiatrem krajobraz, znudzona roztrząsaniem tej samej sprawy, nie dochodząc do żadnych wniosków.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Co tam znowu: ciśnienie, temperatura, jedzenie? Wykorzystam sytuację i poproszę o kolejne leki przeciwbólowe, pomyślałam, bo łupało mnie w głowie.

– Proszę – rzuciłam niechętnie.

Zdziwiło mnie, że drzwi otwierają się powoli, że nikt nie popycha ich w pośpiechu, głośno wołając, że nadeszła pora na coś tam. Odwróciłam się.

Stał w progu, jakby obawiał się wejść. Zobaczywszy go, wstałam, ale ból kostki sprawił, że się potknęłam. Skrzywiłam się z jękiem. Alain podbiegł, żeby mnie objąć.

Skryłam się w jego ramionach, wybuchając płaczem. Nie byłam w stanie wydobyć z siebie ani słowa. W tym bezpiecznym, tak dobrze mi znanym schronieniu zrzuciłam z siebie cały strach, rozpacz i napięcie ostatnich dni, podczas gdy on i jego głos mnie uspokajały: *Ma petite poulette, ma petite poulette...*

Po jakimś czasie zaczęłam dochodzić do siebie. Alain pogłaskał mnie po policzkach, odsunął mi włosy z mokrej twarzy.

– Już lepiej?

Skinęłam głową.

– Boli cię coś? Wezwać pielęgniarkę?

– Nie, nie.

Uśmiechnął się do mnie ciepło.

– Cześć.

– Cześć. – Znowu załkałam.

Wytrzeł mi łzy pod oczami swoimi kciukami.

– Przyniosłem ci okulary.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się, wciąż płacząc. – Naprawdę ich potrzebowałam.
Znowu mnie przytulił.



MAJ 1945

Wielu jeńców radzieckich, którzy przeżyli niemiecką niewolę, zostało oskarżonych przez władze własnego kraju o kolaborację z nazistami lub o zdradę na mocy rozkazu nr 270 z 1941 roku, który zabraniał żołnierzom się poddać. 15 maja 1945 roku Stalin nakazał stworzyć specjalne obozy filtracyjne dla radzieckich jeńców wojennych i osób deportowanych, którzy mieli zostać poddani procesowi oczyszczenia, zanim zdecyduje się o ich uwolnieniu. Ponad półtora miliona żołnierzy Armii Czerwonej więzionych przez Niemców wysłano do łagrów, czyli obozów pracy przymusowej na Syberii. Jedenastu generałów, którzy przeżyli czystkę w 1937 roku, zostało ponownie aresztowanych przez Smiersz i skazanych za zdradę przez trybunały NKWD. Cywile przymusowo wywiezieni do Niemiec również zostali uznani za potencjalnych wrogów Związku Radzieckiego, dlatego poddano ich nieustannej obserwacji służb specjalnych.

Katia wolałaby spotkać się z Erikiem sam na sam, żeby tonem wyrzutu zadać mu kilka pytań. „Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?” Chociaż jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to z jakiego powodu miałby jej cokolwiek mówić? Dlaczego miał jej zaufać, skoro nosiła mundur Armii Czerwonej? Może i chciał pocałować kobietę, którą w niej dostrzegł przez ułamek sekundy, ale ona przede wszystkim była żołnierzem, i to wrogim.

Eric nie został osadzony w więzieniu jako takim, ale umieszczony w budynku zajęтым przez NKWD w dzielnicy Friedrichshagen, gdzie ulokowały się także brygady trofiejne Armii Czerwonej, do których Oleg należał jako naukowiec przypisany do radzieckiego programu raketowego.

Zakwaterowano go w przestronnych pomieszczeniach, składających się z małego salonu i sypialni, czystych, jasnych, z dywanami i wyposażonych w wygodne meble. Oczywiście drzwi były nieustannie pilnowane przez uzbrojonego strażnika.

Kiedy weszli, Eric leżał na kanapie z ręką na oczach. Na dobiegające od drzwi dźwięki zaczął się leniwie przeciągać. Założył okulary. Kiedy zdumiony rozpoznał Katię, wyprostował się i nie mógł oderwać od niej wzroku. Dziewczyna za plecami Olega szybko poprosiła go gestem o dyskrecję.

– Dzień dobry, doktorze Althann, jak się pan miewa? Mam nadzieję, że dobrze pan spał i że mieszkanie oraz jedzenie są dla pana odpowiednie, mając rzecz jasna na względzie ograniczenia, które stawiają przed nami okoliczności.

– Daj spokój z tymi ozdobnikami, Awramow. Gdybym tu był, żeby cieszyć się radziecką gościnnością, nie trzeba by stawiać żołnierza pod drzwiami. Powiedz mi wreszcie, co ze mną zrobicie.

Oleg przyjął wrogość swojego więźnia z uśmiechem.

– Chwilowo chciałbym, żebyśmy sobie porozmawiali – oznajmił, zajmując miejsce w fotelu naprzeciwko kanapy, i ręką wskazał zarówno Ericowi, jak i Katii, żeby poszli w jego ślady. – Masz ochotę na kieliszek? Przyniosłem butelkę kizlarki, ulubionej wódki Stalina.

– Dziękuję, ale wolę burbona.

Eric zauważył z satysfakcją, że pułkownik zrozumiał aluzję. A jednak Oleg szybko doszedł do siebie.

– A właśnie, przedstawiam ci porucznik Wojkową. Bardzo ją ciekawi, czy wy, naziści, uważacie, że jesteście w stanie wysłać człowieka w kosmos, czy wasze rakiety nadają się tylko

do zabijania angielskich cywilów.

Eric zwrócił się w stronę Katii, ale ich oczy się nie spotkały, miała je wbite w dywan.

– O to musiałaby zapytać nazistów – powiedział do Olega. – Ja jestem zwykłym naukowcem.

– Pewnie nie myślałeś tak, kiedy postanowiłeś zdradzić swoich przyjaciół naukowców i przekazać informacje o naszej pracy nazistom. I jeszcze zabiłeś radzieckiego agenta.

Mówiąc o zdradzie, Oleg trafił w najczulsze miejsce Erica. A najgorsze było to, że samego pułkownika najwyraźniej bardziej to bolało, niż oburzało.

Eric nie czuł się dumny z wielu rzeczy, które zrobił w życiu. Na swoją obronę mógłby powiedzieć, że zmusiły go okoliczności, że przyszło mu żyć w trudnych czasach, ekstremalnych, dramatycznych, w których bardziej niż żyć, trzeba było przeżyć. Ale w sumie tylko sam siebie by oszukiwał. W ostatecznym rozrachunku człowiek jest odpowiedzialny za własne czyny i decyzje.

Kiedy przeglądał swoją krótką, a jednak zawiłą historię, zdawał sobie sprawę, jak wiele rzeczy by pozmieniał, jak wiele rzeczy żałował. Może nie mógłby realizować swoich marzeń. Może nawet już by nie żył. Ale przynajmniej miałby czyste sumienie.

Wiedział to dobrze w tamtej chwili, mając znaczną część życia już za sobą. No tak, kiedy człowiek jest młody i dopiero wyrusza w drogę, brakuje mu perspektywy. Może to było jego jedyne usprawiedliwienie. I chociaż nie był mordercą, jak go oskarżano, to czuł się zdrajcą.

Jednak chciał wierzyć, że to nie swoich towarzyszy zdradził, ale kraj, reżim, dla którego stracił szacunek.

Wszystko zaczęło się sypać w 1937 roku, kiedy Stalin rozpoczął czystkę we własnym rządzie i wśród elity intelektualnej kraju, co wpłynęło na każdego, kto był choćby minimalnie podejrzany o utrzymywanie kontaktów ze „starymi bolszewikami”, szczególnie dotyczyło to członków partii komunistycznej i dowódców Armii Czerwonej. W rzeczywistości chodziło zwyczajnie o pretekst do wyeliminowania krytyków i skupienia władzy w jednym ręku, i wielu wykorzystano sytuację, żeby rozwiązać swoje problemy i awansować.

Czystka uderzyła prosto w RNII, Instytut Badawczy Napędów Odrzutowych, to znaczy w organizm zależny od Armii Czerwonej. W marcu 1938 roku NKWD aresztowało Walentina Głuszkę, szefa Erica, którego tak bardzo podziwiał i od którego tak wiele się nauczył; został skazany na osiem lat łagru. Sytuacja oburzyła Erica do tego stopnia, że podjął decyzję o powrocie do Niemiec. I zrobiłby to, ale przeznaczenie miało wobec niego inne plany.

W tydzień po aresztowaniu Głuszki udał się na prośzoną kolację w Leningradzie, gdzie przedstawiono mu Hugona Holstego, niemieckiego przedsiębiorcę. Później dowiedział się, że Holste, jeśli to było jego prawdziwe nazwisko, bo nigdy się tego nie dowiedział, był naprawdę oficerem Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego. Pozycja Erica w RNII okazała się bardzo interesująca dla służb specjalnych, poinformował go Holste, zanim zaproponował mu, żeby został agentem. Misja była prosta, wyjaśniał oficer, chodziło jedynie o przekazywanie informacji na temat badań i postępów Sowietów. Musiał tylko zachować dyskrecję. Początkowo Eric był niechętny: jako naukowiec nie chciał słyszeć o szpiegowskich historiach. Jednak Holste nalegał, odwoływał się do jego patriotyzmu, do jego poczucia obowiązku wobec własnego kraju i rodaków. Eric ostatecznie doszedł do wniosku, że sam Stalin zdradził swoich, że jego szef i przyjaciel Głuszko siedzi w łagrze, a on nie jest winien Związkowi Radzieckiemu więcej niż Niemcom, własnemu krajowi. Może nie był wielkim patriotą, a jednak był Niemcem. W ten sposób Holste go zdobył.

Przez ponad dwa lata podawał Holstemu dane techniczne badań w RNII na temat balistyki, pocisków manewrujących i rakiet na paliwo ciekłe. Aż nadeszła chwila, kiedy komisarze polityczni z instytutu zaczęli go podejrzewać. Wiedział nawet, że NKWD ma go na oku, więc

kiedy Holste dostał informację na temat spodziewanego aresztowania swojego agenta, szybko wywiózł go z kraju przez Finlandię, ukrytego w pociągu towarowym, odprowadzonym przez jedną z firm rzekomego niemieckiego przedsiębiorcy. Podczas ucieczki ścigał ich patrol NKWD, dotarł do stacji, gdzie Eric miał wsiąść do pociągu; wywiązała się strzelanina, ale to Holste zabił jednego z Sowietów, Eric nawet nie miał broni. W każdym razie zawsze wiedział, że jeśli go złapią, ostatecznie oskarżą go o tę śmierć.

– Tyle razy już mówiłem na przesłuchaniach: nie zabiłem tego człowieka.

– Nie mnie musisz o tym przekonywać. Jeśli o mnie chodzi, nie będę ci zaprzeczał, ciągle jednak nie rozumiem, jak mogłeś zdradzić nas, swoich kolegów.

– Przyznaję, że nie jest to rzecz, z której jestem dumny. Ale jestem Niemcem, Awramow. Wojna między naszymi krajami była nieunikniona. Co miałem zrobić? Co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Tak, jesteś Niemcem, ale Matuszka Rossija przyjęła cię, wykształciła, nauczyła wielu rzeczy, których nie wiedziałeś...

– Nie, jesteś w wielkim błędzie, to nie żadna Matuszka Rossija, tylko Langemak i Klejmionow, i Korolow, i Głuszko. Wielkie postaci i wielcy naukowcy, których Matuszka Rossija i wujaszek Stalin z jakichś cholernych politycznych powodów postanowili poddać czystce. Wszyscy oni już nie żyją albo od lat siedzą w łagrze. I ty mnie oskarżasz o zdradę, kiedy to Związek Radziecki sam zdradza własne dzieci?

Oleg westchnął, dając do zrozumienia, że nie podoba mu się kierunek, który przybrała ta rozmowa.

– Wiesz, że to Korolow doniósł na Głuszkę? Jego własny towarzysz na niego doniósł – wyjawiał. – Związki międzyludzkie są złożone...

– Zwłaszcza jeśli je zatruwa polityka.

Oleg przytaknął zamyślony.

– Albo nadmierna ambicja... W każdym razie na pewno się ucieszysz, że obaj już są zrehabilitowani i pozwolono im kontynuować badania pod nadzorem rządu.

– No proszę... Chwalmy dobroć wujaszka Stalina – odparł Eric sarkastycznie.

– Słuchaj no, Althann, chcesz wierzyć czy nie, w tej chwili jestem twoim jedynym sprzymierzeńcem. Polecono mi zebrać najlepszą ekipę specjalistów od aeronautyki, a ty jesteś bez wątpienia jednym z najlepszych. Nie interesuje mnie, co robiłeś w przeszłości, nie interesują mnie twoje ideały ani twoje przekonania, ani twoje życie osobiste. Dla mnie talent powinien być jedynym kryterium, które trzeba mieć na względzie w naszej robocie. Problem w tym, że większość ludzi u góry nie podziela mojego zdania, oni cenią przede wszystkim wierność. Ludzie z kontrwywiadu żądają twojej głowy, Eric, nie będę cię oszukiwał. Ale jeśli zgodzisz się ze mną współdziałać, mogę spróbować ich przekonać, że bardzo się przydasz, pracując dla nas, ku większej chwale Związku Radzieckiego.

– A jeśli odmówię bycia niewolnikiem Związku Radzieckiego?

– Obawiam się, drogi towarzyszu, że w obecnych okolicznościach bycie niewolnikiem Związku Radzieckiego jest twoim najlepszym wyborem.

Dyskretnie pukanie do drzwi uwolniło Erica od konieczności przyznania na głos, że Awramow ma rację.

Niezdarny żołnierz wszedł do pokoju i nieudolnie stanął na baczność.

– Towarzyszu pułkowniku, generał Pietrow czeka na pana w swoim gabinecie. To pilne.

Oleg wstał, a Katia poszła w jego ślady.

– Proszę o wybaczenie, Althann. Dokończymy naszą rozmowę kiedy indziej.

Eric kiwnął głową. Spojrzał kątem oka na Katię, która odwzajemniła spojrzenie. Gdyby

tylko mógł jej powiedzieć, żeby nie wychodziła, gdyby tylko mógł ją wziąć za rękę i potrzymać przez chwilę... Ona poświęciła mu zaledwie lekkie skinienie, zanim odwróciła się i wyszła, a za nią Oleg. Ericowi nie umknęło, jak pułkownik kładzie dłoń na jej plecach.

Katia przeszła ledwie kilka kroków korytarzem. Nagle się zatrzymała.

– Cholera, zapomniałam czapki. Muszę po nią wrócić, ty idź, nie każ czekać generałowi. W każdym razie ja i tak nie mogę zostać. Za dwadzieścia minut zaczynam służbę w sztabie. Zobaczymy się wieczorem?

Oleg skrzywił się z niesmakiem.

– Mam kolację oficerską. Ale może przyszlabyś po niej i wypilibyśmy jednego.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Może...

Dyskretnie zetknęli dłonie na pożegnanie i Katia pospieszyła z powrotem do pokoju Erica. Kiedy weszła, siedział z twarzą zatopioną w jej czapce. A potem nastąpiła seria nieskładnych ruchów, urywanych zdań i gorączkowych pytań. „Zostawiłaś ją...”, „Mamy mało czasu...”, „Co tu robisz?...”, „Co się stało?...”, „Czy to wszystko prawda?...”, „Musisz mi pomóc...”

– Nie mogę ci pomóc, Ericu – wyznała Katia z rozpaczą w głosie.

Nieświadomi tego, zaczęli mówić do siebie po imieniu. Katia zrobiła krok do tyłu, jakby poczuła, że stoją zbyt blisko siebie.

– Ja w tej sytuacji nic nie znaczę. Nawet nie powinno mnie tu być...

– Wiem, wiem. Słuchaj, słuchaj, proszę. Proszę cię tylko, żebyś powiedziała Ramirowi, by zabrał Seba z Berlina. Ilse i on planują stąd wyjechać, powiedz im, żeby zabrali go ze sobą, proszę cię.

Katia w pośpiechu skinęła głową, choć pomysł wyjazdu Seba wcale nie wydawał się jej dobry.

– Ale... Kiedy stąd wyjdiesz, jak się znajdziecie? Seb cię potrzebuje, czeka na ciebie. Nie lepiej, żeby został z Krammerami, dopóki to wszystko się nie skończy?

– Nie, Katio, nie słyszałaś Awramowa? Ja już nie wrócę do Seba. Jestem szpiegiem i oskarżają mnie o zabójstwo. Nie zrobiłem tego, Katio. Nie obchodzi mnie, co oni sobie myślą, już jestem stracony. Ale nie chcę, żebyś ty myślała o mnie jako o mordercy. Nie zabiłem tego człowieka, musisz mi uwierzyć.

– Wierzę ci, wierzę. – Katia wzięła go za rękę, żeby go uspokoić, i Eric mocno uchwycił się jej dłoni. – Oleg ci pomoże. On naprawdę może ci pomóc. Sprawি, że dadzą ci łagodny wyrok. Jesteś dla nich zbyt cenny. I Seb będzie mógł pojechać z tobą do Związku Radzieckiego.

Eric uparcie trwał przy swoim. Może tak, może Awramowowi się uda, może wstawi się za nim, a on po długiej drodze – po przesłuchaniach, więzieniach i sądach – skończy w szaraszce, tajnym laboratorium w łagrze. Tak, to jest najlepsza z jego opcji. Może zasługuje na sprawiedliwą karę za swoje złe decyzje. W sumie już pracował dla Hitlera, dlaczego nie miałby teraz znów pracować dla Stalina; obaj budzili w nim taki sam wstręt, bo zdradzili wszelkie wartości i ideały. Nie chciał jednak, żeby jego dziecko dorastało w Związku Radzieckim z ojcem naznaczonym stygmatem hańby.

– Nie, nie mogę skazywać Seba na cierpienie za błędy ojca. To, co się ze mną stanie, mogę zaakceptować. Teraz jest już za późno, żeby to naprawić, ale... nauka musi przestać być usprawiedliwieniem dla brania udziału w takich okrucieństwach.

– Jest wojna, Ericu. Wszyscy robiliśmy rzeczy, których żałujemy.

– Nie... To nie to samo. Jedna moja rakietka zabiła znacznie więcej ludzi, niż ty kiedykolwiek widziałas w celowniku swojego karabinu.

– Tak, ale ty nie przyglądałaś się twarzom swoich ofiar na chwilę przed pociągnięciem za

cyngiel.

Poruszony tymi słowami Eric przycisnął sobie jej dłonie do piersi. Czuł, że są lodowate, zaskakująco kruche jak na ręce, które ściskają karabin Mosina ze śmiertelną precyzją.

– Proszę, Katio, zabierzcie go z Berlina. Seb to tylko niewinne dziecko, które już zbyt wiele wycierpiało; zasługuje na coś lepszego. Ramiro to dobry człowiek, wiem, że się nim zajmie. Jeśli Awramow zdoła uratować moją głowę, nie porzucę syna, zawsze będę tam dla niego, nieważne jak daleko. Powiedz mu to... Powiedz mu, że go kocham. Bardziej niż wszystkie gwiazdy na niebie. On to zrozumie. – Uśmiechnął się gorzko.

Katia patrzyła bezsilnie, jak Eric drży, jak się rozpada, słuchała jego łamiącego się głosu. Wtedy on spojrział na nią szklistymi oczami; oszalałe zmysły i emocje. Już nie miał nic do stracenia, już stracił wszystko, dlatego więc nie miałby się przyznać, że jest w niej zakochany?

– Katia, ja... Może gdybyśmy się spotkali w innych czasach, w innym momencie... Może...

Otoczył ją ramionami i zdusił niezręczność słów żarliwym pocałunkiem. Ich usta połączyły się z czystego pragnienia – naznaczonego gorzką świadomością, że po tym pocałunku już nigdy nie będzie następnego.



Zniszczone miasto spowijało wiele cieni i wszystkie wydawały się groźne. Katia wracała do koszar, jakby uciekała, spoglądając za siebie z ręką na kaburze pistoletu. Serce biło jej z całych sił już od kilku godzin, tak była rozedrgana.

W jej głowie przewijały się sceny z mijającego dnia, do myśli wślizgiwał się Peter Hanke. Choć go nie widziała, czuła wręcz namacalnie, że ją osacza na tych ciemnych i pustych ulicach Berlina, jakby rzeczywiście za nią szedł, jakby mogła usłyszeć jego oddech drapieźnika. Ta kanalia była jej koszmarem. Czuła, że jest coraz bliżej. Doniesienie na Erica nie było przypadkowe. Miał go na wyciągnięcie ręki.

Wracała z domu antykwariusza. Spełniła prośbę Erica. Podczas rozmowy z Sebem rozpadła się na kawałki; rozbroił ją hart ducha małego, jego pogodzenie się z sytuacją, jego łyzy, które płynęły jakby bezwiednie.

Nie zobaczy więcej ojca, ona to wiedziała, i chociaż chłopcu nie powiedziała tego wprost, odnosiła wrażenie, że on na swój sposób to przeczuwa.

– Niewiele da się zrobić. – Oleg też był niepokieszony. – Generał Pietrow potwierdził, że kontrwywiad nie odpuści Ericowi. Chcą go ukarać przykładnie, żeby to było przestrożą dla innych. Są gotowi oskarżyć go nie tylko o szpiegostwo i morderstwo, ale też o zbrodnie przeciw ludzkości, za to, że brał udział w programie rakiet V. Nie słuchają naszych argumentów. Pietrow powiedział, że będzie interweniował u Berii. To nasza ostatnia deska ratunku: zaangażować go i niech to on podejmie decyzję w tym konflikcie interesów.

– A jakie są szanse, że Beria stanie po waszej stronie? – zapytała Katia, starając się z całych sił, żeby głos się jej nie łamał i nie zdradził, że jest zrozpaczona. Ławrientij Beria, szef NKWD, raczej nie słynął z dobroduszości.

Oleg tylko pokręcił głową.

Ramiro wysłuchał tej opowieści wyraźnie zasmucony z powodu i Erica, i Seba.

– Ja oczywiście zajmę się dzieciakiem. Razem z Ilse wychowamy go, jakby był naszym synem. Z nami będzie mu dobrze. Powiedz to Ericowi. Powiedz mu, żeby był spokojny.

Katia kiwnęła głową na znak, że robi wszystko, co w jej mocy.

– Wyjeżdżamy już jutro – oświadczył wtedy chłopak. – Dołączymy do grupy mężczyzn,

kobiet i dzieci, którzy chcą przekroczyć radzieckie linie, zanim zdążą je wzmocnić. Wszystko jest przygotowane, chociaż nie było za wiele do przygotowywania poza determinacją i ufnością w to, że się uda. Hiszpania wydaje mi się teraz tak daleka...

Wszystko działo się tak szybko. Katia nie miała czasu na przemyślenia, na zdecydowanie czegokolwiek na chłodno. Uściskali się mocno z Ramirem na pożegnanie. Złożyli sobie obietnice, które były tylko pobożnymi życzeniami, oboje to wiedzieli. Ale byli też świadomi, że są złączeni na zawsze więzami znacznie silniejszymi niż odległość, przeszkody i granice. Oboje byli członkami bractwa.

Rozmowa z Ramirem przyniosła Katii ulgę. Mimo to wiedziała, jak bardzo ciąży jej poczucie porażki; nawet bardziej niż sama odpowiedzialność. I smutek zatruwał jej serce.

Wszystko się skończyło. Już nie było nic więcej do zrobienia. A jednak to wciąż nie dawało jej spokoju, męczyło ją jak ziarnko piasku w oku. Ma się poddać? Naprawdę ma się poddać?



PRZESTAŃ MÓWIĆ ZA MNIE!

Ostatecznie złożyłam tylko zwykłe zeznanie na policji zamiast doniesienia. „Przeciwko komu?”, skoro nie pamiętałam nic z tego, co się wydarzyło, i zaczęłam to sobie przypominać, dopiero kiedy popijałam kawę na lotnisku w oczekiwaniu na samolot do Hiszpanii, tłumaczyłam później Alainowi.

Funkcjonariusz przyjmujący moje zeznanie, młodzieniaszek zadziwiająco podobny do Sheldona Coopera, chociaż bez zespołu Aspergera, wskazał na możliwość, że ktoś mi podał skopolaminę, żeby mnie okraść, i że z powodu, który jeszcze trzeba wyjaśnić, utrzymywano mnie w stanie upojenia wysokimi dawkami benzodiazepin. Będą prowadzić śledztwo, ponieważ z urzędu muszą skierować sprawę do sądu, więc poinformują mnie o wynikach, na wypadek gdybym zmieniła zdanie.

– Dlaczego opowiedziałaś im tę połowiczną wersję? Dlaczego nie wspomniałaś, że byłaś w domu Konrada ani że siłą przetrzymywali cię w tamtej klinice? – zranił mnie Alain, przekonany, że wie, kto jest winien mojego porwania.

I prawdopodobnie miał rację. Jednak dopóki nie byłam pewna, jaką rolę odegrał Konrad w tej sprawie i jakie kryły się za tym motywy, wolałam trzymać się na uboczu.

Po załatwieniu formalności z ubezpieczeniem zdrowotnym oraz paszportem i uzyskaniu wypisu ze szpitala mogłam wreszcie wrócić do Madrytu. Zasugerowałam wtedy Alainowi, że już nie musi się o mnie martwić, bo przecież ma inne sprawy na głowie, a ja nie chcę go zatrzymywać. Robiłam dobrą minę do złej gry; kiedy uparł się, że będzie mi towarzyszył, nie wybiłam mu tego z głowy. Po ostatnich przejściach czułam się bezbronna i fakt, że mam go u boku, dawał mi poczucie bezpieczeństwa, przynajmniej dopóki nie znajdę się w domu, w znajomym środowisku.

Musiałam przyznać, że gdy Alain odpowiedział na moje wołanie o pomoc, odzyskałam spokój. Częściowo pewnie dlatego, że najwyraźniej zawarliśmy pokój – wyrzuty z przeszłości oraz decyzje konieczne do podjęcia na przyszłość zostały odłożone, liczyła się tylko teraźniejszość: ja go potrzebowałam i on był przy mnie, bezwarunkowo.

To Alain odebrał walizkę, którą zostawiłam w skrytce na lotnisku, żebym mogła włożyć własne ubrania, to on zablokował moje karty kredytowe, on poszedł ze mną do konsulatu i na posterunek policji, pomagał mi nosić bagaż i chodzić o tych okropnych kulach, które wcisnęli mi w szpitalu na czas, aż będę mogła stanąć na zwichniętej nodze. Pilnował mnie, żebym brała lekarstwa, zmieniał mi opatrunki i wcierał w biodro krem uśmierzający ból. Kupił mi książkę, którą schowałam do torebki przeczytaną do połowy, żeby ją później dokończyć, oraz ogromne pudełko czekoladek, wiedząc, że lecę sobie żale czekoladą. Dbał o mnie. Dobrze jest móc liczyć na kogoś, kto się tobą zajmie. Wyglądaliśmy jak stare dobre małżeństwo, u którego milczenie jest oznaką porozumienia, a w gestach kryje się więcej czułości niż pożądania. Też coś... Szkoda, że się tak nie zachowywał, kiedy byliśmy prawdziwym małżeństwem.

Powrót do domu po tak długim czasie i tylu niefortunnych zdarzeniach okazał się wielką przyjemnością. Moja mansarda wydała mi się miejscem bezpiecznym, dalekim od Konrada, medalionu i tych wszystkich nieszczęść, które spotkały mnie z ich powodu; przynajmniej w tamtej chwili.

Alain nawet nie pozwolił mi rozpakować walizki.

– Później się tym zajmiemy. Teraz trochę odpocznij, bo ta podróż kosztowała cię dużo zdrowia. Widzisz? Kostka ci spuchła. – Pomógł mi się położyć na kanapie, wsunął poduszkę pod stopę i przykrył mnie kocem. – Przyniosę ci laptop, żebyś się mogła rozerwać, wybierając sobie

nowy telefon. A ja tymczasem pójde kupić coś na dobrą domową kolację. Na co masz ochotę?

– Jeśli domowe, to cokolwiek.

– Ciągle najbardziej lubisz lazanie z tuńczyka i cukinii?

– Jeśli ty ją zrobisz, to tak.

– A zatem postanowione. Zaraz wracam. Wygodnie ci? Potrzebujesz czegoś? Boli cię coś?

Spojrzałam na niego z uśmiechem jak z emotki.

– Nie, czuję się świetnie. Bardzo dziękuję.

Gdy zostałam sama, zadzwoniłam do rodziców. Udałam, że to rutynowy telefon po przyjeździe z podróży. Na szczęście zastałam mamę w środku cotygodniowej partii kart z jej grupką przyjaciółek, więc jedynie trochę mnie zganiła, że się nie odzywam od nie wiadomo jak dawna, i właściwie na tym się skończyło. Potem porozmawiałam z Teo.

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewała?! Wiesz, ile razy do ciebie dzwoniłem? Bo normalnie to ja się nie martwię, ale kurwa, martwiłem się jak chuj! Nie wiem, czy wiesz, ale mnóstwo kobiet ginie codziennie na wiele nieprawdopodobnych sposobów... A ja wyobraziłem sobie te wszystkie sposoby z tobą w roli głównej! Co ja się przez ciebie nacierpiałem, a ty teraz dzwonisz ot tak sobie, jakbyś wróciła z wakacji na Kanarach...

– Naprawdę mi przykro. Ukradli mi torebkę z telefonem...

– No to dużo czasu ci zabrało, żeby kupić sobie nową komórkę, kobieto.

– To bardzo długa historia, opowiem ci, jak się spotkamy.

– No teraz to ja już nie wiem, czy chcę tego słuchać. Nie jesteś normalna. Ale jeśli ja się denerwowałem, to ten cały *Martinlohse* oszalał ze strachu o ciebie, szukał cię po całej Europie. Wydzwaniał do mnie, jakbym to ja cię porwał, strasznie upierdliwy facet...

– Nie powiedziałaś mu, że pojechałam do Konrada...

– Oczywiście, że tak, królowo, za dziesiątym razem mu powiedziałam, bo ten palant potrafi być przekonujący jak kagiebista na przesłuchaniu.

– To znaczy, że już go wypuścili ze szpitala?

– Oczywiście, że nie. Rozmawialiśmy tylko przez telefon. W sumie to chciał, żebym mu wysłał wiadomość, jak się dowiem, gdzie się szlajasz...

– Nie – przerwałam mu zdecydowanie. – Nie rób tego. Ja sama do niego napiszę.

– Ty sama, kochana... A właśnie, wysłałem ci mail ze zdjęciem z USG 3D Fasolki. Boże, jaka ona jest brzydka! Mam nadzieję, że jej się polepszy, bo inaczej w życiu nie wydamy jej za mąż.

Na szczęście Teo szybko zapomina o tym, że jest obrażony. Kiedy z nim skończyłam, uruchomiłam laptop, ale nie po to, żeby poszukać sobie komórki, tylko po to, żeby wpisać w wyszukiwarkę nazwę kliniki, w której byłam przetrzymywana: Walen Medical, Zurych. Natychmiast pojawiły się wyniki. Rzeczywiście jest to placówka medyczna, specjalizująca się w chirurgii estetycznej, ma najlepszych specjalistów, stosuje najbardziej zaawansowane techniki i oferuje luksusowe udogodnienia etc., etc. Oczywiście jest to ostatnie miejsce, do którego zawieziono by kogoś, kto zasnął na lotnisku. Grzebałam dalej i odkryłam nazwę firmy zarządzającej Walen Medical: AMR Switzerland, co jest skrótem od Advanced Medical Research, spółka akcyjna, notowana na SIX, giełdzie w Zurychu. W Szwajcarii tożsamość akcjonariuszy jest chroniona; jednak miałam to szczęście, że trafiłam na artykuł w prasie ekonomicznej, w którym wspomniano, że większościami akcjonariuszem AMR jest KaleidosKope GmbH. Artykuł tego nie precyzował, ale wiedziałam, że to jedna z firm Konrada.

Zatopiona w myślach, skupiłam wzrok na ekranie komputera. Chciałam wierzyć, że Kon-

rad nie jest zamieszany w tę sprawę. Ależ ja byłam głupia, niczego się nie nauczyłam...

Przestraszył mnie dzwonek, więc jednym ruchem zamknęłam laptop. To na pewno Alain. Nie chciało mi się opowiadać mu o ostatnich odkryciach. Zaczęłyby mi znowu przypominać o tym, jaka byłam naiwna, po raz kolejny ufając Konradowi, i podsumowałyby wszystko swoim „a nie mówiłem”, którego nie chciałam słuchać. Dość miałam własnych wyrzutów.

Gdy z trudem wstawałam z kanapy, pomyślałam zdziwiona, dlaczego Alain nie wziął ze sobą kluczy.

– Ana... Dzięki Bogu...

To Martin stał za drzwiami i natychmiast rzucił się, żeby mnie przytulić. Częściowo przytulić, bo wciąż miał rękę na temblaku, na co ja zareagowałam z zaskoczeniem; na objęcie, nie na temblak. W końcu uwolnił mnie z objęć i spojrzał mi w twarz.

– A ten opatrunek? Czy to rana? Wszystko w porządku?

– Tak... Ale zabiję Teo.

– Teo?

– Powiedziałam mu, że ja do ciebie zadzwonię.

– Nie, nie... To nie on. Wiedziałem, że dzisiaj masz samolot z Zurychu do Madrytu.

– Chyba zrobiłam tak zdziwioną minę, że poczuł się w obowiązku wyjaśnić, skąd to wiedział.

– Mam dostęp do PNR. Rejestru pasażerów.

Był mało przekonujący, ale zrezygnowałam z pytania o szczegóły.

– W takim razie pewnie wiesz, że przyleciał ze mną Alain. Dlatego cię nie uprzedziłam, Martin. Uznałam, że nie spodoba ci się, że wciążam Alaina w tę sprawę. A poza tym nie sądzę, żeby wasze spotkanie było dobrym pomysłem. Teraz wyszedł, ale zaraz wróci i nie wydaje mi się...

– Wszystko jedno! Do cholery! Ana! Umierałem ze strachu! Bałem się, że coś ci się stało! Nie miałem żadnej wiadomości od ciebie przez ponad tydzień, w żaden sposób nie mogłem cię odnaleźć. Teo powiedział mi, że pojechałaś zobaczyć się z Konradem. Prosiłem cię, żebyś nie jechała tam sama, i prosiłem, żebyś wyjechała z Turcji, żebyś zapomniała o imprezie u Bonatiego...

– Ej, zdobyłam te listy!

– Nie możesz sobie chodzić samopas, bo w ten sposób ja nie mogę ci zapewnić bezpieczeństwa! Jeśli coś ci się stanie... Tak... Tak... Ja... Kurwa!

Jego twarz wyrażała prawdziwy lęk. Dałam sobie spokój.

– Lepiej, żebyś nie krzyczał, bo pani Carmen, moja sąsiadka, w końcu wezwie policję – powiedziałam, odsuwając się, żeby mógł wejść do środka.

Martin przeszedł ze mną te kilka kroków do kanapy.

– Też kulejesz. Ana, co się stało?

Usiadłam i pokazałam mu, żeby zrobił to samo. Martin usiadł bardzo blisko mnie, nachylił się w moją stronę, w oczekiwaniu na to, co powiem.

– Pojechałam zobaczyć się z Konradem, tak. I... miałaś rację. Nie powinnam była tego robić.

Mówienie o tym przychodziło mi z trudem. Nie dlatego, że musiałam się przyznać do wielkiego błędu, ale dlatego, że musiałam jeszcze raz przeżyć ten koszmar. Nie wiem, czy ciągle miałam resztki leków we krwi, czy strach i niepokój tak na mnie wpływały, ale odnosiłam wrażenie, że jestem nadwrażliwa; gdybym się zupełnie wyluzowała, na pewno popłynęłyby mi łzy, ale z poczucia dumy starałam się je hamować i z nieprzyjemnym napięciem strun głosowych opowiedziałam o wszystkim, co zaszło. Na koniec Martin wziął mnie za rękę w geście czułości, co – jak kropla, która przepełnia czarę – sprawiło, że zaszklily mi się oczy.

– Gdybyś wcześniej porozmawiała ze mną... Gdybyś zaczekała, żebyśmy mogli działać razem, tak jak się umówiliśmy... Ja to wiedziałem, Ano. Jak myślisz, dlaczego byłem przerażony, kiedy zniknęłaś? Wcale nie z powodu Konrada. To nie on. To Greta, Ano. Greta Köller. Udało mi się dowiedzieć, że to do niej pisał Giancarlo Bonatti na Dark Webie. Byli kochankami. Ale Greta grała w podwójną grę, bo zdradzała Giancarla z jego synem Paolem. Oboje należeli do loży rytu Memphis-Misraim i Greta stara się o wybór na wielkiego mistrza, skoro zwolniło się miejsce po śmierci Giancarla. Ciągłe nie mam wystarczających dowodów, ale sądzę, że oni, Greta i Paolo, zamordowali Giancarla i rozpoczęli całą tę historię. Na pewno uważają, że jeśli uda im się zdobyć medalion, zdobędą władzę absolutną w masonerii.

– Greta... Ona mi podała napój... To ona mnie naćpała...

– A ja bym powiedział, że to ona ciebie przetrzymywała, żeby cię przesłuchać, choć ty niczego nie pamiętasz. Wpadłaś w pułapkę. Już sama impreza u Bonattiego była pułapką, bo wszystko okazało się zbyt proste: dom prawie bez ochroniarzy, bez kamer, bez alarmu, otwarte drzwi... Chcieli, żebyś ich doprowadziła do listów. I chociaż zasadniczo z nimi uciekłaś, wszystko przewidzieli, bo ten człowiek, który was zabrał z rezydencji, też stanowił część planu: wspominając Köllera, doprowadził cię w paszczę lwa.

– Ale ja jestem głupia...

Zorientowałam się, że łza wypływa mi spod powieki. Co gorsza, Martin postanowił mnie pocieszyć.

– Nie, nie. – Mocniej uściśnął mi rękę, pogłaskał ją szybko. – No jesteś uparta i zdecydowana i... cholera, trzeba to przyznać, masz jaja. Ale problem w tym, że wzięłaś to wszystko za bardzo osobiście i zapomniałaś, że mamy pracować razem.

Usłyszawszy to, otarłam oczy i rozgniewana uniosłam głowę.

– Nie, Martin. Problemem są powody, które mi dałeś, żeby przestała ci ufać.

Strzał był celny, widziałam to po wyrazie jego twarzy. Zanim jednak zdołał powiedzieć cokolwiek na swoją obronę, zaskoczył nas szcęk klucza w zamku. Jakby przyłapany na nieczym czynie, Martin szybko cofnął rękę. A ja zakląłam w myślach, kiedy Alain stanął w drzwiach i zobaczyłam, jak jego spokojna uśmiechnięta twarz w jednej chwili tężeje. Upuścił siatki na podłogę, jakby zapomniał, że je przyniósł, i spojrzał na Martina, potem na mnie, przechodząc od zaskoczenia do oburzenia.

– Co ty tu robisz? – rzucił.

Martin natychmiast wstał.

– Przyjechałem zobaczyć się z Aną.

Alain zrobił kilka kroków w naszą stronę i zatrzymał się w rozsądnej odległości, jak zawodnik przed walką.

– Naprawdę? I co? Wszystko w porządku, co? Wystawiłeś ją na pożarcie i wróciła w całości... albo prawie.

– Ja jej nie...

– Teraz zlecisz jej następną misję jak z gier komputerowych, a sam, skurwielu, będziesz kontrolował joystick z kamienną twarzą. O to chodzi, prawda, Martinie? Taki macie styl: ty i cała ta wasza pieprzona sekta: poszukać mięsa armatniego, a samemu nie wystawiać się na strzał. Jesteście pierdoloną mafią.

– Alain, przestań już... – Próbowałam się wtrącić, widząc, do czego to prowadzi.

– O czym ty gadasz?

– Doskonale wiesz, o czym. Doskonale znasz ryzyko, na jakie ją narażasz, a mimo to pozwalasz, żeby mierzyła się z nim sama.

– Alain, przestań mówić za mnie!

– Nie masz pojęcia...

– Kurwa, ona jest badaczką, a nie twoim agentem do zadań specjalnych! Co ty sobie, kurwa, myślisz?

Martin zrobił krok do przodu.

– Słuchaj, jak się uspokoisz i pozwolisz mi wyjaśnić... – zaproponował pojednawczym tonem.

– Może przestaniesz robić z siebie głupka – dodałam, chociaż Alain najwyraźniej mnie nie słuchał.

– Wyjaśnić mi co, palancie? Że ją wynająłeś, żeby wykonała za ciebie brudną robotę i przy okazji przespała się z tobą? – rzucił Alain.

Usłysawszy to, skamieniałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć, pomyślałam tylko, że powinnam dać mu w twarz. Naprawdę bym to zrobiła; odległość i ból kostki mi to uniemożliwiły.

Martin za to był w stanie spoliczkować go samymi słowami, ani trochę nie tracąc fasonu.

– Skoro już mówimy o przyzwoitości, ja przynajmniej nie zostawiłem żony, żeby przylepić się do pierwszej z brzegu dzianej Amerykanki, która stanęła na mojej drodze.

To zabrzmiało, jakby w środek salonu uderzyła bomba.

Z okrzykiem: „Ty skurwysynu!” Alain rzucił się na Martina, bezbronnego z powodu temblaku, i zdzielił go pięścią w szczękę. Martin zatoczył się i pewnie by upadł, przy okazji uderzając się potylicą w róg stołu, gdybym go nie podtrzymała.

To był ułamek sekundy. Z przerażeniem spojrzałam na jego stężałą, wyrażającą osłupienie twarz, stróżkę krwi płynącą z rozciętej wargi. Odwróciłam się do Alaina, znowu do Martina i w końcu znów spojrzałam na Alaina.

– Co tu się, kurwa, wyrabia?

Nie odpowiedział. Dyszał furią. Patrzył na mnie, wydawało mi się, że coś powie. A jednak zrobił w tył zwrot i zatrzasnął za sobą drzwi.

MAJ 1945

Po upadku Trzeciej Rzeszy wielu nazistów próbowało uciec z Europy. W tym celu korzystali z sekretnych dróg, znanych jako sznurze szlaki. Były to droga północna, przechodząca przez Danię do Szwecji; droga iberyjska, przez Hiszpanię, do portów Galicji; droga watykańska, zwana też klasztorną, najczęściej wykorzystywana, przez Tyrol, Rzym i Genuę. Chociaż spekulowano o istnieniu wielkich organizacji zawiadujących ucieczką nazistów, jak słynna ODESSA, obecnie historycy uważają, że sznurze szlaki nie powstały w wyniku przemyślanego planu, ale raczej w wyniku działań jednostek albo niewielkich organizacji, wykorzystujących chaos końca wojny oraz migracje tysięcy uchodźców i przesiedleńców, w których tłum uciekający naziści mogli się z łatwością wmieszać.

Eric wpatrywał się w nietkniętą tacę z kolacją, już z pewnością zimną. Jedzenie pomagało mu zabijać czas, także czytanie, przynieśli mu kilka książek, albo spanie... Nie był w stanie robić żadnej z tych rzeczy. Spędzał godziny, siedząc albo leżąc, z pustym wzrokiem i gonitwą myśli w głowie.

Chciałby umieć się modlić i móc liczyć na kogoś lub coś, do czego kierowałby błaganiami. Modlitwa pewnie jest środkiem terapeutycznym, powtarzane w kółko zdania uspokajają myśli, a przede wszystkim dają iluzję powierzenia komuś innemu swoich problemów. Bardzo rozsądne było wymyślenie przez ludzkość bogów jako ostatecznego adresata własnych strapiień. Szkoda, że on nie ma żadnej wiary, do której mógłby się uciec w chwilach takich jak ta, kiedy nauka nie daje pocieszenia.

Pić. Tylko na to miał ochotę. Na porządną wódkę. Nie jedną. Alkohol uśmierza tak samo jak wiara. Szkoda, że nie miał pod ręką butelki...

Zabrakło mu kilku dni. Jeszcze tylko tych kilka dni i udałoby mu się. Był wtorek. W środę mógł opuścić Berlin. Załatwił to tego samego poranka, kiedy go zatrzymano. Tamtego feralnego dnia rano spotkał się z księdzem Hoffmeisterem z kościoła Świętego Szczepana w Adlershof. Ksiądz zorganizował sieć ewakuacyjną dla nazistowskich uciekinierów. „Grube ryby już wyjechały i zostały tylko kozły ofiarne, same marionetki. To oni zapłacą Rosjanom za wszystko i zaspokoją ich pragnienie zemsty. Moim obowiązkiem jako dobrego chrześcijanina jest nie porzucić tych ludzi w potrzebie”, mówił Hoffmeister, usprawiedliwiając swoją pomoc. Eric sądził jednak, że najprawdopodobniej był przekonany nazistą. W każdym razie niewiele go interesowała motywacja księdza, jeśli tylko mógł go wyciągnąć z Berlina. A mógł. Sieć Hoffmeistera wykorzystywała do ucieczki tunele metra. Już za miastem miano poprowadzić jego i Seba do Wittenbergi brzegami Łaby, pod osłoną nocy i omijając radzieckie punkty kontrolne. Zgodnie z planem w Wittenberdze mieli się schronić w klasztorze Augustianów. Tam dostałby dla siebie habit i fałszywe dokumenty dla nich obu, z którymi dołączyliby do jakiejś instytucji dobroczynnej wywożącej grupę polskich sierot do Rzymu, gdzie watykańska komisja do spraw pomocy uchodźcom zapewniłaby i jemu, i Sebowi paszporty. Stamtąd ruszyliby do Hiszpanii, Argentyny, Chile, Urugwaju... Mówiąc krótko, na wolność.

W sumie Eric nie miał zamiaru uciekać tak daleko. Wystarczyłoby mu skontaktować się z Amerykanami i przedstawić się jako naukowiec z Peenemünde. Tak się umówili von Braun z całą resztą, a on miał zamiar do nich dołączyć. Nie dyskutował z Hoffmeisterem w sprawie planu. Najważniejsze dla niego było wyjść z terytorium kontrolowanego przez Sowietów. Potem

się zobaczy.

Ale to potem miało nigdy nie nastąpić. Eric trząsał się z wściekłości za każdym razem, kiedy myślał, że w tej chwili mógł iść z Sebem za rękę w stronę Adlershof. Miał ochotę rzucić się z pięściami na wszystkich wokoło, żeby wyładować swoją frustrację. Zabrakło kilku dni do tego potem. Kilku przeklętych dni...

Zgrzyt klucza w zamku go wystraszył. O tej porze nie spodziewał się wizyt. Nic dobrego nie mogło wejść przez te drzwi, więc w jednej chwili zerwał się na nogi, z tą samą wściekłością, która wrzała mu w piersiach i która mogła sprawić, że będzie się tarzał, tocząc pianę z ust jak uwięzione dzikie zwierzę.

Wtedy ją zobaczył. I wściekłość zastąpiły zmieszanie i mrowienie. Zamrugał, jakby była złudzeniem wywołanym przez jego niedoskonały wzrok i pomieszane zmysły.

– Katia?

Kazała mu mówić ciszej.

– Co ty tu robisz?

– Przyszłam po ciebie.

Zabrzmiało to groteskowo nawet dla niej. To było szaleństwo. Zuchwałość, nad której konsekwencjami wołała się nie zastanawiać. Zwyczajnie z zawiązanymi oczami rzuciła się w przepaść. Może to wojna sprawiła, że stała się nierozważna. Kto nie ryzykuje, nie przegrywa, ale też nie wygrywa. A ona godziła się z ryzykiem przegranej, jeśli tylko istniała choćby minimalna szansa na wygraną.

Wyciągnie stamtąd Erica. A co się wydarzy później... Jaka to różnica, co się wydarzy później?

Plan był prosty, nie miała czasu na jego dopracowanie. Aczkolwiek jest też prawdą, że skomplikowane plany niekoniecznie gwarantują sukces i mogą prowadzić do braku działania pod pozorem dążenia do doskonałości; czasem to, co najprostsze, jest najskuteczniejsze. Kluczem były opanowanie i kamuflaż. Dwie cechy dobrego strzelca wyborowego.

Najtrudniej było podrobić podpis Olega na przepustce. Szkoda, że musiała się do tego uciec. Czowała, że go zdradza, i nienawidziła się za to. Ale Oleg jest dobrym człowiekiem, na pewno zrozumie, że ona nie może pozwolić na śmierć człowieka za coś, co wydarzyło się tak dawno temu albo czego wcale nie zrobił. Wojna już się skończyła! Łudziła się, że pułkownik nie będzie miał z tego powodu żadnych nieprzyjemności. Aby uspokoić sumienie, przyrzekła sobie, że mu to wynagrodzi. Przyjmie jego propozycję małżeństwa, jeśli oczywiście jej wybaczy. Tak, tak robi. Taka będzie jej przyszłość, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem: będzie rosyjską żoną w Związku Radzieckim. Uznała, że to nie jest okropna przyszłość. W końcu Oleg ją kocha i ona nauczy się go kochać. To sprawiedliwa cena za uratowanie życia tego, kogo naprawdę pokochała. Mogła wyrzec się Erica, pogodzić się z tym, że straci go tak, jak straciła Miszę, jakby wisiała nad nią kłątwa. Nie mogła jednak znieść myśli, że zabiją jej ukochanego, raz to już i tak było za dużo.

– Ale jak...?

Katia otworzyła torbę, którą przyniosła ze sobą, i wyciągnęła z niej mundur.

– Tak. Włóż go. Wykorzystamy zmianę warty pod drzwiami, za dziesięć minut. Zmiennik nie będzie wiedział, czy weszłam sama, czy z kimś. Mam taką nadzieję – wyszeptała swoje wątpliwości.

– Chcesz powiedzieć, że przejdę przez te drzwi pod ich nosem?

– Ty nie. Sierżant fizylierów Armii Czerwonej. Nie udało mi się zdobyć munduru oficerskiego. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. – Próbowała osłabić dramatyzm tej chwili.

Eric nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Czy pocałować ją żarliwie, żeby złagodzić

napięcie, czy zachować powściągliwość.

– Wiem, że to głupio brzmi. Nie musisz tego robić, jeśli nie jesteś przekonany.

– Nie, nie. Jestem – szybko wyjaśnił. – Nie mam nic do stracenia. Ale ty... Poniesiesz konsekwencje, nie mogę na to pozwolić.

– Liczę się z konsekwencjami, tym się nie martw. Chodzi tylko o to, czy idziesz czy nie.

– Podała mu porządnie złożony mundur.

Eric chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, co wybrać: „Dziękuję”, „Nie mogę uwierzyć, że robisz to dla mnie” czy... „Kocham cię”.

– Dalej, nie mamy wiele czasu – przynagliła go, patrząc mu na nogi. Zobaczyła, że ma bardzo zniszczone sznurowane półbuty. – Nie przyniosłam trzewików, trudno je zdobyć, a poza tym nie zmieściłyby mi się do torby. Oby strażnik wypił przed służbą swoją dzienną działkę wódki i nie zwrócił na nie uwagi.

– Tak... Oby. – Mówiąc to, zorientował się, że jest podenerwowany.

Poszedł do sypialni, żeby się przebrać. Tymczasem Katia zza drugiej strony półprzymkniętych drzwi przedstawiała mu ciąg dalszy planu.

– Zabierzemy twoje ubrania, żebyś potem mógł znowu zostać niemieckim cywilem. Ramiro i Ilse wyruszyli wczoraj z Sebem. Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej, na wypadek gdyby to... sam rozumiesz: nie wyszło. Oczywiście lepiej, żebyś uciekł z Berlina jak najszybciej, ale przynajmniej na kilka dni, kiedy będą cię szukali i będą mieli twój wizerunek na każdym punkcie kontrolnym, musisz się ukryć. Znalazłam dobre miejsce, tam teraz pójdziemy.

Eric wyjrzał zza drzwi.

– Już myślałem o ucieczce z Berlina – wyznał. – Miałem plan, ale mnie aresztowali. W Adlershof jest facet, który miał mnie wyprowadzić z radzieckiej strefy. Mogę do niego iść choćby jutro.

– Och, dobrze, dobrze. To ułatwi sprawę. W takim razie ukryjemy cię do jutra.

Eric skinął głową i poczuł, że spojrzenie Katii przebiega po nim od góry do dołu.

– Nie jest źle – podsumowała, obciążając mu bluzę i mocniej zaciskając pas.

Mundur był dla niego nieco za obszerny i trochę za krótki, bo Eric był bardzo wysoki; na szczęście niewielu żołnierzy nosiło dobrze dopasowane mundury. Najbardziej szokujące były buty, ale innych nie mieli.

Katia spojrzała na zegarek.

– Właśnie w tej chwili powinni zmieniać wartę. Gotowy?

Pełen obaw Eric z determinacją nabrał powietrza do płuc.

– Gotowy – powiedział na wydechu.

Katia schowała jego ubranie do torby, czekała, aż zyska pewność, że strażnik, który ją tu wpuścił, został zmieniony. Po dłuższej chwili podeszła do drzwi i zanim opuścili mieszkanie, głośno powiedziała: „Dobrej nocy, doktorze Althann”.

Jakby się umówili, oboje odetchnęli głęboko i przeszli przez próg. Mijając strażnika, Katia uniosła rękę do czoła w szybkim salucie.

– Już skończyliśmy, towarzyszu, możecie go zamknąć na klucz. Dobrej nocy.

Żołnierz zatrzymał ją.

– Przepraszam, towarzyszo porucznik, czy mogę zobaczyć waszą przepustkę?

– Już ją pokazywałam. Myślicie, że wartownik by nas bez niej wpuścił? – odpowiedziała zniecierpliwionym tonem.

– Ja tylko wypełniam rozkazy, towarzyszo porucznik. Muszę ją sprawdzić na nowo po zmianie warty.

Katia udawała irytację, żeby ukryć niepokój. Serce biło jej coraz szybciej. Stała tak, żeby

zasłonić Erica w niedopasowanym mundurze, jednocześnie wyciągając przepustkę. Wręczyła ją strażnikowi służbiście. Ten rzucił okiem na papier, a potem na nich. Katia pomyślała, z napięciem ściskającym jej pierś, że jeśli istnieje jakiś wzorzec radzieckiego mężczyzny, Eric w ogóle go nie przypomina.

– Tutaj jest tylko nazwisko porucznik Burzajewej...

– To jestem ja. A to jest sierżant Wasiljewicz, mój pomocnik. Proszę posłuchać, towarzyszu, jest późno i zaraz zamkną nam kantinę. Podziwiam wasze oddanie, ale za to nie dadzą wam medalu, więc nie traćmy więcej czasu, bo za chwilę nie dostaniemy kolacji.

Żołnierz, syberyjski uparciuch z ospowatą twarzą, oddał przepustkę, patrząc na Katię podejrzliwie.

– Sprawdź, czy tam w środku wszystko jest w porządku, zanim zamknę.

– No zróbcie to, do diabła! Bo może myślicie, że niesiemy więźnia ukrytego w torbie!

Katia poczekała, aż tamten zniknie za drzwiami.

– Chodu! – Chwycała Erica i pobiegła przez korytarz. – Cholerny uparty muł – zaklęła.

Eric ze swoimi długimi nogami i zszarganymi nerwami musiał bardzo się starać, żeby jej nie wyprzedzić; niemal był gotowy wziąć ją na ręce, gdy zbiegali w dół co drugi stopień. Kiedy znaleźli się w hallu, usłyszeli pierwsze krzyki:

– Stać! Stać! Zatrzymać ich!

Nie obejrzeni się za siebie. Teraz to Eric pociągnął Katię i jak dwie błyskawice przecięli hall, zanim strażnicy zdążyli zareagować. Mijali żołnierzy, którzy wchodzili i wychodzili, ale wszyscy patrzyli na nich zdezorientowani, nie rozumiejąc, co się dzieje. Zdołali wybiec na zewnątrz.

Podniosła się wrzawa i zapanował chaos, oni zaś ukryli się między samochodami, które parkowały przed budynkiem. Wtedy usłyszeli pierwszy strzał i przykucnęli przy kołach ciężarówki. Reszta strażników z budynku już zrozumiała, o co chodzi, i Katia przestraszyła się, że szybko ich otoczą.

– Musimy się ukryć w ruinach – powiedziała.

Eric spojrzął na drugą stronę ulicy; w ciemności można było dostrzec wielką górę gruzu i rozbity fasadę zbombardowanego budynku. Słyszał zamieszanie, kroki, szczęk broni za plecami. Mocno ścisnął rękę Katii.

– Idziemy?

Skinęła głową i rzucili się pochyleni na otwartą przestrzeń, ufając, że gruz ich osłoni. Seria z karabinu przeleciała nad nimi. Jedno pociągnęło drugie, nie zważając na nic. Wreszcie wskoczyli za pierwszą osłonę ze sterty cegieł.

– Nic ci nie jest? – zapytał Eric niemal bez tchu.

– Nic. A tobie?

– Wszystko w porządku.

– Musimy iść dalej. – Katia rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś drogi. Cały kwartał wydawał się zrujnowany. – Tędy, wejdziemy przez okno. – Wskazała na wypaloną ścianę dokładnie przed nimi.

Po kilku krokach znaleźli się we wnętrzu ruiny. Słyszeli swoich prześladowców deptających im po piętach. Przez chwilę stali w bezruchu. W środku panowała kompletna ciemność. Katia miała przy sobie latarkę, ale bała się jej użyć, bo światło mogło zdradzić, gdzie się ukrywają. Wyciągnęła pistolet, raczej instynktownie niż w jakimś innym celu.

– Chodźmy, nie możemy tu zostać, bo nas złapią – przynaglił ją Eric.

Katia go zignorowała. W jej głowie była tylko jedna myśl: kamuflaż. Dobry kamuflaż jest lepszy niż ucieczka. Tylko że trzeba działać błyskawicznie.

– Nie możemy – wyszeptała. – Chodzenie po ruinach bez światła jest niebezpieczne. Powolne i trudne, w najlepszym przypadku. Prędko by nas dopadli.

Eric spojrział na nią, nic nie rozumiejąc.

– Ukryjemy się tutaj. Jeśli zrobimy to dobrze, nie zauważą nas.

Jej oczy już się przyzwyczyły do ciemności i teraz zaczęła zbierać połamane deski, kawałki cegieł i odpryski gipsu. Znalazła wielką podartą zasłonę, która świetnie mogła im się przydać.

– Musimy zakopać się pod tym i leżeć bez ruchu, bez jednego drgnięcia mięśnia, nawet wstrzymując oddech, gdy tu wejda. Dobra, pomóż mi.

Zrobili miejsce w środku sterty gruzu, wystarczające, żeby się położyć, potem przykryli się zasłoną i przez dziury w niej ściągnęli na siebie zebrane przez Katię śmieci, jakby zakopywali się w piasku na plaży.

– Zamknij oczy, o niczym nie myśl, niczego nie słuchaj, nic nie czuj, jakbyś opuścił własne ciało – Katia pouczyła Erica, przypominając sobie te wszystkie godziny, które spędziła w kamuflażu, nieruchoma jak skała. – Jedynie w myślach liczy rytm oddechu.

Spojrzała na Erica, zanim natarła mu twarz pyłem i pokryła ją odpryskami gipsu i cegieł.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Eric zamknął oczy. Słowa Katii rozbrzmiewały w jego głowie: „Nie myśl, nie słuchaj, nie czuj”... Nie potrafił tego zrobić, był zbyt zdenerwowany. Miał gardło tak ściśnięte, że nie mógł przełknąć śliny zbierającej mu się w ustach. Miał zawroty głowy, czuł duszność i klaustrofobiczny strach w tym grobie. Nie potrafił... A jednak ciągle oddychał i spokojnie liczył.

„Nie słuchaj”... Ale wiedział, kiedy pojawili się żołnierze, bo docierały do niego ich głosy i kroki chrzęszczące na potłuczonych cegłach. Byli zbyt blisko, obok niego.

„Nie patrz”... Ale przenikała do niego cieniutka strużka światła latarek.

„Nie czuj”... Ale serce waliło mu w piersi i całe ciało piekło go od pyłu, kurzu i grubej wełny munduru.

„Nie myśl”... Ale myślał o Sebie, o tym, że nie opuści dziecka, na pewno nie; dla niego uda mu się.

„Nie myśl”... Katia. Ona była obok niego i ryzykowała dla niego życie. Dla niej uda mu się.

Gruz gdzieś obok niego się osuwał, głosy Rosjan unosiły się nad jego głową. Byli tak blisko, zaraz mogli ich odkryć. To niemożliwe, żeby ich nie odkryli. Mocno zacisnął powieki, jakby w ten sposób był w stanie zamknąć wszystkie zmysły.

Trzydzieści osiem... Trzydzieści dziewięć... Trzydzieści... Czy czterdzieści? Znowu stracił rachubę. Zaczął od początku.

W pewnej chwili zorientował się, że zrobiło się cicho. Było to dziwne, czuł się, jakby odzyskał świadomość... To niemożliwe... Liczył aż do tej chwili. Nie pamiętał ostatniej liczby... Spróbował otworzyć oczy, zobaczył tylko ciemność. Był cały odrętwiały, niemal do bólu. Nie wytrzyma dłużej.

– Eric?

Szept Katii sprawił, że wziął się w garść. Znowu usłyszał osuwający się gruz, ale tym razem to on poruszył stertę.

– Tak. Poszli już?

Pani porucznik pomogła mu się odkopać.

– Poszli.

Wyczuł w ciemności, że się do niego uśmiecha.



CHYBA ZOSTAWIĘ TO ŚLEDZTWO

Masz trochę pękniętą górną wargę – zauważyłam, wycierając Martinowi krew wacikiem nasączonym wodą utlenioną. On pozwalał na to bez protestów, z głową na oparciu kanapy. – Boli cię?

– Przede wszystkim duma. Dałem się ponieść. Nie powinienem był mu tego mówić.

– Jeśli ktoś dał się ponieść, to na pewno Alain. Przesadził. Nie miałam wątpliwości, że jak cię zobaczy, to nie będzie szczególnie zadowolony, dlatego chciałam uniknąć waszego spotkania. Ale nie sądziłam, że dojdzie do czegoś takiego.

– Powiedziałas mu, że poszliśmy ze sobą do łóżka?

Kiwnęłam głową. Trochę żałowałam, że to zrobiłam, a teraz nie przyszło mi na myśl żadne wytłumaczenie. Gdybym się przyznała, że powodowała mną wtedy mieszanka żalu i złości, byłoby jeszcze gorzej.

– No to chyba go rozumiem...

– Nie. Jego reakcja była przesadzona i nie da się jej usprawiedliwić. Nie mówiąc już o tym, że mnie też obraził. Przyciśnij tutaj, zobaczymy, czy przestanie krwawić. Chyba będę potrzebować jeszcze jednego wacika.

Martin zrobił, jak kazałam, kiedy ja wyciągałam następny wacik. Całe szczęście, że używam ich do zmywania makijażu, bo oczywiście nie miałam w domu apteczki.

– Muszę mu przyznać rację. Nie powinienem był cię zostawić samej.

– Martin, ty mnie nie zostawiłeś samej. To ja zadziałałam na własną rękę. Poza tym on nie jest moim ojcem ani moim adwokatem, nie wiem, dlaczego, u diabła, musi przemawiać za mnie.

Nie sądzę, żeby Martin w ogóle zwrócił uwagę na moje argumenty.

– A jednak ma rację – upierał się. – Wszystko wymknęło się spod kontroli. Odmawiałem pracy w taki sposób od samego początku, wiedziałem, że to się nie uda. Ale oni... Oni się uparli. Chcieli za wszelką cenę, żebyś to była ty.

Słuchałam go zbita z tropu, nie rozumiejąc tej deklaracji i wyjaśnienia, które wydawało mi się dziurawe.

– A ty nie chciałeś, żebym to była ja?

Spojrzał na mnie poważnie.

– Nie. Nie w taki sposób. W ten sposób to nigdy nie mogłoby się udać. Bo zmusili mnie do tego, żebym cię okłamał, opowiadał ci półprawdy, ukrywał przed tobą dane. Nic nie mów, proszę. O nic nie pytaj. Wyjaśnię ci wszystko. Wszystko, co powinienem był ci wyjaśnić już na samym początku. Mam gdzieś, czy im się to spodoba. Zrobię wreszcie to, co należy.

– Przerażasz mnie...

– Nie martw się. To ja mam więcej do stracenia. Boże... nawet nie wiem, od czego zacząć.

Wzięłam zakrwawiony wacik, który przytrzymał palcami, i podałam mu czysty.

– Możesz zacząć, Martinie Lohse, od tego, że powiesz mi, kim jesteś.

– To moje prawdziwe imię i nazwisko, przysięgam. – Lekko się uśmiechnął, może dlatego, że wargę ciągle go bolała, a może nie. – Dokumenty, które widziałas... Wszystko, co wtedy w hotelu zobaczyłaś... Jestem funkcjonariuszem Bundeskriminalamt, Federalnego Urzędu Śledczego. Zostałem przypisany do specjalnej grupy przestępstw przeciwko dziedzictwu kulturowemu, konkretnie do nielegalnego handlu dziełami sztuki i antykami przez przestępczość zorga-

nizowaną. Zwykle działam jako tajny agent w operacjach międzynarodowych przeciwko sieciom handlu narkotykami, bronią, sfałszowanymi i oryginalnymi dziełami sztuki... Również przeciwko organizacjom terrorystycznym, które są finansowane z nielegalnego handlu. Wszystko jest ze sobą powiązane. Nawet sobie nie wyobrażasz, do jakiego stopnia terroryzm międzynarodowy karmi się handlem sztuką. Kiedy znalazłaś te dokumenty... Przyznaję, że ci zaufałem, nie spodziewałem się, że będziesz mi grzebać w walizce. – Zaśmiała się nerwowo. – W tamtej chwili wpadłaś na Jörga Müllera z Hesji w Niemczech. Ale mógł to być Lukas Steiner z Salzburga w Austrii albo Rolf Fisher z Windhuku, stolicy Namibii, albo... nie wiem, ktokolwiek. Czasem są to rzeczoznawcy, kiedy indziej kolekcjonerzy, czasem jubilerzy... Są żonaci i mają dzieci albo nie; albo są rozwiedzeni; czasem wdowcy, tak wolę, wdowcy wzbudzają współczucie i przeciwnik zwykle obniża gardę... Jednak Martin Lohse jest bezdzielnym kawalerem, musisz mi wierzyć, w mojej pracy posiadanie rodziny byłoby bardzo niebezpieczne. Zdjęcie, które ci wysłali, to, na którym spaceruję z Ilirem Baluku, zostało zrobione w jego domu w Westfalii. Ten facet to jeden z największych handlarzy narkotyków w Europie, a jednak nie sposób zebrać przeciwko niemu dowodów. Wiemy, że Baluku sprzedaje na czarnym rynku antyki kradzione z greckich i iliryjskich grobowców na Bałkanach, i próbowaliśmy przyłapać go na tym. Ja robiłem za specjalistę od sztuki starożytnej na Uniwersytecie w Strasburgu, który doradzał rzekomemu chińskiemu kolekcjonerowi, zainteresowanemu kupnem większej liczby artefaktów.

– Dlaczego mi tego nie opowiedziałeś?

– Bo tajny agent po to jest tajny, żeby nikomu o tym nie opowiadać. Przypuszczam, że to Konrad Köller wysłał ci zdjęcie i zrobił to, bo myślał, że jestem takim samym mafiosem jak ludzie, z którymi się zadaję, jak on sam. I tak ma być. W sumie najlepiej by było, żebyś ty też tak myślała, dla bezpieczeństwa, między innymi. Ale to już zaszło za daleko: przestałaś mi ufać i to wpływa na śledztwo. Śledztwo, które od początku szło źle właśnie z powodu mojej profesji. To prawda, że z jednej strony mogę liczyć na pewne ułatwienia, kiedy zaczynamy tego typu pozaoficjalne misje: mam dostęp do środków, informacji i możliwości, żeby szukać medalionu, w tym wypadku; nie chcemy dopuścić do tego, żeby wpadł w ręce terrorystów i członków przestępczości zorganizowanej, to moja praca. Z drugiej jednak strony dużo ryzykuję, bo szukam medalionu jako Martin Lohse, nie mam fałszywej tożsamości ani nie mógłbym mieć, bo działam poza strukturami policji. Dlatego początkowo odmówiłem udziału w tej sprawie. Wtedy oni zasugerowali, żeby zatrudnić ciebie jako twarz całej akcji, podczas gdy ja siedziałbym w cieniu. Znów odmówiłem, powiedziałem im, że nie możemy cię wystawiać na takie niebezpieczeństwo. Zaczęli mnie przekonywać, że mamy tylko dwie opcje: udać się do ciebie albo pozwolić, żeby kto inny znalazł medalion. I mieli rację. Więc się zgodziłem.

Skinęłam głową, przyjmując do wiadomości to, co opowiedział.

– Konrad zasugerował, żebym cię zapytała, dlaczego mnie zatrudniliście, żebym zażądała od ciebie prawdy. Czy to jest ta prawda?

– Tak. Ale Konradowi nie o to chodzi. Jest coś jeszcze. Jest jeszcze jeden powód, dla którego cię zatrudniliśmy, ważniejszy tak naprawdę. Ten sam powód, dla którego Konrad zlecił ci szukanie *Astrologa*.

Dreszcze przebiegły mi po całym ciele. To wyznanie bardzo mi się nie spodobało.

– Co masz na myśli?

Bez słowa Martin zdjął wacik z rany i wstał z wysiłkiem i grymasem bólu, którego nie potrafił ukryć; było jasne, że obrażenia ciągle dają mu się we znaki. Podeszedł do stolika po drugiej stronie kanapy, tego z szybą, pod którą był mój kolaż zdjęć.

– Mogę? – poprosił mnie o pozwolenie, sięgając po jedno z nich, to, które wystawało na skraju.

Choć zdezorientowana, pozwoliłam mu na to. Ostrożnie wyciągnął zdjęcie i podał mi. Doskonale znałam tę fotografię, wybrałam ją do swojego kolażu, bo mimo że nie znałam żadnej z uwiecznionych na niej osób, zawsze podobały mi się jej sepiowy kolor i tło pełne przedmiotów, które godzinami mogłam próbować rozpoznać, przywodzące na myśl orientalny bazar albo wiktoriański sklep. Na tym tle odcinały się cztery wyraziste postaci: trzech mężczyzn, którzy pozowali, stojąc niemal na baczność, i dziewczynka, która nie patrzyła w stronę obiektywu i wydawała się nieobecna. Jeden z mężczyzn był pulchny i niższy od pozostałej dwójki, miał na sobie coś w rodzaju kaftana i okulary w drucianej oprawce na czubku malutkiego nosa. Ten stojący w środku był wysoki, elegancki, w garniturze w prążki jak dyplomata, z wąsikami à la Clark Gable; w jednej ręce trzymał fajkę, atrybut dandysa. Trzeci, może najstarszy z tej trójki, wyglądał jak przeniesiony z XIX wieku, z wykrochmalonym kołnierzykiem koszuli i monoklem w prawym oku; miał pociągłą, szczupłą twarz, na której wyraźnie odcinały się wąsy i hiszpańska bródka... Nagle wydało mi się, że wygląda znajomo, i nie tylko dlatego, że był podobny do Christophera Lee.

– Alfred Bauer – obwieścił Martin, wskazując palcem mężczyznę w centrum, tego podobnego do Clarka Gable’a. Strażnik *Astrologa*.

– Co?

– To jest Alfred Bauer. Rozpoznałem go, gdy go zobaczyłem.

– Ale...

– Kilka tygodni temu, kiedy tu byłem po raz pierwszy. Nie wiem, czy pamiętasz, ale zapytałem cię o to zdjęcie. Przez chwilę myślałem, że o tym wiesz, ale nie... „Może udaje”, powiedzieli mi. Nie... byłaś szczerą: nie wiedziałaś, że to on.

Pokręciłam głową. Byłam na skraju załamania nerwowego. Nic z tego nie rozumiałam.

– To niemożliwe. Musisz się mylić. To... to zdjęcie należało do mojego dziadka... To na pewno ktoś podobny. Mógłby to być Clark Gable!

– Nie sądzę. Widziałem dziesiątki zdjęć Alfreda Bauera i jego portret olejny, który Sarah miała w domu. Ten człowiek ze zdjęcia to on. Ale nie tylko dlatego jestem pewien, że się nie mylę.

Martin znowu usiadł obok mnie, robiąc pauzę, która trwała całą wieczność.

– Z tego, co udało mi się potwierdzić, wcale nie jest takie dziwne, że masz to zdjęcie. To nie przypadek, Ano. Chociaż o tym nie wiesz, jesteś znacznie bardziej wplątana w tę sprawę, niż ci się wydaje. Zawsze byłaś, od *Astrologa*, a nawet wcześniej.

– Ale co...? Kurwa, Martin, wyjaśnij to wreszcie.

– Przed laty Sarah Bauer znalazła w rzeczach swojej babci, hrabiny Vandermonde, list, który tamta otrzymała na krótko przed ślubem syna. Wiesz, że Alfred Bauer ożenił się z Żydówką i że hrabina była przeciwna temu małżeństwu. No więc z lektury listu można wywnioskować, że hrabina wcześniej zwróciła się o pomoc do jego nadawcy, człowieka, którego uważała za dobrego przyjaciela rodziny, aby w imię specjalnej zażyłości łączącej go z jej synem i wpływem, jaki na niego ma, zainterweniował i za wszelką cenę zapobiegł temu małżeństwu. Nadawcą listu, przyjacielem Alfreda Bauera, był Leopoldo García de la Torre.

Kiedy Martin wymówił to nazwisko, poczułam się tak ogłuszona, jakby przy moim uchu uderzył dzwon katedralny.

– Że jak?

Martin kiwnął głową.

– Twój pradziadek.

– Nie, nie, to nie ma żadnego sensu. To ktoś inny o tym samym nazwisku. Są pewnie setki Leopoldów Garcii de la Torre, to nie jest rzadkie nazwisko.

– To on, Ana. Sarah wynajęła detektywa, żeby go odnaleźć. Mówimy o początku lat pięćdziesiątych, już po śmierci hrabiny. Detektyw ustalił, że pan Leopoldo zmarł w 1935 roku, ale że miał syna, Ramira Garcíę Abada. I odszukał go w Madrycie.

Ja dalej zaprzeczałam temu w cichości serca. To pomyłka. Na pewno pomyłka. Mój dziadek Ramiro, nie. On nie miał z tym nic wspólnego.

– Sarah próbowała się z nim skontaktować, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. W końcu zrezygnowała i sprawa została zapomniana. Aż wiele lat później na scenie pojawiłaś się ty, starając się odnaleźć *Astrologa*. Prześwietlając cię, odkryto, że jesteś wnuczką Ramira Garcii Abada. Początkowo myśleliśmy, że sprzymierzyłaś się z Konradem Köllerem właśnie dlatego i że wiedziałaś, czego szukasz, czym jest *Astrolog*. Potem zrozumieliśmy, że się mylimy.

Wtedy już siedziałam z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdybym była żółwią, schowałabym głowę w skorupie, żeby nigdy więcej jej nie wyciągnąć. Jednak wspomnienie Konrada sprawiło, że natychmiast się wyprostowałam.

– Konrad o tym wiedział, prawda? Wiedział o tym od początku... Boże... On widział to zdjęcie...

Gdy wypowiadałam to ostatnie zdanie, przypominałam sobie jedną z nielicznych okazji, gdy Konrad był w moim mieszkaniu: skupił się wtedy na tym zdjęciu, zapytał mnie o nie... Aż do tego stopnia mnie wykorzystał. Znacznie bardziej, niż mi się wydawało.

– Co za skurwysyn... – wymamrotałam pod nosem.

– Teraz, kiedy już wiem, że zamieszana jest w to Greta Köller, zaczynam myśleć, że nie tylko nam się wydawało, że jesteś w to zamieszana. Że też wpadliśmy w pułapkę. Pomyśl, Ano, po co ktoś miałby obwieszczać, że zaczyna się poszukiwanie medalionu? Po co komuś rywale? Nie mogłem przestać o tym myśleć. A teraz wydaje mi się, że już mam odpowiedź. Po to, żebyś ty się zaangażowała w poszukiwania. Bo Greta – jak przypuszczam za wiedzą brata – nie mogła poprosić cię o współpracę bezpośrednio. Po historii z *Astrologiem* nigdy byś się na to nie zgodziła. Ale przeczuwała, że nam byś pomogła. Tak więc ty miałaś wyciągnąć medalion na światło dzienne, a potem Greta by go przejęła. Köllerowie są przekonani, że ty, twoje otoczenie, świadomie albo nieświadomie, jesteście kluczem do medalionu.

Nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Mogłam tylko kręcić głową, jak mechaniczna lalka. Jak lalka znajdująca się w cudzych rękach.

Martin chciał mnie przytulić na pocieszenie, ale odepchnęłam go gwałtownie, nagle w pełni przytomna.

– A ty? Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego przemilczałaś to aż do teraz jak... jak...? Teraz, gdy Konrad cię wystawił... Teraz mi to opowiadasz, co? Nie jesteś dużo lepszy od niego!

– Nie! Nie! Ja ci to chciałem powiedzieć od samego początku! Uważałem, że źle jest to ukrywać! Powiedziałem im to, powiedziałem im, że nie chcę tak pracować, że musimy ci wszystko wyjawić, wyłożyć wszystkie karty na stół. Ale mnie nie słuchali, nalegali, że trzeba cię poddać próbie. Musisz mi uwierzyć: mój błąd polega na tym, że posłuchałem ich jak krety. Przysięgam ci, miałem tylko nadzieję, że ty wiesz i że ukrywasz przede mną, że wiesz – w takim wypadku bylibyśmy kwita i nie musiałbym się wstydzić.

– No więc nie, nie miałam o tym pojęcia! Przykro mi, bo zmarnowałeś na mnie czas. Ty, ci twoi „oni” i Köllerowie! Nie wiem nic, czego nie wiedzieliby inni ludzie, nie wnoszę żadnej wartości dodanej. Moglibyście zatrudnić kogokolwiek innego, w sumie możecie to zrobić od razu!

Przyznaję, że się wściekłam, ale w tamtej chwili nie byłam w stanie jasno myśleć, reagować na chłodno jak sztuczna inteligencja. Zdezorientowana, zaskoczona, dotknięta do żywego...

Odurzona nadmiarem niespodziewanych wrażeń, których nie mogłam przetrwać, w pierwszym odruchu chciałam się nad sobą uzalać.

– Ano...

Martin próbował spojrzeć mi w oczy, ale ja spuściłam głowę, bo zaszyły mi łzami. Byłoby to żalosne.

– Mnie jest wszystko jedno, kim był twój dziadek – mówił dalej. – Wiem tylko, że dzięki tobie teraz rozpoznaję dwóch pozostałych ludzi z tej fotografii.

Wtedy, jakby wypowiedział zaklęcie, odzyskałam jasność myśli. Uniosłam wzrok.

– Cornelius Althann i Fiodor Wojkow – wyszeptalam, zaskakując samą siebie.

Nagle kilka elementów z tej fotografii zaczęło do siebie pasować. Dlatego mężczyzna z hiszpańską bródką wydał mi się znajomy – widziałam go na zdjęciu z Ermitażu u Iriny, tym przedstawiającym ekipę katalogującą klejnoty Romanowów. A tłem musiały być poustawiane bez ładu i składu starocie. Sklep Corneliusa Althanna, antykwariusza.

– A dziewczynka... – ciągnęłam podniecona swoją nagłą bystrością umysłu. – To może być Katia, siostrzenica Wojkowa. Zdaje się, że mam jej zdjęcie w aktach Domu Dziecka numer dwa w Moskwie. Musiałabym to sprawdzić, ale... ja bym powiedziała, że to ona.

Martin się zaśmiał.

– Nie wiem, o czym do mnie mówisz, ale to nie ma znaczenia. To ty i twój talent w pełnym rozkwicie. Słuchaj, przeczytałem te listy, te, które gdyby nie ty, dalej leżałyby u Bonattiego. One wyjaśniają to zdjęcie – stwierdził, sięgając do kieszeni spodni. – Przyniosłem kopie. Dzięki ich lekturze dowiesz się, o co mi chodzi.

Spojrzałam niechętnie na kartki, które mi wręczył: ciasne pismo łacińskie Pico della Mirandoli. Wtedy zdałam sobie sprawę, że boli mnie głowa, pewnie z napięcia, ale też z powodu rany; już dawno minęła pora zażycia kolejnej tabletki przeciwbólowej.

– Na pewno możesz mi to streścić.

– Oczywiście. Pewnie pamiętasz, że po śmierci Wawrzyńca Medyceusza na jego spadkobierców spadła odpowiedzialność za to, co hrabia Pico nazywał relikwiami II Magnifico: *Astrologa* i Ognisty Medalion. Oto, co do tej pory wiemy z korespondencji między Pico a Eliaszem Delmedigo, którą znaleźli naziści i przekazali Georgowi, żeby zaczął szukać *Astrologa*. Teraz dzięki listom, które zabrałaś z domu Sebottendorfa, wiemy, że ostatecznie spadkobiercy Wawrzyńca znaleźli rozwiązanie: stworzyli bractwo złożone z Pico della Mirandoli, Marsilia Ficina, Eliasza Delmedigo i Giorgionego. Cała czwórka zobowiązała się kolegiально chronić i zachować sekrety obu relikwii. Bractwu nadano nazwę Magna Clavis. I żeby przetrwało wieki, każdy członek miał wybrać swojego następcę i wtajemniczyć go w misję jak mistrz ucznia. W ten sposób, pokolenie za pokoleniem, Magna Clavis trwa przynajmniej do momentu zrobienia tej fotografii.

– Magna Clavis. Wielki Klucz. Czy może się to odnosić do symbolu medalionu? Klucz w okręgu, klucz do nieskończoności albo do wieczności. Ten sam, który został namalowany na obrazie *Astrolog*.

– Nie zwróciłem na to uwagi, ale tak, oczywiście może się odnosić właśnie do tego.

Znowu przyjrzałam się wizerunkom Althanna, Bauera i Wojkowa.

– Cornelius Althann jest podobny do Burla Ivesa.

– Burla Ivesa?

– Drugoplanowego aktora kina klasycznego. Zwykle grał Świętego Mikołaja, ale możesz go kojarzyć jako ojca Paula Newmana w *Kotce na gorącym blaszanym dachu*.

– Jakoś sobie nie przypominam... Ale ma sympatyczną twarz.

– Tak – zgodziłam się rozkojarzona. Dalej analizowałam fotografię. – Zakładając, że to są członkowie Magna Clavis, dlaczego jest ich tylko trzech? Zgodnie z wolą członków założycieli

bractwa powinno być ich czterech.

Martin nie musiał niczego mówić, wystarczyło, że na mnie spojrział.

– Myślisz, że mój pradziadek...?

– Jestem pewien. Sprawdziłem nasze archiwa, w których przechowujemy wszystkie dokumenty dotyczące *Astrologa*, między innymi list Leopolda Garcii de la Torre do hrabiny Vandermonde. Jest w nim wzmianka o Magna Clavis, wpis, który mogą rozpoznać tylko wtajemniczeni.

Siedziałam ze wzrokiem utkwionym w zdjęcie, chociaż na nie nie patrzyłam. Myślałam o pradziadku, a potem o dziadku: czy on był w to wprowadzony? Czy był członkiem Magna Clavis? A mój ojciec? Na samą myśl, że mógłby być w to zamieszany, dostałam gęsiej skórki. Czy to jest tak blisko mnie?

– Nie, to niemożliwe – podsumowałam swoje rozważania na głos. – Bractwo się rozwiązało. W przeciwnym razie Sarah Bauer nie musiałaby chronić *Astrologa*. Gdyby Magna Clavis istniało, gdyby spadkobiercy Althanna i Wojkowa, nawet mojego pradziadka, je utrzymali, Sarah by o tym wiedziała. Nie, ono już nie istnieje, Martin. Prawdopodobnie wojna położyła mu kres. I to, że ty i ci twoi „oni” w jakiejś formie przejęliście jego zadanie, jest na to dowodem.

– Zgoda co do sprawy *Astrologa*. Ale jeśli tak jest, to kto pilnuje Ognistego Medalionu?

Wtedy rzeczywiście poczułam się wyczerpana.

– Matko boska... To jest pytanie, od którego to wszystko się zaczęło.

Położyłam się na kanapie i potarłam sobie oczy. Przez szaleństwa ostatnich tygodni nie opowiedziałam Martinowi nic o moich najnowszych odkryciach, ale w tej chwili nie miałam najmniejszej ochoty wyciągać komputera i zabierać się do analizowania dokumentów, danych, tych wszystkich kawałków układanki, a następnie ustawiać ich w kontekście nowych informacji.

– Z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że Fiodor Wojkow jako ostatni miał medalion – powiedziałam w skrócie. – Mogę tego dowieść. Ale potem... Nie mam pojęcia. Musielibyśmy dalej prowadzić śledztwo.

Oczekiwałam szybkiej odpowiedzi Martina. On jednak milczał. Odniosłam wrażenie, że się niepokoi: wiercił się na kanapie, zmienił pozycję nóg, pochylił się, wyprostował...

– Ja... Chyba zostawię to śledztwo.

Sądziłam, że po tym, czego właśnie wysłuchałam, już mnie nie zaskoczy. A jednak...

– Dlaczego? Już was nie interesuje medalion?

– Interesuje. Nie miałem na myśli tego, że trzeba zawiesić śledztwo, tylko że ja nie mogę, nie powinienem w nim brać udziału.

– Przez twoją pracę? Przeze mnie? Mówiłeś, że nie chciałeś mnie zatrudnić, ale teraz, kiedy opowiedziałeś mi prawdę, kiedy już nie trzeba kłamać ani udawać...

– Tak. Jasne... Ale tu nie chodzi o ciebie. Albo dobra, o ciebie, ale nie tak, jak myślisz. Chodzi o mnie.

– Martin, dzisiaj nie jestem szczególnie lotna, wiem o tym. Biorąc pod uwagę uderzenie w głowę, lekarstwa, to, co mi właśnie opowiedziałeś... Słuchaj, ja nie wiem, co myśleć o tym śledztwie. Ale ty... Dlaczego ty miałbyś je zostawić? To bez sensu. Nie wiem, dokąd zmierzasz.

– Kurwa, jak ci to wytłumaczyć?... Mógłbym ci powiedzieć, że nie chcę pracować z tobą, że nigdy tego nie chciałem i że już nie mam powodu, żeby to ukrywać, albo że mam mnóstwo pracy, misję w, nie wiem, dajmy na to w Sudanie. Ale ty byś wiedziała, że cię okłamuję. Kurwa... Nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, żeby zachować godność i cię nie skrzywdzić.

– A gdybyśmy tym razem, tylko ten jeden raz, poświęcili twoją godność? – zasugerowałam, starając się udawać spokój, chociaż zżerały mnie nerwy i tak naprawdę miałam ochotę zła-

pać go za fraki i wydusić z niego wreszcie to, co miał mi do powiedzenia, bo inaczej ta rozmowa mnie wykończy.

On przytaknął, choć nie wydawał się przekonany. Westchnął.

– Ana, ja... Te ostatnie dni to był koszmar. Nie wiedziałem, gdzie jesteś, obawiałem się najgorszego... I nie chodzi o to, że niby jestem dobrym kolegą, który martwi się o kumpli z pracy. Robię to, co robię, i mogę przy tym spać spokojnie, przyjmuję do wiadomości ryzyko, jakie ponoszą koledzy, tak jak własne. To moja praca. Ale z tobą... Bałem się, że zdarzy się coś złego, i do tych wielu powodów, dla których nie chciałem cię angażować w tę sprawę, doszedł jeszcze jeden.

Nie, nie przerywaj teraz. Już zrobiłeś krok do przodu, kurwa, wyrzuć to z siebie, myślałam gorączkowo.

– Jaki?

Spojrzał na mnie. Jak ktoś, kto ma ci przekazać najgorszą wiadomość na świecie.

– Podejrzewałem, że mogę się w tobie zakochać. Że się w tobie zakochuję.

Jego deklaracja zaparła mi dech, byłam trochę wzruszona, a trochę przestraszona. Nie przyszło mi do głowy nic mądrego, co mogłabym powiedzieć, i chociaż w takich wypadkach lepiej milczeć, postanowiłam trochę mu pomóc.

– Mówisz, jakby to była katastrofa.

– Bo jest. I teraz, kiedy wiesz, kim jestem i czym się zajmuję, zrozumiesz dlaczego. Uważasz, że ktoś, kto ma różne paszporty i spotyka się z mafiosami, terrorystami i handlarzami narkotyków, może się zakochać i być z dziewczyną jak normalny człowiek?

– Wygląda na to, że tak. Przynajmniej może się zakochać.

– Jasne, tak, ale nie powinien, ja nie powinienem. Ze względu na siebie i ze względu na ciebie. Dlatego najlepiej będzie, jeśli zduszę to w zarodku, zanim będzie za późno. Muszę zostawić to śledztwo, muszę. Ty dalej możesz pracować z Brigitte, dobrze wam razem idzie. To nie jest jej działka, ale ty już jesteś ekspertką, a ona ma dobre oko i kontakty wszędzie, na pewno będzie ci bardzo pomocna.

Przysunęłam się do niego tak, że nasze kolana się zetknęły. Wzięłam go za rękę.

– Dobrze pracuje mi się z Brigitte, to prawda.

Pobawiłam się jego palcami, przyjrzałam się im, jakbym czytała linie papilarne. Miał wielką dłoń, pasującą do jego wzrostu. Uniosłam wzrok. Patrzył na mnie, czekając na jakąś deklarację z mojej strony. Zachwyciły mnie jego oczy. Nie tylko dlatego, że były piękne, o intensywnej turkusowej barwie, migdałowym kształcie, z długimi, czarnymi i gęstymi rzęsami, które wyglądały jak pociągnięte tuszem. Podobały mi się przede wszystkim dlatego, że otulały mnie ciepłym przyjaznym spojrzeniem, wzmacnianym przez cieniutkie kurze łapki w kącikach powiek.

Pogłaskałam go po twarzy, jeszcze posiniaczonej, i lekko pocałowałam w usta. Martin jęknął trochę z rozkoszy i trochę z osłabienia.

– Ale ja nie chcę pracować z Brigitte, chcę pracować z tobą.

– Cholera, Ana... – zaprotestował delikatnie. – Nie utrudniaj mi tego.

Wtuliłam się w jego ciało.

– A jeśli będziesz udawał, że chodzi tylko o seks?

– To niemożliwe. – Zatopił twarz w mojej szyi. – Bo jak mówisz mi takie rzeczy, to jeszcze bardziej się w tobie zakochuję.

Musnęłam ustami jego ucho, przebiegłam nimi po jego brodzie, znowu znalazłam jego usta i powoli wsunęłam między nie język. Westchnął głęboko, odwzajemniając pocałunek z ledwie hamowanym podnieceniem. Jego ręka niecierpliwie wędrowała po moich plecach, wciskała

się pod bluzkę, pod pasek stanika.

– Nie chcę cię skrzywdzić...

– Ja ciebie też nie. – Zaczęłam mu rozpinąć spodnie. – Będę uważała na twoje rozcięcie na ustach – pocałowałam go – na twoją szyję – pocałowałam go – na twój wybity bark – pocałowałam go – i na twoją klatkę piersiową... Które żebra masz złamane?

– Nie o to mi chodzi. – Głos mu się łamał.

Spojrzałam na niego zalotnie.

– Wiem. Ale po raz pierwszy w życiu jest mi to obojętne. Będę nieświadoma, gotowa ponieść konsekwencje. Oczywiście, jeśli chcesz teraz zrezygnować... – zasugerowałam przekornie z ręką w jego bokserkach.

– Nie... Nie... – Rzucił się na mnie, całując mnie szaleńczo. – Ja też jestem gotowy ponieść konsekwencje.



MAJ 1945

Berlin po bitwie usiany był trupami. Ciała leżały w długich rzędach na ulicach, unosiły się w kanałach, pojawiały się wśród ruin, płonęły w niegaszonych pożarach. Już na początku radzieckiego oblężenia usługi pogrzebowe w mieście załamały się i obywatele sami zajmowali się swoimi zmarłymi; grzebali ich, kiedy niekończące się bombardowania im na to pozwalały, wszędzie, gdzie się dało, nie tylko na cmentarzach, ale też w parkach, ogrodach albo w prowizorycznych grobach – zawsze gdzieś w pobliżu była jakaś anonimowa mogiła z krzyżem. Ponieważ brakowało trumien, trupy przykrywano gazetami, kocami albo zwyczajnie leżały nieokryte tam, gdzie człowiek padł. Po zakończeniu bitwy Sowieci zebrali swoich poległych i rozkazali berlińczykom, przede wszystkim kobietom i dzieciom, żeby zrobili to samo ze swoimi. Zadanie ciągnęło się tygodniami, po mieście niósł się przyprawiający o mdłości smród gnijących ciał.

Katia bała się, że się zgubi w tym labiryncie rozmytych ulic, jeszcze bardziej zawiłym w ciemnościach. Poza tym musiała być ostrożna, bo wszędzie szukały ich patrole. Orientowała się według rzeki, szli obsadzonym drzewami brzegiem.

– Dokąd idziemy? – spytał Eric.

– Do miejsca, gdzie pewnie nikomu nie przyjdzie do głowy cię szukać – odpowiedziała enigmatycznie.

– Gdybyś była nieco bardziej konkretna, mógłbym ci pomóc. Zapomniałaś, że jestem berlińczykiem?

– Już pewnie jesteśmy blisko. To w tym parku. – Pokazała mu punkt na planie miasta.

– Ale trudno się zorientować, zniknęło wiele ulic.

Eric spojrzął na plan.

– Chodźmy tędy – stwierdził po chwili.

Ponad godzinę zajęło im przejście odcinka, który w normalnych warunkach pokonaliby w niespełna dwadzieścia minut. Ale udało im się trafić.

– Rozumiesz teraz, dlaczego uważam, że nikomu nie przyjdzie do głowy szukać cię tutaj?

– Wskazała triumfalnie tablicę wiszącą na płocie.

Eric wbił w nią wzrok. Nawet nie potrzebował światła, żeby wiedzieć, co tam napisano: „Blindgänger!! Lebensgefahr!”. Niewybuch. Grozi śmiercią. I czaszka ze skrzyżowanymi piszczałkami, na wypadek gdyby wiadomość nie była dość jasna.

Tablica ostrzegawcza nie była jakoś szczególnie potrzebna, bo za płotem widoczna była bomba zaryta w ziemi tuż przed wejściem do eleganckiego budynku teatru na obrzeżach parku. Brytyjska bomba GP o wadze dwustu pięćdziesięciu kilogramów, jeśli się nie mylił.

– Obyśmy nie mieli pecha, że wybuchnie właśnie teraz – rzuciła Katia.

– Nie, mam nadzieję, że nie wybuchnie.

Przeszli przez dziurę w płocie i okrążyli budynek, żeby wejść do niego od tyłu. Teatr był dość mocno zniszczony przez bomby zapalające. Spalony dach zwałił się do środka. Mały ogród na tyłach również spłonął w dużej części. Przy czarnych ogołoconych kwietnikach Eric dostrzegł dwa trupy, których nikt nie zadał sobie trudu zabrać. Odwrócił wzrok, wstrzymał oddech i poszedł dalej, jak to robił za każdym razem, kiedy natrafiał na podobny widok, co w tych dniach w Berlinie zdarzało się tragicznie często.

Dotarli do drzwi, które powoli zarastały chwasty. Były na wpół otwarte, co świadczyło

o tym, że ostrzeżenie i zakaz wstępu bywały ignorowane. Weszli do środka jak gdyby nigdy nic.

Katia włączyła latarkę. Byli w korytarzu o osmolonych ścianach. Prowadził do garderób oraz magazynów ubrań i sprzętu, częściowo splądrowanych. Na końcu stanęli w kulisach. Tam obraz był jeszcze smutniejszy. Nadscenie stało się dżunglą połamanych belek, powyginanych sztankietów, poskręcanych albo wiszących luźno lin, obciążników, reflektorów, elementów dekoracji i podartych kurtyn. Ogień wypalił dziurę w podłodze widowni, pociągnął za sobą fotele, pożarł ściany wykładane tkaniną, poczercił kryte złotem sztukaterie, wytłukł kryształowe żyrandole i szyby w oknach. Wszystko było gęstwiną kawałków, odprysków i nadpaleń, spod której wyzierały ślady zaskakująco kolorowego baroku, gorzkie wspomnienie dawnej świetności.

– Lepiej zawróćmy – powiedział Eric.

Szukając to tu, to tam, znaleźli pudełko w połowie wypalonych świec i sztywny koc. Zabrali je do garderoby, w której zostały tylko jedno krzesło z dziurą w siedzisku, rama lustra z potłuczonymi żarówkami i blat toaletki z plamami i resztkami kosmetyków do charakteryzacji. Ze ściany zwisały strzępy plakatów dawnych przedstawień, podłogę zaściewało pierze z rozdartej poduszki, które unosiło się przy każdym kroku. Tam rozłożyli koc, a wokół niego rozstawili na puszkach zapalone świece.

Katia opróżniła torbę: ubranie Erica, sucha kiełbasa, herbatniki i manierka z wódką.

– Nie ma tego za wiele, ale nie będziesz głodny. Przynajmniej do czasu, jak rano nakarmię cię w tym kościele, do którego masz iść – powiedziała, kucając pod czujnym spojrzeniem Erica. Wręczyła mu kartkę. – Pod tym adresem znajdziesz Ramira z Sebem.

Eric rzucił okiem na kartkę.

– Madryt, Hiszpania. Boże... Wydaje się to tak daleko... – Uniósł wzrok. – Nie wiem, jak ci się za to wszystko odwdzięczę.

– Ucieknij z Berlina i zbuduj raketę, która polecą na Księżyc. Już wiesz, że nie jestem dziewczyną, która zadowala się byle czym. – Uśmiechnęła się.

Eric czule uściskał jej dłoń.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co się z tobą stanie, kiedy odkryją, że mi pomogłaś. Nie mogę przestać się denerwować. Nie mogę przejść nad tym do porządku. Katio... Pojedź ze mną. Ucieknij ze mną z Berlina.

Smutek wykrzywił jej twarz.

– Muszę wrócić. Już muszę iść... – A jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Dlaczego? Co cię zatrzymuje? Wojna już się skończyła.

– Nie mogę zdezerterować. – Broniła się tą półprawdą, ale w praktyce to, co właśnie zrobiła, było zdradą niemal tak wielką jak dezercja. Gdyby jednak uciekła, nie mogłaby spłacić długu Olegowi.

– Wojna się skończyła – nalegał Eric coraz mocniej. – To przez Awramowa, prawda? Jest coś między wami. Wyczułem to wczoraj. Sposób, w jaki na ciebie patrzył, w jaki cię traktował...

– Zdradziłam go, Ericu. I muszę mu to wynagrodzić. Muszę za niego wyjść – przyznała ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Jeśli jeszcze mnie kocha po tym, co dziś zrobiłam.

– A ty? Kochasz go?

– Ja... Muszę już iść.

Eric przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami. Katia poczuła się bardziej bezbronna, słabsza niż kiedykolwiek w życiu. Bardziej zmęczona walką o sprawy, które nie miały z nią nic wspólnego. Zmęczona walką.

– Kocham cię, Katio – wyznał, pocałowawszy ją przeciągle w czubek głowy.

Ona, z policzkiem na jego piersi, czuła, jak przyspiesza mu oddech, jak mocno bije serce.

– Ja też... cię kocham.

Do ich uścisku wkradła się namiętność, wstrzymany oddech, który przeszedł w westchnienie. Katia zamknęła oczy. Mundur Erica drapał ją po twarzy i pachniał prochem, skórą, kapustą i machorką. Pachniał radzieckim żołnierzem. Wojną.

Rozpięła mu pierwszy guzik gimnastorki, potem drugi i trzeci. Odsłoniła znoszony podkoszulek i podciągnęła go, żeby móc przytulić policzek do skóry Erica. Poczowała jego napięte mięśnie.

– Jak to się mogło stać? – wyszeptała. – Wcale się nie znamy. Jesteśmy sobie obcy. Nie wiem, jaki jest twój ulubiony kolor, czy lubisz ciasto czekoladowe, czy wolisz lato czy zimę, czy pijesz kawę z mlekiem i cukrem. Jakie są twoje ulubione książki? Czy lubisz muzykę? A sport? Kino? Ja lubię kino i lubię chodzić po muzeach, i lubię zdjęcia Paryża. Bardzo bym chciała pojechać do Paryża... Lubisz podróżować? Nawet nie wiem, czy lubisz podróżować... Wiem, że lubisz patrzeć w gwiazdy. To wszystko... Jak to możliwe, że się w sobie zakochaliśmy?

– To było nieuniknione. – Głos Erica zabrzmiał szorstko, stłumiony pożądaniem. – Bo to część planu wszechświata. Bo grawitacja, która wszystko kontroluje i wszystko równoważy, prowadziła nas nieuchronnie ku naszemu miejscu. A moim miejscem jesteś ty, moim przeznaczeniem, jedyną gwiazdą, na którą chcę patrzeć przez resztę życia.

Katia uniosła zalaną łzami twarz. Serce kołatało jej z miłością, podczas gdy rozum przypominał, że gwiazdy znajdują się o lata świetlne jedno od drugich. Eric pocałował ją wzruszony.

Ten pocałunek rozpętał desperacką pasję. Szukali siebie wzajemnie ustami, rękoma, całymi ciałami. Pieścili się i ocierali o siebie, rozebrali się spleceni w uścisku. Dotykali się czubkami języków, opuszkami palców. Pośród westchnień i urywanych zdań. Pomiędzy żądzą a czułością. I w końcu kochali się wśród zapalonych świec i w wirze białych piór.



Peter Hanke z trudem przełykał ślinę. Miał wyschnięte usta i skostniałe ciało. Był podniecony jak drapieżnik na chwilę przed dopadnięciem ofiary. Powinien zachować spokój i chłodną głowę. Nie może znowu chybić. Nie może pozwolić jej uciec.

Od wielu dni śledził ją dyskretnie jak duch. Znał jej rozkład godzin, jej ścieżki, kontakty, nawet sposób chodzenia. Czekał na najlepszą okazję: kiedy będzie sama, nieprzygotowana i bezbronna. Wydawało mu się, że to nigdy nie nastąpi. Zaczynał się niepokoić.

Musiał ją odciąć od domu antykwariusza. Tam znalazła ochronę. Ale musiał być ostrożny, nie mógł zwracać na siebie uwagi władz i ryzykować ponownego zatrzymania. Lepiej stać po stronie tych, którzy teraz rządzą. Dlatego tak proste było usunięcie z drogi syna Althanna, a przy okazji zaskarbienie sobie wdzięczności Rosjan. W ten sposób upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Miał też plany wobec drugiego młodzieńca, tego Hiszpana, obcego elementu, którego roli w tej całej historii nie znał. Może to protegowany Althanna? Ktoś przypadkowy? W każdym razie należało go zlikwidować. Kolejny martwy cywil w ciemnym zaułku nie będzie spędzał snu z powiek jego radzieckich przyjaciół.

Ostatecznie nie musiał tego robić. Ptaszek wyleciał z gniazda, zanim był zmuszony go ukatrupić. Udało mu się.

Wielkim problemem był ostatni zwrot akcji. Ucieczka syna Althanna, jej pomoc, ten ich związek... Czyżby zamierzali uciec razem z Berlina, zabierając z sobą medalion?

Musiał szybko myśleć, szybko działać. Pośpiech to zły doradca, już zbyt wiele razy doprowadził go do klęski. Początkowo zastanawiał się nad tym, czyby ich nie wydać Sowietom, którzy zawzięcie szukali ich po całym mieście. Zrezygnował: to by oznaczało oddanie im zwierzyny, która należała do niego; i nie dopuściliby go do wspólnej uczy. Nie, to była sprawa osobi-

sta między nim a siostrzenicą Wojkowa. W chwili, kiedy doprowadzi go do medalionu, zabije ją.

Oczywiście wcześniej musi zlikwidować syna Althanna. Ale jak?

Musiał szybko myśleć. Musiał szybko działać. Ten teatr był jak pułapka na myszy. Jego najlepsza okazja. Nie mógł pozwolić im wyjść stamtąd z medalionem. Nie mógł pozwolić im wyjść stamtąd żywym.

Ale jak ich dopaść?



NIE ZADAWAJ MI TEGO PYTANIA

Obudziło mnie zimno. Otworzyłam oczy. Światło dnia wpadało przez na wpół przy-
mknięte okiennice. Kołdra zsunęła się na podłogę. Odwróciłam się w poszukiwaniu ludzkiego
ciepła, ale po stronie Martina łóżko było puste. Westchnęłam, ale zanim udało mi się dojść do
jakichś wniosków, pojawił się w drzwiach, ubrany, z mokrą głową.

– Dzień dobry. – Usiadł na łóżku i mnie pocałował. – Ciągłe nie masz kawy.

– Taaa. Ale mam paracetamol.

– Też by mi się przydał.

– Bardzo cię boli? – zapytałam, pomagając mu założyć temblak.

– Nie narzekam. A ciebie?

– Nie. Zimno mi.

Podniosłam kołdrę z podłogi i przykryłam nas oboje. Przytuliłam się do niego, a on mnie
pocałował w czubek głowy.

– Wychodzisz?

Przytaknęłam.

– Tak naprawdę powinienem był wyjechać wczoraj wieczorem. Ale ciało jest słabe,
a kobieta przewrotna.

– Przykro mi – skłamałam bezczelnie, więc on odpowiedział na moje kłamstwo następ-
nym pocałunkiem.

Wtuliłam się w niego jeszcze mocniej, pragnęłam kontaktu, o którym wiedziałam, że
będzie krótki.

– Co teraz zrobimy? – spytałam.

– Nie wiem.

I wtedy wydał mi się naprawdę przytłoczony. Może powinnam była mu jednak współ-
czuć, pożałować, że na niego nalegałam.

– Cóż, nie musimy podejmować decyzji w tej chwili. – Spróbowałam załagodzić sprawę.

– Ty... mnie kochasz?

– Nie zadawaj mi tego pytania – odpowiedziałam zaniepokojona. – A jeśli ci powiem, że
tak? Co zrobisz? Zostawisz swoją pracę? Z dnia na dzień zmienisz się w zwykłego człowieka?
Albo powiesz mi, że to wszystko jedno, że nic się nie da zrobić, że musisz się ode mnie odsunąć,
bo nasz związek nie ma szans? Nie, nie możesz tak zniecka obciążać mnie tą odpowiedzialno-
ścią. Do wczoraj wiedziałam tylko, że cię nie nienawidzę, a dziś... dziś mi zadajesz takie pyta-
nie? Nie mogę odpowiedzieć. Potrzebuję czasu. Potrzebuję czasu, Martinie.

– Dobra, dobra. Spokojnie. Rozumiem, że są pytania, których nie należy zadawać przed
poranną kawą – zażartował, próbując rozładować sytuację.

Przyniósł kawę i bułeczki z piekarni na rogu, niczego więcej nie chciał. Zanim poszedł,
pocałował mnie czule w czoło. Zostałam sama, świadoma, że całkowicie mnie rozbroił, przeła-
mał mój system obrony i rozbił pancerz, za którym się kryłam. Czy to możliwe, że zakochałam
się w Martinie? Do tamtej chwili nawet sobie tego nie wyobrażałam. Miałam do niego zbyt duży
żał, zbyt wiele wątpliwości na jego temat, żeby brać to pod uwagę. Skoro jednak żal i wątpliwo-
ści znikły... No i nie mogłam ignorować tych motyli w brzuchu, które pojawiały się za każdym
razem, gdy o nim myślałam... Poprzedniej nocy zapewniłam, że jestem gotowa ponieść konse-
kwencje. Łatwo było złożyć taką deklarację w ciepłe żądy, ale w świetle dnia moje przekonanie

nie było już tak silne. W co miałam się właśnie wpakować? Może Martin ma rację, że lepiej zdu-
sić w zarodku to, co się między nami rozwija. Najlepiej... a jednak wcale tego nie chciałam. Czy
to jest miłość?

To pytanie tłuło mi się po głowie, gdy krążyłam po domu jak zwierzę w klatce. I nagle
natknęłam się na siatki, które zostawił Alain. Cukinie, tuńczyk, ser, kawa... a więc mieliśmy
kawę... I róża w celofanie, już zwiędnięta; gdy go rozwinęłam, odpadło kilka płatków. Usiadłam
na podłodze z kwiatem na kolanach; spuszczone głowa i niemal fizyczne poczucie, że mam zła-
mane serce.

„Dlaczego teraz, Alain? Teraz jest już za późno”.



MAJ 1945

Na koniec drugiej wojny światowej było około ośmiu milionów niemieckich jeńców wojennych. Około pięciu milionów znalazło się w rękach zachodnich aliantów, a około trzech milionów w rękach Sowietów. Ponieważ nie było możliwe zagwarantowanie tak wielkiej liczbie jeńców traktowania, jakiego wymaga konwencja genewska, w marcu 1945 roku generał Eisenhower, twierdząc, że Niemcy przestały istnieć jako państwo, nazwał niemieckich jeńców wojennych rozbrojonymi siłami zbrojnymi i rozkazał zbudowanie na terenie okupowanych Niemiec dziewiętnastu obozów filtracyjnych znanych jako *Rheinwiesenlager*, „obóz na łące nad Renem”. Były to pustkowia otoczone drutem kolczastym. Wielu jeńców zmarło z głodu, odwodnienia, chorób i od warunków atmosferycznych. Po kapitulacji Niemiec zaczęto uwalniać jeńców i do września 1945 roku prawie wszystkie *Rheinwiesenlager* zostały zamknięte. Ostatni niemieccy jeńcy wojenni wrócili ze Związku Radzieckiego w 1956 roku.

Katia obciągnęła gimnastiorkę. Czowała na sobie krótkowzroczne spojrzenie Erica, leżącego u jej boku, pogrążonego w ponurym milczeniu. Sięgnęła po jego okulary i mu je założyła. Pocałowała go.

– Muszę wracać do koszar. Porozmawiam z Julią. Poproszę ją, by mnie kryła, by powiedziała, że byliśmy razem, jeśli będą ją przesłuchiwać – tłumaczyła, chociaż on o nic nie pytał i dalej milczał.

Katia odwróciła się i zebrała jego cywilne ciuchy. Eric zrozumiał, czego od niego oczekuje; zaczął się ubierać. Było mu zimno bez dotyku jej gorącej skóry. Targało nim złe przecucie. Czuł mdłości w głębi gardła.

– Chodź ze mną. Katio, proszę, chodź ze mną – odezwał się w końcu.

Pokręciła głową.

– Bez ciebie nie idę. – Sięgnął po ostateczny argument. – Zostanę w Berlinie. Nie zostawię cię.

– Nie... Nie! – Zdenerwowała się. – Kochasz mnie. Powiedziałeś, że mnie kochasz, prawda? Więc powiedz mi, że robimy to, co należy. Powiedz mi, że wszystko będzie dobrze! Idź do swojego dziecka! To musisz zrobić! I pozwól mi zrobić to, co ja muszę zrobić... Pozwól mi odejść, Ericu. Nie utrudniaj mi tego...

Nagły metaliczny szczęk zmroził jej krew. Instynktownie sięgnęła po broń, ale ledwie zdążyła zacisnąć palce na rękojeści pistoletu w kaburze.

– Ręce z dala od pistoletu.

Peter Hanke celował do niej z lugera. Przeklinał w myślach, że jeśli spróbuje zastrzelić Althanna, ryzykuje, że dziewczyna zastrzeli jego. Musiał zdławić pragnienie, żeby zabić ją pierwszą. Gdyby to zrobił, nigdy nie zdobyłby medalionu.

– Puść, bo strzelę.

Zignorowała go, drażniła się z nim, żeby zyskać na czasie. Musiała opanować sytuację. Nadeszła chwila, by stawić czoło Peterowi Hankemu, i obecność Erica komplikowała sprawę. Patrzyła Hankemu w oczy. Nauczyła się czytać z oczu wroga, zawsze gdy jest to możliwe. U Hankego rozpoznała niepokój. I wtedy zrozumiała, że on myśli tak jak ona: Eric Althann jest przeszkodą w tym pojedynku. Zatem pierwsza kula będzie dla niego. Jej potrzebuje żywej.

– Nie – odparła. – Wiem, że zamierzasz go zastrzelić. Ale pamiętaj, że jeśli to zrobisz,

sam umrzesz zaraz potem.

Hanke uśmiechnął się.

– Zapominasz, że mogę najpierw zabić ciebie, a potem jego.

– W takim razie nigdy się nie dowiesz, gdzie jest medalion. Uważasz, że jestem tak głupia, żeby chodzić z nim i czekać, aż mi go zabierzesz?

Czuła, że zaczyna wygrywać w tym starciu: Hanke zwątpił.

– Złapałeś mnie. Udało ci się. Ale jeśli usuniesz go – wskazała na Erica – z drogi, przegrasz. Niezły dylemat, prawda, Herr Hanke?

– Nie wystawiaj mnie na próbę, droga Katio. Pozbycie się was obojga za jednym zamachem to byłby sukces. Tego chcesz? Cholera! O to chodzi? Nie wyjdę stąd z pustymi rękami, rozumiesz? Zabiorę wasze podłe życie, ale z pustymi rękami nie wyjdę!

– Umówmy się. Pozwolisz mu wyjść, a ja ci powiem, gdzie jest medalion. Nie cenię tego kamienia bardziej niż ludzkiego życia.

– Katio, nie! Nie wyjdę stąd!

Zignorowała protesty Erica. Wszystkie jej zmysły były skupione na Hankem; wciąż czuła rękojęść swojego pistoletu pod palcami.

– Jak na szanowanego naukowca jest pan wyjątkowym durniem, doktorze Althann – zauważył Hanke ze złośliwym uśmiechem. – Rozumiem... to upokarzające, że taka dziewczynka ratuje panu dupę, ale...

– Niech cię piekło pochłonie, skurwielu!

Teraz jego Hanke wziął na muszkę.

– Sam pan tam skończy, jeśli się pan nie zamknie! Niech pan nie będzie kretyńcem i wreszcie stąd spada!

Eric pocił się, drżał, dyszał. Z wściekłości i niemocy był o krok od wybuchu. Spojrzał na Katię: zastygła niczym kamienny obelisk ze wzrokiem utkwionym w Hankego, z ręką na pistolecie. Nie zostawi jej, nie może jej zostawić. Jak mógłby ją zostawić? Musi coś zrobić, musi coś wymyślić, jest przecież inteligentny, wszyscy mu to mówią. Coś na pewno przyjdzie mu do głowy.

– Powiedz mu, gdzie jest, Katio. Powiedz mu to, do cholery, i niech nas zostawi w spokoju! Nie wyjdę stąd, Katio. Nie boję się śmierci. Nie wyjdę stąd, Katio, no powiedz mu!

Katia zacisnęła zęby. Chciałaby móc zatrzymać czas, by zwrócić się do Erica, spojrzeć mu w oczy jeszcze raz i spokojnie z nim porozmawiać. Wyjaśnić mu swoje powody, wytłumaczyć, że nie ma sensu mówić temu szaleńcowi, gdzie jest medalion, bo i tak ich zabije. Że należy uratować przynajmniej jedno życie, że taki jest cel tych negocjacji, i to musi być jego życie. Że nie ma wątpliwości co do tego, że on nie boi się śmierci; że wie, że on nie chce jej zostawić; że nie jest tchórzem; że kocha ją tak bardzo, że jest gotowy poświęcić za nią życie. Ale nie może zapominać, że ma syna i że to o nim musi myśleć. Chciałaby mieć czas się pożegnać.

– Eric... Idź do Seba.

– Nie... Nie mogę...

– Idź już, kurwa! – krzyknęła z furją, wciąż patrząc na Hankego, a nie na Erica. – No już!

Eric zawahał się. Całym sobą się buntował, tocząc wewnętrzną walkę. Jego oczy wędrowały od Katii do drzwi, od drzwi do Katii. Hanke nie przestawał w nią celować. „Idź do Seba...”

– Kurwa! – wrzasnął. – Kurwa!

Zrobił krok w stronę drzwi, za nim drugi, jakby szedł po tłuczonym szkle. Nie odwracając się za siebie, dotarł do progu. Stamtąd ostatni raz spojrzął na Katię. Zobaczył też krzywy uśmiešek Hankego, który powoli, jakby rzucał mu wyzwanie, znów wycelował pistolet w dziewczynę, mówiąc:

– Żegnam, Herr Doktor.

Katia skinęła głową. Spokojna. Zdecydowana.

Wtedy wzrok mu się zamglił. Zamrugął, żeby osuszyć oczy, odwrócił się na pięcie i wybiegł.

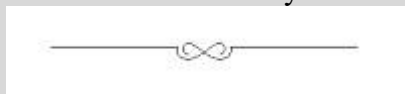
Potykać się, dobiegł do wyjścia z teatru. Zataczał się, jakby był pijany, aż upadł na mokrą ziemię. Zwymiotował żółcią z pustego żołądka. I z wściekłością krzyczał aż do utraty tchu. Piekły go oczy, policzki, uszy... Łzy go drażniły. Bił pięściami w błoto. Przeklinał raz za razem. Wyrzucił z siebie cały gniew, frustrację i złość. Stracił panowanie nad sobą, zachowywał się jak dzikie zwierzę.

Stopniowo poddawał się rozpacz i bólowi. Cierpienie rozrywało go na pół. Leżał na plecach, płakał jak dziecko, a mżawka, której wcześniej nie czuł, rosła mu całe ciało.

Nie może jej porzucić. Nie może zostawić jej na pastwę tego zbrojnego. Nigdy by sobie tego nie wybaczył. Nigdy nie odzyskałby spokoju.

Jest inteligentny. Oczywiście, że jest. A ludzie inteligentni zawsze znajdują rozwiązanie problemów.

Eric wstał i ruszył w stronę Friedrichshagen.



Po wyjściu Erica wydawało się, że wszystko w tej strasznej garderobie zastygło jak na fotografii. Jakby uczestnicy pojedynku, który odbywał się w jej murach, potrzebowali czasu, żeby ocenić swoje możliwości. Nie drgnął im żaden mięsień, nawet nie mrugali.

Katia ciągle trzymała palce na rękojeści pistoletu. Czuła pod opuszkami jej szorstką powierzchnię i zadawała sobie pytanie, czy jest w stanie wydobyć pistolet z odpowiednią szybkością. Wycelować i strzelić, zanim Hanke przeszyje ją pociskiem. Na pewno jest znakomitym strzelcem. Gestapo dobrze trenowało swoich ludzi.

– Jesteś przebiegła, Katio – przerwał jej rozmyślenia. – I jesteś twardą zawodniczką. Pokazałaś, że masz większe jaja niż ten mięczak naukowiec, który właśnie stąd zwiął. Oczywiście czasem jesteś uparta, ale która inteligentna kobieta nie jest uparta? – Zawiesił głos, jakby czekał, że odpowie na to retoryczne pytanie. W końcu rozkazał jej: – Ręce do góry.

Katia posłuchała. Peter podszedł do niej ostrożnie, żeby ją rozbroić.

– Uwierzyłaś, że jesteśmy przeciwnikami. – Wyciągnął jej pistolet z kabury. – Uwierzyłaś, że mam złe zamiary, a ja chcę tylko chronić medalion. Tak jak ty – zauważył, przyciskając lufę pistoletu do jej piersi.

Stali twarzą w twarz. Był tak blisko, że czuła jego oddech.

– Odrzuć uprzedzenia i pomyśl o tym: bylibyśmy dobrą ekipą. Przecież nie różnimy się tak bardzo. Jesteśmy gotowi na wszystko, żeby zdobyć to, czego chcemy. – Zwolnił nieco nacisk pistoletu na jej pierś, która unosiła się i opadała w rytm przyspieszonego oddechu dziewczyny. Ton jego głosu stał się niemal słodki. – Uwierz mi, nie chcę cię zabić, Katio. Nie chcę w ogóle cię skrzywdzić. Przeciwnie. Podobaś mi się. Nie spotkałem wielu kobiet takich jak ty. W sumie to tylko jedną. Inteligentną i odważną, tak... Duma okazała się dla niej zgubna. Nie pozwól, żeby cię zgubiła duma, tak jak ją. Szanowałem ją, wiesz? Tak jak ciebie. Ciebie też szanuję. Dlatego teraz przychodzi mi do głowy, że skoro Magna Clavis zniknęło, moglibyśmy we dwoje, ty i ja, pomóc mu odrodzić się z popiołów, co o tym sądzisz?

Nacisk lufy pistoletu na pierś, obrzydliwy zapach z ust tego typu i jego lepkie palce na jej ciele skłoniły Katię tylko do jednej odpowiedzi: splunęła mu w twarz. Reakcja Hankego była

natychmiastowa, uderzył ją w policzek.

– Nie, Katio, nie... – powiedział, oblizując usta ze złością wylewającą się z niego wszystkimi porami skóry. – Nie pozwól, żeby duma cię zgubiła... Wiesz, jak skończyła Gerda? Z głową zmiażdżoną kolbą ruskiego karabinu... Wszystko przez tę cholerną dumę. Pewnie nie chcesz skończyć tak samo, prawda? Byłoby to głupie.

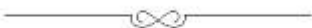
– Tracisz na mnie czas. Już nie mam medalionu – rzuciła mu wyzwanie, z zażawionymi oczami, czując, jak piecze ją policzek.

Wściekły Hanke szarpnął za jej bluzę i jednym ruchem obnażył piersi dziewczyny, na których miała tylko cienki łańcuszek, kiedyś należący do jej mamy.

– Gdzie jest? Gdzie jest, ty dziwko?! – krzyknął, nie będąc w stanie dłużej udawać spokoju.

– O tej porze już jest daleko od Berlina. Poza twoim zasięgiem – oznajmiła, nie ukrywając, że ją to cieszy.

W napadzie furii uderzył ją pistoletem w skroń. Zapadła się w ciemność.



Gdzie są radzieccy żołnierze, kiedy człowiek ich potrzebuje? Co za ironia losu! Przez ostatnie tygodnie ciągle chował się przed nimi, a teraz musiał stanąć u drzwi NKWD w Friedrichshagen, gdzie go więzili, żeby się z nimi spotkać. Niemal chciało mu się śmiać, na głos, jakby stracił rozum.

Przez ponad godzinę biegł w ulewie. Adrenalina trzymała go do momentu, kiedy znowu się tam znalazł, przed zaporami z drutu kolczastego, budkami strażniczymi i uzbrojonymi strażnikami, a teraz myślał, że się rozpadnie. Światło reflektorów w ciemną noc raziło mu oczy, deszcz rozmazywał kontury; odnosił wrażenie, że widzi świat czarno-biały, jakby za chwilę miał stracić przytomność.

Podszedł do strażników jak żywy trup.

– Stać! Stój, bo strzelam!

Krzyczeli po rosyjsku, głosy przebijały się przez szum deszczu, rozbrzmiewały echem w jego uszach. Podniósł ręce do góry i dalej szedł. Strażnicy unieśli karabiny. Zatrzymał się.

– Jestem doktor Eric Althann! – mówił jak najgłośniejszy. – Chcę się widzieć z pułkownikiem Awramowem!

Dwóch żołnierzy rzuciło się na niego, jakby nieuzbrojony, na wpół ubrany, pokryty błotem i przemoczony do cna mógł stanowić jakieś zagrożenie. Pozwolił się pojmać, nie stawiał najmniejszego oporu.

Zabrali go do środka, gdzie zajął się nim oficer dyżurny. Żołnierze wymienili kilka zdań, podczas gdy Eric powtarzał w kółko: „Muszę się zobaczyć z Awramowem”.

– Zabierzcie go do piwnicy.

– Nie! Nie! Muszę się zobaczyć z pułkownikiem Awramowem! – Rzucił się, broniąc się przed strażnikami. – Awramow! Awramow!

Czuł się bezsilny, kiedy wlekli go po schodach; walczył daremnie, raczej wyrwie sobie ramiona ze stawów, zanim cokolwiek wskóra. Jednak rozpacz przesłaniała mu rozum, więc dalej się wrywał i wrzeszczał z całych sił.

– Co tu się dzieje?

Wszystko jakby na chwilę zamarło. Eric przestał się miotać, żołnierze się zatrzymali. We trzech zgodnie spojrzeli w górę: z galerii nad hallem obserwował ich pułkownik Awramow.

– Co tu się dzieje, towarzyszu poruczniku?

- Ten człowiek twierdzi, że jest doktorem...
- Awramow! Musimy porozmawiać! Musimy porozmawiać!

Jeden z żołnierzy kopnął go w brzuch, żeby się uciszył. Eric skulił się z bólu, kaszłąc i się krztusząc. Kiedy znowu był w stanie unieść głowę, zobaczył twarz pułkownika i jego surowe, pełne żalu spojrzenie. Chciał mówić, ale ledwie zdołał mruknąć i znowu dostał ataku kaszlu.

- Zamknijcie go – zawyrokował oficer.
- Nie... Nie! Chodzi o Katię... Oleg... O Katię!

Jakby wspomnienie tego imienia wyprowadziło pułkownika z równowagi, chwycił Erica za kołnierz koszuli i rzucił go na ścianę.

- Co się dzieje z Katią? Co się, kurwa, dzieje, Althann?

Eric poczuł na twarzy kropelki jego śliny.

- Jest w niebezpieczeństwie. Musimy jej pomóc. Musimy po nią pójść. Teraz, Oleg! Już!

Awramow kopniakami doprowadził go do pierwszego z brzegu pustego pokoju i rozkazał żołnierzom pilnować drzwi. Sam zamknął je za sobą i odwrócił się purpurowy z wściekłości i wysiłku, a Eric, leżąc na podłodze, zaczął szybko mu wyjaśniać, co się stało.

I tak wściekłość w wyrazie twarzy pułkownika zastąpiło osłupienie, potem niepokój, a w końcu determinacja.

– Wezmę patrol. Otoczmy to miejsce. Musisz nam wskazać, gdzie dokładnie się znajduje...

– Czekaj. Nie możesz ot tak postawić na nogi całego NKWD, żeby jutro wszyscy wiedzieli, że była zamieszana w moją ucieczkę. Weź najwyżej ze dwóch ludzi. Ja pójdę z tobą.

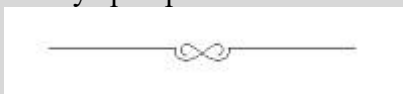
– Nie wydawaj mi rozkazów! Niech ci nie przyjdzie do głowy wydać mi choćby jednego, kurwa, rozkazu, Althann! Ty zostajesz tutaj, zamknięty w lochu, gdzie od razu powinienem był cię wrzucić!

– Słuchaj, tylko ja mogę cię tam doprowadzić. Teraz nikt nigdzie nie trafi po samych wskazówkach, nie rozumiesz tego?

Oleg prychnął. Spojrzał na Erica wrogo, jakby to on był wszystkim winien.

– Kurwa, Althann! Jeśli to jest jakaś pułapka...

– Właśnie się poddałem, Awramow. Właśnie się, kurwa, poddałem! Jak to, do cholery, może być pułapka?



Peter Hanke patrzył na nią, jak leży nieprzytomna. Czuł przyływ gorąca, jakby wściekłość i frustracja płonęły w jego trzewiach. Wydał z siebie zwierzęcy ryk, żeby sobie ulżyć, jednak na niewiele się to zdało. Był oszalały z nienawiści, z gniewu.

Wycelował w jej śliczną twarz. „Jest ładna ta dziwka”. Myśl o rozwaleniu tak doskonałej twarzy dawała mu niemal seksualną satysfakcję. Zabiłby ją i skończył z tym raz na zawsze. Ale to byłoby dla niej zbyt dobre, a dla niego zbyt szybkie. Musiał się zemścić, ulżyć swojej furii. Potrzebował zapłaty za swój czczy wysiłek, za tak wielką stratę. Ona musiała zapłacić za tę swoją arogancję i za upór, za to lekceważenie i odrazę, z jaką zawsze na niego patrzyła. Tak, zabicie jej to nie będzie wystarczająca kara. Musi zadać jej cierpienie, żeby zrozumiała, jak bardzo kazała cierpieć jemu.

Przeszukał garderobę w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby ją związać. Znalazł manierkę z wódką i opróżnił ją kilkoma łykami, co pozwoliło mu się odpowiednio nastroić. Nagle zwrócił uwagę na kartkę porzuconą na podłodze. Podniósł ją i przeczytał zapisany na niej adres, w Madrycie. Schował ją z uśmiechem, po czym wypił ostatnie krople wódki, której było

mu zdecydowanie za mało. W końcu związał nadgarstki i kostki dziewczyny sznurami od jakichś zasłon. Zakneblował ją kawałkiem materiału. Porządnie zacisnął więzy, tak że aż skóra jej się zaczerwieniła.

Wykonawszy zadanie, rozejrzył się wokoło: okno przy podłodze ze stłuczoną szybą, wyrwane drzwi. Nie podobało mu się to pomieszczenie, uznał, że to dziura, z której nie będzie mógł wyjść, gdyby coś poszło nie tak. Powinien zabrać ją w bezpieczniejsze miejsce, może do swojego domu; piwnica w willi w Dahlem doskonale by się nadawała, żeby ją trzymać, ale nie mógł przejść połowy miasta z radzieckim żołnierzem na plecach w środku godziny policyjnej. Musiał tam zostać, nie miał innego wyjścia.

Wreszcie zawlókł ją do rogu sceny i przywiązał do krzesła. Przez dziurę w dachu docierał do środka ryk burzy. Padało na widownię, błyskało się przez każdą szparę, akustyka teatralnej sali wzmacniała huk grzmotów.

Katia zaczęła się budzić. Głowa ciągle jej zwisała na piersi, ale wydawała z siebie ciche pojękiwania. Peter złapał ją za brodę i uniósł jej twarz, spod przymkniętych powiek prześwitowało białko oczu.

– Kochana Katio. – Poglądził jej policzki.

Nagle wymierzył jej taki policzek, że odgłos uderzenia rozległ się po scenie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego wystraszona. Zorientowała się, że jest związana, zaczęła się wyrwać i krzyczeć, ale knebel tłumił jej głos. Peter kazał jej się zamknąć, próbując głaskać ją po włosach, jakby poskramiał zwierzę.

– Spokojnie... Spokojnie...

Znowu trzasnęła ją w twarz, z nosa popłynęła jej krew. Z obrzydzeniem przyglądał się czerwonej strużce. Mieszała się z potem, lepiała jej się do włosów. W jakiś pokręcony sposób podniecało go to.

– Nie rozumiesz tego? Nie ma sensu się bronić.

Znowu chciał ją pogłaskać, ale odwróciła głowę. Uśmiechnął się protekcjonalnie. Wyciągnął karteczkę z kieszeni spodni i jej pokazał.

– To tam muszę pojechać po medalion, prawda? Ten wścibski Hiszpan go zabrał, oczywiście... Jak mogłem być tak ślepy? Naprawdę myślałem, że to tylko pupilek Corneliusa Althanna. Wiesz? Dlaczego staruch nie miałby być obrzydliwym pedałem? Ten efeb ciągle przesiadywał u niego w domu... Nie doceniłem chłopaka i przyznaję, że mnie wyrolowaliście. Ale, Katio, w końcu wygrywam.

Grzmot huknął nad ich głowami, a potem kolejna błyskawica przeszła światłem to mroczne miejsce. Rozpalone oczy Katii lśniły wyzywająco.

– Nie patrz tak na mnie! Nie patrz tak na mnie! Ja wygrałem! Wygrałem!

Podszedł do niej i z furią rozszarpał jej spodnie i bieliznę.

– Do jasnej cholery, ja ci pokażę arogancję. Tak, mała dziwko... Będiesz się mnie bać, jakbym był samym diabłem – wyszeptał, lubieżnie przesuwając ustami po jej szyi.

Jęcząc z rozkoszy, zaczął się ocierać o jej nagie piersi. Ugryzł ją, uderzył, napierał nogami na jej obnażone krocze. Głuche krzyki i spazmy Katii były bezcelowe, sprawiły tylko, że krzesło się przewróciło. Gdy leżała na podłodze, Peter doszedł. Nie było penetracji, Petera Hannekego taki stosunek brzydził, ale zalał ją nasieniem i na koniec skopał tak, że płakała z bólu i rozpacz.



MARTIN, JADĘ DO ASTURII

Powodowana wyrzutami sumienia, złym samopoczuciem, rozczarowaniem, zadzwoniłam do Alaina. Nie z powodu incydentu z Martinem, ale dlatego, że żał mi było pogrzebać tych kilka poprzednich dni zawieszenia broni, podczas których znikły napięcia między nami i wzajemne urazy. Te siatki wypełnione zakupami z pragnieniem miłej kolacji, a jednak porzucone w złości na korytarzu kazały mi się wczuć w jego sytuację; próbowałam wyobrazić sobie, jak ja bym się czuła. I poczułam się okropnie.

Zadzwoniłam do niego kilka razy. On jednak ani razu nie odebrał. Nie mogłam go winić, zasłużyłam sobie, najpierw go unikając, a potem wykorzystując.

Jak się nad tym dobrze zastanowić, to w sumie lepiej, że nie odebrał telefonu. Cyniczne byłoby powiedzieć mu, że żałuję tego, co się stało, i nie wyznać, że jak tylko sobie poszedł, wylądowałam w łóżku z Martinem. Nie byłam też gotowa powiedzieć mu, że ma pójść swoją drogą, a ja pójdę swoją. Usunąć go ot tak z mojego życia – to napawało mnie strachem. Boże, czułam się jak pies ogrodnika, który sam nie zje, ale drugiemu nie da. Może nadeszła chwila, żeby udać się na terapię: rozjaśnić własne myśli i ułatwić życie innym.

Po trzech godzinach nakręcania spirali takich samych myśli, które wirtualnie kończyły się na kozetce psychoanalityka, postanowiłam schronić się w pracy, by się od nich uwolnić. Fakt, że dziadek mógł być w jakiś sposób powiązany ze sprawą medalionu, też mnie wyprowadzał z równowagi. Nie mogłam w to uwierzyć. Musiałam dowieść, że Martin się myli.

Spokojnie przyjrzałam się tej starej fotografii. Potwierdziłam swoje podejrzenia, że ta dziewczynka to jest Katia; jej wizerunek odpowiadał temu z kartoteki domu dziecka. Była ładną dziewczynką, trochę nachmurzoną, ale raczej z powodu zawstydzenia niż złego charakteru. Biedna sierota, sama między tymi mężczyznami. Żał mi się jej zrobiło.

Dlaczego mój dziadek miał to zdjęcie? Mogłam dopuścić do wiadomości, że pradziadek był w to zamieszany, czego dowodził list do hrabiny Vandermonde. Jednak co do dziadka, można by mieć nadzieję, że o niczym nie wiedział, tak jak ja. Może to zdjęcie było tylko nic nieznaczącą pamiątką. Bo gdyby był zamieszany w to, na co wskazywało zdjęcie, powinnam coś o tym wiedzieć. Albo nie... Był mój ojciec. On przede mną.

Wzięłam telefon i poszukałam w pamięci numeru galerii, przypominając sobie, że muszę kupić nową komórkę. Wykręciłam numer tak pośpiesznie, że nie zdążyłam przygotować się do rozmowy, więc kiedy ojciec odebrał, dałam się wciągnąć w banalną pogaduszkę: „Jak się miewasz?”, „U mnie wszystko w porządku, a u ciebie?”, „Po staremu”, „Kiedy się wreszcie zobaczymy?”... W końcu uznałam, że najlepiej przejść do sedna.

– Słuchaj, tato, dziadek opowiadał ci kiedyś coś o jakimś medalionie?

– Medalionie? – Zabrzmiało przekonująco; wyobraziłam sobie, że marszczy brwi ze zdziwienia. – Nie. Ale... chodzi ci o coś związanego z religią? Wiesz, że twój dziadek raczej w takie rzeczy nie wierzył... Dlaczego pytasz?

– Nie, tak sobie. Zaczęłam się zastanawiać nad rodzinnymi pamiątkami i takimi tam rzeczami, rozumiesz. – Oczywiście, że nie rozumiał; teraz wyobraziłam sobie jego zaskoczoną minę. Mówiłam dalej, żeby nie dać mu możliwości zapytania mnie o szczegóły: – A wiesz coś o tym, żeby kiedyś był w Berlinie?

– Tak, wydaje mi się, że tak. Na pewno. Jeździł dużo ze swoimi wystawami. Lubił podróżować. O to też pytasz z powodu rodzinnych pamiątek? – Wyczułam kpinę w jego głosie.

– Nie. To znaczy częściowo. Bo przeglądałam zdjęcia i wpadłam na jedno z lat trzydzie-

stych z Berlina. Ponieważ na zdjęciu go nie ma, zadaję sobie pytanie, skąd się tu wzięło.

– Jeśli jest z lat trzydziestych, on go nie zrobił. Wtedy miał na głowie maturę, a potem była wojna domowa.

– Tak myślałam.

– Pewnie je kupił. Zawsze lubił starocie. Godzinami myszkował po jarmarkach i antykwariatach.

– Tak... – Zawahałam się na chwilę, zanim dalej pociągnęłam przesłuchanie. Wyczułam, że ojciec staje się podejrzliwy wobec mojego dziwnego i zaskakującego zainteresowania pamiętkami po dziadku. Gdyby mnie zapytał, musiałabym wymyślić jakieś wyjaśnienie, a nie lubiłam kłamać. Oczywiście nie miałam wyboru. – I... jeszcze jedno pytanie: rzeczy dziadka... chodzi mi o papiery i tego rodzaju materiały, pozbyłeś się ich, prawda?

– Tak, jasne, to były stare papiery, do niczego niepotrzebne, po co by je zachowywać? Najpierw je przejrzałam, oczywiście, ale nie było wśród nich niczego, co warto by zachować. Chociaż, skoro już o tym mówisz, zostało kilka pudełek na strychu w domu w Asturii. Ciągle powtarzam, że muszę je wyrzucić, ale...

– W domu w Asturii? A masz może klucze przy sobie?

Po drugiej stronie zaległa nagła cisza. I już. Udało mi się przełamać udawaną obojętność ojca, więc zaraz spadnie na mnie lawina niewygodnych pytań.

– Nie opowiesz mi, o co chodzi, czy się mylę?

Był cudowny. Wskazywał mi drogę ucieczki, i to godną. Westchnęłam z ulgą.

– Opowiem, tato. Opowiem ci wszyściutko. Ale teraz nie mogę. Rozumiesz, prawda?



– Martin, jadę do Asturii.

– Do Asturii? – Był zdezorientowany. – Do rodziny? Na wakacje?

– Nie, nie. Zaczęłam się przyglądać dziadkowi, jadę poszukać wyjaśnienia tego, co mi powiedziałeś. Ta odrobina dokumentów, które po nim zostały, jest tam, w jego domu. Muszę je zobaczyć, muszę się dowiedzieć, czy jest w to zamieszany. Na początek nie przychodzi mi do głowy inne miejsce.

Chociaż starałam się być spokojna i opanowana, zdradzał mnie lekki ton rozpaczony i niepokoju w głosie. Sama zauważyłam u siebie hamowane podniecenie, niepewność, strach przed tym, co mogę odnaleźć.

– Słuchaj, weź to na spokojnie, co? Zostań w domu, to najbezpieczniejsze, i wykorzystaj sytuację, żeby posłuchać lekarzy i odpocząć. Możesz dalej pracować nad śledztwem, jeśli chcesz, nad innymi aspektami, które nie wymagają podróży. Teraz nie mogę, ale w przyszłym tygodniu przyjadę po ciebie i wybierzemy się razem do domu twojego dziadka. Pomogę ci poszukać tych wyjaśnień, których potrzebujesz.

– Nie, nie. Musi to być teraz albo oszaleję od ciągłego myślenia o tym.

– Ana, niepokoisz mnie...

– Niepotrzebnie się denerwujesz. Nawet nie mam komórki, nie są w stanie mnie namierzyć. I zapewniam cię, że nikomu nie przyjdzie do głowy mnie tam szukać, to koniec świata. Poza tym, żebyś się nie martwił, codziennie będę ci dawać znaki, bo w barze wioskowym mają wi-fi, co ty na to? Jeśli choć raz się nie skontaktuję, możesz przyjechać mi na ratunek.

Oczywiście moje argumenty go nie przekonały, ale zrozumiał doskonale, że nie ma sensu wybijać mi z głowy tego pomysłu; i tak to zrobię.



MAJ 1945

Rezygnacja Amerykanów ze zdobywania Berlina jest jedną z najbardziej kontrowersyjnych decyzji militarnych w historii. 12 kwietnia 1945 roku wojska amerykańskie stanęły nad Łabą, znajdując się zaledwie o sześćdziesiąt kilometrów od stolicy. Jednak wbrew Brytyjczykom Amerykanie obiecali Sowiecom, że nie przekroczą Łaby. Poza tym, że nie byli zainteresowani konfrontacją ze Stalinem i nie chcieli tracić sprzymierzeńca, dopóki trwała wojna z Japonią, generał Eisenhower twierdził, że nie chce poświęcać żołnierzy na zdobywanie Berlina. To prawda, że walka o miasto kosztowała życie wielu radzieckich żołnierzy: niemal osiemdziesiąt tysięcy zabitych i pięć tysięcy rannych. Wysokie straty wynikały z nacisku i pośpiechu Stalina, żeby zdobyć Berlin przed innymi aliantami, ponadto z powodu wielkiej liczby nacierających wojsk dochodziło do zamieszania i wzajemnych przypadkowych ostrzałów.

Ściągnij mi kajdanki, Oleg. Muszę pójść z tobą. Ten facet to zboczeniec, jest bardzo niebezpieczny. Im będzie nas więcej, tym lepiej – błagał Eric Awramowa, który nakazał mu zostać w samochodzie.

Pułkownik spojrzął na niego rozdrażniony.

– Już ci mówiłem, że nie jesteś w sytuacji, w której możesz mi dyktować, co mam robić. Jesteś moim więźniem, rozumiałeś? Skończyła się przyjaźń. Zostajesz tutaj. Musisz... Musisz mi bardzo wiele wyjaśnić... – Przerwał. Nie było to miejsce ani czas, żeby wywlekać ich problemy. Nie teraz. Musiał uratować Katię.

– Oleg...

– Zamknij się wreszcie, Althann!

Eric posłuchał go, ale wyraził swoje niezadowolenie kopniakiem w przednie siedzenie.

– Towarzyszu Meklin, jak będzie fikał, strzelajcie – rozkazał Oleg kierowcy. – Żeby go uspokoić, nie żeby zabić. A jak za pół godziny nie wrócimy, jedźcie po posiłki.

– Zrozumiano, towarzyszu pułkowniku.

– Towarzyszu Stiepanow, za mną!

Szeregowy Anatolij Stiepanow patrzył przerażony na niewybuch widoczny za płotem. Odnosił wrażenie, że uderzające w niego krople deszczu mogą w każdej chwili doprowadzić do eksplozji. Został wzięty na front przy ostatnich uzupełnieniach, więc wysłano go prosto do Berlina zaledwie tydzień wcześniej. Nie chciał umrzeć. To głupie umierać, gdy wojna już się skończyła. Nie byłoby w tym żadnego bohaterstwa. Dlaczego nie idzie ten Niemiec? Ten nazista samobójca, który błagał pułkownika, żeby pozwolił mu pójść. Jeśli ktoś miał umrzeć, to lepiej ten cholerny faszysta, a nie on. Kurwa, jeszcze nawet nie kochał się z dziewczyną. Nie może umrzeć prawiczkim!

– Ale, towarzyszu... proszę pana... Towarzyszu pułkowniku... Ta bomba... Trzeba najpierw wezwać saperów...

– Rusz się, Anatolij!

Szeregowy zwiesił głowę i poszedł za przełożonym, klnąc pod nosem na swój los.

Przeszli przez dziurę w płocie i udali się na tyły budynku, tak jak im wskazał Eric. Oleg ponownie sprawdził, czy ma pełen magazynek. W tamtej chwili pożałował, że nie odbył przeszkolenia wojskowego, że jest tylko specjalistą w wojskowym mundurze. Zżerały go nerwy, był wręcz oszołomiony ostatnimi wydarzeniami. Usiłował zachować zimną krew, skupić się na rato-

waniu Katii, ale nie mógł przestać myśleć o tym, co ją doprowadziło do tego miejsca.

Chociaż nie chciał tego przyznać przed sobą, podejrzania męczyły go od chwili, kiedy zaczęła nalegać, żeby zabrał ją ze sobą do Althanna. Dlaczego, skoro to był zwyczajny więzień? Z drugiej strony nie wyobrażał sobie, że może być w tym jakiś ukryty zamysł. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Katia i Eric się znają. Jednak te ukradkowe spojrzenia, to napięcie między obojgiem, ten podstęp z czapką, żeby zobaczyć się sam na sam... Jakiż on był głupi. Miał klapki na oczach, wołał nie widzieć, tak było znacznie łatwiej. W każdym razie los Erica został przypięczony. Wszystko minie.

Kiedy powiadomiono go o ucieczce naukowca, kiedy powiedziano mu, że wzięła w tym udział jakaś kobieta... Natychmiast wiedział, że chodzi o nią. I przeklął ją, wściekły i rozczarowany. Przysiągł sobie, że nigdy jej nie wybaczy – nie tego, że zdradziła kraj, ale że zdradziła jego, człowieka, który oddał jej duszę i ciało. Zrozumiał, że jej nienawidzi, a jednak dokładnie w tej chwili, gdy wchodził do tego przynębiającego budynku, narażając życie, jego trzewia były spięte i przypominały mu, jak bardzo ją kochał.



Katia krążyła między świadomością i nieświadomością. Miała dziwne poczucie nierealności, jakby znalazła się poza własnym ciałem i mogła zobaczyć, jak leży na podłodze, poraniona i posiniaczona. Umarła? Oby nie. W ten sposób wszystko by się skończyło. Jednak ból od czasu do czasu przywracał ją do rzeczywistości, ból ciała nadal żyjącego. I ten metaliczny posmak w ustach, łykowata tekstura szmaty w zębach, brak powietrza... Otworzyła oczy, czuła, że są opuchnięte. Widziała tylko drewnianą powierzchnię zasypaną gruzem i pyłem, wielkie deski ginące w ciemności. Spróbowała się poruszyć, ale wysiłek okazał się tytaniczny i daremny. Gdzie jest Hanke? Poszedł? W końcu ją zostawił?

Znowu straciła przytomność. Wydało jej się, że słyszy głosy, powtarzane swoje imię. Nie mogła otworzyć oczu, powieki za bardzo jej ciążyły. Ktoś jej dotknął.

„Nie. Zostaw mnie. Nie dotykaj mnie. Nie bij mnie więcej. Już nie. Proszę”.

– Katia... Kochana...

„Oleg?”

I wtedy, jakby poraził ją prąd, zaczęła rzucać się gwałtownie, żeby zerwać więzy i pozbyć się knebla. Musiała go ostrzec! Musiała go ostrzec!



Peter Hanke nigdy by nie pomyślał, że pójdzie się odlać i to uratuje mu życie.

Ostatnie doświadczenie seksualne zostawiło po sobie gorzki niesmak. Pierwszy raz w życiu zgwałcił kobietę. Przy wielu okazjach używał przemocy, to prawda, ale one zawsze się na to zgadzały, albo dla pieniędzy, albo dla przyjemności; były równie chore jak on. Szarpanina z tą małą dziwką jakoś mu się nie spodobała. Przyszło mu do głowy, że mógłby jej wsadzić. Dziewczyna go podniecała. Nie był jednak w stanie przemóc obrzydzenia. Nie, ona zdecydowanie nie była taka jak Gerda.

Masturbowanie się było w porządku, częściowo ukoilo jego frustrację i pragnienie zemsty. Zmniejszyło napięcie nagromadzone przez ostatnie lata. Chociaż musiał przyznać, że obicie jej z taką wściekłością go wyczerpało. Wiek i nieszczęścia zaczynają wystawiać rachunek, to oczywiste.

Kiedy złapał oddech, zachciało mu się lać, więc postanowił wyjść na zewnątrz; przewietrzyć się, rozprostować nogi. Nawet nie próbował sobie wyobrażać stanu, w jakim muszą być

toalety w tym miejscu; już widział kilka przebiegających szczurów; wołał wyciągnąć go sobie w jakichś krzakach na deszczu. Poza tym musiał się zastanowić, co zrobić z tą dziewczyną. Na pewno ją zastrzeli. Ale może najpierw znowu pomiętosi jej piersi. Miała je bardzo ładne, jędrne i odpowiedniej wielkości; zbyt duże piersi wydawały mu się pospolite, a te za małe w ogóle go nie ruszały.

Gdy się tak zastanawiał, sikając w ogrodzie na tyłach teatru, ciesząc się świeżością wczesnego poranka, usłyszał silnik samochodu. I wiedział, że zatrzymał się przed budynkiem. Przeklinając okoliczność, nie dokończył sikania, zapiął spodnie i poszedł na zwiad. Nie udało mu się wypatrzeć samochodu, ale dostrzegł dwóch żołnierzy radzieckich przechodzących przez dziurę w płocie w stronę teatru. Dzięki temu zdołał ich wyprzedzić.

Wbiegł do środka, przemknął przez korytarz jak błyskawica i dotarł do sceny, gdzie korzystając ze światła wpadającego przez dziurę w dachu, rozejrzał się za najlepszą kryjówką. Wybrał rusztowanie sceniczne, które jakimś cudem ciągle stało. Wydawało się solidne, stamtąd będzie miał dobry widok, ciało dziewczyny leżało niedaleko. Wspiął się, nie tracąc czasu, i utwierdził się w przekonaniu, że kąt i odległość strzału są tak dobre, jak się tego spodziewał. Wyciągnął magazynek i przeliczył sześć pocisków; będzie musiał strzelać celnie. Wsunął magazynek na miejsce i czekał. Będzie zabawnie, jak na jarmarcznej strzelnicy.

Zobaczywszy jej nieruchome ciało leżące na podłodze, Oleg pomyślał, że pojawił się za późno. Rzucił się na nią, rozpaczliwie powtarzając jej imię. A kiedy się ocknęła i spróbowała coś powiedzieć przez zakneblowane usta, poczuł, że zaraz się rozpłacze z radości.

– Katia... Kochana... Jestem tu. Już po wszystkim, już wszystko minęło. Wyciągnę cię stąd.

Odwrócił się do żołnierza.

– Stiepanow, dawaj nóż i obserwuj, kiedy ją będę rozwiązywał – rozkazał.

Młody Anatolij posłuchał go, błagając w milczeniu, żeby pułkownik się pośpieszył i żeby wreszcie mogli stąd uciec. Nie podobało mu się tam. Ani trochę nie podobała mu się cała ta sytuacja, myślał o tym, mocno ściskając broń obiema rękami i celując to na lewo, to na prawo.

Oleg zaczął przecinać sznur krępujący kostki Katii. Wtedy, ku jego zdumieniu, ona zaczęła się wic jak żmija złapana w szpony zwierza, odpychała go, jakby był agresorem, wyła pod kneblem.

– Katio, spokojnie. Bądź spokojna, uwolnię cię. – Próbował sobie poradzić z nią, sznurami i nożem; bał się, że ją zrani.

Ona wyła z coraz większym uporem, odwracała głowę i wytrzeszczała na niego oczy. Wyglądała, jakby straciła rozum. Nie odważył się włożyć noża między jej nadgarstki, bo mógłby przeciąć żyły, gdy się tak miotła. Głaskał ją i przemawiał spokojnie, wyciągając knebel, ale nie mógł jej uspokoić. Kiedy wreszcie uwolnił jej usta, Katia wybuchła:

– On tu jest! Ciągłe tu jest!

Huk wystrzału przypieczętował jej słowa. Oleg zobaczył, jak szeregowy Stiepanow pada na deski. Pułkownik chciał zareagować, ale poczuł, że drugi strzał trafia go w bok jak płonąca lanca. Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki. Próbował coś powiedzieć, odezwać się do Katii, która krzyczała z przerażenia. Trzeci strzał wszystko uciszył.

Eric westchnął niespokojnie i zrozpaczony zatopił się w fotelu jeepa. Był pewien, że to

oczekiwanie zniszczy mu nerwy. Z wrogością spojrzął na Meklina, który spokojnie palił z ubłocnymi butami na desce rozdzielczej. Już z dziesięć razy pytał go, ile czasu minęło, odkąd poszedł pułkownik. Żołnierz miał na lewej ręce trzy zegarki. Co to za ruska obsesja na punkcie tych zegarków? Początkowo odpowiadał mu z nieskrywaną niechęcią, choć z przyjemnością pokazywał swój elegancki łup. Za ostatnim razem wysłał go jednak w cholere i kazał mu, dosłownie, stulić pysk, bo inaczej go zastrzeli.

Przynajmniej przestało padać, bo bębnienie deszczu o brezent samochodu doprowadzało Erica do szału. Z obliczeń wyszło mu, że zostało jeszcze jakieś pięć albo dziesięć minut z czasu, który wskazał Awramow. Dlaczego, u diabła, nie ma ich tak długo? A jeśli nie pojawią się po upływie półgodziny? Jazda po posiłki byłaby cholerną stratą czasu. Czasu, którego Katia nie miała. Musiał wymyślić, jak pozbyć się Meklina...

Nagły wystrzał postawił go na nogi i zanim zdolał sobie uświadomić, co się dzieje, rozbrzmiały dwa następne. Odwrócił się do Meklina, a ten, z petem wiszącym u ust i z butami wciąż na desce rozdzielczej, odwzajemnił spojrzenie.

– *Czort pabieri* – przeklął.

– To strzały! Trzeba im iść z pomocą! – rzucił Eric.

– Nie! Ja mam rozkaz jechać po posiłki. – Żołnierz już uruchamiał silnik.

– Ale strzelanina jest teraz! Jak przyjadą posiłki, będzie za późno!

– Takie mam rozkazy!

Eric patrzył bezsilnie, jak Meklin kieruje jeepa na ulicę.

– Kurwa! No to zdejmij te kajdanki i pozwól mi tam pójść!

– Nie ma mowy! Cicho siedź albo zaraz cię zastrzelę! Taki rozkaz też mam!

Nie. Nie odjedzie stamtąd! Musi coś zrobić. Wyskoczy w biegu. Albo... Albo...

Spojrzał na ręce w kajdankach. Skuli go z przodu. Nie uważali go za tak niebezpiecznego, żeby wykręcić mu ręce do tyłu. Jeep oddalał się od teatru. Od Katii.

To był szybki ruch. Eric z tylnego siedzenia zarzucił Meklinowi kajdanki na szyję i ścisnął ją z całych sił. Tamten puścił kierownicę, żeby się uwolnić, i jeep zaczął jechać zygzakami po wąskiej ulicy, pełnej dziur i kałuż, śliskiej i nierównej. Erikiem rzucało z boku na bok. Żołnierz był silny i trzymał łańcuch kajdanek rękami, nie pozwalając się dusić. Jednak Eric nie rezygnował. Pośród skoków, wstrząsów i napierania jeep gnał do przodu niekontrolowany i żaden z nich nie spostrzegł, że jadą prosto na latarnię. Uderzenie sprawiło, że polecieli do przodu. Meklina zatrzymała przednia szyba, Erica zatrzymał Meklin.

Wylądował poskręcany, twarzą w dół, między fotelem kierowcy a żołnierzem. Przez chwilę dochodził do siebie i szukał oparcia, żeby móc się wyprostować i przesiąść na miejsce pasażera. Znalazłszy się tam, stwierdził, że Meklin jest nieprzytomny: rozbił sobie głowę o szybę, ale żył; poczuł ulgę, nie miał zamiaru go zabijać. Przeszukał kieszenie żołnierza w poszukiwaniu klucza do kajdanek. Gdy się uwolnił, złapał jego broń i czym prędzej wyskoczył z jeepa.



Oleg padł obok Katii. Ona wołała go, dopóki nie zrozumiała, że jej nie odpowie. Kałuża krwi rozlewała się po podłodze. Niezgrabnie uniosła związane ręce i pogładziła go po wciąż ciepłych policzkach. Pośród łez powtarzała pod nosem „nie” przetykane jego imieniem, łkaniem i szlochem.

Nie usłyszała kroków Petera Hankego. Nie usłyszała go, aż stanął przy niej i nogą, jak się odpycha śmieci, przewrócił ciało jej kochanka. Zamknęła oczy i dalej leżała skulona, tylko

szloch wstrząsał jej ciałem.

Hanke kucnął obok niej i pogładził ją po włosach zlepionych krwią i potem.

– Kochana Katio... Zobacz, do czego doprowadził twój upór – przemówił do niej czule.

– Gdybyś mi dała medalion za pierwszym razem, kiedy się zobaczyliśmy...

Katia poczuła, jak wściekłość, ból, gniew i nienawiść rosą w jej piersi niczym płonąca kula. I wybuchła. Wydając z siebie dziki krzyk, który dodawał jej sił, wyrzuciła nogi w stronę Hankego i z furią kopnęła go w brzuch. Nieprzygotowany na cios gestapowiec upadł na plecy. Uderzenie w głowę nieco go oszołomiło, więc przez chwilę dochodził do siebie pośród kaszlu, krztuszenia się i mdłości. Skręcając się, zobaczył, że dziewczyna ucieka. Desperacko sięgnął po pistolet, który wypadł mu z rąk.

Katia biegła po omacku, spowalniana bólem ciała i ducha, bez jasnego celu, prowadzona tylko zwierzęcym instynktem ucieczki. Ledwo widząc, dostrzegła połamany panel dekoracji oparty o ścianę proscenium, więc rzuciła się w jego stronę, żeby się schować.

Kiedy zostało jej tylko kilka metrów, usłyszała strzał i zanim udało jej się odwrócić, poczuła uderzenie. Szybkie. Czyste.



BARDZIEJ BAŁAM SIĘ TEGO, CO MOGĘ ZNALEŹĆ

Teo by powiedział, że łało wrednie. I to tak wrednie, że aż pomyślałam, czy to przypadkiem nie jest znak z nieba; oczywiście niebo, tak jak Martin, nie zgadzało się z moim nagłym wyjazdem do Asturii. Gdybym przyjęła te znaki, zaoszczędziłabym sobie wielu przykrości.

Dom mojego dziadka stoi na skraju klifu wznoszącego się kilka metrów nad morzem. Wokół rośnie trawa i ledwie kilka orzechowców, które dziadek osobiście zasadził, żeby osłaniały dom od wiatru. W burzowe noce słona woda uderza w okna, a wiatr świszcząc we wszystkich szparach, których jest całe mnóstwo, jak to w starym domu.

Jest to miejsce dzikie, samotne i odsłonięte, z widokami na morze jak z dziobu statku. I bez ogrzewania. Kiedy otworzyłam drzwi i przywitał mnie lodowaty podmuch oraz wilgoć przenikająca do szpiku kości, przypominałam sobie – za późno – że domu zwykle używało się tylko w lecie, dlatego dziadek nigdy jakoś szczególnie nie zastanawiał się nad zainstalowaniem porządnego systemu ogrzewania. Były tu tylko wielki kominek w salonie, kuchnia węglowa i piecyk na drewno w każdej sypialni, ale nie wiedziałam, skąd miałabym wziąć drewno. Grzejnik na butle gazowe dostarczał ciepłej wody, tyle że butla była pusta. Zabawnie będzie wziąć prysznic.

Przez chwilę rozważałam przeniesienie się do hotelu w miasteczku, potem przypominałam sobie, że o tej porze roku właściciele go zamykają i wyjeżdżają na urlop. O mały włos zrezygnowałabym ze swoich zamiarów i pojechała do Madrytu, żeby wrócić dopiero w lecie. Jednak w przyływie ducha przygody postanowiłam się nie poddawać, zwłaszcza kiedy odkryłam stos drewna w szopie. Z nową energią, zmagając się z żywiołami, zerwałam prześcieradła z mebli, pościeliłam małżeńskie łóżko, przyniosłam dwie taczki drewna i zapaliłam wszystkie ognie, które dało się zapalić, nawet świece.

Potem pojechałam do miasteczka wynajętym małym samochodem. Zrobiłam podstawowe zakupy: herbata, kawa, mleko, rzeczy suszone i wstępnie podgotowane, wszystko, co można zjeść na gorąco, i wiele lokalnych słodczy pełnych masła, żeby były bardziej kaloryczne. Kupiłam też świece i grzejnik z nadzieją, że nie zniszczę instalacji elektrycznej pochodzącej z czasów, kiedy nie istniały grzejniki elektryczne. Umówiłam się z człowiekiem dostarczającym butle gazowe, że nazajutrz wymieni moją. Wreszcie poszłam do baru i pod czujnym spojrzeniem kilku klientów grających w karty i jednocześnie oglądających mecz wzmocniłam siły domową kolacją, składającą się z zupy jarzynowej i eskalopek cielęcych. Na miejscu skorzystałam też z wi-fi, żeby odbyć z Martinem wideorozmowę.

Powiedział mi, że sprawy zawodowe zatrzymają go w Berlinie dłużej, niż się spodziewał, że najwcześniej będzie mógł się ze mną spotkać pod koniec następnego tygodnia, a był poniedziałek, że powinnam rozważyć powrót do Madrytu, że sama nie jestem bezpieczna, że się o mnie niepokoi, że ciągle robię coś na własną rękę i że przez to wszystko traci cierpliwość i zdrowie.

– To ma już niewiele wspólnego z medalionem, Martin – wyjaśniłam mu po cichu, jakby lokalni karciarze mogli być szpiegami międzynarodowej mafii. – To raczej sprawa osobista. Śledztwo utknęło i nie wiem, w którą stronę iść. Nie przychodzi mi do głowy, co się mogło dziać z medalionem po śmierci Wojkova. Myślałam o tym tysiąc razy, ale nie wiem, czego się uchwycić. Jego siostrzenica Katia zmarła w Berlinie w czterdziestym piątym. Cornelius Althann w Sachsenhausen. Po Peterze Hankem ślad zaginął. Po Ericu Althannie też. Poprosiłam Helgę, żeby odszukała jego syna Sebastiana, ale chwilowo nic nie znalazła. W dodatku to powiązanie

jest bardzo odległe. Naprawdę nie wiem, gdzie jeszcze szukać. Jesteśmy w ślepych zaułku i mam coraz mniejszą nadzieję, jeśli w ogóle ją mam, że trafimy na ten kamień.

– Rozumiem cię, ale zobacz też dobrą stronę tej sytuacji: skoro ty jesteś w ślepych zaułku, na pewno pozostali też. Wiesz przecież, że nie chodzi o to, żebyśmy my znaleźli medalion, tylko o to, by inni go nie znaleźli. Jeśli zaginął na zawsze, lepiej dla wszystkich.

– Taaa... Chyba że inni mają informacje, których my nie mamy.

Martin milczał przez chwilę, jakby ważył to, co miał zamiar powiedzieć.

– Może powinnaś podpytać Alaina – zasugerował cicho.

– Co? Nie mam zamiaru tego robić. – Trochę się rozzłościłam, ale obecność widowni kazała mi się hamować.

Martin na szczęście nie pociągnął tego tematu.

– Cóż, dajmy sobie trochę czasu. Przejrzymy jeszcze raz wszystkie informacje, które mamy, poczekamy, czy Helga znajdzie coś interesującego, i będziemy uważni na to, co robią pozostali.

Przytaknęłam. To była wspaniała perspektywa – mieć trochę czasu, żeby odpocząć po tych wszystkich wydarzeniach. Mogłabym się poświęcić historii rodziny, doszłabym do siebie po kontuzjach i urazach, uspokoiłabym emocje, uporządkowała myśli, bo musiałam podjąć kilka ważnych decyzji, których nie powinnam dłużej odkładać.

– Ana... – Głos Martina przerwał moje rozmyślenia. – Tęsknię za tobą.

Uśmiechnęłam się wzruszona.

– Ja też. – Nie kłamałam, byłoby mi milej wrócić do lodowatego domu nad klifem, gdybym mogła się wtulić w jego ramiona przy kominku i ogrzać się seksem. Tego jednak nie powiedziałam, bo przyszło mi do głowy, że w tym momencie lepiej zaznaczyć odrobinę dystansu między nami. Musiałam pobyć sama.

Obudził mnie promień słońca wciskający się przez szparę w okiennicach i trafiający dokładnie w moje oczy. Z powodu zimna nie zmieniłam pozycji przez całą noc, spałam zwinięta w kulkę, byłam więc odrętwiała. Lodowaty prysznic przez pół minuty, pośród przekleństw i dygotania, wystarczył, żeby mnie obudzić. Chociaż dom był już trochę ogrzany, włożyłam kilka warstw ubrań i dorzuciłam drewno do piecyka i do kominka.

Na śniadanie wypiałam kubek kawy z mlekiem, zjadłam jajecznicę na szynce i kilka tłustych, gąbczastych magdalenek, po czym wyszłam z domu przywitać poranek.

Przeostało padać, wciąż jednak wszystko było wilgotne, zewsząd kapało. Powietrze pachniało jodem, drewnem i mokrą ziemią; było to pobudzające. Spomiędzy chmur przedzierało się nieśmiało słońce, rzucając srebrzyste refleksy na morze, jeszcze szare i wzburzone. Fale rozbijały się z mocą o skalistą ścianę, ale już nie wyskakiwały w górę aż do okien. Dom stał niewzruszony kaprysami pogody, ze swoją białą, miejscami zapleśniałą fasadą, narożnikami z wygładzonych przez czas kamieni, dachem pokrytym mchem, wypłowiałymi błękitnymi okiennicami... Tak jak go pamiętałam. Pochodziłam po okolicy, aż kostka odmówiła mi posłuszeństwa, i wtedy uznałam, że nie zostało mi nic innego, jak zabrać się do roboty. Bałam się, że niczego nie znajdę; ale chyba bardziej bałam się tego, co mogę znaleźć.

Kiedy włączyłam przenośny grzejnik i okazało się, że instalacja elektryczna nie spłonęła od tego, wniosłam go na górę, na strych, gdzie prawdopodobnie było jeszcze zimniej niż w stojącej w kuchni lodówce z lat siedemdziesiątych. Nawet sobie nie wyobrażałam, ile tam znajduje pudeł, gratów i innych śmieci piętrzących się bez żadnego porządku. Czekał mnie ogrom pracy.

Spędziłam cały dzień pośród kurzu i pajęczyn, kilku ciekawych przedmiotów i wielu bez

sensu. Skoro już tam byłam, zadałam sobie trud, żeby sklasyfikować je i trochę posprzątać; tata na pewno będzie wdzięczny. Z zamiłowania do rzeczy dawnych bawiłam się wszystkim, co mi wpadło w ręce: zardzewiałymi narzędziami, które nie wiem do czego mogły służyć, koszykami z kasztanowca bez dna, gręplarką do wełny, cepem, parą sabotów, kolekcją drewnianych palet pokrytych zaschniętą farbą, czasopismami o sztuce i architekturze z lat sześćdziesiątych, rozpadającymi się sztalugami, pożółkłymi płótnami, połamanymi ramkami... Znalazłam pudełka z zabawkami z czasów, kiedy byłyśmy z siostrą małą, autentyczne perełki z lat osiemdziesiątych, takie jak para lalek Nancy z całym zestawem ubranek i projektor z czterema filmami. Były nasze letnie sukienki, z których wyrastałyśmy z roku na rok. Znalazłam plastikowe sandały tak małe, że można by z nich zrobić breloczek. Wędki, taczki, wiaderka, śliczne przynęty z kolorowych piórek i korkowe spławiki... Przypomniałam sobie, jak bardzo lubiłam chodzić z dziadkiem na ryby. Wiele z tych pozostałości dawnego życia przywołało wspomnienia przepełnione nostalgią.

Od czasu do czasu wstawiałam, żeby rozprostować ciało, zdrętwiałe od wilgoci, zimna i niewygodnej pozycji, i przygotowywałam sobie coś ciepłego do picia, ale poza tym byłam całkowicie pochłonięta zadaniem. Burza wracała raz po raz i deszcz dudnił o dach, niemal zagłuszając muzykę, którą włączałam sobie do towarzystwa.

Wieczorem byłam zbyt zmęczona, żeby zejść do wioski i zadzwonić do Martina. Postanowiłam nie dotrzymać własnych zasad i na chwilę włączyłam stary telefon, który przywiozłam na wszelki wypadek, by wysłać mu rutynową wiadomość: „Wszystko w porządku, jutro do ciebie zadzwonię”. Potem przygotowałam sobie coś szybkiego z proszku na kolację, zgodnie z moimi umiejętnościami kulinarnymi, po czym usiadłam na kanapie, zawinięta w koce, gotowa do lektury. Zdaje się, że nie przeczytałam nawet trzech stron, kiedy zaczęłam zapadać w sen, więc powlokłam się do pokoju, po drodze umywszy zęby i twarz, i położyłam się w tym łóżku, z którego nie sposób było pozbyć się chłodu i wilgoci.

Następny dzień upłynął mi podobnie. Trzeciego, jakbym kopała w kopalni, odrzuciłam już dość rupieci, żeby dotrzeć do ciasnego kąta strychu, gdzie natknęłam się na kilka pudełek, które sądząc po stanie kartonu, leżały tam od lat. Wzięłam pierwsze z brzegu – nie było duże, na boku miało logo kurzej fermy z Asturii, która prawdopodobnie już nie istniała. Było jednak dosyć ciężkie i kiedy je otworzyłam, okazało się, że wypełnione jest po brzegi.

Na początek wyciągnęłam teczkę z grubego kartonu z wypłowiałą pieczętką; była pełna rysunków i wszystkie przedstawiały kobietę: portrety, detale oczu, rąk, dalekie sylwetki z morzem w tle, na łące, w nieokreślonych pejzażach. Większość stanowiły zwyczajne szkice ołówkiem albo piórkiem. Nie udało mi się zidentyfikować modelki, ale poznałam styl dziadka. Odłożyłam teczkę na bok, żeby zbadać resztę zawartości pudełka.

Kilka bawełnianych chusteczek z wyhaftowanymi inicjałami I oraz B, upstrzonych złotymi plamkami wilgoci. Puszka po duńskich herbatnikach wypełniona bibelotami. Pusta butelczka Chanel no 5. Plik ulotek hotelowych: z Paryża, Rzymu, Majorki, Sewilli... Pod nimi leżały trzy książeczki w twardych okładkach ze złotym liternictwem pochodzące z jednej serii. Były po niemiecku. Może fakt, że znalazłam książeczki po niemiecku, nic nie oznaczał, ale to mnie przybliżyło do przedmiotu moich poszukiwań, zaczęłam więc przeglądać pudełko z narastającym oczekiwaniem.

Szybko natrafiłam na notatnik typu Moleskine z okładkami z brązowej skóry. Zdjęłam gumkę i go przejrzałam. Cały był wypełniony listami, datowanymi, z nagłówkiem i pożegnaniem. Wszystkie pochodziły z lata 1981 roku i były adresowane do Ilse, a podpisane przez mojego dziadka – po prostu imieniem Ramiro. Ale dlaczego wypełnił notes listami, których nie wysłał? I kim jest Ilse?

Zaczęłam je czytać z palącą ciekawością.

16 czerwca 1981

Kochana Ilse,

dzisiaj znowu cię rysowałem i będę to robił codziennie przez resztę swoich dni. Tak bardzo się boję, że zapomnę twoją twarz... Wiem, że powiedziałaś mi, że to nieważne, że twarz to najmniej istotna rzecz i że kiedy dusze złączyły się ze sobą, już nic nie może ich rozdzielić, że ty mnie nie zostawiłaś i że ja ciebie nigdy nie zostawię, że zawsze będziesz ze mną. Ale tak bardzo za tobą tęsknię, że chociaż twoja dusza mieszka we mnie, brakuje mi dotyku twojej skóry, zapachu twoich włosów, brzmienia twojego głosu... Przynajmniej w moich rysunkach przechowuję twój uśmiech, kształt twoich oczu, twoje dłonie, całą ciebie tak, jak wryłaś mi się w pamięć. Artyści tak mają, jak twierdziłaś z półuśmiechem i nieco protekcjonalnie.

Wiem, że upłynęło za mało czasu, żebym mógł się przyzwyczaić – nie jestem pewien, czy kiedyś mi się to uda – ale bardzo mi ciężko spędzać dni bez ciebie. Ciężko mi jest budzić się z rana w pustym łóżku, kiedy twoja nietknięta poduszka leży obok, i śniadanie w pustej kuchni smakuje gorzko bez twoich komentarzy do wiadomości, które wyczytałaś w porannej gazecie zasypanej okruciami z tostu. Nie mam siły malować, jeśli to nie ciebie maluję, brakuje mi zachęty i inspiracji, i twoich uwag na temat płótna, i tak samo – twojej cichej obecności. Nie mogę się skupić na czytaniu, nie chcę oglądać filmów na deser, nie mam apetytu, nie mam ochoty rozmawiać z nikim i chociaż w obecności Eduarda i małej próbuję okazywać hart ducha, chciałbym wyjechać z tego domu, gdzie spędziliśmy takie piękne chwile, i czekać, aż umrę, z nadzieją, że się znowu spotkamy. Błogosławiona nadzieja, której się czepiam – wbrew wszystkiemu, co do tej pory myślałem – żeby nie stracić rozumu.

Może to tylko kwestia czasu. Może nauczę się żyć bez ciebie i z bólem. Nie bądź zła o moje przygnębienie, ciebie już tu nie ma, już mnie nie popchniesz do działania, chociaż tak bardzo tego potrzebuję.

Żeby ci pokazać, że nie wszystko jest stracone, powiem ci, że codziennie zmuszam się do odbywania naszego popołudniowego spaceru. Spodobałoby ci się to, że kwitną jabłonie; w tym roku, po tak długiej zimie, są spóźnione. A pamiętasz domek dla ptaków, który zawiesiłaś w zeszłym roku na starej leszczynie? Zamieszkała w nim rodzina rudzików i wczoraj pewnie wykluły się pisklaki, bo dzisiaj strasznie się darły z głodu na powitanie życia. Nie martw się, nie zapominam codziennie napełniać karmników paczuszkami nasion, które mi przygotowałaś.

Późno już. Po drugiej. Jest prześliczna noc, szkoda, że nie widzisz, jak księżyc odbija się w spokojnym morzu i je wysrebrza; chociaż może to widzisz stamtąd, gdzie jesteś. Przejdę się po plaży przed snem. Może pójdziesz ze mną. Tak mi obiecałaś.

Dobranoc, ukochana, do jutra.

RAMIRO

Przeczytałam po kolei około pięćdziesięciu listów takich jak ten. Zaczęłam ze ściśniętym gardłem i skończyłam, płacząc jak bóbr, trochę ze smutku, a trochę z zachwyty, targana emocjami takimi, jakie wywołują rzeczy piękne, uczucia najszlachetniejsze i najczystsze, absolutna miłość, wykraczająca poza śmierć. W końcu zrozumiałam, że to są listy, które dziadek pisał do mojej zmarłej babci, zaraz po jej śmierci, jako dowód na to, że nigdy nie pozwoli jej odejść. Ja jej nie znałam, ale zawsze słyszałam o niej jako o babci Isie. Z jakiegoś powodu dziadek nazywał ją

Ilse, „kochana Ilse”. Choć bez wątpienia chodziło o nią, powiedziałam do siebie we łzach, zamykając notes z krwawiącym sercem.



NADSZEDŁ CZAS NA POWRÓT DO DOMU

Ilse. Skąd to imię? Odpowiedź znajdowała się na dnie pudełka. Odpowiedź, która wywołała dziesiątki kolejnych pytań.

Trzy karty, trzy stare dokumenty wypisane na maszynie i opatrzone pieczętkami. Po niemiecku. Wystarczył mi rzut oka, żeby zrozumieć, że są to akty zgonu wydane przez Międzynarodową Służbę Poszukiwań, ITS zgodnie z angielskim skrótem, mieszczącą się w Bad Arolsen w Niemczech. Ta organizacja od 1946 roku dostarcza informacji na temat milionów osób zaginionych podczas drugiej wojny światowej, szczególnie ofiar Holokaustu.

Kilka wypisanych odręcznie dokumentów, datowanych w październiku 1952 roku, które zaświadczały o śmierci w obozie koncentracyjnym Buchenwald Reinharda Berlaka, urodzonego w Dreźnie w maju 1894 roku, Marty Berlak, urodzonej w Stuttgarcie w styczniu 1898 roku, oraz Evy Berlak, urodzonej w Berlinie w marcu 1919 roku. Na odwrocie kart wskazano, poprzez zaznaczenie na liście, potwierdzające je dokumenty; w tym wypadku był to rejestr zgonów w KL Buchenwald.

I list skierowany do pani Ilse Berlak, w którym wyjaśniano, że w odpowiedzi na jej prośbę o informację wydają niniejsze dokumenty i pozostają do dyspozycji w razie ewentualnych dalszych pytań.

Z nazwisk i dat urodzenia wynikało, że Ilse, moja babcia, straciła rodziców i siostrę podczas wojny; zmarli w obozie koncentracyjnym. Żydzi, na pewno.

Dostałam gęsiej skórki. Skamieniała, z kartami w ręku, próbowałam dojść do siebie po tym odkryciu na temat własnej historii. Jak to możliwe, że nic nie wiedziałam? Jak to możliwe, że takie zdarzenia zostały ukryte na dnie pudełka w najgłębszym zakamarku domu na uboczu? Czy to była decyzja mojej babci: zakopać przeszłość, wymyślić siebie na nowo i rozpocząć nowe życie? Czy chodziło o rodzinny pakt milczenia, którego sensu nie rozumiałam? Czy mój ojciec coś o tym wiedział?

W pierwszym odruchu chciałam do niego zadzwonić, zaskoczona i zła, i zażądać wyjaśnień. A jeśli on nic nie wiedział? Jeśli ta informacja wprawi go w takie samo osłupienie jak mnie? To przecież jego matka! Nie, nie mogłam mu tego powiedzieć przez telefon, musiałam zrobić to osobiście.

Moja babcia była Niemką. Żydówką. Ofiarą Holokaustu. Jak to się stało? Jak udało jej się przeżyć? Jak się znalazła w Hiszpanii?

Wpatrywałam się w pudełka, które mnie otaczały – cztery były tak stare jak to, które otworzyłam. Czy tam znajdę odpowiedzi?

Było po czwartej rano. Playlista w telefonie skończyła się chwilę wcześniej, a ja ledwo to zauważyłam. Nieustający szum grzejnika stał się nagle wyraźny. Przestało padać, ale wiatr chłostał dom; słyszałam ryk fal rozbijających się na skałach. Chociaż nie nosiłam kontaktów od kilku dni, piekły mnie oczy, zmęczone od pracy przy słabym świetle starej kilkunastowatowej lampy. Zapomniałam o kolacji, ale nie byłam głodna. Czułam jednak pewną słabość; musiał mi spaść cukier.

Postanowiłam zejść do kuchni i zrobić sobie kawę. Nie chciałam spać; uznałam, że nie zasnę, jeśli nie otworzę reszty pudełek – zbyt wiele wątpliwości krążyło mi po głowie.

Na pierwszym piętrze kominek i piecyk przygasały, więc musiałam przynieść drewno i dołożyć. Niebawem siedziałam przy żywym tańczącym ogniu, z kubkiem gorącej mocnej kawy, który ogrzał mi zimne ręce. Wypiłam ją powoli, próbując przetrwać kłębiące się myśli i emocje,

i postanowiłam, że dam sobie pięć minut odpoczynku, po czym wrócę do pracy. Te pięć minut wystarczyło, żebym zasnęła; obudziło mnie słońce i krzyki mew ponad domem. Po kilku godzinach złego snu na kanapie bolały mnie głowa i całe ciało, zaczęłam więc dzień od dwóch tabletek paracetamolu.

Miałam przecucie. A jeśli chodzi o przecucia, to raczej ich nie miewam, jestem zbyt pragmatyczna. Może to przez samotność, sugestię, brak snu i odpowiedniego jedzenia, ale tym razem naprawdę miałam przecucie. Dlatego wahałam się między ochotą przejrzenia zawartości pudełek, które czekały na mnie na strychu, a strachem przed tym, co w nich znajdę. Bo przecucie mówiło mi, że moja niemiecka babcia jest poszlaką wskazującą na związki dziadka z Magna Clavis.

Z tą mieszanką ciekawości i niepokoju wróciłam na strych, gdzie spędziłam cały poranek i znaczną część popołudnia, opróżniając pozostałe pudełka i nie znajdując w nich nic ponad przerażające fajansowe ozdoby, wykoślawione buty, teczki na dokumenty bez dokumentów, ciężkie i do niczego niepotrzebne elementy metalowe niewiadomego pochodzenia i zastosowania, jak również faktury, dowody zakupu i inne papierzyska, które mogły iść prosto do ognia.

Rozczarowała mnie bezowocność poszukiwań, chociaż w głębi ducha mi ulżyło: wolałam dalej być zwyczajną osobą, z normalną rodziną, daleką od wszystkich tych historycznych podtekstów. Wolałam być widzem historii zamkniętych w książkach, filmach, archiwach, w których tak często się zatapiałam, śledząc cudze życie. Innych ludzi, nie moje. Poza tym mogłam wreszcie powiedzieć Martinowi, że on i jego banda mylili się co do mojego dziadka i mnie. Konrad tak samo.

Nie mając nic lepszego do roboty, postanowiłam wybrać się do miasteczka, zjeść coś domowego w barze i sprawdzić rozkład jazdy pociągów. Nadszedł czas na powrót do domu.



MIAŁAM WYJECHAĆ Z PUSTYMI RĘKAMI

Czasem zadaję sobie pytanie, czy prawda wyszłaby mi na spotkanie, gdybym jej nie poszukiwała. Czy jesteśmy tak silnie złączeni z tym, co nas poprzedza, że w końcu nas to dopada, obojętnie, co robimy? Wszak przeszłość stanowi część naszego przeznaczenia.

Zadaję sobie pytanie, czy wplątałam się w *Astrologa* i Ognisty Medalion, bo nie sposób było tego uniknąć. Bo być może na tym polega magia albo przekleństwo takich przedmiotów. A może to był zwykły przypadek?

Zadaję sobie pytanie, co by na to powiedział dziadek. Czy chciał ukryć prawdę, tyle że prawda jest jak korkowa tablica, która bez względu na to, jak długo by ją wpychać pod wodę, zawsze wypływa na wierzch? Albo zwyczajnie chciał pozwolić, żeby zdecydowało przeznaczenie?

W każdym razie miałam wyjechać z pustymi rękami; wrócić do domu, nie wiem, czy ze spokojnym sumieniem, ale pewna swego. A jednak...

Dopiero co wróciłam z miasteczka, po kolacji i z biletem na pociąg, który odjeżdżał z Oviedo o czwartej po południu następnego dnia. Poszłam po drewno, żeby ogrzać dom w ten ostatni wieczór. W ciągu mojego pobytu jego zapas w szopie znacząco się zmniejszył. I dlatego się pokazała.

Mało brakowało, a bym jej nie zauważyła, bo światło sufitowej żarówki było słabe, a ja zdążyłam już wyjść z trybu poszukiwania. Nie spodziewałam się, że mogłabym cokolwiek znaleźć za stosem drewna, ułożonym między dwiema wychodzącymi ze ściany belkami. A ona tam była – brązowa jak całe otoczenie, zakamuflowana niczym kameleon. W sumie to zaskakujące, że ją dostrzegłam. Myślę, że to błysk metalowego zamka zwrócił moją uwagę, kiedy z taczka pełną drewna właśnie miałam wyjść z szopy.

Była to skórzana walizeczka, zakurzona, odrapana i zniszczona, pokryta kawałkami kory i drzazgami. Jakiś pajak rozpiął pajęczynę na rączce, więc chwyciłam ją z obrzydzeniem, bo pajaków nie lubię. Zważyłam walizeczkę w ręku, nie była ciężka. Jestem niecierpliwa, dlatego postanowiłam ją otworzyć na miejscu, ale była zamknięta na klucz, więc położyłam ją na drewnie w taczce i zabrałam do domu, by tam wyłamać zamek.

Bardzo przydał mi się zestaw śrubokrętów, który znalazłam kilka dni wcześniej na strychu, i choć niezbyt sprawnie posługuję się narzędziami, szybko rozprawiłam się z zamkiem. Uniosłam wieko i moją uwagę na chwilę zwróciło wewnętrzne obicie w szkocką kratę. W środku znajdowało się mnóstwo nieposegregowanych papierów. Gdy je wyjmowałam, jak jesienny liść opadła na kuchenny stół wizytówka.

CORNELIUS M. ALTHANN

Antiquar

Friedrich-Karl-Platz 4, Charlottenburg-Berlin

Serce skoczyło mi do gardła. Nie wyciągając pochopnych wniosków, zabrałam się do przegładania papierów; ręce aż mi drżały z nerwów.

Dokument potwierdzający przyjęcie na studia w roku akademickim 1941–1942, na

wydziale architektury Wyższej Szkoły Technicznej w Berlinie, wystawiony na nazwisko Ramiro García Abad.

Wniosek o wizę złożony w konsulacie niemieckim w Madrycie w maju 1941 roku, podpisany przez Ramira Garcíę Abada.

Rachunek za zakup biletu lotniczego Madryt–Berlin na 13 lipca 1941 roku, na nazwisko Ramiro García Abad.

Dwie karty przyjęcia do obozu dla osób przemieszczonych w Landsbergu w Bawarii, na nazwiska Ramiro García Abad i Ilse Berlak. Obie z datą 3 czerwca 1945 roku.

Akt ślubu zawartego między Ramirem Garcíą Abadem i Ilse Berlak 24 czerwca 1945 roku w Landsberg am Lech w Bawarii.

Tymczasowe paszporty dla osób przemieszczonych, wystawione przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża na nazwiska Ramiro García Abad i Ilse Berlak we wrześniu 1945 roku.

I na koniec paczka listów. Berlin, styczeń 1941, luty 1941, marzec... Drogi Ramiro... Z wyrazami szacunku, Cornelius M. Althann.

Nagle stół w kuchni zapełnił się wypłowiałymi, pełnymi pieczętek, podpisów i gryzmołów dokumentami, które tworzyły kolaż historii moich dziadków. Jednakowo zdumiona i zafascynowana zapełniałam dziury w dokumentach, żeby odtworzyć ich życie między 1941 a 1945.

Mój dziadek Ramiro pojechał do Berlina w lecie 1941 roku, żeby studiować architekturę w Wyższej Szkole Technicznej. Z listów wynikało, że Cornelius Althann pomógł mu tam od strony urzędowej i był jego gospodarzem w niemieckiej stolicy. Wiedziałam, że Wyższa Szkoła Techniczna w Berlinie została mocno zniszczona podczas bombardowania w 1943 roku, co wymusiło zawieszenie działalności naukowej i dydaktycznej. Niektórzy studenci kontynuowali naukę na innych uczelniach na wschodzie, na przykład we Wrocławiu. Nie wiem, czy tak było w przypadku mojego dziadka, w każdym razie do Hiszpanii wrócił dopiero po zakończeniu wojny. Trzymając dokumenty rejestracyjne z obozu dla osób przemieszczonych, zadawałam sobie pytanie: dlaczego? Tak czy inaczej dziadek nie wrócił sam, towarzyszyła mu Ilse, dziewczyna, która urodziła się w Berlinie i którą tam poznał. Żydówka, ofiara Holokaustu, z którą się ożenił podczas tej długiej i krętej podróży do domu, przez pół zniszczonej wojną Europę. W pewnej chwili ona, postanawiając zostawić za sobą straszną przeszłość i stawić czoło nowemu życiu, zdecydowała się zmienić imię na Isabel; babcia Isa.

Oszołomiona opadłam na krzesło ze wzrokiem utkwionym w morzu papierów, z myślami w Berlinie podczas drugiej wojny światowej. Było wiele dziur, których ani moja wiedza, ani wyobraźnia nie pozwalały wypełnić historią. Nasuwało mi się wiele pytań – zadałabym je dziadkowi, gdyby tam był, gdyby siedział po drugiej stronie stołu. Rzuciłam głośne „kurwa”, z niemocy, bo już było za późno, i z żalu, że trzymał mnie na marginesie tych spraw. Dlaczego? Dlaczego trzymał mnie na uboczu?

Wzięłam wizytówkę Corneliusa Althanna. Nie było już wątpliwości co do relacji dziadka z Corneliusem. I chociaż w żadnym miejscu nie wspomina się Magna Clavis, nie miało sensu kwestionowanie związku dziadka z bractwem.

W myślach przeanalizowałam to, jaka mogła być sytuacja w 1942 roku. Mój pradziadek, Leopoldo García de la Torre, zmarł wiele lat wcześniej. Fiodor Wojkow został zamordowany. Alfreda Bauera uwięziło Gestapo, zmarł niedługo potem. Cornelius Althann został osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie też zmarł. Według zasady dynastycznej królowie odeszli i książęta zajmowali ich miejsce: Sarah, Ramiro, Eric i Katia. Historia Sarah i *Astrologa* już została rozwiązana. Ale co się stało z medalionem?

Tego oczywiście nie wiedziałam; ale właśnie wtedy zdałam sobie z czegoś sprawę: Katia,

Eric i Ramiro byli w Berlinie w maju 1945 roku. Peter Hanke też, ich nemezis.

Berlin, maj 1945 roku. Może to jest klucz?

W mojej głowie wręcz się gotowało, gdy nagle zaskoczyło mnie walenie do drzwi, tak głośne, że aż podskoczyłam na krześle i o mały włos wydałabym z siebie żalospny pisk, który zastąpiłam okrągłym: „Kurwa mać!”.

I znów – natarczywe walenie w drzwi. Kto, do diabła, przychodzi do domu na uboczu w środku nocy, podczas ulewy i wichury? W filmach zawsze są to ci sami: mordercy, gwałciciele albo psychopaci z piłą mechaniczną.

Przyznaję, że się wystraszyłam. Byłam gotowa zgasić światła w kuchni i udawać, że nikogo nie ma w domu. Chciałam wziąć telefon i zamknąć się w sypialni z tęnym nożem do krojenia szynki, który leżał w kuchennej szufladzie razem ze sztućcami.

Wtedy usłyszałam głos wołający mnie po imieniu. I ten głos bez wątpienia był znajomy.



TO BYŁA PUŁAPKA

Otworzyłam drzwi i on tam stał, w deszczu. Niebieska kurtka, jasny golf, wełniana czapka nasunięta aż na brwi, torba podróżna na ramieniu. Wyglądał jak marynarz, który właśnie zszedł na ląd z jednego z tych kutrów rybackich cumujących w porcie. Albo raczej jakby wypadł za burtę prosto do morza, bo był przemoknięty i wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Cześć. – Jego głos tłumił nieco szum deszczu.

– Co ty tu robisz?

Zawahał się.

– Zostawiłem śledztwo.

Zawiesił głos, jakby dawał mi czas na to, żebym coś powiedziała.

– Mogę wejść? – zapytał, gdy moje milczenie i bezruch się przedłużały.

– Tak, tak. Oczywiście.

Przepuściłam go, pragnąc zostawić na zewnątrz ten zimny wiatr i potoki wody podpływające pod dom. Na zewnątrz został też huk żywiołów. Poczułam ulgę, bo ten ogłuszający ryk tylko potęgował moje zmieszanie.

Odwróciłam się plecami do zamkniętych drzwi i stałam skulona, obejmując się mocno ramionami, częściowo z zimna, a częściowo z zażenowania. On też nie wydawał się spokojny, stojąc tak pośrodku niedużej sieni, podczas gdy u jego stóp zaczynała się tworzyć kałuża; wyglądał jak zmoknięty kundel, który żebrze o schronienie.

– Przykro mi, że...

– Przyjechałeś tu, żeby mi powiedzieć, że zostawiłeś śledztwo? Nie mogłeś tego zrobić przez telefon? – Usłyszaawszy siebie, pożałowałam oschłości tych słów. Byłam zdenerwowana, ale nie potrafiłam wyjaśnić sobie, z czego te nerwy wynikają, czy z mojego stanu ducha, ogólnie nie najlepszego, czy z jego niespodziewanego i nagłego pojawienia się.

– Nie.

– Nie, co?

– Nie mogłem ci tego powiedzieć przez telefon. Nigdy nie odbierasz.

Ale ze mnie idiotka.

– Tak... To prawda. Nie mam komórki – powiedziałam już spokojniejszym tonem.

– I przyjechałem powiedzieć ci nie tylko to, że zostawiłem śledztwo. Zostawiłem też katedrę i... Dziś rano wróciłem z Bostonu. Pojechałem porozmawiać z Kahnem... Ja... Wynająłem samochód, żeby tu przyjechać, ale zepsuł się przy wyjeździe z miasteczka, zagotował się. A o tej porze wszystkie warsztaty są zamknięte. Miałem spać w tym hotelu przy plaży...

– Jest zamknięty o tej porze roku.

– Tak, właśnie się dowiedziałem. Nie przyszło mi do głowy, żeby to wcześniej sprawdzić. Wiesz, że to jedyny hotel w okolicy. Dlatego... przyszedłem tutaj. Przykro mi, przykro mi, że zjawiam się w taki sposób.

– Spędziłeś w samolocie całą noc, a potem jechałeś ponad pięćset kilometrów, bez snu i z jet lagiem?

– I ostatnie dziesięć pokonałem pieszo z miasteczka, pod górę, w deszczu. Umieram. I jestem przemoczony do suchej nitki. – Uśmiechnął się zawstydzony, trzęsąc się z zimna.

– Jesteś nierozsądny.

– Musimy porozmawiać.

Westchnęłam. Jak ja nienawidzę tego zdania. Doskonale wiedziałam, że musimy poroz-

mawiać, ale to niesprawiedliwe, że zawsze atakuje mnie znienacka, jakbym miała być przygotowana do rozmowy w każdej chwili; jakbym z jasnymi myślami i gotowym przemówieniem miała czekać, aż zechce mnie wysłuchać. Cały rok! Przez dokładnie rok nie rozmawialiśmy o najważniejszej dla nas sprawie! I w końcu mamy to zrobić, kiedy jemu się tak podoba. To była pułapka.

– Lepiej się przebierz, bo dostaniesz zapalenia płuc. Jeśli chcesz się wykąpać, masz szczęście: jest ciepła woda. Jadłeś coś?

– W miasteczku. Zanim tu przyszedłem.

– Zrobię ci herbatę, rozgrzejesz się.

Przygotowałam herbatę, dołożyłam drewna do kominka i poczekałam na niego przy ogniu. Nie chciałam siadać, nie chciałam dać mu fałszywego poczucia, że nie przeszkadza mi jego wizyta.

Wyszedł z łazienki praktycznie suchy, poza włosami, które osuszył tylko ręcznikiem. Włożył dres z logo Uniwersytetu Harvardzkiego, który wydawał się wygodny i ciepłutki. Wyglądał znacznie lepiej niż przed kilkoma minutami, kiedy stał w sieni, milcząc i szcękając zębami. Nawet ja poczułam się lepiej.

Podaliśmy mu parujący kubek. Przyjął go z uśmiechem wdzięczności, popił i zobaczyłam, że przebiega go przyjemny dreszcz. Przybliżył się do ognia i ziewnął. Było widać, że jest naprawdę zmęczony.

– Jak się dowiedziałeś, że tu jestem?

– Ponieważ nie można było się do ciebie dodzwonić, poszedłem do mansardy. Skoro cię nie zastałem, zadzwoniłem do Teo, który nie potrafił mi nic powiedzieć na twój temat. Wtedy spróbowałem szczęścia u twojego ojca. On mi powiedział.

– Tak to jest z tym ojcem. Całe szczęście, że nie była to tajemnica.

– Może zrozumiał moje zaniepokojenie, nie uważasz? Poza tym wiesz przecież, że twój ojciec zawsze mnie lubił.

Tak, miał rację, tata lubił Alaina. W sumie to chyba ze wszystkich moich chłopaków i narzeczonych, których miał okazję poznać, ten był jedynym, naprawdę jedynym, który mu się spodobał. Nawet mama go lubiła! Chociaż początkowo moja sztywna matka przyjęła go nieufnie, bo był diametralnie różny od jej wyobrażenia brokera, bankiera, adwokata czy przedstawiciela dowolnej innej profesji wymagającej noszenia garnituru i krawata (drogich, rzecz jasna), których wymyśliła sobie dla swoich córek, to w końcu się nim zachwyciła. Dlatego nasze rozejście się było kubłem zimnej wody na głowy całej rodziny. Nawet mój nudny szwagier, który jeśli chodzi o emocje, jest tak ekspresyjny jak Playmobil, żałował. Alain jako jedyny od czasu do czasu grywał z nimi w backgammona. Nawet nie chciałam się domyślać, jakiego rodzaju spekulacje krążyły po tej rodzinnej grupie na WhatsAppie po telefonie Alaina do taty.

– Ja też do ciebie dzwoniłam. Po... – Zawahałam się. – Po tej sprawie z Martinem. Też nie odebrałeś.

– Byłem w samolocie. W drodze do Bostonu.

– Taaa... Nie wiedziałam. Chciałam przeprosić, bo... bo...

„Bo zobaczyłam siatki z zakupami rzucone na podłogę i zwiędłą różę i pękło mi serce”? „Bo wyobraziłam sobie, jak strasznie poczułeś się zraniony, żeby tak zareagować”? „Bo po tym, co dla mnie zrobiłeś, ja nie potrafiłam cię wesprzeć”?... Potrząsnęłam głową. Jak mu to miałam powiedzieć?

– To nie ty musisz przeproszać. A poza tym... No, mnie też poniosły nerwy. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem i powiedziałem. O tobie, przede wszystkim. – Westchnął, zrobił krok do przodu. Na jego twarzy było widać, że zaczyna się „rozmowa”. – Słuchaj, Ano...

– Możesz spać w dużym pokoju – przerwałam mu, żeby uniknąć trudnych tematów.
– W drugim nie napaliłam i jest zimno jak na Syberii. Ja zostanę na kanapie.

– Nie. Ja będę spał na kanapie.

– Myślę, że po nocy spędzonej w samolocie i po ilu?, czterdziestu ośmiu godzinach? bez snu, należy ci się chociaż łóżko. Ja jestem przyzwyczajona do kanapy, spałam tu przez kilka nocy.

Otworzył usta, żeby zaprotestować.

– Nie, nie ma o czym gadać. Pójdę po jakieś koce.

Pójście po koce zajęło mi tyle czasu, jakbym musiała je utkać. Usiadłam na łóżku. Oszołomiona. Wystraszona. Bałam się wrócić do Alaina, na wypadek gdyby nie był skłonny odłożyć na później tej rozmowy, która go tu sprowadziła. Bo ja potrzebowałam czasu. Musiałam się zastanowić. Musiałam wiedzieć, czego chcę. I znaleźć sposób na przekazanie mu tego tak, by go nie zranić. Nie zranić go jeszcze bardziej.

Nie wiem, ile czasu tam spędziłam, ukryta jak ślimak w swojej muszli. Wystarczająco dużo, żeby zdać sobie sprawę, że jeśli ja nie zejdę, to on tu wejdzie; cokolwiek by mówić, siedziałam na łóżku, które mu zaproponowałam do spania.

Gdy wróciłam do salonu ze stosem koców, gotowa obwieścić, że uznaję wieczór za zakończony, stwierdziłam, że Alain padł z wyczerpania i śpi, chrapiąc spokojnie na kanapie. Poczulałam wielką ulgę.

Otuliłam go starannie dwoma kocami, a on nawet się nie poruszył, tak mocno spał. Zgasilałam światła i poszłam do pokoju stawić czoło – jak się spodziewałam – długiej bezsennej nocy.



HISTORIA O LUDZIACH

Szczególne w bezsennych nocach jest to, że w końcu człowiek zapada w sen na chwilę przed tym, jak właśnie musi wstawać. Cholery można dostać... Lepiej już by było w ogóle nie zasypiać.

Byłam pogrążona w pierwszym śnie, kiedy poranek, który codziennie wciskał się przez szpary w okiennicach, opadł prosto na moje dopiero co zamknięte powieki. Odwróciłam się na drugi bok w stanie sennego odrętwienia, takiego, jaki powinien się pojawić na początku nocy. Jednak wtedy poczułam zapach kawy, tostów... z bekonem? Pokonał mnie głód, najsilniejsza z podstawowych potrzeb.

– Pachnie bekonem? – zapytałam, nie przekraczając progu kuchni. Od kuchenki dobiegało skwierczenie patelni.

Musiałam wyglądać jak dziecko przed pójściem do szkoły: zaspana twarz, potargane włosy, powyciągana piżama. Alain był za to umyty i uczesany, w fartuszkach nałożonym na sweter, i wymachiwał łyżką; wyglądał oburzająco świeżo.

– Przykro mi, nie chciałem cię obudzić. Tak, pachnie bekonem. Był w lodówce. Mam nadzieję, że nie trzymałaś tej paczki na jakąś specjalną okazję.

Oczywiście, był w lodówce. Kupiłam go w dzień przyjazdu i miałam zamiar kiedyś usmażyć. Potem nie chciało mi się i zapomniałam o rzeczonyj paczce. Jakbym nie znała siebie samej...

– Na co masz ochotę? – zapytał, wręczając mi kubek kawy. – Sok z kartonu, jajka, tosty?...

Popiłam łyk kawy, żeby trochę dojść do siebie, i przypomniałam sobie, że zawsze mi ją przygotowywał w doskonałych proporcjach z mlekiem i cukrem.

– Wszystko. No, to samo, co ty będziesz jadł. Pomóc ci w czymś?

– Nie, dziękuję. Usiądź, zaraz będzie gotowe. A właśnie, te papiery...

Walizka i jej zawartość, sekrety mojego dziadka.

– Co z tymi papierami? – Odruchowo zaczęłam się bronić.

– Mogę je zebrać, żeby nakryć do stołu?

– Tak... tak. Ja je zbiorę.

Pospiesznie złożyłam ten miszmasz dokumentów, wsadziłam je do walizki i zamknęłam ją, po czym odstawiłam do kąta.

– Zaraz przyjdę... umyję sobie twarz i takie tam...

– Jasne. Spokojnie.

Kilka razy przemyłam twarz zimną wodą. Spojrzałam na siebie w lustrze bez okularów, zobaczyłam zamazany obraz. Spokojnie? Nie, nie byłam spokojna. Ani trochę. Papiery na stole... Na pewno Alain je przeczytał. Czy mam mu o wszystkim powiedzieć? Przed czy po rozmowie, którą musimy przeprowadzić? Sprawy zaległe nawarstwiały się jak brud. Tak to jest, gdy się w porę nie posprząta. Czy Alain naprawdę zostawił śledztwo? Czy to jest tylko taka historyjka, żeby wyciągnąć ode mnie informacje i pójść z trofeum do Kahna?... Nie, do cholery. Alain to dobry człowiek, nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Sama nie mogłam uwierzyć, że przyszło mi to do głowy. Czy dostałam aż tak wielkiej paranoi? Tak bardzo chciałam mieć powód, żeby go obwiniać?

W jednej chwili na myśl o śniadaniu skręciło mi żołądek.

On też raczej nie miał apetytu. Tak jak ja od pewnego czasu popijał kawę małymi łykami i przewracał jedzenie widelcem na talerzu. Cisza była bardzo krępująca. Oboje wiedzieliśmy, co się za nią kryje, ale... jak ją przerwać? Najwyraźniej Alainowi przeszła ochota na rozmowę po mojej wczorajszej reakcji.

– Jeśli nie chcesz, żebyśmy porozmawiali – zagał, jakby mi czytał w myślach – w porządku, to twoja decyzja. Ale powiedz mi to, a nie będę więcej zawracał ci głowy.

– Nie chodzi o to, że ja nie chcę, chodzi o to... Od czego zacząć?

– Dlaczego tu jesteś, Ano? Widziałem te papiery. Imię twojego dziadka. Co...?

– Nie! – przerwałam mu. – Pytanie brzmi: dlaczego ty tutaj jesteś? Mówisz, że zostawiłeś śledztwo. Że zostawiłeś katedrę! Praktycznie z dnia na dzień. Dlaczego? Czego ty chcesz? Co się dzieje?

Mój atak go otworzył.

– Popełniłem błąd, tak?! Pomyliłem się!

Spojrzałam na niego zbита z tropu i wydało mi się, że się uspokaja. Westchnął, kręcąc głową.

– Nie powinienem był wyjeżdżać, a już na pewno nie tak, jak to zrobiłem. Zgrzeszyłem pychą: sądziłem, że za mną pojedziesz, że zmiana środowiska rozwiąże nasze problemy. A ponieważ nie chciałaś jechać... Przyznaję, że się wkurzyłem i poszedłem sobie, dla zwykłego rewanzu, nie myśląc o konsekwencjach. Byłem kretynem. Ta praca miała być moją życiową szansą, miałem się nią cieszyć, a jednak... Ten rok był do dupy...

– Tak, wyjechałaś. Przyznaję, że czułam się porzucona. Ale ja też zgrzeszyłam pychą, bo winę za wszystko zrzuciłam na ciebie i zrobiłam z siebie ofiarę. A nie... nie wszystko to była twoja wina. Jasne, to ty sobie poszedłeś. Ale ja ci pozwoliłam odejść. To oczywiste, że ani ty, ani ja nie zrobiliśmy nic, żeby uratować nasz związek.

– Jak do tego doszło? Co się wydarzyło? Czy to dlatego, że nie mieliśmy dzieci?... Nie było to takie ważne, nie bardziej niż my. Co się stało? Dlaczego cię skreśliłem? Dlaczego ty skreśliłaś mnie?

– Nie wiem... Teraz to wszystko wydaje się absurdalne, bezsensowne. Dlaczego tak się stało? Co to ma za znaczenie? Minęło tyle czasu... Ale przypominam sobie... Może nie pamiętam powodów, ale uczucia cały czas tam są, wracają... Te okropne miesiące po naszym rozstaniu... Tęskniłam za tobą i jednocześnie nie znosiłam ciebie, bo wydawało mi się, że na tym ostatnim etapie naszego małżeństwa przestałam cię interesować, twoja praca była najważniejsza, a ja stanowiłam tylko elegancki dodatek. Dusila mnie rutyna, brak marzeń. Nie czułam się kochana ani pożądana. Czułam się porzucona, Alain, na długo przed twoim wyjazdem do Bostonu. Dlatego za tobą nie pojechałam. Dlatego cię skreśliłam, dlatego stałam się wybuchowa, drażliwa, a ty zostawiłeś mnie i sobie wyjechałeś.

– Nie wiedziałem, że się tak czujesz... Nie powiedziałaś mi o tym.

– A ty mnie nie zapytałeś. Nigdy nie pytaliśmy siebie o swoje uczucia. Myśleliśmy, że związek sam się uleczy, i pozwoliliśmy mu umrzeć.

Alain gwałtownie pochylił się nad stołem. Talerze i sztućce aż zabrzęczały.

– Nie. Nie umarł, Ano. Jeszcze mamy czas. Dlatego tu jestem. Bo chcę naprawić błędy, naprawić wszystko...

– Problem w tym, że ja nie wiem, czy tego chcę! – Gwałtownie cofnęłam ręce, po które sięgnął. – Było mi bardzo źle. Bardzo trudno było mi wyjść z tej dziury, w którą wpadłam po twoim wyjeździe, odbudować sobie życie, uwierzyć w siebie. A teraz... Nie wiem, czy chcę do

tego wracać.

Twarz Alaina gwałtownie stężała.

– To przez Martina?

– Nie! – Odpowiedź była natychmiastowa. Kłamstwo jest czasem odruchowym mechanizmem obronnym. – Nie wiem... – poprawiłam się, bo akurat wtedy kłamstwo było najgorszym wyborem.

Alain nie odpowiedział. Odchylił się na krzesło jak karciarz, który przegrał partię. Jakby nie było już o czym gadać.

Ja zdenerwowana wstałam i zaczęłam zbierać ze stołu.

W tamtej chwili zadzwonił jego telefon. Alain nawet się nie poruszył.

– Nie odbierzesz?

Bez słowa włożył rękę do kieszeni, wyciągnął telefon i niechętnie spojrzął na ekran. Zmarszczył czoło.

– To Irina.

– Odbierz. Nie dzwoniłaby, gdyby to nie było ważne.

– Irina?... Cześć, jak się masz?... Dobrze, tak. Też dobrze... No wiem, wiem, gdzie jest. – Spojrzął na mnie. – Jest tutaj, obok mnie. Miała problemy z telefonem, dlatego nie możesz się dodzwonić... Tak, oczywiście, już ci ją daję... OK. Trzymaj się... Ty też... Ciao... Ciao.

Też zmarszczyłam czoło, kiedy brałam telefon z rąk Alaina.

– Cześć, Irina.

– A co ci się stało z komórką? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić!

– Przepraszam. Ukradli mi ją i...

– To kup sobie nową, kochana. No bo jak inaczej będę ci mogła opowiedzieć o moim wielkim odkryciu?

– Wielkim odkryciu? – Irina zawsze trochę przesadza.

– No – zaśmiała się – nie odnalazłam tego twojego medalionu, nie podniecaj się tak bardzo. Ale mam ładną historię dla ciebie, z takich, co to ci się podobają. Historię o ludziach.

– I opowiesz mi ją czy dalej będziesz mnie karać za to, że nie mam telefonu?

– Bardzo chcę ci ją opowiedzieć! Słuchaj, po twoim wyjeździe z Moskwy zrobiłam to, o co mnie prosiłaś, i poszłam odwiedzić córkę Julii Idrisowej.

Oczywiście. W tym całym zamieszaniu wypadło mi z głowy, że swego czasu pomyślałam, że chociaż Julia, przyjaciółka Katii, zmarła, być może jej potomkowie mają jakieś dokumenty albo interesujące dla nas informacje. Tak więc poprosiłam Irinę, żeby spróbowała nawiązać kontakt z rodziną Julii.

– Masz wycucie, kochana, bardzo dobre! Niech bogowie strzegą tej twojej intuicji. Ale do sedna, do sedna. Koleżanka skontaktowała mnie z Niną, córką Julii. Nina mieszkała z Julią w ostatnich latach jej życia. Bardzo miła kobieta. Jest nauczycielką w szkole podstawowej, mimo że kilka lat temu przeszła na emeryturę. Samotna, mieszka nieopodal mnie, o kilka przystanków metra. Tak więc zaprosiła mnie na herbatę. Jest bardzo gadatliwa, lubi opowiadać o rodzicach. Ojciec był bohaterem Związku Radzieckiego, inwalidą, nie miał jednej nogi. Poznał Julię niedługo po wojnie, na spotkaniu weteranów. Nina pokazała mi wszystkie pamiątki po rodzicach, przytoczyła wszystkie opowiadane przez nich historie. Julia, w odróżnieniu od swojego męża Borisa, nie mówiła zbyt dużo o wojnie. To ciekawe, tak jest z wszystkimi kobietami, które były na froncie: one nie lubią walki. I nie snują epickich opowieści o wojnie jak mężczyźni. Te kobiece historie są skromne, skrywane, a kiedy wybijają na powierzchnię, płyną strumieniami, łzami, stają się bardziej ludzkie. Szkoda, że nie miałam okazji porozmawiać z Julią, chociaż i tak dobrze było pogadać z jej córką. Nina powiedziała mi, jak ważna była Katia dla jej matki: była

jej przyjaciółką, jej siostrą... *Siostry*, mówimy po rosyjsku, to szczególne słowo, bardzo czułe. Wychowały się razem. Po śmierci wuja Katia mieszkała u Kotiakowów, u rodziny Julii. I zakochała się w jej bracie, Miszy. Chłopak poległ pod Stalingradem. Dlatego młodziutkie Katia i Julia postanowiły zaciągnąć się do wojska. Razem walczyły, niemal zawsze w tym samym oddziale, i doszły do Berlina. Nina pokazała mi listy, fotografie, odznaczenia, zawiadomienie o śmierci jej wuja Miszy... Wyznała, że mama nigdy nie opowiadała jej o Katii, że zrobiła to dopiero pod koniec swoich dni, kiedy głowa już jej odmawiała posłuszeństwa, kiedy tak naprawdę skrywała się we wspomnieniach z przeszłości. Ninie wydawało się wtedy, że mama nie mówi do niej, tylko wspomina na głos własną historię. I tak dowiedziała się, jak zginęła Katia. Julia musiała pójść zidentyfikować ciało. Możesz w to wierzyć albo nie, ale oni wtedy nie nosili nieśmiertelników. Dawano im mały bakelitowy walec z karteczką w środku, na której zapisywali swoje dane, ale wielu żołnierzy go gubiło, bardzo rzadko się zdarzało, żeby mieli go ze sobą. No, ale wracając do naszej sprawy, znaleziono ciało Katii w opuszczonym teatrze, opowiadała Julia. Rozpoznała ją po łańcuszku – to było złote serduszko, które Katia dostała od swojej mamy, kiedy się rozstawały, i którego nigdy nie ściągała. Władze były skonsternowane jej śmiercią i w ogóle całą sceną przemocy, bo oprócz ciała Katii znaleziono też trupy niemieckiego cywila i dwóch innych radzieckich żołnierzy. Jednym z nich był pułkownik NKWD Oleg Awramow, kochanek Katii. Nie przeprowadzono śledztwa. Sprawa była zbyt mętna i nie chciano się w nią zagłębiać ani dawać żadnych wyjaśnień, które mogłyby postawić w złym świetle Radziecką Administrację Wojskową w Berlinie. Zamknięto temat. Wnioski widziałas już w teczce Katii Wojkowej: zginęła na służbie. Julia przez wiele lat opłakiwała śmierć przyjaciółki... Jesteś tam jeszcze?

– Mam gęsią skórkę.

Irina zaśmiała się psotnie.

– Wiedziałam, że ci się to spodoba. Ale nowych informacji jest więcej, znacznie więcej. Chociaż po zastanowieniu doszłam do wniosku, że jeszcze cię trochę podręcę. Poza tym chcę, żebyś to zobaczyła na własne oczy, żebyś przeżyła takie same emocje jak ja.

– Co mam zobaczyć?

– To, co ci wyślę mailem. To list, kopia, którą przetłumaczyłam. Przeczytaj go, to pogadamy.

Kiedy skończyłam rozmawiać z Iriną, poczułam na sobie pytające spojrzenie Alaina. Zwróciłam mu telefon.

– Muszę pojechać do miasteczka, żeby podłączyć się do internetu. Irina wyśle mi jakiś dokument.

– Zadzwoń do niej i powiedz, żeby go wysłała do mnie. Nie będziesz musiała nigdzie jechać.

– Nie, w porządku. Nie będę do niej dzwonić tylko po to.

– No to użyj mojego telefonu, żeby podłączyć...

– Nie! Dziękuję, ale nie! Po to zostawiłeś śledztwo? Żeby wtrącać się w moje? Alain, kurwa, to jest moja praca, to moje śledztwo... Wreszcie moje! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że to była jedna z rzeczy, które najbardziej mnie przytłaczały przez ten cały czas: zawsze pracować w twoim cieniu?

Alan zapowietrzył się, jakby słowa, którymi miał mi odpowiedzieć, powpadały jedno na drugie. W końcu postanowił nic nie mówić, odwrócił się na pięcie i poszedł sobie.

Przygnieciona napięciem opadłam na krzesło i zastanawiałam się nad tym, co i jakim tonem właśnie powiedziałam. W pewnej chwili usłyszałam głośne trzaśnięcie. Pobiegłam do drzwi wejściowych i gdy je otworzyłam, zobaczyłam, że Alain odchodzi z torbą na ramieniu. Ruszyłam za nim.

- Alain, zaczekaj! Dokąd idziesz?
- Spróbować naprawić samochód albo zamienić go na inny, żebym mógł stąd wyjechać.
- Mogę cię podwieźć. Już ci mówiłam, że jadę do miasteczka.
- Wolę się przejść.

Szłam za nim.

– Ej, Alain, nie bądź uparty. Jeśli chodzi o tamto, nie... Ja nie...

Nagle zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Powiedziałem, że wolę się przejść, więc daj mi spokój, dobrze?

Ten niespodziewany wybuch sprawił, że stałam jak wryta, ze wzrokiem utkwionym w jego plecy, kiedy oddalał się drogą w dół zbocza. I myślę, że zasłużyłam na jego impertynencję. Nie tylko ja miałam prawo się zdenerwować.



TO, CO PRZECZYTAŁAM, SPRAWIŁO, ŻE ZAPOMNIAŁAM O WSZYSTKIM INNYM

W tamtej chwili najchętniej skuliłabym się w łóżku pod kocami narzuconymi na głowę. Poczekałabym, aż pokona mnie sen i będzie trwał, głęboki jak śpiączka, a kiedy bym się obudziła, moich problemów już by nie było. Chciałabym móc cofnąć czas aż do dnia, gdy byliśmy szczęśliwi i myśleliśmy, że to szczęście będzie trwało w nieskończoność.

W tamtej chwili czułam się dokładnie tak jak wtedy, kiedy Alain odszedł po raz pierwszy. Nie, nie chciałam do tego wracać. Jeden raz wystarczy.

Pobiegłam do domu. Wykąpałam się, ubrałam, ukryłam pod makijażem cienie pod oczami i zmęczoną twarz, chwyciłam laptop, wsiadłam w samochód i pojechałam do miasteczka. Musiałam się podłączyć do internetu. Musiałam przeczytać list od Iriny. Musiałam czymś zająć myśli i zająć się swoim życiem.

Ucieszyłam się, że bar świeci pustkami. Zaszyłam się w kącie i założyłam słuchawki z muzyką, żeby odizolować się od świata. Nie pamiętam, jakiej muzyki słuchałam. To, co przeczytałam, sprawiło, że zapomniałam o wszystkim innym.

Kochana Julio,

zaczynałam ten list zbyt wiele razy, nigdy nie mogłam znaleźć słów. Tyle już razy go napisałam i przepisałam, pokreśliłam, pomięłam. Tak dużo... Aż w końcu zdałam sobie sprawę, że winne są nie słowa, lecz fakty. Nie ma znaczenia, jak je opiszę, fakty nigdy się nie zmieniają. Nie ma znaczenia, jakich słów użyję, nic nie naprawi cierpienia, które wiem, że ci zadałam.

Przez cały czas ze wszystkich rzeczy i ludzi tylko za tobą tęskniłam. Ciebie jednej nigdy nie chciałabym oszukać. Ale nie miałam wyboru, musisz mi wierzyć. Musiałam umrzeć, żeby zacząć nowe życie.

Moja bratnia duszo, moja siostrzo, opowiem ci wszystko, co się wydarzyło tamtego maja 1945 roku w Berlinie. Może dzięki temu będziesz w stanie mi wybaczyć.



MAJ 1945

Sowieci samodzielnie zabrali się do odbudowywania Berlina mniej więcej w lipcu 1945 roku, kiedy Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi przyjechali do miasta, aby okupować każdy swoją część według ustaleń konferencji w Jałcie. Maj 1945 oznaczał dla berlińczyków godzinę zero, *Stunde Null*. To był ten moment, kiedy ci, którzy przetrwali nazizm i wojnę, wstali oszołomieni wśród ruin miasta ducha i robili rachunek sumienia osobistego i zbiorowego, kiedy próbowali wziąć na siebie straty i odpowiedzialność za katastrofę, kiedy zaczęli spoglądać w przyszłość z pewnym poczuciem ulgi i nadziei. Berlin będzie potrzebował lat, żeby dojść do siebie po wojennych ranach, i zostanie miastem zjednoczonym i wolnym dopiero w listopadzie 1989 roku.

Eric był już w korytarzu, kiedy zadudnił wystrzał; dobiegał ze sceny. Ścisnął pistolet i przyspieszył kroku. Zatrzymał się przy wejściu na scenę i ostrożnie zajrzał do środka. Broń drżała w jego uniesionych rękach. W uszach czuł bicie serca, pot kapał mu z czoła; zamknął oczy i otworzył, żeby wyostrzyć wzrok w słabym świetle brzasku.

Wreszcie dostrzegł dwa ciała leżące pośrodku kałuży krwi. Ciała w mundurach.

Przez chwilę myślał, że leży tam Katia. Pulsowanie w piersiach i w uszach ustało. Zabrało mu tchu. Nie... Nie... To byli mężczyźni. Dwóch mężczyzn, stwierdził. Oleg i Anatolij. Przełknął ślinę, czując, że ledwie przeciska mu się przez gardło. Oleg... Nie żyje.

Wychylił się mocniej i dostrzegł trzecią postać: mężczyznę klęczącego w głębi sceny. Trzymał pistolet i celował w konkretne, oddalone miejsce przy proscenium. Nie widział jego twarzy, ale był pewien, że to Hanke.

Gdzie jest Katia?

Odwrócił się, żeby oprzeć się plecami o ścianę. Otarł pot z czoła. Zamknął oczy. Gdzie jest Katia? Tam, gdzie celuje Hanke? Musi się pozbyć tego szaleńca. Ale jak? Z nerwów nie wiedział, co robić. Jak? – powtarzał raz za razem. Strzeli do Hankego. Był daleko, na oko jakieś dwadzieścia metrów od tamtego, i nie był dobrym strzelcem. Na Boga, w ogóle nie był strzelcem. Zdarzyło mu się kilka razy w życiu strzelić do tarczy, ot i wszystko. Poza tym nie mógł opanować drżenia rąk, całego ciała. Na pewno by spudłował. Ale musiał do niego strzelić. Musiał to zrobić.

– Nie masz jak uciec, kochana Katio. – Głos Hankego go przestraszył. – To koniec – mówił z trudem, może był ranny. – Umrzesz z upływu krwi, chyba że pozwolisz mi położyć kres twojemu cierpieniu.

Musiał do niego strzelić. Już.

Wychylił się. Wycelował i nacisnął spust.



Zanim pocisk ją unieruchomił, Katia przebiegła ostatni odcinek do portalu i schowała się za nim. Przyspieszony oddech, walące serce... Spojrzała przygnębiona na lewą rękę – kula przez nią przeszła, zostawiając dwie dziury, które obficie krwawiły. Musiała zatamować krwotok. Mimo intensywnego bólu mocowała się, żeby zerwać więzy z rąk. Nie udało jej się, węzły nie puszczały, a ona zaczynała tracić przytomność.

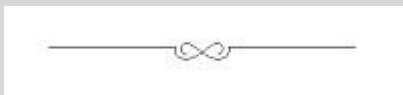
– Nie masz jak uciec, kochana Katio – usłyszała łamiący się głos Hankego. – To koniec.

Umrzesz z upływu krwi, chyba że pozwolisz mi położyć kres twojemu cierpieniu.

Słabość zaczynała ją pokonywać. Rozejrzała się wokoło. Hanke miał rację: nie ucieknie stąd. Łzy spływały jej po policzkach. Oby spełnił swoją obietnicę. Oby od razu położył kres jej cierpieniu.

Wtedy usłyszała następny strzał. Uznała, że ostatecznie jest martwa. Ale nie... Nie, ten strzał nie był przeznaczony dla niej. Wyrzała zza portalu. Hanke leżał na deskach i już w nią nie celował – mierzył w przeciwną stronę, w kierunku wejścia na scenę, do ukrytego strzelca.

Katia przeturlała się do bocznej ściany sceny, gdzie już wcześniej zauważyła panel z przeciwwagami sztankietów. Jeden z rzędów mocowań był złamany. Zaczęła kopać z całych sił, które jeszcze jej zostały, aż mocowanie ustąpiło z trzaskiem. Napięte liny zostały zwolnione. Rozległo się skrzywienie bloczków. To był ostatni dźwięk, jaki usłyszała, zanim straciła przytomność.



Peter Hanke uniósł głowę. Nie poruszył się. Nawet nie krzyknął. Zwyczajnie nie zdążył zareagować. Skamieniał z przerażenia.

Eric, usłyszawszy potworny huk, wyrzał ze swojej kryjówki. Chmura pyłu i odłamków drewna uderzyła go w twarz. Zasłonił się i poczekał, aż wszystko się uspokoi. Kiedy huk ucichł i pył zaczął opadać, znowu ostrożnie wystawił głowę, żeby ocenić sytuację. Wtedy zobaczył zniszczenia: wielka belka z reflektorami spadła z sufitu na deski. Ciało Petera Hankego leżało pod nią zmiażdżone.

Czując, że nogi się pod nim uginają, wyszedł z ukrycia. Zataczając się, przeszedł przez scenę i dopadł do Hankego. Eric ciągle ścisnął pistolet, jakby ten kawał zmiażdżonego mięsa mógł się podnieść i rzucić na niego.

Nagle jęk wyrwał go z hipnotycznej kontemplacji tej skąpanej we krwi, zdeformowanej twarzy. Uniósł głowę i zawołał:

– Katia... Katia!

W odpowiedzi znów usłyszał jęk, więc ze ściśniętym sercem poszedł w stronę, z której dobiegał, nie przestając wypowiadać jej imienia. Tak dotarł do drewnianego portalu i za nim znalazł ją wreszcie, rozciągniętą na podłodze, na wpół przytomną.

– Katia – wyszeptał zdławionym od emocji głosem. – Jestem tu. Wszystko się skończyło.

Katia otworzyła oczy.

– Eric...

– Peter Hanke nie żyje. To już koniec.

Uśmiechnęła się. Spróbowała się podnieść, ale była zbyt słaba.

– To już koniec – powtórzyła, po czym znowu omdlała.

Eric pogłaskał ją i obejmując, zauważył krwawiącą ranę na jej ręce.

– Zabiorę cię stąd. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wykorzysta jeepa, już zastanowił się nad trasą. Zawiezie ją do kościoła Świętego Szczepana, pomogą im. Ale najpierw upewni się, że nikt nie będzie szukał porucznik Katii Wojkowej.

Eric nie pamiętał zbyt dobrze, jak minęły te minuty przerażenia i pośpiechu. Przechowywał tylko rozmyte obrazy: jak tamuje krew z rany Katii kawałkiem materiału, jak wlecze anonimowego trupa z ogrodu na tyłach budynku na scenę, jak zakłada łańcuszek Katii na napuchniętej szyi tej martwej kobiety, jak rozlewa po deskach puszkę rozpuszczalnika i podpala teatr, w którym właśnie skończył się jego osobisty dramat. Widział siebie z Katią na rękach w drodze do jeepa. Jej głowa na jego ramieniu. Pamiętał, że to wtedy zdał sobie sprawę, że kocha ją bardziej,

niż potrafi wypowiedzieć słowami. Jeśli nie zdoła uratować jej życia, już nigdy nic nie będzie miało dla niego sensu.



POZWÓL, ŻE OPOWIEM CI SWOJĄ HISTORIĘ

Wyszłam z baru i usiadłam na ławce w zielonej alejce nad rzeką. Potrzebowałam świeżego powietrza, samotności i ciszy. Siedziałam nieruchomo w deszczu tak drobnym, że wydawał się wodnym pyłem, ze wzrokiem utkwionym w spokojnych wodach.

Właśnie poznałam historię Katii. I Petera Hankego. I Erica Althanna. I częściowo własnego dziadka.

Pojawiły się odpowiedzi na niektóre pytania zapisane przeze mnie w notatniku. Wypełniały się niektóre puste plamy między dokumentami. Budowała się historia, w której odwaga, determinacja i miłość były motorem istnienia. I Ognisty Medalion. Ten przeklęty przedmiot, który wpłynął na ich życie wbrew nim samym.

Gdzie znajdowała się ta relikwia? Ciągle nie wiedziałam. Katia nie zdradzała tego w swoim liście; nie taki był jego cel. Chodziło jej o własne odkupienie. Szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno. Doszłam do wniosku, że w moich badaniach najbardziej fascynuje mnie czynnik ludzki, historia osobista. Do tamtego momentu byłam przekonana, że to śledztwo jest skazane na porażkę; wydawało mi się, że nie ma już szansy znaleźć medalionu, tak jak nie ma szansy rozwikłać historii, które wokół niego narosły. A jednak znienacka te historie zaczęły się rozplątywać, jedna po drugiej. Ich końce falowały na wietrze. I zaczynały się zaplatać w kobierzec na moich oczach. Ten kobierzec jeszcze nie był gotowy, ale ja dalej tkiałam.

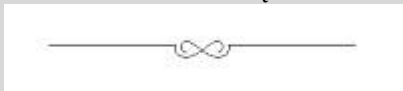
Jak wyjaśnić Martinowi, że tylko to mnie interesuje. Że medalion jest jedynie przedmiotem, tak samo jak *Astrolog* jest jedynie obrazem. Nie zrozumiałby tego...

Kątem oka dostrzegłam ruch i zanim jeszcze zobaczyłam, kto to taki, jego głos rozwiął wątpliwości.

– Samochód dostanę dopiero jutro – oznajmił Alain. – Facet z warsztatu zaofiarował się, że zawiezie mnie do hostelu, o trzydzieści kilometrów stąd. Nie chciałem zniknąć bez pożegnania.

Uniosłam twarz zalaną deszczem i łzami, żeby na niego spojrzeć.

– Wróć ze mną do domu. Pozwól, że opowiem ci swoją historię.



Alain potrafił słuchać. Jak mogłam o tym zapomnieć? Jak on mógł o tym zapomnieć? Skupiał się na opowiadaniu, jakby to była jego historia, od czasu do czasu przytakiwał i pozwalał sobie na okazywanie emocji poprzez nieznaczne grymasy twarzy.

Tak, Alain emocjonował się historiami innych ludzi. Tak samo jak ja.

Niczego nie zataiłam. Opowiedziałam mu całą historię, tak jak udało mi się ją zrekonstruować, od samego początku. Peter Hanke, od którego wszystko się zaczęło. Fiodor Wojkow, Cornelius Althann, Alfred Bauer, Leopoldo García de la Torre. Spadkobiercy Wawrzyńca Medycusza. Magna Clavis. Sebottendorf i Günter Kirch, spiskowcy. Walther Hanke, idealista. Opowiedziałam mu o rozpadzie bractwa i o tym, jak jego sukcesorzy zebrali się zupełnie przypadkiem w domu antykwariusza. Opisałam całą trójkę. Katia, Eric, Ramiro. Berlin w maju 1945 roku. I Sarah Bauer, odizolowana po drugiej stronie pogrążonego w wojnie świata. Wszystko było ze sobą powiązane. *Astrolog* z Ognistym Medalionem. I my. Na długo zanim nawet się poznaliśmy.

Opowiedziałam mu o dziadku i rozłożyłam przed nim całą zawartość starej walizki z szopy. Dywan dokumentów na podłodze przy rozpalonym kominku. Alain przeczytał je wszystkie po kolei, powoli, gładząc stary papier opuszkami palców; zawsze to robił, tak samo jak

ja. Straciliśmy poczucie czasu.

– Konrad o tym wiedział. Martin i ci jego „oni” też wiedzieli... Wszyscy wiedzieli, że dziadek miał związek z obrazem i medalionem, tylko nie ja. I wykorzystali mnie. – Gapiłam się w ogień na kominku. – Ale to bez znaczenia. Już nie... Już nie potrzebuję niczyjej aprobaty – zapewniłam raczej siebie niż Alaina. Wypowiedziane na głos słowa były niczym objawienie.

Z jego wahania i kilku zająknięć wywnioskowałam, że w jakiś sposób chce okazać mi zrozumienie: wziąć mnie za rękę, pogłaskać, może nawet przytulić... Sądzę, że trzymanie przeze mnie dystansu i skupienie na sobie odwiodło go od tego.

W milczeniu znów spojrział na papiery, a potem na otwartą walizkę obok nich – coś zwróciło jego uwagę. Pochylił się i wyciągnął pudełko.

– A to? Mogę je otworzyć?

Drewniane pudełko po cygarach Cohiba. Znalazłam je, gdy za pierwszym razem zajrzałam do walizki, i odłożyłam na później. A później wszystko się skomplikowało i o nim zapomniałam.

– Oczywiście. Nie wiem, co może być w środku.

Alain otworzył metalowy zatrzask i uniósł wieczko – w ten sposób odkrył plik osteplowanych, porozdzieranych kopert. Z pierwszej wyciągnął kartkę bożonarodzeniową z obrazkiem w dawnym stylu i tekstem po angielsku; życzenia w środku były napisane odręcznie po hiszpańsku: proste „Wesołych Świąt i szczęśliwego nowego roku 1946” podpisane przez rodzinę Schiller. Wszystkie pozostałe koperty także zawierały bożonarodzeniowe kartki wysyłane co roku, od 1946 do 2002. Ciekawie było widzieć je razem i podziwiać projekty, pokazywały bowiem, jak ikonografia ewoluowała poprzez lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte... Jedną z kartek, wysłaną w 1958, była kolorowa fotografia jakiejś rodziny zebranej pod bogato zdobioną choinką. Ojciec był wysoki, elegancki, miał zaczesane brylantyną szpakowate włosy i nosił okulary w cienkich oprawkach. Przypominał mężów z reklam z lat pięćdziesiątych. Matka była ładna, w stylu niegdysiejszych kobiet, które wyglądały na więcej lat, niż miały w rzeczywistości. Siedziała obok męża i trzymała dziecko w ramionach. Wokół rodziców kłębiła się jeszcze szóstka przychówku, trzy dziewczynki i trzech chłopców; dzieci mogły mieć od dwóch do kilkunastu lat.

– Wszystkie są adresowane do twoich dziadków, Ilse i Ramira García Abad.

– I kimkolwiek byli Schillerowie, wysyłali kartki na każde święta, dopóki we wrześniu 2003 roku nie zmarł dziadek. Nie opuścili ani jednego roku. Musieli być dobrymi przyjaciółmi.

– Wszystkie zostały wysłane ze Stanów Zjednoczonych. – Alain dalej analizował koperty.

– Pierwsze z El Paso w Teksasie. A późniejsze z Huntsville w Alabamie – dodał zamyślony.

W tej chwili złapałam za laptop, a Alain na głos wypowiedział moje myśli:

– Czy to nie w Huntsville znajduje się Centrum Lotów Kosmicznych imienia Marshalla?

Poprosiłam go o komórkę, żeby podłączyć się do internetu.

– Tak, pierwsza siedziba NASA – sprawdziłam, podążając za swoim przeczuciem.

– A w El Paso jest Fort Bliss, baza wojska amerykańskiego, centrum rozwoju i testowania rakiet...

– To tam przeniesiono ekipę naukowców Wernhera von Brauna, którzy poddali się Amerykanom po wojnie.

– Schiller, Schiller, Schiller... To nazwisko...

Wstałam niemal podskokiem i poszłam po mój notatnik. Wróciłam, kartkując go.

– Tu jest! Hannah Schiller...

Uniosłam wzrok znad zeszytu – Alain przyglądał mi się wyczekująco.

– Matka Erica Althanna!

Wyobraziłam sobie mózg Alaina jako zestaw przekładni, które szybko zaczynają pracować, żeby przetworzyć tę informację, tak jak ja to właśnie zrobiłam. Znowu usiadłam obok niego na podłodze.

– Eric był jednym z członków ekipy Brauna, która pracowała nad raketami V. Pomyśl sobie: większość naukowców została zrekrutowana przez rząd amerykański w ramach operacji Paperclip i przeniesiona do Stanów Zjednoczonych. Mimo swojej nazistowskiej przeszłości mieli pracować dla Amerykanów. Na pewno Eric uciekł z Berlina i zdołał dołączyć do swoich towarzyszy. Podczas ucieczki musiał się postarać o nowe dokumenty, tak jak moi dziadkowie, więc wykorzystał sytuację, żeby zmienić nazwisko i zniknąć z radaru Sowietów. Eric Althann przyjął nazwisko matki, stając się Erikiem Schillerem. Poszukaj go w Google’u, ciekawe, co wyjdzie.

Alain napisał: „Eric Schiller, Marshall Space Flight Center, Huntsville”. W ułamku sekundy pojawiło się na ekranie ponad milion wyników. Nigdy byśmy ich nie uzyskali dla Erica Althanna, syn Corneliusa zniknął bowiem w roku 1945.

Chcieliśmy jak najprędzej przejrzeć te informacje i dowiedzieć się czegoś więcej o Ericu Schillerze, przygotowaliśmy więc kawę i kanapki i zabraliśmy się do roboty.

Bardzo szybko pojawiło się to, na co przynajmniej ja liczyłam od samego początku. W dłuższej biografii naukowca znaleźliśmy nazwisko kobiety, z którą wziął ślub w Witzenhausen w Niemczech we wrześniu 1945 roku: María Arriaga Schiller.

– Katia. To ona – stwierdziłam, powściągając emocje. – Jej pełne nazwisko to Katia María Arriaga Wojkowa. Kiedy w 1937 znalazła się w Związku Radzieckim, zostawiła sobie tylko rosyjską część personaliów. W Stanach Zjednoczonych pewnie korzystniej było posługiwać się częścią hiszpańską i pozbyć się radzieckiej przeszłości. Katia Wojkowa, która zginęła w pożarze teatru w Berlinie, stała się Marią Arriagą.

– María Arriaga Schiller. Katia i Eric wzięli ślub – podsumował Alain. – Doskonale zakończenie tej historii.

Zafascynowany przyglądał się w milczeniu rodzinnej fotografii Schillerów. Podczas gdy ja, równie zafascynowana, myślałam o historii miłosnej Katii i Erica: intensywnej, pełnej pasji, pośpiesznej, typowej dla ludzi, którzy nie wiedzą, czy przeżyją następny dzień. A jednak trwałej, wytrzymałej na zużycie pod wpływem czasu i wspólnej codzienności. Na zdjęciu zrobionym wiele lat po tym, jak się poznali, Eric otaczał Katię ramieniem, a ona pochylała głowę w jego stronę. Chwila. Jeden obraz. Dość, żeby zobaczyć, że oni ciągle są zakochani.

– Czyli że to jest Katia. – Alain wskazał na zdjęcie. – Była bardzo ładna.

– Tak, wygląda jak Hedy Lamarr.

– A ten chłopiec... Jedyne blondyn, kilka lat starszy od reszty dzieci.

– To mógłby być Sebastian. Oby nim był, bo to by znaczyło, że Eric zdołał go odnaleźć. To by znaczyło, że moi dziadkowie dobrze się nim zajęli. Dlatego do końca życia pozostali przyjaciółmi.

Na podstawie artykułów, szkiców biograficznych i odniesień zaczęliśmy składać obraz życia tej pary w Stanach Zjednoczonych, dokąd dotarli w marcu 1946 roku. Ich szlak zawsze był powiązany z małą społecznością naukowców, której przewodził Braun. W pierwszych latach mieszkali w Fort Bliss, gdzie ekipa z Peenemünde pracowała nad programem rakiet dla amerykańskiego wojska, rozwijając projekt V-2, który zaczęła w Niemczech. W tamtym czasie potrzeba i sens wykorzystania nazistowskich naukowców w Stanach Zjednoczonych były nieustannie kwestionowane, amerykańscy koledzy gardzili nimi, więc żyli w krytych eternitem barakach pośrodku pustyni i nie mogli się poruszać bez wojskowej eskorty. Braun określał ich mianem więźniów pokoju. Pewnie nie były to łatwe czasy dla Erica i Katii; chociaż akurat im nigdy

nie było łatwo. W 1950 roku pojechali za Braunem i pozostałymi do Huntsville, gdzie Niemcy dalej pracowali dla wojska. W pierwszym etapie rozwijali projekt rakiety Redstone, która była zdolna do przenoszenia głowicy jądrowej; a także Jupiter C, która wyniosła na orbitę Explorera 1, pierwszego zachodniego sztucznego satelitę.

Wtedy już wiadano o programie Sputnik, który rozwijał Związek Radziecki. Możliwe, że Eric zazdrościł Siergiejowi Korolowowi, swojemu dawnemu szefowi w RNII w Moskwie, który kierował tym ambitnym projektem raketowym, podczas gdy Amerykanie stawiali na program znacznie skromniejszy; z pewnością podziwiał Korolowa. W Stanach dalej badano nazi-stowską przeszłość Brauna i jego ludzi oraz ich ewentualny udział w zbrodniach popełnionych przez hitlerowski reżim. Znaleźliśmy z Alainem krótki tekst podpisany przez profesora Columbia University, w którym twierdził, że Eric Schiller wraz z Magnusem von Braunem byli świadkami egzekucji rosyjskich jeńców w Nordhausen. Jedynym dowodem, jaki przedstawił, było zeznanie pewnego Francuza, byłego więźnia obozu Mittelwerk.

Los niemieckich naukowców odmienił się w 1957 roku. Kiedy Związek Radziecki wystrzelił Sputnika 1, Amerykanie wreszcie zdali sobie sprawę, że zostali w tyle, jeśli chodzi o kosmiczny wyścig. Wtedy zgłosili się do grupy Brauna. W 1958 roku utworzono NASA i dwa lata później Centrum Lotów Kosmicznych imienia Marshalla, którego Braun został dyrektorem; i tym razem ludzie, z którymi pracował od lat i którzy mu ufali, dołączyli do niego. Między innymi Eric jako zastępca dyrektora do spraw technicznych. Ta stara ekipa pionierów rakietowych, która uformowała się w Peenemünde niemal dwadzieścia lat wcześniej, była odpowiedzialna za rozwój programu Saturn. 16 lipca 1969 roku rakieta Saturn V wyniosła astronautów z Apollo 11 w ich historyczną podróż na Księżyc.

– Ericowi udało się zawieźć człowieka na Księżyc. Spełnił swoje marzenie i dotrzymał obietnicy złożonej Katii – wyszeptalam podniecona.

Wkrótce odkryliśmy, że nie tylko Eric przyczynił się do wylądowania człowieka na Księżycu. Zupełnie przypadkiem i dzięki krótkiej notce w artykule umieszczonym na stronach NASA znaleźliśmy wzmiankę o pierwszej Hiszpance zatrudnionej przez amerykańską agencję kosmiczną – doktor fizyki Marii A. Schiller, która w latach 1964–1989 należała do zespołu obliczającego trajektorie lotów kosmicznych.

Sporo czasu poświęciliśmy na próbę rozszerzenia tej informacji, ale nam się nie udało. Ślad tej kobiety, jak wielu innych na przestrzeni dziejów, pozostał niezauważony w historii.

A jednak, choć w sposób mniej spektakularny niż na to zasługiwała, odebrała swój mały hołd. Dowiedzieliśmy się tego, rzucając okiem na listę kraterów na Księżycu. Spodziewaliśmy się, że jeden z nich będzie nosił imię Erica, podobnie jak inne nazwano imionami jego kolegów i samego Brauna. Ale nie znaleźliśmy takiego.

– Katia – przeczytał Alain. – Jest krater na biegunie północnym Księżycza, o dziewiętnastu kilometrach średnicy, o nazwie Katia.

– To musi być ona. Bo kto inny? Na pewno Eric wybrał imię kobiety, którą kochał, żeby nazwać swój krater.

W pewnej chwili Alain musiał wstać, żeby zapalić światła w salonie. Dzień minął niepostrzeżenie, kiedy my tkaliśmy historię Erica i Katii, pośród komentarzy, spostrzeżeń, domysłów. I emocjonowaliśmy się nią, żyliśmy nią, jak zawsze w podobnych przypadkach, jakby była nasza.

Ta historia kończyła się śmiercią naukowca w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Choć nie ostatecznie. Jak wszystkie dobre historie o miłości stawała się wieczna.

W kronice lokalnej gazety z Huntsville przeczytaliśmy, że Maria A. Schiller, osoba bardzo aktywna i kochana w tej małej społeczności, zmarła trzy lata po śmierci małżonka i że oboje

są pochowani na cmentarzu Maple Hill; ich groby, na szczycie trawiastego pagórka, stoją jeden naprzeciwko drugiego i na obu pod ich nazwiskami wyryto to samo epitafium.

– „Ty jesteś jedyną gwiazdą, na którą chcę patrzeć” – przeczytałam ze ściśniętym gardłem. – To naprawdę jest doskonale zakończenie mojej historii.

Alain uśmiechnął się i zaczął rozcierać gęsią skórkę na moich rękach, aż stały się gładkie. Spojrzałam na niego uważnie, zaskoczona tym gestem, który kiedyś zawsze przyjmowałam z całkowitą naturalnością, czując ciężar i ciepło jego dłoni na skórze.

– To, co powiedziałam dziś rano... – Pod wpływem impulsu chciałam mu wszystko wyjaśnić, ale brakowało mi słów. – Lubię z tobą pracować. W sumie to nie jest żadna praca. To, co teraz robimy... bardzo za tym tęskniłam... Zawsze lubiłam z tobą pracować, nie tylko przez ostatnie tygodnie, przy tym śledztwie, ale dużo wcześniej, zanim się rozeszliśmy, aż do chwili, kiedy praca z tobą okazała się pracą dla ciebie.

Alain zmarszczył brwi.

– Wiem, że tego nie zauważyłeś, że nie taki miałeś zamiar, ale tylko ty się rozwijałeś, tylko ty dostawałeś nowe propozycje: to ty współpracowałeś przy różnych publikacjach, wygłaszałeś odczyty, pisałeś artykuły, pojawiałeś się w filmach dokumentalnych, doradzałeś producentom filmowym... Nie chodzi o to, że chciałam, by światła były skierowane na mnie, wiesz przecież, że nie przepadam za byciem w centrum uwagi, ale podczas gdy ty rosłeś jak na drożdżach, ja odnosiłam wrażenie, że stoję w miejscu: byłam tylko twoją sekretarką, pomocnicą. Do diabła! Nie chcę, żeby to zabrzmiało pretensjonalnie, ale uważam, że zasług w pracy mieliśmy po równo...

– Tak było. Zawsze tak było – pośpieszył z zapewnieniem. Tyle że nie o jego uznanie chodziło w tej chwili.

– Stało się tak... bo... No, może jedna rzecz prowadziła do drugiej... Chodzi o to, że poczułam się odsunięta, porzucona, już nie tylko w sprawach zawodowych, to nie był prawdziwy problem, znalazłabym sobie inną drogę... Problem w tym, że czułam się porzucona jako kobieta, jako twoja żona. Zdajesz sobie sprawę, że nastąpiła taka chwila, kiedy przestaliśmy robić różne rzeczy razem? Jakbyśmy tylko wspólnie wynajmowali mieszkanie, każdy robił swoje i spotykaliśmy się czasem w kuchni w porze kolacji. Ty miałeś swój rozkład dnia, swoje zobowiązania, swoje sprawy. I one nie pasowały do moich. Przestaliśmy chodzić razem na targ i w słoneczne niedzielne poranki na śniadanie do miasteczka, spacerować przed kolacją, oglądać telewizję przed snem. Przestaliśmy robić rzeczy niespodziewane... Nie wiem... takie jak te wypadki do Paryża, które bardzo lubiliśmy, albo jak wtedy, gdy braliśmy samochód, żeby odkrywać małe pustelnie zagubione wśród pól, albo znieścacka robiliśmy sobie improwizowany obiad nad morzem, odwiedzaliśmy jakieś muzeum... Przestaliśmy razem gotować, dbać razem o ogród, oglądać te same filmy...

– Ale ja nie... Ja... Przecież robiliśmy wspólnie różne rzeczy. Kiedy chciałaś iść na kolację, szliśmy na kolację, albo na plażę... Kiedy chciałaś pojechać na ten festiwal muzyczny, pojechaliliśmy, pamiętasz?

– Tak, tak. Przedstawiałam plan i wynajdowałam restaurację albo organizowałam podróż, albo zebrałam u ciebie o zwykły wspólny spacer. Zawsze ja. A ty czasem się przyłączałeś z przyjemnością, kiedy indziej z mniejszą, i wtedy odnosiłam wrażenie, że cię zmuszam; innym razem zwyczajnie nie dołączałeś, bo miałeś mnóstwo pracy albo nie miałeś czasu lub ochoty. I w końcu się zmęczyłam, Alain. Zmęczyłam się tym, że byłam jedynym koniem, który ciągnął wóz naszego małżeństwa. Możesz ciągnąć, kiedy kochasz tę drugą osobę, możesz ciągnąć bez wytchnienia, ale musisz mieć poczucie, że ta druga osoba tego chce, że myśli o tobie od czasu do czasu, że myśli: „Ale to by się podobało Anie” albo: „Zaskoczę ją tym”, albo zwyczajnie: „Mam

ochotę spędzić czas z Aną, choćby przy pieleniu tego cholernego ogródka”.

Zrobiłam przerwę. Alain, nieco oszołomiony, próbował przyjąć na klatę tę listę zarzutów. Tymczasem ja zastanawiałam się, czy skończyć ją w tym miejscu, żeby przypadkiem się nie powtarzać, czy kontynuować, żeby wyrzucić z siebie wszystko, co przez cały ten czas się nazbierało. Nie miałam pewności, co okaże się lepsze dla naszej dwójki. W końcu uznałam, że za część naszych problemów są wprawdzie odpowiedzialne moje niezbyt rozwinięte zdolności komunikacyjne, ale to nie jest ten moment, w którym powinnam skończyć. Nie, kiedy czułam, że moje myśli są wyjątkowo jasne i wypływają ze mnie uporządkowane, spokojnie i bez dramatyzowania.

– Nie wiem, czy popadłam w paranoję, ale pamiętam tę chwilę, kiedy twoja siostra Judith wyrzucała ci brak angażowania się w rodzinę. Kiedy ci powiedziała, że zawsze albo świat kręci się wokół ciebie, albo jesteś bardzo zajęty własnym życiem. Przeraziłam się. Przeraziłam się na myśl, że może mieć rację.

Alain tylko delikatnie skinął głową, trochę urażony, a trochę z poczuciem winy.

– Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego pozwoliłaś, żeby to wszystko poszło w diabły, nie mówiąc nawet słowa?

– Bo nie jestem, kurwa, doskonała. I to był mój błąd. Bo myślałam, że skoro nie okazujesz zainteresowania, skoro nie chce ci się nawet spytać, co się dzieje, to jest kolejny dowód, jak mało cię to już obchodzi.

– I zdecydowałaś, że lepiej to wszystko posłać w cholere? No świetnie! To było tylko małżeństwo! Nasze małżeństwo! Po co próbować rozwiązywać problemy!

Wstałam.

– Nie. Nie krzycz na mnie. Jeśli zaczniemy na siebie krzyczeć, to się skończy gorzej, niż się zaczęło. Rozumiem, że jesteś... Że musisz przetrwać to, co ci powiedziałam. Że musisz przygotować sobie obronę...

– To nie jest żaden cholerny sąd... Czy jest? Czy się mnie tutaj oskarża? Ja też mógłbym powiedzieć, że z dnia na dzień i bez żadnego wyjaśnienia stałaś się nie do wytrzymania: oschła, drażliwa, zgorzkniała. Że nie było łatwo spędzać z tobą czasu i znacznie mniej mi się chciało myśleć o rzeczach, które by cię zaskoczyły, schlebiać ci i przejmować się tobą. Nie przyszło ci do głowy, że może to dlatego bardziej skupiałem się na pracy?

– Nie powiedziałam, że tylko ty jesteś winien temu, że się rozeszliśmy. Powiedziałam jedynie, jak się czułam.

– A ja ci mówię, jak ja się czułem!

– Znakomicie! Teraz wszystkie karty są na stole!

Zaczęłam zbierać różne rzeczy: zegarek, który zawsze ściągam do pracy, bo uderza mi o klawiaturę komputera, i gumkę do włosów, futerał na okulary, puste filiżanki po kawie...

– Co robisz?

– Idę spać. Musimy dać sobie czas, żeby to wszystko przemyśleć, a potem znowu porozmawiać bez krzyków i kłótni. Jeśli teraz dalej będziemy gadać, zrobi się gorąco i pożałujemy tego.

Patrzyłam na niego twardo, czekając, aż się ze mną zgodzi. Chociaż nie wyglądał na przekonanego, skinął głową.

– Dobranoc – rzucił oschle.



CAROWA TO TY

Kolejna noc z burzą. Ta wydała mi się szczególnie silna, może dlatego, że nie spałam. Deszcz dudnił o szyby. Wiatr wiał i wył, chłostał ściany sypialni, które zdawały się zrobione z kartonu. W tle tego ryku słychać było huk wzburzonego morza walczącego ze ścianą klifu. Grzmoty przetaczały się nad dachem i cały dom trząsł się w posadach.

Było mi zimno i chciało mi się płakać. Od tych pragnień, które czepiają się strun głosowych i nie mogą się uwolnić. Drżała mi broda, ale oczy miałam suche. Nie potrafiłam znaleźć wytchnienia. Przewracałam się z boku na bok w pościeli, nie dlatego, że myśli nie pozwalały mi przywołać snu. Nie byłam zdolna myśleć o niczym. To były czyste nerwy.

Jednak w pewnej chwili zapadłam chyba w krótką drzemkę, lekką i niespokojną. Obudziłam się z przestraczem, spocona i roztrzęsiona. Śnił mi się dziadek. Ale nie wyglądało to na sen. Wydawało mi się, jakby tam był i mówił mi różne rzeczy na ucho. Byłam małą dziewczynką. Spałam w tym samym łóżku, w tej samej sypialni. Burza ryczała na zewnątrz. I on tam był.

Siedząc na łóżku, oddzielałam sen od rzeczywistości. Nagle skoczyłam jak oparzona i pobiegłam schodami na dół.

Weszłam do salonu oświetlonego jedynie żarem z kominka; przez okna sączyło się światło latarni nad drzwiami, która zawsze była zapalona, i od czasu do czasu, przy każdej błyskawicy, pomieszczenie rozjaśniał biały poblask. Zapomniałam założyć okulary, więc wszystko widziałam rozmazane. Dlatego uważam, że nie zobaczyłam jej, tylko rozpoznałam ją w pamięci. W miejscu, gdzie zawsze była, wtedy, pośród rozbłysków rodem z psychodelicznego filmu, jakbym wciąż śniła. Dalej stała na regale, który z kanapą i lampą tworzyły kącik do czytania. Była otoczona książkami o sztuce i tom *Żywotów* Vasariego opadł na nią.

– Co to jest?

Usłyszałam samą siebie, pytającą wiele lat wcześniej, zanim jeszcze sięgałam do drugiej półki regału.

– Kobieta – odpowiedział mi dziadek, stawiając świeżo ukończoną rzeźbę na miejscu, które dla niej wybrał.

Patrzyłam na nią zaskoczona, przechylając głowę w lewo i w prawo, żeby spróbować zrozumieć tę figurę. Nakładające się na siebie płytki w żadnym razie nie przypominały mi kobiety, były raczej podobne do żagli statku na wietrze.

– I jak się nazywa?

– Medalion Carowej.

– Carowej? Kto to jest carowa?

Dziadek pochylił głowę, żeby spojrzeć na mnie ze swojej wysokości, i się uśmiechnął.

– Carowa to ty.

Obrazy z przeszłości unosiły się niczym dym ku niebu i znikwały, a ja wyciągnęłam ręce do rzeźby. Przebiegłam palcami po tej kompozycji z płytek miedzi, brązu i stali i wtedy, przyglądając się jej z bliska, zmrużonymi oczami, rzeczywiście dostrzegłam trójwymiarowy tors kobiety o piersi pełnej jak żagiel statku. Medalion Carowej. Ten medalion.

Stałam przez chwilę z rzeźbą w rękach, zatopiona w swego rodzaju transie, skupiona na dotyku, czując pod palcami powłokę z kurzu, która okrywała ją, jakby była czymś najważniejszym. Moje niepokoje walczyły z pragnieniami; zablokowało mnie.

W końcu zwróciłam uwagę na to, jak ta rzeźba jest lekka. Na pewno płytki metalu były cieniutkie, a do tego musiała być pusta w środku. Jednak podstawa z litego kamienia powinna

nadać ciężar i solidność, której nie czułam. Podstawa. Pomacałam ją i obejrzałam ze wszystkich stron. Z litego kamienia...

Nagle, gnana impulsem, jakbym straciła rozum, popędziłam na zewnątrz, niosąc ze sobą rzeźbę. Pewnie oszalałam z wrażenia, podniecenia, burzy, która spadła na mnie falami wiatru i deszczu, bo zaczęłam uderzać podstawą o kamienny murek okalający ogród. Teraz pamiętam to jako sekwencję fotogramów pojawiających się w rytmie błyskawic, w której przewijają się ogłuszające oszalałe żywioły natury, moje mokre, śliskie ręce ledwie trzymające rzeźbę i ja sama uderzająca jej podstawą o kamienie. I wtedy kamienna podstawa się rozpadła.

Przestałam w jednej chwili. Drżałam z zimna i napięcia, dyszałam z wysiłku. Prawie nie mogłam zapanować nad dłonią, którą wsunęłam do wnętrza rzeźby. Natychmiast poczułam pod palcami przyczepiony w środku okrągły przedmiot. Z łatwością go pociągnęłam i wypadł mi na dłoń.

Oto on. Zielony klejnot, relief przedstawiający smoka, otaczające go symbole, Magna Clavis. Nawet go dobrze nie widziałam, raczej wyobrażałam go sobie, dotykając zziębniętymi palcami. Zamknęłam oczy, zacisnęłam pięść. I poczułam Ognisty Medalion, jednocześnie unosząc się pośród czarnej pustki; wszystko wokół mnie znikło.

– Ana! Ana!

Głos był jak dalekie echo, które przeniknęło do wnętrza mojej bańki i ją rozsadziło. I wtedy wróciły deszcz na skórze, wiatr pod przemoczonymi ubraniami, burza nad głową... Otworzyłam oczy i patrzyłam, nie widząc. W tamtym momencie, w tamtym miejscu nie mogłam go rozpoznać.

– Co się z tobą dzieje? Co robisz? Jesteś cała przemoczona!

Próbował mnie okryć jakąś kurtką, ale ja, ciągle zamyślona, wyciągnęłam rękę i Alain uznał to za odmowę.

– Ana...

Otworzyłam dłoń i mu pokazałam. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– To... To jest medalion. – Ledwo był w stanie mówić.

Przyglądał mu się długo, jakby też uległ jego czarowi, aż nagle się otrząsnął. Otulił mnie i niemal niosąc, poprowadził do domu.

Kominek ledwie grzał. Alain pośpiesznie dołożył dREW i rozpałił ogień. Poszedł po ręczniki i zaczął mnie wycierać, podczas gdy ja siedziałam sztywno jak słuP soli, oswajając się z tym, co ścisikałam w drżącej ręce.

– Nic nie mówisz... Spójrz na siebie, masz skórę czerwoną z zimna. Ale jak...? Co robiłaś na zewnątrz? Co się stało? Jak go znalazłaś? Jesteś boso i masz spuchniętą kostkę... – Uniósł głowę, żeby spojrzeć na mnie, bo akurat wycierał mi stopy. – Znalazłaś go – powtarzał w kółko. – Znalazłaś Ognisty Medalion.

Przytaknęłam. Alain wstał i mnie przytulił. Nacisk i ciepło jego ciała były jak balsam. Stopniowo moje zmysły otwierały się na wszystko wokoło: na salon domu w Asturii; na zapach skóry Alaina, który był mi tak dobrze znany, zmieszany z zapachem płonącego wilgotnego drewna; na odgłosy burzy; na strzelanie drewna w kominku, na nasze przyspieszone oddechy, na walenie naszych serc. Wtuliłam się w Alaina.

– Gdzie był? Jak go znalazłaś? – wyszeptał mi we włosy.

Odsunęłam się trochę.

– Mogę użyć twojej komórki? Muszę zadzwonić do Martina.



PRZEKLĘTY MEDALION

Burza przeszła i wstał poranek z białymi obłokami, które wiatr przeganiał jakby w przyspieszonym tempie. Ten sam wiatr, który czesał trawy na łące i wzburzał grzywacze na morzu, nad którym szybowały mewy; który bawił się moimi włosami i wciskał mi się pod wełnianą kurtkę. Objęłam się, żeby zasłonić piersi; pod ubraniem, przylepiony do mojej skóry, odpoczywał medalion.

Ognisty Medalion. Od czasu do czasu musiałam sobie przypominać, że go znalazłam, że doszłam do końca drogi. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie mogłam tego zrozumieć.

Powinnaś odczuwać spokój, ulgę, satysfakcję z wykonanej roboty, emocje towarzyszące spotkaniu z relikwią, z wiekami historii, legend, które reprezentował. A jednak czułam niepokój. Sposób, w jaki go znalazłam... Czy to było olśnienie, czy przypadek? Dlaczego dziadek go schował i później jakby go porzucił? Dlaczego przerwał wielowiekowe dziedzictwo, które zapewniało mu opiekę i ochronę? Nonszalancja, niedbalstwo, premedytacja? Dlaczego nigdy nie odpowiedział na list Sarah? A Katia i Eric, pozostali członkowie Magna Clavis? Jeśli przynajmniej raz w roku mieli kontakt z moim dziadkiem, czy oni także wyrzekli się medalionu? Czy to była zmowa całej grupy? Dlaczego? Może najlepiej było sprawić, żeby przestał krążyć, zakopać go w zapomnieniu i rozwiązać bractwo. Co w tym przypadku oznaczało, że ja go wyciągnęłam z kryjówek?

Spojrzałam w niebo, niemal mając nadzieję, że dziadek wyłoni się spośród chmur i ostrzeże mnie: „Powinnaś go była zostawić tam, gdzie go ukryłam, taka była nasza wola”. Ale to nie słowa mojego dziadka usłyszałam, tylko Sarah Bauer, głośne i wyraźne w mojej pamięci: „Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć... Niektórych spraw lepiej nie dotykać...”.

Dla niej *Astrolog* zawsze był przekleństwem. Czy to od tego rodzaju przekleństwa chcieli się uchronić i uchronić nas, sukcesorów Magna Clavis? Wstrząsnął mną dreszcz.

– Wcześniej wstałaś.

Alain mnie zaskoczył. Byłam tak pogrążona w rozmyśleniach, że nie usłyszałam, jak podchodzi.

– Udało ci się trochę przespać? – zapytał.

– Nie za wiele.

Przesunęłam się na skale, na której siedziałam, żeby zrobić mu miejsce. On jednak wolał stać, milczący, tak jak ja ze wzrokiem utkwionym w morzu. Był urażony; wiedziałam dlaczego. Poprzedniej nocy okazałam się bezduszną, kiedy tak bezceremonialnie i szybko zadzwoniłam do Martina, ignorując fakt, że to on mnie wyciera, on mnie ogrzewa, on mnie pociesza w swoich ramionach i on tam ze mną jest – Alain. Zignorowałam go, jakby nie istniał w tamtym dialogu między medalionem a mną, i pierwszeństwo dałam Martinowi, temu cieniowi, który unosił się nad nim, nad nami.

Pamiętam, że poprosiłam go o telefon, dał mi go bez słowa. Kiedy skończyłam rozmowę z Martinem, Alaina już tam nie było, zniknął w zimnej sypialni.

W świetle dnia, odzyskawszy przytomność umysłu, zdałam sobie sprawę z tego błędu i czułam się okropnie. Szukałam więc sposobu, żeby się usprawiedliwić. Ale on mnie uprzedził.

– Zastanawiałem się nad tym, co od ciebie wczoraj usłyszałam. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że czułaś się porzucona, że myślałaś, że już cię nie kocham, że już nie jesteś dla mnie ważna. Z bólem przyjmuję swoje niedbalstwo. Wyobrażanie sobie, jak się czułaś i że byłem tego nieświadomy, rani moje serce. Bardzo mi przykro i chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy,

co nie jest żadnym usprawiedliwieniem, tylko tyle mogę powiedzieć na swoją obronę.

Skinęłam głową, przyjmując jego przeprosiny.

– Słuchaj, Ano, ja... Chciałbym, żebyś wiedziała, że cię wtedy kochałem, że kochałem cię, kiedy się rozeszliśmy, że dalej cię kocham. I że to nie miłości brakuje, ale okazywania jej, nie chcę cię stracić z tego powodu. Chciałbym zacząć na nowo i zrobić to dobrze. Ale muszę wiedzieć, czy ty chcesz, żebym o ciebie walczył, o nas. Muszę wiedzieć, czy jeszcze mnie kochasz, czy też... dobra, wolisz pójść inną drogą.

Ta deklaracja była słodko-gorzka i sprawiła, że miałam ściśnięte gardło, z czym zmagalam się przez chwilę, żeby móc cokolwiek powiedzieć i by nie drżał mi głos.

– Ta inna droga... Nie wiem, czy jestem zakochana w Martinie, jeśli o to ci chodzi. Nie będę cię oszukiwać, w nim znalazłam wszystko to, o czym ci wczoraj mówiłam i za czym tęskniłam. Ale to łatwo znaleźć na początku każdego związku. A zauroczenie to niekoniecznie jest miłość. – Westchnęłam. – Jedno, co wiem, to że kiedy myślę o tobie... Ty... Pamiętam ciebie jak ulubiony sweter, wygodny i delikatny, który wkładam, żeby poczuć się jak w domu, jak bombonierkę, którą wciągam na jedno posiedzenie, kiedy jestem smutna... Jak miejsce, gdzie czułabym się dobrze, gdzie chciałabym być. Ty jesteś miejscem, gdzie kończą się wszystkie moje myśli, chociaż w to zwątpiłam. Boże, oczywiście, że cię kocham. Ale się boję. Wiem, że jeśli zaczniemy od początku, wszystko będzie szło cudownie i znowu się w tobie zakocham, jakbyśmy się właśnie poznali, ale co potem? Ludzie się nie zmieniają, Alain, jesteśmy, jacy jesteśmy. A jeśli, choćbyśmy nie wiem jak się kochali, nie będziemy do siebie pasować? Nie mogę znowu przechodzić przez to rozczarowanie, nie mogę znowu wpaść w tę czarną dziurę, z której z takim trudem wyszłam, nie wiem, czy byłabym jeszcze raz do tego zdolna. To mnie przeraża.

Słuchając mnie uważnie, Alain spojrział na morze. Napięta dolna szczęka, przymknięte oczy, zmarszczone czoło.

– Mnie przeraża to, że miałbym spędzić resztę życia bez ciebie.

Piękna deklaracja, ale ja chciałabym być kimś więcej niż dodatkiem niezbędnym do jego idealnego życia. On mnie potrzebował i ja go potrzebowałam, ale nie byłam pewna, czy zdołamy się spotkać w tej przestrzeni.

Miałam mu to powiedzieć, kiedy w ten piękny zakątek natury wdarł się warkot silników. Odwróciliśmy się w jednej chwili.

Cztery samochody terenowe, mocne, czarne i wielkie, jechały w kierunku domu. Wystraszona wstałam.

– Co się dzieje? Kto to jest? – zapytał Alain, nie mniej wystraszony.

– Nie wiem. Ale nie podoba mi się to. W ogóle mi się to nie podoba.

Szybko przeanalizowałam sytuację. Dom był o jakieś sto metrów, samochody dotrą tam wcześniej niż my, choćbyśmy biegli bardzo szybko. Otwarta łąka wokół nas kończyła się raptownie stromą przepaścią. Ścieżkę właśnie zablokował jeden z samochodów, drugi zaparkował przed domem, dwa pozostałe jechały do nas. Nie mieliśmy dokąd uciec ani gdzie się ukryć lub schronić.

Spojrzałam na Alaina, który rozglądał się nerwowo. Już nas dopadli. Oddech mi przyspieszył, kiedy samochody zatrzymały się, ryjąc kołami ziemię. Alain stanął przede mną.

Dwóch mężczyzn wysiadło z jednego samochodu i wycelowało w nas broń.

– Ręce do góry!

Ja posłuchałam. Alain się ociągał i dopiero po drugim rozkazie, któremu towarzyszył wymowny ruch pistoletu, powoli uniósł ręce.

– Co tu się, kurwa, dzieje? Czego chcecie? Ej, nie dotykaj mnie! Powiedziałem, żebyś mnie nie dotykał!

Mimo protestów Alaina jeden z mężczyzn nas rozdzielił i obszukiwał, podczas gdy drugi w nas celował. Dałam sobie spokój z protestami. Alain krzychał za mnie.

– Zostaw ją! Zabieraj, kurwa, te łapy!

Po rewizji facet odwrócił się do drugiego samochodu i dał znak. Wtedy tylne drzwi się otworzyły i pojawiła się, jak w zwolnionym tempie – tak mi się przynajmniej wydawało, może dlatego, że byłam roztrzęsiona – postać cała ubrana na czarno: spodnie, golf, wojskowe buty. Wielkie okulary przeciwsłoneczne zasłaniały oczy, a przez to jej skóra zdawała się jeszcze białsza, tak samo jak blond włosy zebrane w kucyk. Wydawała się młodsza, bardziej wyniosła, potężniejsza.

Greta Köller szła spokojnie w naszą stronę, z zimnym uśmiechem, który wyglądał niczym wymalowany na kamiennej twarzy. W jakiś dziwny sposób trochę mnie uspokoiło, że to ona, znany wróg. Wiedziałam, że jest niebezpieczna, że nie ma skrupułów. Ale wiedziałam też, że zachowuje się jak maszyna. Chciała tylko jednej rzeczy, której zdobycie było jej jedynym celem. Nie zamierzała nas skrzywdzić.

Pomyliłam się w tej ocenie.

– Gdzie jest? – Bezpośrednio, bez wstępów. – I nie trać czasu na udawanie głupiej. Wiem, że go masz. Powinnaś była posłuchać, jak ci mówili, żebyś nie używała telefonów, żadnego telefonu. Myślisz, że byłabym tak głupia, żeby nie podsłuchiwać też twojego męża?

Telefon Alaina. Dreszcz przebiegł mi po ciele. Próbowałam trzymać fason, ale nie wiem, czy mi się udało w tym napięciu i wściekłości na samą siebie.

– Wiesz, że nie odejdę stąd bez niego. Lepiej, żebyś mi go oddała po dobroci.

Miała rację. Znalazłam się w potrzasku. Jak miałam jej nie dać medalionu? Nie mogłam uciec. Opór byłby bezsensowny i samobójczy, niebezpieczny także dla Alaina. Greta wygrała.

„Powinnaś go była zostawić tam, gdzie go ukryłem, taka była nasza wola”. „Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć... Niektórych spraw lepiej nie dotykać...”

Słowa tych, którzy byli przede mną, rozbrzmiewały w moich uszach. Tam, gdzie im się udało, ja poległam. Tam, gdzie oni stanęli na wysokości zadania, ja wykazałam się lekkomyślnością. Targało mną wewnętrzne drżenie, zimny pot piekł mi skórę. Spojrzałam na tych mężczyzn i na ich wycelowaną w nas broń, spojrzałam na Alaina – był jak ostry pies na smyczy, spojrzałam na Gretę – z trudem maskowała triumfalny wyraz twarzy. Zamknęłam oczy i chciałam krzycheć z wściekłości. Pohamowałam się jednak i powoli sięgnęłam po wiszący na mojej szyi czarny sznurek. Ściągnęłam go przez głowę i spojrzałam na niego na otwartej dłoni. Zwykły kamień. Przełknęłam ślinę.

– Dawaj!

Gdy tylko Greta zobaczyła medalion, jej twarz się zmieniła. Powinnaś była to zauważyć wcześniej, ten błysk żądzdy w jej oczach, tę odrobinę szaleństwa, którą wszyscy mamy i która w tamtej chwili też pojawiła się w jej spojrzeniu. Okazało się, że jednak nie jest maszyną, jest istotą ludzką. A ja tego nie dostrzegłam.

Zamknęłam medalion w dłoni, mocno zacisnęłam pięść. Wbiłam wzrok w Gretę, jakbym miała go jej dać. I wtedy uniosłam rękę i z całej siły rzuciłam ten kamień do morza. Jakby czas się zatrzymał, patrzyłam, jak spada szerokim łukiem, patrzyłam, jak znika pośród fal i tonie w gęstych i ciemnych wodach.

– Nie! Co ty zrobiłaś?!

To, co się wydarzyło potem... Nie wiem, czy moja pamięć wołała to wymazać, czy może byłam nie w pełni świadoma. Wszystko stało się tak szybko... w mgnieniu oka. Nie byłabym w stanie opowiedzieć tego w szczegółach.

To Greta strzeliła, tak, to była ona. Wiem, że odwróciłam się w jej stronę i że trzymała

pistolet. Ale skąd się pojawiła ta broń? W kogo celowała? We mnie? Na pewno we mnie. Pamiętam głos Konrada. Jak to mógł być głos Konrada? Nie widziałam go tam. Ale z całą pewnością pamiętam ten głos:

– Greta, nie!

Usłyszałam wystrzał. Poczułam uderzenie. Upadłam. Myślałam, że zostałam trafiona, ale nie... Strach, rozpacz i zaskoczenie, ale żadnego bólu. Tylko ciężar ciała Alaina. Podparłam się, a robiąc to, dotknęłam go i moje ręce zalała ciepła krew. Wtedy zrozumiałam, co się stało z kulą.

Spojrzałam na Gretę, a ona spojrzała na mnie – z tym szaleństwem w oczach. Wahala się, czy strzelić jeszcze raz, czy się odwrócić, pobiec ze swoimi ludźmi do samochodów i odjechać tak szybko, jak przyjechali.

Jasności umysłu wystarczyło mi na tyle, żeby sięgnąć po telefon Alaina, wydobyć go spośród jego zakrwawionych ubrań i zadzwonić na pogotowie, zatamować ranę na wysokości brzucha własną koszulką, jak instruował mnie przez telefon lekarz pogotowia, i w ten sposób powstrzymać krwotok, żeby siedzieć u jego boku, klepiąc go po policzkach i żądając, by został ze mną, żeby go przytulić, jakbym w ten sposób zatrzymywała w nim tę odrobinę życia, która wypływała przez dziurę po kuli. Kiedy przyjechała karetka i mnie od niego oddzielili, wpadłam w stan szoku. Czarna dziura.

Zarejestrowałam nieświadomie, że przewieźli nas helikopterem do szpitala w Oviedo; że podczas przelotu Alainowi zatrzymała się akcja serca i lekarzowi udało się go reanimować. Że kiedy znaleźliśmy się w szpitalu, znowu trzeba go było ustabilizować i pilnie operować. Wyszłam z szoku w ramionach Martina i zorientowałam się, że znajduję się w szpitalnej poczekalni bez wyrazu, i wtedy moja pamięć zaczęła wypływać obrazy tego, co właśnie przeżyłam. Wybuchłam płaczem. Chciałam wyjaśnić, co się wydarzyło, tyle że ani nie potrafiłam znaleźć słów, ani histeryczny płacz nie pozwalał mi tego zrobić. Nadeszła chwila, w której zaczęłam się hiperwentylować. Musieli mi dać coś na uspokojenie.

– Masz, to kwiat lipy. Jest ciepła, dobrze ci zrobi.

Martin podał mi papierowy kubek i usiadł obok mnie w tym rzędzie obitych na niebiesko niewygodnych krzeseł poczekalni.

– Dziękuję. – Wypiłam niechętnie łyżeczek, żeby nie sprawić mu przykrości.

– Wiadomo coś? Wyszedł jakiś lekarz?

Pokręciłam głową i znowu poczułam łzy na krawędzi powiek. Kubek z herbatą trząśł mi się w rękach. Ciągle miałam na sobie resztki krwi Alaina, w zagięciach skóry i pod paznokciami. Nawet nie pamiętałam, że się umyłam.

Martin wziął ode mnie kubek i postawił go na stoliku. Ja niezgrabnie otarłam łzy i wtedy podał mi chusteczkę.

– To wszystko moja wina – zdołałam powiedzieć, łkając.

– Nie mów tak, to nie jest twoja wina.

– Myślałam, że sobie pójdzie, że jak nie dostanie medalionu, Greta po prostu odjedzie. Byłam głupia. Wyrzuciłam medalion do morza, Martin! – powtarzałam mu to, co opowiedziałam już wcześniej. – Jest na pierdolonym dnie morza!

Martin wziął mnie za ręce i syknął, żebym się uspokoiła.

– A teraz... Alain. – Płacz znowu mi przerwał. – Nawet nie umiem się modlić, co mogę zrobić? – spytałam zdesperowana.

Znowu mnie przytulił, żeby ukoić mój żal.

– Ja się za ciebie pomodłę – zapewnił, głaszcząc mnie po głowie.

Spojrzałam na niego z rozpaczą.

– Jeśli Alain umrze, jeśli Alain umrze... Nie będę mogła żyć bez niego. Nie będę mogła.

Wtuliłam twarz w ramię Martina. „Przeklęty medalion. Przeklęty medalion. Nie odbieraj mi życia”, powtórzyłam w myślach, jakby to była modlitwa, jedyna, jaka przychodziła mi do głowy.

Wtedy otworzyły się drzwi sali operacyjnej. Odwróciłam się. Wypowiedziano moje imię.

„Powinnaś go była zostawić tam, gdzie go ukryłem, taka była nasza wola”, usłyszałam głos mojego dziadka, gdy wstawałam z krzesła.



EPILOG

Gdzieś w Europie

Martin Lohse zachwycony kontemplował obraz. Znał na pamięć *Astrologa*, mimo to nie mógł się nie zagubić w jego zakamarkach, jakby medytował nad mandalą. W tym ciemnym pomieszczeniu, opancerzonym i niemal aseptycznym, w którym go przechowywano, człowiek odnosił wrażenie, że poza nim i obrazem nie ma nic na świecie. Stał więc zahipnotyzowany jego niezrozumiałymi szeptami, spowity delikatnym światłem.

Wydawało mu się, że wciąż słyszy krzyki Dimitrija, jakby zostały pochwycone przez ściany. Wściekał się i oczywiście winił Martina za fatalne zakończenie sprawy medalionu. Ale Martin był na to przygotowany. To cały Dimitrij: ognisty, narwany, najbardziej wybuchowy spośród nich, równoważył swoim yin tendencję yang reszty bractwa. Godny wnuk Franka Poliakowa, miał ten sam temperament, co dziki bojownik francuskiego ruchu oporu o pseudonimie Trocki.

Czasem Martin czuł się zmęczony tym wszystkim, znużony odpowiedzialnością, którą wziął na swoje barki, znużony zadawaniem się z dziwnymi towarzyszami podróży, przy których często czuł się bardzo samotny. Zdarzało mu się zadawać sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby spalić to płótno i raz na zawsze zakończyć sprawę. W tym sensie dobrze się stało, że medalion spoczął na dnie morza, z dala od czyichkolwiek rąk. A jednak... Chętnie potrzymałby go w dłoniach, spojrzał na niego na żywo, czuł pod palcami tysiące warstw historii i legend. Zastanawiał się, czy byłoby to równie ekscytujące jak oglądanie *Astrologa*. Tego już się nie dowie.

– Nigdy nie znudzi ci się go oglądać, co?

Martin nawet nie spojrzał na Brigitte, rozpoznał ją po głosie.

– Tak naprawdę myślałem o tym, żeby go spalić. – Uśmiechnął się smętnie, ze wzrokiem utkwionym w to włoskie dzieło.

– Nieźle... Wrzaski Dimitrija zrobiły na tobie wrażenie. Z wiekiem mięknie, Lohse?

– Może. A może podczas tej podróży wiele straciłem.

– To nie była twoja wina. Wybij to sobie z głowy.

– Powinienem tam być, Gitte, powinienem był przewidzieć, że coś takiego się wydarzy. To był mój zasrany obowiązek. Skoro nie jestem już zdolny wykonywać własnej roboty, to co ja tu, do cholery, robię?

– Nie, ty miałeś odnaleźć medalion i nie dopuścić, żeby wpadł w niepowołane ręce. Tak więc, stary, sto na sto, zadanie wykonane. Poza tym niech ci przypadkiem nie wpadnie do głowy się wymiksować i zostawić mnie tutaj samej z tym zboczeńcem Poliakowem.

– Ty jedyna potrafisz sterować Dimitrijem.

– Dimitrij jest jak zły pies, do tego wredny, niezbędny, żeby szczekaniem utrzymać cię-kawskich na uboczu. Ale przenigdy nie ugryzie nikogo ze swoich. A ty nadajesz temu wszystkiemu rozsądek. Tworzymy zgrany zespół.

– Też mi się tak wydaje.

– Słuchaj, jesteś w dołku, to normalne. Za bardzo się zaangażowałeś w ten medalion. Od pierwszej chwili mówiłeś nam, że nie chcesz tego robić, a my nie posłuchaliśmy. To też nasza wina, niepotrzebnie naciskaliśmy, żebyś wziął to śledztwo. Zawsze odnosiłam wrażenie, że czu-

jesz coś do Any. Kiedy zobaczyłam was razem w szpitalu w Stambule, potwierdziły się moje podejrzenia. Nie, nie powinniśmy byli nalegać. Sprawa stała się dla ciebie zbyt osobista. To zawsze jest niebezpieczne.

– O mały włos bym to zostawił. O mały włos. Ale poprosiła mnie, żebym tego nie robił.

– Eh, nie ma sensu zadręczać się tym, co mogło być i co się nie wydarzyło. To koniec, nie rozdrapuj tego. Powtarzam: zadanie wykonane, medalion już nie jest problemem. Ale przykro mi, że sprawy z Aną nie ułożyły się tak, jak chciałeś.

– Niech ci nie będzie przykro. Tak jest lepiej. Czy ty mnie widzisz w poważnym związku z kimkolwiek, przy takim życiu, jakie prowadzę?

Brigitte zaśmiała się na głos.

– Takim jak moje. Bylibyśmy dobraną parą.

– Prawdę mówiąc, to tak. – Martin również się zaśmiał.

Przez chwilę wydawało się, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Stali naprzeciwko obrazu, chociaż już go nie podziwiali – zwyczajnie tam stali, w jego cieniu, jedno obok drugiego.

Martin nagle odwrócił się do Brigitte.

– Zjesz dziś ze mną kolację?

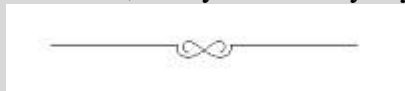
Zmarszczyła czoło.

– Mam nadzieję, że nie proponujesz mi romantycznej randki.

– Możesz być spokojna. Przeszła mi ochota na igranie z ogniem.

Na twarzy Brigitte wykwitł szeroki uśmiech. Raz po raz lubiła spędzić trochę czasu z Martinem. I może kolacja skończy się w łóżku. A potem każde pójdzie w swoją stronę, jak powinno być.

Tak, zdecydowanie byliby dobraną parą.



Les Baux-de-Provence, Francja

Ana wyciągnęła fajansowy dzban z niszy i wytarła kurz i pajęczyny. To zagłębienie w kamiennej ścianie, wspomnienie zamurowanego okienka, wydało jej się idealne. Z wielką dbałością, raczej dla ceremonii niż przez ostrożność, postawiła w nim rzeźbę. Przesunęła ją kilka razy, aż znalazła miejsce, gdzie była idealnie oświetlona, i odeszła kilka kroków, żeby z oddali ocenić wynik swoich działań.

Uśmiechnęła się zadowolona. Nadal widoczne były zadrapania na metalu, w podstawie została dziura, którą zrobiła, krusząc kamień. Jednak te znamiona składały się na historię dzieła i należały już do jego istoty. Ostatni rozdział na temat Ognistego Medalionu, który sama napisała.

Nie czuła się jakoś szczególnie dumna z tego zakończenia. Dla miłośniczki sztuki i jej dziedzictwa utrata dzieła o nieocenionej wartości historycznej – nawet pomijając jego rzekome własności ponadnaturalne – była świętokradztwem. Ale mając na względzie to, że sama stała się zabawką w rękach ludzi kierujących się własnym interesem, była zadowolona, że zajęła uprawnione miejsce w tej historii i chwyciła wodze swojego przeznaczenia. Oczywiście, że wołałaby nie poświęcać medalionu; gdyby ją poinstruowano, jak go uratować, może nie musiałaby tego robić. Nie winiła dziadka, rozumiała, że chciał ją ochronić przed czymś, co wymagało zbyt

dużego poświęcenia od poprzednich strażników. Dlatego uznała, że jeśli jakiś przedmiot, cokolwiek to jest, kosztuje tak wiele, może lepiej, żeby na zawsze spoczął na dnie morza.

Ona już zapłaciła swoją cenę, odmawiając Grecie Köller klejnotu. Właśnie się dowiedziała, że Interpol zatrzymał siostrę Konrada w Kostaryce. Włoska policja zebrała wystarczające dowody, żeby oskarżyć Gretę o zamordowanie Giancarla Bonattiego. Martin zachęcał, żeby zgłosiła im także postrzelenie Alaina, ale nie była do tego przekonana. Przerazało ją, że musiałyby wszystko jeszcze raz przeżywać. Dość już miała powtarzających się koszmarów, w których widziała siebie, jakby opuściła własne ciało, na skraju klifu, z Alainem umierającym w jej ramionach. Bardzo często budziła się w nocy z płaczem i nie mogła się uspokoić, mimo że sen już minął.

Nie, nie chciała wracać do tego traumatycznego zdarzenia, chciała tylko zostawić je za sobą. Poza tym jej zgłoszenie nie miałooby sensu, bo Greta i tak dostanie maksymalny wymiar kary za samego Bonattiego. Jeśli chodzi o Konrada, przypuszczała, że od początku do końca był zamieszany w sprawę medalionu, była pewna, że słyszała jego głos tamtego dnia, że to on znajdował się w jednym z samochodów. Nie mogłaby jednak tego dowieść. W każdym razie Konrad już odbywał swoją karę, znacznie cięższą od każdej, którą mógł na niego nałożyć sąd, a poza tym dla niej to nie miało znaczenia, nie czuła by żadnej satysfakcji.

Zorientowała się, że od jakiegoś czasu jej rozmyślaniami towarzyszy muzyka. Gramofon w salonie. *Harvest Moon*, jedna z ulubionych piosenek Alaina. Tańczyli do niej w dzień ślubu, bosy na łące pod girlandami żarówek rozciągniętych między drzewami.

Nie tylko rzeźbę trzeba będzie odnowić. Ana była zdecydowana odnowić własną historię. Życie jest jak woda. Wody nie da się na zawsze zatrzymać w rękach. Sarah i Georg, Katia i Eric, jej dziadkowie... Oni o tym wiedzieli, nauczyli się tego wcześniej, może dlatego, że żyli w niewyobrażalnie ciężkich czasach. I to oni nauczyli ją, że nieważne, jak szybko albo wolno przepływa woda między palcami. Ważne jest to, by z ostatnią kroplą człowiek mógł powiedzieć, że kochał bez uprzedzeń i strachu.

– Podoba mi się.

Poczuła, że objął ją od tyłu, czego nie robił od dawna, i wzdrygnęła się. Jego szept prosto do ucha sprawił, że dostała gęsiej skórki. Zamknęła oczy.

– Czemu nie leżysz? – skarciła go z uśmiechem i wtuliła się plecami w jego ciało, jakby było z gąbki.

– Czułem się samotny. I chcę znowu zobaczyć, jak tańczysz – powtórzył wers piosenki, zaczynając się kołysać. – Zatańcz ze mną, *ma petite poulette*.

Ana odwróciła się, nie tracąc rytmu. Przeczesała palcami włosy Alaina, po czym zaplotła ręce na jego szyi i pocałowała go w usta. Przytuliła się do niego łapczywie, jakby mogła go stracić, i wyszeptala niespodziewanie: „Kocham cię”; takie wyznania są najszczerze.

Znowu tańczyli razem do dawnych piosenek. W ramionach Alaina Ana zapragnęła, by zostało tak na zawsze, aż ostatnia kropelka życia prześliznie się między ich splecionymi palcami.



PODZIĘKOWANIA

Czytelnikom, księgarzom i wydawcom, którzy w swoim czasie postawili na *Szmaragdową Tablicę* i od dziesięciu lat towarzyszą mi w tej wspaniałej podróży. Wierzę, że razem będziemy podążać do jej końca.

CARLA MONTERO W REBISIE

Ognisty Medalion

Ogród kobiet

Szmaragdowa Tablica

Wiedeńska gra

Zimowy wiatr na twojej twarzy

Złota skóra

Tytuł oryginału: *El medallón de fuego*

Copyright © 2021, Carla Montero

Translated from the original edition of Penguin Random House Grupo Editorial S.A.U., Barcelona, 2021 This edition has been published through the agreement with Hanska Literary&Film Agency, Barcelona, Spain.

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt okładki: Penguin Random House Grupo Editorial/ Begona Berruezo

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Michał Pawłowski / www.kreska-ikropka.pl

Fotografie na okładce

© Ildiko Neer / Trevillion Images

Copyright © SZ Photo / SZ-Photo / Forum

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Ognisty Medalion*, wyd. I, Poznań 2023)

ISBN 978-83-8338-706-2-999

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

